

# **Intelektualiści**

## **Paul Johnson**

- 1. Jan Jakub Rousseau: „Porywający szalenię” 2**
- 2. Shelley, czyli nieczułość idei 23**
- 3. Karol Marks: „Miotając klątwy odwieczne” 43**
- 4. Henryk Ibsen: „Wręcz przeciwnie!” 67**
- 5. Lew Tolstoj: starszy brat Pana Boga 86**
- 6. Głębokie wody Ernesta Hemingwaya 111**
- 7. Bertolt Brecht: serce z lodu 140**
- 8. Bertrand Russell: przykład logicznych bzdur 160**
- 9. Jean-Paul Sartre: „Mała kula puchu i atramentu” 184**
- 10. Edmund Wilson: żagiew z pożogi 207**
- 11. Niespokojne sumienie Victora Gollancza 221**
- 12. Kłamstwa, diabelne kłamstwa i Lillian Hellman 236**
- 13. Odlot rozumu 250**

## 1. Jan Jakub Rousseau: „Porywający szaleniec”

Przez ponad dwa ostatnie stulecia wpływ intelektualistów stale wzrastał „Awans” świeckiego intelektualisty był rzeczywiście kluczem w kształtowaniu świata nowożytnego. Oceniane w dalekiej perspektywie historii, zjawisko to jest pod wieloma względami nowe. W swoich wcześniejszych wcieleniach - jako kapłani, uczeni w piśmie i wróżbici intelektualiści od początku dziejów zgłaszali roszczenie, by przewodzić społeczeństwu. Jednakże jako strażnicy kultur hieratycznych, tych prymitywnych i tych bardziej rozwiniętych, w swych moralnych i ideologicznych dążeniach ograniczani byli regułami władzy zwierzchniej i dziedziczonej tradycji. Nie byli, i być nie mogli, wolnomyślnymi poszukiwaczami przynależności intelektualnych.

W wieku osiemnastym, wraz z upadkiem władzy duchownej, pojawił się nowy typ mentora, chętny wypełnić pustkę i zdobyć posłuch społeczeństw. Świecki intelektualista mógł być deistą, sceptykiem lub ateistą. Niczym biskup lub proboszcz gotów był pouczać ludzkość, jak ma kierować własnym losem. Od samego początku głosił, że poświęca się dla dobra rodzaju ludzkiego i ma ewangeliczny obowiązek ulepszania świata. Podszedł do tego wyznaczonego sobie zadania bardziej radykalnie niż jego klerykałni poprzednicy. Nie czuł się związany żadnym dekalogiem religii objawionej. Skoro decydował zdrowy rozsądek, zbiorowa mądrość przeszłości, tradycja lub uświęcone kodeksy doświadczenia przodków miały obowiązywać jedynie w części albo być w całości odrzucone. Po raz pierwszy w historii człowiek zdecydował się twierdzić, coraz pewniej i śmielej, że może rozpoznać choroby gnębiące społeczeństwo i uleczyć je własnym umysłem, a nawet więcej: że może znaleźć recepty, które ulepszą nie tylko strukturę społeczeństwa, ale i utrwalone nawyki istot ludzkich. Odmienne niż ich kapłańscy przodkowie, nie byli oni już sługami ani tłumaczami woli bogów, ale ich zastępcami. Bohaterem ich był Prometeusz, który skradł niebiański ogień i przyniósł go na ziemię.

Ci nowi świeccy intelektualiści z wielką przyjemnością - co zresztą ich charakteryzowało - oddali się krytycznemu badaniu religii i jej wyznawców. Jaki przynosiły pożytek lub też jaką szkodę czyniły ludzkości te wielkie systemy wiary? Jak dalece papież i księża żyli zgodnie z przykazaniem czystości i prawdy, dobroci i miłości bliźniego? Werdykt był surowy względem Kościoła, jak i duchowieństwa.

Teraz, po dwóch wiekach malejących wciąż wpływów religii i jednocześnie wzrastającej roli świeckich intelektualistów w kształtowaniu naszych postaw i instytucji, nadszedł czas zbadania ich zapisu, publicznego i osobistego.

Chcę szczególnie się skupić nad prawem moralnym i orzekającym świeckich intelektualistów do mówienia ludzkości, w jaki sposób ma ona postępować. Jak oni sami kierowali własnym życiem? Na ile słuszne były ich zachowania wobec rodziny, przyjaciół i współpracowników? Czy postępowali słusznie w sprawach płci i pieniądza? Czy mówili i pisali prawdę? I jak ich własne systemy wytrzymały próbę czasu i praktyki?

Nasze badania rozpoczynamy od Jana Jakuba Rousseau (1712-1778), pierwszego z nowożytnych intelektualistów, ich archetypu i pod wieloma względami najbardziej spośród nich wpływowego. Starsi, jak Wolter, rozpoczęli wprawdzie dzieło burzenia ołtarzy i wprowadzania na tron rozsądku, ale Rousseau był pierwszym, który miał łączyć w sobie wszystkie wybitne cechy prometejczyka: domaganie się prawa do odrzucenia w całości istniejącego porządku, ufność w swe zdolności przebudowania go od podstaw zgodnie z zasadami przez siebie obmyślonymi; wiarę, że można to osiągnąć drogą rozwoju politycznego; wreszcie nie mniej istotną cechę - uznanie roli instynktu, intuicji i impulsu w postępowaniu człowieka. Rousseau wierzył, że jego miłość do ludzkości jest wyjątkowa, a on sam obdarzony jest nadzwyczajną przenikliwością i darem powiększenia jej szczęścia.

Zadziwiająca liczba ludzi, zarówno za jego życia jak i później, oceniała go zgodnie z jego własnym obrazem.

Wpływ jego był ogromny, nie zmniejszał się z upływem czasu. Dla pokolenia następnego stał się mitem. Zmarł dziesięć lat przed wybuchem rewolucji francuskiej 1789 roku, ale wielu współczesnych uważało, że był za nią odpowiedzialny, a także za zburzenie ancien regime w Europie. Pogląd ten podzielał zarówno Ludwik XVI, jak i Napoleon. Edmund Burke tak mówił o elicie rewolucji: „Wynikł wielki spór między ich przywódcami, który z nich jest najbardziej podobny do Rousseau... Jest on dla nich wzorem doskonałości”. Sam Robespierre powiedział: „Rousseau jest człowiekiem, który wzniosłością swej duszy i wielkością charakteru okazał się być godnym sprawowania przewodnictwa i nauczycielstwa wobec rodu ludzkiego”. Rewolucyjny Konwent postanowił przenieść jego prochy do Panteonu. Podczas uroczystości przewodniczący Konwentu powiedział: „To dzięki Rousseau nastąpił ten ozdrowieńczy postęp, który przekształcił nasze obyczaje i zwyczaje, prawa, uczucia i maniery”<sup>1</sup>.

Jednak Rousseau w znacznie głębszym wymiarze i na znacznie dłuższą metę zmienił niektóre podstawowe założenia człowieka cywilizowanego i przemebłował ludzki umysł. Choć zasięg jego wpływu jest dramatycznie szeroki, może być ujęty w pięciu punktach:

Po pierwsze, wszystkie nowożytne teorie pedagogiczne są przepojone doktryną Rousseau, zwłaszcza jego rozprawą *Emil* (1762). Upowszechnił, nawet do pewnego stopnia wynalazł kult natury, zamiłowanie do otwartej przestrzeni, wypoczynku, działań samorzutnych, dodających sił, swobodnych. Zainicjował krytykę miejskiego stylu życia. Określił i napiętnował sztuczność cywilizacji. Rousseau to ojciec zimnych kąpeli, systematycznych ćwiczeń, kształcenia charakteru przez sport, domku weekendowego.

Po drugie, co jest związane z jego przewartościowaniem natury, Rousseau uczył niewiary w stały i stopniowy postęp kultury materialnej i w tym sensie odrzucał oświecenie (a przecież stanowił jego nieodłączną część), wypowiadając się za rozwiązaniem o wiele bardziej radykalnym. Twierdził, że sam rozum jest poważnie ograniczony jako środek uleczenia społeczeństwa. Nie oznacza to jednak, że umysł ludzki nie nadaje się do tego, by dokonać niezbędnych reform, ma on bowiem wciąż ukryte a niewyzyskane zasoby poetyckiej wyobraźni i intuicji, których trzeba użyć dla przezwyciężenia suchych nakazów rozumu<sup>4</sup>. Kontynuując tę linię rozważań, Rousseau napisał *Wyznania* (*Confessions*), które ukończył w roku 1770, choć zostały opublikowane dopiero po jego śmierci.

Po trzecie, ów tok rozumowania dał początek zarówno romantyzmowi, jak i nowożytnej literaturze introspektywnej: Rousseau bowiem podjął najważniejsze z osiągnięć renesansu i posunął je o gigantyczny krok dalej zajął się jednostką, sięgając do jej wnętrza i poddając je publicznemu badaniu. Po raz pierwszy czytelnikom pokazano wnętrze serca, chociaż co - również stało się cechą literatury nowożytnej - widok rozczarował: serce tak pokazane zwodziło, na zewnątrz było szczere, wewnątrz pełne podstępów.

Czwarte z pojęć, które Rousseau upowszechnił, było pod wieloma względami najbardziej odkrywcze ze wszystkich.

Gdy społeczeństwo ewoluuje od pierwotnego stanu naturalnego do miejskiego sposobu życia, człowiek - jak dowodził Rousseau - ulega zepsuciu: jego naturalne samolubstwo, *amour de soi*, przekształca się w o wiele bardziej zębny instynkt, *amour propre*, który łączy próżność i ambicję. Otóż każdy człowiek ocenia siebie według tego, co inni o nim myślą, i stara się wyrzucić na nich wrażenie pieniędzmi, siłą, rozumem i przewagą moralną. Jego naturalny egoizm sprawia, że współzawodniczy z innymi i staje się zachłanny, czuje się obco wśród ludzi, których uważa za konkurentów, a nie za braci: ów egoizm odsuwa go niejako od samego siebie<sup>5</sup>. Ta alienacja wywołuje u człowieka chorobę umysłu, którą cechuje tragiczna rozbieżność między ułudą a rzeczywistością.

Rousseau uważał, iż zło, jakie powstaje ze współzawodnictwa, niszczy wrodzone człowiekowi poczucie wspólnoty i ożywia wszystkie jego najgorsze cechy, w tym chęć

wykorzystywania drugich; dlatego nieufnie odnosił się do własności prywatnej jako źródła społecznego występku.

Po piąte więc, w przeddzień rewolucji przemysłowej rozwinął Rousseau elementy krytyki kapitalizmu, co dostrzec można zarówno we wstępie do komedii Narcyz, czyli kochanek samego siebie (Narcisse), jak i w O początku i zasadach nierówności między ludźmi (Discours sur l'origine et les fondements de l'inegalite parmi les hommes), uznając własność i konkurencję zmierzającą do jej nabycia za główne przyczyny alienacji<sup>6</sup>.

Z tej myśli bezwzględnie czerpali Marks i inni, wraz z powiązaną z Rousseau ideą ewolucji kulturalnej. Dla niego „naturalny” znaczyło „pierwotny”, czyli przedkulturowy. Cała kultura stwarza problemy, bo związek człowieka z innymi rodzi jego złe skłonności. Jak mówi Rousseau w Emilu: „Oddech ludzki jest dla bliźnich śmiertelny”. Tak więc kultura, w której człowiek żyje, sama zmieniając się, jako sztuczny twór dyktuje zachowanie człowieka: można doskonalic, a nawet całkowicie zmienić jego zachowanie, jeśli tylko zmieni się kulturę i współzawodniczące siły, które je wytworzyły - czyli jeśli posłuży się inżynierią społeczną.

Idee te, tak powszechne, stworzyły encyklopedię myśli współczesnej. To prawda, że nie wszystkie pochodzą od samego Rousseau. Czytał wielu: Kartezjusza, Rabelais, Pascala, Leibniza, Bayle'a, Fontenelle'a, Corneille'a, Petrarke, Tassa, a szczególnie bliscy mu byli Locke i Montaigne. Madame de Stael, która wierzyła, że miał on „najwspanialsze talenty, jakimi kiedykolwiek obdarzony był człowiek”, mówiła jednocześnie: „Nie wynalazł niczego”. Dodawała jednak zaraz, że to on „natchnął wszystko ogniem”. Ten właśnie pełen żaru sposób pisania Rousseau, prosty, bezpośredni i mocny, sprawia, że jego słowa wydają się tak żywe i świeże, trafiające do ludzi niczym olśnienie.

Kim więc był ów mocarz, który władał tak niepospolitą siłą moralną i intelektualną, i w jaki sposób ją osiągnął?

Rousseau był Szwajcarem, urodził się w Genewie w roku 1712 w rodzinie kalwińskiej. Ojciec jego, Izaak, był zegarmistrzem, ale nie powodziło mu się najlepiej, miał ciągłe kłopoty, wplątywał się w awantury i zamieszki. Matka, Suzanne Bernard, pochodząca z bogatej rodziny, zmarła wkrótce po urodzeniu Jana Jakuba na gorączkę połogową. Żadne z jego rodziców nie należało do ścisłego kręgu rodzin, które tworzyły oligarchię rządzącą Genewą i wchodziły w skład Rady Dwustu Pięćdziesięciu i Tajnej Rady Dwudziestu Pięciu; mieli jednak pełne prawa wyborcze i przywileje, a Rousseau zawsze był świadom swego wyższego stanu. Był więc typowym konserwatystą z wyrachowania, a nie z duchowego przekonania, co sprawiało, że do końca życia pogardzał tłumem pozbawionym prawa głosu. Jego rodzina rozporządzała także znacznymi pieniędzmi.

Rousseau nie miał siostr, a jedynie starszego o siedem lat brata. Bardzo przypominał swą zmarłą matkę i był dlatego ulubieńcem owdowiałego ojca. Postępowanie Izaaka względem syna wahało się między ławym przywiązaniem a przerażającym okrucieństwem; tak więc faworyzowany Jan Jakub ubolewał nad sposobem, w jaki wychowywał go ojciec, żaląc się później w Emilu: „Ambicja, chciwość, tyrania i błędne przewidywania ojców, a także ich zaniedbania i brutalna oziębłość przynoszą stokrotnie większe szkody dzieciom niż bezmyślna czułość matek”.

Jednakże to głównie starszy brat Rousseau padł ofiarą ojcowskiego okrucieństwa. W roku 1718 ojciec umieścił go w zakładzie poprawczym jako zatwardziałego niegodziwca, w roku 1723 chłopiec uciekł z zakładu i przepadł na zawsze. Jan Jakub został więc jedynakiem (podobnie jak wielu innych nowożytnych przywódców-intelektualistów). I chociaż pobłażano chłopcu pod pewnymi względami, po czasach dzieciństwa pozowało mu silne poczucie sieroctwa oraz być może najbardziej wyróżniająca się cecha jego charakteru - skłonność do rozczulania się nad sobą<sup>7</sup>.



Śmierć zabrała mu wkrótce i ojca, i opiekunkę. Nie polubił zawodu rytownika. Tak więc w roku 1728 mając piętnaście lat uciekł, a następnie nawrócił się na katolicyzm, by uzyskać protekcję madame Francoise-Louise de Warens, mieszkającej w Annecy.

Szczegóły wczesnej kariery Rousseau, podane przez niego w Wyznaniach, nie mogą być uznane za wiarygodne. Natomiast jego listy, bogactwo niezmiernie pracowitości Rousseau, służą ustaleniu ważniejszych danych.

Madame de Warens żyła z pensji, jaką otrzymywała od króla Francji, i wydaje się, że była zarówno agentką władz francuskich, jak i Kościoła rzymskokatolickiego. Rousseau żył z nią, i na jej koszt, przez czternaście lat od roku 1728 do 1742. Przez jakiś czas był jej kochankiem; ale zdarzało się też, że wybierał się samotnie na wędrowkę.

Dobiegał już czterdziestki, a wciąż wiódł życie w poniżeniu i zależności, szczególnie od kobiet. Próbował co najmniej trzynastu zawodów: był grawerem, lokajem, studentem seminarium, urzędnikiem, rolnikiem, guwernerem, kasjerem, kopistą nut, pisarzem i prywatnym sekretarzem. W roku 1743 otrzymał świętą, jak się wydawało, posadę sekretarza u francuskiego ambasadora w Wenecji, hrabiego de Montaigu. Trwało to jedenaście miesięcy, a zakończyło się dymisją i ucieczką przed aresztowaniem przez senat Wenecji. Montaigu oświadczył - jego wersja jest brana pod uwagę, a nie wersja Rousseau - że przeznaczeniem jego sekretarza jest życie w nędzy, cechują go bowiem „złe skłonności” i „jawna bezczelność”, wytwory jego „obłędu” i „wielkiego mniemania o sobie”<sup>9</sup>.

Przez kilka lat Rousseau uważał się za urodzonego pisarza, potrafił bardzo zręcznie dobierać słowa. Osiągnął szczególną umiejętność pisania listów, bez zbytej troski o fakty; mógł więc być doskonałym prawnikiem. (Jedną z przyczyn, dla której Montaigu, wojskowy, zaczął niechętnie odnosić się do swego sekretarza, było zachowanie się Rousseau; otóż gdy ambasador dyktując mu pisma zmagał się z brakiem odpowiedniego słowa, ten zwykł był ostentacyjnie ziewać lub nawet spacerować do okna i z powrotem).

W roku 1745 Rousseau poznał młodą praczkę, Teresę Levasseur, o dziesięć lat od niego młodszą, która zgodziła się zostać jego stałą kochanką. Dało mu to pewną stabilizację w życiu tak pełnym zmian.

Spotkał się wtedy i zaprzyjaźnił z Denisem Diderotem, główną postacią oświecenia, a później naczelnym redaktorem Encyklopedii. Podobnie jak Rousseau, Diderot był synem rzemieślnika, prototypem samorodnego pisarza. Życzliwy ludziom, wytrwale opiekował się talentami. Rousseau bardzo wiele mu zawdzięczał. Dzięki niemu zetknął się z niemieckim krytykiem literackim i dyplomata, Friedrichem Melchiorem Grimmem, człowiekiem dobrze widzianym w towarzystwie. Grimm wprowadził go do słynnego radykalnego salonu barona d'Holbach, znanego jako le maitre d'hôtel de la philosophie.

Rozpocząła się właśnie epoka władzy francuskich intelektualistów, która miała zapanować na stałe w drugiej połowie stulecia. Wówczas jeszcze, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, ich pozycja jako krytyków stosunków społecznych była wciąż niepewna. Państwo, gdy tylko czuło się zagrożone, mogło ich wciąż potraktować nadspodziewanie surowo. Rousseau skarżył się później głośno na prześladowania, ale w rzeczywistości dotknęły go one mniej niż większość jego współczesnych.

Volter został publicznie wychłostany przez sługi pewnego arystokraty, którego obraził, i więziony był prawie rok w Bastylii. Ci, którzy sprzedawali książki zakazane, mogli dostać dziesięć lat galery. W lipcu 1749 Diderota aresztowano i wtrącono na trzy miesiące do osobnej celi w zamku Vincennes za opublikowanie książki broniącej ateizmu. Rousseau odwiedził go tam; w drodze do Vincennes ujrzał w gazecie ogłoszenie Akademii w Dijon, zapraszające do udziału w konkursie pod tytułem: „Czy odrodzenie nauk i sztuk przyczyniło się do naprawy obyczajów?”.

Ten epizod, który wydarzył się w roku 1750, był zwrotnym punktem w życiu Rousseau. W błysku natchnienia ujrzał, co powinien czynić. Inni uczestnicy konkursu bronili oczywiście

sprawy sztuk i nauk, on dowodził wyższości natury. Nagle, jak mówi w Wyznaniach, poczuł wszechogarniający go entuzjazm „prawdy, wolności i cnoty”. Powiedział więc sobie: „Cnota, prawda! Będę krzyczał coraz głośniej: Prawda! Cnota!”. Dodawał, że jego kamizelka „nasiąkała łzami, które bezwiednie ronił”.

Mówiąc o łzach nie kłamał: łzy napływały mu do oczu na zawołanie. Wiadomo z pewnością, że Rousseau zdecydował się wówczas napisać rozprawę opartą na zasadach, które stały się istotą jego wiary, że zdobył nagrodę dzięki paradoksalnej tezie i stał się sławny prawie z dnia na dzień. Był mężczyzną trzydziestodwuletnim, któremu się dotąd nie wiodło, człowiekiem zgorzkniałym, marzącym o rozgłosie i sławie, który trafił w końcu we właściwą strunę.

Rozprawa jest kiepska i dziś prawie nie do czytania. Jak to zwykle bywa, gdy oceniamy literackie wydarzenie z perspektywy czasu, wydaje się niepojęte, że to marne dzieło mogło wywołać taki wybuch pochwał. Co prawda, słynny krytyk Jules Lemaitre określił tę nieoczekiwaną apoteozę Rousseau jako „jeden z najlepszych dowodów ludzkiej głupoty”<sup>10</sup>.

Publikacja Rozprawy o naukach i sztukach nie uczyniła Rousseau bogatym, bo chociaż była w szerokim obiegu i wywołała prawie trzysta drukowanych odpowiedzi, liczba egzemplarzy wówczas sprzedanych była niewielka; to księgarze robili pieniądze na takich dziełach<sup>11</sup>. Z drugiej strony rozprawa ta dała Rousseau wstęp do wielu arystokratycznych domów i salonów, otwartych dla modnych intelektualistów. Rousseau mógł, i czasem to czynił, zarabiać kopiowaniem nut (miał piękny charakter pisma), ale po roku 1750 żył dzięki gościnności arystokracji, chyba że - jak to się często zdarzało - zdecydował się urządzić dziką kłótnię z tymi, którzy gościny mu udzielili.

Stał się zawodowym pisarzem. Miał zawsze sporo pomysłów i kiedy zasiadał do pisania, pisał łatwo i dobrze. Wpływ jego książek, w każdym bądź razie za jego życia i w wiele lat później, był bardzo różny<sup>12</sup>. Umowa społeczna, ogólnie uważana za dowód dojrzałości jego filozofii politycznej, którą zaczął pisać w roku 1752, a ostatecznie opublikował dziesięć lat później, była rzadko czytana za jego życia i tylko raz wznowiona drukiem w 1791 roku. Badania pięciuset współczesnych jemu bibliotek wykazały, że tylko w jednej był egzemplarz Umowy. Joan Macdonald przejrzała 1114 politycznych broszur, opublikowanych w latach 1789-1791, i tylko w dwunastu znalazła wzmianki o Umowie społecznej. Zauważyła też: „Trzeba odróżniać kult, jakim darzono Rousseau, od wpływu jego myśli politycznej”. Ów kult, wywołany rozprawą konkursową i stale rosnący, ogniskował się wokół dwóch książek. Pierwszą była Nowa Heloiza, z podtytułem Listy dwojga kochanków, wzorowana na Clarissie Richardsona. Historię poszukiwania, uwiedzenia, skruchy i ukarania młodej kobiety opisał Rousseau nader zręcznie, odwołując się do lubieżnych zainteresowań czytelników, zwłaszcza kobiet z pączkującej warstwy średniej, i do ich poczucia moralności. Materia książki podana jest zbyt otwarcie jak na owe czasy, ale ostateczne przesłanie wydaje się bardzo właściwe.

Arcybiskup Paryża oskarżył Nową Heloizę o to, że „wnosi truciznę pożądania, choć niby go zakazuje”, co tylko przysłużyło się zwiększeniu sprzedaży książki, podobnie jak sprytnie zredagowany własny wstęp Rousseau, w którym zapewniał, że jeśli jakaś panna przeczyta choćby stronicę, skazuje swą duszę na potępienie. Dodawał wszak, że „cnotliwe dziewczęta nie czytają miłosnych historii”.

W rzeczywistości Nową Heloizę czytały zarówno niewinne panny, jak i godne szacunku matrony, na swą obronę cytując jej wysoce moralne wnioski. Krótko mówiąc, był to prawdziwy bestseller, choć wiele egzemplarzy pochodziło z wydawnictw pirackich.

Znaczenie Rousseau wzrosło w roku 1762 po opublikowaniu Emila, w którym autor wysunął tysiące idei o naturze i stosunku do niej człowieka, co miało stać się hasłem przewodnim romantyzmu, ale wówczas było jedynie wątłą iskrą. Książka ta była zbyt doskonale skonstruowana, by zdobyć dużą liczbę czytelników.

Pod jednym względem Rousseau przechytrzył samego siebie. Przyciągając coraz bardziej jako prorok prawdy i cnoty, wskazywał granice rozumu i przyznawał, że religia ma swoje miejsce w sercu ludzi. Zawarł więc w Emilu (w księdze czwartej) rozdział: Wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego, w którym oskarżył kolegów-intelektualistów oświecenia, zwłaszcza ateistów i deistów, o to, że „są zbyt dumni, zanadto pewni siebie i dogmatyczni nawet w swoim rzekomym sceptycyzmie”. „Rzekomo wiedząc wszystko”, nie dbają o szkody, jakie przynoszą przyzwoitym ludziom, podkopując ich wiarę: „Zresztą wywracając, burząc, deprecjując nogami wszystko, co czczą ludzie, pozbawiają oni biedaków ostatniego pocieszenia w ich nędzy, a możnych i bogatych jedynego wędzidła ich namiętności”.

Było to coś bardzo efektownego i dla równowagi Rousseau uznał za konieczne skrytykować także Kościół, zwłaszcza kult cudów i zachętę do zabobonów. Okazało się to wysoce nieroztropne, tym bardziej że Rousseau chcąc zniechęcić wydawców-piratów podjął ryzyko podpisania swego dzieła. Był już podejrzany w oczach francuskich duchownych jako dwukrotny zaprzaniec: nawrócony na katolicyzm, powrócił ponownie do kalwinizmu, by odzyskać obywatelstwo Genewy. A teraz parlament Paryża, zdominowany przez jansenistów, wyraził silny sprzeciw wobec antykatolickich uczuć zawartych w Emilu, spalił książkę przed Pałacem Sprawiedliwości i wydał nakaz aresztowania Rousseau.

Uratowało go ostrzeżenie przysłane na czas przez wpływowych przyjaciół. Na kilka lat stał się uchodźcą. Kalwini także byli przeciwni Emilowi, nawet na ziemiach niepoddanych władzy katolickiej musiał wędrować z miasta do miasta. Nie opuszczali go jednak możni protektorzy, zarówno w Wielkiej Brytanii, gdzie spędził piętnaście miesięcy w latach 1766-1767, jak i później we Francji, gdzie mieszkał ponownie po roku 1767.

W ostatniej dekadzie jego życia państwo przestało się nim interesować, a jego głównymi wrogami stali się koledzy-intelektualiści, szczególnie Wolter. Niejako z myślą o nich Rousseau napisał Wyznania, które ukończył w Paryżu, gdzie się ostatecznie osiedlił w roku 1770. Nie ośmielił się opublikować tego dzieła, ale było ono szeroko znane, czytał bowiem jego fragmenty w modnych salonach. Umarł w roku 1778, w przeddzień nowego przyływu sławy, która sięgnęła wyżyn, gdy rewolucjoniści wzięli górę.

Rousseau cieszył się znacznym powodzeniem jeszcze za życia. Zdaniem bezstronnego widza nie miał na co narzekać. Tymczasem był jednym największych malkontentów w historii literatury. Utrzymywał, że całe jego życie to pasmo nędzy i prześladowań. Skargi swoje powtarzał tak często i w słowach tak pełnych udręki, że niemal nietaktem byłoby im nie wierzyć. Na jednym punkcie Rousseau był niebywale czuły, na punkcie chronicznie złego stanu swego zdrowia. Uważał się za „biednego nieszczęśnika zniszczonego chorobą... walczącego o każdy dzień... życia, wciąż na granicy między cierpieniem a śmiercią”. Nie mógł „spać przez trzydzieści lat”. „Natura - dodawał - stworzyła mnie dla cierpienia, dała mi budowę odporną na ból, który nie mógł powalić mych sił, ale mógł dać mi się we znaki z tą samą intensywnością”<sup>14</sup>.

To prawda, zawsze miał kłopoty z układem moczowym, a ściślej z moczowodem. W liście do przyjaciela, doktora Tronchina, z roku 1755, pisze o „zniękształceniu narządu”, z którym się urodził. Jego biograf, Lester Crocker, po starannych badaniach pisze: „Jestem przekonany, że Jan Jakub miał wrodzoną hypospadię, to jest deformację członka, powodującą wydostawanie się moczowodu na podbrzusze”<sup>15</sup>.

W dorosłym życiu objawiało się to jako zwężenie moczowodu, zmuszające do bolesnego posługiwania się cewnikiem, co pogarszało samopoczucie Rousseau pod względem psychicznym i fizycznym. Odczuwał stale potrzebę oddawania moczu, co przysparzało mu wiele trudności: „Wciąż wzdrygam się na samą myśl, gdy w otoczeniu kobiet musiałem czekać końca jakiejś interesującej rozmowy... W końcu znajduję dobrze oświetlone schody, gdzie jakieś kobiety jeszcze mnie zatrzymują, dziedziniec pełen wciąż przejeżdżających pojazdów gotowych mnie zmiążdżyć, służące gapiące się na mnie, lokajów podpierających

ściany i śmiejących się ze mnie. Nie ma ani jednej ściany, ani jednego małego marnego kąta, sposobnego do tego, co chcę zrobić. Mogę tylko sikać na oczach wszystkich, na jakąś szlachecką nogę w białych pończochach"16. Ten pełen żalu nad samym sobą fragment oraz wiele innych źródeł świadczy mimo wszystko, że zdrowie Rousseau nie było tak złe, jak je nam przedstawiał. Czasem, gdy mu to odpowiada, wskazuje na swoje dobre zdrowie. Bezsenność nie zawsze go dręczyła, bo różni ludzie potwierdzają, że chrapał. David Hume, który podróżował z nim razem do Anglii, pisał: „Jest to jeden z najbardziej krzepkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałem. Spędził dziesięć godzin w nocy na pokładzie podczas najgorszej pogody, wszyscy marynarze prawie zamarzli na śmierć, a on nie poniósł żadnego uszczerbku"17.

Bezustanna troska o kondycję fizyczną, usprawiedliwiona czy też nie, sprawiała, że wiecznie się nad sobą użalał i tym żalem karmił zarówno siebie, jak i otoczenie. Już we wczesnym wieku miał zwyczaj opowiadać swoją „historię”, by wywołać sympatię, zwłaszcza u dobrze urodzonych kobiet. Nazywał siebie „najbardziej nieszczęśliwym ze śmiertelnych”, mówił o „ponurym losie”, idącym za nim krok w krok, i utrzymywał, że „niewielu ludzi wylało tak wiele łez”. Twierdził też: „Mojego losu nikt nie ośmieliłby się opisać i nikt by weń nie uwierzył”. W rzeczywistości pisał o nim często i wielu mu wierzyło, dopóki nie zorientowali się, jaki ma charakter. Ale nawet wówczas pozostało im trochę sympatii dla Rousseau. Pani d'Epina, jego protektorka, którą traktował zresztą okropnie, nawet wtedy gdy już przejrzała, zauważyła: „Wciąż jestem poruszona prostotą i oryginalnym sposobem, w jaki opowiada o swych nieszczęściach”. W wojsku o takim jak on mówią: stary wyga, wytrawny oszust. Nie jest niespodzianką, że jako młody człowiek pisywał błagalne listy, z których jeden się zachował. Rousseau napisał go do gubernatora Sabaudii z prośbą o zasiłek - cierpi bowiem na okropnie szpetną chorobę i wkrótce umrze18.

Za użalaniem się nad sobą krył się przytłaczający wszystko egoizm, uczucie, w którym nie przypominał nikogo, zarówno w cierpieniu, jak i pod względem charakteru. Pisał: „Co mogłyby mieć wspólnego wasze nieszczęścia z moim? Moja sytuacja jest jedyna, o takiej nikt nie słyszał od początku świata...”. Podobnie dalej: „Ten, kto mógłby mnie kochać tak, jak ja kocham, jeszcze się nie narodził”. „Nikt nie potrafi kochać bardziej niż ja.” „Urodziłem się po to, by być najlepszym przyjacielem, jaki kiedykolwiek istniał.” „Rozstałbym się z tym życiem z lękiem, jeślibym znał kogoś lepszego niż ja.” „Pokażcie mi człowieka lepszego ode mnie, serce bardziej kochające, czulsze i wrażliwsze...” „Potomność mnie uczi ... bo mi się to należy.” „Raduję się wewnątrznie...” „...znajduję ukojenie w poczuciu własnej godności.” „...jeśliby był w Europie choć jeden rząd oświecony, wzniosłby na moją cześć pomniki.”19

Nic dziwnego, że Burke napisał: „Próżność była wadą, którą miał w stopniu bliskim obłądu”. W swej próżności Rousseau wierzył, że nie jest zdolny do niskich uczuć. „Czuję się wyższy od nienawiści.” „Za bardzo kocham siebie, by kogoś nienawidzić.” „Nigdy nie znałem uczucia nienawiści, nigdy nie żywiłem w sercu zazdrości, nikczemności... czasem złość, ale nie jestem przebiegły ani nie noszę w sobie urazy.” W rzeczywistości często żywił urazę i przebiegle dochodził swych racji. Ludzie to odnotowali.

Rousseau był pierwszym intelektualistą, który wielokrotnie głosił się przyjacielem całej ludzkości. Ale kochając ludzkość w ogólności, Rousseau wykształcił w sobie skłonność do klótni z poszczególnymi jej przedstawicielami. Jedna z jego ofiar, dawny przyjaciel, doktor Tronchin z Genewy, protestował: „Jak to możliwe, że przyjaciel ludzkości nie jest ani trochę przyjacielem ludzi?”. Rousseau w odpowiedzi bronił swego prawa do udzielania nagany tym, którzy na nią zasłużyli: „Jestem przyjacielem ludzkości a ludzie są wszędzie. Przyjaciel prawdy natrafia wszędzie na wrogich mu ludzi i nie potrzebuje ich specjalnie szukać”20.

Będąc egoistą, Rousseau skłaniał się do traktowania jednakowo wrogości wobec niego z wrogością do prawdy i cnoty jako takich. Stąd jego wrogom zdarzyć się winno wszystko, co najgorsze, samo ich istnienie sprawiło, że nabierała sensu doktryna o wiecznym potępieniu:

„Nie jestem okrutny z natury - powiedział pani d'Epina y - ale gdy widzę, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie dla potworów, lubię sobie pomyśleć o tym, że istnieje piekło, które na nich czeka”<sup>21</sup>.

Jeśli Rousseau był próżnym i kłótlwym egoistą, jak to się działo, że tak wielu ludzi było gotowych z nim się zaprzyjaźnić? Odpowiedz na to pytanie zahacza o istotę jego charakteru i znaczenie w historii. Częściowo z przypadku, częściowo instynktownie i wreszcie z wyrachowania Rousseau był pierwszym intelektualistą systematycznie wykorzystującym uwinę uprzywilejowanych. A czynił to ponadto w zupełnie nowy sposób, okazując kult grubiaństwu. Był prototypem charakterystycznej dla ery nowożytności postaci młodego gniewnego. Z natury nie był antyspołeczny, od najmłodszych lat pragnął błyszczeć w społeczeństwie. Czuły był szczególnie na uśmiechy kobiet z towarzystwa. „Szwaczki - pisał - pokojówki, sprzedawczynie mnie nie kuszą. Potrzebuję młodych dam.” Był jawnie niepoprawnym prowincjuszem, pod wieloma względami gburem i prostakiem. W latach czterdziestych pierwsze próby wejścia do towarzystwa, zgodnie z jego regułami, przyniosły Rousseau całkowite niepowodzenie, a jego pierwsze konkury o łaski zamężnej kobiety z towarzystwa były poniżającą klęską<sup>22</sup>.

Gdy sukces rozprawy odkrył przed nim ogromne możliwości posługiwania się kartą Natury, Rousseau zmienił taktykę. Zamiast próbować ukryć swoją gburowatość, on ją podkreślał, czyniąc z niej cnotę.

I udało się. Było zresztą już zwyczajem wśród bardziej wykształconej szlachty francuskiej, czującej się coraz mniej wygodnie w starym systemie przywilejów, by traktować pisarzy jak talizmany odwracające zło. Współczesny krytyk i pisarz, Charles Pinot Duclos, pisał: „Wśród wielmożów, nawet tych, którzy nie lubią intelektualistów, przyjęło się tak czynić, bo tak jest modnie”<sup>23</sup>. Większość pisarzy, znajdujących się pod taką opieką, próbowała naśladować swoich opiekunów. Rousseau postępował na odwrót i stał się o wiele bardziej interesującym, upragnionym gościem salonów: błyskotliwym, wysoce inteligentnym stworzeniem natury lub Niedźwiedziem, jak lubili go nazywać. Rousseau rozmyślnie podkreślał wagę uczucia miast konwenansu, raczej odruch serca niż zwyczaj. „Moje uczucia - jak mówił - są takie, że nie mogę ich tajić. Uwalniają mnie z więzów grzeczności.”

Przyznawał: jestem „z zasady nieokrzesany, niemły, prymitywny. Nie dbam o marny grosz, jakim obdarzacie pochlebców. Jestem barbarzyńcą”. Przy innej okazji: „To, co żywię w moim sercu, zwalnia mnie od przestrzegania dobrych obyczajów”.

Taka postawa dobrze pasowała do jego prozy, która była o wiele prostsza od wygładzonych zdań większości współczesnych mu pisarzy. Bezpośredniość Rousseau odpowiadała wspaniale jego otwartemu traktowaniu seksu (Nowa Heloiza była jedną z pierwszych powieści wspominających o takich drobiazgach, jak damskie gorsety). Rousseau uwydatnił swoje ostentacyjne odrzucenie norm towarzyskich, nosząc wystudiowane proste i luźne stroje, które po czasie stały się znakiem rozpoznawczym wszystkich młodych romantyków. Pisał później: „Zacząłem przeobrażenie od stroju: porzuciłem złote wyszycia i białe pończochy, wdziałem gładką perukę, odparałem szpadę; sprzedałem zegarek”. Był pierwszym intelektualistą, który nosił zarost.

Z upływem czasu rozwinął wiele sposobów zwracania na siebie publicznej uwagi swym ubiorem. W Neufchatel został sportretowany przez Allana Ramsaya w stroju ormiańskim, w czymś w rodzaju kaftana. Chodził w tym nawet do kościoła. Miejscowi najpierw oponowali, później przyzwyczaili się i kaftan stał się znakiem rozpoznawczym Rousseau. Miał go na sobie podczas głośnej wizyty w Anglii w teatrze Drury Lane i tak bardzo starał się odpowiedzieć na oklaski tłumu, że pani Garrick musiała schwycić pisarza za kaftan, by nie wypadł z łoża<sup>24</sup>.

Świadomie czy też nie, był mistrzem autoreklamy: dziwactwa, nieokrzesanie towarzyskie, krańcowość sądów, nawet jego spory przyciągały dużą uwagę i były bez wątpienia częścią

jego uroku dla tych, którzy mu patronowali, czytali go i czcili. Znaczącym faktem było, jak ujrzymy później, że pozycja w społeczeństwie, nie tylko dziwactwa stroju i zachowania, miała stać się poważnym czynnikiem sukcesu wielu intelektualnych przywódców. Rousseau przewodził zarówno pod tym, jak i wieloma innymi względami. Któż może powiedzieć, że nie miał racji? Większość ludzi jest oporna na działanie idei, zwłaszcza nowych. Oczarowuje ich jednak charakter. Ekstrawagancka osobowość to jeden ze sposobów, który może osłodzić pigułkę i skłonić publiczność do wejścia w dzieła traktujące o tych ideach.

Rousseau, który był niepoślednim psychologiem, uczynił cnotą niewdzięczność - najbardziej odpychającą z wad - co zresztą należało do techniki zdobywania rozgłosu, uwagi i łask. Dla niego nie była ona wadą. Głosząc spontaniczność, był w rzeczywistości człowiekiem wyrachowanym, a skoro przekonał sam siebie, że jest - całkiem dosłownie - najlepszą z moralnych istot ludzkich, to skutkiem logicznym tej tezy było, że inni byli jeszcze bardziej wyrachowani i kierowali się jeszcze gorszymi motywami. Dlatego przy każdej okazji starali się go wykorzystać i on musiał ich przechytrzyć.

Tak więc podstawa jego stosunków z innymi ludźmi była prosta: oni dawali, on brał. Tezę tę podparł zuchwałym argumentem: skoro jest człowiekiem wyjątkowym, to ktokolwiek mu pomaga, właściwie sobie samemu oddaje przysługę.

Rousseau zastosował ten schemat w odpowiedzi na list Akademii w Dijon, przyznającej mu nagrodę. Rozprawa jego, jak pisał, podjęła niepopularną prawdę: „a czyniąc waszą wspaniałomyślnością zaszczyt mojej odwadze, uczciliście bardziej siebie. Tak panowie, to, co uczyniliście dla mojej chwały jest koroną z wawrzynu, wieńczącą waszą chwałę”.

Posługiwał się tą samą techniką, gdy sława przyniosła mu oferty gościnności; stało się to jego drugą naturą. Przede wszystkim twierdził, że takie dobrodziejstwo nie wykracza poza to, co mu się słusznie należy. „Jako chory mam prawo do pobłażliwości, którą ludzkość obdarza cierpiących”. Lub też: „Jestem biedny i ... zasługuję na specjalną łaskę”.

Twierdzi też następnie, że przyjęcie pomocy, co robi tylko pod presją, bardzo go przygnębia: „Gdy ulegam ciągłym, powtarzającym się błaganiom o przyjęcie propozycji, czynię to raczej dla pokoju i spokoju niż dla własnej korzyści. Jakkolwiek sporo mogłoby kosztować to ofiarodawcę, jest on właściwie moim dłużnikiem, bo mnie kosztuje to więcej”.

W ten sposób stał się uprawniony do stawiania warunków przyjęcia, powiedzmy, cottage orne lub małego zameczku w formie pożyczki. Nie zobowiązywało to do spełniania obowiązków wobec społeczeństwa, bo: „moją definicją szczęścia jest ... nigdy nie musieć czynić tego, czego nie pragnę”. Do swojego gospodarza pisze więc: „Muszę nalegać, by mnie pan pozostawił w pełni wolnym”. „Jeśli przyczyni mi pan najmniejszego kłopotu, nie ujrzy mnie pan już nigdy.” Jego listy dziękczynne (jeśli jest to właściwe dla nich słowo) były zapewne przykrymi dokumentami: „Dziękuję pani za gościnę, jaką mi ofiarowałaś; dziękowałbym jeszcze bardziej, gdybym mniej drogo ją opłacił”<sup>25</sup>.

Jak wskazał jeden z biografów Rousseau, pisarz zastawiał zawsze małe zasadzki na ludzi. Podkreślał swoje trudności i ubóstwo, a gdy oni proponowali pomoc, udawał bolesne zaskoczenie, a nawet oburzenie. Na przykład: „Pańska propozycja zmroziła mi serce. Jakże pan nie pojmuje własnego interesu, jeśli pan usiłuje uczynić służącym przyjaciela”. I dodaje: „Chętnie wysłucham tego, co ma mi pan do zaproponowania, pod warunkiem jednak, że zdaje pan sobie sprawę, iż nie jestem na sprzedaż”. Ewentualny gospodarz, zbity z tropu, był później skłaniany do przestylizowania swego zaproszenia na warunkach Rousseau.

Jedną z umiejętności psychologicznych Rousseau była zdolność przekonywania ludzi, głównie wyżej postawionych społecznie, że zwykle słowa wdzięczności nie mieszczą się w jego słowniku. Pisał więc do księcia Montmorency de Luxembourg, który użyczył mu *chateau*: „Nie pochwalam pana ani też panu nie dziękuję. Ale mieszkam w pańskim domu. Każdy ma swój własny język, ja powiedziałem wszystko w moim języku”. Zabieg udał się

doskonale, księżna odpowiadała skruszona: „To nie pan ma nam dziękować, to marszałek i ja jesteśmy pana dłużnikami”.

Rousseau nie był gotów do prowadzenia zgodnego życia, tak jak Harold Skimpole. Miał osobowość zbyt skomplikowaną i zajmującą. Obok domieszki zimnego, praktycznego wyrachowania można w niej dostrzec autentyczny pierwiastek paranoi, który nie pozwalał mu prowadzić łatwego życia egocentrycznego pasożyta. Klócił się zażarcie i zazwyczaj nieustannie właściwie z każdym, z kim miał bliskie kontakty, zwłaszcza z tymi, którzy okazali mu przyjaźń. Nie można śledzić przykrej i powtarzającej się opowieści o tych kłótniach, nie dochodząc do wniosku, że był człowiekiem chorym umysłowo. Choroba współistniała z wielkim i prawdziwym geniuszem umysłu, ale połączenie to było niebezpieczne zarówno dla Rousseau, jak i dla otoczenia.

Przekonanie o swej całkowitej prawości było oczywiście pierwszym objawem jego choroby i jeśliby Rousseau nie miał talentu, mógłby się wyleczyć sam lub pozostałoby to jego małą osobistą tragedią. Ale jego cudowne talenty pisarza przyniosły mu akceptację, sławę, nawet popularność. Potwierdzało to jego przekonanie, że zawsze ma rację i że nie jest to jedynie jego własny osąd, ale opinia świata - oczywiście wyjąwszy wrogów.

Ci wrogowie to jego dawni przyjaciele lub dobroczyńcy, którzy - jak to Rousseau dowodził po zerwaniu z nimi - próbowali pod przykrywką przyjaźni wykorzystać go i zniszczyć. Bezinteresowna przyjaźń była mu obca, a ponieważ był lepszy od innych ludzi i niezdolny do takich uczuć jak pragnienia, to *a fortiori* nie mogła być ona odczuwana przez innych. Dlatego od samego początku uważnie analizował postęпки wszystkich swoich „przyjaciół”, a w chwili, gdy uczynili błędny ruch, on już siedział im na karku.

Kłócił się z Diderotem, któremu zawdzięczał najwięcej ze wszystkich. Spierał się z Grimmem. Szczególnie grubiańsko i boleśnie poróżnił się z panią d'Epina, swą najserdeczniejszą dobrodziejką. Popadł w konflikt z Wolterem, co nie było tak bardzo trudne.

Sprzeczał się z Davidem Hume'em, który traktował go jako męczennika literatury, sprowadził do Anglii, sprawił mu powitanie i czynił wszystko, by ta wizyta stała się sukcesem, a Rousseau czuł się szczęśliwy. Tuzin drobnych konfliktów wynikł z genewskim przyjacielem, doktorem Tronchinem.

Rousseau pieczętował każdy ze swoich wielkich konfliktów gigantycznym listem protestacyjnym. Dokumenty te należą do jego najbardziej błyskotliwych dzieł, cudów umiejętności krasomówczych, w których dowody są sprytnie fabrykowane, historia przerobiona na nowo, a chronologia poplątana ze zdumiewającą naiwnością, tak by udowodnić, że adresat jest potworem. List do Hume'a z 10 lipca 1766 roku (liczy osiemnaście stron dwadzieścia pięć stron drukiem) i został opisany przez biografę Hume'a jako „zgodny z całkowitą logiczną konsekwencją demencji. Jest też jednym i najznakomitszych i fascynujących dokumentów wytworzonych kiedykolwiek przez rozchwiany umysł”<sup>28</sup>.

Rousseau stopniowo doszedł do przekonania, że pojedyncze akty wrogości ze strony mężczyzn i kobiet utrzymujących, że go kochają, nie są odosobnione, ale stanowią część wspólnego planu. Ci wszyscy ludzie to agenci połączeni rozgałęzionym, dalekosiężnym spiskiem, zmierzającym do niepokojenia, a nawet zniszczenia go i zadania szkód jego dziełom.

Patrząc wstecz Rousseau stwierdził, że spisek zaczął się już w dniach, gdy w wieku szesnastu lat został lokajem u hrabiny de Vercellis: „Pierwszy raz wówczas zetknąłem się z ową złośliwą grą ukrytych interesów, która miała mnie prześladować całe życie i która wzbudziła we mnie bardzo naturalną odrazę do rzekomego porządku, będącego ich źródłem”.

Prawdę mówiąc, Rousseau był raczej dobrze traktowany przez władze francuskie, jeśli porówna się jego los z losem innych pisarzy. Tylko raz próbowano go aresztować, ale główny cenzor, Malesherbes, zwykle starał się bardzo wspomóc publikację jego dzieł. Jednak uczucie, że jest ofiarą międzynarodowego spisku, rosło, zwłaszcza podczas jego wizyty w

Anglii. Nabral przekonania, że Hume przewodzi spiskowi, wspomagany przez kilka tuzinów pomocników. Pewnego dnia napisał do lorda kanclerza minister sprawiedliwości), lorda Camdena, wyjaśniając, że życie jego jest w niebezpieczeństwie, i żądając zbrojnej eskorty, by mógł opuścić kraj. Lord był jednak przyzwyczajony do otrzymywania tego rodzaju listów i nie podjął żadnych kroków. Zachowanie się Rousseau w Dover, tuż przed ostatecznym wyjazdem, było historyczne: biegał po pokładzie, zamknął się w kabinie, wdrapał się na słupek i wykrzyczał fantastyczne oskarżenie, że Teresa Levasseur należy też do spisku i próbuje siłą zatrzymać go w Anglii.

Powróciwszy na kontynent, począł przypinać do swych drzwi frontowych plakaty z listą skarg na różne warstwy społeczne, zwrócone przeciw niemu: księży, modnych intelektualistów, prostych ludzi, kobiety, Szwajcarów. Powziął przekonanie, że ksiądz de Choiseul, francuski minister spraw zagranicznych, osobiście objął kierownictwo nad międzynarodowym spiskiem i spędza większość czasu na organizowaniu olbrzymiej siatki ludzi, których zadaniem jest doprowadzić życie Rousseau do zguby. Wydarzenia publiczne, jak na przykład zajęcie przez Francuzów Korsyki, dla której napisał konstytucję, były umiejętnie wplecione w jego sągę.

Zastanawia, że to właśnie na prośbę Choiseula Rousseau opracował dla polskich konfederatów podobną konstytucję dla niepodległej Polski, a gdy Choiseul utracił władzę w roku 1770, Rousseau zaniepokoił się: nowe złowieszcze posunięcie!

Rousseau mówił, że nigdy nie mógł odkryć autentycznego przewinienia (innego niż jego utożsamianie się z prawdą i sprawiedliwością), za które „oni” byli zdecydowani go ukarać. Nie było tylko wątpliwości co do szczegółów spisku - był „ogromny, niepojęty”. „Chcą wznieść dookoła mnie zamknięty gmach ciemności. Chcą pogrzebać mnie żywcem w trumnie... Jeśli podróżuję, wszystko jest tak wcześniej urządzone, by mnie kontrolować, dokądkolwiek się udaję. Będzie dane hasło pasażerom, woźnicom, oberżystom... Wstrętne wieści na mój temat będą mnie poprzedzać, tak że dokądkolwiek pójdę i na cokolwiek spojrzę, za każdym krokiem, za każdym spojrzeniem moje serce będzie rozdarte na strzępy.”

Ostatnie dzieła Rousseau: *Dialogues avec moi-meme* (rozpoczęte w roku 1772) i *Reveries du promeneur solitaire* (1776) ujawniają tę manię prześladowczą. Gdy skończył pisać *Dialogues*, był przekonany, że „oni” zamierzają je zniszczyć, i 24 lutego 1776 roku udał się do katedry Notre-Dame z zamiarem domagania się azylu dla swego rękopisu i umieszczenia go w głównym ołtarzu. Drzwi do prezbiterium były jednak tajemniczo zamknięte. Nieszczęsny! Wykonał więc sześć kopii i złożył je przesądnie w różnych rękach: jedna trafiła do panny Brooke Boothby z Lichfield, sawantki i przyjaciółki doktora Johnsona, która pierwsza opublikowała to dzieło w roku 1780. Wtedy oczywiście Rousseau już nie żył, do końca życia przekonany, że ścigają go tysiące agentów<sup>30</sup>.

Udręka umysłu, spowodowana przez tę formę obłędu, jest rzeczywista dla chorego i należy od czasu do czasu odczuwać litość dla Rousseau. Ale w ten sposób nie można skwitować jego osoby. Był on bowiem jednym z najbardziej wpływowych pisarzy, jacy kiedykolwiek żyli. Przedstawiał siebie jako przyjaciela ludzkości, a w szczególności jako szermierza zasad prawdy i cnoty. Jako taki był i oczywiście jest nadal szeroko akceptowany. Trzeba przeto spojrzeć bliżej na niego jako rzecznika prawdy i obrońcę cnoty.

Kogo odkrywamy? Kwestia prawdy jest szczególnie znacząca, Rousseau bowiem stał się po śmierci najlepiej znany dzięki swym Wyznaniom. Była to własnoręczna próba ukazania całej wewnętrznej prawdy o życiu człowieka w sposób, którym się przedtem nie posługiwano. Książka ta była przykładem nowego gatunku skrajnie prawdziwej autobiografii, tak jak opublikowana dziesięć lat później, w roku 1791, opowieść o życiu doktora Johnsona pióra Jamesa Boswella była przykładem nowego gatunku skrajnie dokładnej biografii.



Rousseau bezwzględnie wyrokował o prawdomówności swej książki. Zimą 1770-1771 urządził jej lektury w przepelnionych salonach, ciągnące się piętnaście, nawet siedemnaście godzin, z przerwami jedynie na posiłki. Atakował swe ofiary w sposób trudny do zniesienia, tak że jedna z nich, pani d'Epina, zwróciła się do władz o przerwaniu tych czytań. Rousseau zgodził się na to, ale podczas ostatniego spotkania stwierdził: „Powiedziałem prawdę. Jeśli ktoś zna fakty sprzeczne z tym, o czym właśnie mówiłem, i jeśliby zostały one udowodnione po tysiąc razy, to są to wszystko kłamstwa i oszustwa... [ktokolwiek] bada własnymi oczami moją naturę, charakter, moralność, skłonności, przyjemności, zwyczaje i może uwierzyć, że jestem nieuczciwym człowiekiem, to sam zasługuje na to, by go udusić” Po tych słowach zaległa przytłaczająca cisza.

Rousseau, chcąc dodać wiarygodności tytułowi książki, głosił, że ma doskonałą pamięć. Co ważniejsze, przekonał czytelników o swej szczeroci odkrywając jako pierwszy szczegóły swego życia intymnego, nie chępiąc się swą męskością, ale przeciwnie, okazując wstyd i skrępowanie.

Jak słusznie pisze, odnosząc się do „ciemnego i plugawego labiryntu” swych doświadczeń seksualnych: „Nie jest najtrudniejsze do opowiedzenia to, co jest zbrodnicze, ale to, co sprawia, że czujemy się śmieszni i zawstydzeni”. Ale do jakiego stopnia to skrępowanie było szczerze?

W Turynie jako młody człowiek walał się po zapadłych dziedzińcach i pokazywał kobietom gołe pośladki: „Trudno opisać głupią przyjemność, jakiej doznawałem wystawiając się tak ich oczom”. Rousseau był exhibicjonistą z natury, tak pod względem seksualnym, jak i pod innymi, z upodobaniem więc opowiada o swym życiu seksualnym. Opisuje swój masochizm, jak lubił dostawać po gołej pupie od surowej siostry pastora, panny Lambercier, z rozmysłem będąc niegrzecznym, by sprowokować karę, i jak zachęcał starszą od siebie dziewczynę, pannę Goton, by dała mu klapsa: „Przebywać u kolan despotycznej kochanki, ulegać jej rozkazom, żebrać przebaczenia - było dla mnie najśłodsza rozkoszą...”<sup>31</sup>. Opowiada, że jako chłopiec oddawał się masturbacji, i twierdzi przy tym, iż chroni ona młodzieńca przed chorobą weneryczną. Pisze ponadto: „Ten nałóg, tak poręczny dla wstydliwych i nieśmiałych natur, ma prócz tego wielki urok dla człowieka z żywą wyobraźnią: daje możność rozporządzania niejako całą płcią niewieścią i wciągania w swoje uciechy piękności, która nas kusi, bez potrzeby starania się o jej zgodę”<sup>32</sup>.

Opowiada także o próbie uwiedzenia go przez homoseksualistę w konwikcie w Turynie<sup>33</sup>. Przyznaje, że dzielił względy pani de Warens z jej ogrodnikiem. Opisał, jak nie mógł kochać się z dziewczyną, u której zauważył, że jedna z jej piersi pozbawiona jest brodawki, zanotował gniewną odprawę, jakiej doznał: „Zostaw kobiety, a weź się do matematyki!”. Przyznaje, że w późniejszych latach swego życia wznowił masturbację jako wygodniejszą od czynnego życia seksualnego. Sprawiał wrażenie, po części zamierzone, po części nieświadome, że jego postawa wobec seksu była w zasadzie infantylna: jego kochanka, pani de Warens, jest dla niego zawsze „mamusią”.

Te żenujące wynurzenia stworzyły zaufanie do prawdomówności autora, które wzmocnił opowieścią o innych niegodziwych, ale nie seksualnych epizodach, jak kradzieże, kłamstwa, tchórzostwo i dezercja. W tym wszystkim tkwił jednak element przebiegłości. Samooskarżenia Rousseau czynią o wiele bardziej przekonującymi zarzuty wobec jego wrogów.

Diderot gniewnie zauważył, że Rousseau „opisuje siebie w odpychających kolorach, by nadać swym niesłusznym i okrutnym zarzutom pozory prawdy”. Ponadto owe samooskarżenia są zwodnicze, ilekroć bowiem pisarz siebie krytykuje, zaraz potem zręcznie się usprawiedliwia, tak że w końcu czytelnik sympatyzuje z nim i obdarza zaufaniem jego prostą uczciwość<sup>34</sup>.

A później okazuje się, że prawdy Rousseau często są półprawdami: jego wybiórcza uczciwość jest pod pewnymi względami najbardziej nieuczciwym aspektem zarówno *Wyznań*, jak i listów. „Fakty”, do których tak szczerze się przyznaje, często okazują się w świetle współczesnych studiów niedokładne, przekręcone lub niebyłe.

Daje, na przykład, w *Emilu* i *Wyznaniach* dwie różne wersje zalotów homoseksualisty. Mitem okazała się jego wspaniała, wszechogarniająca pamięć. Podaje więc błędnie rok zgonu swego ojca i pisze o nim, że miał „około sześćdziesiątki”, podczas gdy naprawdę liczył siedemdziesiąt pięć lat.

Prawie wszystkie szczegóły pobytu w konwiktach w Turynie, jednego z najbardziej krytycznych epizodów jego młodości, są podane kłamliwie. Stopniowo staje się jasne, że nie można wierzyć żadnemu jego oświadczeniu w *Wyznaniach*, jeśli nie jest ono poparte dodatkowym zewnętrznym świadectwem.

Oczywiście trudno się nie zgodzić z jednym z najbardziej wszechstronnych krytyków Rousseau, J. H. Huizingą, że natarczywe roszczenia *Wyznań* do prawdy i uczciwości czynią ich przekłamania i zafałszowania szczególnie haniebnymi: „Im ktoś uważniej i dokładniej czyta to dzieło, im głębiej się w nim pograża, tym więcej dostrzega warstw podłości”<sup>35</sup>.

Co czyniło nieuczciwość Rousseau tak niebezpieczną; co sprawiało, że dawni przyjaciele tak słusznie obawiali się jego zmyśleń? Sprawiały to diabelska zręczność i błyskotliwość, z jaką były one przedstawiane. Rzetelny biograf, profesor Crocker, pisze: „Wszystkie jego wersje konfliktów (na przykład w epizodzie weneckim) są nieodparcie przekonujące, wymowne, szczerze w nastroju, ale gdy weźmie się pod uwagę fakty - następuje szok”<sup>36</sup>.

Tyle, jeśli chodzi o przywiązanie Rousseau do prawdy. A co z jego cnotą?

Tylko bardzo nieliczni z nas prowadzą życie, które będzie poddane ścisłej ocenie badaczy, i jest coś niskiego w poddaniu osądowi moralnemu życia Rousseau, obnażonego doszczętnie w wyniku działalności tysięcy uczonych. Jeśli jednak zostały uznane jego roszczenia, a jeszcze bardziej wpływ na etykę i zachowanie, to nie ma innego wyboru. Był człowiekiem jak mówił o sobie - stworzonym do miłości i uczył doktryny miłości bardziej wytrwale niż większość duchownych. W jaki sposób jednak wyrażał swą miłość do tych, których natura umieściła najbliżej niego? Śmierć matki pozbawiła go, od samego urodzenia, normalnego życia rodzinnego. Nie miał dla matki żadnych uczuć, w tym czy innym stopniu, po prostu jej nie znał. Nie wykazywał żadnego zainteresowania innymi członkami swojej rodziny. Ojciec dla niego nic nie znaczył, a jego śmierć była jedynie okazją do otrzymania spadku. W tym punkcie troska Rousseau o los dawno zaginionego brata odżyła na tyle, by poświadczyć jego zgon, pieniądze mogły więc być oddane Rousseau.

Postrzegął swą rodzinę w kategoriach pieniądza. W *Wyznaniach* pisze: „każdy będzie mógł pojąć bez trudu jedną z mych rzekomych sprzeczności: połączenie brudnego niemal skąpstwa z największą pogardą pieniędzy”<sup>37</sup>. Niewiele jednak faktów w jego życiu świadczy o tej pogardzie. Opisuje, na przykład, że gdy spadek rodzinny został mu przyznany i otrzymał przekaz, najwyższym wysiłkiem woli odłożył otwarcie listu do następnego dnia. „Ubierając się spostrzegłem go; otworzyłem bez pośpiechu; znalazłem przekaz bankowy. Doświadczyłem w tej chwili wielu przyjemności naraz, ale mogę przysiąc, iż najżywszą było to, że potrafiłem się zwyciężyć”<sup>38</sup>.

Jeśli taka była jego postawa wobec własnej naturalnej rodziny, to jak traktował kobietę, która stała się właściwie jego karmicielką, panią de Warens? Odpowiedź jest prosta: traktował ją podle. Ratowała go z nędzy nie mniej niż czterokrotnie, ale później, gdy jemu się powiodło, a ona zubożała, uczynił dla niej niewiele. Sam wspomina, że posłał jej „częstkę” pieniędzy, gdy odziedziczył rodzinną schedę po roku 1745, ale odzegał się od posłania jej więcej, bo, jak pisał, „i ten drobiazg, który jej posłałem, stał się pastwą oblegających ją hultajów; nie przyszło jej z tego nic”<sup>39</sup>. Była to tylko wymówka. Późniejsze jej prośby o

pomoc pozostały bez odpowiedzi. Spędziła ostatnie dwa lata życia złożona chorobą i jej śmierć w roku 1761 mogła nastąpić z niedożywienia.

Hrabia de Charmette, który znał ich oboje, mocno potępił zaniedbanie Rousseau „zwrócenia przynajmniej części tego, co on kosztował swoją szlachetną dobrodziejką”. Rousseau w *Wyznaniach* potraktował ją jak skończony oszust, ogłaszając ją „najlepszą z kobiet i matek”. Twierdził, że nie pisał do niej, bo nie chciał jej smucić opowieścią o swych klęskach. Tak oto kończył ten fragment *Wyznań*: „...idź kosztować owoców swej cnoty i przygotować wychowankowi miejsce, które spodziewa się kiedyś zająć w podległości twojej. Szczęśliwaś, w swoich nieszczęściach, iż niebo kładąc im kres oszczędziło ci okrutnego widowiska moich!”. Charakterystyczne dla Rousseau było traktowanie jej śmierci w kontekście czysto egocentrycznym.

Czy Rousseau był zdolny do kochania kobiety bez samolubnych zastrzeżeń? Zgodnie z jego własną relacją „pierwszą i jedyną miłością” jego życia była Zofia hrabina d'Houdetot, bratowa pani d'Epinay. Być może kochał ją, ale - jak mówi - „podjął ostrożność” pisania do niej listów miłosnych w taki sposób, by uczynić ich publikację równie szkodliwą dla niej, jak dla siebie.

O Teresie Levasseur, dwudziestotrzyletniej pracce, którą uczynił swą kochanką w roku 1745 i która pozostała z nim aż do jego zgonu, mówił: „Nie czułem nigdy dla niej najmniejszej iskierki miłości... potrzeby zmysłów, które zaspokajałem przy jej boku, były dla mnie jedynie potrzebami płci, niemającymi nic wspólnego z osobą”. Pisał o niej także: „Oświadczyłem jej z góry, iż nie opuszczę jej ani nie zaślubię jej nigdy”. Ćwierć wieku później związał się z nią niby ślubem w obecności kilku przyjaciół; wykorzystał przy tym okazję do wygłoszenia chełpliwej mowy, w której oświadczył, że potomność wystawi mu pomnik i „nie będzie pustym zaszczytem miano przyjaciela Jana Jakuba Rousseau”.

Pod pewnym względem pogardzał Teresą jako nieokrzesaną, niepiśmienną służącą, pogardzał sobą za to, że dzielił z nią życie. Oskarżał jej matkę o zachłanność, a brata o kradzież czterdziestu dwóch koszul (nie ma danych, że jej rodzina była tak zepsuta, jak ją odmalował Rousseau). Nie dość, że nie umie czytać i pisać - powiadał - to jeszcze nie zna się na zegarze i kalendarzu. Nie zabierał jej nigdy ze sobą i nie pozwalał jej zasiadać do stołu z ludźmi zaproszonymi na obiad. Teresa podawała jedzenie, a „on z niej żartował”. Aby zabawić księżną Montmorency de Luxembourg, opracował słowniczek błędów Teresy. Nawet przyjaciele Rousseau byli zaszokowani pogardą, z jaką ją traktuje. Współcześni różnili się w opinii na jej temat, niektórzy uważali ją za złośliwą plotkarkę, a niezliczeni wielbiący go biografowie odmalowali Teresę w najczarniejszych kolorach, by usprawiedliwić podłe zachowanie się Rousseau wobec niej. Teresa miała również kilku energicznych obrońców<sup>40</sup>. Trzeba oczywiście oddać sprawiedliwość Rousseau: obdarzał ją także komplementami w rodzaju: „anielskie serce”, „czuła i cnotliwa”, „świetny doradca”, „prosta dziewczyna bez kokieterii”. Uważał ją za „nieśmiałą i dającą się łatwo kierować”. Właściwie nie jest jasne, czy Rousseau ją rozumiał, gdyż prawdopodobnie był zbyt pochłonięty badaniem jej natury.

Najbardziej wiarygodny portret Teresy przekazał James Boswell, który w roku 1764 odwiedził Rousseau pięciokrotnie, a później towarzyszył Teresie w podróży do Anglii<sup>41</sup>. Znajdował ją jako „małą, pełną życia wdzięczną francuską dziewczynę”; przekupił ją, by móc dodatkowo spotkać się z Rousseau, umiał wyżebrać u niej dwa listy otrzymane od Rousseau (pozostał tylko jeden)<sup>42</sup>. Listy te ujawniają czułość Rousseau, a jego związek z Teresą jako intymny. Powiedziała ona Boswellowi: „Jestem z panem Rousseau od dwudziestu dwóch lat. Nie oddałabym swego miejsca przy nim nawet królowej Francji”.

Prawdę mówiąc, gdy Boswell został jej towarzyszem podróży, uwiódł ją bez najmniejszej trudności. Dokładny opis całego romansu został wycięty z rękopisu dziennika Boswella przez wykonawców jego literackiego testamentu, którzy oznaczyli tę lukę jako „fragment wielce naganny”. Pozostawili jednak zdanie, które Boswell zanotował w Dover:

„Wczoraj rano poszedłem do jej łóżka o bardzo wczesnej godzinie i zrobiłem to raz, w ogóle to trzynastą raz”. Z jego opisu wynika dość jasno, że była ona o wiele bardziej wyrafinowaną i światową kobietą, niż większość ludzi przypuszczała. Wydaje się prawdą, że Teresa była oddana Rousseau pod wieloma względami, ale postępowanie Rousseau nauczyło ją tak się nim posługiwać, jak on nią.

Najcieplejszym uczuciem Rousseau darzył zwierzęta. Boswell odnotował rozkoszną scenę zabawy Rousseau z kotem i psem Sułtanem. Obdzielał on Sułtana i jego poprzednika, Turka, miłością, której nie znajdował dla ludzi. Wycie Sułtana, którego Rousseau zabrał ze sobą do Londynu, niemal przeszkodziło pisarzowi we wzięciu udziału w specjalnym benefisowym przedstawieniu, urządzonym przez Garricka na jego cześć w teatrze Drury Lane<sup>43</sup>.

Rousseau utrzymywał i nawet kochał Teresę, czyniła bowiem dla niego to, czego nie mogły zrobić zwierzęta: za pomocą cewnika przynosiła mu ulgę w problemach z układem moczowym. On nie tolerował mieszania się kogoś trzeciego do stosunków z Teresą: wpadł we wściekłość, gdy na przykład wydawca przysłał jej suknię, szybko obalił plan zapewnienia jej renty, co mogłoby ją od niego uniezależnić. A przede wszystkim nie pozwalał, aby dzieci wkraczały w jego prawa do niej, i to doprowadziło go do największego występku.

Biorąc pod uwagę, że poważna część sławy Rousseau opiera się na jego teoriach o wychowywaniu dzieci, a ponadto wychowanie jest głównym, podstawowym tematem jego *Rozpraw, Emila, Umowy społecznej*, a nawet *Nowej Heloizy*, dziwne jest, że w życiu, odwrotnie niż w literaturze, tak mało interesował się dziećmi. Nie ma żadnych świadectw, że badał zachowanie się dzieci, by sprawdzić swoje teorie. Twierdził, że nikt bardziej niż on nie cieszy się zabawą z dziećmi, ale pewna anegdota, którą o nim znamy, nie bardzo nas o tym zapewnia. Malarz Delacroix pisze w swoim *Dzienniku* pod datą 31 maja 1824, że pewien człowiek tak opowiadał o Rousseau, którego widział w ogrodzie Tuileries: „Dziecięca piłka uderzyła filozofa w nogę. Zerwał się gniewny i popędził za dzieckiem, grożąc laską”<sup>44</sup>.

Z tego, co wiemy o jego charakterze, wydaje się nieprawdopodobne, by Rousseau mógł być kiedykolwiek dobrym ojcem. Mimo to szokiem będzie odkrycie, co Rousseau zrobił ze swoimi dziećmi.

Pierwsze dziecko urodziła Teresa zimą 1746-1747. Nie wiemy, jakiej było płci. Nigdy nie otrzymało imienia. Jak mówi Rousseau, „miałem największe trudności, aby nakłonić ją [Teresę] do tego jedyne go środka zdolnego ocalić mój honor”, to jest do oddania dziecka. „Usłuchała z ciężkim sercem”. Kartkę z monogramem umieścił na powijkach dziecka i przekazał położnej, by zostawiła zawiniątko z dzieckiem w domu dla podrzutek. Z czworgiem innych dzieci, które miał z Teresą, postąpił dokładnie tak samo, tylko już nie trudził się umieszczaniem kartki z monogramem. Żadne z nich nie miało imienia. Nie jest prawdopodobne, by którekolwiek żyło długo.

Dzieje przytułku, opisane w „*Mercure de France*”, pokazują jasno, że był on przepełniony podrzuconymi niemowlętami, przybywało ich ponad trzy tysiące rocznie. W roku 1758 sam Rousseau zanotował, że ogólna ich liczba wzrosła do 5082 niemowląt. Do roku 1772 sięgała średnio prawie ośmiu tysięcy. Dwie trzecie tych dzieci umierało w pierwszym roku życia. Przeciętnie czternaścioro na sto dożywało wieku siedmiu lat, pięcioro osiągało wiek dojrzały, większość stawała się żebrakami i włóczęgami<sup>45</sup>. Rousseau nie znał nawet dat urodzin pięciorga swoich dzieci i nigdy nie zainteresował się ich losem, jedynie w roku 1761, gdy sądził, że Teresa umiera, uczynił powierzchowną próbę, wkrótce przerwana, odszukania pierwszego dziecka.

Rousseau nie mógł utrzymać w tajemnicy swojego postępowania i przy różnych okazjach, na przykład w roku 1751 i ponownie w 1761, musiał się bronić w prywatnych listach. Później, w roku 1764, kiedy Rousseau atakował Woltera za ateizm, ten ostatni

rozgniewany opublikował pod pseudonimem Pastora Genewskiego pamflet *Le Sentiment Citoyens*.

Pamflet oskarżał otwarcie Rousseau o porzucenie pięciorga dzieci, a ponadto ogłaszał go syfilitykiem i mordercą. Jednak zaprzeczenie przez Rousseau tym oskarżeniem zostało ogólnie uznane. Ciężało to na nim i było decydującym bodźcem do napisania *Wyznań*, które miały zasadniczo obalić lub osłabić fakty już publicznie znane. Dwukrotnie w tym dziele broni się w sprawie dzieci, wraca do niej w *Reveries du promeneur solitaire* i w rozmaitych listach.

Ogólnie biorąc, jego próby usprawiedliwienia się, publiczne i prywatne, trwały dwadzieścia pięć lat i były bardzo różnorodne. W sumie wywołują jeszcze gorsze wrażenie, bo łączą okrucieństwo i egoizm z hipokryzją. Przede wszystkim Rousseau potępiał występne koło bezbożnych intelektualistów, pośród których się wówczas obracał, o podsunięcie jego niewinnemu umysłowi myśli o sierocińcu.

Poza tym mieć dzieci oznaczało „niewygodę”. Nie mógł sobie na to pozwolić. „Jak mógłbym osiągnąć spokój umysłu niezbędny dla mej pracy, jeśliby moje poddasze wypełniły troski domowe i hałas dzieci?” „Zostałbym zmuszony do zajęcia się poniżającą pracą, wszystkimi tymi niecnymi czynami, które słusznie napętlają mnie przerażeniem.”

„Wiem bardzo dobrze, że nikt nie byłby czulszym ojcem ode mnie.” Nie chciał jednak, by jego dzieci miały jakąkolwiek styczność z matką Teresy: „Drżałem na myśl powierzenia ich tej rodzinie źle wychowanej po to, aby je wychowała jeszcze gorzej”.

A co do okrucieństwa, to kto o tak znakomitym, jak jego, charakterze mógłby być winien temu? Pisał: „...żarliwa miłość wszystkiego, co wielkie, prawdziwe, piękne, sprawiedliwe, ten wstręt do złego we wszelakim rodzaju, ta niemożność nienawidzenia, szkodenia, a nawet odczucia takiej chęci; to roztkliwienie, to żywe i słodkie wzruszenie, jakiego doznaję na widok wszystkiego, co cnotliwe, szlachetne, godne kochania - czy to wszystko może się kiedy zgodzić w jednej duszy ze skażeniem, które każe deptać bez skrupułu nogami najsłodszy z obowiązków? Nie, czuję to i powiadam głośno: to niemożliwe. Nigdy, na jedną chwilę, Jan Jakub nie mógł być człowiekiem bez serca, bez uczucia, wynaturzonym ojcem”.

Traktując swą cnotę jako oczywistą, Rousseau był zmuszony pójść dalej i bronić swego postępowania na pewnym gruncie. Tutaj, prawie przypadkiem, Rousseau wprowadza nas zarówno w sedno swojego osobistego problemu, jak i swojej politycznej filozofii. Warto zatrzymać się nad porzuceniem przez niego własnych dzieci, nie tylko dlatego, że jest to najbardziej uderzający przykład nieludzkiego postępowania, ale że jest to organiczna część procesu, który wytworzył jego teorię polityki i roli państwa.

Rousseau uważał się za opuszczone dziecko. W dużej mierze na prawdę nigdy nie wydorósł i pozostał przez całe życie zależnym od kogoś dzieckiem, zwracającym się do pani de Warens: „mamusiu”, a do Teresy: „niani”. Fragmenty *Wyznań*, szczególnie listy, uwidaczniają ten „dziecięcy” czynnik.

Wielu z tych, którzy mieli z nim do czynienia, jak na przykład Hume, widziało w nim dziecko. Rozpoczynali od myślenia o nim jako niewinnym dziecku, a potem odkrywali, że jest to genialny i okrutny przestępca. Skoro Rousseau uważał się pod pewnymi względami za dziecko, to było oczywiste, że nie mógł wychować własnych dzieci. Ktoś musiał zająć jego miejsce i tym kimś było państwo prowadzące sierociniec.

Argumentował więc, że to, co zrobił, było „dobrym i rzeczowym rozwiązaniem”. Dzieciom, jak utrzymywał Rousseau, „będzie się wszystkim lepiej wiodło, bo nie będąc chowane delikatnie, staną się bardziej krzepkie”. Będą „szczęśliwsze niż ich ojciec”. Pisał: „Życzyłbym sobie i wciąż życzę być tak chowany i karmiony jak one. Jeśli bym tak samo miał szczęście”. Krótko mówiąc, przenosząc odpowiedzialność na państwo, „sądziłem, iż

spełniam czyn dobrego obywatela i ojca; działałem, we własnych oczach, niby członek republiki Platona".

Rousseau zapewnia, że rozważając swoje postępowanie w stosunku do dzieci doszedł ostatecznie do sformułowania teorii wychowania, którą przedstawił w *Emilu*. Rozważania owe pomogły mu sformułować *Umowę społeczną*, opublikowaną w tym samym roku. To, co rozpoczęło się jako proces oczyszczania się z zarzutów w tej szczególnej sprawie - pośpieszne źle przemyślane usprawiedliwianie swego zachowania - stopniowo rozwinęło się w tezę, że wychowanie jest kluczem do społecznego i moralnego postępu, i w ten sposób staje się troską państwa. Państwo musi ukształtować umysły wszystkich, nie tylko dzieci (jak to uczyniono z dziećmi Rousseau w sierocińcu), ale i dorosłych obywateli. Przez osobliwy łańcuch haniebnej logiki moralnej nikczemność Rousseau jako rodzica połączyła się z jego ideologicznym wytworem - przyszłym państwem totalitarnym.

Chaos zawsze towarzyszył politycznym ideom Rousseau, był on bowiem pod wieloma względami pisarzem niekonsekwentnym i przeczącym sobie, i to była przyczyna, dla której pracowitość Rousseau przybrała tak gigantyczne rozmiary: akademicy prosperują, gdy rozwiązują „problemy”.

W niektórych fragmentach swych dzieł Rousseau wydaje się być konserwatystą, zdecydowanie przeciwnym rewolucji: „Pomyślcie o niebezpieczeństwach wprawienia mas w ruch”. „Ludzie, którzy dokonują rewolucji, prawie zawsze kończą oddaniem się w ręce kusicieli, którzy czynią ich kajdany cięższymi, niż były one przedtem.” „Nie chciałbym mieć nic wspólnego ze spiskami rewolucyjnymi, które prowadzą zawsze do zamętu, przemocy i rozlewu krwi.” „Wolność całej rasy ludzkiej nie jest warta życia jednego człowieka.”

Pisma jego pełne są skrajnej goryczy. „Nienawidzę wielkich, nienawidzę ich bezwstydu, opryskliwości, przesądów, ich małości, wszystkich ich wad”. Pisał do jednej z arystokratek: „To bogaci, pani klasa, skradli chleb moim dzieciom”, przyznawał, że miałby pewną urazę do bogatych i szczęśliwych, jeśliby swoje bogactwo i szczęście zyskali jego kosztem. Bogaci to „głodne wilki, które raz spróbowawszy ludzkiego mięsa odmawiają innego pożywienia”.

Wiele mocnych aforyzmów, które czynią jego książki tak atrakcyjnymi. zwłaszcza dla młodych ludzi, brzmi bardzo radykalnie. „Owoce ziemi należą do nas wszystkich, sama ziemia nie należy do nikogo.” „Człowiek urodził się wolny, a wszędzie jest w okowach.”

Artykuł Rousseau *Ekonomia polityczna* w piątym tomie *Encyclopedie* podsumowuje jego stanowisko wobec klasy rządzącej: „Potrzebujesz mnie, bo ja jestem bogaty, a ty ubogi; umówmy się zatem: pozwolę, byś miał zaszczyt mi służyć, pod warunkiem że za trud, jaki mi sprawi rozkazywanie ci, zechcesz mi oddać to trochę, co ci jeszcze zostało”<sup>47</sup>.

Jednakże skoro zrozumiemy naturę państwa, które Rousseau pragnął stworzyć, jego poglądy zaczynają pasować do siebie. Niezbędne jest, by zastąpić istniejące społeczeństwo czymś zupełnie innym i zasadniczo wszystkich zrównującym, ale po osiągnięciu tego nie można pozwolić na rewolucyjny nieład. Bogaci i uprzywilejowani jako siła porządkowa zostaną zastąpieni przez państwo, uosabiające wolę powszechną, której wszyscy zobowiążą się podporządkować. Takie posłuszeństwo stanie się instynktowne i samorzutne, bowiem państwo w systematycznym procesie obróbki kulturalnej będzie cnotę wszczepiało każdemu. Państwo staje się ojcem, la patrie, a jego wszyscy obywatele dziećmi ojcowskiego sierocińca. (Stąd zadziwiająco zagadkowa uwaga doktora Johnsona, który przeciął jasno sofistykę Rousseau: „Patriotyzm jest ostatnim schronieniem łajdaka”.) Obywatele-dzieci szczerze zgadzają się podporządkować państwu (sierocińcowi), zobowiązując się do tego dobrowolnie. W ten sposób z własnej woli tworzą jego prawomocność i dlatego nie mają prawa czuć się zniewoleni, chcąc bowiem mieć prawa, muszą kochać obowiązki, które one nakładają.

Choć Rousseau pisze o woli powszechnej w kategoriach wolności, to jest ona zasadniczo narzędziem władzy, pierwszą zapowiedzią „centralizmu demokratycznego” Lenina. Prawa wydane z woli powszechnej muszą mieć autorytet moralny. „Lud sam przez się zawsze pragnie dobra, ale nie zawsze sam przez się je postrzega.” „Wola powszechna jest zawsze właściwa...”

Ponadto przy założeniu, że państwo „ma jak najlepsze zamiary” (to znaczy, że jego dalekosiężne cele są pożądane), interpretacja Woli Powszechnej może być bezpiecznie pozostawiona zwierzchnictwu, bo „ono wie lepiej, że Wola Powszechna zawsze wyróżnia decyzję najbardziej sprzyjającą dobru publicznemu”.

Stąd zawsze jest w błędzie ten, kto znajduje się w opozycji do woli powszechnej: „Gdy więc przeważy zdanie przeciwne mojemu, dowodzi to jedynie, że się omyliłem i że to, co brałem za Wolę Powszechną, nią nie było. Gdyby przeważała moja prywatna opinia, zrobiłbym coś innego, niż chciałem; wtedy właśnie nie byłbym wolny”. Znaleźliśmy się więc blisko obszaru zimna *Ciemności w południe* Arthura Koestlera lub „nowomowy” George’a Orwella.

Państwo według Rousseau jest nie tylko autorytarne, jest to także państwo totalitarne, rządzi bowiem każdym polem ludzkiej działalności, nawet ludzkimi myślami. Za sprawą umowy społecznej każdy powinien zgodzić się na „zupełne oddanie się - ze swoimi uprawnieniami - całej społeczności”, to jest państwu. Rousseau utrzymywał, że istnieje konflikt nie do wykorzenia między naturalnym egoizmem człowieka a jego obowiązkami społecznymi, między człowiekiem a obywatelem.

Funkcją umowy społecznej i państwa, które wprowadziło ją w życie, jest uczynić ponownie człowieka całością: „Uczyni człowieka jednością, a stanie się szczęśliwy tak dalece, jak tylko to możliwe. Daj go całego państwu lub pozostaw samemu sobie. Jeśli jednak dzielisz mu serce, rozdzielasz go na dwoje”. Musisz więc traktować obywateli jak dzieci i kontrolować ich wychowanie i myśli, zasiewając „porządek społeczny na dnie ich serc”. Staną się wtedy „jednostkami społecznymi i obywatelami dzięki swoim skłonnościom; będą jednym, będą dobrzy i szczęśliwi, a ich szczęście będzie szczęściem Republiki”.

Taka koncepcja państwa wymagała całkowitego podporządkowania się. W projektowanej konstytucji dla Korsyki nowa, wysnuta z umowy społecznej przysięga brzmiała następująco: „Łączę się ciałem, majątkiem, wolą i wszystkimi moimi siłami z narodem korsykańskim, do którego należę ja i ci wszyscy, którzy zależą ode mnie”<sup>49</sup>. Państwo „zawładnie ludźmi i wszystkim tym, co ich jest”, będzie kontrolowało każdą dziedzinę życia gospodarczego i społecznego, które stanie się spartańskie, bez luksusów, bez udogodnień miasta, dokąd będzie można dostać się jedynie za specjalnym zezwoleniem.

Pod wieloma względami wizja państwa, które Rousseau nakreślił dla Korsyki, poprzedziła to, które reżim Pol Pota próbował teraz stworzyć w Kambodży, i wcale to nie zadziwia, bo wykształceni w Paryżu przywódcy tego reżimu wchłonęli wszyscy idee Rousseau.

Oczywiście Rousseau szczerze wierzył, że takie państwo zadowalałoby obywateli, ludzie bowiem zostaliby wyćwiczeni, by je lubić. Nie używał on słowa „pranie mózgow”, pisał jednak: „Ci, którzy kontrolują opinie ludu, kontrolują też jego działania”. Kontrola taka działa wówczas, gdy obywateli traktuje się od niemowlęctwa jako dzieci państwa, przyuczone do „oceniań siebie jedynie w odniesieniu do państwa”. „Będąc nikim wszędzie poza nim, będzie kimś tylko w nim. Ono będzie mieć wszystko to, co oni mają, i będzie tym wszystkim, czym oni są”. I znów wyprzedza to słowną doktrynę faszystowską Mussoliniego: „Wszystko w państwie, nic poza państwem, nic przeciw państwu”.

Proces wychowania był więc kluczem do sukcesu obróbki kulturalnej, Koniecznej dla uczynienia państwa możliwym do przyjęcia i darzącym pomyślnością. Osią idei Rousseau był układ: obywatel dzieckiem, państwo ojcem. Nalegał więc, by rząd całkowicie przejął obowiązek wychowania wszystkich dzieci.

Stąd - i na tym właśnie polega prawdziwa rewolucja, jaką przyniosły jego idee - proces polityczny przesunął Rousseau do samego środka ludzkiego istnienia, czyniąc prawodawcę, który także jest pedagogiem, nowym Mesjaszem, zdolnym do rozwiązania ludzkich problemów przez stworzenie Nowego Człowieka. Pisał: „Wszystko w zasadzie zależy od polityki”. „Cnota jest owocem dobrego rządu. „Występne czyny popełnia nie tyle człowiek w ogóle, ile człowiek źle rządzony.” Proces polityczny i nowy rodzaj państwa, który on powołuje do istnienia, są uniwersalnymi lekarstwami na choroby ludzkości<sup>50</sup>. Polityka załatwi wszystko. Rousseau przygotował w ten sposób matrycę dla głównych iluzji i szaleństw dwudziestego wieku.

Sława Rousseau za życia i wpływ po śmierci skłaniają do podniesienia kłopotliwych pytań o ludzką naiwność i oczywiście o ludzką skłonność do odrzucania niepożądanych dowodów. Odbiór pism Rousseau zależał w dużej mierze od jego donośnych roszczeń do tego, że jest nie tylko cnotliwym, ale najbardziej cnotliwym mężem swej epoki. Dlaczego tych roszczeń nie wyśmiano i nie wyszydono, skoro nie dość że znano szeroko jego słabości i wady, lecz stały się one przedmiotem międzynarodowej debaty? Przecież ludzie, którzy go atakowali, to dawni przyjaciele i współpracownicy, którzy zбочyli ze swej drogi, by go wspomóc.

Oskarżenia ich były poważne, a zbiorowe oskarżenie miało niszycielskie działanie. Hume, który niegdyś uważał Rousseau za „szlachetnego, skromnego, czułego, bezinteresownego i nadzwyczaj uczuciowego”, dotkliwie sam doświadczył, że to „potwór, który uważa się za najważniejszą istotę we wszechświecie”.

Po długiej znajomości z Rousseau Diderot ocenił go jako „zakłamanego, próżnego niby szatan, niewdzięcznego, okrutnego, obłudnego i pełnego złej woli”. Dla Grimma był „odpychający, ohydny”. Dla Woltera to „monstrum próżności i podłości”.

Najbardziej przykre są opinie wspomagających go kobiet, jak pani d'Epina; jej ostatnie słowa do Rousseau brzmiały: „...teraz pozostaje mi jedynie ubolewać nad Panem”. Opinie te opierały się nie na słowach tego człowieka, ale na jego czynach, i od tamtego czasu, przez ponad dwieście lat, masa materiałów odkrytych przez uczonych nieustępliwie zmierzała do uzasadnienia owych sądów. Jeden ze współczesnych badaczy tak oto ocenia Rousseau: był to „masochista, ekshibicjonista, neurastenik, hipochondryk, onanista, ukryty homoseksualista, człowiek cierpiący na typową konieczność ciągłych zmian miejsca, niezdolny do normalnej czy też rodzicielskiej miłości, prawie paranoik, narcystyczny introwertyk, który stał się aspołeczny z powodu choroby, przepelniony uczuciem winy, patologicznie nieśmiały, kleptomaniak, infantylny, irytujący i skąpy”<sup>51</sup>.

Oskarżenia takie i rozległy zestaw świadectw, na których są one oparte, nie umniejszają szacunku, jaki mają dla Rousseau i jego dzieł ci, co uważają go za intelektualną i emocjonalną atrakcję. Bez względu na to, ile zniszczył związków przyjaźni, Rousseau nigdy nie miał trudności ze znalezieniem nowych przyjaciół, z pozyskaniem nowych wielbicieli, uczniów i moźnych, którzy służyli mu swym domem, zapraszali na obiady i palili przed nim kadzidła.

Gdy zmarł, pochowano go na Ile des Peupliers na jeziorze w Ermenonville, które stało się wkrótce miejscem pielgrzymek mężczyzn i kobiet z całej Europy, takim jak sanktuaria świętych w średniowieczu.

Opisy błazństw tych *devots* przyprowadzają często o wielką wesołość: „Upadłem na kolana ... przycisnąłem usta do zimnego grobowego kamienia ... i całowałem go wciąż od nowa”<sup>52</sup>. Relikwie, na przykład woreczek i słój na tytoń, troskliwie przechowywano w „sanktuarium”, jak było ono nazywane.

Przypomina się Erazm z Rotterdamu i John Colet, odwiedzający wielkie mauzoleum świętego Tomasza Becketa w Canterbury około roku 1512 i sarkający na nadmiar pielgrzymów. Co powiedzieliby oni o „świętym Rousseau”, jak go ze czcią nazywała George Sand, trzysta lat od czasu, gdy reformacja miała skończyć z takimi zjawiskami?



Pochwały pod adresem Rousseau słuchać było długo jeszcze po przeniesieniu jego zwłok do Panteonu. Dla Kanta miał „czułość duszy o niezrównanej doskonałości”, dla Shelleya był „najwyższym geniuszem”. Według Schillera była to „jakby Chrystusowa dusza, dla której jedynie niebiańscy aniołowie są odpowiednim towarzystwem”. Głęboki hołd składali mu John Stuart Mili i George Eliot, Hugo i Flaubert. Lew Tolstoj powiedział, że Rousseau i Ewangelia miały największy i najzdrowszy wpływ na jego życie.

Claude Levi-Strauss, jeden z najbardziej wpływowych intelektualistów naszych czasów, w swym głównym dziele, *Smutek tropików (Tristes Tropiques)* obwołuje go „naszym mistrzem i naszym bratem ... każda strona tej książki mogłaby być mu dedykowana, zasługuje bowiem na wielką pamięć”<sup>53</sup>.

Wszystko to jest bardzo zaskakujące i sugeruje, że intelektualiści są nierozsądni, nielogiczni i przesądni jak wszyscy inni ludzie. Rousseau był genialnym pisarzem, ale nieszczęśliwie niezrównoważonym, zarówno w życiu, jak i w poglądach. Najlepiej oceniła go Sophie d'Houdetot, która jak sam mówił - była jego jedyną miłością. Żyła do roku 1813 i w późnej starości wydała o nim taki wyrok: „Był wystarczająco nieprzyjemny, by mnie wystraszyć, a miłość nie czyniła go bardziej atrakcyjnym. Wzruszał mnie jednak i traktowałam go łagodnie i życzliwie. Był to porywający szaleniec”<sup>54</sup>.

## Przypisy Rozdział 1

1. Zob. Joan MacDonald, *Rousseau and the French Revolution*, London 1965, a także: Bronisław Baczko, *Rousseau: Samotność i Wspólnota*, Warszawa 1964, s. 729.
2. J. H. Huizinga, *The Making of a Saint: The Tragi-Comedy of Jean-Jacques Rousseau*, London 1976, s. 185 i n.
3. Ernst Cassirer, *The Philosophy of the Enlightenment*, Princeton 1951, s. 268.
4. Jean Chateau, *Jean-Jacques Rousseau: La philosophie de l'education*, Paris 1962, s. 32 i n.
5. Lester G. Crocker, *Jean-Jacques Rousseau: The Quest, 1712-1758*, New York 1974, s. 263.
6. *Ibidem*, s. 238-239, 255-270.
7. Na temat wczesnego okresu życia Rousseau zob. *ibidem*, s. 7-15; wersja podana w jego *Wyznaniach* jest zupełnie niewiarygodna.
8. Listy Rousseau są opublikowane w: R. A. Leigh, *Correspondence complete de Jean-Jacques Rousseau*, Geneve 1965; T. Dufour, P. P. Plan, *Correspondence generale de Jean-Jacques Rousseau*, vol. 1-20, Paris 1924-1934.
9. Crocker, vol. 1, s. 160 i n.
10. Cytowane u Huizingi, *op. cit.*, s. 29.
11. Rozprawa opublikowana jest w: Jan Jakub Rousseau, *Trzy rozprawy z filozofii społecznej*. Przekład opracował, słowem wstępnym i przypisami opatrzył Henryk Elzenberg, Warszawa 1956, PWN (Biblioteka Klasyków Filozofii), s. 3-44.
12. J. J. Rousseau, *Oeuvres completes*, editees par Bernard Gagnebin et Marcel Raymond, t. I-III, Paris 1959-1964.
13. Zob. Joan MacDonald, *op. cit.*
14. Cytowane przez Huizingę, *op. cit.*, s. 16-17.
15. Crocker, *op. cit.*, t. I, s. 16, zob. także s. 194 i n.
16. Zob. Huizinga, *op. cit.*, s. 50. Cytowany fragment pochodzi z nie wysłanego listu do Mirabeau z roku 1767.
17. J. Y. T. Greig (wyd.), *Letters of David Hume*, Oxford 1953, t. II, s. 2.
18. Huizinga, *op. cit.*, s. 15-16.
19. Te cytaty, tak jak i podobne, zob. Huizinga, *op. cit.*

20. Crocker, t. II: *The Prophetic Voice, 1758-1783*, New York 1973, s. 28-29.
21. P. M. Masson, *La Religion de Jean-Jacques Rousseau*, t. I-III, Paris 1916.
22. Crocker, *op. cit.*, t. I, s. 146-147.
23. C. P. Duclos, *Considerations sur les moeurs de ce siecle*, London 1784, cytowany przez Huizingę.
24. Crocker, *op. cit.*, t. II, s. 208, 265-302.
25. Jean-Jacques Rousseau do pani d'Epinay, Montmorency, 17 grudnia 1757, cyt. w: Jean-Jacques Rousseau, *Wyznania*. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1978, wyd. II, t. II, s. 236.
26. W. H. Blanchard, *Rousseau and the Spirit of Revolt*, Ann Arbor 1967, s. 120
27. Cyt. za Huizingą, *op. cit.*, s. 119.
28. E. C. Mossner, *Life of David Hume*, Austin 1954, s. 528-529.
29. Crocker, *op. cit.*, t. II, s. 300-302.
30. *Ibidem*, s. 318-319, 339-341.
31. *Wyznania*, t. I, s. 45.
32. *Ibidem*, s. 142.
33. *Ibidem*, s. 98.
34. Crocker daje świetną analizę tego sposobu postępowania, *op. cit.*, t. I, s. 57- 38
35. Huizinga, *op. cit.*, s. 75.
36. Crocker, *op. cit.*, t. I, s. 340 i n.
37. *Wyznania*, t. I, s. 66. r
38. *Ibidem*, t. II, s. 73.
39. *Ibidem*.
40. Gdy Teresa jeszcze żyła, pani de Charriere napisała *Plainte et defense de Therese Levasseur*, Paris 1789. Współcześnie występuje mocno w jej obronie doktor I W. Allen w swej pracy *Therese Levasseur*, obronionej na Western Reservr University w Cleveland, cytowanej przez Crockera, *op. cit.*, t. I, s. 172. Wśród innych prac na temat Rousseau i Teresy można wymienić Claude'a Ferrala, *Jean-Jacques Rousseau et les femmes*, Paris 1934.
41. F. A. Pottle (wyd.), *Boswell on the Grand Tour, Germany and Switzerland 1764*, London 1953, s. 213-258.
42. *Ibidem*, s. 335-337.
43. Greig, *op. cit.*, t. II, s. 14-15.
44. Cyt. przez Crockera, *op. cit.*, t. I, s. 186.
45. *Ibidem*, s. 178, i n.
46. *Wyznania*, t. II, s. 92-93, 157.
47. Jan Jakub Rousseau, *Ekonomia polityczna*, w: Jan Jakub Rousseau, *Trzy rozprawy z filozofii społecznej*, *op. cit.*, s. 331.
48. O Woli Powszechnej, patrz: Jean-Jacques Rousseau, *Umowa społeczna*. Tłum Antoni Peretiatkowicz, Warszawa 1966, s. 33 i n.
49. Druk. przez C. R. Vaughana, *The Political Writings of Rousseau*, Cambridgr 1915, t. II, s. 250.
50. Sergio Cotta, *La position du probleme de la politique chez Rousseau*, w: *Etudes sur le contrat social de [-]. Rousseau*, Paris 1964, s. 177-190.
51. I.W.Allen, cyt.przez Crockera, *op.cit.,t.I*, s. 356,, przyp.6.
52. Huizinga, *op.cit.*, Wstęp, s. XVI.
53. Głosy za I przeciw Rousseau, zob. Huizinga, *op. Cit.*, s. 267 i n.
54. Uwagę tę zanotował Henri Guillemin, *Un Homme, deux ombres*, Geneve 1943, s. 323.

## 2. Shelley, czyli nieczułość idei

25 czerwca 1811 roku pewien dziewiętnastoletni dziedzic tytułu angielskiego baroneta pisał do młodej nauczycielki w Sussex: „Nie jestem arystokratą ani jakimś innym -kratą, a jedynie namiętnie pragnę, by nadszedł czas, gdy człowiek ośmieli się żyć w zgodzie z Naturą i Rozsądkiem, i w konsekwencji zgodnie z Cnotą”<sup>1</sup>.

Była to czysta doktryna Rousseau, ale nadawca listu, poeta Percy Bysshe Shelley, poszedł o wiele dalej od Rousseau w roszczeniach intelektualistów i pisarzy do przewodzenia ludzkości. Podobnie jak Rousseau, Shelley wierzył, że społeczeństwo jest na wskroś zepsute i winno ulec przekształceniu, a człowiek oświecony, posługując się jedynie intelektem, ma moralne prawo i obowiązek przebudować to społeczeństwo od samych podstaw. Jednakże intelektualiści - zwłaszcza poeci, których uważał za przywódców intelektualnej społeczności - winni zająć uprzywilejowane miejsce w tym procesie. Pisał wtedy: „Poeci są nie uznanymi prawodawcami świata”.

W roku 1821 Shelley wysunął to wyzwanie w imieniu swych przyjaciół intelektualistów w *Obronie poezji*, eseju liczącym dziesięć tysięcy słów, który stał się najważniejszą od czasu starożytności deklaracją społecznego celu literatury<sup>2</sup>. Shelley twierdził, że poezja jest czymś więcej niż popisem sztuki słów lub rozrywką. Ma bowiem najważniejsze cele spośród wszystkich gatunków pisarstwa, to jest proroctwo, prawo i wiedzę. Postęp społeczny może się dokonać tylko wówczas, gdy kieruje nim etyczna wrażliwość. Powinny ją głosić Kościoły, ale te jawnie zawiodły. Nie może jej dać nauka. Celem moralnego nie wskazuje racjonalizm. Gdy nauka i racjonalizm występują w przebraniu etyki, wywołują takie klęski, jak francuski terror rewolucyjny czy napoleońska dyktatura. Tylko poezja może wypełnić moralną próżnię i uczynić z postępu prawdziwie twórczą siłę. Poezja „pobudza i rozszerza umysł, uzdalniając go do przyjęcia tysiąca nie poznanych kombinacji myślowych. Poezja zdziera zasłony z ukrytego piękna świata..”. „Wielką tajemnicą etyki jest miłość, która niczym innym nie jest jak wyjściem zupełnym z naszej natury i utożsamieniem się naszej istoty z pięknem istniejącym w myśli, w czynie albo w obcej nam osobie”.

Poezja zwalcza egoizm i materialne wyrachowanie. Wspiera ducha wspólnoty. „By być wyniośle dobrym, musi człowiek mieć wyobraźnię intensywną i szeroką; musi się postawić w położenie drugiego człowieka i wielu innych; cierpienia i rozkosze bliźnich muszą się stać jego własnymi. Wielkim narzędziem dobra moralnego jak imaginacja; a poezja wywołuje ten skutek oddziałując na przyczynę.”

Poezja posunęła naprzód moralny rozwój cywilizacji: w rzeczywistości poezja, jej służebnica - wyobraźnia, oraz swoboda jej naturalnego środowiska tworzą trójnóg, na którym wspiera się cała cywilizacja i etyka. Poezja, wspomagana przez wyobraźnię, jest niezbędna do przebudowy społeczeństwa: „Pragniemy zdobyć umiejętność tworzenia, by wyobrazić sobie to, co wiemy; oczekujemy szlachetnego bodźca, by uczynić to, co sobie wyobrażamy; pragniemy poezji życia”.

Shelley, oczywiście, nie głosił jedynie żądań poetów do objęcia władzy: przedłożył, po raz pierwszy, zasadniczą krytykę materializmu, który stał się główną cechą dziewiętnastowiecznego społeczeństwa: „Poezja i zasada własnego interesu, którego pieniąż jest dostrzegalnym wcieleniem to Bóg i mamona tego świata”<sup>3</sup>.

W poezji Shelley stosował bezwzględnie to, co głosił. Był wielkim poetą i jego poezję można pojmować i cieszyć się nią wielowarstwowo. W warstwie najgłębszej, którą Shelley specjalnie wyróżniał, jest ona zasadniczo moralna i polityczna. To najbardziej rozpolitykowany z poetów angielskich: wszystkie jego większe poematy i wiele mniejszych utworów zawierały wezwania do działania społecznego, miały publiczne przesłanie.

Najdłuższy, *Rokosz islamu* (blisko pięć tysięcy wersów), dotyczy ucisku, powstania i wolności. *Hymn do piękna myśli ludzkiej* mówi o duchu piękna, uosabiającym wolność i równość wszystkich istot ludzkich, święcącym triumf nad panoszącym się złem.

*Prometeusz wyzwolony* opowiada o zakończonej sukcesem rewolucji i zwycięstwie mitycznej postaci, która dla Shelleya, tak jak dla Marksa i innych, symbolizuje intelektualistę wiodącego ludzkość do utopii na ziemi. W *Rodzinie Cencich* znów jest mowa o rewolucji przeciw tyranii, temat ten poruszają *Oedipus Tyrannus*, czyli *Opuchłotydziec Król*, utwór, który jest atakiem na króla Jerzego IV, i *Maska anarchii*, atakująca jego ministrów. W *Ozymandiasie* - jest to jedynie sonet, ale za to potężny - świętuje Shelley nemezis autokracji. W lirycznych *Wierszach napisanych wśród Eugenejskich* wzgórz kreśli cykle tyranii, obejmującej cały świat, i zaprasza czytelnika w podróż do sprawiedliwej utopii<sup>4</sup>. *Oda do wiatru zachodniego* to jeszcze jeden pretekst, by rozpowszechnić polityczne przesłanie:

„W świat myśl mą zamarłą ponieś na kształt puchu  
Tych liści zwiędłych, wieszczących radośne  
Dni zmartwychwstania... W rozpieśnionym ruchu  
Roztrząś, jak popiół iskry ognionośne,  
Te moje słowa!... Niechaj się rozszerzą  
Nad senną ziemią me prorocstwo, głośnie  
Jak odgłos surmy! Gdy się zima zbliża,  
Czy nie podąża za nią wiosna chyża?!..”

(Tłum. Jan Kasprowicz)

*Do skowronka* zawiera ten sam motyw - troskę, by usłyszano jego głos, by trafiło jego przesłanie. Shelley rozczarowany był nikłą poczytnością swoich dzieł, rozpaczał, że jego polityczne i moralne doktryny nie przenikają do społeczeństwa. Nie przypadkiem dwa z jego najbardziej żarliwych poematów to zaklęcia, by jego słowa krążyły szeroko i by słuchano ich z uwagą. Mówiąc krótko, jako artysta Shelley był wyjątkowo pozbawiony egocentryzmu. Niewielu poetów napisało mniej dla zadowolenia własnego.

A jakim człowiekiem był Shelley? Do całkiem niedawna ogólny obraz poety był taki, jaki usilnie propagowała jego druga żona i wdowa po nim, Mary Shelley. Według tego obrazu poeta był szczególnie czystym i niewinnym, niezemskim duchem, obce mu były podstęp i rozpusta. Oddany swej sztuce i przyjaciołom, daleki od polityki, przypominał raczej ogromnie inteligentne, nadmiernie uczuciowe dziecko.

Obraz ten wzmocniały niektóre współczesne opisy jego postaci: był mężczyzną szczupłym, bladym, wątłym, który wciąż wyglądał niczym młodzieniec mimo swych dwudziestu kilku lat.

Kult ubioru cygańskiego, zapoczątkowany przez Rousseau, przetrwał w drugim i trzecim pokoleniu romantycznych intelektualistów. Byron pokazywał się nie tylko w stroju lewantyńskim lub orientalnym, ale i w ubraniach europejskich starał się o zachowanie pewnej swobody, rozstając się z wyszukanyimi krawatami i nosząc rozpiętą koszulę; często nie nosił też żakietu, a jedynie koszulę z długimi rękawami. Tę arystokratyczną pogardę dla niewygodnych konwencji naśladowali raczej poeci plebejscy, na przykład Keats.

Shelley także przyjął tę modę, ale nadał jej własny styl: przepadał za szkolnymi kurtkami i czapkami, niekiedy za małymi, ale szczególnie odpowiednimi, by wywrzeć wrażenie, o które się starał, mianowicie młodzieńczej spontaniczności i świeżości, nieco niezdarnej, za to czarującej. Ów styl lubiły zwłaszcza damy, tak jak lubiły styl Byrona, rozpiętego i rozmemłanego.

Pomogło to stworzyć przekonujący i trwały, choć mityczny obraz Shelleya, wykuty jakby z marmuru w słynnym opisie danym przez Matthew Arnolda, który pisał o Shelleyu

jako „aniele pięknym a nieudolnym, w próżni bijącym daremnie błyszczącymi skrzydłami”. Opinia ta pochodzi z eseju o Byronie - Arnold uważa poezję Byrona za o wiele poważniejszą i bardziej ważką niż twórczość Shelleya, wyróżniającą się „nieuleczalną wadą” „braku wszelkiej treści”. Z drugiej strony, jako osobowość Shelley był „duchem pięknym i czarującym”, „nieskończenie przewyższającym Byrona”<sup>5</sup>.

Trudno sobie wyobrazić osąd bardziej przewrotny, błędny w każdym punkcie i prowadzący do wniosku, że Arnold mało znał obu poetów i że nie czytał dzieł Shelleya zbyt uważnie. Zastanawia jednak, że i Arnold, i Byron mieli podobne zdanie na temat osobowości Shelleya. Byron pisał o Shelleyu: „Niewątpliwie był to *najlepszy* i *najmniej* samolubny z ludzi, których znałem. Nie znałem nikogo, kto nie byłby bestią w porównaniu z nim”. Albo też: „O ile wiem, jest to *najmniej* samolubny i *najłagodniejszy* z ludzi, człowiek, który złożył w ofierze innym więcej ze swego majątku i uczuć niż ktokolwiek”<sup>6</sup>.

Uwagi te pochodzą z okresu, gdy Byron miał jeszcze świeżo w pamięci tragiczny koniec Shelleya, zresztą nie były to jedynie wypowiedzi gołosłowne. Ponadto wiedza Byrona o Shelleyu opierała się w większej mierze na tym, co mu Shelley powiedział o sobie. Warto dodać, że Byron był człowiekiem światowym, bystrym sędzią i zawziętym prześladowcą głupoty, jego świadectwo o wrażeniu, jakie Shelley wywarł na bardziej tolerancyjnych ludziach bohemy, ma swoje znaczenie.

Prawda jednak jest zasadniczo odmienna i bardzo niepokojąca dla każdego, dla mnie także, kto czci Shelleya jako poetę. Wyłania się ona z rozmaitych źródeł, głównie z listów Shelleya<sup>7</sup>. Ukazuje człowieka zadziwiająco prostolinijnego w pogoni za ideałami, ale bezwzględnie, nawet brutalnego wobec każdego, kto stanął mu na drodze. Podobnie jak Rousseau, Shelley kochał całą ludzkość, ale był czasem okrutny dla pojedynczych istot. Płonął żarliwą miłością, choć był to ogień nieprawdziwy; biada jednak śmiertelnym, którzy podeszli bliżej - mogli spłonąć. Shelley stawiał przed ludźmi idee, lecz jego życie jest świadectwem, jak nieczule mogą być idee.

Shelley urodził się 4 sierpnia 1792 roku w Field Place, obszernym georgiańskim domu w pobliżu Horsham, w hrabstwie Sussex. Nie był, jak wielu czołowych intelektualistów, jedynym dzieckiem. Jednakże los sprawił, że pod wieloma względami - jako jedyny syn i dziedzic znacznej fortuny wraz z tytułem, starszy brat czterech siostr, młodszych od niego od dwóch do dziewięciu lat - był bardziej narażony na zepsucie. Trudno obecnie zrozumieć, co to oznaczało w końcu osiemnastego wieku: według rodziców, a jeszcze bardziej zdaniem rodzeństwa, był stworzony na lorda.

Shelleyowie należeli do młodszej gałęzi starego rodu, skoligaconej z wielkim posiadaczem ziemskim, księciem Norfolk. Ich dość znaczny majątek zgromadził dziad Shelleya, sir Bysshe, pierwszy baronet, który urodził się w Newark, w New Jersey, obieżyświat z Nowego Świata, prosty i twardy a energiczny. Shelley odziedziczył po nim tę energię i bezwzględność.

Ojciec Shelleya, sir Timothy, który przejął tytuł w roku 1815, jakby dla kontrastu był człowiekiem łagodnym i nie wadzącym nikomu. Wiódł przez lata życie przykładne i nienaganne jako poseł do Izby Gmin z Shoreham, stopniowo dryfując z pozycji umiarkowanego wiga na pozycję przeciętnego torysa<sup>8</sup>.

Percy, otoczony przez zaślepionych rodziców i wielbiące go siostry, miał idylliczne dzieciństwo. Wcześniej zauważono u niego umiłowanie natury i nauk przyrodniczych, robił doświadczenia chemiczne i próby z balonami napełnionymi gorącym powietrzem, co się stało jego pasją życiową.

W roku 1804 dwunastoletniego Shelleya posłano do Eton, gdzie przebywał sześć lat. Pracował chyba sporo, osiągnął bowiem dużą biegłość w łacinie i grece, a także rozległą wiedzę w zakresie literatury starożytnej. Czytał zawsze chciwie i dużo, zarówno literaturę

poważną, jak i beletrystyczną, i obok Coleridge'a był najbardziej czytany poetą tamtej epoki. Uchodził też za prymusa szkoły.

W roku 1809, gdy miał szesnaście lat, doktor James Lind - niegdyś lekarz na królewskim dworze, a w Eton nauczyciel na niepełnym etacie, uczony-amator i radykał - zapoznał go z dziełem Williama Godwina *Dociekania nad zasadami sprawiedliwości politycznej i jej wpływem na moralność i szczęście ogółu*, kluczowym lewicowym tekstem tamtych dni<sup>9</sup>. Lind interesował się także demonologią i pobudzał u Shelleya namiętność do rzeczy nadprzyrodzonych i tajemniczych - ale w żadnym razie nie do gotyckich urojeń, wówczas modnych i znakomicie wykpionych w *Opactwie Northanger* Jane Austen - oraz do rzeczywistych działań „zakonu iluminatów” i innych tajnych towarzystw rewolucyjnych.

„Zakon iluminatów” został założony w roku 1776 przez Adama Weishaupta na niemieckim uniwersytecie w Ingolstadt: mieli oni być strażnikami racjonalistycznego oświecenia. Celem zakonu było oświecanie świata, dopóki, jak twierdzili, „książęta i narody nie znikną bez przemocy z powierzchni ziemi, rasa ludzka nie stanie się jedną rodziną, a świat siedzibą rozumnych ludzi”<sup>10</sup>. W pewnym sensie stało się to także niezmiennym celem Shelleya, pochłoniął on jednak materiały iluminatów wraz z agresywną propagandą ich wrogów, zwłaszcza sensacyjną rozprawą księdza Barruela *Memoirs Illustrating the History of Jacobitism* (Londyn 1797-1798), która atakowała nie tyle iluminatów, ile masonów, różokrzyżowców i Żydów. Shelley był przez wiele lat zafascynowany tą odpychającą książką, którą często polecał przyjaciółom (korzystała z niej jego druga żona, Mary, pisząc *Frankensteina* w roku 1818).

Od lat młodzięcych więc podejście Shelleya do polityki ubarwione było zamiłowaniem do tajnych towarzystw i spiskową teorią dziejów, głoszoną przez księdza Barruela i jemu podobnych. Shelley nigdy się z tego nie potrafił otrząsnąć i to właśnie skutecznie mu przeszkadzało zrozumieć politykę brytyjską lub motywy postępowania takich ludzi, jak Liverpool i Castlereagh, których uważał jedynie za wcielone zło<sup>11</sup>.

Chyba najwcześniejszym jego aktem politycznym była propozycja, złożona radykalnemu pisarzowi Leigh Huntowi, utworzenia tajnego towarzystwa „oświeconych i nie uprzedzonych członków” dla odparcia „koalicji wrogów wolności”<sup>12</sup>. Oczywiście, niektórzy ze znajomych Shelleya nigdy nie uważali jego poglądów politycznych za coś więcej niż jedynie żart literacki, za przeniesienie do realnego życia gotyckiego romansu. Thomas Love Peacock w powieści *Nightmare Abbey* (1818) ośmieszył manię tajnych towarzystw, a Shelleya przedstawił jako Scythropa „opętanego żądzą, zreformowania świata. Zbudował on wiele napowietrznych zamków, które zapełnił tajnymi trybunałami i bandami iluminatów, będących urojonym składnikiem projektowanej przez niego odnowy ludzkiego gatunku”.

Według jego przyjaciela, Thomasa Jeffersona Hogga, Shelley nie tylko nalegał na czytanie głośno i „z porywającym entuzjazmem” książki *Horrid Mysteries* („Straszne tajemnice”) każdemu, kto chciałby tego słuchać, ale i napisał dwie powieści gotyckie: *Zastrozzi*, opublikowaną podczas ostatniego roku nauki w Eton, i *St. Irvyne or the Rosicrucian*, ogłoszoną, gdy już studiował na pierwszym roku w Oksfordzie, powieść słusznie odrzuconą przez Elisabeth Barrett Browning jako „internatowy idiotyzm”<sup>13</sup>.

Shelley stał się więc słynny lub osławiony jeszcze w szkole, gdzie był znany jako „etoński ateista”. Warto to odnotować ze względu na późniejsze oskarżenia o nietolerancję wobec jego własnej rodziny. Dziad i ojciec nawet nie próbowali krępować młodzięcej twórczości, w tym także i poezji, zachęcali też Shelleya do publikacji utworów i finansowali je. Helena, jego siostra, potwierdziła, że stary sir Bysshe płacił za publikację jego szkolnych poematów. We wrześniu 1810 roku, tuż przed wyjazdem młodego poety do Oksfordu, sir Bysshe ponownie zapłacił za 1500 egzemplarzy przeznaczonego do druku tomu Shelleya *Original poetry by Victor and Cazire*<sup>14</sup>.

Gdy Shelley przybył jesienią do Oksfordu, ojciec zabrał go do najbardziej znanego księgarza, Slattera, i powiedział: „Mój syn ma literackie skłonności. Jest już autorem i proszę, niech mu pan wybaczy jego drukarskie zachcianki”. Sir Timothy oczywiście zachęcał syna do pisania poematu na konkurs o Partenonie i posyłał mu materiały<sup>15</sup>.

Było jasne, że miał nadzieję tak pokierować Shelleyem, by ten porzuciwszy młodzieńcze fajerwerki dotarł do poważnej literatury. Finansował utwory syna sądząc po prostu, że może on wyrażać swoje poglądy anty- religijne wśród przyjaciół, ale nie publikować ich: inaczej bowiem mógłby zniszczyć swą karierę uniwersytecką.

Jak wskazuje zachowana korespondencja, Shelley niewątpliwie przyjął ten punkt widzenia<sup>16</sup>. Później jednak złamał dane słowo i uczynił to w sposób skandaliczny i dosadny.

W marcu 1811 roku, na początku studiów uniwersyteckich w Oksfordzie, napisał agresywny utwór wyrażając w nim swe poglądy religijne. Rozumowanie jego nie było ani nowe, ani szczególnie szokujące, miało swe źródło w filozofii Locke'a i Hume'a. Idee, jak pisał Shelley, pochodzą od zmysłów i „Bóg” nie może się wywodzić od zmysłu-wrażenia, wiara nie jest więc aktem dobrowolnym, a niewiara nie może być występkiem. Ten twór sofistyki bez polotu autor opatrzył podżegającym tytułem: *The Necessity of Atheism* („Konieczność ateizmu”), wydrukował go, rozprowadził po oksfordzkich księgarniach i posłał egzemplarze wszystkim biskupom i dziekanom kolegów. Krótko mówiąc, jego postępowanie było rozmyślnie prowokujące i wywołało ze strony władz uniwersyteckich dokładnie taką odpowiedź, jakiej Shelley oczekiwał: został wydalony z uniwersytetu.

Timothy Shelley był skonsternowany, zwłaszcza że syn w liście zaprzeczył wszystkiemu. Doszło do przykrego spotkania w jednym z londyńskich hoteli: ojciec błagał, by syn wyrzekł się swych poglądów, przynajmniej teraz, póki jest młody; syn zaś upierał się, że poglądy są dla niego cenniejsze niż spokój rodziny. Ojciec „zrzędził, krzychał, przeklinał, później płakał ponownie”, Shelley śmiał się głośno, nagle „wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem, ześlizgnął się z krzesła i rozciągnął na wznak na podłodze”<sup>17</sup>. Nastąpiły rokowania: Shelley domagał się od ojca zagwarantowanej rocznej pensji dwustu funtów. W sierpniu 1811 pękła bomba: Shelley ożenił się z Harriet Westbrook, szesnastoletnią przyjaciółką szkolną swej siostry Elizabeth.

Później jego stosunki z rodziną się załamały. Shelley próbował przeciągnąć na swą stronę najpierw matkę, potem siostry, ale mu się to nie powiodło. W liście do przyjaciela potępił całą swą rodzinę jako „szajkę zimnych, samolubnych i wyrachowanych zwierząt, które wydają się nie mieć innego celu lub zajęcia na ziemi, jak jedzenie, picie i spanie”<sup>18</sup>.

Korespondencja poety z rodziną to zadziwiająca lektura: czasami kłamie przebiegle, próbując wyłudzić pieniądze, kiedy indziej znów jest okrutny, gwałtowny i złorzeczący. Jego listy do ojca są obłudnie błagalne lub obelżywe i nieznośnie protekcyjne. Tak na przykład 30 sierpnia 1811 Shelley błaga: „Nie znam nikogo prócz ciebie, do kogo bym mógł zwrócić się, licząc na pomoc w mej biedzie ... jesteś na tyle łaskawy, by wybaczyć

błędy młodości”. W liście z 12 października pisze jednak z pogardą: „Społeczeństwo cię wyznaczyło *na głowę rodziny*, choć tak jak inni narażony jesteś na popełnianie błędów z powodu uprzedzeń i namiętności, i wyznaję, że jest czymś naturalnym dla umysłów nie najwyższego lotu oceniać na równi błędy, gdy doszukują się ich znaczenia”. W trzy dni później oskarża ojca o „tchórzliwy, niski, godny pogardy sposób prześladowania... Traktowałeś mnie *źle, niegodziwie*. Gdy zostałem wypędzony za ateizm, pragnąłeś, bym poległ w Hiszpanii. Pragnienie spełnienia jest bardzo podobne do zbrodni: być może, było dla mnie lepiej, że prawa Anglii karzą morderstwo i że *tchórzostwo* wzbrania się przed ich krytyką. Skorzystam z pierwszej okazji, by cię ujrzeć - jeśli *ty* nie usłyszysz mego imienia, *ja* je wymówię. Pamiętaj, nie jestem owadem, którego można zniszczyć - gdybym miał dosyć pieniędzy, mógłbym cię spotkać w Londynie i krzyknąć do ucha: - Byshe! Byshe! Byshe! Tak, ażbyś ogłuchł!”. Ten list był nie podpisany<sup>19</sup>.

Dla swej matki był jeszcze bardziej okrutny. Siostra Elizabeth zaręczyła się z jego przyjacielem, Edwardem Fergussem Grahamem. Matka zaaprobowowała to małżeństwo, nie uczynił tego jednak Shelley. W dniu 22 października napisał do matki, oskarżając ją o romans z Grahamem i zaaranżowanie małżeństwa Elizabeth tylko po to, by ukryć swój związek z tym mężczyzną<sup>20</sup>. Wydaje się, że nie potwierdzały tego strasznego listu żadne fakty. Shelley napisał tego samego dnia do Elizabeth, donosząc o swym liście do matki i żądając, by pokazano go ojcu. Do innych pisał 1. „podłości i deprawacji matki”<sup>21</sup>.

W takiej sytuacji prawnik rodziny, William Whitton, został wprowadzony w sprawę i poinstruowany, by przeglądał wszystkie listy Shelleya do rodziny. Był to dobry człowiek, gotów doprowadzić do pokoju między ojcem a synem, ale zakończył swe starania zrażony całkowicie arogancją Shelleya.

Gdy wyraził opinię, że list Shelleya do matki „nie jest stosowny” (łagodne określenie w tym przypadku), jego własny został zwrócony z na- bazgraną na nim uwagą: „List Williama Whittona zredagowany w słowach, które usprawiedliwiają jego zwrot przez p. P. Shelleya dla uważnej ponownej lektury. Pan S. zaleca panu W., aby mając do czynienia z dżentelmenami (taka okazja może nieczęsto mu się zdarza), wstrzymał się od otwierania prywatnych listów, bo zuchwalstwo może ściągnąć chłostę za tę niegodzi- wość”<sup>22</sup>.

Wydaje się, że rodzina obawiała się gwałtowności Shelleya. Sir Timothy pisał do Whittona: „Jeśliby on pozostał w Sussex, musiałbym przyjąć kogoś do pilnowania mego domu. Przestraszył niezmiernie matkę i siostry, jeśli słyszą, że szczeka pies, biegną po schodach na górę. On nie ma nic do powiedzenia, jedynie: chcę dwieście funtów rocznie”. Ponadto obawiano się, że Shelley, który teraz prowadził cygańskie, wędrowne życie, mógłby namówić młodsze siostry do pójścia razem z nim. W liście z 13 grudnia 1811 roku próbował skłonić myśliwego z Field Place do przemycenia listu do Heleny („pamiętaj, Allen, że Cię nie zapomnę”); list - Helena miała dopiero dwanaście lat - był niebezpieczny na tyle, by przerazić ojca i matkę<sup>23</sup>.

Starał się też bardzo, by dotrzeć do jeszcze młodszej siostry, Mary.

Wkrótce wszedł do grona przyjaciół Godwina i związał się z jego wyemancypowaną córką Mary, której matka, Mary Wollstonecraft, była zagorzałą feministką, oraz z jej wielce zdemoralizowaną siostrą przyrodnią, Claire Clairmont. Przez całe dorosłe życie Shelley wytrwale próbował otaczać się młodymi kobietami, z którymi żył i które dzielił z wszystkimi mężczyznami należącymi do tego grona - przynajmniej tak było w teorii. Siostry wydały się Shelleyowi naturalnymi kandydatkami do takiego me- nage, szczególnie dlatego, że uważał za swój moralny obowiązek pomóc im „uciec” od wstrętnego materializmu rodzicielskiego domu. Powziął plan porwania Elizabeth i Heleny z internatu w Hackney, a Mary i Claire miały urządzić spotkanie<sup>24</sup>. Na szczęście nic z tego wyszło.

Shelley nie popełniłby jednak kazirodztwa. Podobnie jak Byron, był nim urzeczony, ale nie posunął się tak daleko jak Byron, kochający się z przyrodnią siostrą, Augustą Leigh. (Chociaż Laon i Cythna, bohaterowie długiego poematu Shelleya *Rokosz islamu*, byli bratem i siostrą - tak jak Selim i Zuleika z byronowskiej *Narzeczonej z Abydos* - dopóki wydawcy nie sprzeciwili się i nie zmusili Shelleya do poczynienia zmian)<sup>25</sup>. Shelley, podobnie jak Byron, uważał, że nie obowiązują go żadne normy przyjętych zachowań seksualnych.

Dla kobiet, które związały się z Shelleyem, czyniło to życie bardzo trudnym. Nie ma danych, że którakolwiek z nich, może z wyjątkiem Claire Clairmont, miała upodobanie w grupowym życiu lub też najmniejszą skłonność do stosunków pozamałżeńskich. Ku niezadowoleniu Shelleya wszystkie one, podobnie jak jego własna rodzina, chciały prowadzić normalne życie. On jednak nie był do tego zdolny.

Czuł się dobrze, gdy sytuacja się zmieniała, lubił nowe miejsca, niebezpieczeństwo, wszelkiego rodzaju emocje. Niepewność i niepokój wydawały się nieodzowne dla jego pracy.



Potrafił wszędzie przysiąc z książką lub z kartką papieru i zapisywać ją wierszami. Życie spędzał w meblowanych pokojach lub domach do wynajęcia, ciągle zmieniając miejsce, napastowany przez wierzycieli, stale w środku bolesnych osobistych dramatów, rozgrywających się wokół niego.

Wciąż jednak pracował, tworzył i po prostu pochłaniał książki. Napisał wtedy bardzo wiele utworów o wysokiej wartości. Jednak to życie *mouvemente*, które on uważał za podniecające, było zgubne dla innych, zwłaszcza dla jego młodej żony, Harriet.

Harriet była ładną i zgrabną dziewczyną, przeciętną kupiecką córką. Uległa boskiemu poecie, straciła dla niego głowę i z nim uciekła. Od tej chwili jej życie zmierzało nieubłaganie ku nieszczęściu<sup>26</sup>. Cztery lata dzieliła niebezpieczną egzystencję Shelleya, przenosząc się z nim do Londynu, potem do Edynburga, Yorku i Keswick, później do północnej Walii, Lymouth, znów do Walii, do Dublinia, Londynu i Thames Valley. Czasem Shelley włączał się w nielegalną działalność polityczną, przyciągając uwagę lokalnych władz i policji, niekiedy nawet władz centralnych. Wszędzie nachodzili go kupcy, żądając płacenia rachunków. Łatwo zrażał do siebie sąsiadów, których niepokoił niebezpiecznymi doświadczeniami chemicznymi lub też obrażał gorszącym, ich zdaniem, sposobem życia - obok niego bowiem zawsze kręciły się dwie młode kobiety, a czasem było ich więcej. Dwa razy, w okręgu Lake i w Walii, dom Shelleya zaatakowali miejscowi i musiał stamtąd uciekać. Umykał także przed wierzycielami i policją.

Harriet starała się brać udział w jego przedsięwzięciach. Pomagała mu kolportować nielegalne ulotki. Była zachwycona; gdy pierwszy jego długi poemat, *Królowa wróżek* (*Queen Mab*), został właśnie jej zadedykowany. Urodziła mu córkę, Elizę Ianthę, i syna Charlesa. Nie umiała jednak oczarować go na całe życie. Tak było i z innymi kobietami. Shelley kochał uczuciem głębokim, szczerym, namiętym, oczywiście wiecznym - dopóki nie znalazł nowego obiektu dla swej miłości.

W lipcu 1814 roku powiadomił Harriet, że zakochał się w Mary, córce Godwina, i że wyjeżdża z nią na kontynent (Claire Clairmont wlokła się za nimi jak cień). Wiadomość była dla Harriet wielkim szokiem, jej reakcja zaskoczyła Shelleya, a później poczuł się obrażony. Był jednym z tych wzniosłych egoistów - z mocną skłonnością do moralizowania - którzy sądzą, że inni mają obowiązek nie tylko dopasowywać się do nich, ale i okłaskiwać ich decyzje.

Listy Shelleya do Harriet, pisane w okresie gdy ją porzucił, ujęte są według tego samego wzoru, co listy do ojca: cechuje je protekcyjność przechodząca w obłudny gniew, gdy ona przestała patrzeć na świat jego oczami. Pisał do niej 14 lipca 1814 roku: „Nie moja to wina, że nigdy nie wypełniłaś mego serca wszechogarniającą namiętnością”.

Zachowywał się wobec niej wspaniałomyślnie i pozostał jej najlepszym przyjacielem. W następnym miesiącu zaprosił ją, by przyłączyła się w Troyes do niego, Mary i Claire: „...znajdziesz przynajmniej jednego i stałego przyjaciela, któremu twoje dobro będzie zawsze drogie, który nigdy nie zrani umyślnie twoich uczuć. Jedynie ode mnie możesz tego oczekiwać. Wszyscy inni są albo nieczuli, albo samolubni”.

Miesiąc później, uznawszy, że jego dotychczasowa taktyka nie popłaca, Shelley przybiera ton bardziej agresywny: „Uważam siebie za o wiele godniejszego i lepszego od wszystkich twoich symbolicznych przy-

jaciół... celem głównym moich starań było obsypanie cię dobrami. Nawet teraz, gdy nagła i trwała namiętność do innej sprawiła, że jej towarzystwo przedkładam nad twoje, stale zajęty jestem myślą, jak mogę być ciągle i prawdziwie tobie użyteczny ... nie jest dobrze, że w zamian mam być rażony zarzutami i winą - takie bezprzykładne, szczególnie przywiązanie wymaga zupełnie innego odwzajemnienia”. Nazajutrz znów pisał: „Rozważ, jak dalece pragniesz poddać swoje przyszłe życie wpływowi mego umysłu, wszystko dogląającego,

czy wciąż masz wystarczające zaufanie do wypróbowanej i niezmiennej mojej prawości, by się podporządkować zasadom, które mogłyby powstać dzięki naszej przyjaźni"<sup>27</sup>.

Listy te pisał głównie po to, by wyciągnąć od Harriet pieniądze (wówczas miała ich jeszcze trochę), częściowo starając się wyrzucić nacisk na nią, by zataiła przed wierzycielami i wrogami jego miejsce pobytu, wreszcie dlatego, by powstrzymać ją od zasięgnięcia porady prawników. Listy jego są usiane wzmiankami o jego „osobistym bezpieczeństwie” i o jego „bezpieczeństwie i wygodzie”.

Shelley był wyjątkowo wrażliwym człowiekiem, jednocześnie zupełnie nieczułym na uczucia innych (nie jest to niezwykła kombinacja). Gdy odkrył, że Harriet w końcu zasięgnęła porady adwokackiej co do swych uprawnień, wybuchnął gniewem. „To postępowanie oznacza, jeśli oczywiście jest prawdą, że twoja przewrotność przekroczyła miarę, że niszczysz swoje własne plany. Pamięć dawnej serdeczności, nadzieja, że możesz jeszcze nie być zupełnie stracona dla sprawy cnoty i wielkoduszności, mogłaby sprawić, że zgodzę się na więcej, niż zezwala prawo. Jeśli po otrzymaniu tego listu nadal będziesz odwoływać się do sądu, to jest oczywiste, że mogę cię odtąd uważać jedynie za wroga, za tego ... kto popełnił najnikczemniejszą i najgorszą zdradę.” I dodał: „Byłem idiotą oczekując od ciebie wielkości lub wspaniałomyślności”, i oskarżał ją o „nędzne i godne pogardy samolubstwo”, o próbę „wyrządzenia krzywdy niewinnemu, walczącemu z biedą człowiekowi”<sup>28</sup>.

Teraz, gdy w okłamywaniu samego siebie dosięgnął szczytu, uznał, że zachowywał się bez zarzutu od początku do końca, Harriet zaś - niewybaczalnie. Do Hogga, swego przyjaciela, pisał: „Jestem głęboko przekonany, że te przeżycia pozwolą mi stać się bardziej wytrwałym przyjacielem, bardziej pożytecznym miłośnikiem ludzkości [i] gorętszym orędownikiem prawdy i cnoty”<sup>29</sup>.

Jedną z najbardziej dziecinnych cech Shelleya była zdolność do łączenia najboleśniejszych obelg z prośbami o życzliwość. Na przykład po liście do matki oskarżającym ją o cudzołóstwo wysyłał do niej list z prośbą o przysłanie „maszyny galwanicznej i mikroskopu słonecznego”. Obelgi jego wobec Harriet przeplatały się z prośbami nie tyle o pieniądze, ile o garderobę: „Potrzebuję pończoch, motków nici i *Posthumous Works* („Dzieł pośmiertnych”) pani Wollstonecraft”. Bez pieniędzy, pisał, „muszę niewątpliwie umrzeć z głodu ... Moja droga Harriet, przyslij zapasy”<sup>30</sup>.

Nie interesował się jej stanem zdrowia, choć wiedział, że Harriet jest w ciąży. A później listy przestały nadchodzić. Harriet pisała do przyjaciółki: „Pan Shelley stał się rozrzutny i zmysłowy wskutek lektury *Dociekań nad zasadami sprawiedliwości politycznej* Godwina ... W następnym miesiącu będę rodziła. Nie będzie go w pobliżu. Nie obchodzę go teraz. Nigdy się mnie nie pyta, nie pisze ani słowa o tym, jak się miewa. Krótko mówiąc, człowiek, którego kiedyś kochałam, już nie żyje. Teraz jest tylko wampir”<sup>31</sup>.

Syn Shelleya, któremu Harriet nadała imiona Charles Bysshe, urodził się 30 listopada 1814 roku. Nie jest jasne, czy ojciec widział go kiedykolwiek. Eliza, starsza siostra Harriet - niezmiennie jej oddana i dlatego traktowana przez Shelleya nieustępliwie wrogo - zajęła zdecydowane stanowisko nieoddawania dzieci na wychowanie kobietom z cygańskiego kółka Shelleya. On zaś, odmiennie niż Rousseau, nie uważał swoich dzieci za „kłopot” i walczył o nie wytrwale. Walka jednak zakończyła się jego prawną przegraną, dzieci zostały oddane pod kuratelę sądu. Shelley stracił zainteresowanie dla nich.

Życie Harriet uległo rozbiciu. We wrześniu 1816 roku zostawiła dzieci swym rodzicom i wynajęła mieszkanie w Chelsea. Ostatni list napisała do siostry: „Wspomnienie twojej dobroci, za którą tak niegodnie ci odpłaciłam, napęlało często boleścią moje serce. Wiem, że mi przebaczysz, bo nie jest w twoim charakterze być niedobrą lub surową dla kogokolwiek”<sup>32</sup>.

W dniu 9 listopada Harriet zniknęła. Po miesiącu, 10 grudnia, jej ciało znaleziono w stawie Serpentine, w Hyde Parku. Było opuchnięte, mówiono, że spodziewała się dziecka, ale brak na ten temat przekonywających dowodów<sup>33</sup>.

Na tę wiadomość Shelley, który od dawna fałszywie głosił, że rozstali się z Harriet za wzajemnym porozumieniem, obrzucił jej rodzinę obelgami i stekiem kłamstw. Pisał wówczas do Mary: „Wydaje się, że ta biedna kobieta, najbardziej niewinna spośród całej swej odrażającej i nienormalnej rodziny, została wypędzona z ojcowskiego domu, stoczyła się po stopniach prostytucji i w końcu żyła z parobkiem, niejakim Smithem, a gdy ją opuścił, odebrała sobie życie. Nie ma wątpliwości, że jej siostra - wstrętna żmija - nie mogąc odnieść korzyści ze związku Harriet ze mną, zapewniła sobie majątek starego człowieka, teraz umierającego, mordując to biedne stworzenie! ... każdy odda mi pełną sprawiedliwość, świadcząc o mojej prawości i szczodrości względem Harriet”<sup>34</sup>. W dwa dni później posłał siostrze szczególnie nieczuły list<sup>35</sup>.

Histeryczne kłamstwa Shelleya można częściowo wyjaśnić nadal trawiącym go niepokojem, spowodowanym przez jeszcze inne samobójstwo, za które był odpowiedzialny. Fanny Imlay była pasierbicą Godwina, córką jego żony z poprzedniego małżeństwa. Była cztery lata starsza od Mary Godwin, Harriet pisała o niej jako o kobiecie „bardzo prostolinijnej i rozsądnej”. Shelley zabiegał usilnie o jej względy już w grudniu 1812 roku, pisząc do niej: „Należę do gatunku zwanego Człowiekiem, do tych okropnych zwierząt z długimi pazurami, i nie ośmielę się narzucać twej uwadze, póki nie przekonam cię, że jestem najbardziej nieszkodliwym z ludzi, że żyję na roślinnej diecie i nigdy, od chwili gdy się urodziłem, nie ugryzłem ani kęsa mięsa”<sup>36</sup>.

Fanny Imlay miała się wyróżnić niegdyś w zamierzonym przez Shelleya tworzeniu radykalnej wspólnoty z seksualnym współudziałem Shelleya, Mary, Claire, Hogga, Peacocka i brata Claire - Charlesa Clairmonta. W każdym razie Shelley oszałamiał ją i Godwin wraz z żoną sądzili, że tragicznie się w nim zakochała.

W dniach między 10 a 14 września 1814 roku Shelley był sam w Londynie, Mary i Claire przebywały w Bath i Fanny odwiedziła Shelleya w jego mieszkaniu. Prawdopodobnie wtedy właśnie ją uwiódł.

Wyjechał później do Bath. Wszyscy troje 9 października otrzymali od Fanny bardzo przygnębiający list, stemplowany w Bristolu. Shelley wyprawił się natychmiast, by ją odszukać, ale bez rezultatu. Ona tymczasem była już w drodze do Swansea i nazajutrz przebywając w tym mieście, w pokoju w Mackworth Arms, zażyła zbyt dużą dawkę opium.

Shelley nigdy nie wspominał w listach o Fanny, ale w roku 1815 pojawiła się mała wzmianka o niej w poemacie („Głos jej zadrżał przy naszym rozstaniu”), w którym opisuje siebie („młodzieniec z siwymi włosami i dzikim wzrokiem”) siedzącego nad jej grobem. Była to tylko fikcja, Shelley bowiem nigdy nie odwiedził jej grobu, który nie został oznaczony<sup>37</sup>.

Były jeszcze inne ofiary idei Shelleya. Jedną z nich to Elizabeth Hitchener, młoda robotnica z Sussex, córka przemysłowca, później oberżysty. Elizabeth dzięki nadzwyczajnemu wysiłkowi i poświęceniu została nauczycielką w Hurstpierpoint. Była znana z radykalnych poglądów i Shelley nawiązał z nią korespondencję.

W roku 1812 Shelley przebywał w Dublinie wygłaszając dla Irlandczyków kazania o wolności, oni jednak pozostali obojętni. Miał jeszcze sporo materiałów wywrotowych, powziął więc nagły pomysł wysłania ich pannie Hitchener do rozpowszechnienia w Sussex. Zapakował „bibułę” do dużej drewnianej skrzynki i, co dla niego charakterystyczne, opłacił przesyłkę jedynie do Holyhead, przyjmując, że zostanie ona dostarczona na miejsce i panna Hitchener opłaci ją po otrzymaniu. Oczywiście została otwarta na komorze celnej, poinformowano Home Office (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych), poddano nadzorowi nauczycielkę. Zniszczyło to skutecznie jej karierę.

Następnie Shelley zaprosił ją do swej małej wspólnoty i mimo sprzeciwu ojca i przyjaciół Elizabeth się zgodziła. Przekonał ją też, by mu pożyczyła sto funtów, przypuszczalnie oszczędności całego jej życia.

Wtedy jeszcze Shelley chwalił ją głośno: „Będąc bardzo niskiego stanu, osiągnęła głęboki i subtelny nałóg myślenia; jej umysł, z natury ciekawy i przenikliwy, przeskoczył granice przesądu”<sup>38</sup>. W listach nazywał Elizabeth swoją „opoką” w burzy, która szaleje wokół niego, „lepszym geniuszem, sędzią moich przemyśleń, przewodniczką czynów, sprawczynią mojej przydatności”. Była „jedną z tych istot, które niosą szczęście, naprawę, wolność, gdziekolwiek się udadzą”<sup>39</sup>.

Elizabeth przyłączyła się do grona Shelleya w Lynmouth, gdzie, jak donoszono, „śmieje się, rozmawia i pisze całymi dniami”, rozdawała też ulotki Shelleya.

Harriet i jej siostra wkrótce zaczęły się do niej odnosić niechętnie. Sam Shelley nie był przeciwny pewnemu napięciu wynikającemu z współzawodnictwa między towarzyszącymi mu kobietami. W tym jednakże przypadku szybko podzielił ich dezaprobatę.

Wydaje się, że uwiódł pannę Hitchener podczas długich spacerów brzegiem morza, później jednak zmienił względem niej uczucia. A ponieważ Harriet i Eliza jej nie lubiły, Shelley zdecydował, że panna Hitchener musi wyjechać. Nawiązał już bowiem kontakty z domem Godwina i uznał, że tamtejsze młode damy są bardziej podniecające. Panna Elizabeth Hitchener została więc wysłana z powrotem do Sussex z obietnicą dwufuntowej pensji tygodniowo. Była tam jednak traktowana jak pośmiewisko, jak porzucona kochanka dżentelmena. Shelley pisał szydlerczo do Hogga: „Rudy Demon, jak nazywam naszą niedawną dręczycielkę i nauczycielkę, musi otrzymywać od nas pensję. Płacę ją z ciężkim sercem, ale tak musi być. Została przez nasz niewłaściwy pośpiech pozbawiona warunków, które jej odpowiadały; teraz, jak sama mówi, jej dobre imię przepadło, jej zdrowie zrujnowane, a spokój umysłu zniszczony przez moje barbarzyństwo: to skończona ofiara wszystkich cierpień duchowych i cielesnych, jakie bohaterkę kiedykolwiek dotknęły!”. Nie mógł się oprzeć, by nie dodać: „To chytra, powierzchowna, szkolna hermafrodycka bestia, a nie kobieta”.

W rzeczywistości tylko raz otrzymała swoją pensję, a jej stufuntowa pożyczka nigdy nie została spłacona. Popadła znów w szarzyznę, z której niegdyś wyrwał ją Shelley.

Podobnym, a nawet godnym większego współczucia przypadkiem był Dan Healey, piętnastoletni chłopiec, którego Shelley ściągnął z Irlandii jako służącego. Mało wiemy o służących Shelleya, choć zwykle było ich trzech lub czterech. W liście do Godwina Shelley bronił swego próżniaczego życia twierdząc: „Gdybym był zatrudniony w warsztacie tkackim albo na roli, a moja żona w kuchni lub jako położna, to w obecnym stanie społeczeństwa szybko stalibyśmy się odmiennymi istotami i, mogę dodać, mniej użytecznymi dla naszego gatunku”<sup>40</sup>. Tak więc Shelley musiał zatrudniać służących, obojętnie, czy mógł sobie na nich pozwolić, czy też nie. Zwykle przyjmował do pracy miejscowych płacąc im niewiele, ale Dan był kimś innym - Shelley wykorzystywał go w

Dublinie do rozlepiania nielegalnych plakatów.

W Lynmouth, latem 1812 roku, posłużył się nim ponownie - Dan przyczepiał jego afisze na murach i stodółach. Chłopcu polecono, że w razie indagowania przez władze ma opowiedzieć historyjkę o „spotkaniu dwóch dżentelmenów na drodze”. Gdy 18 sierpnia Dana aresztowano w Barnstaple, opowiedział swoją historyjkę. To się jednak na nic nie zdało. Dan został skazany według królewskiego edyktu, wydanego przez Jerzego III, na dwieście funtów grzywny, z zamianą na sześć miesięcy więzienia. Zamiast zapłacić grzywnę, czego wszyscy (także i władze) oczekiwali, Shelley... pożyczył 29 szylingów od swej pokojówki i trzy funty od sąsiada, co razem miało wystarczyć dla Dana na ucieczkę. (Obojętność Shelleya względem swoich służących znajdujących się w kłopotach stanowi rażący kontrast wobec

troski Byrona, który natychmiast zapłacił grzywnę nałożoną na jego totumfackiego, G.-B. Falcieri, zwanego Tita.)

Tak więc Dan poszedł do więzienia. Po zwolnieniu powrócił na służbę do Shelleya, ale ten zwolnił go po pół roku. Jako formalny powód podał, że zachowanie się Dana jest „pozbawione zasad moralnych” - może nabył złych przyzwyczajęń w więzieniu - ale tak naprawdę to Shelleyowie musieli oszczędzać. Byli winni Danowi dziesięć funtów zaległej pensji, których nigdy mu nie zapłacili<sup>41</sup>.

Postępowanie Shelleya tłumaczyć można jego bardzo młodym wiekiem: w roku 1812 miał dopiero dwadzieścia lat. Dwadzieścia dwa lata liczył wówczas, gdy opuścił Harriet i wyjechał z Mary.

Zapominamy często, jak młode było to pokolenie angielskich poetów, w okresie gdy przekształcało literaturę anglojęzyczną świata, jak wcześniej umierali: Keats miał dwadzieścia pięć lat, Shelley - dwadzieścia dziewięć, Byron - trzydzieści sześć lat. Gdy Byron, opuściwszy na zawsze Anglię, po raz pierwszy spotkał Shelleya (nad Jeziorem Genewskim 10 maja 1816 roku), miał dwadzieścia osiem lat, a Shelley dwadzieścia cztery, Mary i Claire były dopiero osiemnastolatkami. Powieść Mary *Frankenstein*, którą pisała nad jeziorem podczas długich letnich nocy, była - jak można rzec - dziełem uczennicy.

Jeśli byli oni pod pewnym względem dziećmi, byli także dorosłymi odrzucającymi wartości świata i przedstawiającymi odmienne, własne systemy - tak jak studenci lat sześćdziesiątych XX wieku. Nie uważali się za zbyt młodych, by nie ponosić odpowiedzialności lub domagać się pobłażania należnego młodości, wprost przeciwnie.

Shelley szczególnie podkreślał wysoce ważny dla świata charakter swej misji. Intelktualnie dojrzał bardzo szybko. Niezmiernie potężny poemat *Królowa wróżek* (*Queen Mab*), młodzieńczy pod pewnymi względami, Shelley napisał w wieku dwudziestu lat i opublikował w roku następnym. Od 1815-1816, gdy Shelley zmierzał ku połowie swoich lat dwudziestych, jego twórczość dosięgła szczytu. W tym stadium wykazał nie tylko nadzwyczajne odczytanie, ale i niepospolitą głębię myśli. Nie ulega wątpliwości, że Shelley miał wybitny umysł, subtelny i wrażliwy. I choć był młody, przyjął obowiązki ojcowskie.

Przypatrzmy się teraz jego dzieciom. Miał ich siedmioro, od trzech matek. Pierwszych dwoje, Ianthe i Charles, które urodziła Harriet, zostało oddanych pod kuratelę sądu. Shelley kwestionował zawzięcie tę decyzję, ale przegrał, choćby dlatego, że sędziów przerażały niektóre jego poglądy zawarte w *Królowej wróżek*. Uważał działania sądu przede wszystkim za ideologiczną próbę zmuszenia go do wyrzeczenia się swych celów rewolucyjnych<sup>42</sup>. Po wydaniu niepomysłnej dla niego decyzji Shelley nadal rozpamiętywał wyrządzoną mu niesprawiedliwość i wciąż nienawidził lorda kanclerza Eldona, ale nie wykazał żadnego zainteresowania losem swych dzieci.

Nakazem sądu Shelley musiał płacić 30 funtów kwartalnie na rzecz dzieci, które umieszczono u przybranych rodziców. Sumę tę odliczano z jego pensji. Nigdy jednak nie skorzystał z prawa do odwiedzenia dzieci. Nigdy też do nich nie pisał, chociaż Ianthe miała dziewięć lat w chwili jego zgonu. Nigdy nie pytał, jak się miewają, chyba że formalnie; jedyny zachowany list Shelleya do Thomasa Hume, przybranego ojca dzieci, datowany 17 lutego 1820 roku, właściwie dotyczy własnych krzywd Shelleya i jest bezdusznym dokumentem<sup>43</sup>.

Nie ma wzmianki o tych dzieciach w żadnym innym zachowanym jego liście lub dzienniku. Wydaje się, że usunął je z pamięci, choć pojawiają się one jak cienie w jego autobiograficznym poemacie *Epipsychidion* (w którym żegna Harriet: „Kiedy zagasła ta, co gwiazdą lśniła mojemu życiu”):

Śnać zapomniawszy, jak dziatwa, zrodzona  
Z jednego matki opuszczonej łona,  
Bez oskrzydłonej sunęły odzieży,

Wołając: „precz z nim! nie do nas należy!”

(Tłum. Jan Kasprówicz)

Mary urodziła mu czworo dzieci, z których troje zmarło, jedynie syn Percy Florence, urodzony w roku 1819, miał przedłużyć ród Shelleyów.

Pierwsze z dzieci Mary, dziewczynka, zmarło we wczesnym niemowlęctwie. Syn William w wieku czterech lat zachorował w Rzymie na niezyt żołądka i jelit; Shelley czuwał przy nim trzy noce z rzędu, ale dziecko zmarło.

Starania Shelleya mogły być pobudzone częściowo poczuciem winy za rolę, jaką odegrał rok wcześniej, kiedy to zmarła jego córka Clara. Otóż w sierpniu 1818 Mary z dzieckiem przebywała w stosunkowo chłodnym uzdrowisku letnim Bagni de Luca. Shelley, będący wówczas w Este, niedaleko Wenecji, nalegał, by Mary z dzieckiem przyłączyła się natychmiast do niego - oznaczało to jednak męczącą pięciodniową podróż w najgorętszej porze roku. Shelley nie wiedział, że mała Clara nie czuła się dobrze już przed rozpoczęciem podróży: była bezspornie chora i stan jej nie ulegał poprawie. Trzy tygodnie później, znów jedynie dla własnej wygody - upojony był wymianą radykalnych poglądów z Byronem - posłał Mary stanowcze polecenie, by przybyła z dzieckiem do niego, do Wenecji. Biedna Clara, według opinii matki, „była w okropnym stanie, osłabiona gorączką”, a podróż trwała od wpół do czwartej rano do piątej po południu podczas upalnego dnia. Gdy dotarły do Padwy, Clara czuła się bardzo źle, ale Shelley nalegał, by jechały do Wenecji. Clara zmarła w godzinę po przybyciu do Wenecji<sup>44</sup>. Shelley przyznawał, że „ten nieoczekiwany cios” (który z pewnością był do przewidzenia) uczynił z Mary „klębek rozpaczy”. Było to ważne stadium pogorszenia się stosunków między nimi.

Kolejny kryzys nastąpił wtedy, gdy Shelleyowi urodziło się w Neapolu nieślubne dziecko, dziewczynka imieniem Elena. Zarejestrował dziecko jako swoje i Mary Godwin Shelley. Jednakże z pewnością to nie jego żona była matką. Wkrótce potem Shelley zaczął być szantażowany przez dawnego służącego Paolo Foggi, który ożenił się z piastunką dzieci Shelleyów, Elisą. Paolo opierał swe groźby na fakcie złożenia przez Shelleya nieprawdziwego, karalnego oświadczenia, wskazującego Mary jako matkę. Możliwe, że to Elisa była matką.

Wiele jednak niezbitych dowodów świadczyło przeciw tej wersji. Sama Elisa miała odmienną wersję. W roku 1820 powiedziała Richardowi Hoppnerowi, konsulowi brytyjskiemu w Wenecji, dotychczas wysoko poważającemu Shelleya mimo jego reputacji, że poeta oddał do przytułku w Neapolu dziewczynkę, którą miał z Claire Clairmont. Hoppner oburzony postępowaniem Shelleya zwierzył się z tego Byronowi, ten zaś odrzekł: „Wobec tych danych nie może być najmniejszej wątpliwości - jest to do nich podobne”<sup>45</sup>.

Byron wiedział wszystko o Shelleyu i Claire Clairmont. Była ona matką jego nieślubnej córki, Allegry. Claire usilnie łowiła go na męża wiosną 1816 roku, zanim opuścił Anglię. Byron miał niejaki skrupuły, nie chcąc uwieść dziewczicy, ale gdy mu się przyznała, że miała romans z Shelleyem, skrupuły znikły<sup>46</sup>. Oceniał bardzo nisko morale Claire, nie tylko bowiem właściwie go uwiodła, ale i zaproponowała, że przyprowadzi do niego również Mary Shelley<sup>47</sup>. Była to jedna z przyczyn, dla której nie pozwolił jej wychowywać Allegry, choć odłączenie od matki okazało się dla dziewczynki zgubne. Byron był przekonany, że Allegra jest jego dzieckiem, a nie Shelleya, był bowiem pewien, że Claire nie miała wtedy stosunków z Shelleyem. Wierzył jednak, że oboje, to jest Shelley i Claire, wznowili przerwany romans, gdy Mary była nieobecna. Dlatego urodziła się Elena.

Apologeci Shelleya przedstawili szereg innych wyjaśnień tej sprawy, ale rodzicielstwo pary Claire-Shelley jest najbardziej prawdopodobne<sup>48</sup>.

To zdarzenie załamało Mary, która nigdy nie lubiła Claire i miała za złe ciągłą jej obecność w swoim domu. Jeśli dziecko pozostałoby u nich, Claire stałaby się jednym z

członków rodziny i jej romans z Shelleyem prawdopodobnie zostałyby wznowiony. Ze względu na rozpacz Mary Shelley - za przykładem swego bohatera, Rousseau - oddał dziecko do sierocińca. Tam, co nie było niespodzianką, dziewczynka zmarła w roku 1820, w wieku osiemnastu miesięcy. Rok później, lekceważąc krytykę Hoppnera i innych osób, w liście do Mary podsumował sprawę w jednym bezwzględnym i demaskującym go zdaniu: „Szybko odzyskałem obojętność, którą osiągnąłem nie dzięki czyjejś opinii, ale naszej własnej świadomości zasług”<sup>49</sup>.

Czy wtedy Shelley miał stosunki pozamałżeńskie? Z pewnością nie w tym sensie, co Byron, który twierdził we wrześniu 1818 roku, że przez dwa i pół roku wydał ponad 2500 funtów na Wenecjanki i romansował „przynajmniej z dwustoma, takimi lub innymi, a być może było ich więcej”, a następnie wymienił z nazwiska dwadzieścia cztery swoje kochanki<sup>50</sup>. Z drugiej strony Byron miał pod pewnymi względami subtelniejsze niż Shelley poczucie humoru, nigdy nie był chytry i nie był oszustem.

Shelley pisał do reformatorki obyczajów seksualnych i feministki J. H. Lawrence: „Jeśli istnieje jakaś ogromna i godna ubolewania zbrodnia, o którą lękam się być oskarżonym, to uwodzicielstwo”<sup>51</sup>. W praktyce było jednak inaczej.

Uzupełniając przytoczone już fakty, trzeba wymienić przygodę miłosną z Włoszką, szlachetnie urodzoną Emilią Viviani. Shelley opowiedział o niej wszystko Byronowi, jednakże dodał: „Błagam, nie wspominaj o tym, o czym ci opowiadałem, bo cała prawda nie jest znana, a Mary byłaby nią bardzo zmartwiona”<sup>52</sup>.

Wydaje się, że Shelley pragnął kobiety, która zapewniłaby mu życie zrównoważone i wygodne, godząc się na uboczne romanse; on ze swej strony pozwoliłby - przynajmniej w teorii - swojej żonie na taką samą swobodę. Taki układ, jak zobaczymy, stał się wciąż powracającym celem wybitnych intelektualistów-mężczyzn. Nigdy to się jednak nie udawało, a już z pewnością nie w przypadku Shelleya. Swoboda, z której sam korzystał, spowodowała najpierw udręki Harriet, później Mary; one po prostu nie pragnęły dla siebie takiej wolności.

Oczywiście Shelley często omawiał te pomysły ze swym radykalnym przyjacielem, Leighem Huntem. Malarz i pamiętnikarz, Benjamin Robert Haydon, notuje, że Shelley „rozprawiał z panią Hunt i innymi obecnymi kobietami ... o niczemności i niedorzeczności dziewictwa”. Podczas dyskusji Hunt zaskoczył Haydona mówiąc, że „nie miałby nic przeciwko młodemu mężczyźnie śpiącemu z jego własną żoną, jeśliby ten miał na to ochotę”. Haydon dodał: „Shelley odważnie działał według własnych zasad - Hunt bronił ich nie mając energii, by je stosować, i poprzestawał na drobnomieszczańskich czułościach”<sup>53</sup>.

To, co myślały kobiety, nie zostało odnotowane. Gdy Shelley zaproponował Harriet romans ze swym przyjacielem Hoggiem, odmówiła stanowczo. Gdy podsunął tę samą propozycję Mary, początkowo się zgodziła, ale w końcu stwierdziła, że nie lubi Hogga<sup>54</sup>.

Zachowane świadectwa dowodzą, że eksperymenty Shelleya w dziedzinie wolnej miłości były tak potajemne i oszukańcze, jak te, które podejmowali najzwyczajni cudzołóżnicy, i wciągały go w typowy krąg przemilczeń i kłamstw.

Podobne były dzieje jego interesów pieniężnych, ogromnie powikłanych i uciążliwych. Postaram się więc jedynie o samo podsumowanie.

Shelley nie wierzył w ogóle we własność prywatną, a jedynie w prawo spadku i pierworództwa, z których korzystał. Swoje socjalistyczne zasady ustalił w *A Philosophical View of Reform*: „Równość posiadania winna być skutkiem ostatecznym najwyższej udoskonalonej cywilizacji; jest to jeden z warunków tego systemu społecznego, do którego - jakakolwiek by była nadzieja na ostateczne powodzenie - winniśmy dążyć”<sup>55</sup>. Tymczasem ludzie uprzywilejowani, ale oświeceni, tacy jak on sam, muszą trzymać się kurczowo odziedziczonego bogactwa, by prowadzić nadal sprawę. Stało się to znanym, faktycznie prawie uniwersalnym samousprawiedliwieniem bogatych radykalnych intelektualistów: Shelley stosował je, by wyciągnąć od swej rodziny tyle pieniędzy, ile się tylko da.

Na nieszczęście dla siebie w pierwszym liście do Godwina, przedstawiając się swemu mentorowi, oświadczył dumnie: „Jestem synem majątnego człowieka z Sussex ... Mam odziedziczyć jako majorat posiadłość ziemską, przynoszącą rocznie sześć tysięcy funtów”<sup>56</sup>. To musiało sprawić, że Godwin nastawił uszu. Był nie tylko wybitnym radykalnym filozofem, ale i genialnym finansowym krętaczem, jednym z najbardziej bezczelnych złodziei, którzy kiedykolwiek żyli. Prawdziwie zadziwiając sumami pieniędzy, otrzymywanymi od działających w dobrej wierze przyjaciół, Godwin pakował je w labiryntowy system własnych długów i nie zostawiał nic na pokaz. Porwał on młodego i niewinnego wówczas Shelleya i nigdy już nie wypuścił. Przejął nie tylko pieniądze rodziny Shelleya, ale i psuł go gruntownie, wykorzystując wszystkie sposoby stosowane wobec wczesno- dziewiętnastowiecznego dłużnika: przeterminowane obligacje, dyskontowane weksle i osławione *post-obit*, pożyczki, za pomocą których młodzi dziedzice majoratów mogli podjąć wysoko dyskontowane sumy, pożyczone na lichwiarski procent, czekając na zgon swych ojców. Shelley przejął te wszystkie rujnujące sposoby postępowania i duży procent pieniędzy, które podjął, wpadł prosto w czarną finansową dziurę Godwina<sup>57</sup>.

Godwin nigdy nie spłacił mu ani grosza, nie odniosła też zapewne najmniejszej korzyści znajdująca się w niedostatku rodzina Godwina. Wreszcie Shelley miał dość darmożjada: „Dałem panu - pisał do Godwina - w ciągu kilku lat sumę pieniędzy równą znacznej fortunie i aby pana spłacić, pozbyłem się sumy prawie czterokrotnie przewyższającej zaciągniętą. Oprócz życzliwości, którą ta transakcja, wydaje się, stworzyła między nami, pieniądze te, jeśli nawet dały panu jakąś korzyść, równie dobrze mogły być wyrzucone prosto w morze”.

Utrata pieniędzy to nie jedyna szkoda, jaką Shelley odniósł w kontaktach z Godwinem. Harriet miała rację, sądząc, że wielki filozof uczynił jej męża ordynarnym i nieczułym pod wieloma względami, zwłaszcza gdy chodziło o stosunek do pieniędzy. Opowiadała, że Shelley, który już wyprowadził się do Mary, odwiedził ją po urodzeniu syna Williama „i powiedział, że jest zadowolony, że to chłopak, bo będzie taniej”<sup>58</sup>. Rozumiał przez to, że pożyczkę *post-obit* będzie można uzyskać na niższy procent, jednak nie była to uwaga dwudziestoletniego poety-idealisty, a chytrego, chronicznego dłużnika.

Godwin nie był jedyną pijawką Shelleya. Był nią także wiecznie zebrzący intelektualista, Leigh Hunt. W ćwierć wieku później Thomas Bampton Macaulay w rozmowie z Napierem, wydawcą „The Edinburgh Review”, stwierdził, że odpowiedział właśnie na list Hunta „obawiając się przy tym, że stanie się jedną z wielu osób, które on prosi o dwadzieścia funtów, kiedy jest w potrzebie”<sup>59</sup>. Ostatecznie Hunt został unieśmiertelniony jako Harold Skimpole w *Samotni (Bleak House)* Dickensa. Sam autor tej powieści zwierzał się jednemu z przyjaciół: „Przypuszczam, że jest to najdokładniejszy portret, jaki kiedykolwiek został namalowany słowami. ... To absolutna reprodukcja prawdziwego człowieka”<sup>60</sup>.

W czasach Shelleya Hunt dopiero zaczynał swą długą karierę pożyczkobiorcy, stosując dobrze wypróbowaną technikę Rousseau - umiejętnego wmówienia swym ofiarom, że czyni im łaskę korzystając z ich wspaniałomyślności. Gdy Shelley zmarł, Hunt przeniósł się do Byrona, a ten ostatecznie zwrócił mu po prostu jego weksle. Byron zresztą uważał, że Hunt obłupił Shelleya. Niestety, uczynił coś gorszego, bo przekonał Shelleya, że w przypadku ludzi o poglądach postępowych, jak oni właśnie, oddawanie długów nie jest koniecznością moralną, wystarczy praca dla ludzkości.

W ten sposób Shelley, człowiek prawdy i cnoty, stał się dożywotnim zbiegiem i oszustem. Pożyczał pieniądze zewsząd i od kogo się dało, w większości długów tych nigdy nie spłacił. Ilekroć Shelley zmieniał miejsce pobytu, robił to na ogół pośpiesznie, zwykle pozostawiając za sobą ludzi niegdyś mu ufających, a teraz na niego rozgniewanych. Młody



Dan Healey nie był jedynym Irlandczykiem oszukanym przez Shelleya. Poeta pożyczył bez wątpienia znaczną sumę od Johna Lawlessa, republikańskiego wydawcy, z którym zaprzyjaźnił się w Dublinie. Lawless nie mógł sobie pozwolić na stratę pieniędzy i po wyjeździe Shelleya pisał z niepokojem do Hogga pytając, gdzie Shelley się podziewa. Wkrótce potem Lawless został aresztowany za długi.

Shelley nie tylko nie uczynił próby wydobycia go z więzienia i nie oddał pieniędzy, które był mu winien, lecz obrzucił obelgami za narzekanie. Pisał do Catherine Nugent, wspólnej przyjaciółki w Dublinie: „Obawiam się, że wykorzystał cię, jak przedtem wykorzystał nas”<sup>61</sup>. Co gorsza, w Lynmouth Shelley podpisał weksle używając jego nazwiska („czcigodny pan Lawless”); to było fałszerstwo, wówczas zbrodnia główna<sup>62</sup>.

Walijczycy byli następną grupą ludzi, których Shelley oszukał podczas pobytu w ich stronach. Przybył tam w roku 1812, wydzierżawił farmę i najął służących („czy mógłby pan nająć godną zaufania podręczną, możemy ich trzy przyjąć”), ale został wkrótce aresztowany w Caernarvon za dług w wysokości sześćdziesięciu do siedemdziesięciu funtów. John Williams, który wspierał jego walijskie przedsięwzięcia, i William Roberts, wiejski lekarz, zapłacili za Shelleya kaucję, a długi i koszty pokrył londyński adwokat, John Bedwell.

Wszyscy trzej żalowali potem swej wielkoduszności. Ponad trzydzieści lat później, w roku 1844, doktor Roberts wciąż jeszcze próbował odzyskać z majątku Shelleya trzydzieści funtów, które poeta mu był winien. Bedwell również na próżno domagał się zwrotu swoich pieniędzy, a Shelley pisał do Williamsa rok później: „Otrzymałem bardzo niemiły i rozkazujący list od pana Bedwella, któremu odpowiedziałem w nieugiętym duchu”. Shelley lubił przybierać wysokie tony.

Brat Williamsa, Owen, pożyczył Shelleyowi sto funtów. Odnaleziono list Shelleya do Williamsa z żądaniem, by Owen dodał jeszcze dwadzieścia pięć funtów. Shelley pisał: „Spełnienie przez pana mojej prośby wykaże, że poznam, czy brak przyjaciół oziębła, czy też nie oziębła przyjaźni”.

Stosunki Shelleya z Williamsem załamały się w następnym roku w zamęcie wzajemnych oskarżeń na temat pieniędzy, które mu był winien poeta. Ani Williams, ani Owen nie otrzymali nigdy grosza.

Mimo to Shelley zachowywał się ostro i pouczająco wobec każdego, z wyjątkiem Godwina i Hunta, kto był mu winien pieniądze. Pewien Walijczyk, John Evans, otrzymał dwa monitujące pisma: Shelley przypominał, że Evans jest winien pieniądze, które są „długiem honorowym, a ten ze wszystkich jest najbardziej nagły, trzeba więc naciskać, by koniecznie natychmiast został zwrócony, trzeba biadać nad apatią i zaniedbaniem przenie- wiercy”<sup>63</sup>.

Nie jest jasne, co Shelley rozumiał przez długi honorowe. Nie miał skrupułów pożyczając pieniądze od kobiet, począwszy od praczek i posługaczek, swej gospodyni w Lynmouth - otrzymała przypuszczalnie dwadzieścia z trzydziestu funtów, które Shelley był jej winien, a mądrze nie pominęła żadnej jego książki - skończywszy zaś na włoskiej przyjaciółce Emilii, od której dostał 220 koron.

Był winien pieniądze kupcom wszelakiej maści. W kwietniu 1817 roku, na przykład, Shelley i Hunt obiecali zapłacić niejakiemu Josephowi Kirkmanowi za fortepian: instrument został dostarczony, ale nie zapłacono za niego jeszcze przez cztery lata.

Podobnie Shelley poprosił Chartera, słynnego wytwórcę powozów z Bond Street, by zrobił dla niego doskonały pojazd, w cenie 523 funtów 11 szylingów i 6 pensów, którego Shelley używał do swej śmierci. Charter ostatecznie pozwał poetę do sądu, ale wciąż próbował odebrać pieniądze jeszcze w latach czterdziestych.

Szczególną grupą ludzi wyzyskiwaną przez Shelleya byli drobni drukarze-księgarze, którzy publikowali na kredyt jego poematy. Rozpoczęło się od dwudziestu funtów pożyczonych od Slattera, oksfordzkiego księgarza, wówczas gdy Shelleya relegowano z uniwersytetu. Slatter lubił poetę i starał się ratować przed zachłannymi lichwiarzami; w końcu Shelley wciągnął go

w przerażająco kosztowny bałagan. W roku 1831 brat Slattera pisał do sir Timothy'ego: „Ucierpieliśmy bardzo w wyniku uczciwej próby ratowania pańskiego syna przed pójściem do Żydów po pieniądze pożyczane na wysoki procent ... straciliśmy ponad tysiąc trzysta funtów”. Ostatecznie obaj Slatterowie zostali aresztowani za długi i nigdy, jak się wydaje, nie zostali spłaceni.

Drukacz z Weybridge, który opublikował *Alastora*, cztery i pół roku później wciąż próbował zmusić Shelleya do zapłaty za druk. Nie ma danych świadczących o tym, że pieniądze odzyskał.

Do trzeciego z tych księgarzy Shelley pisał w grudniu 1814 roku: „Jeśli pan dostarczy mi książki, to przekażę panu obligację pożyczki *post-obit*, w proporcji: 250 funtów za każde 100 funtów dostarczonych w książkach”. Shelley informował go też, że jego ojciec ma sześćdziesiąt trzy lata, a dziad osiemdziesiąt pięć, podczas gdy naprawdę mieli odpowiednio sześćdziesiąt jeden i osiemdziesiąt trzy.

Czwarty z księgarzy-wydawców, Thomas Hookham, nie tylko drukował *Królowę wróżek* (*Queen Mab*) na kredyt, ale i wypłacał Shelleyowi pieniądze. Pozostał także wierzycielem poety, a za zbrodnię sympatyzowania z Harriet stał się celem ataków. Shelley pisał do Mary 25 października 1814: „Jeśli spotkasz Hookhama, nie obrażaj go otwarcie. Mam wciąż nadzieję ... sprawić, że ten łotr bez serca znieawidzi własne ciało - we właściwym czasie. Zniszczę go w odpowiedniej porze. Jego duma zostanie rozdeptana w proch. Zmiażdżę go po kawałku”<sup>64</sup>.

Co jest wspólnym mianownikiem dla niemoralnego postępowania Shelleya, jego występków finansowych, złych stosunków z ojcem i matką, żonami i dziećmi, przyjaciółmi, współnikami w interesach i kupcami? Jest to z pewnością niezdolność postrzegania jakiegokolwiek innego punktu odniesienia poza własnym, krótko mówiąc - brak wyobraźni. Zdziwiał to tym bardziej, że wyobraźnia stanowi samo jądro teorii Shelleya o odrodzeniu politycznym. Według Shelleya wyobraźnia lub „uroda intelektualna” jest niezbędna do przekształcenia świata; a skoro przede wszystkim poeci odznaczają się tą cechą, skoro poetycka wyobraźnia jest najcenniejszym i najbardziej twórczym z ludzkich talentów, to mianował ich Shelley naturalnymi prawodawcami świata, aczkolwiek nie uznanymi. Czy jednak on, poeta, jeden z największych poetów, był zdolny do duchowej solidarności z całą klasą uciskanych robotników rolnych, z luddystami, buntownikami z Peterloo, z robotnikami, z ludźmi, których nigdy nie widział; czy był zdolny do nawet abstrakcyjnego współczucia dla całej cierpiącej ludzkości, gdy okazywało się jawnie niemożliwe nie raz i nie dziesiątki, ale setki razy, aby przeniknął wyobraźnią umysły i serca wszystkich tych ludzi, z którymi miał codziennie do czynienia. Od księgarzy do baronetów, od służących do kochanek - nikogo nie uważał za upoważnionego do innego poglądu niż jego własny, a napotykał ich opór, uciekał się do obelg.

List do Johna Williamsa z 21 marca 1813 roku uwydatnia doskonale ograniczenia wyobraźni poety. Shelley zaczyna od napaści na nieszczęsnego Bedwella, by przejść do dzikiego ataku na jeszcze bardziej nieszczęsną pannę Hitchener („kobieta o rozpaczliwych poglądach i okropnych namiętnościach, ale też pełna zimnej i niezmiennej zemsty ... Uśmiełem się serdecznie z jej dnia cierpienia”), a kończy ślubowaniem wobec ludzkości: „Jestem gotów dla mego kraju i przyjaciół zrobić wszystko, co będzie im służyło - i dla pana także, którego przywiązaniem sługą nadal pozostaję”. Pisał to do tego samego Williamsa, którego właśnie oszukiwał i który wkrótce stanie się jeszcze jednym rozgorączkowanym wierzycielem<sup>65</sup>.

Shelley poświęcił życie postępowi politycznemu, korzystając z udzielonego mu cudownego daru poetyckiego, nigdy nie uświadomiwszy sobie defektu swej wyobraźni. Nie uczynił też jakiegokolwiek próby zdobycia danych o tych warstwach ludzkości, którym pragnął pomóc. Napisał *An Address to the Irish People* („Mowa do ludu Irlandii”), zanim jeszcze postawił nogę w tym kraju. Gdy tam przybył, nie zrobił żadnego systematycznego wysiłku, by zbadać

tamtejsze warunki lub odkryć, czego pragną Irlandczycy<sup>66</sup>. Zamierzał natomiast zniszczyć ich ukochaną religię.

Shelley nie znał się także zupełnie na angielskiej polityce i opinii publicznej, nie miał w ogóle pojęcia o rozpaczliwym położeniu, w jakim znalazł się rząd w okresie po bitwie pod Waterloo, i nie wiedział nic o szczerych wysiłkach rozwiązania wielu problemów. Nigdy nie próbował zasięgnąć informacji o ludziach obdarzonych najlepszymi zamiarami i wrażliwością, takich jak Castlereagh i sir Robert Peel, ani nie oddał im sprawiedliwości posługując się tą przenikliwością wyobraźni tak według niego istotną. Zamiast tego obrzucał ich obelgami w *Masce anarchii*, tak samo jak to czynił w swej korespondencji z wierzycielami i porzuconymi kobietami.

W oczywisty sposób Shelley chciał całkowitego politycznego przekształcenia społeczeństwa, w tym zniszczenia religii zorganizowanej. Był jednak w kłopotach, jak to osiągnąć. Czasami głosił bierny opór, i są tacy, którzy uważają go za pierwszego prawdziwego apostoła biernego oporu, przodka Gandhiego<sup>67</sup>. „Nie miejcie nic wspólnego z siłą lub gwałtem” - pisał w „Mowie do ludu Irlandii”. I dodawał: „Stowarzyszenia związane dla celów gwałtu zasługują na jak największą dezaprobatę prawdziwego reformatora! ... Także złe są wszystkie tajne związki”.

Shelley czasami jednak próbował organizować tajne grupy i niektóre fragmenty jego poezji mają jedynie sens jako zachęta do bezpośredniego działania. *Maska anarchii* zawiera na przykład taką sprzeczność: jedna ze strof (wiersze 340-344) wspiera bierny opór, ale najbardziej znana, kończąca się słowami: „Was jest wielu, ich jest garstka”, jeszcze powtórzona (II, 151-154, 369-372), jest obroną powstania<sup>68</sup>.

Byron, który był buntownikiem jak Shelley, ale jeszcze bardziej człowiekiem czynu niż intelektu - nie wierzył w ogóle w przekształcenie społeczeństwa, a jedynie w jego samostanowienie - bardzo sceptycznie podchodził do utopii Shelleya. W pięknym poemacie Shelleya *Julian i Maddalo*, który odnotowuje ich długie rozmowy w Wenecji, Maddalo (czyli Byron) mówi o politycznym programie Shelleya: „Myślę, że możesz uczynić spójnym taki system odporu. Jak daleko słowa sięgają”, ale w praktyce sądził, że takie górnolotne teorie są daremne.

To, że w tym poemacie, powstałym w latach 1818-1819, Shelley uznał krytycyzm Byrona, oznaczało przerwę w jego śmiałym politycznym fundamentalizmie. Shelley podchodził do Byrona z wielką skromnością: „Straciłem nadzieję dorównania lordowi Byronowi, jeślibym w ogóle potrafił, i nie ma nikogo, z kim warto by współzawodniczyć ... każde słowo jego nosi znamię nieśmiertelności”. Przez pewien czas siła Byrona prawie go paraliżowała; Shelley pisał: „...słońce przygasiło robaczka świętojańskiego”.

Z pewnością poznanie Byrona wywarło zasadniczy wpływ na Shelleya. Odmiennie jednak niż Byron, który zaczął widzieć siebie w roli organizatora ludów uciskanych - Włochów, a później Greków - Shelley począł zwracać się przeciw wszelkiej bezpośredniej akcji. Jest bardzo znaczące, że pod koniec życia stał się krytykiem Rousseau, którego utożsamiał ze strasznymi okrucieństwami rewolucji francuskiej. W nie ukończonym poemacie *Triumf życia* Shelley przedstawił Rousseau pod postacią wergiliuszowego narratora, więzionego w czyścicu za błąd wiary w to, że ideał można urzeczywistnić za życia, które prowadziło jednak do zwyrodnienia. Nie jest zupełnie jasne, czy Shelley nie wyrzekł się przez to aktualnej polityki, by skoncentrować się na czystym idealizmie wyobraźni<sup>69</sup>.

Z pewnością w ostatnich miesiącach życia Shelleya nie ma oznak zasadniczej zmiany w jego charakterze. Claire Clairmont, która stała się rozsądną kobietą i dożyła ponad osiemdziesięciu lat (była natchnieniem dla Henry'ego Jamesa tworzącego magnetyczną opowieść *The Aspern Papers*), napisała w sześćdziesiąt lat po tych wydarzeniach, że „samobójstwo Harriet wywarło korzystny wpływ na Shelleya - zrobił się mniej pewny siebie i nie tak szalony jak dawniej”<sup>70</sup>. Może to być prawdą, choć Claire po tak dużym upływie czasu nakładała jedne

wydarzenia na drugie. Shelley rzeczywiście stał się mniej egocentryczny, ale zmiana była stopniowa i w żadnym wypadku nie zupełna w chwili jego śmierci.

W roku 1822 obaj z Byronem zbudowali łodzie *Don Juan* i *Bolivar*, przy czym żeglowaniem pasjonował się szczególnie Shelley. W tym celu należał na wynajęcie na lato domu w Lerici nad zatoką La Spezia. Mary, znów w ciąży, zniechęciła to miejsce, głównie dlatego, że było tam tak gorąco. Oboje odsunęli się od siebie, ona była coraz bardziej rozczarowana i zmęczona nienaturalnym trybem jego życia na emigracji. Ponadto wyłoniło się nowe zagrożenie. Towarzyszem wypraw żeglarskich Shelleya był Edward Williams, póletatowy porucznik Kompanii Wschodnioindyjskiej. Shelley wykazywał rosnące zainteresowanie piękną Jane, żoną Williamsa. Jane była muzykalna, grała na gitarze i ładnie śpiewała, podobnie jak Claire; było to coś, co Shelley lubił. Spotykali się na przyjęciach przy letnim księżycu. Shelley napisał dla niej i o niej kilka wierszy. Czy Mary miała być odsunięta, tak jak ona niegdyś odsunęła Harriet?

Mary, tak jak się obawiała, poroniła 16 czerwca i znów popadła w rozpacz. Dwa dni później Shelley napisał list, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że ich małżeństwo właściwie dobiegło końca: „Chcę przebywać jedynie z tymi, którzy mnie czują i pojmują... Mary mnie nie rozumie. Konieczność ukrywania przed nią myśli, które by mogły zadać jej ból, narzuca być może taki koniec. To klątwa Tantala, że osoba o tak świetnych możliwościach i tak czystym umyśle jak ona nie może wykorzystać swych

talentów w życiu domowym". Dodawał: „Jane podoba mi się coraz bardziej ... Ma zamiłowanie do muzyki i elegancję kształtów i gestów, która wynagradza w pewnym stopniu brak literackiej subtelności”<sup>71</sup>. W końcu miesiąca Mary czuła, że jej sytuacja, upał i dom stają się dla niej nie do wytrzymania. Pisała wtedy: „Chciałabym zerwać moje kajdany i opuścić ten loch”<sup>72</sup>.

Wyzwolenie przyszło w sposób tragiczny a zarazem niespodziewany. Shelleya zawsze urzekła szybkość. W swym dwudziestowiecznym wcieleniu mógłby poświęcić się szybkim samochodom lub nawet samolotom. Jeden z jego poematów, *Wieszczka Atlasu*, jest hymnem na cześć radosnej podróży w przestrzeń kosmiczną.

Łódź Shelleya *Don Juan* została przystosowana do szybkiego pływania, a on dokonał zmian, by była jeszcze szybsza. Miała niespełna siedem i pół metra długości, dwa grotmaszty i ożaglowanie szkunera. Shelley i Williams obmyślili nowy osprzęt topsla, co zaskakująco powiększyło powierzchnię ożaglowania, i by zwiększyć jeszcze bardziej szybkość, na prośbę Shelleya szkutnik Byrona założył nowe ożaglowanie i zmienił kształt rufy i dziobu. Była to teraz bardzo szybka i niebezpieczna łódź, żeglowała „jak zaczarowana”<sup>73</sup>.

W chwili katastrofy miała założone trzy spinakery i żagiel sztormowy, płynęła zanurzona o trzy cale głębiej. Shelley z Williamsem wracali nią z Livorno do Lerici. Wy płynęli po południu 8 lipca 1822 roku przy pogarszającej się pogodzie i w pełnym ożaglowaniu. Wszystkie miejscowe włoskie łodzie zawinęły do portu, gdy o wpół do siódmej wieczorem nadciągnął sztorm. Szyper jednej z włoskich łodzi mówił, że dostrzegł łódź Shelleya pośród ogromnych fal, wciąż w pełnym ożaglowaniu. Krzyczał do nich, by przeszli do niego na pokład albo skrócili żagle, bo inaczej zginą. Ale jeden z nich, chyba Shelley, odkrzyknął „nie!” i widziano, jak powstrzymywał swego towarzysza od ściągnięcia żagli, chwyciwszy go za ręce „jakby w gniewie”. *Don Juan* zatonął dziesięć mil od brzegu, wciąż pod pełnymi żaglami. Obaj, Shelley i Williams, utonęli<sup>74</sup>.

Keats zmarł rok wcześniej w Rzymie na gruźlicę, Byrona wykrwawili na śmierć lekarze dwa lata później w Grecji. Tak dobiegła końca krótka, żarliwa epoka w literaturze angielskiej.

Mary zabrała małego Percy'ego, przyszłego baroneta (Charles zmarł) z powrotem do Anglii i cierpliwie zaczęła wznosić mityczny pomnik ku czci Shelleya. Blizny jednak pozostały. Ujrzała spodnią stronę życia intelektualnego i przekonała się, jak silnie idee mogą ranić. Gdy jeden z przyjaciół, obserwując uczącego się czytać Percy'ego, zauważył: „Jestem

pewien, że wyrośnie z niego niezwykle człowiek", Mary Shelley wykrzyknęła z pasją: „Mam nadzieję w Bogu, że wyrośnie na zwykłego człowieka!”.

## Przypisy Rozdział 2

- 1 P. B. Shelley do Elizabeth Hitchener, w: F. L. Jones (wyd.), *Letters of Percy Bysshe Shelley*, 2 tomy, Oxford 1964, t. I, s. 116-117.
- 2 Percy Bysshe Shelley, *Obrona poezji*, Z oryginału ang. przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Jan Świerżowicz, Oborniki 1939.
- 3 *Ibidem*, s. 36. Analiza eseju *ibidem*, s. XV-LI, oraz: M. H. Scrivener, *Radical Shelley*, Princeton 1982, s. 249 i n.
- 4 Interesującą analizę tych utworów zawiera: Art Young, *Shelley and Non-Violence*, The Hague 1975.
- 5 *Essays in Criticism, Second Series: Byron*, przedruk w: Matthew Arnold, *Selected Prose*, Harmondsworth 1982, s. 385-404.
- 6 Byron do Johna Murraya, 3 sierpnia 1822; Byron do Thomasa Moore'a, 4 marca 1822, oba listy w: Leslie A. Marchand (wyd.), *Byron's Letters and Journals*, 11 tomów, London 1973-1982, t. IX, s. 119, 189-190.
- 7 Najlepsza biografia Shelleya, a zarazem dzieło pionierskie to: Richard Holmes, *Shelley: The Pursuit*, London 1974. Może być ona uzupełniona esejem Holmesa o Shelleyu: *Footsteps: Adventures of a Romantic Biographer*, London 1985.
- 8 O sir Timothy Shelleyu: R. C. Thorne (wyd.), *History of Parliament: House of Commons 1790-1820*, London 1986, t. V, *Members Q-Y*, s. 140-141.
- 9 O radykalizacji młodego Shelleya, zob. Holmes, *op. cit.*, s. 25 i n., oraz: K. M. Cameron, *The Young Shelley: Genesis of a Radical*, New York 1950.
- 10 N. Mackenzie (wyd.), *Secret Societies*, London 1967, s. 170; Nesta Webster, *Secret Societies and Subversive Movements*, London 1964, s. 196-268. Zob. także: Emanuel Rostworowski, *Historia powszechna. Wiek XVIII*, Warszawa 1984, s. 745.
- 11 O Shelleyu pisze Marie Roberts, *British Poets and Secret Societies*, London 1986, s. 88-101.
- 12 Shelley, *Letters*, t. I, s. 54; Paul Dawson, *The Unacknowledged Legislator: Shelley and Politics*, Oxford 1980, s. 157 i n.
- 13 Sylvia Norman, *The Flight of the Skylark: The Development of Shelley's Reputation*, London 1954, s. 162.
- 14 Thomas Jefferson Hogg, *Life of Shelley*.
- 15 Holmes, *op. cit.*, s. 36, 48.
- 16 *Ibidem*, s. 50-51.
- 17 *Ibidem*, s. 57.
- 18 List do Johna Williamsa, *Letters*, t. I, s. 330.
- 19 *Ibidem*, s. 139-140, 146-147, 148-149.
- 20 *Ibidem*, s. 155.
- 21 *Ibidem*, s. 156, 163.
- 22 *Ibidem*, s. 165.
- 23 *ibidem*, s. 205-206.
- 24 F. L. Jones (wyd.), *Mary Shelley's Journal* London 1947, s. 17.
- 25 N. I. White, *Shelley*, New York, t. I, s. 547-552.
- 26 Zob. Louis Schutz Boas, *Harriet Shelley: Five Long Years*, Oxford 1962.
- 27 Listy z 14 lipca, 27 sierpnia, 15 i 16 września 1814, w: *Letters*, t. I, s. 389-390, 391-392, 394, 396.
- 28 List z 26 września 1814, w: *Letters*, t. I, s. 396-397.
- 29 List z 3 października 1814, w: *Letters*, t. I, s. 403.
- 30 List z 3 i 25 października 1814, w: *Letters*, t. I, s. 400, 410.
- 31 List z 14 listopada 1814, w: *Letters*, t. I, s. 421.
- 32 *Letters*, t. I, s. 520 (odnośnik).
- 33 O ostatnim okresie życia Harriet, zob. Louis Schutz Boas, *op. cit.*, s. 183 i n.
- 34 List z 16 grudnia 1814, w: *Letters*, t. I, s. 519-521. Autentyczność tego listu była podważana przez apologetów Shelleya w czasach wiktoriańskich, ale nie ma powodu, by w nią wątpić. Zob. Holmes, *op. cit.*, s. 353 i odnośnik.
- 35 *Letters*, t. I, s. 511-512.

- 36 List z 10 grudnia 1812, *Letters*, t. I, s. 338.
- 37 O Fanny Imlay, zob. Holmes, *op. cit.*, s. 347 i n.
- 38 List do Godwina, w: *Letters*, t. I, s. 311.
- 39 *Letters*, t. I, s. 196.
- 40 *Letters*, t. I, s. 314.
- 41 Holmes, *op. cit.*, s. 216.
- 42 *Letters*, t. I, s. 530.
- 43 *Letters*, t. II, s. 264-265.
- 44 Holmes, *op. cit.*, s. 442-447, także: Ursula Orange, *Shuttlecocks of Genius*, Keats- - Shelley Memorial Bulletin, XV.
- 45 Listy Byrona do Hoppnera, 10 września i 1 października 1820, w: *Byron's Letters and Journals*, t. VII, s. 174, 191.
- 46 Byron do Douglasa Kinnairda, 20 stycznia 1817, *ibidem*, t. V, s. 160-162.
- 47 Claire Clairmont do Byrona, 6 maja 1816. Rękopisy Murraya, cyt. w: Doris Langley Moore, *Lord Byron: Accounts Rendered*, London 1974, s. 302.
- 48 Ursula Orange dowodzi, że matką była niania, Elise: „Elise, Nursemaid to the Shelleys”, *Keats-Shelley Memorial Bulletin*, 1955. Richard Holmes, choć najlepszy biograf Shelleya, w tej sprawie jest niewiarygodny, właściwie przyjmuje dwie różne możliwości, jedną w *Shelley: The Pursuit*, drugą w *Footsteps*.
- 49 Sierpień 1821, cytuje D. L. Moore.
- 50 Byron do J. B. Webstera, 8 września 1818; Byron do Johna Cama Hobhouse'a i Douglasa Kinnairda, 19 stycznia 1819, w: *Byron's Letters and Journals*, t. VI, s. 65, 91-92.
- 51 *Letters*, t. I, s. 323.
- 52 Shelley do Byrona, 14 września 1821, cyt. D. L. Moore.
- 53 Haydon napisał ten komentarz na marginesie egzemplarza książki Medwina *Conversations with Lord Byron* (obecnie w Newstead Abbey w Roe-Byron Col- lection), cyt. Moore, s. 301-302
- 54 *Letters*, t. I, s. 423, nota 1; Shelley do Hogga, 1 stycznia i 26 kwietnia 1815, t. I, s. 423, 426. Zachowało się jedenaście listów Mary Shelley do Hogga.
- 55 Robert Ingpen i W. E. Peck (wyd.), *Complete Works of P. B. Shelley*, New York 1926-1930, t. VII, s. 43.
- 56 List z 10 stycznia 1812, w: *Letters*, t. I, s. 227 i n.
- 57 Szczegóły finansowych transakcji Shelleya z Godwinem podaje Holmes, *op. cit.*, s. 223-238 i n.
- 58 Harriet do pani Nugent, 11 grudnia 1814, w: *Letters*, t. I, s. 422, przypis.
- 59 List z 7 marca 1841, w: Thomas Pinney (wyd.), *Letters of Thomas Babington Macaulay*, Cambridge 1974-1981, t. III, s. 366.
- 60 Cyt. przez Ann Blainey, *Immortal Boy: A Life of Leigh Hunt*, London 1985, s. 189.
- 61 *Letters*, t. I, s. 366, 379, przypis.
- 62 Holmes, *op. cit.*, s. 161.
- 63 *Letters*, t. I, s. 339 (dot. Robertsa), s. 362 (dot. Bedwella), s. 360, 386-387 (dot. Williamsów), s. 332-333, 339 (dot. Evansa).
- 64 O kontaktach Shelleya z księgarzami: Shelley do Johna Slattera, 16 kwietnia 1811; Henry Slatter do sir Timothy Shelleya, 13 sierpnia 1831; od Shelleya, 23 grudnia 1814, w: *Letters*, t. I, s. 438, przypis 1, s. 411.
- 65 *Letters*, t. I, s. 362-363.
- 66 A. M. D. Hughes, *The Nascent Mind of Shelley*, Oxford 1947, s. 131.
- 67 Art Young.
- 68 Zob. Scrivener, *op. cit.*, s. 198-210.
- 69 Zob. Edward Duffy, *Rousseau in England: The Context for Shelley's Critique of the Enlightenment*, Berkeley 1979.
- 70 Claire Clairmont do Edwarda Trelawneya, 30 września 1878, druk. w: *Carl H. Pforzheimer Library Bulletin*, t. IV, s. 787-788.
- 71 Shelley do Johna Gisborne'a, 18 czerwca 1822, w: *Letters*, t. II, s. 434-437.
- 72 Holmes, *op. cit.*, s. 728; *Letters*, t. II, s. 433.
- 73 F. L. Jones (wyd.), *Maria Gisborne and Edward E. Williams: Their Journals and Letters*, London 1946, s. 149.
- 74 Holmes, *op. cit.*, s. 729; Edward Dowden, *Life of P. B. Shelley*, London 1886, t. II, s. 534 i n.

### 3. Karol Marks: „Miotając klątwy odwieczne”

Żaden z intelektualistów czasów nowożytnych nie wywarł tak wielkiego wpływu na wydarzenia aktualne i na umysły mężczyzn i kobiet, jak Karol Marks. Sprawił to nie tyle urok jego koncepcji i metodologii - choć oba te czynniki miały siłę przyciągającą dla bezkrytycznych umysłów - ale fakt, że jego filozofia została zinstytucjonalizowana w dwóch największych krajach świata, Rosji i Chinach, a także w ich wielu satelitach. Pod tym względem przypomina on świętego Augustyna, którego pisma były powszechnie czytane przez wyższe duchowieństwo od V do XIII wieku i odegrały dominującą rolę w kształtowaniu średniowiecznego chrześcijaństwa.

Wpływ Marksa był jednak bardziej bezpośredni, ponieważ rodzaj osobistej dyktatury, który przewidział dla siebie - jak to wkrótce zobaczymy - został urzeczywistniony i spowodował nieobliczalne skutki dla ludzkości za sprawą trzech najwierniejszych marksistów: Lenina, Stalina i Mao Tse-tunga.

Marks był dzieckiem swej epoki, połowy XIX stulecia, a marksizm utrzymując, że jest naukowy, był charakterystyczną dla tego czasu filozofią. Określenie „naukowy” było dla Marksa wyrazem najwyższej aprobaty i zwykle nim właśnie się posługiwał, by odróżnić się od wielu swoich wrogów. Jego punkt widzenia i jego dzieło były „naukowe”, poglądy jego przeciwników wręcz przeciwnie. Uważał, że znalazł naukowe wyjaśnienie zachowania się człowieka w historii, pokrewne teorii ewolucji Darwina. Pogląd, że marksizm jest nauką, taką jaką żadna inna filozofia nigdy nie była i nie mogłaby być, wszczepiony został w publiczną doktrynę państw założonych przez jego wyznawców, nadając barwę wszystkim przedmiotom wykładanym w szkołach i na uniwersytetach.

Pogląd ten rozprzestrzenił się w świecie niemarksistowskim, intelektualistów bowiem, zwłaszcza uczonych, fascynuje siła, a utożsamianie marksizmu z olbrzymią potęgą fizyczną skłaniało wielu wykładowców do włączenia marksistowskiej „nauki” do swych własnych dyscyplin, zwłaszcza tak nieścisłych lub niby-ścisłych, jak ekonomia polityczna, socjologia, historia i geografia.

Nie ma wątpliwości, że jeśliby to Hitler wygrał wojnę o Europę Środkową i Wschodnią w latach 1941-1945 i w ten sposób narzucił swą wolę dużej części świata, wówczas doktryny nazistowskie, na przykład teoria rasizmu, otrzymałyby polor akademicki i przeniknęły do uniwersytetów na całym świecie. Wojskowe zwycięstwo zapewniło przewagę nauki marksistowskiej.

Mówiąc o Marksie musimy najpierw zapytać, w jakim sensie i czy w ogóle był naukowcem. Czyli jak dalece pochłaniała go dążność do pogłębiania obiektywnej wiedzy drogą starannych badań i oceny uzyskanych wyników. Biografia Marksa ujawnia, że był przede wszystkim uczniem. Przodkami jego byli także uczeni, zarówno w linii męskiej, jak i żeńskiej. Jego ojciec, Henryk Marks, prawnik, którego imię pierwotnie brzmiało Hirschel ha-Levi Marx, był synem rabina i badacza Talmudu, pochodzącego od słynnego rabina Eliesera ha-Levi z Moguncji, którego syn Jehuda Minz kierował szkołą talmudyczną w Padwie. Matka Marksa, Henrietta Pressborck, była córką rabina wywodzącego się również od słynnych uczonych i mędrców.

Marks urodził się 5 maja 1818 roku w Trewirze, wówczas należącym do Prus, jako jedno z dziewięciorga dzieci, ale był jedynym synem, który dożył wieku średniego. Siostry jego poślubiły jedna inżyniera, druga księgarza, trzecia prawnika.

Rodzina należała niewątpliwie do klasy średniej i stopniowo zyskiwała na znaczeniu w świecie. Ojciec był liberałem, „prawdziwie osiemnastowiecznym Francuzem, znającym Woltera i Rousseau od podszewki”<sup>1</sup>. Skutkiem pruskiej ustawy z roku 1816, zakazującej Żydom dostępu do wyższych stanowisk w korpusie prawniczym i w medycynie, został

protestantem i 26 sierpnia 1824 roku ochrzcił sześcioro swoich dzieci; Karol został bierzmowany w wieku piętnastu lat i przez pewien czas wydawał się być żarliwym chrześcijaninem.

Chodził do dawnego jezuickiego gimnazjum, wtedy już szkoły świeckiej, a później studiował na uniwersytecie w Bonn. Kontynuował naukę na Uniwersytecie Berlińskim, wówczas najlepszym na świecie. Nie otrzymał żydowskiego wykształcenia i nie próbował takiego zdobyć, nie wykazał też jakiegokolwiek zainteresowania problematyką żydowską<sup>2</sup>. Należy jednak powiedzieć, że wykształcił w sobie cechy charakterystyczne dla pewnego typu uczonego, zwłaszcza talmudycznego, a mianowicie: tendencję do gromadzenia olbrzymiej masy na wół przyswojonego materiału i skłonność do planowania prac encyklopedycznych nigdy nie ukończonych; nie skrywane lekceważenie dla wszystkich, którzy nie są uczonymi; skrajną stanowczość i drażliwość w postępowaniu z innymi badaczami. Właściwie wszystkie jego prace noszą znamię badań talmudycznych: zawierają przede wszystkim komentarz oraz krytykę dzieł innych, zajmujących się tą samą co on dziedziną.

Marks stał się dobrym klasycznym uczonym, specjalizował się w filozofii, według wówczas panującej mody heglowskiej. Uzyskał doktorat na Uniwersytecie Jenajskim, który miał niższy poziom niż Uniwersytet Berliński; nie wydawał się też nigdy na tyle dobry, by otrzymać stanowisko na uczelni.

W roku 1842 został redaktorem „Rheinische Zeitung”, którą wydawał przez pięć miesięcy, dopóki nie nakazano jej zamknięcia. Pisał później dla „Deutsch-Französische Jahrbücher” i innych czasopism w Paryżu do czasu wydalenia go w roku 1845, a następnie znalazł się w Brukseli. Zaangażował się w organizowanie tam Związku Komunistów i napisał *Manifest Komunistyczny*. Po upadku rewolucji [w Niemczech] został zmuszony do wyjazdu w roku 1849 i osiedlił się, już na stałe, w Londynie. Przez kilka lat, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, uczestniczył ponownie w działaniach rewolucyjnych, kierując Międzynarodowym Stowarzyszeniem Robotników.

Większość jednak swego czasu, aż do zgonu w dniu 14 marca 1883 roku, to jest trzydzieści cztery lata, spędził w British Museum, gromadząc materiał do gigantycznego studium kapitału i starając się nadać mu postać gotową do publikacji. Ujrzał jeszcze pierwszy tom, który opuścił w roku 1867 drukarnię, natomiast tom drugi i trzeci opracował z rękopisów jego współpracownik Fryderyk Engels i opublikował po jego śmierci.

Marks prowadził więc życie uczonego. „Jestem maszyną skazaną na pochłanianie książek” - narzekał<sup>3</sup>. Tak naprawdę jednak nie był ani uczonym, ani naukowcem. Nie interesowało go dochodzenie do prawdy, ale jej głoszenie. W Marksie skupiły się trzy postacie: poety, dziennikarza i moralisty. Każda z nich była ważna. Połączone z jego kolosalną wolą czyniły z niego potężnego pisarza i proroka. Nie było w nim nic z naukowca; raczej we wszystkich tych sprawach był antynaukowy.

Poeta w Marksie był o wiele ważniejszy, niż się ogólnie przypuszcza, choć jego poetycka wyobraźnia wkrótce została wchłonięta przez wizję polityczną. Rozpoczął pisanie wierszy jako chłopiec, głównie o swej miłości do dziewczyny z sąsiedztwa, Jenny von Westphalen, pochodzenia prusko-szkockiego, z którą ożenił się w roku 1843; drugim ważnym tematem jego poezji było zniszczenie świata.

Napisał sporo wierszy; trzy tomy rękopisów poezji Marksa zostały przesłane Jenny, odziedziczyła je później ich córka Laura, zniknęły jednak po jej zgonie w roku 1911. Ale odpisy czterdziestu utworów się zachowały, w tym i tragedia pisana wierszem, zatytułowana *Oulanen*, która - jak pragnął Marks - miała się stać *Faustem* jego czasów. 23 stycznia 1841 w berlińskim „Athenaeum” zostały opublikowane dwa wiersze pod wspólnym tytułem *Dziki pieśni*. Dzikość jest rzeczywiście charakterystyczna dla jego wierszy; znamionuje je też głęboki pesymizm na temat losu człowieka połączony z nienawiścią, fascynacją zepsuciem, gwałtem, samobójstwem i paktowaniem z szatanem.



„Jesteśmy skuci, rozbici, próżni, przerażeni, Przykuci na wieki do jednego marmurowego bloku żywota”, pisał młody Marks i dodawał: „...Jesteśmy małpami zimnego Boga”. Wcielając się w postać Boga, mówi: „Będę miotał klątwy odwieczne na ludzkość”.

Pod powierzchnią większości jego utworów tkwi wizja nadciągającego ogólnego kryzysu światowego<sup>4</sup>. Bardzo lubił cytować słowa Mefistofelesa z *Fausta* Goethego: „Wszystko, co istnieje, zasługuje na zgubę”, którymi posłużył się, na przykład, w rozprawie przeciw Napoleonowi III *Osiemnasty Brumaire'a Ludwika Bonaparte*, a ta apokaliptyczna wizja nadciągającej katastrofy istniejącego systemu pozostała w nim do końca życia: jest w jego poezji, w tle *Manifestu Komunistycznego* z roku 1848 i jest to punkt szczytowy samego *Kapitału*.

Krótko mówiąc, Marks jest pisarzem eschatologicznym od początku do końca. Warto zauważyć, że w oryginalny szkic *Ideologia niemiecka* z lat 1845-1846 włączył on fragment mocno przypominający jego wiersze dotyczące dnia Sądu Ostatecznego: „blask płonących miast odbija się w niebiosach ... i gdy w »harmoniach niebiańskich« słychać melodie *Marsylianki* i *Karmanioli*, którym towarzyszy huk dział, gdy gilotyna wybija czas, a podburzone masy wrzeszczą *ęa ira, ęa ira*, wstyd powieszono na latarni”<sup>5</sup>.

A później jeszcze raz słychać echa *Oulanen* w *Manifestie Komunistycznym*, gdy mowa o proletariacie, strojącym się w płaszcz bohatera<sup>6</sup>.

Apokaliptyczna nuta poezji odzywa się ponownie w gwałtownej mowie z 14 kwietnia 1856 roku: „Sędzią jest historia, wykonawcą jej wyroku - proletariat” - wspomina o terrorze, domach poznaczonych czerwonym krzyżem, katastroficznych metaforach, trzęsieniach ziemi, wrzącej lawie przelewającej się pęknięciami skorupy ziemskiej<sup>7</sup>.

Chodzi o to, że Marksowskie pojęcie dnia Sądu Ostatecznego, czy w ponurej wizji poetyckiej, czy w wizji ekonomicznej, jest artystyczne, nie naukowe. Ta idea tkwiła zawsze w umyśle Marksa, i kiedy zajmował się ekonomią polityczną, cofał się szukając oznak, że dzień sądu jest nieunikniony, a nie posuwał się naprzód, by wnioskować z obiektywnie rozpatrzonych danych. Oczywiście ten czynnik poetycki nadaje historycznej projekcji Marksa dramatu, urzekając radykalnych czytelników, którzy chcą wierzyć, że nadchodzi zgon kapitalizmu i sąd nad nim. Dar poetycki pojawia się sporadycznie na stronicach prac Marksa, tworząc kilka pamiętnych fragmentów. Marks pozostał poetą do końca, raczej bowiem przeczuwał niż rozumował czy rachował.

Był również dziennikarzem, pod pewnymi względami dobrym dziennikarzem. Stwierdził, że już samo zaplanowanie, nie mówiąc o napisaniu większej książki jest nie tylko trudne, ale i niemożliwe: nawet *Kapitał* jest serią esejów sklejonych bez określonego kształtu. Marks jednak potrafił pisać krótkie, ostre, zawzięte komentarze o bieżących wydarzeniach. Uważał, co zresztą podpowiadała mu poetycka wyobraźnia, że społeczeństwo znajduje się na krawędzi upadku. Prawie każda wiadomość o wielkich wydarzeniach mogła pasować do tej ogólnej wizji, nadając jego dziennikarstwu niezwykłą konsekwencję.

W sierpniu 1851 zwolennik jednego z pierwszych socjalistów, Roberta Owena, Charles Anderson Dana, który awansował na kierownika działu w „New York Daily Tribune”, zaproponował Marksowi objęcie stanowiska europejskiego korespondenta politycznego tej gazety, z dwiema korespondencjami tygodniowo, po funcie za każdą. Przez ponad dziesięć następnych lat Marks nadesłał prawie pięćset artykułów, z których około stu dwudziestu pięciu było napisanych dla niego przez Engelsa. Zostały one bardzo przesiane i przeredagowane w Nowym Jorku, jednakże zasadnicze ich tezy są niewątpliwie autorstwa Marksa i w tym tkwi ich siła.

Największym talentem Marksa była jego umiejętność polemiki. Wspaniale zonglował epigramami i aforyzmami, nie wszystkie jednak sam wymyślił. To Marat stworzył zdania: „Robotnicy nie mają ojczyzny” i „Proletariusze nie mają nic do stracenia prócz swych

kajdan". Słynna anegdota o burżujach noszących feudalne herby na siedzeniu pochodzi od Heinego, podobnie jak i to, że „religia jest opium ludu”. To Louis Blanc powiedział: „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb”, od Karla Schappera pochodzi: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”, a od Blanquego określenie „dyktatura proletariatu”.

Marks jednakże potrafił stworzyć własne aforyzmy: „W polityce Niemcy wymyślili to, co inne narody urzeczywistniły”. „Religia jest jedynym słońcem, wokół którego krąży człowiek, dopóki nie zacznie krążyć wokół siebie.” „Małżeństwo burżuazyjne to wspólnota żon.” „Rewolucyjna odwaga rzuca przeciwnikom buntownicze słowa: Jestem niczym, muszę być wszystkim.” „Panujące idee każdej epoki są ideami jej panującej klasy.”

Marks miał także rzadki dar puentowania powiedzeń innych i używania ich we właściwej fazie sporu i w zabójczym połączeniu.

Żaden polityczny pisarz nie prześcignął trzech ostatnich zdań *Manifestu Komunistycznego*: „Proletariusze nie mają nic do stracenia prócz swych kajdan. Do zdobycia mają świat cały. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”.

To docenienie przez Marksa dziennikarskich zalet krótkiego, jędrnego zdania bardziej niż wszystko inne uratowało jego całą filozofię od zapomnienia w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku.

Jeśli wrażliwość poetycka dała Marksowi wizję, a dziennikarski aforyzm ozdobił jego dzieło, jego balastem był żargon akademicki. Marks był uczonym, a raczej, co gorsza, nieudanym uczonym. Zgorzkniały, niedoszły wykładowca, chciał zadziwić świat zakładając nową szkołę filozoficzną, która jednocześnie była planem działania zmierzającym do osiągnięcia władzy. Stąd wywodzi się jego dwuznaczna postawa wobec Hegla. W po- słowiu do drugiego niemieckiego wydania *Kapitału* Marks pisze: „...jawnie uznałem się za ucznia tego wielkiego myśliciela” i „w rozdziale traktującym o teorii wartości kokietowałem nawet tu i ówdzie właściwym mu sposobem wyrażania się”. Ale „moja metoda dialektyczna jest w założeniu nie tylko różna od heglowskiej, lecz jest jej wprost przeciwstawna”. Według Hegla proces myślenia jest twórcą rzeczywistości, „według mnie zaś, przeciwnie, zjawisko idealne nie jest niczym innym, jak zjawiskiem materialnym przeniesionym do głowy ludzkiej i w niej przetworzonym”. Argumentuje więc dalej: „Mistyfikacja, jakiej dialektyka uległa w rękach Hegla, bynajmniej nie zmienia tego faktu, że on właśnie pierwszy wyczerpująco i świadomie wyłożył jej ogólne formy ruchu. U niego stoi ona na głowie. Trzeba ją postawić na nogi, żeby wyłuskać racjonalne jądro z mistycznej skorupy”<sup>8</sup>.

Marks próbował więc zdobyć sławę akademicką, dokonując - jak sądził - sensacyjnego odkrycia fatalnej skazy w metodzie Hegla, które miało mu umożliwić zastąpienie całego systemu heglowskiego nową filozofią, oczywiście superfilozofią, czyniącą wszystkie filozofie niemodnymi. Nadal jednak przyjmował, że dialektyka Hegla jest „kluczem do ludzkiego myślenia”, i nie tylko ją stosował, ale pozostał jej więźniem do końca życia. Przed wszystkim dlatego, że dialektyka i jej „sprzeczności” wyjaśniały zbliżający się kryzys wszechświatowy, który on jako młodzieniec przedstawił w swej oryginalnej wizji poetyckiej. Pod koniec życia, 24 stycznia 1873, we wspomnianym posłowiu pisał: „Pełen sprzeczności ruch społeczeństwa kapitalistycznego najsilniej daje się odczuć praktycznemu bourgeois w kolejnych wahaniami periodycznego cyklu, który przebywa nowoczesny przemysł, a którego punktem szczytowym jest kryzys powszechny. Kryzys ten nadciąga znowu, chociaż znajduje się jeszcze w stadiach zaczątkowych, a wszechstronność i intensywność jego oddziaływania wbije dialektykę nawet do łbów szczęśliwców nowej, świętej prusko-niemieckiej Rzeszy”.

Co to wszystko miało wspólnego z polityką i gospodarką rzeczywistego świata? Nic nie miało wspólnego. Jeśli źródło filozofii Marksa tkwiło w wizji poetyckiej, to jej opracowanie było ćwiczeniem w akademickim żargonie. Do wprawienia w ruch intelektualnej maszyny Marksa niezbędny jednak był bodziec moralny. Znalazł go w swej nienawiści do lichwy i

lichwiarzy, żarliwym uczuciu powiązanim bezpośrednio, jak to ujrzymy, z jego własnymi trudnościami pieniężnymi.

Przejawiło się to w pierwszych poważnych dziełach Marksa, mianowicie w dwóch esejach *W kwestii żydowskiej*, drukowanych w roku 1844 na łamach „Deutsch-Französische Jahrbucher”. Wszyscy zwolennicy Hegla byli bardziej lub mniej antysemitami; w roku 1843 Bruno Bauer, antysemita przywódca heglowskiej lewicy, opublikował tekst z żądaniem porzucenia przez Żydów judaizmu. Eseje Marksa były na to odpowiedzią.

Nie sprzeciwiał się antysemityzmowi Bauera, wręcz go podzielał, popierał i cytował z aprobatą. Nie zgadzał się jednak z rozwiązaniem Bauera. Marks odrzucał przekonanie Bauera, że antyspołeczna natura Żyda miała swe źródło w religii i że można by to naprawić odrywając go od wiary.

W przekonaniu Marksa zło było natury społecznej i ekonomicznej. Pisał: „Przypatrzmy się rzeczywistemu świeckiemu Żydowi, nie temu odświętnemu *Żydowi dnia sobotniego*, jak to czyni Bauer, lecz *Żydowi dnia powszedniego*.”

Nie szukajmy tajemnicy Żyda w jego religii, lecz szukajmy tajemnicy religii w rzeczywistym Żydzie.

Jaka jest świecka postawa żydostwa? *Praktyczna* potrzeba, własna korzyść.

Jaki jest świecki kult Żyda? *Handel* Jaki jest jego świecki bóg? *Pieniądz*”.

Żydzi według Marksa stopniowo rozszerzyli tę „praktyczną” religię na całe społeczeństwo:

„Pieniądz jest tym żarliwym bogiem Izraela, wobec którego żaden inny bóg ostać się nie może. Pieniądz poniża wszystkich bogów człowieka i zamienia ich w towar. Pieniądz jest ogólną, samą w sobie ukonstytuowaną *wartością* wszystkich rzeczy. Pozbawił on zatem cały świat - tak świat ludzi, jak i przyrodę - właściwej wartości. Pieniądz jest wyobcowaną od człowieka istotą jego pracy i jego bytu; ta obca istota ma go w swej mocy, on zaś zanoszi do niej modły.

Bóg żydowski stał się świeckim bogiem, stał się bogiem świata”.

Żyd więc zepsuł chrześcijanina i przekonał go, że „nie ma on innego przeznaczenia tu, na tym padole, jak stać się bogatszym od swego sąsiada”, a „świat jest giełdą”. Władza polityczna stała się „niewolnikiem” siły pieniądza. Stąd rozwiązanie powinno być ekonomiczne. „Żydostwo” stało się „powszechnym współczesnym elementem *antyspołecznym*” i aby „umożliwić istnienie Żyda”, trzeba usunąć „przesłanki”, „samą możliwość” tych działań pieniądza, które go wytworzyły. Usunięcie żydowskiego stosunku do pieniądza oraz Żyda i jego religii sprawi, że zniknie fałszywa wersja chrześcijaństwa, którą on narzucił światu: „Emancypacja od handlu i od pieniądza, a zatem od praktycznego, rzeczywistego żydostwa byłaby auto- emancypacją naszych czasów”<sup>9</sup>.

Dotychczasowe wyjaśnienia Marksa dotyczące istoty zła dziejącego się na świecie były kombinacją studencko-kawiarnianego antysemityzmu i poglądów Rousseau. Przekształcił je w dojrzały system filozoficzny w ciągu kolejnych trzech lat, 1844-1846, uznając, że czynnikiem zła w społeczeństwie - agentami lichwiarskiej władzy pieniądza, której się przeciwstawiał - są już nie Żydzi, ale klasa burżuazji jako całość<sup>10</sup>.

Budując swą filozofię, wykorzystał w pełni dialektykę Hegla. Po jednej stronie była władza pieniądza, bogactwo, kapitał - narzędzie klasy burżuazji. Po drugiej stronie była nowa, zbawcza siła - proletariatus. Teza została postawiona w ścisłej terminologii heglowskiej, przy użyciu znacznych zasobów niemieckiego żargonu filozoficznego w jego najgorszej akademickiej odmianie, choć ukryty bodziec jest bezspornie natury moralnej, a wizja ostateczna (apokaliptyczny kryzys) jest wciąż poetycka.

Tak więc nadchodząca rewolucja w Niemczech będzie filozoficzna: „... nie może wyzwolić siebie, jeżeli nie wyzwoli się od wszystkich pozostałych warstw społeczeństwa, a tym samym nie wyzwoli również i wszystkich pozostałych warstw społeczeństwa; słowem,

takiej warstwy, która stanowiąc *całkowite zaprzepaszczenie* człowieka, może odzyskać samą siebie tylko przez całkowite odzyskanie człowieka. Tym rozkładem społecznym w postaci odrębnego stanu jest *proletariat*".

Marks wydaje się mówić, że proletariat, klasa, która nie jest klasą, rozpuszczalnik klasy i klas, jest zbawczą siłą, która nie ma historii, nie podlega działaniu praw historii, a ostatecznie kończy historię - koncepcja ta przypomina ideę żydowską: proletariat Mesjaszem lub Zbawicielem.

Rewolucja składa się z dwóch czynników: „głową tej emancypacji jest filozofia, jej sercem jest *proletariat*". Tak więc intelektualiści stworzą elitę, generałów, a robotnicy - piechurów.

Określiwszy bogactwo jako żydowską władzę pieniądza przekształconą w klasę burżuazji, określiwszy proletariat w nowym filozoficznym sensie, Marks przystępuje, posługując się dialektyką heglowską, do samego serca swojej filozofii, to jest do opisu wydarzeń wiodących do wielkiego kryzysu. Główny fragment kończy następująco:

„Proletariat wykonuje wyrok, który własność prywatna sama na siebie wydaje przez to, że wytwarza proletariat, tak samo jak wykonuje on wyrok, który wydaje sama na siebie praca najemna przez to, że wytwarza cudze bogactwo i własną nędzę. Odniósłszy zwycięstwo, proletariat nie staje się bynajmniej absolutną stroną społeczeństwa, gdyż zwycięży on tylko znosząc siebie, a zarazem własne swoje przeciwieństwo. Wówczas też zniknie zarówno sam proletariat, jak i warunkujące go przeciwieństwo - własność prywatna".

Marksowi udało się w ten sposób określić kataklizm, który ujrzał wpierw jako wizję poetycką. Opis został jednak ujęty w niemieckiej terminologii akademickiej. W terminologii świata rzeczywistego nie oznacza on jednak niczego.

Marks nawet wówczas, gdy nadaje wydarzeniom wydźwięk polityczny, używa żargonu filozoficznego: „*Socjalizm* nie może być powołany do istnienia bez *rewolucji*. Z rozpoczęciem *działalności organizacyjnej*, gdy zjawia się jej duch, wtedy socjalizm może odrzucić na bok wszelkie polityczne zasłony".

Marks był prawdziwym wiktorianinem, podkreślał słowa tak często, jak sama królowa Wiktoria w swych listach. Podkreślenia jego właściwie nie pomagają w przekazaniu treści, która wciąż tonie w niejasnościach pojęć niemieckiej filozofii akademickiej.

Chcąc swe tezy uczynić jasnymi i przekonującymi, Marks ucieka się do zwykłej gigantomanii, akcentując światowy charakter opisywanego procesu, ale wciąż jest skrępowany żargonem. Na przykład: „Proletariat może wejść jedynie do *historii świata*, tak samo jak komunizm, a jego działania trwać będą, dopóki świat historycznie istnieje". Lub też: „Komunizm jest empirycznie jedynie możliwy jako czyn rządzącego ludu wszędzie, od razu i jednocześnie, co zakłada ogólny rozwój sił wytwórczych i zależny od niego rozwój światowego handlu".

Jednakże nawet wówczas, gdy sens słów Marksa jest jasny, jego stwierdzenia niekoniecznie są słuszne, bo nie są niczym więcej niż *obiter dicta* filozofa-moralisty<sup>11</sup>. Niektóre ze zdań cytowanych powyżej brzmiałyby zarówno wiarygodnie, jak i niewiarygodnie, jeśli zostałyby zmienione na przeciwstawne. Gdzie więc są fakty, świadectwa rzeczywistego świata, by te prorocze wypowiedzi filozofa-moralisty, te jego objawienia przekształcić w naukę?

Marks miał ambiwalentny stosunek do faktów, podobnie jak do filozofii Hegla. Z jednej strony spędził całe dziesięciolecie swego życia na gromadzeniu faktów, które zebrał w ponad stu olbrzymich notesach. Ale były to fakty, o których czytał w bibliotekach, w Niebieskich Księgach (Blue Books).

Nie interesowały go jednak zjawiska, które można było stwierdzić badając własnym okiem świat i słuchając ludzi, którzy w nim żyją. On był jednak całkowicie i niepoprawnie przywiązany do biurka. Nic na świecie nie mogło go odciągnąć od biblioteki i od lektury.

Marks zainteresował się nędzą i wyzyskiem jesienią 1842 roku, gdy miał dwadzieścia cztery lata, i napisał serię artykułów o prawach miejscowych chłopów do zbierania drewna. Według Engelsa Marks powiedział, że „to fakt, iż badał prawo dotyczące kradzieży drewna i zainteresował się chłopstwem mozelskim, odwrócił jego uwagę od polityki i skierował ją na sytuację ekonomiczną, a w ten sposób na socjalizm”<sup>12</sup>.

Nie ma jednak świadectw, że Marks rozmawiał wówczas z chłopami i właścicielami ziemskimi czy też badał na miejscu tamtejsze warunki.

W roku 1844 napisał do tygodnika finansowego „Vorwärts” artykuł o położeniu tkaczy śląskich. Nigdy jednak nie pojechał na Śląsk ani też, o ile wiadomo, nie rozmawiał z żadnym tkaczem, to byłoby zupełnie niepodobne do niego.

Marks pisał o finansach i przemyśle całe swoje życie, ale znał jedynie dwóch ludzi związanych z rozwojem finansów i przemysłu. Jednym z nich był jego wuj mieszkający w Holandii, Lion Philips, szczęśliwy biznesmem, który stworzył to, co później stało się Philips Electric Company. Poglądy wuja Philipsa o całym procesie tworzenia kapitału byłyby na pewno wiarygodne i interesujące, jeśliby Marks potrudził się je zbadać. On jednakże tylko raz konsultował się z Philipsem w technicznych sprawach wielkich finansów i chociaż czterokrotnie go odwiedzał, wizyty dotyczyły wyłącznie rodzinnego majątku.

Engels to drugi człowiek naprawdę znający się na rzeczach, o których pisał Marks. Jednak Marks odrzucił jego zaproszenie, by wspólnie udali się do przędzalni bawełny i, o ile wiemy, Marks nie postawił nigdy stopy w przędzalni, fabryce, kopalni lub w jakimś innym zakładzie przemysłowym.

Co bardziej jeszcze uderza, to wrogość Marksa do towarzyszy rewolucjonistów, którzy mieli takie doświadczenie, to jest do robotników, którzy zdobyli świadomość polityczną. Spotkał takich ludzi po raz pierwszy w roku 1845, gdy na krótko odwiedził Londyn i wziął udział w zebraniu Niemieckiego Robotniczego Towarzystwa Oświatowego. Nie odpowiadało mu to, co tam ujrzał.

Ci ludzie w większości byli wykwalifikowanymi robotnikami, zegarmistrzami, drukarzami, szewcami; ich przywódcą był leśniczy. Byli to samoucy, zdyscyplinowani, poważni, dobrze ułożeni, bardzo niecygańscy, pragnący przekształcić społeczeństwo, ale bardzo umiarkowani w sprawie praktycznych posunięć wiodących do tego celu. Nie podzielali apokaliptycznych wizji Marksa, a przede wszystkim nie mówili jego akademickim żargonem. Patrzył na nich z pogardą: to było rewolucyjne mięso armatnie, nic więcej.

Marks zawsze wołał wiązać się z intelektualistami wywodzącymi się z klasy średniej, z takimi jak on sam. Gdy wraz z Engelsem utworzyli Związek Komunistów i gdy potem stworzyli Międzynarodówkę, Marks sprawił, że socjaliści-robotnicy zostali usunięci z wpływowych pozycji i zasiedli w komisjach jedynie jako statutowi proletariusze. Motywem jego działania był częściowo intelektualny snobizm, częściowo zaś to, że ludzie z rzeczywistym doświadczeniem warunków fabrycznych skłonni byli opowiadać się przeciw przemocy, a za skromnym, stopniowym postępowaniem: byli raczej sceptycznie nastawieni do apokaliptycznej rewolucji, o której on twierdził, że jest nie tylko potrzebna, ale i nieunikniona. Niektóre z najbardziej jadowitych ataków Marksa były skierowane przeciw tym ludziom.

Tak, na przykład, w marcu 1846 poddał on Wilhelma Weitlinga rodzajowi sądu na zebraniu Związku Komunistów w Brukseli. Weitling był ubogim synem praczki, który nigdy nie poznał nazwiska swego ojca, terminatorem krawieckim, który zwykłą, ciężką pracą i samokształceniem zyskał szerokie poparcie wśród robotników niemieckich. Celem sądu było położenie nacisku na „poprawność” doktryny i stłumienie wszelkiego robotniczego zarozumiałstwa, pozbawionego szkolenia filozoficznego, które, jak Marks sądził, było czynnikiem zasadniczym.

Marks atakował Weitlinga nadzwyczaj agresywnie, oskarżając o prowadzenie agitacji bez doktryny. To było wszystko dobre w barbarzyńskiej Rosji, gdzie „można stworzyć udane związki z tępyimi młodymi ludźmi i apostołami. Jednak w cywilizowanym kraju, takim jak Niemcy, powinniście zrozumieć, że nie można niczego osiągnąć bez naszej doktryny”. A dalej: „Jeśli próbujecie oddziaływać na robotników, zwłaszcza na robotników niemieckich, nie stosując istoty doktryny i jasnych idei naukowych, to prowadzicie jedynie pustą i niegodziwą grę propagandową, wiodącą nieuchronnie do pojawienia się natchnionego apostoła i słuchającego go osła z otwartą gębą”.

Weitling odpowiedział, że nie stał się socjalistą, by uczyć się o doktrynach produkowanych w czytelnicy, że wypowiada się w imieniu prawdziwych robotników i nie ulegnie poglądom teoretyków stojących z dala od świata cierpień prawdziwych robotników. Te słowa, według jednego ze świadków zdarzenia, „tak rozgniewały Marksa, że bił pięścią w stół tak gwałtownie, aż lampa dygotała. Skoczył na równe nogi krzycząc: »Niewiedza nigdy jeszcze nikomu nie pomogła!«”. Zebranie się skończyło, a Marks „wciąż rozsierdzony chodził po pokoju w tę i z powrotem”<sup>13</sup>.

Sprawa ta stała się przykładem dla kolejnych ataków, zarówno na socjalistów o pochodzeniu robotniczym, jak i na każdego z przywódców, którzy zdobyli duże poparcie wśród robotników, głosząc praktyczne rozwiązania problemów pracy i płacy, a nie doktrynerską rewolucję. Marks atakował więc dawnego kompozytora Pierre-Josepha Proudhona, rolniczego reformatora Hermana Kriege i Ferdynanda Lassalle'a, pierwszego naprawdę ważnego niemieckiego socjaldemokratę i organizatora robotników.

W *Okólniku przeciw Kriegemu* Marks, który nie znał się na rolnictwie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie się osiedlił Kriege, potępił jego propozycję nadania każdemu chłopu stu sześćdziesięciu akrów z zasobu ziem publicznych i oświadczył, że chłopów trzeba pozyskać obietnicą ziemi, ale z chwilą stworzenia społeczeństwa komunistycznego ziemia winna przejść we wspólne władanie.

Proudhon, który był antydogmatykiem, pisał: „Na miłość boską, po zniszczeniu przez nas całego [religijnego] dogmatyzmu *a priori*, nie próbujmy wzniecać u ludzi nowego rodzaju dogmatów ... nie stawajmy się przywódcami nowej nietolerancji”.

Marks nienawidził takich poglądów. W gwałtownej diatrybie przeciw Proudhonowi, *Nędza filozofii*, pisanej w czerwcu 1846 roku, oskarżył go o „infantylnizm”, rażącą „nieznajomość” ekonomii i filozofii, a przede wszystkim o niewłaściwe stosowanie idei i metod Hegla: „Pan Proudhon z dialektyki heglowskiej wziął tylko jej język”.

Lassalle natomiast stał się ofiarą najbardziej brutalnych antysemitów i rasowych drwin Marksa. Pisał o nim: „Icek”, „żydowski Negr”, „tłusty Żyd wysmarowany brylantyną i noszący tanią biżuterię”.

W liście do Engelsa, z 30 lipca 1862 roku, Marks pisał o Lassalle'u: „Jest dla mnie teraz najzupełniej oczywiste, że pochodzi on - jak o tym świadczy kształt czaszki i typ uwłosienia - od Murzynów, którzy się przyłączyli do wymarszu Mojżesza z Egiptu (chyba że jego matka lub babka ze strony ojca sparzyły się z jakimś Negrem). Otóż takie połączenie żydostwa i niemieckości z murzyńskim podłożem musiało wydać osobliwy owoc”<sup>14</sup>.

Tak więc Marks ani sam nie chciał badać warunków pracy robotników w przemyśle, ani też dowiedzieć się czegoś na ten temat od inteligentnych robotników, którzy doświadczyli tych warunków na sobie. Dlaczegoż miałyby chcieć?

We wszystkich zasadniczych punktach, stosując dialektykę heglowską, doszedł w końcu lat czterdziestych do własnych wniosków o losie ludzkości. Pozostało mu jedynie znaleźć fakty dla ich uzasadnienia, a fakty można było wybrać z doniesień gazet, rządowych Niebieskich Ksiąg i dowodów zebranych przez wcześniej piszących, a cały ten materiał można było znaleźć w bibliotekach. Po co szukać czegoś dalej? Problemem stojącym przed

Marksem było jedynie znalezienie właściwych danych: takich, które by przystawały do jego doktryny.

Metodologię Marksa dobrze podsumował filozof Karl Jaspers: „Styl pism Marksa nie kształtował badacz ... nie cytuje on przykładów ani nie dostarcza dowodów, które byłyby sprzeczne z jego własną teorią, a jedynie takie, które wyraźnie wspierają lub potwierdzają to, co on uważa za ostateczną prawdę. Jest to właściwie postawa nie badacza, a dowodząca czegoś, co zostało ogłoszone jako prawda doskonała, z przekonaniem nie naukowca, a wyznawcy”<sup>15</sup>.

W tym sensie „fakty” nie grają głównej roli w pracach Marksa, są jedynie pomocnicze, wspierają wnioski osiągnięte niezależnie od nich. *Kapitał*, pomnik, wokół którego obracało się życie Marksa jako uczonego, należałoby więc uważać nie za naukowe badanie istoty procesu ekonomicznego, który miał opisać, ale za ćwiczenie z filozofii moralnej, rozprawę porównywalną z traktatami Carlyle'a lub Ruskina. Jest to ogromny, często niespójny tekst, atak na proces uprzemysłowienia i prawo własności, dokonany przez człowieka, który zapalał wielką, ale zasadniczo irracjonalną ku nim nienawiścią. I, co ciekawe, było to główną tezą, działającą jako reguła organizacyjna.

Początkowo, w roku 1857, Marks projektował to dzieło w sześciu tomach: o kapitale, ziemi, płacach i pracy, państwie, handlu oraz o światowym rynku i kryzysach<sup>16</sup>.

Metodyczna samodyscyplina, konieczna do wykonania takiego zamiaru, okazała się dla niego nieosiągalna. Jedyny tom, który rzeczywiście napisał (myląc są to dwa tomy), nie ma właściwie formy logicznej, a jest to szereg oddzielnych opisów, ułożonych w arbitralnej kolejności. Francuski filozof marksistowski, Louis Althusser, uznając jego budowę za tak zawiłą sądził, że czytelnicy powinni „koniecznie” pominąć dział pierwszy (*Towar i pieniądz*) i rozpocząć od rozdziału czwartego w dziale drugim (*Przemiana pieniądza w kapitał*)<sup>17</sup>. Inni marksistowscy egzegeci odrzucili jednak gwałtownie tę interpretację. W rzeczywistości propozycja Althussera wiele nie pomaga.

Streszczenie przez Engelsa pierwszego tomu *Kapitału* podkreśla jedynie słabość lub raczej brak jego struktury<sup>18</sup>. Po śmierci Marksa Engels opracował tom drugi na podstawie tysiąca pięciuset stron notatek Marksa, z których czwartą część przerobił. Powstało sześćset stron nudnego i bezładnego tekstu o cyrkulacji kapitału, a głównie o teoriach ekonomicznych lat sześćdziesiątych XIX wieku.

Tom trzeci, nad którym Engels pracował w latach 1885-1893, dokonuje przeglądu wszystkich postaci kapitału jeszcze nie omówionych; jest to jednak tylko szereg zapisków, w tym tysiąc stron o lichwie, większość to memoranda Marksa. Prawie cały materiał pochodzi z wczesnych lat sześćdziesiątych i zebrany został wówczas, gdy Marks pracował nad tomem pierwszym.

Nie interesujemy się więc tomem drugim i trzecim, jest bowiem zupełnie nieprawdopodobne, by Marks napisał je w takiej postaci, czy w ogóle je napisał, bo nie zajmował się nimi przez piętnaście lat. Z tomu pierwszego, który jest jego dziełem, liczą się właściwie dwa rozdziały: ósmy, *Dzień roboczy*, i dwudziesty czwarty, *Tak zwana akumulacja pierwotna*, który zawiera słynny punkt siódmy: *Historyczna tendencja akumulacji kapitalistycznej*.

Nie jest to analiza naukowa w jakimkolwiek sensie, a po prostu prorocstwo. Marks pisze: „W miarę ustawicznego zmniejszania się (1) liczby magnatów kapitału, którzy przywłaszczają sobie i monopolizują wszystkie korzyści płynące z procesu tych przemian, (2) wzrastają rozmiary nędzy, ucisku, niewoli, zwyrodnienia, ale jednocześnie (3) wzbiera bunt wciąż wzrastającej klasy robotniczej, szkolonej, jednoczonej i organizowanej przez sam mechanizm kapitalistycznego procesu produkcji”.

Te trzy siły, działając razem, wytwarzają kryzys, czyli polityczno-ekonomiczną wersję poetyckiej katastrofy, którą Marks wyobraził sobie jako nastolatek: „Centralizacja

środków produkcji i uspołecznienie pracy dochodzą do punktu, gdy się już nie mieszczą w swej kapitalistycznej skorupie. Skorupa ta zostaje rozsadzona. Wybija godzina kapitalistycznej własności prywatnej. Wywłaszczyciele zostają wywłaszczeni<sup>19</sup>. Było to niezwykle podniecające i zachwycające dla pokoleń socjalistów-gorliwców, ale nie może rościć pretensji do naukowości większych niż astrologiczny almanach.

Rozdział ósmy, *Dzień roboczy*, przedstawia faktyczną analizę wpływu kapitalizmu na życie proletariatu brytyjskiego; oczywiście, jest to jedynie część dzieła Marksa, które w rzeczywistości zajmuje się robotnikami, pozornym przedmiotem jego całej filozofii. Warto przeto zbadać jego wartość „naukową”<sup>20</sup>.

Ponieważ odnotowaliśmy już, że Marks szukał jedynie faktów, które pasowały do jego z góry wyrobionych sądów, i że jest to sprzeczne z wszystkimi zasadami metody naukowej, rozdział ten zawiera w sobie istotną słabość od samego początku. Jednak czy Marks poza tendencyjnym doborem faktów także przekręcał je lub fałszował? Musimy to teraz rozważyć.

W rozdziale ósmym Marks próbuje dowieść, i jest to sedno jego doktryny moralnej, że kapitalizm z samej swej natury pociąga za sobą coraz większy wyzysk robotników; czyli im więcej zaangażowanego kapitału, tym większy wyzysk robotników; to właśnie wielkie zło moralne prowadzi do ostatecznego kryzysu.

Chcąc wytłumaczyć swą tezę naukowo, musiał Marks udowodnić, że, po pierwsze, choć warunki w przedkapitalistycznym warsztacie były złe, stały się o wiele gorsze w kapitalizmie przemysłowym, a po drugie - zakładając bezosobową, nieubłaganą naturę kapitału - że wyzysk robotników wzrasta *crescendo* w najbardziej skapitalizowanych przemysłach. Marks nie próbował nawet udowodnić pierwszej tezy. Pisze: „Okres od początków wielkiego przemysłu w Anglii aż do roku 1845 omawiam tylko tu i ówdzie, a dla bliższego poznania go odsyłam czytelnika do książki Fryderyka Engelsa, *Położenie klasy robotniczej w Anglii*, Lipsk 1845” . Marks dodaje, że późniejsze publikacje rządowe, zwłaszcza sprawozdania inspektorów fabrycznych, świadczą, „jak głęboko Engels pojął ducha kapitalistycznego sposobu produkcji” i „w jak podziwu godny sposób potrafił on odmalować najdrobniejsze szczegóły opisywanych przez siebie stosunków”<sup>21</sup>.

W skrócie mówiąc, cała pierwsza część podjętej przez Marksa naukowej pracy badawczej nad warunkami pracy w kapitalizmie w połowie lat sześćdziesiątych XIX wieku opierała się na jednej pracy, mianowicie *Położeniu klasy robotniczej w Anglii* Engelsa, opublikowanej dwadzieścia lat wcześniej. A jaką wartość naukową można z kolei wiązać z tym jednym, jedynym źródłem?

Engels urodził się w roku 1820, był synem cieszącego się powodzeniem fabrykanta tkanin bawełnianych w Barmen, w Nadrenii, i zajął się rodzinnymi interesami w roku 1837. Wysłano go do biura firmy w Manchesterze w roku 1842; spędził w Anglii dwadzieścia miesięcy. Odwiedził w tym czasie Londyn, Oldham, Rochdale, Ashton, Leeds, Bradford i Huddersfield i przebywał, oczywiście, w Manchesterze. Znał więc z bezpośredniego doświadczenia przemysł włókienniczy, ale poza tym niewiele wiedział o warunkach w Anglii. Nie miał pojęcia o górnictwie i nigdy nie zjechał do kopalni, nie znał ani wsi, ani pracy na roli. Mimo to poświęcił tym zagadnieniom dwa rozdziały: *Proletariat górniczy* i *Proletariat rolny*.

W roku 1958 dwóch rzetelnych uczonych, W. O. Henderson i W. H. Challoner, przetłumaczyło i wydało książkę Engelsa, badając jego źródła i oryginalny tekst wszystkich jego cytatów<sup>22</sup>. Skutkiem ich analizy było niemal całkowite zniszczenie obiektywnej wartości historycznej tej książki i sprowadzenie jej do tego, czym niewątpliwie była: polemicznej pracy politycznej, rozprawy, tyrady. Engels pracując nad książką pisał do Marksa: „Wystawię Anglikom ładny rejestr grzechów; wobec całego świata oskarżam burżuazję angielską o mord, rabunek i inne zbrodnie popełnione w skali masowej”<sup>23</sup>.



To właściwie podsumowuje treść książki: miała być materiałem dowodowym dla oskarżenia. Duża część tej pracy, w tym cały tok badania epoki przedkapitalistycznej i wczesnych stadiów uprzemysłowienia, opierała się nie na źródłach pierwotnych, ale na nielicznych źródłach wtórnych o wątpliwej wartości, zwłaszcza na książce Petera Gaskella, *The Manufacturing Population of England* (1833), pracy pełnej romantycznej mitologii, próbującej wykazać, że wiek XVIII był złotym wiekiem dla angielskich włościan i rzemieślników.

W rzeczywistości, jak wykazała to stanowczo w roku 1842 Królewska Komisja do spraw Zatrudniania Dzieci, warunki pracy w małych przedkapitalistycznych warsztatach i zagrodach były o wiele gorsze niż w nowych wielkich przędzalniach bawełny w Lancashire. Używane przez Engelsa źródła drukowane liczyły pięć, dziesięć, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, a nawet czterdzieści lat, choć on przedstawiał je zwykle tak, jakby były aktualne. Podając liczbę urodzin dzieci nieślubnych, co wiązało z nocną zmianą, nie zaznaczył, że dane te pochodzą z roku 1801. Cytując rozprawę na temat stanu higieny w Edynburgu, nie zaznaczył, że praca powstała w 1818 roku. Przy różnych okazjach pomijał fakty i wydarzenia, które całkowicie unieważniały jego przestarzałe dane.

Nie zawsze jest jasne, czy przekłamania Engelsa są rozmyślnym podstępem wobec czytelnika, czy też samookłamywaniem się autora. Czasem jednak fałsz jest zamierzony. Engels posługiwał się danymi o złych warunkach pracy spisany przez Komisję do spraw Kontroli Fabryk w roku 1833, nie informując czytelników, że ustawa dotycząca fabryk z roku 1833 wprowadzona została na wniosek lorda Althorpa i od dawna już była w mocy, właśnie dla usunięcia warunków, które opisał raport Komisji.

Użył tego samego podstępu, manipulując jednym ze swoich głównych źródeł, książką dr. J. P. Kaya *Physical and Moral Conditions of the Working Classes Employed in the Cotton Manufacture in Manchester* (1832), która pomogła dokonać zasadniczych reform w podległym władzom lokalnym systemie sanitarnym; Engels o tych reformach nie wspomina.

Interpretował również mylnie statystyki przestępczości lub je lekceważył, gdy nie wspierały jego tezy. Oczywiście, stale i świadomie ukrywał fakty, które przeczyły jego tezom lub tłumaczyły szczególną „niesprawiedliwość”, jaką on próbował ujawnić. Dokładne sprawdzenie wyciągów Engelsa z jego drugorzędnych źródeł wykazuje, że były one często skracane, streszczane, przekręcane lub wypaczane, ale niezmiennie brane w cudzysłów, jakby były przytaczane dosłownie. Od pierwszej do ostatniej strony opublikowanej przez Hendersona i Challonera książki przypisy katalogują przekręcenia i nieuczciwości Engelsa. W jednym tylko rozdziale siódmym, *Poszczególne gałęzie pracy. Robotnicy fabryczni w ściślejszym znaczeniu*, przekłamania, w tym błędne fakty i błędy w przepisywaniu, zdarzyły się dwadzieścia trzy razy, od strony 152 do 203<sup>24</sup>.

Marks nie mógł być nieświadomy tych słabości, a nawet nieuczciwości książki Engelsa, wiele z nich bowiem zostało ujawnionych już w roku 1848 przez niemieckiego ekonomistę Brunona Hildebranda w publikacji znanej Marksowi<sup>25</sup>. Ponadto Marks sam świadomie przymyka oczy na przekręcenia Engelsa, zapominając powiedzieć czytelnikowi o poważnym postępie od czasu publikacji książki, dokonany dzięki wprowadzeniu w życie ustawy dotyczącej fabryk i innego prawodawstwa ochronnego.

Wobec pierwotnych i drugorzędnych źródeł pisanych Marks grzeszył tym samym rażącym niedbalstwem, tendencyjnymi przekłamaniem i jawną nieuczciwością, które cechowały pracę Engelsa<sup>26</sup>. Faktycznie współpracowali oni często w oszustwie, choć Marks był bardziej śmiałym fałszerzem. W jednej szczególnie skandalicznej sprawie przeszedł sam siebie.

Zdarzyło się to w *Inauguracyjnym Manifestie Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników*, założonego 28 września 1864 w Londynie. Pragnąc wyrwać angielskich robotników z apatii, udowadniając, że obniżył się poziom życia, Marks z rozmysłem sfalszował jedno zdanie z mowy Williama Ewarta Gladstone'a, wówczas kanclerza skarbu,

dotyczącej budżetu na rok 1863. Gladstone powiedział o wzroście bogactwa narodowego: „Patrzyłbym niemal z niepokojem i bólem na ten upajający wzrost bogactwa i władzy, gdybym nie był przekonany, że nie ogranicza się on do klas, które są w dobrych warunkach”. Dodał ponadto: „Przeciętne warunki robotnika brytyjskiego, jak mamy szczęście to obserwować, poprawiły się w ostatnich dwudziestu latach, jak sądzimy, w stopniu nadzwyczajnym, i możemy to wyraźnie oświadczyć - bez precedensu w dziejach jakiegokolwiek kraju lub epoki”<sup>27</sup>.

Marks w swoim *Inauguracyjnym Manifestie* twierdzi, że Gladstone powiedział: „Ten zawrotny wzrost bogactwa i potęgi ogranicza się wyłącznie do klas posiadających”.

Skoro to, co Gladstone faktycznie powiedział, było prawdą potwierdzoną przez wiele danych statystycznych i skoro powszechnie było wiadomo, że jest on opętany potrzebą zapewnienia, by bogactwo zostało rozdzielone najszerzej jak to możliwe, trudno było sobie wyobrazić bardziej oburzające odwrócenie jego myśli.

Marks podał jako źródło „Morning Star”, ale „Star”, wraz z innymi dziennikami, i „Hansard” podają właściwy tekst mowy Gladstone'a.

Błędny cytat Marks'a został mu wytknięty. Mimo to powtórzył go w *Kapitale* wraz z innymi niezgodnościami tekstu, i gdy sfalszowany passus został dostrzeżony i potępiony, Marks wylał bardzo wiele zacierającego atramentu. Przez dwadzieścia lat on, Engels, a później i jego córka Eleonora byli zamieszani w tę awanturę, próbując bronić sprawy nie do obrony. Żadne z nich nie przyznałoby nigdy, że popełniono wyraźne fałszerstwo, i w końcu niektórzy czytelnicy odnieśli wrażenie, zgodne z zamiarami Marks'a, że są to po prostu dwie strony polemiki. Tak jednak nie było. Marks był świadom, że Gladstone nigdy tych słów nie wypowiedział i oszustwo było dokonane rozmyślnie<sup>28</sup>. A przecież nie było to jedyne fałszerstwo. Marks fałszował podobnie cytaty z tekstów Adama Smitha<sup>29</sup>.

To systematyczne nadużywanie źródeł zwróciło uwagę dwóch uczonych z Cambridge w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Posługując się poprawionym francuskim wydaniem *Kapitału* (1872-1875), przygotowali rozprawę dla Cambridge Economic Club, zatytułowaną *Comments on the use of the Blue Books by Karl Marx in Chapter XV of »Le Capital«* (1885)<sup>30</sup>. Oświadczyli oni, że sprawdzili najpierw przypisy Marks'a, by „otrzymać pełniejszą informację o pewnych punktach”, ale uderzeni „rosnącymi rozbieżnościami” zdecydowali się zbadać „zakres i znaczenie tak jawnych błędów”. Odkryli następnie, że różnice między tekstem Niebieskiej Księgi a pochodzącymi z niej cytatami Marks'a nie były jedynie wynikiem pomyłki, ale „wykazywały oznaki zniekształcającego wpływu”. Stwierdzili w jednej z badanych grup przypisów, że cytaty były często „wygodnie skracane przez pomijanie fragmentów, które mogłyby zaważyć niekorzystnie na wnioskach, jakie Marks próbował wyciągnąć”.

Inna kategoria przekłamań „polega na łączeniu fikcyjnych cytatów z oddzielnymi stwierdzeniami zawartymi w różnych częściach raportu. Są one podsuwane później czytelnikowi w cudzysłowie z całą powagą bezpośrednich cytatów z samej Niebieskiej Księgi”.

Pisząc, na przykład, o maszynie do szycia, „używa on Niebieskiej Księgi z przerażającą lekkomyślnością ... by udowodnić wręcz odwrotnie to, co naprawdę ustalono”. Badacze uznali, że ich dowody mogą „nie być wystarczające dla podtrzymania oskarżenia o rozmyślny fałsz”, ale że z pewnością wykazali „prawie zbrodniczą lekkomyślność w użyciu autorytetów” i stworzyli podstawę do traktowania „podejrzliwie innych części pracy Marks'a”<sup>31</sup>.

Prawdą jest, że nawet najbardziej powierzchowne zbadanie sposobu wykorzystania przez Marks'a rozmaitych świadectw zmusza do sceptycznego traktowania wszystkich jego pism opartych na danych faktycznych. Nie należy mu nigdy ufać. Cały kluczowy rozdział ósmy *Kapitału*, *Dzień roboczy*, jest rozmyślnym i systematycznym fałszowaniem po to, by udowodnić tezę, która po obiektywnym zbadaniu okazała się nie do utrzymania.

Przestępstwa Marksa przeciw prawdzie należą do czterech kategorii.

Po pierwsze, używa przestarzałego materiału, bo aktualny nie wspiera jego argumentów.

Po drugie, wybiera on pewne gałęzie przemysłu, w których warunki były szczególnie złe, jako typowe dla kapitalizmu. To oszustwo było dla Marksa szczególnie ważne, bowiem bez niego nie mógłby napisać rozdziału ósmego *Kapitału* w ogóle. Tezą jego było, że kapitalizm stwarza coraz gorsze warunki; im więcej zaangażowanego kapitału, tym gorzej muszą być traktowani robotnicy dla zapewnienia odpowiedniego zysku. Dane, które przytacza w pełnym brzmieniu, by to udowodnić, pochodzą niemal zawsze z małych, niewydajnych, niedoinwestowanych firm w archaicznych przemysłach, w większości wypadków przedkapitalistycznych: garncarstwo, krawiectwo, kowalstwo, piekarstwo, produkcja zapalek, tapet, koronek. W wielu specyficznych przypadkach, które przytacza, na przykład w piekarstwie, warunki były złe właśnie dlatego, że firma nie mogła sobie pozwolić na wprowadzenie maszyn z powodu braku funduszy. Wskutek tego Marks zajmuje się w tym przypadku warunkami przedkapitalistycznymi i ignoruje prawdę, która go zadziwiła, gdy ją spostrzegł: więcej kapitału, mniej cierpienia.

Gdy zajmuje się nowoczesnym, wysoko skapitalizowanym przemysłem, napotyka bardzo niewiele danych na poparcie swej tezy; tak więc pisząc o stali, ucieka się do wstawionych do tekstu komentarzy („Co za naiwny cynizm!”, „Cóż za nadęta frazeologia!”), a w przypadku kolei musi wykorzystywać poźółkłe wycinki o dawnych katastrofach („świeże wypadki kolejowe”), co było nieodzowne dla jego tezy, że wypadkowość w przeliczeniu na „pasażerokilometry” winna wzrastać, gdy tymczasem zdecydowanie spadała, i w momencie gdy był publikowany *Kapitał*, koleje były już najbezpieczniejszym środkiem masowego podróżowania w historii świata.

Po trzecie, używając sprawozdań inspektoratu fabrycznego, Marks przytacza przykłady złych warunków i złego traktowania robotników w taki sposób, jakby były nieodłączną normą systemu. W rzeczywistości chodziło o odpowiedzialność osób nazywanych przez inspektorów „szalbierskimi właścicielami przedzalni”, których należało wysledzić i oskarżyć.

Po czwarte, fakt, że główne dane Marksa pochodzą z tego właśnie źródła, czyli inspektoratu fabrycznego, zdradza jego największe oszustwo. Tezą jego było, że kapitalizm nie da się naprawić i że państwo burżuazyjne jest jego sprzymierzeńcem w zadawaniu cierpień robotnikom, państwo bowiem, jak pisał, „jest komisją wykonawczą do prowadzenia spraw klasy rządzącej jako całości”. Jednakże jeśli to było prawdą, parlament nigdy by nie przyjął ustaw dotyczących fabryk, a państwo nie wprowadziłoby ich w życie.

Właściwie wszystkie dane, które Marks przytaczał selektywnie (czasami zafałszowane), były związane z wysiłkami państwa (inspektorów, sądów, sędziów pokoju) dotyczącymi poprawy warunków, co z konieczności pociągało za sobą zdemaskowanie i ukaranie odpowiedzialnych za spowodowane zło. Jeśli systemu nie można było zreformować, co było niemożliwe według rozumowania Marksa, to *Kapitał* nie mógłby być napisany. Ponieważ sam nie robił badań, był zmuszony polegać na świadectwie tych, których nazywał „klasą rządzącą” i którzy starali się naprawić sytuację, czyniąc to z coraz większym powodzeniem. Dlatego Marks zniekształcał swoje główne źródła danych lub też rezygnował ze swych tez. *Kapitał* był i jest strukturalnie nieuczciwy.

Marks nie mógł albo nie chciał pojąć - nie uczynił bowiem żadnego wysiłku, by zrozumieć, jak działa przemysł - że od samego zarania rewolucji przemysłowej w latach 1760-1790 najsprawniejsi przemysłowcy, dysponujący pełnym dostępem do kapitału, zwykle sprzyjali tworzeniu lepszych warunków dla swojej siły roboczej, dążyli więc do wsparcia ustawodawstwa fabrycznego i, co było równie ważne, do jego skutecznego wprowadzenia w

życie, bo eliminowało ono to, co oni uważali za nieuczciwą konkurencję. Ponieważ warunki pracy się poprawiły, robotnicy nie powstali, choć Marks przepowiadał, że to uczynią. Prorok zawiódł zupełnie.

Z lektury *Kapitału* wyłania się kompletne niepowodzenie Marksa w zrozumieniu kapitalizmu. Nie powiodło mu się, bo jego metoda nie była naukowa: nie badał sam faktów ani nie stosował obiektywnie faktów odkrytych przez innych. Nie tylko *Kapitał*, ale całą jego pracę charakteryzuje brak poszanowania dla prawdy, czasem równy lekceważeniu. To pierwszy powód, dla którego marksizm jako system nie mógł przynieść takich rezultatów, do jakich rościł pretensje. Nazywanie go naukowym jest nieporozumieniem.

Jeśli więc Marksem, sprawiającym wrażenie naukowca, nie powodowała miłość prawdy, to co było siłą napędową w jego życiu?

Chcąc to odkryć, musimy przyjrzeć się jego charakterowi. Jest faktem, pod pewnymi względami smutnym faktem, że potężne dzieła intelektu nie wyłaniają się z abstrakcyjnych działań mózgu i wyobraźni; są one głęboko zakorzenione w osobowości. Marks jest tego znakomitym przykładem. Rozważaliśmy już postrzeganie jego filozofii jako stopu wizji poetyckiej, talentu dziennikarza i akademizmu. Można także wskazać, że jej rzeczywista zawartość odnosi się do czterech aspektów jego charakteru: upodobania do przemocy, żądzy władzy, nieumiejętności w posługiwaniu się pieniędzmi i skłonności do wykorzystywania otoczenia.

Podtekst przemocy, zawsze obecny w marksizmie i stale widoczny w reżimach marksistowskich, był niejako projekcją Marksa jako człowieka. Marks żył w atmosferze krańcowej przemocy słownej, co pewien czas eksplodującej w gwałtownych awanturach, a niekiedy i czynnych zniewagach. Kłótnie w rodzinie Marksa były niemal pierwszą rzeczą, którą zauważyła przyszła jego żona, Jenny von Westphalen. Na Uniwersytecie Bońskim zaarrestowała go policja za posiadanie pistoletu i został tymczasowo relegowany; uniwersyteckie archiwa ujawniają, że był zamieszany w studenckie potyczki, pojedynkował się i otrzymał cięcie w lewe oko. Awantury, jakie wywoływał w rodzinie, padły cieniem na ostatnie lata życia jego ojca i przypuszczalnie doprowadziły do całkowitego zerwania z matką. W jednym z zachowanych najwcześniejszych listów Jenny czytamy: „Proszę nie pisz do mnie z taką urazą i gniewem”, i staje się jasne, że wiele z jego nieustających kłótni było skutkiem gwałtownych zwrotów, jakich był skłonny używać w piśmie, a jeszcze częściej w mowie; wielokrotnie przyczyną tych awantur był alkohol.

Marks nie był alkoholikiem, ale pijał regularnie, czasem sporo, i niekiedy brał udział w wystawnych hulankach. Jego problemy były częściowo spowodowane stałym pobytom na emigracji (od dwudziestego piątego roku życia), głównie w wychodźczych niemieckich społecznościach obcych miast. Rzadko szukał znajomości poza nimi i nigdy nie próbował wtapiać się w miejscowe środowiska. Ponadto wygnańcy, do których zwykle się przyłączał, przebywali w niewielkich grupach, interesując się wyłącznie polityką rewolucyjną.

Pomaga to wyjaśnić sposób patrzenia Marksa na życie jakby z tunelu, i trudno sobie wyobrazić inne zaplecze społeczne, które umacniałoby bardziej konfliktowy charakter Marksa, takie środowiska są bowiem znane ze swych ostrych sporów. Według Jenny kłótnie się nigdy nie kończyły, ustały jedynie w Brukseli. W Paryżu jego narady redakcyjne, przy rue des Moulins, musiały odbywać się przy zamkniętych oknach, by nie było słyhać ciągłego krzyku.

Owe kłótnie nie były bezcelowe. Marks kłócił się z każdym, z kim się sprzymierzał, poczynszy od Bruno Bauera, dopóki nie udało mu się opanować go zupełnie. Skutkiem tego powstało wiele, głównie nieprzyjaznych, opisów zachowania się ogarniętego gniewem Marksa.

Brat Bauera napisał o nim nawet wiersz:

Czarny typ z Trewiru w furii szaleje,

pięścią zaciśniętą wywija,  
i wrzeszczy bez końca.  
Dziesięć tysięcy diabłów trzyma go za włosy<sup>32</sup>.

Marks był niskim, krępy męczyzną o czarnych włosach i brodzie, nosił monokl w pruskim stylu, cerę miał ziemistą (jego dzieci nazywały go Maurem). Paweł Annenkov, który go widział na „procesie” Weitlinga, pisał o jego „potężnej czarnej grzywie włosów, porośniętych włosami rękach i krzywo zapiętym surducie”, nie miał dobrych manier, „był dumny i traktujący innych z lekką pogardą”; jego „ostry, metaliczny głos dobrze pasował do radykalnych sądów, jakie ciągle wydawał o ludziach i rzeczach”, wszystko, co mówił, miało „drażniący ton”<sup>33</sup>.

Ulubioną przez Marksa sztuką Szekspira był *Troilus i Kresyda*, w której pociągały go gwałtowne obelgi Ajaksa i Thersytosa. Lubił je cytować i ofiarą jednej z nich („O ty, z przepitą pałą panie! Nie masz więcej rozumu niż tkwi w moim łokciu”) padł kiedyś jego rewolucyjny towarzysz, Karl Heinzen, który odwzajemnił mu się pamiętym portretem złośliwego małego człowieka. Przedstawił on Marksa „nieznośnie brudnego”, kogoś „między kotem a małpą”, z „rozczochanymi czarnymi włosami i brudnożółtą cerą”. Było niemożliwe, jak twierdził, powiedzieć, czy ubranie i skóra Marksa były naturalnej barwy złota czy tylko brudne; miał małe dzikie złośliwe oczy, „miotające strugi ohydneho ognia”, i zwykł był mawiać: „Ja ciebie zniszczę!”<sup>34</sup>.

Sporo czasu spędzał Marks na zbieraniu dokładnych *dossiers* o swych politycznych rywalach i wrogach, które bez skrupułów dostarczał policji, jeśli mogło to mu przysporzyć korzyści. Wielkie publiczne kłótnie, jak na przykład zebranie Międzynarodówki w Hadze w roku 1872, zapowiadały *reglements des comptes* w Rosji Sowieckiej.

Czasami naprawdę lała się krew. Marks zachował się tak znieważająco w sporze z Augustem von Willichem, w roku 1850, że ten ostatni wyzwał go na pojedynek. Marks, choć niegdyś się pojedykował, powiedział, że „nie będzie się zajmował wybrykami pruskich oficerów”, ale nie próbował powstrzymać swego młodego pomocnika, Konrada Schramma, od zajęcia jego miejsca, choć Schramm nigdy w życiu nie miał pistoletu w ręce, a von Willich był wyśmienitym strzelcem. Schramm został postrzelony. Sekundantem von Willicha był wtedy szczególnie groźny współpracownik Marksa, Gustav Techow, słusznie znieawidzony przez Jenny, który zabił przynajmniej jednego towarzysza rewolucjonistę i został w końcu powieszony za zabicie policjanta.

Marks nie odrzucał gwałtu, a nawet terroryzmu, jeśli odpowiadało to jego taktyce. Zwracając się w roku 1849 do rządu pruskiego groził: „Jesteśmy bezwzględni i od was nie żądamy względów. Gdy przyjdzie kolej na nas, nie będziemy upiększali terroryzmu”<sup>35</sup>.

W roku następnym, w Apelu Komitetu Centralnego do Związku Komunistów, kolportowanym w Niemczech, zachęcał tłum do przemocy: „Nie może być mowy o tym, by występowali oni [robotnicy niemieccy] przeciw tak zwanym ekscesom, przeciw aktom zemsty ludu na znieawidzonych osobach lub budynkach publicznych, z którymi wiążą się jedynie nienawistne wspomnienia - powinni nie tylko akty te tolerować, lecz wziąć w swoje ręce kierownictwo nad nimi”<sup>36</sup>.

Od czasu do czasu był gotów poprzeć zabójstwo, pod warunkiem że było skuteczne. Rewolucjonista Maksym Kowalewski, w którego obecności Marks otrzymał wiadomość o nieudanej próbie zamordowania cesarza Wilhelma I na Unter den Linden w roku 1878, notuje wściekłość Marksa z powodu nieskuteczności zamachu<sup>37</sup>.

Wydaje się pewne, że Marks raz zdobywszy władzę, byłby zdolny do wielkiej przemocy i okrucieństwa. Jednak nigdy nie znalazł się w sytuacji, by mógł dokonać rewolucji czy aktów przemocy na wielką skalę. Stąd też wypełnił owym dławionym a gwałtownym gniewem swoje książki, które zawsze miały ton nieprzejednania i skrajności. Wiele fragmentów sprawia wrażenie, że były rzeczywiście pisane w furii. We właściwym czasie

Lenin, Stalin i Mao Tse-tung zastosowali w praktyce na wielką skalę tę przemoc, którą Marks odczuwał w swym sercu i którą emanują jego prace.

Nie można stwierdzić, jak rzeczywiście Marks zapatrywał się na moralność, zarówno zniekształcając prawdę, jak i zachęcając do przemocy. W pewnym sensie był silną moralnie jednostką. Przepęniało go gorące pragnienie stworzenia lepszego świata. Wyśmiał jednak moralność w *Ideologii niemieckiej*, twierdząc, że jest „nienaukowa” i może być przeszkodą dla rewolucji. Wydaje się, że sądził, iż będzie się można bez niej obyć w wyniku jak gdyby metafizycznej zmiany w zachowaniu ludzi, której dokona nadejście komunizmu<sup>38</sup>.

Podobnie jak wiele egocentrycznych jednostek, skłaniał się do opinii, że prawa moralne nie stosują się do niego samego, albo raczej do utożsamiania swych interesów z moralnością jako taką. Z pewnością doszedł do uznania za współmierne interesów proletariatu i spełnienia własnych poglądów.

Anarchista Michaił Bakunin zanotował, że Marks był „szczerze oddany sprawie proletariatu, choć tkwiła w tym zawsze domieszka osobistej próżności”<sup>39</sup>. Był nieustannie przejęty sobą; zachowały się długie młodzieńcze listy, pisane pozornie do ojca, a w rzeczywistości do siebie i o sobie<sup>40</sup>. Uczucia i poglądy innych ludzi nigdy zbyt go nie interesowały. Każde przedsięwzięcie, którym się zajął, musiał wykonać osobiście i w pojedynkę. O gazecie „Neue Rheinische Zeitung” Engels mówił: „Organizacja redakcji to zwykła dyktatura Marksa”<sup>41</sup>. Marks nie miał czasu ani zainteresowania dla demokracji, pominąwszy specjalne i przewrotne znaczenie, jakie nadawał temu słowu; wszelkie wybory były mu wstrętne - w swych artykułach dziennikarskich skwitował brytyjskie wybory parlamentarne jako pijackie orgie<sup>42</sup>.

W świadectwach o celach politycznych Marksa i jego zachowaniu, pochodzących z różnych źródeł, godne uwagi jest, że często pojawia się słowo: dyktator. Annenkov nazwał go w roku 1846 „wcieleniem demokratycznego dyktatora”.

Niezwykle inteligentny agent policji pruskiej, śledzący Marksa w Londynie, donosił: „Dominującym rysem jego charakteru jest bezgraniczna ambicja i ukochanie władzy ... jest absolutnym władcą swojego Związku ... robi wszystko sam, wydaje polecenia na własną odpowiedzialność i nie znosi sprzeciwu”.

Techov (ów sekundant von Willicha), któremu udało się niegdyś upić Marksa i doprowadzić do zwierzeń, daje jego świetny słowny portret. Był to „człowiek o wybitnej osobowości”, z „rzadką intelektualną przewagą”, i „jeśliby jego serce dorównało intelektowi, a miałby on w sobie tyleż miłości, co nienawiści, poszedłbym w ogień dla niego”. „Brak mu jednak szlachetności ducha. Jestem przekonany, że całe dobro zżarła w nim najbardziej niebezpieczna osobista ambicja ... zdobycie władzy [jest] głównym celem wszystkich jego wysiłków.”

Ostateczny osąd Bakunina o Marksie uderza w tę samą nutę: „Marks nie wierzy w Boga, wierzy bardzo w siebie i tak działa, by służył mu każdy. Serce jego nie jest pełne miłości, ale goryczy, i żywi on bardzo mało sympatii dla ludzkiej rasy”<sup>43</sup>.

Nieodmienny gniew Marksa, dyktatorskie zwyczaje i gorycz odbijały niewątpliwie uzasadnioną świadomość jego wielkich możliwości i głęboki zawód spowodowany niezdolnością do wykorzystania ich bardziej skutecznie.

Jako młody człowiek prowadził życie cygańskie, często gnuśne i rozwiązłe; w początkach wieku średniego z trudnością przychodziła mu praca sensowna i systematyczna, często przesiedział całą noc na rozmowie, później leżał w półśnie na sofie prawie cały dzień. W późniejszym wieku średnim prowadził bardziej regularny tryb życia, ale nigdy nie narzucił sobie dyscypliny w pracy. Obrażał się za najmniejszą krytykę. Tak jak Rousseau, skłonny był do sporu z przyjaciółmi i dobroczyńcami, zwłaszcza jeśli dawali mu dobre rady. Gdy jego oddany kolega, doktor Ludwig Kugelmann, zasugerował w roku 1874, że nie miałby

trudności z ukończeniem *Kapitału*, jeśliby zorganizował sobie nieco lepiej swe życie, Marks zerwał z nim na dobre i obrzucił bezlitosnymi obelgami<sup>44</sup>.

Jego gniewny egoizm miał tak fizyczne, jak i psychiczne podłoże. Prowadził szczególnie niezdrowy tryb życia: prawie nie uprawiał ćwiczeń fizycznych, jadł ostre potrawy, czasem bardzo dużo, dużo palił, sporo pił, zwłaszcza mocne piwo, i w rezultacie miał ciągle kłopoty z wątrobą. Rzadko się kąpał lub nie mył się w ogóle. Z tych też powodów cierpiał przez ćwierć wieku na prawdziwą plagę czyraków. Podnosiło to jego naturalną drażliwość i wydaje się, że nasiliło się szczególnie podczas pisania *Kapitału*. „Cokolwiek się stanie - pisał groźnie do Engelsa - to mam nadzieję, że burżuazja, dopóki będzie istniała, zapamięta dobrze moje karbunkuły”<sup>45</sup>. Czyraki gnębiły go z większą lub mniejszą dolegliwością, ale stale pokrywały jego ciało: pojawiały się na policzkach, grzbiecie nosa, na siedzeniu, co utrudniało mu pisanie, i na narządach płciowych. W roku 1873 spowodowało to nerwowe załamanie, objawiające się drżeniem ciała i wielkimi wybuchami furii.

A jednak istotniejsza niż gniew i zawiedzione nadzieje, być może tkwiąca u samych korzeni nienawiści do systemu kapitalistycznego, była jego groteskowa wprost nieudolność w posługiwaniu się pieniędzmi. W młodym wieku wpędziło go to w ręce lichwiarzy, którym płacił wysokie procenty, i porywcza nienawiść do lichwy stanowiła ważną siłę jego filozofii moralnej. Wyjaśnia to, dlaczego poświęcił jej tyle czasu i miejsca, dlaczego jego teoria klas jest zakorzeniona w antysemityzmie i dlaczego włączył do *Kapitału* długi i gwałtowny fragment potępiający lichwę, który zaczerpnął z jednej z antysemickich diatrib Lutra<sup>46</sup>.

Kłopoty pieniężne Marksa rozpoczęły się za czasów studiów i nie opuściły go do końca życia. Wyływały z jego dziecinnej postawy: pożyczał pieniądze nieostrożnie, wydawał, a później bywał zdziwiony i zły, gdy przychodziło do płacenia wysoko zdyskontowanych weksli i procentów. Pobieranie procentów, oczywiste w każdym systemie opartym na kapitale, uważał za zbrodnię przeciw ludzkości i podstawę wyzysku człowieka przez człowieka; system, który stworzył, miał usunąć całe to zło.

Jego odpowiedzią na kłopoty finansowe było wykorzystywanie każdego, kto był w pobliżu, przede wszystkim rodziny. Ostatni list od umierającego już ojca, z lutego 1838 roku, zawiera skargę, że Karol jest nieczuły na sprawy rodziny, chyba że chce zyskać od niej pomoc; dalej ojciec narzeka: „Jesteś dopiero czwarty miesiąc na kursie prawa i wydałeś już 280 talarów. Ja nie zarobiłem tyle przez całą zimę”<sup>47</sup>.

Trzy miesiące później ojciec zmarł. Marks nie pojechał na pogrzeb. Zamiast tego zaczął wywierać nacisk na matkę. Już wtedy żył z pożyczek od przyjaciół i od czasu do czasu wyłudzał pieniądze od rodziny. Twierdził, że rodzina jest „dość bogata” i ma obowiązek wspierania go w tak trudnej pracy.

Poza pisywaniem artykułów dla prasy, co było przedsięwzięciem raczej politycznym niż zarobkowym, Marks nigdy nie starał się poważnie o pracę: raz jedynie w Londynie, we wrześniu 1862 roku, zabiegał o posadę urzędnika kolejowego, ale jego podanie zostało odrzucone z racji niewyraźnego pisma.

Niechęć Marksa do zajęcia się swą karierą była chyba głównym powodem braku zrozumienia rodziny dla jego próśb o jałmużnę. Matka odmówiła spłacenia jego długów i ostatecznie odsunęła się od niego zupełnie. Odtąd ich stosunki prawie nie istniały. Przypisywano jej pełne gorczy życzenie, by „Karol zebrał jakiś kapitał, zamiast tylko pisać o nim”.

Mimo wszystko Marks otrzymał w spadku znaczne pieniądze. Śmierć ojca przyniosła mu sześć tysięcy franków w złocie, z których część wydał na uzbrojenie robotników belgijskich. Po zgonie matki w roku 1856 otrzymał mniej, niż oczekiwał, ale jedynie dlatego, że przewidując spadek pożyczał pieniądze od swego wuja, Philipa. W 1864 roku otrzymały pokaźną kwotę z majątku Wilhelma Wolffa. Inne sumy otrzymał od żony i jej rodziny (wniosła także w posagu srebrną zastawę stołową z herbami swych

przodków z rodu Argyll, herbowe sztuce oraz bieliznę pościelową). Między innymi otrzymali dość pieniędzy rozsądnie zainwestowanych, zapewniających dostatek, i nigdy ich rzeczywisty dochód nie spadał poniżej dwustu funtów rocznie, co się równało trzykrotnemu przeciętnemu zarobkowi robotnika wykwalifikowanego.

Marksa i jego żonę interesowało jedynie wydawanie pieniędzy. Tak spadki, jak i pożyczki rozmieniali na drobne sumy. Byli zawsze w długach, czasem poważnych, a srebrna zastawa stołowa regularnie była oddawana i odbierana z lombardu wraz z odzieżą rodziny. Zdarzyło się nawet, że tylko sam Marks mógł wyjść z domu, jemu bowiem pozostała para spodni. Rodzina Jenny odmówiła dalszej pomocy zięciowi, którego uważała za niepoprawnego próżniaka i utracjusza. W marcu 1851 donosząc Engelsowi o urodzinach córki, Marks żalił się: „Nie mam w domu dosłownie ani gro-  
Wówczas już Engels stał się ofiarą wyzysku. Od połowy lat czterdziestych XIX wieku, gdy po raz pierwszy się zetknęli, aż do zgonu Marksa Engels był głównym źródłem dochodu rodziny Karola i Jenny. Prawdopodobnie przekazał jej ponad połowę swych dochodów. Niemożliwe jest jednak obliczenie ich wysokości, przez ćwierć wieku bowiem przekazywał nieregularne sumy, wierząc zapewnieniom Marksa, że jeśli tylko otrzyma następny przekaz, zdoła doprowadzić swe sprawy do porządku.

Stosunki między nimi były nierówne, stroną wyzyskującą był Marks, zawsze przeważający, czasem władczy partner. W zadziwiający jednak sposób jeden potrzebował drugiego, jak para aktorów w dwuaktówce, niezdolnych grać oddzielnie, często na siebie narzekających, ale zawsze trzymających się razem.

Ich stosunki załamały się prawie w roku 1863, gdy Engels uznał, że Marks posunął się za daleko w swej niegodnej żebraniu. Engels utrzymywał dwa domy w Manchesterze, jeden dla prowadzenia interesów, drugi dla swej kochanki, Mary Burns. Gdy zmarła, Engels był bardzo tym przybity. Wpadł w pasję, kiedy 8 stycznia 1863 roku otrzymał od Marksa oschły list, w którym Marks po uznaniu jego straty natychmiast przeszedł do ważniejszej sprawy - prośby o pieniądze<sup>49</sup>. Nic nie odzwierciedla lepiej nieugiętego egocentryzmu Marksa. Engels odpowiedział chłodno i to zdarzenie niemal przerwało ich kontakty. Tak czy inaczej nie były one już nigdy takie same, bo Engels poznał ograniczenia charakteru Marksa. Wydaje się, że uznał wówczas, iż Marks nigdy nie zdoła dostać pracy czy utrzymać rodziny lub choćby uporządkować swoich spraw. Jedyne, co pozostało, to płacenie mu regularnie datków.

Tak więc w roku 1869 Engels sprzedał firmę i zapewnił sobie roczny dochód nieco powyżej ośmiuset funtów. Z tej sumy trzysta pięćdziesiąt przeznaczył dla Marksa. W ten sposób przez ostatnie piętnaście lat swego życia Marks był na utrzymaniu rentiera i miał pewne zabezpieczenie.

Wydaje się jednak mimo wszystko, że wydawał około pięciuset funtów rocznie, a może i więcej, usprawiedliwiając się przed Engelsem: „Nawet patrząc na to po kupiecku, czysto proletariacka postawa byłaby tu nie na miejscu”<sup>50</sup>. Stąd listy z prośbą o dodatkową jałmużnę napływały do Engelsa nadal<sup>51</sup>.

Jednak główną ofiarą rozrzutności Marksa i jego niechęci do pracy była rodzina, zwłaszcza jego żona. Jenny Marks pozostaje jedną z tragicznych, żalonych postaci socjalistycznej historii. Miała jasną szkocką cerę, zielone oczy i kasztanowe włosy swojej babki ze strony ojca, pochodziła z linii drugiego lorda Argyll, zabitego pod Flodden. Była pięknoscią i Marks ją kochał - dowodzą tego jego wiersze - i ona kochała go namiętnie, uczestnicząc w jego bitwach, zarówno z jego rodziną, jak i własną; trzeba było wielu lat goryczy, by jej miłość umarła.

Jak taki egoista jak Marks mógł obudzić takie uczucie?

Sądzę, że odpowiedź tkwi w tym, że był mocnym, władczym, w młodości i we wczesnym wieku męskim przystojnym mężczyzną, choć zawsze niechlujnym, a jednak zabawnym. Historycy zwracają mało uwagi na tę właśnie cechę charakteru, mimo że pomaga ona



wyjaśnić pozornie tajemniczy urok (dotyczyło to również Hitlera, zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym). Humor Marksa był często cięty i bezlitosny. Ale jego świetne żarty śmieszyły ludzi. Jeśliby był człowiekiem pozbawionym humoru, nieprzyjemne cechy pozbawiłyby go zupełnie poparcia, a kobiety obróciłyby się doń tyłem. Żarty są jednak najpewniejszą drogą do serc kobiet, które dużo przeszły w życiu. Często słyszano, jak Marks i Jenny śmieli się razem, a później to właśnie anegdoty Marksa, bardziej niż cokolwiek innego, związały z nim jego córki.

Marks był dumny ze szkockiego szlacheckiego pochodzenia swojej żony, nawet je wyolbrzymiał, i jej pozycji córki barona i wyższego urzędnika władz pruskich. Drukowane zaproszenia na bal, które wysłał w Londynie w roku 1860, określają ją jako „nee von Westphalen”. Zapewniał często, że lepiej się czuje z prawdziwymi arystokratami niż z chciwą *bourgeoisie* (słowo to, jak mówili świadkowie, wypowiadał ze szczególnym zgrzytliwym lekceważeniem). Jednak Jenny, gdy straszna rzeczywistość małżeństwa z bezpaństwowym i bezrobotnym rewolucjonistą dotarła do jej świadomości, z chęcią zdecydowałaby się na burżuazyjną egzystencję, nawet i drobnego *bourgeois*.

Od początku roku 1848 przez prawie całą następną dekadę jej życie było koszmarem. W dniu 3 marca 1848 wydany został nakaz wydalenia Marksa z Belgii i wtrącono go do więzienia; Jenny spędziła również noc w celi w tłumie prostytutek. Następnego dnia odwieziono ich pod eskortą do granicy.

Prawie cały następny rok Marks spędził na wędrownie lub w sądzie. Do czerwca 1849 był w nędzy. W następnym miesiącu przyznał się przyjacielowi: „Już ostatnia sztuka biżuterii mojej żony znalazła drogę do lombardu”<sup>52</sup>. Nie upadał jednak na duchu, podtrzymując absurdalny, wieczny rewolucyjny optymizm, pisząc do Engelsa: „Mimo wszystko ogromny wybuch rewolucyjnego wulkanu nigdy nie był bardziej bliski. Szczegóły później”.

Ona jednak nie czuła się najlepiej, była w ciąży. W Anglii znaleźli bezpieczeństwo, znaleźli także i poniżenie. Miała już troje dzieci: Jenny, Laurę i Edgara, a teraz urodziła czwarte, Guya, czyli Gwidona, w listopadzie 1849 roku. Pięć miesięcy później wyrzucono ich z mieszkania w Chelsea za niepłacenie czynszu, prosto na chodnik, jak pisała Jenny, „przed całym tłumem z Chelsea”. Łóżka zostały sprzedane na opłacenie rzeźnika, mleczarza, aptekarza i piekarza.

Znaleźli schronienie w nędznym niemieckim internacie przy Leicester Square i tam, w zimie, Gwido zmarł. Jenny pozostawiła pełną rozpacz relację z tych dni, które sprawiły, że jej uczucia do męża nigdy się już nie odrodziły<sup>53</sup>.

W dniu 24 maja 1850 roku brytyjskiemu ambasadorowi w Berlinie, lordowi Westmorelandowi, wręczono kopię raportu bystrego agenta policji pruskiej, opisującego bardzo szczegółowo działalność niemieckich rewolucjonistów, grupujących się wokół Marksa. Żaden dokument nie przekazuje lepiej, co musiała znieść Jenny:

„[Marks] prowadzi życie cygańskiego intelektualisty. Rzadko się myje, czyści ubranie i zmienia bieliznę, często jest pijany. Chociaż niejednokrotnie nic nie robi całymi dniami, to w końcu pracuje dniami i nocami z niezmierną wytrzymałością, gdy ma wiele pracy do wykonania. Nie chodzi spać ani nie wstaje o stałej porze. Często nie idzie spać przez całą noc, a później w południe kładzie się w ubraniu na sofie i śpi do wieczora, i nie przeszkadza mu ruch kręcących się po pokoju [były tam dwa pokoje]...

Nie ma ani jednego czystego i solidnego mebla. Wszystko jest połamane, w strzępach i porozrywane, pokryte kurzem na pół cala. W środku [salonu] stoi szeroki staromodny stół przykryty ceratą, na której leżą rękopisy, książki i gazety razem z ubraniami dzieci, kawałkami płótna i szmatami z koszyka do szycia jego żony, kilka wyszczerbionych filiżanek, noże, widelce, lampy, kałamarz, chińskie figurki, holenderskie gliniane fajki, tytoń, popiół ... właściciel sklepu ze starzyzną byłby zawstydzony, gdyby musiał rozdać tak

osobliwą kolekcję bez ładu i składu. Gdy się wchodzi do pokoju Marksa, dym i zapach tytoniu wyciska z oczu lzy...

Wszystko jest brudne i pokryte kurzem, tak że usiąść nie można bez ryzyka. Jedno z krzeseł ma tylko trzy nogi, na drugim dzieci bawią się w gotowanie. To drugie ma, jak się zdaje, cztery nogi, więc podstawia się je gościowi, ale po gotowaniu dzieci nie sprzątnięto, i jeśli się usiądzie, ryzykuje się czystość spodni"<sup>54</sup>.

Raport ten przedstawia prawdopodobnie najgorszy moment losów rodziny Marksa. W najbliższych latach spadły na nią następne ciosy. Córka Franciszka, urodzona w 1851, zmarła w roku 1852. Edgar, najbardziej ukochany syn, ulubieniec Marksa, którego ojciec nazywał *Musch* (Muszka), dostał nieżyty żołądka i jelit i zmarł w roku 1855, co było okropnym ciosem dla obojga rodziców. Jenny nigdy się już z tego nie wydobyła. Marks pisał: „Codziennie żona mi mówi, że chciałaby leżeć w grobie..”. Trzy miesiące wcześniej urodziła się już córka Eleonora, ale Marks chciał mieć synów, a teraz nie miał ani jednego; dziewczęta się dla niego nie liczyły, chyba tylko jako sekretarki.

W roku 1860 Jenny zaraziła się ospą i straciła resztki urody; od tej chwili aż do zgonu w roku 1881 przesuwiała się powoli na dalszy plan w życiu Marksa - zmęczona, rozczarowana kobieta, wdzięczna za małe dobrodziejstwa losu: powrót jej sreber z lombardu, zamieszkanie we własnym domu. W roku 1856 dzięki Engelsowi rodzina Marksa mogła przeprowadzić się z Soho do wynajętego domu (9, Grafton Terrace, Haverstock Hill), dziewięć lat później, ponownie dzięki Engelsowi, zajęli o wiele lepszy (1, Maitland Park Road). Odtąd mieli zawsze co najmniej dwoje służby. Codziennie rano Marks zabierał się do czytania „The Times”. Został wybrany do rady parafialnej. W pogodną niedzielę prowadził rodzinę na uroczysty spacer do Hampstead Heath, sam idąc na czele, żona zaś z córkami i przyjaciółmi z tyłu.

*Embourgeoisement* Marksa prowadziła do kolejnej formy wyzysku, tym razem jego córek. Wszystkie trzy były inteligentne. Można było sądzić, że dla wynagrodzenia im niespokojnego i spędzonego w nędzy dzieciństwa, które odcierpiały jako córki rewolucjonisty, Marks będzie postępował zgodnie z logiką swego radykalizmu i będzie je zachęcał do zrobienia kariery. W rzeczywistości odmówił im zadowalającego wykształcenia i nie pozwolił na zdobycie jakiegokolwiek zawodu. Eleonora, która kochała go najbardziej, mówiła do Oliwii Schreiner: „Przez długie marne lata był między nami cień”.

Dziewczęta były trzymane w domu, uczyły się grać na fortepianie i malować akwarele, jak córki kupieckie. Gdy podrosły, Marks nadal chadzał do pubu na piwo ze swoimi przyjaciółmi-rewolucjonistami, ale - jak wspominał Wilhelm Liebknecht - nie pozwalał śpiewać u siebie w domu sprośnych piosenek, bo dziewczęta mogłyby usłyszeć<sup>55</sup>.

Później nie pochwałał konkurentów córek, choć pochodzili oni z jego własnego rewolucyjnego środowiska. Nie mógł i nie powstrzymał ich przed małżeństwem, ale jego opór uczynił ich sytuację trudniejszą i pozostawił blizny.

Paula Lafargue, męża Laury, który pochodził z Kuby i miał nieco krwi murzyńskiej, Marks nazywał Negrillo lub Gorylem. Nie lubił też Charlesa Longueta, męża Jenny. Według jego mniemania obaj zięciowie byli idiotami: „Longuet jest ostatnim z proudhonistów, a Lafargue ostatnim z bakunistów - do piekła z nimi obydwoma!”<sup>56</sup>.

Eleonora, najmłodsza córka, najbardziej ucierpiała zarówno z powodu jego odmowy zrobienia przez nią kariery, jak i wrogości do jej konkurentów. Została tak wychowana, by uważać mężczyznę - to jest ojca - za centrum wszechświata. Nie jest więc, być może, niespodzianką, że w końcu zakochała się w mężczyźnie bardziej egocentrycznym od jej ojca.

Edward Aveling, pisarz i niedoszły lewicowy polityk, był kobieciarzem i darmozjadem, specjalizującym się w uwodzeniu aktorek. Eleonora chciała być aktorką i stała się naturalnie jego ofiarą. Przejmującą małą ironią historii było, że Edward, Eleonora i George Bernard Shaw uczestniczyli w pierwszym prywatnym czytaniu w Londynie *Domu lalki* Ibsena,

świątecznej obrony wolności kobiet, w której Eleonora grała Norę. Niedługo przed śmiercią Marksa Eleonora została kochanką Avelinga i jego cierpiącą niewolnicą, tak jak jej matka, Jenny, była niewolnicą ojca<sup>57</sup>.

Marks jednak zapewne potrzebował swej żony bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Po jej śmierci w roku 1881 gasł w oczach: nie pracował wcale, kurował się w różnych uzdrowiskach lub jeździł do Algieru, Monte Carlo czy Szwajcarii po słońce i czyste powietrze. W grudniu 1882 roku cieszył się swoim rosnącym wpływem w Rosji: „W żadnym innym kraju mój sukces nie radowałby bardziej”. Zachowując niszczyielski wpływ do końca, chełpił się: „Daje mi satysfakcję, że niszczę mocarstwo, które wraz z Anglią jest prawdziwym bastionem starego porządku”. Trzy miesiące później zmarł, siedząc przy kominku. Jedną z jego córek, Jenny, zmarła kilka tygodni wcześniej. Koniec dwóch innych był także tragiczny. Eleonora, którą mąż doprowadził do rozpacz, przedawkowała opium w roku 1898; być może mieli oboje popełnić samobójstwo, z którego mąż się wymigał. Trzydzieści lat później Laura i Lafargue także postanowili popełnić samobójstwo i tak też uczynili.

Z tej tragicznej rodziny pozostała jedna tajemnicza osoba, symbol najbardziej dziwnego wyzysku popełnionego przez Marksa. Badając nikczemność kapitalistów brytyjskich natknął się szereg razy na nisko płatnych robotników, ale nigdy nie udało mu się spotkać takiego, który nie dostawał żadnej pensji w ogóle. Taki robotnik istniał jednak, i to w jego własnym domu.

Gdy Marks zabierał swą rodzinę na uroczystą niedzielną przechadzkę, pochód zamykała krępa figura kobieca, taszcząca kosz z jedzeniem i inne niezbędne rzeczy. Była to Helen Demuth, zwana Lenchen. Urodziła się w roku 1823 w chłopskiej rodzinie, znalazła się u von Westphalenów w wieku ośmiu lat jako niańka. Dostawała wikt, ale nie płacono jej ani grosza.

W roku 1845 baronowa, która odczuwała smutek i obawę o Jenny właśnie wydaną za mąż, przydzieliła Lenchen, wówczas dwudziestodwuletnią, do pomocy swej córce. Lenchen pozostała w rodzinie Marksów aż do śmierci w roku 1890. Eleonora mówiła, że Lenchen jest dla innych „najczulszą z istot, zachowując przy tym stoicki stosunek do własnej doli”<sup>58</sup>. Pracowała nadzwyczaj ciężko, nie tylko gotując i sprzątajac, ale i prowadząc wydatki rodziny, bo Jenny nie mogła sobie z nimi poradzić. Marks nie płacił Lenchen nigdy ani grosza.

W latach 1849-1850, w najgorszym okresie dla rodziny, Lenchen została kochanką Marksa i zaszła w ciążę. Mały Gwido ostatnio zmarł, ale Jenny była także ponownie w ciąży. Cała rodzina żyła w dwóch pokojach i Marks musiał ukryć stan Lenchen nie tylko przed żoną, ale i przed licznymi gośćmi-rewolucjonistami.

W końcu Jenny odkryła, czy też jej powiedziano, prawdę. Był to szczyt jej nieszczęść w tamtych latach, a prawdopodobnie koniec jej miłości do Marksa. Pisała: jest to wydarzenie, „nad którym nie chcę się dłużej rozwodzić, chociaż przyczyniło nam ono sporo smutku prywatnie i publicznie”. Ten cytat pochodzi z jej autobiograficznego szkicu, napisanego w roku 1865, z którego zachowało się dwadzieścia dziewięć stron z początkowych trzydziestu siedmiu; pozostałe, opisujące jej kłótnie z Marksem, prawdopodobnie zniszczyła Eleonora<sup>59</sup>. Lenchen urodziła syna 23 czerwca 1851 w Soho (28, Dean Street)<sup>60</sup>; otrzymał metrykę jako Henry Frederick Demuth. Marks stanowczo zaprzeczył, że jest ojcem dziecka. Może chciał postąpić jak Rousseau i oddać dziecko do sierocińca albo żeby je ktoś adoptował? Lenchen miała jednak silniejszy charakter od kochanki Rousseau. Nalegała na uznanie chłopca. Oddano go w końcu na wychowanie do robotniczej rodziny o nazwisku Lewis, ale pozwolono mu odwiedzać dom Marksów. Nie wolno mu było jednak wchodzić przez drzwi frontowe i zmuszono do widywania się z matką jedynie w kuchni.

Marks był przerażony, że ojcostwo Freddy'ego zostanie wykryte i że mogłoby ono mieć zgubny skutek dla niego jako rewolucyjnego przywódcy i proroka. Jedna niejasna wzmianka o tym zachowała się w jego listach, inne zostały usunięte przez różne ręce. Ostatecznie przekonał Engelsa, by prywatnie uznał Freddy'ego za swego syna, tylko na użytek rodziny Marksów. Eleonora w to uwierzyła. Engels jednak, choć zwykle ulegał żądaniom Marksów dla dobra ich wspólnej pracy, nie chciał zabierać sekretu z sobą do grobu. Zmarł na raka krtani 5 sierpnia 1895 roku; nie mógł już mówić, ale nie chcąc, by Eleonora (Tussy, jak ją nazywano) nadal sądziła, że jej ojciec był bez skazy, napisał na tabliczce: „Freddy jest synem Marksów. Tussy chce zrobić ze swego ojca bóstwo”.

Sekretarka i gospodyni Engelsów, Luiza Freyberger, w liście do Augusta Bebla z 2 września 1898 napisała, że Engels sam powiedział jej prawdę i dodała: „Aż zabawne, jak Freddy jest podobny do Marksów z tą jego typową żydowską twarzą i czarnymi włosami; byłoby ślepym uprzedzeniem widzieć w nim jakiegokolwiek podobieństwo do Generała [tak nazywała Engelsa]”.

Eleonora uznała Freddy'ego za swego przyrodniego brata i przywiązała się do niego; zachowało się dziewięć jej listów do Freddy'ego<sup>61</sup>. Nie przyniosła mu jednak szczęścia: jej kochanek Aveling pożyczył pieniądze pochodzące z oszczędności, gromadzonych przez Freddy'ego przez całe życie, i nigdy mu ich nie zwrócił.

Lenchen była jedynym członkiem klasy robotniczej, którego Marks kiedykolwiek dobrze poznał, jego jedynym prawdziwym kontaktem z proletariatem. Freddy mógł zostać kimś zupełnie innym, ale ponieważ był wychowany jako dziecko robotnicze, w roku 1888, gdy miał już trzydzieści sześć lat, otrzymał upragniony dyplom wykwalifikowanego ślusarza. Spędził prawie całe swoje życie na dworcu King's Cross i w Hackney, był członkiem związku zawodowego metalowców.

Marks nigdy go jednak nie poznał. Spotkali się prawdopodobnie raz, gdy Freddy wchodził po schodach kuchennych do domu Marksów, ale Freddy nie miał najmniejszego pojęcia, że rewolucjonista-filozof jest jego ojcem. Zmarł w styczniu 1929 roku, gdy Marksowa wizja dyktatury proletariatu przybrała konkretny i okrutny kształt, a Stalin - władca, który osiągnął absolutną władzę, za jaką Marks tęsknił - rozpoczynał właśnie katastrofalny atak na rosyjskie chłopstwo.

### Przypisy Rozdział III

1. Edgar von Westphalen, cyt. w: Robert Payne, *Marx*, London 1968, s. 20.
2. Zob. świetny esej o Marksie w: Robert S. Wistrich, *Revolutionary Jews From Marx to Trotsky*, London 1976.
3. List do Engelsa, 11 kwietnia 1868, *Karl Marx-Friedrich Engels Werke*, Berlin 1956-1968, t. XXXII, s. 58.
4. O poezji Marksów, zob. Payne, *op. cit.*, s. 61-71.
5. *Marx-Engels Werke*, t. III, s. 69-71.
6. R. Payne, *op. cit.*, s. 166 i n.
7. Karol Marks, Przemówienie wygłoszone na obchodzie rocznicy gazety „The People's Paper”, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła wybrane*, Warszawa 1949, t. I, s. 333-335.
8. Karol Marks, *Kapitał*; w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła*, Warszawa 1968, t. 23, s. 18-19.
9. Karol Marks, *W kwestii żydowskiej*, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła*, Warszawa 1976, t. I, s. 450-453.

10. Decydujące prace Marksa: Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa (1843), Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r. (po raz pierwszy opublikowane w roku 1932) i Ideologia niemiecka (1845-1846).
11. O pracach tych pisze R. Payne, *op. cit.*, s. 98 i n.
12. *Ibidem*, s. 86.
13. *Ibidem*, s. 134-136.
14. Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, Warszawa 1974, t. 30, s. 306. Słów o „tłustym Żydzie wysmarowanym brylantyną i noszącym tanią biżuterię” nie ma w tym wydaniu.
15. Karl Jaspers, *Marx und Freud*, „Der Monat”, t. XXVI (1950).
16. Geoffrey Pilling, *Marx's Capital*, London 1980, s. 126.
17. Louis Althusser, *For Marx*, tłum. z franc., London 1969, s. 79-80.
18. *Engels on Capital*, London 1938, s. 68-71.
19. Karol Marks, *Kapitał*, t. I, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, Warszawa 1968, t. 23, s. 905.
20. *Ibidem*, s. 267-354.
21. *Ibidem*, s. 278 (przypis 48).
22. W. O. Henderson, W. H. Challoner (tłum. i wyd.), *Engels Condition of the Working Class in England*, Oxford 1958.
23. Engels do Marksa, 19X11844, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, t. 27, Warszawa 1968, s. 9-14.
24. Henderson, Challoner, *op. cit.*, Appendix V, Dr Loudon, *Report on the Operation of the Poor Laws*, 1833. Podaje charakterystyczne przykłady złego cytowania przez Engelsa, którego skutkiem było poważne zniekształcenie sensu raportu Loudona.
25. *Nationalökonomie der Gegenwart und Zukunft*, I, Frankfurt 1848, s. 155-161, 170-241.
26. Generalną analizę metod postępowania Marksa zawiera: Leslie R. Page, *Karl Marx and the Critical Examination of His Works*, London 1987.
27. Siedem londyńskich gazet z 17 kwietnia 1863.
28. Zob. David D. Felix, *Marx as Politician*, London 1982, s. 161-162, 269-270. Zob. także, Karol Marks, *Inauguracyjny Manifest Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników...*, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela wybrane*, t. I, Warszawa 1949, s. 354.
29. David D. Felix, *op. cit.*, s. 147.
30. Zob. Leslie R. Page, *op. cit.*, s. 46-49.
31. Zob. także: David D. Felix, Chushichi Tsuzuki, *The Life of Eleanor Marx, 1855-1898: A Socialist Tragedy*, London 1967.
32. Robert Payne, *op. cit.*, s. 81.
33. *Ibidem*, s. 134.
34. *Ibidem*, s. 155. Opis Heinzena został opublikowany w Bostonie w roku 1864.
35. Karol Marks, „Neue Rheinische Zeitung” unicestwiona w trybie doraźnym, „Neue Rheinische Zeitung” nr 301 z 19 maja 1849 r., w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, t. 6, Warszawa 1963, s. 585.
36. Karol Marks, Fryderyk Engels, *Apel Komitetu Centralnego do Związku Komunistów (marzec 1850)*, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, t. 7, Warszawa 1963, s. 293-294.
37. Robert Payne, *op. cit.*, s. 475 (przypis).
38. Stephan Lukes, *Marxism and Morality*, Oxford 1985, s. 3 i n.
39. Cytuje David McLellan, *Karl Marx: His Life and Thought*, London 1973, s. 455.
40. Payne, *op. cit.*, s. 50 i n.
41. Marx-Engels Collected Works, t. II, s. 330-331.
42. Marx, *On Britain*, Moscow 1962, s. 373.
43. Payne, *op. cit.*, s. 251 i n., Michel Bakounine, *Oeuvres*, Paris 1908.

44. Marx-Engels Gesamt-Ausgabe, t. XXXIII, s. 117.
45. *Ibidem*, t. XXXI, s. 305.
46. Karol Marks, *Kapitał*, t. I, Warszawa 1951, s. 639 (rozdział XXII, przypis 34).
47. Cytuje Payne, *op. cit.*, s. 54.
48. Marx-Engels Gesamt-Ausgabe, t. XXVII, s. 227.
49. Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, t. 30, Warszawa 1974, s. 365-366, odpowiedź Engelsa z 13 stycznia 1863, *ibidem*, s. 367-368.
50. Marx-Engels Gesamt-Ausgabe, t. XXXI, s. 131.
51. Na temat dalszych informacji o finansach Marksa, zob. David McLellan, *Karl Marx: Interviews and Recollections*, London 1981, oraz tegoż, *Karl Marx: The Legacy*, London 1983, oraz: Fritz J. Raddatz, *Karl Marx: A Political Biography* (tłum.), London 1979.
52. Marx-Engels Gesamt-Ausgabe, t. XXVII, s. 500.
53. *Ibidem*, s. 609.
54. Drukowane w: *Archiv für Geschichte des Sozialismus*, Berlin 1922, s. 56-58, oraz: Payne, *op. cit.*, s. 251 i n.
55. Marx-Engels Gesamt-Ausgabe, s. 102-103.
56. *Ibidem*, t. III, s. 4, 569.
57. O rodzinie Marksa zob.: H. F. Peters, *Red Jenny: A Life with Karl Marx*, London 1986; Yvonne Kapp, *Karl Marx's Children: Family Life 1844-55*, w: *Karl Marx: 100 Years On*, London 1983, s. 273-305, i także *Eleanor Marx*, t. I-II, London 1972.
58. Payne, *op. cit.*, s. 257.
59. Władze sowieckie, publikując okrojony wersję szkicu Jenny Marks, zachowany rękopis zamknęły w Instytucie Marksa-Engelsa-Lenina w Moskwie. Inna wersja, prawdopodobnie także ocenzurowana, została opublikowana w Lipsku w roku 1965.
60. Daty w życiu Marksa, zob. zestawienie chronologiczne w: Maximilien Rubel, *Marx: Life and Works* (tłum.), London 1980. Istnienie nieślubnego syna zostało ujawnione po raz pierwszy w: W. Blaumenberg, *Karl Marx: An Illustrated Biography*, 1962, przekł. angielski, London 1972.
61. Payne, *op. cit.*, s. 53&-539.

#### 4. Henryk Ibsen: „Wręcz przeciwnie!”

Sztuka pisania jest trudna. Twórcze pisanie jest najtrudniejszą intelektualną harówką. Twórcze nowatorstwo, szczególnie w skali zasadniczej, wymaga wciąż większego stopnia koncentracji i energii. Spędzanie całego czynnego życia na ciągłym przesuwaniu twórczych granic zakłada taki poziom samodyscypliny i pracowitości umysłu, jaki osiągnęło zaledwie niewielu pisarzy.

Była to stała cecha pracy Henryka Ibsena. Trudno byłoby znaleźć pisarza, działającego w jakimkolwiek gatunku czy epoce, który byłby bardziej oddany pracy. Nie tylko stworzył teatr nowoczesny, ale i napisał szereg sztuk, które wciąż stanowią istotną część repertuaru teatralnego. Został zachodnią scenę pustą i martwą, a przekształcił ją w bogatą i potężną formę sztuki, tak we własnym kraju, jak i na całym świecie.

Ibsen ponadto nie tylko zrewolucjonizował ten rodzaj sztuki, ale zmienił społeczne myślenie swego i następnego pokolenia. To, co Rousseau uczynił dla końca XVIII wieku, Ibsen zrobił dla końca XIX stulecia. Podczas gdy Rousseau przekonał mężczyzn i kobiety, by zwrócili się do natury i w ten sposób przyspieszyli zbiorową rewolucję, Ibsen głosił bunt jednostki przeciw ancien regime zakazów i uprzedzeń panujących w każdym miasteczku, nawet w każdej rodzinie. Nauczył ludzi, zwłaszcza kobiety, że ich indywidualne sumienie i wyobrażenie wolności mają moralne pierwszeństwo przed wymaganiami społeczeństwa.

Postępując w ten sposób, Ibsen spowodował rewolucję postaw i zachowań, która zaczęła się już za jego życia i posuwając się skokami trwa do dziś. Na długo przed Freudem Ibsen położył fundamenty społeczeństwa permissywnego. Chyba nawet Rousseau, a z pewnością Marks nie mieli większego od niego wpływu na to, jak zachowują się ludzie, stojąc w opozycji przeciw rządowi. On i jego dzieło tworzą jedną z podstaw gmachu nowoczesności.

Osiągnięcia Ibsena są jeszcze bardziej godne podziwu, jeśli weźmie się pod uwagę, że był podwójnie nieznaną. Podwójnie, bo nie tylko sam był biedny, ale pochodził także z małego, biednego kraju bez wyraźnej tradycji kulturalnej.

Norwegia była potężna i przedsiębiorcza we wczesnym średniowieczu, w latach 900-1100. Potem nastąpił upadek, zwłaszcza po śmierci ostatniego, w pełni norweskiego króla, Olafa IV, w roku 1387; od roku 1536 stała się prowincją Danii i pozostała nią przez blisko trzy stulecia. Nazwa stolicy, Oslo, została zmieniona na Christiania - dla upamiętnienia imienia duńskiego władcy, a cała wyższa kultura była duńska - poezja, proza, dramat. Od czasu kongresu wiedeńskiego 1814-1815 Norwegia otrzymała tak zwaną konstytucję Eidsyolla<sup>1</sup>, gwarantującą samorząd pod rządami korony szwedzkiej; dopiero w roku 1905 stała się oddzielnym królestwem.

Aż do XIX wieku język norweski był raczej wiejskim, prowincjonalnym dialektem niż literackim językiem narodowym. Pierwszy uniwersytet założono w roku 1813, a pierwszy teatr norweski powstał dopiero w roku 1850, w Bergen<sup>2</sup>. W czasach młodości i we wczesnym wieku męskim Ibsena przeważała wciąż kultura duńska. Pisać po norwesku znaczyło izolować się od reszty Skandynawii, jeśli nie świata. Duński był językiem literackim.

Kraj był nędzny i smutny. Stolica była, według europejskich standardów, małym, prowincjonalnym miastem o tylko dwudziestu tysiącach mieszkańców, pełnym błota i bez żadnego wdzięku. Skien, gdzie 20 marca 1828 roku Ibsen się urodził, leżało na wybrzeżu, sto mil na południe, w barbarzyńskiej okolicy, gdzie nietrudno było spotkać wilki czy zarazić się trądem. Kilka lat wcześniej dom Ibsenów spalił się z powodu niedbalstwa służącej, która za to została ukarana śmiercią.

Jak pisał Ibsen w szkicu autobiograficznym, było to miejsce wypełnione zabobonem, grozą i okrucieństwem; dobiegał tam szum tamy, gwizd i zawodzenie pił: „Gdy później czytałem o gilotynie, zawsze myślałem o ostrzach tych pił”. Obok ratusza stał pręgierz, „czerwonawobrazowy słup prawie wysokości człowieka. Na szczycie była duża kula, początkowo pomalowana na czarno ... Z przodu słupa zwisał żelazny łańcuch z otwartymi pętami, które wydały mi się dwoma małymi ramionami gotowymi złapać mnie za kark. Poniżej [ratusza] były lochy z zakratowanymi oknami, wychodzącymi na rynek. Przez kraty widziałem wiele smutnych i ponurych twarzy”<sup>3</sup>.

Ibsen był najstarszym z pięciorga dzieci (czterech synów i jedna córka) kupca, Knuda Ibsena, którego przodkowie byli żeglarzami, kapitanami statków morskich. Matka Ibsena pochodziła z rodziny także trudniącej się żeglugą.

Gdy Ibsen miał sześć lat, jego ojciec zbankrutował; był to od tej chwili złamany przez los człowiek, żebrzący o wsparcie, gderliwy i swarliwy- stary Ekdal z *Dzikiej kaczki*. Matka Ibsena, niegdyś piękna aktorka, zawiedziona w swych oczekiwaniach zamknęła się w sobie, odsunęła od ludzi i bawiła się lalkami.

Rodzina nie wychodziła z długów i odżywiała się głównie ziemniakami. Ibsen był drobnym i brzydkim chłopcem, dorastającym w cieniu krążącej plotki, że jest nieślubnym dzieckiem; mówiono o nim, że jego ojcem był jeden z miejscowych uwodzicieli. Ibsen czasami w to wierzył i gdy sobie podpił, wyrzucał to z siebie, choć nie ma danych, że była to prawda. Po upokarzającym dzieciństwie wysłano go do posępnego, morskiego portu Grimstad, gdzie dostał posadę pomocnika aptekarza, ale i tu szczęście mu nie dopisało. Interes jego pryncypała od dawna był w tarapatach, wreszcie zakończył się bankructwem<sup>4</sup>.

Powolna droga Ibsena z tej otchłani to epepeja samotnego samokształcenia. Od roku 1850 przebijał się przez uniwersytet. Żył wówczas, i jeszcze wiele lat później, w skrajnej nędzy. Pisał poezję, dramaty białym wierszem, krytyki teatralne i komentarze polityczne. Jego pierwsza sztuka, satyryczna *Norma*, nie była wystawiona. Pierwsza zaś, która pojawiła się na scenie, tragedia wierszem *Katylina*, przyniosła fiasko. Nie miał szczęścia i z wystawieniem drugiej, *Nocy świętojańskiej*. Wystawienie w Bergen trzeciego dramatu, *Rycerze północy*, było również chybione. Czwarty, *Pani zamku Óstrot*, pisany prozą, został wystawiony anonimowo i także nie przniósł powodzenia.

Pierwszym dziełem, które nabrało korzystnego rozgłosu, była *Uroczystość na Solhaugu*, ale sam autor uważał je za banalne i pospolite. Jeśliby uległ swym naturalnym skłonnościom, jak w sztuce wierszem *Komedia miłości*, to zostałoby ono uznane za „niemoralne” i nie wystawione w ogóle.

Ibsen stopniowo nabrał ogromnego doświadczenia scenicznego. Muzyk Ole Buli, założyciel pierwszego teatru wystawiającego w języku norweskim w Bergen, zaangażował Ibsena jako autora z pensją pięciu funtów miesięcznie. Sześć lat Ibsen zajmował się w teatrze bergieńskim wszystkim: scenografią, kostiumami, kasą, nawet reżyserią (choć nigdy sam nie grał, a jego słabością był brak wiary w reżyserów-aktorów). Warunki były bardzo prymitywne: oświetlenie gazowe, stosowane w Londynie i Paryżu od roku 1810, zaczęło być używane w roku jego odejścia z teatru w Bergen, to jest w 1856.

Następne pięć lat Ibsen spędził w nowym teatrze w Christami. Cuda twardej pracy sprawiły, że zdobył powoli sprawność zawodową i wtedy zaczął eksperymentować. W roku 1862 nowy teatr jednak zbankrutował i Ibsena zwolniono. Był już żonaty, pogrążony w długach, nachodzony przez wierzycieli, często przygnębiony, sporo też pił. Studenci widywali go pijanego kompletnie, leżącego w rynsztoku, i zbierano nawet składki na



wysłanie „pijanego poety Henryka Ibsena” za granicę<sup>5</sup>. On zaś ciągle pisał petycje, dziś brzmiące patetycznie, do króla i parlamentu o stypendium na podróż na południe. W końcu je otrzymał i przez następne ćwierć wieku prowadził życie emigranta w Rzymie, Dreźnie i Monachium.

Pierwsza zapowiedź sukcesu nadeszła w roku 1864, gdy jego sztuka wierszem *Pretendenci do tronu* weszła do repertuaru odrodzonego teatru w Christianii.

Było zwyczajem Ibsena publikowanie swoich sztuk najpierw w postaci książki, jak to robili właściwie wszyscy dziewiętnastowieczni poeci, począwszy od Byrona i Shelleya. Faktyczne ich wystawienia następowały z reguły dopiero po latach, czasem po wielu latach. Jednakże liczba drukowanych i sprzedawanych egzemplarzy każdej sztuki rosła, do pięciu tysięcy, ośmiu, dziesięciu, a nawet do piętnastu tysięcy.

Premiery teatralne następowały jedna po drugiej. Sława Ibsena objawiła się trzema falami. Najpierw były jego wielkie dramaty: *Brand* i *Peer Gynt* w latach 1866-1867, gdy Marks publikował *Kapitał*. *Brand* był atakiem na powszechny materializm i obroną kierowania się własnym sumieniem przeciw regułom społeczeństwa; był to chyba główny temat dzieł całego jego życia. Sztuka wywołała ogromny spór, gdy została opublikowana w roku 1866, i po raz pierwszy Ibsena uznano za przywódcę buntu przeciw prawowierności, nie tylko w Norwegii, ale w całej Skandynawii. Wyłamał się w ten sposób z wąskiej norweskiej enklawy.

Druga fala nadeszła w latach siedemdziesiątych. Ogłaszając *Brand*a, Ibsen włączał się w grę idei rewolucyjnych, ale wkrótce doszedł do wniosku, że takie sztuki wywrą nieskończenie większy wpływ, jeśli będą wystawiane na scenie, a nie jedynie czytane. Doprowadziło to do zarzucenia poezji i zajęcia się prozą, a z nią - nowym gatunkiem teatralnego realizmu. Jak to sam ujął, „wiersz jest dla wizji, proza dla idei”<sup>6</sup>.

Przejście to, jak wszystkie posunięcia Ibsena, trwało całe lata, i czasem Ibsen wydawał się beczynny, raczej rozmyślając niż pracując.

Dramaturg w porównaniu z powieściopisarzem nie spędza właściwie dużo czasu na pisaniu. Liczba słów nawet w długiej sztuce jest zadziwiająco mała. Akcja sztuki rozwija się nie logicznie i tematycznie, tylko skokami, pojedynczymi teatralnymi wydarzeniami, które są źródłem intrygi, a nie jej rozwinięciem.

W przypadku Ibsena faza wstępna, przed pisaniem dramatu, była szczególnie wyteżona, bowiem czynił on zupełnie coś nowego. Podobnie jak wszyscy wielcy artyści nie znośił się powtarzać i każde jego dzieło było zasadniczo odmiennym, zwykle nowym krokiem w nieznaną. Skoro jednak już wiedział, co się ma dzieć na scenie, wtedy pisał szybko i dobrze.

Pierwsze poważne owoce tej nowej metody: *Podpory społeczeństwa* (1877), *Dom lalki* (1879) i *Upiory* (1881), zbiegły się z załamaniem się koniunktury w środkowym okresie epoki wiktoriańskiej i z nowym nastrojem obawy i niepokoju w społeczeństwie. Ibsen stawiał pytania dotyczące władzy pieniądza i wyzysku kobiet, nawet poruszał zakazany temat chorób wenerycznych. Umieszczał podstawowe problemy polityczne i społeczne dosłownie w środku sceny, w prostym, codziennym języku i scenerii, którą mogli wszyscy rozpoznać.

Namiętność, gniew, oburzenie, a nade wszystko zainteresowanie, które wzbudził, były ogromne i zataczały coraz dalsze koła od Skandynawii. *Podpory społeczeństwa* oznaczały dotarcie do publiczności środkowej Europy, *Dom lalki* do świata anglosaskiego. Były to pierwsze sztuki nowoczesne, które rozpoczęły proces przemiany Ibsena w postać światową.

Ale ponieważ był to właśnie Ibsen, uznał, że za trudne jest dla niego przyjęcie roli dramaturga społecznego, nawet z autorytetem międzynarodowym. Trzecia wielka faza w jego rozwoju stała się odwrotem od spraw politycznych jako takich i zwrotem ku problemom wolności osobistej, zajmującej prawdopodobnie jego umysł bardziej niż jakikolwiek inny aspekt ludzkiej egzystencji. W notatniku pisał: „Wyzwolenie polega na zapewnieniu jednostkom prawa do oswobodzenia się, każdemu zgodnie z jego szczególną potrzebą”. Stale

twierdził, że urzędowe swobody polityczne są bez znaczenia, póki osobiste prawa nie zostaną zagwarantowane przez rzeczywiste zachowania ludzi w społeczeństwie.

W tej trzeciej fazie stworzył między innymi: *Dziką kaczkę* (1884), *Rosmersholm* (1886), *Hedgę Gabler* (1890), *Budowniczego Solnessa* (1892) i *Johna Gabriela Borkmana* (1896), sztuki, które wielu uznawało za wprawiające w zakłopotanie, czasem nawet niezrozumiałe, ale które stały się najbardziej cenionymi z jego dzieł: zajmują się one ludzką *psyche* i jej poszukiwaniem wolności, nieświadomością umysłu i przerażającym tematem, w jaki sposób istota ludzka obejmuje kontrolę nad inną.

Zasługą Ibsena było nie tylko czynienie czegoś świeżego i oryginalnego w sztuce, ale to, że był czuły na pojęcia jedynie w połowie wypowiedziane, a nawet wciąż nie zbadane. Jak ujął to Georg Brandes, duński krytyk i jego dawny przyjaciel, Ibsen miał „pewien rodzaj tajemniczej łączności z fermentującymi, kielkującymi ideami dnia ... przykładał on ucho do dalekiego dudnienia, zapowiadającego idee, które krążą pod ziemią”<sup>7</sup>.

Ponadto idee te miały międzynarodowy obieg. Widzowie teatralni na całym świecie mogli utożsamiać samych siebie lub swoich sąsiadów z cierpiącymi ofiarami i dręczonymi wyzyskiwaczami ze sztuk Ibsena. Jego ataki na powszechnie uznawane wartości, program wolności osobistej, argument, że wszystkie istoty ludzkie winny mieć możliwość samorealizacji, były wszędzie przyjmowane. Od wczesnych lat dziewięćdziesiątych, gdy wrócił triumfalnie do domu w Christianii, jego sztuki były grane coraz częściej na całym świecie. Przez ostatnie dziesięciolecie swego życia (zmarł w roku 1906) dawny pomocnik aptekarza był w Skandynawii najbardziej znanym człowiekiem. Wraz Tołstojem w Rosji był rzeczywiście szeroko uznawany za największego żyjącego pisarza i proroka świata. Sławę jego szerzyli tacy pisarze, jak William Archer i George Bernard Shaw, a dziennikarze przebywali tysiące mil, aby udzielił im wywiadu w swym ponurym mieszkaniu w Victoria Terrace.

Codzienne jego wizyty w kawiarni Grand Hotelu, gdzie siadywał samotnie, spoglądając w lustro, by móc widzieć resztę sali, czytając gazetę i popijając piwo z koniakiem, należały do wydarzeń w stolicy: gdy wchodził - punktualnie co do minuty - wszyscy wstawali i nikt nie ośmielił się usiąść, dopóki nie usiadł wielki człowiek.

Richard Le Gallienne, angielski pisarz, który jak wielu ludzi przyjechał specjalnie do Norwegii, by śledzić to przedstawienie - inni jeździli do Jasnej Polany, żeby oglądać Tołstoja - tak opisał Ibsena: „Wygląda posępnie, w złym humorze, z zaciśniętymi ustami, sztywny jak wycior ... ani cienia ludzkiej życzliwości, jedynie pergaminowa skóra i ostre, borsu- cze oczy. Przypomina starego Szkota wchodzącego do prezbiteriańskiego kościoła”<sup>8</sup>.

Jak dawał do zrozumienia Le Gallienne, z wielkim pisarzem humanistą było coś nie w porządku. Już za życia otoczony został ogólnym szacunkiem i publicznymi zaszczytami; uznany za Wielkiego Wyzwoliciele, człowieka, który badał, zgłębiał i opłakiwał ludzkość i którego dzieła uczyły, jak uwolnić się od kajdan konwenansów i dusznych przesądów. Jeśli jednak tak mocno współczuł ludzkości, to dlaczego wydawał się odrzucać pojedynczych ludzi? Dlaczego odrzucał ich gesty pojednania, a wołał o nich czytać jedynie w gazecie? Dlaczego był zawsze sam? Skąd ta jego uparta, narzucona sobie izolacja?

Kiedy przyrzeć się bliżej, wielki Ibsen wydaje się coraz bardziej osobliwy. Albowiem człowiek, który rozbijał konwenanse i żądał swobód cygańskiego życia, wydawał się sam postacią skrajnie ortodoksyjną, aż do granic karykatury. Wnuczka królowej Wiktorii, księżniczka Maria Luiza, zauważyła, że miał małe lusterko przyklepione do denka kapelusza, którego używał, gdy czesał włosy. Pierwszą rzeczą, którą wielu ludzi zauważało u Ibsena, była jego nadzwyczajna próżność, dobrze ujęta w słynnej karykaturze Maxa Beerbohma.

Jednak nie zawsze tak było. Magdalena Thoresen, macocha jego żony, pisała, że kiedy w Bergen ujrzała po raz pierwszy młodego Ibsena, „wyglądał jak nieśmiały mały świstak ...

który jeszcze nie nauczył się pogardzać istotami ludzkimi i dlatego brakowało mu pewności siebie"<sup>9</sup>.

Po sukcesie *Uroczystości na Solhaugu* w roku 1856 Ibsen zaczął się wyszukanie ubierać. Nosił, jak poeta, plisowane mankiety, żółte rękawiczki i wymyślne laski. W połowie lat siedemdziesiątych jego zainteresowanie modą wzrosło, ale zaczął się nosić nieco ciemniej, co bardziej pasowało

do nieprzeniknionej twarzy, jaką pokazywał światu. Młody pisarz John Paulsen widział go w roku 1876 w Austrii, w Alpach: „Nosił czarny żakiet z wstążeczkami orderów, oślepiąco białą bieliznę, elegancki krawat, czarny lśniący jedwabny kapelusz, okulary w złotej oprawie ... miał cienkie, zaciśnięte usta, wąskie jak ostrze noża ... Stałem przed zamkniętą ścianą gór, nieprzeniknioną zagadką"<sup>10</sup>.

Ibsen nosił dużą laskę z drzewa orzechowego, zdobioną wielką, złotą gałką. Kiedy w następnym roku otrzymał swój pierwszy honorowy doktorat od uniwersytetu w Uppsali, nie tylko wyraził pragnienie, by zwracano się do niego z podaniem tytułu doktora, ale i nosił długą czarną togę, tak uroczystą, że córki alpejskich górali sądziły, że jest księdzem, i spotkawszy go klękały przed nim, by ucałować jego rękę<sup>11</sup>.

Swym strojem Ibsen poświęcał niezwykle dużo uwagi. Jego listy zawierają drobiazgowo instrukcje, jak należy wieszać ubrania w szafie i jak układać w kufrze skarpetki i kalessony. Zawsze sam czyścił swoje buty, a nawet przyszywał guziki, choć pozwalał służącemu nawlec igłę. Kiedy w roku 1887 odwiedził go przyszły biograf, Henrik Jaegar, Ibsen każdego ranka spędzał godzinę na ubieraniu się<sup>12</sup>. Na nic się jednak zdały jego wysiłki, dla wielu ludzi bowiem wyglądał jak bosman lub kapitan statku: miał czerwoną, ogorzałą twarz swoich przodków, zwłaszcza po wypiciu alkoholu. Dziennikarz Gottfried Weisstein sądził, że zwyczaj wygłaszania truizmów z wywierającą wrażenie pewnością siebie sprawiał, że Ibsen był podobny do „drobnego niemieckiego profesora”, który „chciał zapisać na tabliczkach naszej pamięci informację: Jutro wsiądę do pociągu do Monachium"<sup>13</sup>.

Próżność Ibsena miała pod pewnym względem znamiona śmieszności. Nawet jego najbardziej bezkrytyczni wielbiciele sądzili, że trudno ją usprawiedliwić. Otóż jego życiową pasją było gromadzenie medali i orderów. Właściwie nie liczył się z niczym, by je zdobyć. Miał pewne zdolności rysunkowe i często szkicował te kuszące błahostki. Jego najwcześniejszy zachowany rysunek to Order Gwiazdy. Narysował sam Order Rodziny Ibsenów i подарował go żonie<sup>14</sup>.

Czego pragnął naprawdę - to właśnie odznaczeń dla siebie. Pierwsze otrzymał latem 1869 roku, gdy konferencja intelektualistów - nowa i, jak niektórzy mogą utrzymywać, złowróźbna innowacja sceny międzynarodowej - zebrała się w Sztokholmie dla przedyskutowania spraw językowych. Wtedy właśnie Ibsen po raz pierwszy został potraktowany jako znakomitość: spędził wieczór w królewskim pałacu, pijąc szampana z królem Karolem XV, który odznaczył go Orderem Wazów. Kiedy Georg Brandes poznał Ibsena osobiście (długo przedtem ze sobą korespondowali), był zdziwiony, że Ibsen nosi ten order również w domu.

Byłby jeszcze bardziej zdziwiony, gdyby odkrył, że w roku następnym Ibsen zwrócił się o przyznanie mu kolejnego orderu. We wrześniu 1870 roku napisał do duńskiego adwokata, zajmującego się tymi sprawami, z prośbą o pomoc w otrzymaniu Orderu Danneborga: „Pan sobie nie wyobraża, jakie wrażenie tego rodzaju rzeczy robią w Norwegii ... Duńskie odznaczenie wzmocni bardzo moją pozycję ... sprawa jest dla mnie ważna”.

Dwa miesiące później napisał do ormiańskiego pośrednika od spraw orderowych, który działał w Sztokholmie, ale miał powiązania z dworem egipskim, prosząc o egipski medal, który „byłby wielką pomocą dla mojej pozycji literackiej w Norwegii"<sup>15</sup>. W końcu dostał turecki Order Medjidi, który z zachwytem opisywał jako „piękny przedmiot”.

Rok 1873 obrodził w medale: Ibsen otrzymał medal austriacki i norweski Order św. Olafa. Nie pomniejszył jednak wysiłków, by zgromadzić następne. Wobec przyjaciela zaprzeczył, by „tęsknił za nimi”, ale gdy „te ordery wchodzą mi w drogę, to ich nie odrzucam”. Było to kłamstwo, o tym świadczą jego listy. Mówiło się nawet w latach siedemdziesiątych, że w pogoni za medalami zdejmie kapelusz przed powozem z królewskimi lub arystokratycznymi herbami, jeśli nawet nikt w nim nie jedzie<sup>16</sup>. Może ta szczególna historia jest złośliwym wymysłem. Istnieją jednak niezbite dowody owej namiętności Ibsena, upierał się bowiem, by pokazywać tę coraz okazańszą galaktykę gwiazd orderów, jeśli tylko nadarzyła się okazja. W roku 1878 podawano, że podczas obiadu w klubie miał je wszystkie na sobie, w tym jeden zawieszony na szyi, jakby na psiej obroży. Szwedzki malarz Georg Pauli odważył się Ibsenowi powiedzieć, co myśli o popisywaniu się orderami, nie wstążkami, ale samymi odznakami, na rzymskiej ulicy. Czasami wydawało się, że zakłada je rzeczywiście co wieczór. Ibsen bronił się twierdząc, że w obecności „młodszych przyjaciół” przypominają mu one, że musi się „trzymać pewnych granic”<sup>17</sup>. Mimo wszystko ludzie, którzy zapraszali go na obiad, oddychali z ulgą, gdy przychodził bez odznaczeń, bo jak podawano wino, wywoływały one uśmiechy, a czasem śmiano się z nich na głos.

Niekiedy nosił swe ordery w biały dzień. Powracał do Norwegii okrętem, lecz zanim przybito do portu w Bergen, Ibsen włożył uroczysty strój i przypiął ordery przed wyjściem na pokład. Zdumiony ujrzał czekających na nabrzeżu czterech dawnych kumpli od kufla: dwóch stolarzy, kościelnego i maklera, witających go okrzykami: „Henryk! Cześć, stary!”. Zawrócił do kabiny i siedział tam dopóty, dopóki sobie nie poszli<sup>18</sup>.

Pozostał snobem nawet na starość. Tak bardzo pragnął otrzymać Wielki Krzyż Danneborga, że kupił go u jubilera w roku 1898, zanim formalnie mu go przyznano. Król duński posłał mu jeszcze okaz wysadzany kamieniami szlachetnymi, jako dodatek do tego, który mu przyznano; Ibsen miał więc trzy krzyże, choć dwa musiały powrócić do dworskiego jubilera<sup>19</sup>.

Ta międzynarodowa znakomitość, błyszcząca od trofeów, sprawiała wrażenie osoby próżnej, głupiej, pełnej wrogości i ledwo tłumionego gniewu. Cała jego postać, z ogromną głową i grubym karkiem, wydawała się promieniować siłą pomimo małego wzrostu. Brandes mówił, że Ibsen „tak wyglądał, że wydawało się, iż trzeba całej drużyny, by go obezwładnić”. A te jego słynne przerażające oczy! Późna epoka wiktoriańska w ogóle wydaje się być epoką strasznych oczu. Gladstone potrafił sprawić, że członek parlamentu zapominał, co miał powiedzieć, gdy ten spojrzał na niego. Tolstoj, podobnie, używał swego bazyliżkowego wzroku, by wprawić swych krytyków w osłupienie. Ibsen swym spojrzeniem przypominał wielu ludziom sędziego wydającego tylko wyroki śmierci przez powieszenie. Napawał strachem, bo, jak mówił Brandes, „przechowywał w sobie dwadzieścia cztery lata goryczy i nienawiści”. Każdy, kto znał dobrze Ibsena, czuł się w jego obecności nieswojo, zdając sobie sprawę z wulkanicznego gniewu, który w nim kipiał.

Alkohol mógł wywołać wybuch. Ibsen nie był nigdy alkoholikiem. Nigdy nie pił, gdy pracował, i mógł siedzieć za biurkiem do rana nie tylko trzeźwy, ale ubrany w świeżo wyprasowany surdut. Pił towarzysko, by pokonać ogromną nieśmiałość i małomówność, ale alkohol, który rozwiązywał język, mógł także rozpalic gniew.

W klubie skandynawskim w Rzymie słynne były jego poobiednie wybuchy gniewu, które wywoływały przerażenie. Szczególnie zdarzały się one na nie kończących się okolicznościowych i uroczystych bankietach, które były osobliwością XIX wieku w całej Europie i Ameryce Północnej, a szczególnie lubili je Skandynawowie. Ibsen uczestniczył chyba w setkach takich bankietów, często z fatalnym skutkiem. Frederick Knudtzon, który poznał go we Włoszech, opowiada o przyjacielskim obiedzie, kiedy to Ibsen zaatakował młodego malarza Augusta Lorange, chorego na gruźlicę (to jeden z powodów, dlaczego tak wielu Skandynawów przebywało na południu). Ibsen oświadczył mu, że jest złym malarzem:

„Nie jesteś wart chodzenia na dwóch nogach, powinieneś czołgać się na czterech". Knudtzon dodaje: „Wszyscy zaniemówiliśmy na taki atak na niewinnego i bezbronnego człowieka, nieszczęsnego gruźlika, który i tak miał wiele trosk, bez bicia go po głowie przez Ibsena". Gdy w końcu obiad się zakończył, Ibsen nie mógł sam ustać na nogach i musiano go odwieźć do domu<sup>20</sup>.

Na nieszczęście alkohol, który obezwładniał mu nogi, niekoniecznie uciszał jego dziki język. Kiedy po innym uroczystym obiedzie w Rzymie Georg Pauli i norweski malarz, Christian Ross, zawieźli do domu Ibsena, obwieszzonego wszystkimi swoimi orderami, on „okazał wdzięczność nieustannie wyznając nam swą poufną opinię o naszej znikomości. Mówił, że ja jestem okropnym szczeniakiem, Ross zaś jest odrażającym facetem"<sup>21</sup>.

W roku 1891, gdy Brandes wydał wielki obiad na cześć Ibsena w Grand Hotelu w Christianii, Ibsen wywołał „przygniatający nastrój", ostentacyjnie potrząsał głową podczas pochwalnej mowy Brandesa, nie chciał na nią odpowiedzieć, mówiąc jedynie: „Można by wiele powiedzieć o tej mowie", i w końcu obraził swego gospodarza, oświadczając, że ten „nic nie wie" o literaturze norweskiej. Na innych przyjęciach, na których był najważniejszym gościem, obracał się tyłem do towarzystwa i bywał tak pijany, że nie mógł wykrztusić niemal słowa.

Prawdą jest, że Ibsen z kolei padał czasem ofiarą odurzenia alkoholem innych biesiadników. Doprawdy, książkę można by napisać o nieudanych skandynawskich bankietach! Kiedyś, na szczególnie uroczystym obiedzie wydanym na cześć Ibsena w Kopenhadze w roku 1898, główny mówca, profesor Sophus Schandorph, był tak pijany, że dwaj jego sąsiedzi, biskup i hrabia, musieli go podtrzymywać, i gdy jeden z gości zachichotał, profesor krzyknął: „Zamknijcie gęby, gdy ja mówię!". Podczas tej samej uroczystości Ibsena wziął w ramiona pewien pijany malarz, chcący okazać mu uszanowanie - pisarz był zły i oburzony. Kiedy bowiem był trzeźwy, nie tolerował zachowania, jakie sam po pijanemu przejawiał.

Poza tym przybierał nieraz mentorski ton. Gdy dziewczyna, przebrana za mężczyznę, została przemycona nielegalnie do klubu skandynawskiego w Rzymie, nalegał, by członek klubu za to odpowiedzialny został usunięty. Każde zachowanie, napuszone czy kontestacyjne, mogło rozpętać jego wściekłość. Był specjalistą od gniewu, człowiekiem, dla którego złość była rodzajem sztuki samej w sobie. Cenił nawet jej przejawy w przyrodzie. Gdy pisał swą okrutną sztukę *Brand*, wspominał później: „Trzymałem skorpioną na stole w pustym kuflu od piwa. Od czasu do czasu bydlę nieruchomiało. Dawałem mu wtedy kawałek dojrzałego owocu, rzucał się wówczas na niego w gniewie i wpuszczał swą truciznę. Potem znów wszystko było w porządku"<sup>22</sup>.

Czy widział w tym stworzeniu niejako odbicie własnej potrzeby pozbycia się gniewu? Czy jego sztuki, w których gniew zwykle się gotuje, a czasami wybucha, nie były ćwiczeniem terapeutycznym?

Nikt nie znał Ibsena bliżej, ale wielu znajomych zdawało sobie sprawę, że jego wcześniejsze życie i walki pozostawiły w nim olbrzymi ciężar nie nasyconej złości. Pod tym względem był podobny do Rousseau: jego ego nosiło blizny do końca życia i w konsekwencji Ibsen był potworem egocentryzmu.

Zupełnie niesłusznie obwinał ojca i matkę o nieszczęśliwe dzieciństwo, swoje rodzeństwo winił również, chyba przez skojarzenie z rodzicami. Gdy opuścił Skien, nie uczynił żadnego wysiłku, by utrzymać łączność z rodziną. Wprost przeciwnie: podczas swej ostatniej wizyty w Skien, w roku 1858, gdzie udał się, by pożyczyć pieniądze od bogatego wuja, Christiana Pausa, celowo nie odwiedził rodziców. Utrzymywał jakiś kontakt z siostrą Hedvig, ale chyba tylko z powodu nie spłaconych długów.

W szokującym liście, z roku 1867, do kolegi po piórze, Bjornstjerne Bjornsona, którego córka wyszła później za syna Ibsena, pisał: „Gniew pomnaża moje siły. Jeśli ma być wojna, to niech będzie wojna! ... Nie oszczędziłbym dziecka w łonie matki, żadnej myśli ani uczucia,

które powodowało czynami człowieka, zasługującego na zaszczyt stania się moją ofiarą ... Czy pan wie, że całe moje życie odwracałem się od rodziców, od mojej całej rodziny, tylko dlatego, że nie mogłem znieść związku opartego na niedoskonałym zrozumieniu?"<sup>23</sup>.

Kiedy ojciec zmarł w roku 1877, Ibsen nie kontaktował się z nim już od blisko czterdziestu lat. Usprawiedliwiając się w liście do wuja, przytaczał „niemożliwe okoliczności- od samego początku" jako „główną przyczynę" swego postępowania. Chciał przez to powiedzieć, że oni upadli, a on pisał się w górę i nie chciał, by ściągnęli go w dół. Wstydział się ich, obawiał się nagabywań o pieniądze. Im był bogatszy i więcej mógłby im pomóc, tym mniej był skłonny do jakiegokolwiek kontaktu z nimi.

Nie uczynił żadnego wysiłku, by wspomóc swego kalekiego młodszego brata, Mikołaja Aleksandra, który w końcu wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i zmarł tam w roku 1888, w wieku pięćdziesięciu trzech lat; na jego nagrobku napisano: „Przez obcych szanowany, przez obcych opłakiwany".

Ibsen także ignorował swego najmłodszego brata, Ole Pausa - żeglarza, sklepikarza, latarnika. Ole był zawsze biedny, ale też jedyny, który pomagał nieszczęśliwemu ojcu. Ibsen posłał mu raz świadectwo pracy, ale nigdy nie dał mu ani grosza i nie darował mu nic w testamencie. Ole pozostając w nędzy zmarł w roku 1917 w przytułku dla starców<sup>24</sup>.

Poza tą historią o rodzinie istnieje jeszcze jedna, bardzo starannie przemilczana i bolesna. Mogłaby wywodzić się z jednej ze sztuk Ibsena - oczywiście w tym sensie całe życie Ibsena to ukryty dramat.

W roku 1846, gdy Ibsen miał osiemnaście lat i wciąż przebywał w aptece, miał romans z zatrudnioną tam dziewczyną, Elsie Sofie Jensdatter, dziesięć lat od niego starszą. Elsie zaszła w ciążę i urodziła 9 października 1846 roku syna, którego nazwała Hans Jacob Henriksen. Nie była niepiśmienną chłopką, ale pochodziła ze znanej rodziny średniorolnych gospodarzy; jej dziadek, Christian Lofthuus, przewodził słynnej rewolcie chłopów przeciw duńskim rządom i zmarł przykuty do skały w twierdzy Akershus.

Dziewczyna zachowywała się z wielką dyskrecją. Usunęła się do swych rodziców, by tam urodzić dziecko, i nigdy nie próbowała wydobyć czegokolwiek od Ibsena<sup>25</sup>. Zgodnie jednak z prawem norweskim i nakazem lokalnej rady Ibsen musiał płacić na utrzymanie Hansa Jacoba, póki chłopiec nie skończył czternastu lat<sup>26</sup>. Pozostając w biedzie, ostro odczuwał drenaż swej szczupłej płacy i nigdy nie wybaczył tego dziecku ani matce. Podobnie jak Rousseau i Marks, nigdy nie uznał Hansa Jacoba za syna, nie interesował się nim w ogóle, nie udzielił mu też nigdy nawet najmniejszej dobrowolnej pomocy, finansowej ani żadnej innej. Chłopiec został kowalem i mieszkał z matką, dopóki nie skończył dwudziestu dziewięciu lat. Kiedy Elsie straciła wzrok i kiedy zabrano im domek jej rodziców, zamieszkała w szałasie. Syn wskrobał na skale nazwę: Syltefjell - Wzgórze Głodu. Elsie zmarła w nędzy 5 czerwca 1892 roku, w wieku siedemdziesięciu czterech lat, i jest nieprawdopodobne, by Ibsen nie słyszał o jej zgonie.

Hans Jacob nie był dzikusiem. Bardzo lubił czytać, zwłaszcza książki historyczne i podróżnicze. Potrafił zbudować skrzypce. Pił jednak nad miarę i był niezaradny. Często pojawiał się w Christianii, gdzie tych, którzy znali jego tajemnicę, uderzało nadzwyczajne podobieństwo Jacoba do słynnego ojca.

Francis Buli, wielki znawca Ibsena, utrzymuje, że Hans Jacob spotkał swego ojca jedynie raz. Zdarzyło się to w roku 1892, gdy syn, zupełnie bez grosza, udał się do mieszkania ojca z prośbą o pieniądze. Ibsen sam otworzył drzwi, jak się wydaje, widząc syna - wówczas czterdziestosześciolet- niego - po raz pierwszy; nie zaprzeczył ich wzajemnemu pokrewieństwu i wręczył Hansowi pięć koron ze słowami: „Tyle dałem twojej matce. Tobie też powinno wystarczyć", i zamknął przed nim drzwi<sup>27</sup>. Ojciec i syn nigdy się już nie spotkali ponownie, a Hans Jacob nie otrzymał nic na mocy testamentu Ibsena i zmarł w biedzie 20 października 1916 roku.

Strach przed tym, by rodzina, zarówno prawowita, jak i nieślubna, nie sięgnęła do jego kieszeni, był niewątpliwie powodem, dla którego Ibsen od niej się odwracał. Nędza czasu młodości pozostawiła w nim obawę o bezpieczeństwo i mógł ją uciszyć jedynie stały zarobek, gromadzenie i przechowywanie pieniędzy. Była to jedna z sił napędowych jego egzystencji. Można rzec, że jego skąpstwo, tak jak i inne jego cechy, były heroiczne.

Dla pieniędzy był gotów kłamać. Biorąc pod uwagę, że był ateistą, który przy tym skrycie nienawidził monarchii, jego petycja do Karola XV z błaganiami o pensję w wysokości stu funtów jest szczególnie: „Walczę nie o synekurę, ale o powołanie, bo nieugięcie wierzę i wiem, że Bóg mi je przeznaczył ... W ręku Waszej Królewskiej Mości leży decyzja, czy będę musiał milczeć i ugiąć się przed najbardziej przykrą nędzą, która może ranić duszę człowieka, nędzą zmuszającą do porzucenia własnego powołania w życiu, do ustąpienia, gdy ja wiem, że otrzymałem duchową zbroję po to, by walczyć”.

Zarobiwszy w roku 1866 na sztuce *Brand*, Ibsen zaczął oszczędzać. Najpierw chował srebrne monety „do pończochy”, później kupował rządowe obligacje. We Włoszech przyjaciele-emigranci zauważyli, że notował najmniejsze nawet zakupy.

Od roku 1870 do pierwszego ataku apopleksji w roku 1900 prowadził dwa czarne notatniki: w jednym notował swoje zarobki, w drugim lokowania swego kapitału, zawsze w superbezpiecznych, rządowych papierach wartościowych. Z wyjątkiem dwóch ostatnich dziesięcioleci jego zarobki nie były duże - w każdym razie według standardów anglosaskich - sztuki jego bowiem powoli zdobywały widownię światową, a ponadto były obwarowane ochroną prawną.

W roku 1880 zarobił jednak po raz pierwszy tysiąc funtów, ogromną sumę jak na ówczesne stosunki norweskie. Suma ta stale rosła, a Ibsen wciąż inwestował pieniądze. Chyba żaden inny pisarz nigdy nie przeznaczył na inwestycje tak wielkiej części swoich dochodów.

Po co to wszystko robił? Gdy jego prawowity syn, Sigurd, zapytał go, dlaczego żyją tak oszczędnie, Ibsen odparł: „Lepiej dobrze spać, a nie jeść, niż dobrze jeść, a nie spać”. Pomimo rosnącego bogactwa on i jego rodzina nadal żyli w skromnie umeblowanym mieszkaniu. Ibsen mówił, że zazdrości Bjornsonowi, bo ma dom i ziemię. Sam jednak nigdy nie próbował kupić jakiegś posiadłości lub nawet mebli. Ostatnie mieszkania Ibsena - Viktoria Terrace, a potem przy ulicy Arbiens - były tak bezosobowe, jak każde z poprzednich.

Wszystkie mieszkania Ibsena miały jednak niezwykłą cechę: wydawały się podzielone na dwie połowy, a mąż i żona żyli każde w osobnej fortecy, prowadząc wzajemne działania obronne i zaczepne<sup>28</sup>. W ten to osobliwy sposób spełniało się młodzieńcze przyrzeczenie Ibsena: powiedział on bowiem kiedyś swemu wczesnemu przyjacielowi, Christopherowi Due, że „jeśli się kiedykolwiek ożeni, to jego żona będzie mieszkać na innym piętrze. Będą się widywać oboje [jedynie] podczas posiłków i nie zwracać się do siebie inaczej, jak tylko Du”<sup>29</sup>.

Ibsen ożenił się w roku 1858 z Suzannah Thoresen, córką dziekana Bergen, po dwuletnim chłodnym narzeczeństwie. Suzannah była mołem ksiązkowym, stanowczą i prostą dziewczyną o pięknych włosach. Jej macocha, sawantka, mówiła pogardliwie o Ibsenie, że poza Sorenem Kierkegaardem nie знаła nikogo z „tak wyraźnym przymusem pozostawania z sobą samym”. Było to małżeństwo raczej z obowiązku niż z potrzeby serca. Pod jednym względem było istotne dla kariery Ibsena: otóż wówczas, gdy jego sztuki odrzucano lub nie odnosiły sukcesu, a on wątpiąc w swe zdolności dramaturga próbował zająć się malowaniem, żona zakazała mu malować w ogóle i zmusiła do codziennego pisania. Sigurd ujął to później następująco: „Świat powinien podziękować mojej matce, że było o jednego złego malarza mniej, a o jednego wielkiego pisarza więcej”<sup>30</sup>. Sigurd, który urodził się w roku 1859, zawsze przedstawiał swą matkę jako siłę stojącą za Ibsenem: „On był geniuszem, ona człowiekiem z

charakterem. Jego człowiekiem z charakterem. On o tym wiedział i, chociaż niechętnie, godził się z tym aż do końca".

Sigurd opisał małżeństwo swych rodziców jako robocze partnerstwo. Inni ludzie widzieli je inaczej. Istnieje przykry opis małżeństwa Ibsenów z lat pobytu we Włoszech, zawarty w dzienniku młodego Duńczyka, Martina Schneekloth. Notuje on, że Ibsen był „w rozpaczliwej sytuacji” męża kobiety, której nie kochał, a „pojednanie nie było możliwe”. Poznał Ibsena jako „osobowość despotyczną, egocentryczną i nieugiętą, o namiętnej męskości i dziwnym pomieszaniu osobistej małoduszności, przymusowo idealistycznego, wszakże zupełnie obojętnego na wyrażanie tych ideałów w codziennym życiu ... Ona była kobieca i nietaktowna, jednak o stałym, twardym charakterze, mieszanina inteligencji i głupoty, której nie brak uczucia, za to brak pokory i kobiecej miłości ... Prowadzą wojnę jedno z drugim, bezwzględna, zimna, a jednak ona go kocha, choćby z powodu syna, ich biednego syna, którego spotkał najsmutniejszy los, jaki może przypaść dziecku”. A dalej: „Sam Ibsen opętany jest pracą i powiedzenie »Ludzkość najpierw, sztuka później« zostało praktycznie odwrócone. Sądzę, że jego miłość do żony od dawna zniknęła ... Jego zbrodnią jest teraz to, że miast starać się poprawić sytuację, ćwiczy swą zmienną i despotyczną naturę na żonie i na biednym, duchowo spaczonym, zastraszonego synu”<sup>31</sup>.

Suzannah na pewno nie była bezbronna wobec granitowego egotyzmu Ibsena. Żona Bjornsona przytacza jej słowa, że po urodzeniu Sigurda nie będzie więcej dzieci, co wtedy oznaczało brak pożycia małżeńskiego. (Żona Bjornsona była jednak nieprzyjaznym świadkiem). Od czasu do czasu krążyły pogłoski o rozstaniu.

Ibsen z pewnością nienawidził małżeństwa jako takiego. „Naznacza ono każdego piętnem niewolnictwa” - zanotował w roku 1883. Ostrożny i kochający sytuacje bezpieczne, własne małżeństwo chciał utrzymać nadal. Zachował się jego osobliwy list do żony z 7 maja 1895 roku, w którym gorąco zaprzecza pogłoskom, że zamierzał ją opuścić dla Hildur Andersen, winiąc o nie jej macochę Magdaleny Thoresen, której nienawidził<sup>32</sup>.

Ibsen był często szorstki i nieprzyjemny dla żony. Ona jednak wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Gdy on się złościł, ona śmiała mu się prosto w twarz, wiedziała bowiem, że jest z natury nieśmiały i że obawia się przemocy. Wykorzystywała oczywiście jego poczucie zagrożenia, wybierając z gazet wiadomości o okropnych codziennych katastrofach, o których później mu opowiadała<sup>33</sup>. Nie sprawiali chyba wrażenia miłej pary.

Równie zimne, a często burzliwe, były stosunki Ibsena z przyjaciółmi. Wyraz „przyjaciele” nie jest tu jednak właściwy. Korespondencja jego z kolegą po piórze Bjornsonem, którego znał równie dobrze jak inni, a przy tym dłużej, wydaje się mało serdeczna. Uważał on Bjornsona za rywala, był zazdrosny o jego pierwsze sukcesy, jego nadzwyczaj otwartą naturę, wesoły i życzliwy sposób postępowania, rzucającą się w oczy umiejętność cieszenia się życiem. W rzeczywistości Bjornson czynił wszystko, co w jego mocy, by Ibsen osiągnął publiczne uznanie, więc czarna niewdzięczność Ibsena jest żalсна. Przypomina to stosunek Rousseau i Diderota, z tym że Ibsen, podobnie jak Rousseau, był stroną biorącą, a Bjornson dającą, choć między nimi nie było końcowej, widowiskowej kłótni.

Ibsen nie potrafił odwzajemnić serdeczności. Biorąc pod uwagę wszystko, co Bjornson uczynił dla niego, telegram gratulacyjny, do którego wysłania Ibsen dał się ostatecznie namówić, jest arcydziełem minimalisty: „Henryk Ibsen przesyła z okazji pańskich urodzin najlepsze życzenia”. Oczekiwał jednak wiele od Bjornsona. Gdy krytyk Clemens Petersen opublikował nieprzychylną recenzję *Peer Gynta*, Ibsen napisał pełen pasji list do Bjornsona, który nie miał z tym nic wspólnego. Dlaczego nie zniszczył Petersena? „Ogłuszyłbym go, zanim bym mu pozwolił popełnić tak rozmyślne przestępstwo przeciw prawdzie i sprawiedliwości”. Nazajutrz dodał postscriptum: „Usnąłem z tymi słowami i odczytuję je z zimną krwią... Niemniej przesyłam ten list”. I dalej pisał: „Zarzucam panu jedynie



bezczytność. To nie było zaniechanie z pańskiej strony, że nie kiwnął pan palcem i pozwolił, by podczas mojej nieobecności moja reputacja została wystawiona pod młotek licytatora"<sup>34</sup>.

Oczekując, że Bjornson będzie toczył za niego walkę, Ibsen uważał go przy tym za doskonały obiekt satyry. Wcielił go w niesympatyczną postać Stensgaarda w sztuce *Związek młodzieży*, dzięki napaści na ruch postępowy. W tym pomniku niewdzięczności Ibsen atakuje wszystkich, którzy mu pomogli finansowo i podpisali petycję o państwowe stypendium dla niego. Uważał, że każda z wybitnych osób jest usankcjonowanym celem ataku. Gdy John Paulsen opublikował powieść o despotycznym ojcu z namietnością do orderów, Ibsen chwycił swoją wizytówkę, napisał na jej odwrocie jedno słowo „łajdak” i przesłał ją w otwartej kopercie Paulsenowi na adres jego klubu - ten sam sposób postępowania przyjęła markiza Queensberry w stosunku do Oscara Wilde'a w następnym dziesięcioleciu.

Właściwie stosunki Ibsena z innymi pisarzami kończyły się konfliktem. Jeśli nawet nie dochodziło do kłótni, to stopniowo znajomość się rozluźniała. Ibsen nie potrafił stosować się do rady Johnsona: „Przyjaźń należy stale odnawiać”. Utrzymywał stosunki z innymi w ciągłym napięciu, przedzielając je okresami ciszy: zawsze druga strona musiała je nawiązywać na nowo.

W rzeczywistości był bardzo bliski głoszenia filozofii antyprzyjaźni. Gdy Brandes - żyjący w związku z cudzą żoną i dlatego wykluczony z towarzystwa w Kopenhadze - napisał list do Ibsena, skarżąc się, że nie ma przyjaciół, Ibsen odpowiedział: „Gdy się ma jak pan” - a w domyśle: i ja „tak ogromnie osobisty stosunek do pracy całego swego życia, to nie można naprawdę oczekiwać przyjaciół... Przyjaciele są kosztownym luksusem i gdy ktoś wkłada kapitał w powołanie lub misję w tym życiu, nie może sobie pozwolić na przyjaciół. Przyjaciele kosztują nie dlatego, że coś się dla nich robi, ale dlatego, że ze względu na nich czegoś się nie robi. Zostało w ten sposób sparaliżowanych wiele duchowych ambicji. Przeszedłem już przez to i dlatego musiałem czekać kilka lat, zanim udało mi się stać sobą”<sup>35</sup>.

Ten smutny i szczerzy list ujawnia - odnosi się to także do innych badanych przez nas intelektualistów - bliski związek między publiczną doktryną a prywatną słabością. Ibsen mówił ludzkości: „Bądźcie sobą!”. Wszak w tym liście przyznawał właściwie, że bycie sobą pociągało ofiarę innych. Osobiste wyzwolenie było w gruncie rzeczy egocentryczne i bez serca.

W jego własnym przypadku nie byłby rzeczywiście dramatopisarzem bez lekceważenia, pomijania i nawet, jeśli to konieczne, podeptania innych. W centrum podejścia Ibsena do jego sztuki była doktryna twórczego egocentryzmu. Pisał do Magdalene Thoresen: „Prawie cały krytycyzm sprowadza się do zarzutu wobec pisarza o bycie sobą ... Podstawową rzeczą jest bronić własnego zasadniczego ja, utrzymać je czystym i wolnym od wszelkich niepożądanych czynników”.

Twórczy egocentryzm Ibsena był próbą przekształcenia słabości jego własnego charakteru w źródło siły. Jako chłopiec był straszliwie samotny. Nauczyciel Ibsena mówił o nim: „Miał twarz starego człowieka”, „osobowość zapatrzoną w siebie”. Jego dawny kolega wspominał: „My, mali chłopcy, nie lubiliśmy go, bo zawsze był taki skwaszony”. Tylko raz słyszano, by śmiał się tak jak „inni ludzie”.

Później, w czasach młodości, ubóstwo narzucało mu nadal samotność: wychodził sam na długie przechadzki, by inni goście i służący w pensjonacie sądzili, że poszedł na obiad. (Godne ubolewania było, że skąpstwo Ibsena zmusiło później jego syna do podobnego wykrętu: nie chcąc zapraszać innych małych chłopców do swego ponurego domu, opowiadał im, że mama, potężna Murzynka, trzyma jego młodszego brata i w rzeczywistości w ogóle go nie miał - zamkniętego w skrzyni).

Długie samotne spacerowanie Ibsena stały się nawykiem. Pisał: „Wąłęsałem się po prawie całym państwie papieskim, chodząc tu i tam o różnych porach dnia z plecakiem na

grzbiecie". Ibsen był wygnańcem z natury: na otaczającą społeczność spoglądał w najlepszym przypadku jak obcy, a najczęściej jak nieprzyjaciel. W młodości, jak pisał, „znalazłem się w stanie wojny z niewielką gminą, w której ... siedziałem w więzieniu”<sup>36</sup>.

Nie dziwi więc, że najdłuższy i najbardziej owocny okres w życiu Ibsena przypada na czas emigracji. Podobnie jak w przypadku Marksa, wzmocniło to jego poczucie wyobcowania i zamknęło w ściśle parafialnej grupie wygnańców z jej kłótniami i urazami. Ibsen rozpoczął od uznania niedogodności swojego odosobnienia. W liście z roku 1858 pisał o sobie, że jest „odgradzony czymś w rodzaju oziębłości, która powstrzymuje i czyni trudnym jakikolwiek bliższy stosunek ze mną... Wierz mi, nie jest przyjemnie patrzeć na świat w kolorach października”.

Sześć lat później zaczął godzić się ze swą nieumiejętnością zbliżenia się do innych ludzi, pisząc do Bjornsona w roku 1864: „Nie mogę nawiązać bliskiego kontaktu z ludźmi, którzy wymagają, by oddać się im swobodnie i bez zastrzeżeń... Wolę zamknąć [moje prawdziwe ja] w sobie”.

Samotność jego stała się twórcza, tematem sama dla siebie. Od najwcześniejszego zachowanego poematu, *Rezygnacja*, powstałego w roku 1847, aż do lat 1870-1871, gdy przestał pisać poezję, stanowi to zasadniczy temat jego wierszy. Brandes mówił, że jest to „poezja samotności, odzwierciedlająca potrzebę samotności, samotną walkę, samotny protest”<sup>37</sup>. Twórczość Ibsena, odbijająca ową samotność, stała się obroną, ucieczką i bronią przeciw obcemu światu, a „cały jego umysł i namiętność”, jak Schneekloth mówił o jego życiu we Włoszech, „oddały się demonicznej pogoni za literacką sławą”. Stopniowo Ibsen począł uważać swą egoistyczną izolację za nieodzowny sposób postępowania, a nawet za cnotę. Cała ludzka egzystencja, powiedział Brandesowi, jest niczym wrak okrętu, i „jedynym rozsądnym postępowaniem jest ratować siebie”. Gdy był już starcem, doradzał młodej kobiecie: „Nie trzeba nigdy ludziom wszystkiego mówić... Zachować coś dla siebie jest najcenniejszą rzeczą w życiu”<sup>38</sup>.

Oczywiście nierealne jest przypuszczenie, że takie postępowanie może być kontrolowane. Brandes był zmuszony stwierdzić: „Jego pogarda dla ludzkości nie znała granic”. Reflektor tej nienawiści systematycznie obejmował wszystkie przejawy życia ludzkich społeczeństw, zatrzymując się od czasu do czasu, niemal z upodobaniem, na jakiejś idei lub instytucji, która wzbudziła jego szczególną odrazę.

Ibsen nienawidził konserwatystów. Był chyba pierwszym pisarzem forpoczta tego, co miało stać się ogromną armią - który przekonał konserwatywne państwo, by wspierało twórczość literacką atakującą wszystko to, co ono ceni. (Gdy Ibsen zwrócił się o większą sumę pieniędzy, jeden z członków komisji stypendialnej, wielebny H. Riddervold, oświadczył, że Ibsen zasłużył nie na drugie stypendium, ale na lanie.)

Jeszcze bardziej znienawidził liberałów. To „mierzwa, którą wyściela się barykady”. Większość z nich to „hipokryci, łgarze, ramole, kundle”.

Podobnie jak współczesny mu Tołstoj, Ibsen szczególnie nie lubił parlamentaryzmu, który uważał za źródło nieograniczonej korupcji i oszustwa, między innymi dlatego lubił Rosję, że nie miała parlamentu.

Nienawidził też demokracji. Jego powiedzenia, zanotowane w dziennikach Kristofera Jansona, to ponura lektura<sup>39</sup>: „Co to jest większość? Ciemna masa. Inteligencja należy zawsze do mniejszości”. Większość ludzi, jak mówił, „nie jest upoważniona do wygłaszania opinii”. Powiedział także Brandesowi: „W żadnym wypadku nigdy nie przyłączę się do jakiegokolwiek partii, która ma za sobą większość”. Jeśli już miałby się samookreślić, uważał się za anarchistę, wierząc niemądrze - jak wtedy wielu ludzi - że anarchizm, komunizm i socjalizm to właściwie jedno i to samo. „Państwo musi być zniesione” - powiedział Brandesowi, który lubił notować jego opinie. „Teraz jest rewolucja, którą z ochotą będę popierał. Obal pojęcie państwa, ustanów zasadę wolnej woli.”

Ibsen sądził, że wyznaje spójną filozofię życia publicznego. Ulubionym jego powiedzeniem, którego użył postaci doktora Stockmanna, było: „Mniejszość ma zawsze rację”. Przez mniejszość, wyjaśniał Brandesowi, rozumiał „mniejszość, która posuwa się naprzód tam, dokąd większość jeszcze nie dotarła”. Do pewnego stopnia identyfikował się z doktorem Stockmannem, wyjaśniając Brandesowi:

„Intelektualista-pionier nigdy nie zbierze większości wokół siebie. Po dziesięciu latach większość może dotarła do tego miejsca, gdzie znajdował się doktor Stockmann, gdy ludzie zebrali się na wiec. W ciągu tych dziesięciu lat doktor nie stał w miejscu: jest przynajmniej o dziesięć lat przed innymi. Większość, masy, tłum nigdy go nie osiągną, on też nigdy nie zgromadzi ich wokół siebie. Ja sam czuję podobny, nieubłagany przymus parcia naprzód. Tłum stoi teraz tam, gdzie ja byłem wtedy, gdy napisałem moje pierwsze książki. Ale mnie już tam nie ma. Jestem gdzieś indziej - daleko przed nimi - taką mam nadzieję”<sup>40</sup>.

Pogląd ten, na swój sposób wiktoriański, jest o tyle kłopotliwy, że przyjmuje stały postęp ludzkości w pożądanym kierunku pod wodzą oświeconej mniejszości. Nie przychodziło na myśl Ibsenowi, że ta mniejszość, którą później Lenin nazywał „awangardą”, a Hitler „chorążymi”, może doprowadzić ludzkość do przepaści. Ibsen byłby zaskoczony i przerażony wynaturzeniami XX wieku, tej epoki, której charakter w dużej mierze sam ukształtował.

Przyczyna, dla której Ibsen roszczący sobie prawo do przewidywania przyszłości tak bardzo się pomylił, wynikała z właściwej mu wady jego osobowości, nieumiejętności współczucia ludziom, którzy byli rzeczywistością, nie ideami. Jeśli jednostki lub grupy ucieleśniały jedynie idee, jak w jego sztukach, potrafił kierować nimi z wielką intuicją i sympatią. W chwili gdy wkraczały w jego życie jako realni ludzie, odsuwał się lub reagował wrogo.

Ostatnia seria jego sztuk, odznaczająca się tak wielkim zrozumieniem ludzkiej psychiki, zbiegła się z konfliktami, wybuchami gniewu i mizantropii w jego własnym życiu i stałym pogarszaniem się stosunków z niewieloma ludźmi, którzy przy nim wytrwali.

Kontrast między ideą a rzeczywistością odbija się najbardziej w jego postawie publicznej. W dniu 22 marca 1888 roku wysłał telegram do Związku Robotników Christianii: „Ze wszystkich klas w moim kraju klasa robotnicza jest najbliższa memu sercu”<sup>41</sup>. Było to oszustwo. Nic nie było bliższe jego sercu poza portfelem. Nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi na robotników w realnym życiu i miał jedynie pogardę dla ich poglądów. Nie ma żadnego świadectwa, że uczynił cokolwiek, by wspomóc ruch robotniczy.

Jednakże uznał za roztropne zjednać sobie studentów. Oni z kolei lubili go czcić procesjami z pochodniami. Mimo to jego bliższe kontakty z nimi skończyły się wściekłą kłótnią, która znalazła odbicie w dziecinnym i niedorzecznie długim liście Ibsena do Norweskiego Związku Studentów z 23 października 1885, demaskującym „opanowanie go przez elementy reakcyjne”<sup>42</sup>.

Ta sama historia powtarza się w jego stosunkach z kobietami. W teorii był po ich stronie. Można nawet twierdzić, że uczynił więcej, by poprawić sytuację kobiet niż jakikolwiek inny pisarz dziewiętnastowieczny. *Dom lalki* - z jego jasnym przesłaniem: małżeństwo nie jest świętością, władzy męża można się sprzeciwić, odkrycie siebie jest najważniejsze - właściwie zainicjował ruch kobiecy. Nikt nie przewyższył go w wysunięciu na czoło sprawy kobiety i, jak pokazała to *Hedda Gabler*, jedynie kilku dorównało mu w przedstawieniu uczuć kobiety.

Trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość - próbował czasem pomóc kobiecie jako ucieleśnieniu idei w swoim realnym życiu. Na przykład jedna z jego mów, wygłoszona na pijackim bankiecie, popierała dopuszczenie kobiet do klubu skandynawskiego w Rzymie: mowa była szczególnie gwałtowna i chyba nie przyniosła sprawie kobiet wiele dobrego - pewna hrabina, słuchając jej, zemdląła ze strachu.

Ibsen w ogóle nie miał cierpliwości do kobiet, które uczestniczyły w walce o swoje prawa, zwłaszcza jeśli w dodatku były pisarkami. Na nieszczęsnym obiedzie wydanym dla

niego przez Brandesa w Grand Hotelu, w roku 1891, Ibsen rozszłościł się, gdy odkrył, że posadzono go obok pani w średnim wieku, malarki i intelektualistki, Kitty Kielland. A kiedy ośmieliła się ona skrytykować charakter pani Elvsted z *Heddy Gabler*, Ibsen odburknął: „Piszę portretując ludzi i zupełnie jest mi obojętne, co fanatyczne intelektualistki lubią lub czego nie lubią”<sup>43</sup>.

Przeżywał piekło na przydługich bankietach, siedząc obok starej sufrażystki lub pisarki, a takich w owym czasie było sporo we wszystkich stolicach skandynawskich. Mozolnie próbował wykręcić się od wielkiego oficjalnego obiadu, wydawanego na jego cześć w Christianii w dniu 26 maja 1898 przez Norweską Ligę Walki o Prawa Kobiet. Gdy okazało się, że nie może go uniknąć, wygłosił charakterystycznie zrzędliwą mowę<sup>44</sup>. W równie przykrym nastroju przybył na obiad wydany dla niego w Sztokholmie przez dwa towarzystwa kobiece; ale katastrofę towarzyską zażegnano, bo panie miały na tyle rozsądku, by uświetnić obiad tańcami ludowymi, wykonanymi przez piękne młode dziewczęta, co, jak było wiadome, Ibsen namiętnie lubił<sup>45</sup>.

Jedną z tancerek była Rosa Fitinghoff, córka pisarki opowiadań dla dzieci. Rosa była ostatnią z długiego szeregu dziewcząt, z którymi Ibsen miał stosunki zawikłane, pod pewnymi względami przyprowadzające o zawrót głowy. Jak się wydaje, Ibsen miał zawsze zamiłowanie do bardzo młodych kobiet, co gorzko łączył z czymś dla niego nieosiągalnym.

Po raz pierwszy zakochał się poważnie, gdy pracował w teatrze w Bergen; wybranką była piętnastoletnia Henrikke Holst. Nie miał jednak pieniędzy, ojciec się sprzeciwiał i tak się to skończyło.

Gdy już miał za sobą pierwsze sukcesy, uważał się za starego i brzydkiego; bał się też, że dostanie odprawę, jeśli będzie się starał o dziewczynę o wiele lat młodszą od siebie. Nadal jednak nawiązywał *liaisons dangereuses*. W roku 1870 była to błyskotliwa młoda kobieta o prawicowych poglądach, Laura Petersen. Cztery lata później - Hildur Sontum, zaledwie dziesięcioletnia wnuczka jego starej gospodyni. Upodobania nie zmieniły mu się z wiekiem, było wręcz przeciwnie. Urzekła go historia o starczych uczuciach Goethego do ślicznej Marianny von Willemer, która nadała jego sztuce polor młodości.

Utarło się, że aktorki, jeśli były młode i ładne, mogły zazwyczaj namówić Ibsena do tego, na czym im zależało, tym bardziej gdy przyprowadzały do niego młode dziewczęta. Podczas jego wizyt w skandynawskich stolicach dziewczęta kręciły się koło hotelu, w którym się zatrzymał, a on czasem zgadzał się pomówić z nimi, pocałować i dać swoją fotografię. W ogóle lubił młode dziewczęta, choć zwykle skupiał swoje zainteresowanie na jednej z nich. W roku 1891 była nią Hildur Andersen. Ostatnią była Rosa Fitinghoff.

Dwie najważniejsze to Emilie Bardach i Helene Raff, które spotkał na urlopie w Alpach w roku 1889. Obie pisały dzienniki, zachowało się też sporo listów. Emilie, osiemnastoletnia Austriaczka (Ibsen był od niej o czterdzieści trzy lata starszy), zanotowała w swoim dzienniku: „Jego zapał winien napełniać mnie dumą ... Wkłada tak dużo uczucia w to, co mi mówi ... Nigdy w całym swoim życiu, jak powiedział, nie odczuwał takiej radości ze spotkania kogoś drugiego. Nigdy nie podziwiał nikogo tak, jak podziwia mnie”. Prosił ją, by „była z nim absolutnie szczerą, będą wtedy mogli pracować razem”. Emilie sądziła, że się w nim zakochała, „ale oboje sądziliśmy, że najlepiej będzie, jak pozornie pozostaniemy sobie obcy”<sup>46</sup>.

Listy, które pisał do niej po rozstaniu, były zupełnie niewinne i czterdzieści lat później powiedziała ona pisarzowi E. A. Zuckerowi, że się nawet nie pocałowali; mówiła także, że Ibsen mówił o możliwości swego rozwodu, potem by się pobrali i zobaczyli świat<sup>47</sup>.

Helene, bardziej uświadomiona dziewczyna z Monachium, pozwalała mu się całować, ale było jasne, że ich stosunek był raczej romantyczny i literacki niż seksualny. Gdy zapytała go, co w niej widzi, odparł: „Jesteś młodością, dziecko, samą młodością, i potrzeba mi tego, by móc pisać”. Oczywiście wyjaśnia to, co miał na myśli mówiąc o wspólnej pracy. Helene

pisala czterdzieści lat później: „Jego stosunki z młodymi dziewczętami nie miały w sobie ani źdźbła niewierności w zwykłym znaczeniu tego słowa, a brały się jedynie z potrzeb jego wyobraźni”<sup>48</sup>. Dziewczeta te były archetypami, błyskami idei wykorzystywanymi w jego dramatach, a nie realnymi kobietami, które chciałby lubić lub kochać dla nich samych.

Dlatego jest nieprawdopodobne, by Ibsen kiedykolwiek poważnie myślał o romansie z którąś z tych dziewcząt, nie mówiąc już o małżeństwie. Miał duże zahamowania płciowe. Jego lekarz, doktor Edvard Buli, mówił, że Ibsen nie odsłoniłby swego organu płciowego nawet dla lekarskiego badania. Czy miał jakiś defekt, czy też myślał, że tak jest? Ma się ochotę nazwać Ibsena - który przynajmniej teoretycznie głęboko zrozumiał kobiecą psychikę - bałamutnym. Z pewnością bałamucił Emilie. Ona miała zbyt bujną wyobraźnię i z pewnością nie była zbyt mądra, nie miała też zupełnie pojęcia, że Ibsen ją wykorzystuje. W lutym 1891 roku przerwał z nią korespondencję, uzyskawszy to, o co mu chodziło. W tym samym miesiącu krytyk Julius Elias zanotował, że w czasie śniadania w Berlinie Ibsen powiedział mu, że „w Tyrolu spotkał ... młodą Wiedenkę o wspaniałym charakterze, która natychmiast uczyniła go swym powiernikiem ... nie była zainteresowana małżeństwem z jakim dobrze wychowanym młodzieńcem ... Kusilo ją, urzekalo i sprawialo rozkosz uwodzenie mężów innych kobiet. Była to demoniczna, mała niszczycielka ... małe drapieżne ptaszę, które z radością włączyłoby go do swoich ofiar. Badał jej zachowanie bardzo dokładnie. Nie powiodło się jej z nim za bardzo. »To nie ona mnie trzymała, ale ja trzymałem ją - dla mojej sztuki«”<sup>49</sup>.

Mówiąc krótko, Ibsen po prostu wykorzystał Emilie jako wzór jednej ze swoich postaci, Hildę Wangel w *Budowniczym Solnessie*, przekształcając ją w trakcie tworzenia i czyniąc z niej postać zasługującą na potępienie. We właściwym czasie zostały opublikowane nie tylko relacja Eliasa, ale i listy Ibsena, skutkiem czego biedną Emilie utożsamiono z Hildę<sup>50</sup>. Przez ponad połowę jej długiego życia (nie wyszła za mąż i dożyła dziewięćdziesięciu dwóch lat) była piętnowana jako grzeszna kobieta.

Charakteryzowało to nie tylko sposób, w jaki Ibsen dobierał realnych ludzi do wątków swoich dramatów, ale i okrutne lekceważenie ich uczuć, które wystawiał na widok publiczny. Najgorzej potraktował pod tym względem Laurę Kieler, nieszczęśliwą młodą Norweżkę, którą spotkał kilkakrotnie. Laura była pod wielkim wpływem swego męża i chcąc, jak sądziła, mu pomóc - dokonała kradzieży, a gdy została wyśledzona, mąż uznał, że przynosi mu wstyd i hańbę, i oddał ją na pewien czas do zakładu dla obłąkanych. Ibsen widział w niej symbol ucisku kobiety, jeszcze jeden przeblysk idei, a nie realną osobę, i posłużył się nią tworząc postać Nory w *Domu lalki*.

Olbrzymi, światowy rozgłos tej świetnej sztuki oczywiście rzucił ostry snop światła na Laurę, którą szeroko utożsamiano z oryginalną postacią. Laura była zrozpaczona i chciała, by Ibsen publicznie oświadczył, że ona nie jest Norą. Nic by go nie kosztowało to oświadczenie, jednakże list, w którym odrzucił jej prośbę, jest arcydziełem małodusznego matactwa: „Zupełnie nie pojmuję, co Laura Kieler naprawdę zamierzała, chcąc mnie wciągnąć w te awantury. Moje oświadczenie, tak jak ona to proponuje, że »ona to nie Nora«, jest zarówno bez znaczenia, jak i niedorzeczne, bo ja nigdy nie sugerowałem, że to jest ona... Sądzę, że zgodzisz się ze mną, iż najlepiej przysłużyć się naszej wspólnej przyjaciółce nie zabierając głosu”.

Bezwzględne postępowanie Ibsena z pierwowzorami swoich postaci dotyczyło zarówno bliskich mu osób, jak i zupełnie obcych. Sztuka, która zniszczyła życie Emilie, także zaszkoziła jego własnej żonie, Suzannah bowiem była rozumiale utożsamiana z żoną Solnessa w *Budowniczym Solnessie*, współtwórczynią i ofiarą nieszczęśliwego małżeństwa.

Jeszcze jedna postać z tej sztuki, Kaja Fosli, jest wytworem złodziejskich poczynań. Pewna kobieta była zaskoczona otrzymawszy kilka zaproszeń na obiad z Ibsenem,

uszcześliwiona się zgodziła, i była nieco zbita z tropu, gdy nagle się to skończyło - zrozumiała wszystko po obejrzeniu sztuki i rozpoznaniu po części siebie w postaci Kai.

Ibsen pisał często o miłości i był to mimo wszystko główny temat jego poezji, nawet w negatywnym sensie - wyrażania bólu osamotnienia. Wątpić jednak trzeba, czy kiedykolwiek odczuwał, czy też mógł odczuwać, miłość do określonej osoby. Nienawiść była dla niego prawdziwszym uczuciem. Za nienawiścią kryło się o wiele istotniejsze uczucie - strach. W najskrytszych zakamarkach osobowości Ibsena czaił się przenikający wszystko, niewypowiedziany, niewymowny lęk. To chyba najważniejsze, co można o Ibsenie powiedzieć.

Bojaźliwość odziedziczył po matce, która przy każdej sposobności zamykała się w pokoju. Jako dziecko Ibsen również się zamykał. Inne dzieci zauważały jego strach, bał się, na przykład, jeździć sankami po lodzie; „tchórzostwo”, zarówno fizyczne jak i moralne, było słowem, które przylgnęło do niego w opisach postronnych osób w ciągu całego jego życia.

W roku 1851 w życiu Ibsena zdarzył się pewien posępny incydent; Ibsen miał wówczas dwadzieścia trzy lata i pisywał anonimowe artykuły w radykalnej gazecie „Arbeiderforeningernes Blad” („Gazeta Związku Robotników”). W lipcu tego roku policja wkroczyła do redakcji i aresztowała dwóch jego kolegów, Theodora Abildgaarda i przywódcę robotników, Marcusa Thrane. Na szczęście dla Ibsena, nie znaleziono nic w papierach redakcji, co by wskazywało na jego związek z publikowanymi artykułami. Przestraszony, przywarował na wiele tygodni. Dwaj zatrzymani zostali skazani i spędzili siedem lat w więzieniu. Ibsen był zbyt tchórzliwy, by wystąpić w ich obronie lub zaprotestować przeciw barbarzyńskiej karze<sup>51</sup>.

Był człowiekiem słów, nie czynów. W roku 1864 był wstrząśnięty atakiem Prus na Danię i zajęciem Szlezwika-Holsztynu, z furią demaskował lękliwość Norwegii i nieprzyjście Danii z pomocą. Pisał wówczas: „Musiałem się wydostać z tego całego świństwa i z niego oczyścić”<sup>52</sup>. Nie zrobił jednak właściwie niczego, by pomóc Danii. Gdy młody duński student, Christopher Bruun, który zaciągnął się na ochotnika do wojska i walczył, zapytał Ibsena, słysząc jego krzykliwe wystąpienia, dlaczego on również się nie zaciągnął, usłyszał nieprzekonującą odpowiedź: „My, poeci, mamy inne zadania do wykonania”<sup>53</sup>.

Ibsen zachowywał się tchórzliwie zarówno w sprawach osobistych, jak i politycznych. Stosunki jego z pierwszą miłością, Henrikke Holst, zostały zerwane po prostu dlatego, że gdy jej groźny ojciec znalazł ich oboje siedzących razem, przestraszony Ibsen dosłownie uciekł z pokoju. Wiele lat później, gdy ona już wyszła za mąż, doszło między nimi do rozmowy:

Ibsen: „- Zastanawiam się, dlaczego nigdy nic nie wyszło z naszej znajomości?”

Henrikke: „- Nie pamiętasz? Przecież uciekłeś”.

Ibsen: „- Tak, no tak. Nigdy nie byłem na tyle odważny, by stanąć z kimś twarzą w twarz”<sup>54</sup>.

Ibsen zachowywał się jak przestraszone dziecko, które się przedwcześnie zestarzało. Lista rzeczy, których się obawiał, nie ma końca. Vilhelm Bergsoe opisuje, jak w roku 1867 na wyspie Ischia Ibsen skamieniały ze strachu, że skały się zawała, i przerażony wysokością krzyczał: „Chcę się stąd wydostać, chcę do domu!”.

Idąc ulicą zawsze się lękał, że dachówka spadnie mu na głowę. Powstanie Garibaldiiego zdenerwowało go okropnie, przerażał go bowiem widok krwi na ulicach. Niepokoił się możliwością trzęsienia ziemi. Bał się wypłynąć łodzią na morze: „Nie popłynę z tymi neapolitańczykami. Jeśli nadejdzie sztorm, położą się w łodzi i będą modlić się do Madonny, zamiast refować żagle”. Obawiał się wybuchu cholery i, oczywiście, chorób zakaźnych. W dniu 30 sierpnia 1880 pisał do swego syna, Sigurda: „Mierzi mnie pomysł złożenia twego bagażu w szpitalu u Anny Daae. Dzieci, którymi się opiekuje, są ze środowiska, w którym może się pojawić epidemia ospy”<sup>55</sup>.

Ibsen odczuwał lęk przed burzą, zarówno na morzu jak i na lądzie, bał się kąpieli („może łatwo spowodować śmiertelny atak skurczu mięśni”), koni („dobrze znane ze

zwyczaju kopania"), każdego, kto miał broń sportową („trzymaj się z dala od ludzi noszących taką broń”) i wypadków drogowych. Był tak opanowany obsesją niebezpieczeństwa gradu, że mierzył jego obwód.

Ku utrapieniu dzieci nalegał, by gasić świece na bożonarodzeniowej choince z powodu grożącego pożaru. Jego żona nie musiała straszyć go doniesieniami prasy o katastrofach, on sam przeglądał gazety - było to główne źródło materiału do scenariusza jego dramatów - i z przerażeniem badał wiadomości o horrorach, zarówno przyrody, jak i wywołanych przez człowieka. Jego listy do Sigurda to niezwykle katalog ostrzeżeń: „Czytałem w prawie każdej gazecie norweskiej o wypadkach spowodowanych beztróskim obchodzeniem się z nabitą bronią”, i wezwania do ostrożności: „Telegrafuj, jeśli będzie najmniejszy wypadek”. „Najmniejsza nieostrożność może mieć najpoważniejsze następstwa.” „Bądź ostrożny i rozważny w każdej sytuacji.”<sup>56</sup>

Najwięcej trwogi przysparzały mu psy. Bergsøe relacjonuje, jak we Włoszech Ibsen przestraszył się zupełnie niegroźnego psa i nagle zaczął uciekać. Wtedy pies pobiegł za nim i go ugryzł. Ibsen krzyknął: „Pies się wściekł i trzeba go zastrzelić, inaczej ja się wścieknę!”. Prychał „gniewem i dopiero po kilku dniach się uspokoił”.

Knudtzon odnotowuje bardziej uderzający, właściwie smutny incydent, który zdarzył się także we Włoszech. Ibsen i inni Skandynawowie jedli razem lunch w jednej z restauracji i wypili sporo wina: „Burza wisiała w powietrzu. Wydawało się, że Ibsen od samego początku w głębi duszy skrywa robaka gniewu, który ciąży mu znacznie i domaga się ujścia”. Gdy wstali od stołu, Ibsen nie mógł utrzymać się na nogach, więc dwóch współbiesiadników pomagało mu iść. Uwagę jego zwróciła żelazna brama i „olbrzymi pies za nią, ujadający na nas gniewnie”. Wtedy „Ibsen laską, którą trzymał w ręku, zaczął drażnić psa, jedną z tych olbrzymich bestii, przypominających małe lwy. Pies podbiegł bliżej, Ibsen wciąż uderzał laską o bramę, próbując na wszelki sposób rozwścieczyć psa, co mu się w końcu udało. Pies rzucił się na bramę, Ibsen szturchał go wciąż laską i uderzał na nowo, i doprowadził do tego, że gdyby nie potężna żelazna brama, która oddzielała psa od nas, rozdarłby każdego na strzępy ... Ibsen drażnił go chyba sześć do ośmiu minut”<sup>57</sup>.

Jak wskazuje ten incydent, długotrwały gniew i stałe obawy były ściśle ze sobą u Ibsena połączone. Wpadał w gniew, bo się bał. Alkohol znieczulał strach, ale spuszczał z łańcucha gniew; wewnątrz gniewnego krył się człowiek strachliwy.

Ibsen stracił wiarę wcześniej, przynajmniej tak mówił, ale aż po sam grób nosił w sobie obawę przed grzechem i karą. Nienawidził dowcipów o religii: „Niektóre rzeczy nie są przedmiotem żartów”. Twierdził, że chrześcijaństwo „demoralizuje i jest powodem zacofania tak mężczyzn, jak i kobiet”, ale sam był nadzwyczaj przesądny. Może nie wierzył w Boga, ale bał się diabłów. Napisał na egzemplarzu *Peer Gynta*: „Życie to znaczy prowadzić wojnę z trollami w sercu i w duszy”.

Bjornson pisał do niego: „Wiele goblinów tkwi w pańskiej głowie i sądzę, że pan powinien oswoić ... tę niebezpieczną armię, która zwraca się przeciw swoim panom”. Ibsen wiedział o tym bardzo dobrze. Mówił o swoim „arcydiablu”: „Zamknę drzwi na klucz i wyprowadzę go z domu”. Powiedział także: „Musi być troll w tym, co piszę”. W swym biurku trzymał kolekcję małych gumowych diabłów z czerwonymi jęzorami<sup>58</sup>.

Zdarzały się chwile, po kilku kieliszkach alkoholu, gdy z jego wyrozumowanej krytyki społeczeństwa pozostawał jedynie chaos i złość, a on wydawał się człowiekiem opanowanym przez złe duchy.

Nawet William Archer, jego najgorliwszy obrońca, sądził, że poglądy polityczne i filozoficzne Ibsena po ścisłym zbadaniu okazują się nie tyle radykalne, co jedynie chaotyczne. W roku 1887 Archer napisał: „Jestem coraz bardziej przekonany, że Ibsen jako wszechstronny, raczej systematyczny myśliciel niczego nie osiągnął”. Archer uważał, że Ibsen po prostu jest przekorny, przeciwny wszelkiej idei opartej na teorii.

Ingvald Undset, ojciec pisarki Sigrid Undset, który przysłuchiwał się w Rzymie na pół pijackim tyradom Ibsena, zanotował: „To zupełny anarchista, chce wszystko wymazać ... ludzkość musi zacząć od podstaw, by przebudować świat ... Społeczeństwo i wszystko inne musi być zlikwidowane ... wielkim zadaniem naszej epoki jest wysadzić w powietrze istniejące struktury”. Co to wszystko oznaczało? Właściwie bardzo mało: tylko pył, który opadł, gdy strach i nienawiść przestały walczyć o panowanie w sercu, nie znajdującym lub nie mogącym wyrazić miłości. Bary na północnej półkuli są pełne mężczyzn rozprawiających podobnie.

W ostatnich latach życia, rozpoczętych w roku 1900 atakiem apopleksji, ponawiającym się z przerwami, Ibsenem nadal władały strach na przemian z gniewem, co obserwowała sardonicznie nastawiona żona. Niepokoił się teraz głównie ubezpieczeniem, podczas gdy prawdziwym źródłem irytacji była fizyczna niemoc i coraz większa niechęć do przyjmowania pomocy.

Jak zwykle, gniew przeważał. Stałej pielęgniarki powiedziano, że ma zniknąć, skoro tylko pomogła Ibsenowi na ulicy. Gdy tego nie uczyniła, „Ibsen obił ją laską tak, że uciekła do domu”.

Codziennie przychodził fryzjer, by golić Ibsena. Ibsen nigdy nie odezwał się do niego ani jednym słowem; raz tylko syknął: „A to potwór!”.

Henryk Ibsen zmarł w dniu 23 maja 1906 roku. Suzannah twierdziła później, że tuż przed śmiercią Ibsen powiedział do niej: „Moja droga, droga żono, jakże dobra i miła byłaś dla mnie!”.

Wydaje mi się, że w ogóle to do niego nie pasuje. Tak czy inaczej dziennik doktora Bulla wyjaśnia, że Ibsen tego popołudnia był już w sypialni i nie mógł mówić. Jeszcze inna, o wiele prawdopodobniejsza relacja podaje, że jego ostatnie słowa brzmiały: „Wręcz przeciwnie!”.

#### Przypisy Rozdział 4

1. 17 maja 1814.
2. Zob. Brian W. Downs, *Ibsen: The Cultural Background*, Cambridge 1948, i wstęp do: John Northam (tłum. i wyd.), *Ibsen's Poems*, Oslo 1986. Zob. także: *Dzieje literatur europejskich*. Pod red. Władysława Floryana. Cz. 2, Warszawa 1983, s. 94-98, 145.
3. *Memories of Childhood*, pisane w styczniu 1881, drukowane w: Evert Sprinchorn (wyd.), *Ibsen: Letters and Speeches*, London 1965, s. 1-6.
4. W relacji o faktach z życia Ibsena autor posiłkuje się głównie biografią Michaela Meyera: *Henrik Ibsen: I. The Making of a Dramatist, 1828-1864*, London 1967; *II. The Farewell to Poetry, 1864-1882*, London 1971; *III. The Top of a Cold Mountain, 1886-1906*, London 1971. Dla wygody czytelników najczęściej odwołuje się do skróconego wydania: *Henrik Ibsen*, London 1974.
5. Meyer, *op. cit.*, s. 197, przypis.
6. Rymowany list do Fru Heiberg.
7. Niektóre z poglądów Georga Brandesa są zawarte w: *Henrik Ibsen: Personal Reminiscences and Remarks about his Plays*, „Century Magazine”, New York, February 1917.
8. Cyt. przez Meyera, *op. cit.*, s. 775-776.
9. Cytowane w: Bergliot Ibsen, *The Three Ibsens: Memories of Henrik Ibsen, Suzannah Ibsen and Sigurd Ibsen* (tłum.), London 1951, s. 17-18.
10. Mayer, *op. cit.*, s. 432. Wspomnienia Paulsena zostały opublikowane w Kopenhadze w roku 1903.
11. Halvdan Koht, *Life of Ibsen* (tłum.), London 1931, t. II, s. 111.
12. Notatki Jaegara o Ibsenie zostały opublikowane w roku 1960, zob. Meyer, *op. cit.*, s. 603.



13. Cyt. przez Meyera, *op. cit.*, s. 592.
14. Bergliot Ibsen, *op. cit.*, s. 92.
15. Meyer, *op. cit.*, s. 339, 343-344.
16. Hans Heiberg, *Ibsen: a Portrait of the Artist* (tłum.), London 1969, s. 177.
17. Meyer, *op. cit.*, s. 689-690.
18. *Ibidem*, s. 575-576.
19. *Ibidem*, s. 805.
20. *Ibidem*, s. 277-278.
21. *Ibidem*, s. 500.
22. *Ibidem*, s. 258.
23. List z 9 grudnia 1867, cyt. Meyer, *op. cit.*, s. 287-288.
24. Hans Heiberg, *op. cit.*, s. 20-22.
25. O Elsie zob. Meyer, *Henrik Ibsen*, t. I, s. 47-48.
26. Hans Heiberg, *op. cit.*, s. 34.
27. Epizod ten podaje Meyer, *Henrik Ibsen*, t. III, s. 206.
28. Heiberg, *op. cit.*, s. 241.
29. Meyer, *op. cit.*, s. 55.
30. *Ibidem*, s. 304-305.
31. Meyer, *op. cit.*, s. 293-294.
32. Ibsen: Letters and Speeches, s. 315-316.
33. Bergliot Ibsen, *op. cit.*, s. 84-85.
34. Cyt. Meyer, *op. cit.*, s. 287-288.
35. *Ibidem*, s. 332.
36. Wstęp do *Katyliny* (wyd. 1875).
37. *Rezygnacja* znajduje się w zbiorze Johna Northama.
38. Meyer, *op. cit.*, s. 659.
39. Dzienniki Jansona zostały opublikowane w roku 1913.
40. Cyt. u Meyera, s. 531.
41. Heiberg, *op. cit.*, s. 245-246. Zob. mowę Ibsena do robotników Trondhjem w dniu 14 czerwca 1885, w: *Ibsen: Letters and Speeches*, s. 248-249.
42. Ibsen: Letters and Speeches, s. 251-256.
43. Meyer, *op. cit.*, s. 703.
44. Ibsen: Letters and Speeches, s. 337-338.
45. Meyer, *op. cit.*, s. 815-816.
46. *Ibidem*, s. 636 i n.
47. E. A. Zucker, *Ibsen: The Master Builder*, London 1929.
48. Cyt. u Meyera, *op. cit.*, s. 646.
49. *Ibidem*, s. 653-654.
50. Listy do Emilie Bardach są publikowane w: *Ibsen: Letters and Speeches*, s. 279-298.
51. Meyer, *op. cit.*, s. 97.
52. List do Magdalene Thoresen z 3 grudnia 1865.
53. Meyer, *op. cit.*, s. 250-251.
54. *Ibidem*, s. 131.
55. Bergliot Ibsen, *The Three Ibsens...*, s. 61-62.
56. *Ibidem*, s. 52, 79, 82.
57. Meyer, *op. cit.*, s. 280-281, 295-297.
58. *Ibidem*, s. 581.

## 5. Lew Tolstoj: starszy brat Pana Boga

Spośród wszystkich intelektualistów, którymi się zajmujemy w tej książce, Lew Tolstoj był najbardziej ambitny. Jego zuchwalstwo wzbudza czasem grozę. Doszedł do przekonania, że dzięki zasobom swego intelektu i cnocie siły duchowej, która - jak czuł - w nim płonie, może dokonać moralnego przeobrażenia społeczeństwa. Jego celem było, jak to wyraził, „uczynić duchowe władztwo Chrystusa królestwem tej ziemi”<sup>1</sup>.

Uważał się za kolejne ogniwo w apostołskim szeregu intelektualistów po „Mojżeszu, Izajaszu, Konfucjuszu, wczesnych Grekach, Buddzie, Sokratesie, aż po Pascala, Spinozę, Feuerbacha i wszystkich tych, często nie zauważonych i nieznanych, którzy choć nie pobierali nauki o wierze, myśleli i mówili szczerze o istocie życia”.

Tolstoj nie zamierzał pozostać „nie zauważony i nieznan”. Jego dzienniki ujawniają, że jako młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna był już świadom swej szczególnej mocy i wyższości moralnego przeznaczenia. „Czytałem dziś literacką charakterystykę geniusza i ten artykuł wzbudził we mnie pewność, że jestem człowiekiem o niezwykłych zdolnościach oraz zapale do pracy.” „Nie spotkałem jeszcze ani jednego człowieka, który pod względem etycznym stałby tak wysoko jak ja, który uwierzyłby w to, że nie pamiętam w życiu wypadku, by nie pociągało mnie dobro, bym nie był gotów poświęcić mu wszystkiego.” Pisał dalej: „I jak tu nie wierzyć w nieśmiertelność duszy, gdy się czuje taką niezmierną wielkość”.

Sprawiał mu zawód fakt, że inni nie poznali się na zaletach jego charakteru: „Dlaczego nikt mnie nie kocha? Nie jestem głupcem ani kaleką, nie jestem złym człowiekiem ani nieukiem. Nie mogę tego pojąć”<sup>2</sup>.

Tolstoj zawsze odczuwał pewne oddalenie od ludzi, choć starał się im współczuć i z nimi utożsamiać. Uważał się za uprawnionego do wydawania o nich sądu, do pełnienia nad nimi moralnej jurysdykcji.

Gdy stał się pisarzem, być może największym spośród wszystkich pisarzy, bez wysiłku osiągnął tę boską władzę. Powiedział Maksymowi Gorkiemu: „Gdy piszę, zaczynam nagle odczuwać litość dla którejś z moich postaci i wtedy obdarzam ją dobrymi cechami charakteru, albo też taką cechą obdarzam kogoś innego, by w porównaniu z innymi nie wydawał się zbyt czarny”<sup>3</sup>.

Jako reformator społeczeństwa jeszcze bardziej utożsamiał się z Bogiem, bowiem istota jego programu była współmierna z boskością, jak to sam określał: „Pragnienie wszechogarniającego dobra ... jest tym, co nazywamy Bogiem”. Oczywiście, on sam uważał się za obdarzonego boskością, notując w swym dzienniku: „Pomóż, ojcze, przyjdź i pozostań we mnie. Ty przebywasz już we mnie. Jesteś już »mną«”<sup>4</sup>.

Cała trudność z Tolstojem i Bogiem, przebywającymi w tej samej duszy, polegała na tym, że Tolstoj był nadzwyczaj podejrzliwy wobec Stwórcy, jak zauważył to Gorki. Przypominało mu to „dwóch niedźwiedzi w jednym legowisku”. Wydawało się czasami, że Tolstoj uważał się za brata Boga, oczywiście za starszego brata.

Jak Tolstoj doszedł do takiej opinii o sobie? Być może najważniejszym czynnikiem było pojmowanie majestatu w kategoriach własnego pochodzenia. Podobnie jak Ibsen, urodził się w roku 1828, ale jako członek dziedzicznie rządzącej klasy w ogromnym kraju, który przez następne trzydzieści lat miał wciąż utrzymać formę niewolnictwa, zwaną poddaństwem. Rodziny poddanych: mężczyźni, kobiety i dzieci, byli prawem przywiązani do ziemi, którą uprawiali, i jako własność byli przekazywani wraz z tytułem posiadania. Niektóre rodziny szlacheckie miały dwieście tysięcy poddanych. Instytucję poddaństwa zniesiono w 1861 roku.

Mierzeni tą skalą Tołstojowie nie byli bogaci, ojciec i dziad Tołstoja byli utracjuszami i ojciec uratował się jedynie dzięki ożenkowi z córką księcia Wołkońskiego. Wołkońscy należeli jednak do najwyższych sfer, byli współtwórcami monarchii, stali na równi z Romanowymi, gdy ci wstąpili na tron w 1613 roku. Dziad matki Tołstoja był naczelnym dowódcą za Katarzyny II. Posąg jego matki obejmował majątek Jasna Polana koło Tuły, a Tołstoj odziedziczył go po niej, z czterema tysiącami akrów i trzystu trzydziestoma poddanymi.

W dniach młodości Tołstoj myślał mało o swej odpowiedzialności za ziemię i odsprzedawał kawałki swego majątku, by spłacić długi karciane. Był jednak prózny i oczywiście dumny z tytułu i pochodzenia. Szokował swych literackich przyjaciół pozerstwem i snobizmem. „Nie mogę zrozumieć - pisał Turgieniew - tego śmiesznego przywiązania do nędznych tytułów szlachectwa." „Obrzydł nam wszystkim" - zauważał Niekrasow<sup>5</sup>.

Oburzał ich sposób, w jaki Tołstoj próbował zdobyć wszystko, co najlepsze w obu światach - w najwyższych sferach i pośród cyganerii. „Dlaczego pan przychodzi tu, do nas? - pytał ze złością Turgieniew. - To nie jest miejsce dla pana, niech pan wraca do swojej księżniczki."

Z wiekiem Tołstoj porzucił bardziej rażące cechy swojej sfery, natomiast ulegał coraz większemu głodowi ziemi, wydając honoraria na jej kupno, gromadząc dziesięcinę po dziesięcinie z zachłannością założyciela dynastii. Zanim nadeszła chwila, gdy wszystko to zarzucił, nie tylko posiadał ziemię, ale nią władał. Był bowiem władczygo ducha, co wynikało z jego dziedzicznego tytułu do ziemi i dusz. Jego syn Ilia pisał: „Cały świat dzielił się na dwie części: z jednej strony byliśmy my, z drugiej zaś cała reszta. My byliśmy wyjątkowi i nie mieliśmy sobie równych ... Oczywiście, najbardziej grzeszyła tą postawą mama, ale i papa chronił nas zazdrośnie przed zetknięciem z dziećmi wiejskimi, a więc doprowadzał do »pańskich« tonów i niczym nie uzasadnionego wpatżenia się w siebie, do czego przyczyniało się takie wychowanie i czego później było mi bardzo trudno się wyzbyć"<sup>6</sup>. Aż do końca zachował Tołstoj wiarę w to, że urodził się, by rządzić w taki czy inny sposób. W starości, jak napisał Gorki, Tołstoj nadal pozostał panem, *barinem*, oczekującym spełnienia natychmiast jego poleceń.

Temu pragnieniu rządzenia towarzyszyła zawzięta niechęć do tego, by nim rządzono. Tołstoj miał nieugiętą wolę, którą okoliczności jeszcze bardziej zahartowały. Oboje rodzice zmarli w czasach jego dzieciństwa. Jego trzej starsi bracia byli słabego zdrowia, nieszczęśliwi i rozpustni. Wychowywała go ciotka Tatiana, uboga kuzynka, która czyniła wszystko, co mogła, by wykształcić w nim poczucie obowiązku i bezinteresowność, ale nie miała nad nim władzy. Jego opowieść *Dzieciństwo. Lata chłopięce. Młodość i Dzienniki* wprowadzają w błąd czytelnika swą pozorną szczerością, choć właściwie ukrywają więcej niż ujawniają. Opisuje, jak był bity przez srogiego guwernera, monsieur de Saint-Thomasa: „To wydarzenie było może przyczyną owego wstrętu do wszelkiej przemocy, jaką odczuwałem przez całe życie"<sup>7</sup>.

W rzeczywistości wiele rodzajów przemocy, w tym jego własny gwałtowny charakter, nie przerażało Tołstoja aż do późnych lat życia. A co do Saint-Thomasa, to Tołstoj zdobył nad nim przewagę w wieku lat dziewięciu i odtąd jego życie było tak pozbawione dyscypliny, jak tylko sam tego pragnął. W szkole czytał to, co chciał, i pracował (czasem bardzo ciężko) wówczas, gdy odczuwał potrzebę. W wieku dwunastu lat pisywał poezje. Gdy miał lat szesnaście, został przyjęty na Uniwersytet Kazański i przez pewien czas studiował języki wschodnie, chcąc obrać karierę dyplomatyczną. Później próbował swych możliwości na prawie. Gdy skończył dziewiętnaście lat, skończył też z uniwersytetem i powrócił do Jasnej Polany, by oddać się własnym studiom. Czytał modne powieści

Gdy stał się pisarzem, być może największym spośród wszystkich pisarzy, bez wysiłku osiągnął tę boską władzę. Powiedział Maksymowi Gorkiemu: „Gdy piszę, zaczynam nagle odczuwać litość dla którejś z moich postaci i wtedy obdarzam ją dobrymi cechami

charakteru, albo też taką cechą obdarzam kogoś innego, by w porównaniu z innymi nie wydawał się zbyt czarny"<sup>3</sup>.

Jako reformator społeczeństwa jeszcze bardziej utożsamiał się z Bogiem, bowiem istota jego programu była współmierna z boskością, jak to sam określał: „Pragnienie wszechogarniającego dobra ... jest tym, co nazywamy Bogiem”. Oczywiście, on sam uważał się za obdarzonego boskością, notując w swym dzienniku: „Pomóż, ojcze, przyjdź i pozostań we mnie. Ty przebywasz już we mnie. Jesteś już »mną«”<sup>4</sup>.

Cała trudność z Tołstojem i Bogiem, przebywającymi w tej samej duszy, polegała na tym, że Tołstoj był nadzwyczaj podejrzliwy wobec Stwórcy, jak zauważył to Gorki. Przypominało mu to „dwóch niedźwiedzi w jednym legowisku”. Wydawało się czasami, że Tołstoj uważał się za brata Boga, oczywiście za starszego brata.

Jak Tołstoj doszedł do takiej opinii o sobie? Być może najważniejszym czynnikiem było pojmowanie majestatu w kategoriach własnego pochodzenia. Podobnie jak Ibsen, urodził się w roku 1828, ale jako członek dziedzicznie rządzącej klasy w ogromnym kraju, który przez następne trzydzieści lat miał wciąż utrzymać formę niewolnictwa, zwaną poddaństwem. Rodziny poddanych: mężczyźni, kobiety i dzieci, byli prawem przywiązani do ziemi, którą uprawiali, i jako własność byli przekazywani wraz z tytułem posiadania. Niektóre rodziny szlacheckie miały dwieście tysięcy poddanych. Instytucję poddaństwa zniesiono w 1861 roku.

Mierzeni tą skalą Tołstojowie nie byli bogaci, ojciec i dziad Tołstoja byli utracjuszami i ojciec uratował się jedynie dzięki ożenkowi z córką księcia Wołkońskiego. Wołkońscy należeli jednak do najwyższych sfer, byli współtwórcami monarchii, stali na równi z Romanowymi, gdy ci wstąpili na tron w 1613 roku. Dziad matki Tołstoja był naczelnym dowódcą za Katarzyny II. Posąg jego matki obejmował majątek Jasna Polana koło Tuły, a Tołstoj odziedziczył go po niej, z czterema tysiącami akrów i trzystu trzydziestoma poddanymi.

W dniach młodości Tołstoj myślał mało o swej odpowiedzialności za ziemię i odsprzedawał kawałki swego majątku, by spłacić długi karciane. Był jednak próżny i oczywiście dumny z tytułu i pochodzenia. Szokował swych literackich przyjaciół pozerstwem i snobizmem. „Nie mogę zrozumieć - pisał Turgieniew - tego śmiesznego przywiązania do nędznych tytułów szlachectwa.” „Obrzydł nam wszystkim” - zauważał Niekrasow<sup>5</sup>.

Oburzał ich sposób, w jaki Tołstoj próbował zdobyć wszystko, co de Kocka, Dumasa, Eugeniusza Sue. Czytał także Kartezjusza, a przede wszystkim Rousseau.

Pod bardzo wieloma względami był pośmiertnym wychowankiem Rousseau; pod koniec życia powiedział, że Rousseau wywarł na niego większy wpływ niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem Jezusa Chrystusa. Widział w Rousseau przyjaznego ducha, drugą potężną jaźń, świadomą swej najwyższej dobroci, pragnącą dzielić się nią ze światem. Podobnie jak Rousseau, był zasadniczo samoukiem, z towarzyszącą temu dumą, niepewnością i intelektualną drażliwością. Podobnie jak Rousseau, próbował wielu zajęć, zanim obrał karierę pisarza: zajmował się dyplomacją, prawem, reformą oświaty, rolnictwem, wojaczką i muzyką.

Tołstoj odkrył swoje powołanie prawie przypadkowo, gdy służył jako wolontariusz w wojsku. W roku 1851, gdy miał dwadzieścia dwa lata, udał się na Kaukaz, gdzie jego starszy brat Mikołaj służył w wojsku. Właściwie nie miał rzeczywistego powodu, by tam jechać, chciał jednak czymś się zająć, wypełnić czas, zasłużyć na medale, które okażą się pomocne w salonach. Przebywał w wojsku prawie pięć lat, najpierw biorąc udział w walce z kaukaskimi góralami, później na Krymie uczestnicząc w wojnie z Brytyjczykami, Francuzami i Turkami.

W swoich poglądach i postawie był rosyjskim imperialistą. Przyjęty do wojska i przydzielony do jednej z baterii - górale nie mieli artylerii - pisał do swego brata, Sergiusza: „Ze wszystkich sił przyczynię się moimi działami do rozbicia zbójeckich i buntowniczych

Azjatów<sup>8</sup>. Prawdę mówiąc, nigdy nie potępił rosyjskiego imperializmu czy ducha szowinizmu, przekonania, że Rosjanie są rasą wybraną o wyjątkowych wartościach moralnych (uosobionych w chłopie) i przez Boga wyznaczonej roli w świecie. Takie właśnie były proste, nie wypowiedziane przekonania jego kolegów-oficerów. Tołstoj je podzielał. Pod innymi względami uważał się jednak za odmiennego. W swoim dzienniku notował: „Raz na zawsze trzeba się przyzwyczaić do myśli, że jestem wyjątkiem; że albo wyprzedziłem swój wiek, albo jestem jedną z tych odmiennych, nie nadających się do współzycia natur, które nigdy nie bywają zadowolone”<sup>9</sup>.

W wojsku opinia o nim była różna. Niektórzy uważali go za skromnego. Inni sądzą, że „nie wiadomo dlaczego udaje ważnego i zadowolonego z siebie”<sup>10</sup>. Wszyscy zauważali jego ogniste, nieugięte, czasem straszne spojrzenie; mógł każdego przebić wzrokiem. Nikt nie podważał jego odwagi, zarówno w bitwie, jak i poza akcją. Był to skutek działania jego olbrzymiej woli.

Gdy był jeszcze chłopcem, zmusił się do jeżdżenia konno. Musiał pokonać bojaźliwość. W podobny sposób stał się myśliwym. Na skutek własnego butnego niedbalstwa został w czasie swego pierwszego polowania na niedźwiedzia dotkliwie poraniony i o mało nie wyzionął ducha.

W wojsku wykazał odwagę w ogniu i to ostatecznie dało mu awans na porucznika. Nie powiodły mu się jednak starania o odznaczenie: trzykrotnie był do niego przedstawiany, ale na jakimś wyższym szczeblu wnioski były zatrzymywane. Zbytnią ochotę do bicia w bębny jest w wojsku łatwo postrzegana i nie lubiana. Faktem jest, że Tołstoj nie był odpowiednim oficerem, brakowało mu nie tylko pokory, aby podporządkować się rozkazom, ale i chęci do nauki, a także solidarności z kolegami. Był samotnikiem, wystarczało mu własne towarzystwo, i jeśli nie działo się nic, co mogłoby mu pomóc w karierze, po prostu zniknął z frontu, często bez zezwolenia lub opowiadania się komukolwiek. Jego pułkownik odnotował: „Tołstoj jest gotów do wążania prochu, ale wtedy gdy ma na to ochotę”. Starał się unikać trudów i niedogodności związanych z wojną. „Jeździ tu i tam, odwiedzając różne okolice, ale skoro tylko usłyszy huk strzałów, natychmiast zjawia się na polu walki. Gdy jest już po wszystkim, znów zajmuje się sobą i znika tam, dokąd prowadzi go własna potrzeba”<sup>11</sup>.

Tołstoj, wtedy i zawsze, lubił dramat. Był gotów ponieść ofiarę z wygody, przyjemności, nawet z życia, jeśli miało to być wielkim, teatralnym gestem przez wszystkich zauważonym. Gdy był studentem, chcąc udowodnić, że Rosjanin wszystko potrafi, sam uszył sobie strój, który nosił w dzień i w nocy; był to gest, który wywołał uwagi innych osób. W wojsku gotów był grać, ale nie służyć. Codzienne niedogodności i trudy, te strony życia w wojsku, które nie wiązały się ze sławą i miały nie zauważone, Tołstoja nie interesowały. Tak miało być zawsze: jego bohaterstwo, cnota, świętość były przeznaczone dla sceny publicznej, nie zaś dla szarej, cichej koleiny codziennego życia.

Pod jednym wszakże względem jego kariera wojskowa była prawdziwie bohaterska. W wojsku Tołstoj stał się pisarzem o zadziwiającej mocy. Patrząc z perspektywy, jest oczywiste, że Tołstoj był urodzonym pisarzem. Z jego późniejszych opisów widać także, że od najwcześniejszych lat obserwował przyrodę i ludzi z nieporównaną dokładnością szczegółów. Ale urodzeni pisarze nie zawsze pozostają pisarzami. Chwila, kiedy dwa nadzwyczajne talenty Tołstoja razem się objawiły, nastąpiła wówczas, gdy ujrzał góry Kaukazu po drodze do wojska. Prawie ponad-naturalna wspaniałość widoku nie tylko pobudziła jego żywe upodobania wizualne i wzniciła wciąż drzemiącą chęć do ujęcia tego piękna w słowa, ale i była źródłem jego trzeciej wybitnej cechy - poczucia majestatu Boga i pragnienia znalezienia się w jego zasięgu.

Wkrótce napisał Dzieciństwo, później opowiadania i szkice o życiu w wojsku: Wypad, Kozacy, Wyręb lasu, Zapiski markiera, trzy Opowiadania sewastopolskie, Lata chłopięce, Poranek ziemianina (tytuł ostateczny: Powieść o ziemianinie rosyjskim), Noc wigilijna.

*Dzieciństwo* zostało wysłane w lipcu 1852 i opublikowane ze sporym powodzeniem. *Kozacy* nie zostali ukończeni przez następne dziesięć lat. *Nocy wigilijnej* nie ukończył nigdy i część materiału, o działaniach przeciw wodzowi Czeceńców, Szamilowi, Tołstoj zachował dla swego ostatniego świetnego opowiadania, *Hadzi-Murat*, które napisał już w podeszłym wieku.

Godne uwagi jest, że znaczna część tych dzieł powstała w krótkich przerwach wojaczki Tołstoja lub nawet na linii frontu, wówczas gdy Tołstoj, jak o tym świadczą jego własne *Dzienniki*, uganiał się także za Kozaczkami, grał w karty i oddawał się pijaństwu. Przymus pisania jednak brał górę, pracowitość i upór wymagały zaspokojenia.

Przymus ten był jednak sporadyczny i w tym tkwiła tragedia Tołstoja. Czasem pisał z radością, dumnie świadom swej mocy. Tak na przykład w październiku 1858: „Ułożę taką niestworzoną historię, że się w tym nikt nie rozezna”. W początkach roku 1860: „Pracuję nad czymś, co przychodzi mi tak naturalnie, jak oddychanie, i, muszę wyznać z karygodną pychą, co umożliwi mi patrzeć z góry na to, co reszta z was porabia”<sup>12</sup>.

Nie zawsze było mu łatwo pisać. Stawiał sobie wysokie wymagania, praca jego była wyętzona i żmudna. Większość ogromnego tekstu *Wojny i pokoju* miała co najmniej siedem redakcji. Więcej redakcji i zmian dokonano w *Annie Kareninie*, i to zmian o zasadniczym znaczeniu - możemy obserwować, na czym one polegały, jak stopniowo Anna przeobraża się z niesympatycznej kurtyzany w tragiczną heroinę, taką, jaką wszyscy znamy<sup>13</sup>.

Ten olbrzymi trud, jaki zadał sobie Tołstoj w doprowadzeniu dzieła do najlepszego rezultatu, świadczy dowodnie, że był świadom swego wysokiego powołania jako artysta. Jakże mógłby nie być świadom? Pisze czasami lepiej niż ktokolwiek na świecie, z pewnością nikt nie opisał przyrody tak niepodważalnie prawdziwie i dokładnie.

*Zamieć*, napisana w roku 1856, która opowiada, jak omal nie zginął podczas zamieci w drodze z Kaukazu do Jasnej Polany, jest wczesnym przykładem jego dojrzałej techniki i wywiera prawie hipnotyczną moc. Tołstoj osiąga to bezpośrednio, przez dobór i dokładność szczegółów. Nie używa przejawskawień lub niedopowiedzeń, poezji lub sugestii. Jak twierdził Edward Crankshaw, podobny jest do malarza, który pogardza cieniem i światłocieniem, posługuje się jedynie doskonałą jasnością i wyrazistością obrazu<sup>14</sup>. Inny krytyk porównał go do malarza-prerafaelity: kształty, struktury, tony i barwy, dźwięki, zapachy i wrażenia są wszystkie przekazane z krystaliczną przezroczystością i bezpośredniością<sup>15</sup>.

Poniżej podaję dwa przykłady, oba fragmenty przybrały tę postać po wielu zmianach. Pierwszy - o ekstrawertyku Wrońskim:

„...Wroński uśmiechnął się bezwiednie. Spuścił nogi, oparł jedną z nich na kolanie i wzięwszy ją w rękę obmacywał sprężystą łydkę, którą stłukł sobie w przeddzień, spadając z konia, po czym rozpartszy się na siedzeniu odetchnął kilka razy pełną piersią.

»Dobrze, ach jak dobrze!« - rzekł do siebie. Nieraz już przedtem doświadczał radosnej świadomości własnego ciała, nigdy jednak jeszcze nie kochał samego siebie, nie kochał swego ciała tak jak teraz. Miły mu był ów lekki ból w mocnej nodze, miła - świadomość poruszania się mięśni klatki piersiowej przy oddychaniu. Ten sam pogodny, chłodnawy dzień sierpniowy, który wzbudził w Annie nastrój takiej beznadziejności, jemu wydawał się pobudzająco ożywczy. (...) Wszystko, co widział przez okno karety, w tym zimnym, czystym powietrzu, przy bladym świetle zachodu, było równie wypoczęte, wesole i krzepkie jak on sam: a więc i dachy domów błyszczące w promieniach zniżającego się słońca, i ostre zarysy płotów i kantów budowli, i postacie z rzadka trafiających się przechodniów, i sylwetki pojazdów, i nieruchoma zieloność drzew i traw, i pola regularnie pocięte bruzdami kartofli, i ukośne cienie padające od domostw, od drzew, od krzaków i nawet od kartofli na zagonkach. Wszystko było piękne jak ładny pejzaż malarski, tylko co skończony i pokryty werniksem”.

A teraz Lewin polujący na bekasy ze swoim psem Łaską:

„Księżyc utraciwszy cały swój blask białiał na niebie jak obłoczek, ani jednej gwiazdy nie było już widać. Mokradelka, wpiersz srebrzące się od rosy, zdawały się teraz złote. Rdzawe oparzeliska miały kolor bursztynu. Błękit traw przeszedł w żółtą zieleń. Ptaszki błotne krzątały się na krzaczkach u ruczaju, błyszczących od rosy i rzucających długi cień. Jastrząb obudził się i siedział na kopie żyta obracając głowę to w jedną stronę, to w drugą i patrzył z niezadowolaniem na błoto. Kawki leciały w pole, bosi chłopczyzna już pędził konie ku miejscu, gdzie stary chłop, drapiąc się po plecach, podnosił się spod przykrywającego go kaftana. Dym od strzałów białiał jak mleko na zieloności trawy”<sup>16</sup>.

Jest jasne, że siła Tolstoja-pisarza wynika z jego czci dla przyrody i z zachowania aż do końca, nawet sporadycznie, umiejętności i wzruszeń twórczych. W swych *Dziennikach* zapisał 19 lipca 1896, że widział niewielki pęd rzepu na zaoranym ugorze, „czarny od kurzu, ale jeszcze żywy i w środku się czerwieni ... Mam ochotę pisać. Bronię życia do ostatniego tchnienia; sam jeden w polu - jednak je jako tako obronił”<sup>17</sup>. Patrząc na przyrodę zimnym, strasznym okiem i opisując ją precyzyjnym, bardzo dokładnie wymierzonym piórem, Tolstoj był tak blisko szczęścia, lub w każdym razie spokoju ducha, na jaki mu pozwalał jego charakter.

Na nieszczęście, samo pisanie go nie zadowalało. Pragnął władzy. Władza, jaką sprawował nad swymi bohaterami, mu nie wystarczała. Po pierwsze, nie uważał się za jednego z nich. Oni byli inną rasą, jakby innym gatunkiem ludzi. Jedynie z rzadka, zwłaszcza w przypadku postaci Anny, dokonuje cudów przenikając umysł bohaterki, i fakt, że czyni to z takim powodzeniem, przypomina o niebezpieczeństwie uogólniania, gdy dotyczy to tego niezwykłego człowieka. Z reguły jednakże przygląda się z zewnątrz, z dala, a najczęściej z góry. Jego służący, żołnierze, chłopcy są doskonale uchwyconymi zwierzętami; opisuje konie - bardzo wiele wiedział o koniach i świetnie je rozumiał - równie dobrze i w tym samym duchu. Ogląda on świat niejako za nas, a gdy przedstawia przebieg wielkiej bitwy, to tak jakby ją obserwował z innej planety. Nie czuje jednak za nas. To my czujemy dzięki temu, że patrząc, w naszym imieniu dokonuje selekcji i w ten sposób kontroluje nasze uczucia: jesteśmy w mocy wielkiego pisarza.

On natomiast nic nie odczuwa. Pozostaje wolny, stoi na uboczu. W porównaniu ze współczesnym mu, choć nieco starszym Dickensem i prawie współczesnym mu Flaubertem - obaj pisarze poruszali się na tej samej wysokiej płaszczyźnie twórczości - Tolstoj wkładał stosunkowo niewiele uczucia w swoje powieści.

Myślmy o Tolstoju jako o zawodowym powieściopisarzu i oczywiście w pewnym sensie jest to prawda. W obu swych wielkich dziełach wykazał to, co może być nazwane jedynie geniuszem: przetworzenie masy szczegółów w znaczącą formę wielkich tematów, doprowadzonych do nieubłaganego końca. Będąc prawdziwym artystą, Tolstoj się nie powtarzał: *Wojna i pokój* dokonuje przeglądu społeczeństwa i epoki, *Anna Karenina* skupia się dokładnie na szczególnej grupie ludzi. Książki te uczyniły go bohaterem narodowym, przyniosły sławę światową, bogactwo i renomę moralnej rozwagi, jakimi nie cieszył się nigdy żaden inny pisarz. Pisaniu powieści nie poświęcił jednak większości swego życia. Były w nim trzy twórcze okresy: czas wczesnych opowiadań lat pięćdziesiątych, sześć lat spędzonych nad *Wojną i pokojem* (lata sześćdziesiąte) i praca nad *Anną Kareniną* w latach siedemdziesiątych. Przez resztę swego długiego życia zajmował się mnóstwem innych rzeczy, które miały dla niego wyższe moralne pierwszeństwo.

Arystokratom za czasów starego porządku trudno było rozstać się z poglądem, że pisarstwo jest zajęciem dla ludzi stojących niżej od nich. Byron nigdy nie uważał poezji za swoje najważniejsze dzieło, którym miało być wspomnienie zniewolonych ludów Europy w dążeniu do niepodległości. Czuł się powołany do przewodzenia, co pasowało do tej sfery, z której się wywodził.

Podobnie było z Tolstojem. Uważał, że jest powołany, by czynić coś więcej niż jedynie przewodzić. Czuł się powołany do głoszenia prorocत्व, do odgrywania roli Mesjasza. Co więc robił, trawiając czas na pisaniu?

„Pisanie opowiadań - powiedział poecie Fetowi - to bezsensowne i haniebne zajęcie.” Zwróćmy uwagę na drugi przymiotnik. Sztuka jest niegodziwym marnowaniem darów Bożych - był to sporadycznie pojawiający się wątek, który Tolstoj nagłaśniał jeszcze bardziej, gdy nachodził go nastrój obrazoburczy. Tak więc, od czasu do czasu, częściej gdy nadeszła starość, mógł wyrzekać się sztuki i sprawować przywództwo moralne.

Sprawą pożałowania godną było okłamywanie samego siebie. Zastanawiające, że Tolstojowi tak wyraźnie brakuje wiedzy o samym sobie. A przecież myślał o sobie więcej niż ktokolwiek inny - wyłączając Rousseau - pisał o sobie tak wiele i jego powieści najczęściej w taki czy inny sposób obracają się wokół niego samego.

Jako pisarz był nadzwyczaj kompetentny i gdy tworzył, był najmniej niebezpieczny dla otoczenia i dla społeczeństwa w ogóle. Ale nie pragnął być pisarzem, przynajmniej pogańskiego świata. Pragnął natomiast przewodzić, do czego nie miał w ogóle talentu (poza wolą), pragnął być prorokiem, tworzyć religię i przekształcać świat, do czego był niezdolny moralnie i intelektualnie. W ten sposób wielkie powieści pozostały nie napisane, a on prowadził, a raczej włókł siebie i swą rodzinę ku chaotycznemu bezludziu.

Istniała jeszcze jedna przyczyna, dla której Tolstoj czuł się zmuszony do stawiania sobie wielkich zadań moralnych. Podobnie jak Byron, wiedział, że jest grzesznikiem. Odmienne jednak od Byrona dręczyło go przygniatające poczucie winy. Owo poczucie winy Tolstoja było selektywne i niedokładne - niektórych swych największych słabości, nawet zbrodni, okropnych wytworów swego aroganckiego „ja”, w ogóle nie uważał za grzechy - a jednak działało bardzo silnie.

Z pewnością wydarzyło się wiele niechwalebnych rzeczy w jego młodości, wobec których powinien odczuwać winę. Wydaje się, że nauczył się grać w karty o duże sumy w Moskwie i Sankt Petersburgu w początkach 1849 roku. 1 maja pisał do swego brata Sergiusza: „Przyjechałem do Petersburga właściwie bez żadnej ważnej przyczyny, nic tu poważnego nie robiłem, po prostu uciekło mi sporo pieniędzy i wpadłem w długi”. Nalegał więc, by Sergiusz natychmiast sprzedał część majątku: „Czekał będę na nadejście pieniędzy, ale muszę od razu mieć absolutnie 3500 rubli”. Dodawał jeszcze: „Można popełnić takie idiotstwo tylko raz w życiu. Musiałem zapłacić za swą wolność (nie było nikogo, kto by mnie za to spraw, to moje największe nieszczęście) i za filozofowanie, i zapłaciłem”<sup>18</sup>.

Rzeczywiście grywał w karty rzadko, czasem wysoko i bez powodzenia, przez następnych dziesięć lat sprzedając sporą część posiadłości i zadłużając się coraz bardziej u krewnych, przyjaciół i dostawców, niektórych z nich nigdy nie spłacił. Grał w karty również w wojsku. W pewnym okresie zamierzał wydawać pismo dla żołnierzy, zatytułowane „Pisemko Wojskowe”, i sprzedał główną część Jasnej Polany, by je sfinansować, ale gdy pieniądze (pięć tysięcy rubli) nadeszły, przegrał je szybko w karty.

Gdy opuścił już armię i podróżował po Europie, grał ponownie z tym samym skutkiem. Poeta Połoński obserwował go w Stuttgarcie w lipcu 1857 i zanotował: „Na nieszczęście ruletka wywierała na nim ogromne wrażenie. Spłukał się doszczętnie. Stracił trzy tysiące franków i został bez grosza”. Sam Tolstoj zapisał w swych *Dziennikach*: „Ruletka do szóstej. Straciłem wszystko”. „Pożyczyłem dwieście rubli od Francuza, które straciłem.” „Pożyczyłem pieniądze od Turgieniewa i wszystko przegrałem”<sup>19</sup>. W wiele lat później jego żona zanotowała, że choć czuł się winny oddawaniu się hazardowi i musiał się go wyrzec, to nie wydawał się być skruszony, że nie udało mu się zwrócić dawnych długów, niekiedy zaciągniętych u uboższych ludzi.



Tołstoj miał jednak silniejsze poczucie winy z powodu swych pożądań seksualnych i ich zaspokajania, choć samooskarżenia były tu zadziwiająco wybiórcze i równie pobłażliwe. Tołstoj uważał się za bardzo zmysłowego. W *Dziennikach* pisał: „Muszę mieć kobietę. Zmysłowość nie daje mi ani chwili spokoju” (4 maja 1853). „Żądza ogromna, granicząca z fizycznym bólem” (6 czerwca 1856)<sup>20</sup>. Pod koniec życia opowiadał swemu biografowi, Aylmer Maude, że tak silny był jego popęd, iż nie potrafił się uwolnić od seksu, póki nie ukończył osiemdziesięciu jeden lat. W młodości był nadzwyczaj nieśmiały wobec kobiet i bywał w domach publicznych, co napępiało go wstrętem i spowodowało zwykłe konsekwencje. Jeden z najwcześniejszych zapisów jego *Dzienników*, z marca 1847, zawiera notkę, że jest leczony „na rzeżączkę nabytą ze zwykłego źródła”. Pisze o ataku choroby w roku 1852 w liście do brata Mikołaja: „Leczę chorobę weneryczną, ale stosowanie rtęci przyczyniło mi niewypowiedzianych cierpień”. Nadal jednak zadawał się z prostytutkami, Cygankami, Kozaczkami, górkami i, jeśli było możliwe, rosyjskimi młodymi wieśniaczkami.

Ton jego *Dzienników* jest niezmiennie pełen samoobrzydzenia, zmieszanego z nienawiścią do kusicielki: „... coś różowego ... Otworzyłem tylne wejście. Weszła. Teraz nie mogę na nią patrzeć. Odpychająca, wstrętna, godna nienawiści spowodowała, że zламаłem moje zasady” (18 kwietnia 1851). „Ta przeklęta służba zupełnie sprowadziła mnie z drogi, na którą wkroczyłem był tak dobrze i na którą znów chcę wejść...” (25 czerwca 1853). Nazajutrz powziął dobre postanowienia, ale „dziewczyny przeszkadzają mi” (26 czerwca 1853). Zapis z kwietnia 1856, po wizycie w domu publicznym: „Okropne, ale to ostatni już raz”. Jeszcze inny zapis z roku 1856: „Obrzydliwe. Dziewczyny. Otepiająca muzyka, dziewczyny, upał, dym papierosów, dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny”.

Turgieniew, z którego domu korzystał wówczas jak z hotelu, opisuje jeszcze innego Tołstoja z roku 1856: „Pijatyki, Cyganie i karty przez całą noc, a później śpi jak zabity, aż do drugiej”<sup>21</sup>.

Podczas pobytu na wsi, zwłaszcza w swoim majątku, Tołstoj wybierał sobie ładniejsze dziewczęta, córki chłopów-poddanych. Czasami wzbudzało to u niego jeszcze większe pożądanie. Pisał później o Jasnej Polanie: „Pamiętam wieczory, które tam spędzałem, piękność i młodość Duniaszy ... jej silne, kobiece ciało”<sup>22</sup>.

Jednym z motywów wybrania się Tołstoja w podróż po Europie w roku 1856 była chęć, jak sądził, uniknięcia pokus ze strony ponętnej chłopskiej dziewczyny. Pamiętał, że jego ojciec miał podobny romans i dziewczyna urodziła mu syna, którego traktowano po prostu jako służącego w majątku, poddanego pracującego w stajni (był woźnicą).

Po powrocie Tołstoj nie mógł powstrzymać się od obławiania kobiet, zwłaszcza mężatki Aksinii. Jego *Dzienniki* zawierają taki zapis z maja 1858: „Dziś w starym borze - była ... jestem dureń. Bydlę. Czerwona opalenizna. ... Zakochany jestem jak nigdy w życiu. Nie ma we mnie innej myśli”<sup>23</sup>. Dziewczyna była „czysta i nie wyglądała źle, z czarnymi błyszczącymi oczami, głębokim głosem, z zapachem czegoś świeżego i mocnego, i pełną piersią, która podnosiła gorsecik jej fartucha”.

Prawdopodobnie w lipcu 1859 Aksinia urodziła syna, którego nazwano Timofiejem Bazykinem. Tołstoj sprowadził ją do swego domu jako służącą i zezwolił chłopcu przez pewien czas bawić się u swych stóp.

Podobnie jak Marks i Ibsen, i jego własny ojciec, Tołstoj nie uznał nigdy chłopca za swego syna ani nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Jest nawet bardziej znaczące, że wówczas gdy publicznie głosił absolutną konieczność kształcenia chłopów i prowadził szkołę dla ich dzieci we własnym majątku, nie uczynił nic, by zapewnić własnemu nieślubnemu synowi naukę czytania i pisanie. Prawdopodobnie obawiał się późniejszych roszczeń. Wydawał się być bezlitosny w odrzuceniu praw nieślubnego potomka.

Cała ta sprawa go drażniła, być może dlatego, że uwydatniała jego zachowanie, tym bardziej że Turgieniew nie tylko uznał swą nieślubną córkę za własną, ale i zadał sobie wiele trudu, by wychować ją w odpowiedni sposób. Pewnego razu Tołstoj obraził tę dziewczynę, robiąc aluzję do jej pochodzenia, co doprowadziło do poważnej kłótni z Turgieniewem i omal nie zakończyło się pojedynkiem<sup>24</sup>. Tak więc syn Tołstoja, Timofiej, został oddany do pracy w stajni, a później z powodu złego zachowania został zdegradowany do funkcji drwala. Nie ma dalszych danych o Timofieju po roku 1900 (miał wtedy czterdzieści trzy lata), jednakże wiemy, że przyszedł mu z pomocą syn Tołstoja, Aleksy, który zrobił go woźnicą.

Tołstoj wiedział, że źle postępuje odwiedzając prostytutki i uwodząc chłopki, i obwinał siebie o to. Ale skłonny był obwinać jeszcze bardziej kobiety. Każda z nich była dla niego Ewą-kusicielką. Oczywiście nie trzeba mówić, że choć potrzebował kobiet fizycznie i wykorzystywał je - a być może właśnie dlatego - nie dowierzał im, nie lubił i nawet ich nienawidził. Pod pewnymi względami uważał okazywanie przez nie cech swej płci za odpychające. Pod koniec życia mówił: „Zawsze miałem poczucie wstydu i na przykład widok kobiety z obnażoną piersią był dla mnie wstrętny, nawet w młodości...”<sup>25</sup>.

Tołstoj z natury był skory do przybierania tonu mentorskiego, a nawet purytańskiego. Jeśli niepokoiła go własna zmysłowość, jej objawy u innych wywoływały jego ostrą dezaprobatę. W Paryżu w roku 1857, gdy sam romansował zawzięcie, zanotował: „W hotelu, gdzie się zatrzymałem, mieszkało trzydzieści sześć par, w tym dziewiętnaście bez ślubu. Napełniło to mnie ogromnym obrzydzeniem”<sup>26</sup>.

Grzech zmysłowości był złem i kobiety były jego źródłem. W dniu 16 czerwca 1847, gdy miał dziewiętnaście lat, Tołstoj pisał:

„Zaczynam przyzwyczajać się do reguły pierwszej, którą sobie wyznaczyłem, i dziś wyznaczam sobie drugą, mianowicie następującą: traktuj towarzystwo kobiet jako nieuchronną przykrość życia towarzyskiego i w miarę możliwości unikaj ich. W istocie, od kogo przyjmujemy zmysłowość, wydelikacenie, lekkomyślność we wszystkim i mnóstwo innych przywar, jak nie od kobiet? Kto jest winien temu, że tracimy wrodzone nam uczucia - odwagę, stanowczość, rozwagę, sprawiedliwość itd., jeśli nie kobiety?”

Doprawdy, przygnębiającą rzeczą w przypadku Tołstoja jest to, że zachował te dziecinne, pod pewnymi względami wschodnie poglądy na temat kobiet aż do końca swego życia. W przeciwieństwie do wysiłków nad stworzeniem postaci Anny Kareniny, chyba nigdy nie dokonał jakiegokolwiek poważnej próby w realnym życiu, by przeniknąć i zrozumieć umysł kobiety. Nie byłby też gotów przyznać, że kobieta może być poważną, dojrzałą, moralną istotą ludzką.

W roku 1898, mając siedemdziesiąt lat, Tołstoj stwierdził: „Ogólnie biorąc, [kobieta] jest głupia, ale jeśli Diabeł użyczy jej rozumu, działa ona wtedy w jego interesie. Dokonuje wówczas cudów w rozumowaniu, dalekowzroczności, wierności, tak by zrobić coś wstrętnego”. A dalej: „Nie można żądać od kobiety, by oceniała uczucia swej wyłącznej miłości na podstawie poczucia moralności. Nie może ona tego uczynić, pozbawiona jest bowiem rzeczywistego poczucia moralności, które stoi ponad wszystkim”<sup>27</sup>.

Tołstoj nie zgadzał się zupełnie z poglądami na emancypację, wyrażonymi przez Johna Stuarta Milla w dziele *Poddaństwo kobiety*, utrzymując, że nawet niezamężnym kobietom należy zabronić objęcia pracy zawodowej. Oczywiście uważał prostytutkę za jedno z nielicznych „zaszczytnych powołań” kobiety. Fragment, w którym usprawiedliwia prostytutki, jest wart cytowania:

„Dopuszczać swobodną wymianę mężów i żon (jak chcą czcze gaduły - liberałowie)? To też nie mieściło się w celach Opatrzności z przyczyn dla nas jasnych - zrujnowałoby rodzinę. I dlatego zgodnie z prawem ekonomii sił pojawiło się rozwiązanie pośrednie - córki Koryntu, zjawisko odpowiadające skomplikowaniu życia. Proszę sobie wyobrazić Londyn bez jego 80 000 cór Koryntu. Co by się stało z rodzinami? Ileż żon i córek pozostałoby czystych? Co by

się stało z prawami moralności, których tak lubią przestrzegać ludzie? Wydaje mi się, że ta klasa kobiet jest konieczna dla rodziny - przy obecnych skomplikowanych formach życia"<sup>28</sup>. Kłopot z Tołstojem tkwi w tym, że choć wierzył w rodzinę, to właściwie nie wierzył w małżeństwo, w każdym bądź razie w chrześcijańskie małżeństwo między dorosłymi o równych prawach i obowiązkach. Prawdopodobnie nikt nigdy nie nadawał się mniej od niego do zawarcia takiego związku.

Dziewczyna z sąsiedztwa na wsi, Waleria Arsieniewa, dwudziestoletnia sierota, miała szczęście, że za niego nie wyszła. Spodobała się Tołstojowi, gdy dobiegał trzydziestki, i przez pewien czas uważał się za jej narzeczonego. Jak się okazało, lubił w niej jedynie cechy dziecięce, a odpychało go, gdy okazywała się dojrzałą kobietą. *Dzienniki* Tołstoja i jego listy snują całą opowieść. „Jest strasznie próżna, nie ma zasad i zimna jak lód, dlatego bezustannie się kocha.” „Jej uśmiech jest straszliwie uległy.” „Waleria jest strasznie źle wychowana, ignorantka, jeśli nie głupia.” „Zacząłem ją szczypać moralnie, i to tak okrutnie, że uśmiechała się niewyraźnie. Uśmiech przez łzy.”

Po ośmiu miesiącach rozterek i bezlitosnych pouczeń sprowokował ją do napisania pełnego irytacji listu, który posłużył mu za usprawiedliwienie do zerwania: „Jesteśmy bardzo od siebie oddaleni. Miłość i małżeństwo mogłyby nam jedynie przynieść nędzę”. Swojej ciotce napisał: „Zachowałem się bardzo źle. Prosiłem Boga, by mi wybaczył... ale naprawić tej sprawy nie można”<sup>29</sup>.

Gdy miał już trzydzieści cztery lata, jego wybór padł na osiemnastoletnią Zofię Behrs, córkę lekarza. Nie był wielką zdobyczą: niebogaty, znany gracz, miał kłopoty z władzami za obrazę urzędnika. Kilka lat wcześniej pisał o sobie: „Jestem brzydki, niezgrabny ... mam małe szare oczy, wyglądające raczej na głupie niż inteligentne ... chłopską twarz i chłopskie szerokie dłonie i stopy”. Ponadto nienawidził dentystów i ich nie odwiedzał, do roku 1862 stracił prawie wszystkie zęby.

Ona była prostą, niedojrzałą dziewczyną, miała tylko sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, współzawodniczyła z dwiema siostrami i była zadowolona, że go zdobyła.

Oświadczył się oficjalnie w liście do niej, później wydawał się mieć wątpliwości, aż do ostatniej chwili. Sam ślub był zapowiedzią katastrofy. Rankiem wpadł do jej domu, nalegając: „Przyszedłem, by powiedzieć, że wciąż mamy czas ... całą sprawę można wciąż wstrzymać”. Ona wybuchnęła płaczem. Tołstoj spóźnił się o godzinę na uroczystość, bo omyłkowo spakował wszystkie swoje koszule. Ona znów płakała.

Wieczorem zjedli kolację, następnie ona się przebrała i wsiedli do karety (zwanej *dormeuse*), zaprzężonej w sześć koni. Ona znów płakała. Tołstoj, sam sierota, nie mógł tego zrozumieć i zaczął krzyczeć: „Jeśli opuszczasz swoją rodzinę z tak dużym żalem, nie możesz mnie tak bardzo kochać”. W karecie chciał ją objąć, ale ona go odepchnęła. Zatrzymali się na nocleg w zajeździe w Birulowie. Zofii trzęsły się ręce, gdy nalewała herbaty z samowara. On próbował ją ponownie objąć, ona go znów odepchnęła. *Dzienniki* Tołstoja nieubłaganie notują: „Ona zapłakana. W karecie. Ona wie wszystko, i tak po prostu. W Birulowie. Jej lęk. Coś chorobliwego”. Później, gdy w końcu ją zdobył, zanotował: „Niewiarygodne szczęście. I znów pisze obok mnie. Niemożliwe, żeby się to wszystko skończyło wraz z życiem”<sup>30</sup>.

Oczywiście się nie skończyło. Nawet najbardziej uległa żona mogłaby uznać za trudne do zniesienia małżeństwo z tak ogromnym egoistą. Zofia miała dość zasobów umysłu i ducha, by oprzeć się jego wszystko kruszącej woli, przynajmniej od czasu do czasu. Stworzyli więc oboje jedno z najgorszych, za to najlepiej udokumentowanych małżeństw w historii.

Tołstoj zainaugurował je popełniając fatalny błąd w ocenie sytuacji. Jednym z charakterystycznych rysów intelektualisty jest wiara, że tajemnice, szczególnie dotyczące spraw seksualnych, są szkodliwe. Wszystko powinno być „jawne”. Z każdej puszkii Pandory trzeba zdjąć wieko. Mąż i żona winni mówić sobie „wszystko”. W tym właśnie tkwiło wiele zbędnego nieszczęścia.

Tołstoj rozpoczął swą politykę *glasnosti* od nalegania, by żona czytała jego *Dzienniki*, które wówczas prowadził już od piętnastu lat. Zofia była przerażona odkrywając, że zawierają szczegóły całego jego życia seksualnego, w tym zapiski o odwiedzinach domów publicznych i intymnych kontaktach z prostytutkami, Cygankami, góralkami, jego własnymi poddankami, nawet z przyjaciółkami jej matki. Pierwszą jej reakcją było: „Zabierz z powrotem te okropne zeszyty! Dlaczego mi je pokazałeś?”. Później powiedziała: „Tak, przebaczyłam ci. Jest to jednak straszne”. Uwagi te pochodzą z jej własnego dziennika, który prowadziła od chwili, gdy skończyła jedenaście lat. W „otwartej” polityce Tołstoja mieściła się zasada, że oboje powinni prowadzić dzienniki i mieć otwarty dostęp do zapisków drugiego - była to droga prowadząca do wzajemnych podejrzeń i cierpień.

Fizyczna strona małżeństwa Tołstoja prawdopodobnie nigdy nie została odbudowana po pierwszym wstrząsie doznanym przez Zofię, kiedy uznała, że jej mąż jest seksualnym potworem. Ponadto czytała jego *Dzienniki* w sposób, jakiego Tołstoj nie przewidział: rejestrowała jego przewiny, które on - przynajmniej tak sądził - starannie taił. Odkryła na przykład, że nie spłacił długów, które zaciągnął na grę w karty. Zauważyła również, że nie mówił kobietom, z którymi miał stosunki, że zaraził się uprzednio chorobą weneryczną i prawdopodobnie jest nią nadal dotknięty. Samolubstwo i egoizm, które *Dzienniki* tak jasno przekazują spostrzegawczemu czytelnikowi - a któż jest bardziej spostrzegawczy niż żona? - były dla niej bardziej widoczne niż dla samego autora.

Ponadto życie seksualne Tołstoja, tak żywo opisane w jego *Dziennikach*, łączyło się teraz nierozdzielnie w jej umyśle z okropnościami poddania się jego żądaniom i ich dalszym skutkom w postaci bolesnych i powtarzających się ciąż. W ciągu dwudziestu dwóch lat była dwanaście razy w ciąży; w krótkich odstępach czasu straciła troje dzieci: Pietię, będąc już w ciąży z Mikołajem, który niedługo zmarł, i Warwarę, która urodziła się przedwcześnie i wkrótce zmarła.

Tołstoj nie wspomagał żony w kolejnych porodach, wykazując bliskie, choć nieczułe zainteresowanie wszystkimi szczegółami. Nalegał na obecność przy narodzinach syna Siergieja (później wykorzystał tę scenę w *Annie Kareninie*) i wpadł w przerażającą wściekłość, kiedy Zofia nie mogła dziecka karmić piersią. Gdy ciążę i poronienia powtarzały się, a niechęć żony do jego seksualnych żądań stała się oczywista, Tołstoj pisał do przyjaciela: „Nie ma gorszej sytuacji dla zdrowego mężczyzny niż mieć chorą żonę”.

Już w początkach małżeństwa przestał ją kochać, natomiast jej tragedią było to, że nadal zachowała dla niego nieco miłości. Przyznawała wówczas w swoich dziennikach:

„Mam w sobie jedynie tę poniżającą miłość i zły charakter, i te dwie rzeczy są przyczyną wszystkich moich nieszczęść, bo mój charakter zawsze przeszkadzał mojej miłości. Nie pragnę niczego, tylko jego miłości i uczucia, ale on mi ich nie da, i cała moja duma została wdeptana w błoto. Jestem jedynie nędznym zdruzgotanym robakiem, którego nikt nie chce, nikt nie kocha, takim nie nadającym się do niczego stworzeniem z porannymi nudnościami i dużym brzuchem”<sup>31</sup>.

Trudno wierzyć, na podstawie zachowanego materiału, że to małżeństwo było kiedykolwiek znośne. Podczas stosunkowo spokojnego okresu, w roku 1900, gdy już byli trzydzieści osiem lat po ślubie, Zofia pisała do Tołstoja: „Chcę ci podziękować za dawne szczęście, które mi dałeś, i żałuję, że nie jest ono nadal tak silne, pełne i spokojne, jak było poprzez całe nasze życie”. Był to jednak tylko gest uspokojenia.

Zofia od początku próbowała utrzymać małżeństwo, przejąwszy zarządzanie sprawami męża, oddając mu nieodzowne usługi i stając się zbuntowanym niewolnikiem. Podjęła się graniczącego z heroizmem zadania: sporządzania czytelnych kopii powieści z jego przerażających rękopisów<sup>32</sup>. Była to ciężka praca, ale sprawiała jej niejako zadowolenie, pojęła bowiem szybko, że Tołstoj był mniej nieznośny, gdy się oddawał swemu właściwemu powołaniu. Zofia zwierzała się więc swej siostrze Tatianie, że wszyscy są szczęśliwi

wówczas, gdy on zajmuje się pisaniem. Po pierwsze, przynosiło ono pieniądze, podczas gdy jego inne zajęcia powodowały ich utratę. Jednakże „nie chodzi tu tak bardzo o pieniądze. Chodzi głównie o to, że kocham jego dzieła literackie, podziwiam je i one mnie wzruszają”. Gorzkie doświadczenie ją nauczyło, że gdy Tołstoj przerywał pisanie, potrafił wypełniać pustkę życia wielkim szaleństwem, zadawać ból rodzinie, którą ona starała się ocalić.

Tołstoj zapatrywał się na tę sprawę zupełnie inaczej. Powiększanie się rodziny i jej utrzymanie wymagało pieniędzy. Jego powieści przynosiły pieniądze. Zaczął łączyć pisanie z koniecznością zarabiania pieniędzy, odczuwając niechęć do jednego i drugiego. Kojarzył swoje pisarstwo z małżeństwem, a nalegania Zofii, by pisał, przekonywały go o tym. Sądził, że zarówno małżeństwo, jak i powieści uniemożliwiają mu zajęcie się prawdziwą pracą - prococtwami.

Przedstawił to tak w swej *Spowiedzi*: „Nowe szczęśliwe życie rodzinne całkowicie odciągnęło mnie od poszukiwania ogólnego sensu życia. Jednocześnie cała moja egzystencja skupiła się na sprawach rodziny, żony, dzieci, i stąd na trosce o powiększenie naszych środków do życia. Moje dążenie do samodoskonalenia, które już zastąpiłem dążeniem do doskonałości w ogóle, do postępu, zamieniło się w prosty wysiłek zapewnienia możliwie najlepszych warunków mojej rodzinie”<sup>33</sup>.

Tołstoj zaczął więc uważać małżeństwo nie tylko za źródło wielkiego nieszczęścia, ale i za przeszkodę dla postępu moralnego. Biorąc za punkt wyjścia własne szczególne nieszczęście, pomstował przeciw instytucji małżeństwa jako takiej i miłości małżeńskiej. W roku 1897 wybuchając jak Lear, powiedział swej córce Tani:

„Rozumiem, że zepsuty mężczyzna może znaleźć ratunek w małżeństwie. Dlaczego jednak czysta dziewczyna chce się wplątać w taką sprawę, jest to ponad mój rozum. O ile chodzi o miłość, zarówno do mężczyzn, jak do kobiet, to dlatego, że wiem, co to jest, że to niskie i przede wszystkim niezdrowe uczucie, wcale nie piękne, wzniosłe lub poetyczne, nie otworzyłbym jej drzwi. Podjąłbym wiele ostrożności, by uniknąć zarażenia się tą chorobą, tak samo jak broniłbym się przed mniej poważnymi chorobami zakaźnymi: dyfterytem, tyfusem lub szkarla- tyną”<sup>34</sup>.

Fragment ten sugeruje, podobnie jak inne, że Tołstoj nie myślał poważnie o małżeństwie. Przytoczmy słynne zdanie z *Anny Kareniny*: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Jeśli zastanowić się nad własnymi doświadczeniami, staje się jasne, że oba człony tego stwierdzenia są dyskusyjne. Być może, drugi jest bliższy prawdy. Jest niezaprzeczalnym faktem, że istnieją powtarzające się modele rodzin nieszczęśliwych, w których na przykład mąż jest pijakiem lub hazardzistą, albo też żona jest okropna, gotowa popełnić zdradę, i tak dalej; oznaki rodzinnego nieszczęścia są, niestety, znane i się powielają. Ale z drugiej strony świat jest pełen także szczęśliwych rodzin. Tołstoj nie przemyślał tematu poważnie, a przede wszystkim uczciwie, nie potrafił bowiem myśleć poważnie i uczciwie o kobietach: pełen obaw, gniewu i obrzydzenia po prostu zarzucił ten temat. Moralna klęska małżeństwa Tołstoja i jego intelektualna niemożność oddania sprawiedliwości połowie ludzkiej rasy ściśle się ze sobą łączyły.

Jednak nawet małżeństwu Tołstoja, od początku pod pewnymi względami nieudanemu, mogłoby wieść się lepiej, gdyby nie istniał jeszcze jeden problem, a mianowicie kwestia dziedziczenia majątku. Po hazardzie i seksie było to trzecie źródło winy Tołstoja, o wiele ważniejsze od poprzednich. Opanowało ono i w końcu zniszczyło jego normalne życie. Było również powodem jego dumy i władzy, a także i moralnego niepokoju. Ziemia i chłopci byli nierozłącznie związani ze sobą; w Rosji nie można było mieć jednego, nie będąc właścicielem drugiego.

Tołstoj odziedziczył majątek po swojej matce, gdy był bardzo młodym człowiekiem, i prawie od samego początku zadawał sobie wielkie pytanie - uczciwe, ale i sobie pobłażające:

„Co mam zrobić z moimi chłopami?”. Jeśliby był człowiekiem rozsądnym, powinien był uznać, że zajmowanie się majątkiem nie jest zajęciem dla niego i że jego darem i obowiązkiem jest pisanie. Sprzedałby majątek i pozbył się kłopotu, sprawując przywództwo poprzez swoje książki. Tołstoj nie był jednak rozsądnym człowiekiem. Nie chciał pozbyć się tej sprawy i nie potrafił też jej radykalnie rozwiązać. Prawie pół wieku wahał się i dręczył, próbował częściowych rozwiązań.

Tołstoj wprowadził swą pierwszą chłopską „reformę” w późnych latach czterdziestych ubiegłego wieku, gdy odziedziczył majątek. Twierdził później: „O tym, że [...] trzeba ich [chłopów] uwolnić, w naszym środowisku w latach czterdziestych w ogóle nikt nie myślał”<sup>35</sup>. Była to nieprawda, debatowano nad tym wszędzie przez całe pokolenie, dyskutowano na ten temat w każdym małym prowincjonalnym kółku filozofów. Jeśliby tak nie było, nie przydarzyłoby się to samemu Tołstojowi.

Tołstoj uzupełniał swoją „reformę” innymi ulepszeniami, w tym parową młockarnią przez siebie zaprojektowaną. Żadne z tych przedsięwzięć do niczego nie doprowadziło. Wkrótce zresztą zrezygnował wobec towarzyszących temu trudności i, jak to ujął, chłopskiego „świństwa”. Jedynym skutkiem była postać Niechludowa w *Poranku ziemianina*, który mówi młodemu rozczarowanemu Tołstojowi: „Widzę wokół tylko ciemnych urzędników, występki, podejrzenia, beznadziejność. Tracę najlepsze lata mego życia”.

Po osiemnastu miesiącach Tołstoj zostawił majątek i wyjechał, by zająć się innymi sprawami: kobietami, kartami, wojaczką, literaturą. I jakkolwiek poświęcał chłopom nieco uwagi, zajmował się nimi raczej abstrakcyjnie, nigdy bowiem nie postrzegał ich jako indywidualnych istot ludzkich. Stanowisko Tołstoja wobec chłopów pozostało bardzo dwuznaczne. W *Dziennikach* odnotował 24 czerwca 1854 roku: „...a potem gadałem do nocy z Szubinem o naszym rosyjskim niewolnictwie. To prawda, że niewolnictwo jest złem, ale złem nadzwyczaj przyjemnym”.

W roku 1856 podjął drugą próbę „reformy”. Oświadczył, że wyzwoli swoich poddanych w zamian za zapłatę trzydziestoletniego czynszu. Uczynił to, co było bardzo charakterystyczne, bez naradzenia się z kimkolwiek spośród swoich znajomych mających już doświadczenie w wyzwolaniu chłopów. Poddani, jak to się wtedy złożyło, słuchali krążących pogłosek, że nowy car, Aleksander II, zamierza ich wyzwolić bez żadnych warunków. Węszyli więc oszustwo; obawiali się żyłki Tołstoja do interesów i stanowczo odrzucili tę propozycję. Rozgniewany uznał ich za ciemnych, beznadziejnych dzikusów. Wykazał zresztą już pewien uczuciowy niepokój w tej sprawie. Napisał histeryczny list do dawnego ministra spraw wewnętrznych, hrabiego Dymitra Błudowa: „Jeśli po sześciu miesiącach chłopci pańszczyźniani nie będą wolni - pożar jest pewny”<sup>36</sup>.

Członkom swojej rodziny, którzy uznali jego plany za głupie i przedwczesne - jak jego ciotka Tatiana - okazywał odstraszącą wrogość: „Nawet Tatiana Aleksandrowna budzi niechęć we mnie. Choćby nawet dożyła stu lat, nie wbiłoby się jej do głowy, że pańszczyzna jest niesprawiedliwa”.

Zwrócił się teraz do oświaty jako ostatecznego rozwiązania sprawy chłopskiej. Intelktualiści, poczynając od Rousseau, dziwnie lęka się, że mogą rozwiązać odwieczne problemy ludzkiego wychowania za jednym zamachem, zaprowadzając nowy system. Tołstoj zaczął od uczenia samemu dzieci chłopskich. Pisał do hrabiny Aleksandry Andriejewny, swej ciotki, w grudniu 1874: „Nie filozofuję, lecz kiedy wchodzę do szkoły i widzę ten tłum obdartych, brudnych, chudych dzieci, z ich jasnymi oczami i tak często anielskim wyrazem twarzy, doznaję trwogi, przerażenia, w rodzaju tego, jakiego bym doznał na widok ludzi tonących. (...) Pragnę oświaty dla ludu tylko po to, żeby uratować tonących tam Puszkinów, Ostrogradskich, Filaretowów, Łomonosowów. Bo od nich roi się w każdej szkole”<sup>37</sup>.

Przez krótki czas cieszył się, że jest ich nauczycielem. Później pisał do swego oficjalnego biografy, P. I. Biriukowa, że był to najlepszy okres w jego życiu: „Najpiękniejszy okres w życiu zawdzięczam nie miłości kobiety, lecz umiłowaniu ludzi, dzieci. Były to piękne czasy, zwłaszcza wśród poprzedzającego mroku”<sup>38</sup>.

Nie odnotowano, jak owocne były te jego wysiłki. Nie było żadnych zasad. Nie wymagano pracy domowej. Jak pisał, „przychodzą jedynie sami, ze swą chłonną naturą i pewnością, że będzie dziś tak radośnie, jak było wczoraj”. Wkrótce założył całą sieć szkół, w pewnym okresie było ich siedemdziesiąt. Jego wysiłki pedagogiczne nie trwały długo. Znudziły go i wyjechał w podróż po Niemczech, rzekomo dla zbadania tamtejszych reform oświaty. Słynny Julius Fröbel rozczarował go: zamiast wysłuchać Tolstoja, wciąż mówił, zresztą był „tylko Żydem”.

Tak było do roku 1861, gdy nagle car Aleksander II ukazem wyzwolił chłopów z poddaństwa. Zirytowany Tolstoj skrytykował ukaz jako akt wydany przez państwo, które on teraz przestał aprobować.

W następnym roku się ożenił i majątek nabrał odmiennego znaczenia jako siedziba wciąż powiększającej się rodziny i, wraz z jego powieściami, jako źródło jej dochodów. Był to najbardziej twórczy okres jego życia, lata *Wojny i pokoju* i *Anny Kareniny*. Wraz ze wzrostem dochodów z książek Tolstoj kupował ziemię i inwestował w majątek. W pewnym okresie miał na przykład czterysta koni w swojej stadninie. W domu było pięć guwernantek i wychowawców, obok jedenastu stałych służących. Pragnienie „reformowania” - nie tylko chłopów, ale siebie, swojej rodziny, całego świata - nigdy go nie opuszczało.

Reformy polityczna i społeczna w umyśle Tolstoja ściśle łączyły się z pragnieniem zorganizowania nowego ruchu religijnego. Już w roku 1855 pisał, że chciałby stworzyć wiarę opartą na „religii Chrystusa, lecz oczyszczonej z dogmatów i mistycyzmu; religii praktycznej, nie obiecującej przyszłej szczęśliwości, lecz dającej szczęście na ziemi”.

Był to pomysł banalny, wyświechtany temat niezliczonych nudnych reformatorów religii, jacy pojawili się w ciągu wieków. Tolstoj nigdy nie był teologiem. Napisał dwie długie broszury, *Studium teologii dogmatycznej* oraz *Zestawienie i tłumaczenie czterech Ewangelii*, które nie wnoszą niczego do opinii o nim jako poważnym myślicielu. Sporo jego pism religijnych można dopiero zrozumieć w kategoriach nieokreślonego panteizmu. Na przykład: „Poznać Boga i żyć to jedno i to samo. Bóg jest życiem. Żyj szukając Boga i wtedy nie będziesz żył bez Boga” (1878-1879).

Pojęcia religijne kłębiące się w głowie Tolstoja były potencjalnie niebezpieczne, w połączeniu bowiem z jego ideami politycznymi tworzyły materiał łatwopalny. Dopóki nie ukończył i nie opublikował *Anny Kareniny*, która wielce umocniła jego sławę, Tolstoj był niespokojny, niezadowolony ze swej twórczości literackiej i gotów wyrządzić publicznie szkodę; teraz stawał się postacią o sławie światowej, prorokiem, człowiekiem, od którego niezliczeni czytelnicy i wielbiciele oczekiwali mądrości i wskazań.

Pierwszy wybuch nastąpił w grudniu 1881 roku, gdy Tolstoj przebywał z rodziną w Moskwie. Jednego dnia udał się na Chitrowskij Rynek w ubogiej dzielnicy Moskwy, gdzie rozdawał pieniądze zebrakom i wysłuchiwał dziejów ich życia. Otoczył go tłum i Tolstoj schronił się w najbliższym domu noclegowym, gdzie ujrzał rzeczy, które bardzo go przygnębiły. Po powrocie do domu i zdjęciu futra zasiadł do pięciodaniowego obiadu, podawanego przez lokajów w liberii, białych rękawiczkach i krawatach. Krzyczał: „Nie można tak dalej żyć! Nie można tak dalej żyć! To niemożliwe!”, machał rękami i groził rozdaniem całego majątku. Natychmiast zaczął tworzyć nowy system dobroczynności, opierając się na danych ostatniego spisu ludności, a później śpiesząc na wieś, by poradzić się aktualnego guru, to jest chłopskiego jasnowidza, Wasyla Kiryłowicza Siutajewa, co do dalszych reform. Zofia pozostała sama w Moskwie z chorym, czteromiesięcznym Aleksym.

Ta dezercja, jak to ona określiła, spowodowała, że Zofia wysłała list, który uderzył w nową nutę w ich stosunkach, nutę goryczy. Opisała nie tylko jej własne trudności z Tołstojem, ale i gniew, jaki ludzie zaczynają odczuwać w zmaganiach z wielkim filantropem-intelektualistą: „Mój mały jest wciąż chory, jestem więc bardzo czuła i pełna żalu. Ty i Siutajew możecie specjalnie nie kochać waszych własnych dzieci, ale my, prości śmiertelnicy, nie możemy ani nie pragniemy niszczyć naszych uczuć czy też usprawiedliwiać brak miłości do jakiejś osoby głosząc miłość do całego świata”<sup>39</sup>.

Zofia podnosiła tę sprawę, obserwując wiele lat zachowanie Tołstoja nie tylko wobec własnej rodziny - bo czyż kiedykolwiek kochał on jakiegoś człowieka, kochając ideę ludzkości? Współczuł, na przykład, swemu bratu Dymitrowi, który tonął w ryszotoku, ożenił się z prostytutką i zmarł młodo na gruźlicę w roku 1856. Tołstoj zdobył się ledwo na spędzenie godziny u łóża śmierci Dymitra i odmówił udziału w jego pogrzebie - chciał natomiast pójść na przyjęcie - później oba zdarzenia, pobyt u chorego i odmowę uczestnictwa w pogrzebie, wykorzystał w pełni w swych powieściach<sup>40</sup>.

Współczuł także swemu drugiemu bratu, Mikołajowi, również umierającemu na gruźlicę. Tołstoj jednak odmówił złożenia mu wizyty i w końcu Mikołaj przyszedł do niego i zmarł w ramionach brata. Tołstoj uczynił też niewiele, by pomóc swemu trzeciemu bratu, Sergiuszowi, gdy ten przegrał w karty cały majątek. Byli oni wszyscy z pewnością słabymi istotami. Jedną z zasad Tołstoja było jednak, że mocny powinien przyjść z pomocą słabszemu.

Rejestr jego przyjaźni wiele o nim mówi. Bezinteresowny i uległy okazał się tylko w jednym przypadku, kolegi-studenta Uniwersytetu Kazańskiego, Mitii Djakowa, starszego od Tołstoja. Wkrótce się to skończyło. Z zasady Tołstoj brał, jego przyjaciele dawali. Zofia, przepisując jego wczesne DZIENNIKI, zapisała: „Wszystkie jego pamiętniki są przesycane tym samoubóstwieniem. Zdumiewające, że dla niego ludzie istnieli tylko w tej mierze, w jakiej go obchodzili”<sup>41</sup>.

Ale chyba najbardziej uderzający jest fakt, że ci, którzy go znali - nie pochlebcy, służba czy pieczeniarze, ale wysoce krytyczni ludzie o niezależnej osobowości - znosili jego egoizm i, jakby na przekór, otaczali go szacunkiem. Lękali się tych strasznych oczu, uginali się przed potężną siłą jego woli i oczywiście oddawali cześć jego geniuszowi.

Antoni Czechow, człowiek subtelny i wrażliwy, świadom wielu wad Tołstoja, pisał: „Lękam się śmierci Tołstoja. Jeśliby on umarł, powstałoby puste miejsce w moim życiu ... Nigdy nie kochałem nikogo tak, jak kocham jego ... Póki tworzy Tołstoj, lekko i przyjemnie być pisarzem; nawet nie jest straszne uświadomienie sobie, że niczego nie dokonałeś i nie dokonasz, Tołstoj bowiem czynny jest za wszystkich”.

Turgieniew miał nawet powody, by zdawać sobie sprawę z samo- lubstwa Tołstoja i jego okrucieństwa, których boleśnie doświadczył. Szlachetnie i troskliwie pomagał młodemu pisarzowi. W zamian Tołstoj darzył go chłodem i niewdzięcznością, miał też brutalny zwyczaj świadomego obrażania, często błyskotliwie, idei drogich przyjaciółom Turgieniewa. Turgieniew był tytanem o miękkim sercu i łagodnym charakterze, niezdolnym do odpłacenia Tołstojowi tą samą monetą. Przyznawał, że zachowanie Tołstoja wyprowadza go z równowagi. Pisał: „Nigdy nie doświadczyłem czegoś tak niemiłego, jak to przeszywające spojrzenie, połączone z dwoma lub trzema jadowitymi uwagami, co wystarczyło, by wpędzić człowieka w szal”<sup>42</sup>.

Gdy Turgieniew dał Tołstojowi do przeczytania swą powieść *Ojcowie i dzieci*, z którą zmagał się z wielkim trudem, Tołstoj szybko nad nią zasnął, co nie uszło uwagi Turgieniewa. Kiedy po kłótni o córkę Turgieniewa ten uprzejmie go przeprosił, Tołstoj - według Zofii - zadrwił: „Pan mnie się boi. Gardzę panem i nie chcę mieć z panem więcej do czynienia”.



Poecie Afanasijowi Fetowi, który próbował uczynić pokój między nimi, oświadczył: „Turgieniew to drań, który zasługuje na to, by go sprać. Proszę o przekazanie mu tego tak dokładnie, jak pan przekazuje mi jego urocze uwagi”<sup>43</sup>.

W swoich *Dziennikach* Tołstoj zamieścił o Turgieniewie wiele nieprzyjemnych zdań, często zresztą nieprawdziwych, a korespondencja między nimi odbija brak symetrii w ich przyjaźni. Turgieniew wiedząc, że umiera, napisał swój ostatni list do Tołstoja w roku 1883: „Mój przyjacielu, wielki pisarzu rosyjskiej ziemi, posłuchaj mego wezwania. Gdy otrzymasz ten bilecik, daj mi znać i pozwól mi objąć Cię mocno jeszcze raz i uściskać Ciebie, Twoją żonę i całą Twoją rodzinę. Nie mogę już wytrzymać. Jestem zmęczony”. Tołstoj nigdy nie odpowiedział na tę prośbę, choć Turgieniew oczekiwał następne dwa miesiące.

Nie wywiera więc wrażenia reakcja Tołstoja na wieść o zgonie Turgieniewa: „Myślę ciągle o Turgieniewie. Kocham go ogromnie, żałuję i czytam go, żyję z nim”. Trąci to aktorstwem, rolą graną dla publiczności. Jak zauważyła Zofia, Tołstoj nie był zdolny do prywatności i intymności, niezbędnej w miłości między ludźmi, lub do prawdziwej przyjaźni. Brał natomiast w objęcia ludzkość, bo można było to robić hałaśliwie, dramatycznie, sensacyjnie, na scenie publicznej.

Jeśli był aktorem, to takim, który stale zmieniał swą rolę lub raczej urozmaicał ją odpowiednio do wielkiego centralnego tematu służby dla ludzkości. Pobudki dydaktyczne były tu silniejsze od wszystkich innych.

W chwili gdy temat go przyciągał, chciał o nim pisać książkę lub włączyć się w bieg rewolucyjnych reform, zwykle nie podejmując trudu zgłębienia problemu lub zasięgnięcia rady prawdziwych znawców. W kilka miesięcy po zajęciu się uprawą ziemi zaprojektował i wykonywał maszyny rolnicze. Nauczył się grać na pianinie i natychmiast zaczął pisać *Podstawy muzyki i zasady jej nauki*. Wkrótce po otwarciu szkoły wywrócił do góry nogami teorię nauczania.

Wierzył przez całe życie, że potrafi pojąć każdą dziedzinę wiedzy, odkryć, co jest w niej złe, i ułożyć jej zasady na nowo, od samego początku. Przynajmniej trzykrotnie zabierał się do reformy oświaty, zajmował się reformą chłopską, a ostatnim razem pisał podręczniki, które rozgoryczona i cyniczna Zofia musiała przepisać w postaci nadającej się do odczytania. Skarżyła się: „Gardzę tą *Czytanką*, tą *Arytmetyką*, tą *Gramatyką* i nie mogę udawać, że one mnie interesują”<sup>44</sup>.

Tołstoj był zawsze tak skory do działania, jak do nauczania innych. Podobnie jak dzieje się to z większością intelektualistów, nadszedł czas w jego życiu, gdy poczuł potrzebę utożsamienia się z „robotnikami”. Zdarzało mu się to od czasu do czasu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zaczęło na serio w roku 1884. Zrzucił tytuł hrabiego (ale nie apodyktyczny sposób bycia) i nalegał, by go nazywano „po prostu Lwem Nikołajewiczem”. Postawa ta związana była z czymś, co intelektualiści kochają: ubieraniem się po chłopsku. Klasowa przemiana odpowiadała zamiłowaniu Tołstoja do dramatu i kostiumu. Odpowiadała mu także fizycznie - miał bowiem budowę i rysy chłopca. Jego buty, koszula, broda i czapka tworzyły mundur nowego Tołstoja, proroka świata. Większość tych wielkich świeckich intelektualistów wydawała się mieć znaczny instynktowny talent do publicznej reklamy. Reporterzy gazet przebywali tysiące mil, by go ujrzyć. Fotografia miała już wymiar światowy, kronika filmowa powstawała w latach starości Tołstoja. Jego chłopski ubiór świetnie pasował do objawienia się Tołstoja jako pierwszego proroka środków przekazu.

Tołstoja można było sfotografować lub filmować podczas pracy fizycznej, którą w latach osiemdziesiątych ogłosił za „absolutną konieczność”. Zofia pisała 1 listopada 1885: „Lowoczka wstaje o siódmej, kiedy jest jeszcze ciemno. Pompuje wodę dla całego domu i wnosi ją do olbrzymiej kadzi. Piłuje długie kłocę drzewa, rąbie na podpałkę i składa w stosy. Nie jada białego chleba i nigdzie nie wychodzi”<sup>45</sup>.

W *Dziennikach* Tołstoj opisuje, jak sprząta mieszkanie po swych dzieciach: „Wstydzilem się zrobić to, co trzeba było zrobić, wylać nocnik”, ale po kilku dniach pokonał swoje obrzydzenie. Wybrał się do szewca po wskazówki, jak się robi buty, a potem pisał: „Jaki jest on czysty, moralnie doskonały w tym swoim brudnym, ciemnym kącie”. Po tym szybkim szkoleniu w trudnym szewskim rzemiośle Tołstoj zaczął robić buty swojej rodzinie, a buty z cholewami dla siebie. Zrobił także parę butów dla Feta, ale nie odnotowano, czy poeta uznał je za odpowiednie. Jednak synowie Tołstoja odmówili noszenia butów, które dla nich uszył. Pracując bez wytchnienia, Tołstoj promieniał radością: „Można czuć, jak człowiek staje się robotnikiem, a dusza mu zakwita”.

Wkrótce porzucił szycie butów i powrócił do zajęć rolniczych: wywoził gnój na pole, zwoził drewno z lasu, orał i pomagał wznosić chaty. Upodobał sobie ciesiołkę i był fotografowany z dłutem, wetkniętym za szeroki skórzany pas, i piłą zwisającą u biodra. Ten okres też przeminął, tak szybko jak szybko się rozpoczął.

Wyjawszy pisanie, swoje prawdziwe rzemiosło, Tołstoj nie podejmował dalekosiężnych zamierzeń. Brakowało mu cierpliwości, stałości i siły przetrwania w trudnej sytuacji. Nawet jego hodowla koni, na której cokolwiek się znał, była źle prowadzona od chwili, gdy przestał interesować się stadniną. Zofia miała z nim o to burzliwą kłótnię 18 czerwca 1884. Twierdziła, że konie są w okropnych warunkach: kupił rasowe klacze w Samarze, a później pozwolił, by zdychały z zaniedbania i przepracowania. Powtarza się to ze wszystkim, czego się podejmie – narzekała - także z jego przedsięwzięciami dobroczynnymi: nigdy nie ma właściwie przemyślanego planu, żadnej konsekwencji, nikt nie został wyszkolony i przydzielony do właściwych zadań, cała filozofia zmienia się z minuty na minutę... Tołstoj wybiegł z pokoju, krzycząc, że wyemigruje do Ameryki.

Nieład, jaki Tołstoj stworzył we własnym majątku, przynosił szkodę jedynie najbliższemu kręgowi osób. Inaczej być mogło z jego działalnością publiczną, a zwłaszcza z jego publicznymi wystąpieniami. Nie wszystkie z nich były nierozważne. Poczynając od roku 1856 Tołstoj podejmował cenne i częściowo owocne wysiłki, by zwrócić uwagę na głód, jaki dotyczył okresowo niektóre okręgi Rosji. Jego projekty pomocy przynosiły ulgę cierpiącym, szczególnie podczas wielkiego głodu w roku 1890, którego rozmiary rząd starał się ukryć.

Czasem Tołstoj przychodził z pomocą mniejszościom prześladowanym w Rosji: rozgłaszał krzywdy wyrządzane duchoborcom, wegetariańskim pacyfistom, których rząd chciał rozpędzić i zniszczyć. Ostatecznie udało mu się zdobyć dla nich pozwolenie na emigrację do Kanady. Z drugiej strony był surowy dla innej prześladowanej społeczności, Żydów; jego wypowiedzi powiększały ich budzące trwogę problemy.

O wiele poważniejszy był zarówno apodyktyczny pogląd Tołstoja, że jedynie on zna sposób na rozwiązanie niedoli świata, jak i jego odmowa uczestnictwa w jakichkolwiek wysiłkach pomocy, które nie były zamierzone i kontrolowane przez niego. Jego egoizm obejmował również i dobroczynność.

W różnych okresach życia spojrzenie Tołstoja na większość problemów politycznych, reformę chłopską, kolonizację, wojnę, monarchię, państwo, własność i tak dalej, zmieniało się radykalnie, a lista jego sprzecznych wypowiedzi nie ma końca. Odmówił osobistego udziału w jakimkolwiek systematycznym planie dokonania reformy w Rosji i gwałtownie potępiał liberalną doktrynę „postępu” jako złudzenie, niewątpliwie jako zło. Nienawidził demokracji. Pogardzał parlamentami. Posłowie do Dumy to „dzieci bawiące się w dorosłych”<sup>46</sup>. Rosja, jak twierdził, bez parlamentu była o wiele swobodniejszym krajem od Anglii z jej parlamentem. Najważniejszą sprawą w życiu było nie reagować na reformę parlamentarną.

Tołstoj żywił szczególną nienawiść do rosyjskiej tradycji liberalnej i w *Wojnie i pokoju* postawił pod pręgierzem pierwszego z niedoszłych reformatorów, hrabiego Sperańskiego. Książę Andrzej mówił o nowej Radzie Państwa Sperańskiego: „Co ona mnie obchodzi ... Czy

ona może mnie uczynić szczęśliwszym lub lepszym?". Znaczącym cieniem pada na historię Rosji fakt, że przez pół wieku jej największy pisarz pozostawał przeciwny jakiegokolwiek reformie systemu carskiego i robił wszystko, by powstrzymać i ośmieszyć tych, którzy próbowali ten system ucywilizować.

Co więc Tołstoj proponował w zamian? Gdyby twierdził, jak Dickens, Conrad i inni wielcy pisarze, że strukturalne ulepszenia mają jedynie ograniczoną wartość, i to, co jest konieczne, to zmiana w ludzkim sercu, miałby w pewnym sensie rację. Jednakże Tołstoj, podkreślając potrzebę indywidualnej poprawy moralnej, nie ograniczał się tylko do tego: stale wymieniał konieczność i bliskość jakiegoś gigantycznego wstrząsu moralnego, który wyróci świat do góry nogami i ustanowi królestwo niebieskie. Jego własne, utopijne wysiłki miały na celu naszkicować to wydarzenie na miarę tysiąclecia. Ale żadna poważna myśl nie kryła się za tą wizją. Było coś na wskroś teatralnego w tym kataklizmie, który - jak widzieliśmy - przypominał poetycki początek teorii rewolucji Marksa.

Ponadto Tołstoj, znów podobnie jak Marks, wadliwie pojmował historię. Bardzo mało ją znał i nie miał pojęcia, jak dochodzi do wielkich wydarzeń. Jak biadał Turgieniew, żenujące wykłady z historii, które Tołstoj zamieścił w *Wojnie i pokoju*, nosiły znamiona samouctwa, były „śmiesznym”, zwyczajnym „oszustwem”. Również Flaubert, pisząc do Turgieniewa, zauważył z przerażeniem: „zł *philosophise*”<sup>47</sup>.

Czytamy tę wielką powieść wbrew, a nie z powodu jego teorii historii. Tołstoj był deterministą i antyindywidualistą. Pogląd, że wydarzenia są kształtowane przez przemyślane decyzje wielkich ludzi, uważał za olbrzymie złudzenie. Ci, którzy wydają się być przywódcami, nawet nie wiedzą, co się dzieje, nie mówiąc o tym, by mogli nadawać kierunek wydarzeniom. Jedynie nieświadoma działalność jest ważna. Historia jest skutkiem milionów decyzji nieznanych ludzi, którzy są ślepi na to, co czynią. Pod pewnym względem ten pogląd jest taki sam, jak u Marksa, choć Tołstoj doszedł doń odmienną drogą.

Nie jest jasne, co spowodowało, że Tołstoj przyjął taką drogę myślenia. Prawdopodobnie był to skutek jego romantycznego poglądu na rosyjskiego chłopca jako ostatecznego sędziego i siłę. W każdym razie wierzył, że naszym życiem rządzą ukryte prawa. Są one nieznanne i prawdopodobnie niepoznawalne i zamiast stawić czoło temu nieprzyjemnemu faktowi utrzymujemy, że historię tworzą wielcy ludzie i bohaterzy kierujący się wolną wolą.

Tołstoj, znów podobnie jak Marks, w gruncie rzeczy był gnostykiem, odrzucającym pozorne wyjaśnienia na temat zachodzących wydarzeń i poszukującym wiedzy w ukrytych mechanizmach tego, co dzieje się pod powierzchnią. Wiedza ta jest intuicyjnie i kolektywnie odczuwana przez zbiorowości - proletariat u Marksa, chłopstwo u Tołstoja. Potrzebują one tłumaczy (takich jak Marks) lub proroków (jak Tołstoj), ale najistotniejsze jest, że to ich siła zbiorowa i „słuszność” wprawiają w ruch koła historii. W *Wojnie i pokoju*, by udowodnić swą teorię, w jaki sposób tworzy się historia, Tołstoj zmienił rejestr wydarzeń, podobnie jak Marks żonglował autorytetem Niebieskich Ksiąg i przekręcał swoje cytaty w *Kapitale*<sup>48</sup>. Tołstoj modelował fakty z wojen napoleońskich zupełnie tak samo, jak Marks znęcał się nad rewolucją przemysłową, by pasowała do prokrustowego łoża historycznego determinizmu.

Nie zaskakuje przeto odkrycie, że Tołstoj zmierzał do kolektywistycznego rozwiązania problemu społecznego w Rosji. Już 13 sierpnia 1865, zastanawiając się nad sprawą głodu, zanotował w *Dziennikach*: „Ogólnonarodowym zadaniem Rosji jest obdarzenie świata ideą społeczeństwa bez własności ziemskiej. *La propriete est le vol* pozostanie większą prawdą od konstytucji angielskiej, dopóki będzie istniała rodzina ludzka ... Rewolucja rosyjska może się tylko na tym oprzeć”<sup>49</sup>.

W czterdzieści trzy lata później przeczytał ten zapis i podziwiał swoją zdolność przewidywania. Wtedy już Tołstoj miał kontakty z marksistami i protoleninowcami, jak

Siemion Muntjanow, który korespondował z nim z syberyjskiego wygnania, odrzucając wystąpienie Tołstoja, by wyrzec się przemocy: „Trudno zmienić mnie, Lwie Nikołajewiczu. Socjalizm jest moją wiarą i moim Bogiem. Oczywiście, wy głosicie to samo, ale stosujecie taktykę »miłości«, a my używamy »przemocy«, jak to nazywacie”. Spór toczył się więc o taktykę, nie o strategię, i o środki, a nie cele. To, że Tołstoj mówił o Bogu i nazywał siebie chrześcijaninem, nie robiło dużej różnicy, jak można byłoby przypuszczać.

Cerkiew prawosławna ekskomunikowała go w lutym 1901 roku, co nie było dziwne wobec faktu, że nie tylko zaprzeczał boskości Jezusa Chrystusa, ale i twierdził, że nazywać Go Bogiem lub modlić się do Niego jest „największym bluźnierstwem”. Prawdą jest, że Tołstoj wybrał ze Starego i Nowego Testamentu wersety dotyczące nauczania Chrystusa i Kościoła i tylko z nimi się zgodził, a resztę odrzucił.

Trudno go określić jako chrześcijanina. Czy wierzył w Boga? Jeszcze trudniej to stwierdzić, definiował bowiem Boga w różny sposób w różnym czasie. W gruncie rzeczy, jak się wydaje, Boga chciał Tołstoj poddać całkowitej reformie. Było to świeckie, a nie religijne pojęcie Boga. Tradycyjny Bóg Ojciec był w najlepszym razie równym, zazdrośnie obserwowanym i krytykowanym, drugim niedźwiedziem w gawrze<sup>50</sup>.

Na starość Tołstoj przeciwstawiał się patriotyzmowi, imperializmowi, wojnie i wszelkiej przemocy, co przekreśliło jakikolwiek sojusz z marksistami. Przypuszczał, że marksiści, będąc przy władzy, nie wyrzekną się w praktyce państwa mimo takich deklaracji czynionych wcześniej. Jeśliby marksistowska eschatologia miała się sprawdzić, pisał Tołstoj w roku 1898, „wówczas władza nagle przeskoczy jakoś nie tylko do robotników, lecz do nieomylnych, bezinteresownych i pełnych samozaparcia - świętych - robotników..”<sup>51</sup>. Nie martwiło go to jednak bardzo. Przyjmował zawsze, że przekazanie własności masom nastąpi w jakimś autorytarnym systemie, carskim czy jakimkolwiek innym. Absolutnie nie uważał Tołstoj marksistów za wrogów. Prawdziwym wrogiem byli demokraci w stylu zachodnim, parlamentarni liberałowie: psują cały świat propagując swoje idee.

W ostatnich swoich pismach, *List do Chińczyków* i *O znaczeniu rewolucji rosyjskiej* (oba z roku 1906) utożsamia siebie, i Rosję, ze Wschodem. „Wszystko - pisał wówczas - co narody Zachodu czynią, może i powinno być przykładem dla narodów Wschodu; nie to jednak, co należy robić, ale to, czego nie należy robić w jakichkolwiek okolicznościach. Kroczyć drogą narodów Zachodu to kroczyć bezpośrednią drogą do zniszczenia”. Największym niebezpieczeństwem dla świata jest „system demokratyczny” Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Pogląd ten wiąże się nierozłącznie z kultem państwa i zinstytucjonalizowanej przemocy, którą to państwo stosuje. Rosja musi się odwrócić od Zachodu, wyrzec się przemysłu, znieść państwo i przyjąć bierny opór.

Poglądy te wydają się nam dziwaczne w świetle późniejszych wypadków i beznadziejnie nie odpowiadające temu, co wówczas działo się w Rosji. Do roku 1906 w Rosji rozwój przemysłu następował szybciej niż w jakimkolwiek innym kraju na ziemi: stosowano tu formy kapitalizmu państwowego, które stały się później odskocznią dla stalinowskiego państwa totalitarnego. W tym okresie życia Tołstoj nie był już w kontakcie z rzeczywistym światem, nawet się już nim nie interesował. Stworzył swój własny świat w Jasnej Polanie.

Uznawał, że władza państwowa uległa zepsuciu, i dlatego właśnie zwrócił się przeciw państwu. Nie spostrzegł, choć było to dość oczywiste - oczywiste na przykład dla Zofii - że korupcja władzy przybiera różne formy. Na przykład rodzaj władzy sprawowanej przez wielkiego człowieka, jasnowidza, proroka nad swymi zwolennikami sprawia, że ulega on korupcji z powodu ich pochlebstw i służalczości.

W połowie lat osiemdziesiątych Jasna Polana stała się czymś w rodzaju świątyni, dokąd udawali się po wskazówki, pomoc, natchnienie, cudowną mądrość ludzie wszelkiego rodzaju. Czasem chcieli podzielić się swym własnym niezwykłym przesłaniem. Byli wśród nich wegetarianie, zwolennicy idei Swedenborga, zwolennicy karmienia piersią i ekonomisty

Henry'ego George'a, mnisi, święci ludzie, lamowie i bonzowie, pacyfiści i przeciwnicy służby wojskowej, dziwacy, pomyleńcy i chronicznie chorzy. Należy do nich dodać regularny, choć stale się zmieniający krąg akolitów i uczniów Tołstoja. Wszyscy oni uważali Tołstoja za swego duchowego przywódcę, papieża, patriarchę i Mesjasza. Podobnie jak pielgrzymi odwiedzający grób Rousseau w latach osiemdziesiątych XVIII wieku, goście pozostawiali napisy nabazgrane lub wydlubane na ścianach letniego domku w parku w Jasnej Polanie: „Precz z karą śmierci! Robotnicy świata jednoczcie się i oddajcie hołd geniuszowi! Niech Lew Ni-kołajewicz żyje nam sto lat! Hrabiego Tołstoja pozdrawiają uczniowie gimnazjum realnego w Tulę!”.

Tołstoj, czczony w latach swej starości, ustalił wzorzec, do którego - jak zobaczymy - odwoływali się czołowi intelektualiści o sławie światowej: stworzył rodzaj pseudourzędu podejmującego „problemy” w różnych częściach świata, przedstawiającego rozwiązania, korespondującego z królami i prezydentami, wysyłającego protesty, publikującego oświadczenia, a przede wszystkim podpisującego się pod pewnymi sprawami, użyczającego swego poparcia sprawom świętym i świeckim, dobrym i złym.

Poczynając od lat dziewięćdziesiątych, Tołstoj - władca tej chaotycznej enklawy - miał nawet premiera w osobie bogatego dawnego oficera gwardii, Włodzimierza Grigoriewicza Czertkowa (1854-1936), który stopniowo zajął dominującą pozycję na tym dworze. Pojawia się na fotografiach wraz z Mistrzem: wąskie usta, małe podpuchnięte oczy, krótka broda, wyraz gorliwej pobożności i apostołstwa. Wkrótce zaczął wywierać coraz większy wpływ na działalność Tołstoja, przypominając starym człowiekowi o jego przyrzeczeniach i prorocztwach i zawsze popychając go w bardziej skrajnym kierunku. Oczywiście okazał się panem chóru pochlebców, którego głosu Tołstoj słuchał z przyjemnością.

Goście lub też ludzie skupieni wokół Mistrza notowali powiedzenia Tołstoja. Nie wywierają one wrażenia. Przypominają powiedzenia Napoleona na wygnaniu - dziwaczne uogólnienia, truizmy, stare, oklepane uprzedzenia, komunały: „Im dłużej żyję, tym bardziej jestem przekonany, że najważniejszą rzeczą jest miłość”; „Odrzućcie literaturę z ostatnich sześćdziesięciu lat. Jest do niczego. Czytajcie cokolwiek, ale napisane wcześniej”; „Ten Ktoś, kto jest w nas, w każdym z nas, zbliża ludzi do siebie. Tak jak wszystkie linie zbiegają się w centrum, tak my wszyscy w Nim się spotykamy”; „Pierwsze, co uderza przy zastosowaniu tych aeroplanów i nowych pocisków, to nowe podatki nałożone na naród. Jest to ilustracja faktu, że w pewnym moralnym stanie społeczeństwa żadne udoskonalenie nie przynosi korzyści, a tylko szkodę”. O szczepieniu ospy: „Nie ma sensu próbować ucieczki przed śmiercią. Tak czy inaczej się umrze”. „Jeśliby chłopcy mieli ziemię, nie byłoby tych idiotycznych klombów z kwiatami.” „Byłoby o wiele lepiej na świecie, gdyby kobiety mniej mówiły ... To naiwny egoizm pragnąć się odznaczyć.” „W Szanghaju chińska dzielnica obywateli bardzo dobrze bez policji.” „Dzieci nie potrzebują żadnej edukacji ... Jestem przekonany, że im więcej człowiek się uczy, tym jest głupszy.” „Francuzi są najbardziej sympatycznym narodem.” „Bez religii pozostanie nam jedynie rozpusta, świecidełka i wódka.” „Jak trzeba żyć, pracując dla wspólnej sprawy? Tak jak żyją ptaki i żdźbła trawy.” „Im gorzej, tym lepiej.”<sup>52</sup>

Złapana w pułapkę w tym domu proroka tkwiła rodzina Tołstoja. Skoro ich ojciec zdecydował się żyć publicznie, ich także nadpalili blichtr reklamy. Zostali zmuszeni do udziału w tym dramacie i ponoszenia negatywnych skutków. Pamięamy opinię syna Tołstoja, Ilji, o niebezpieczeństwach, na które narażone są „szczególne” osoby. Inny syn Tołstoja, Andrzej, cierpiał na załamania nerwowe, opuścił żonę i rodzinę i przyłączył się do antysemitycznej Czarnej Sotni.

Córki odczuwały coraz większą odrazę ojca do spraw seksu. Podobnie jak Marks, nie pochwałał tego, że miały adoratorów, i nie lubił mężczyzn, których one wybrały. W roku 1897 Tania, już wtedy trzydziesięcioletnia, zakochała się we wdowcu z sześciorgiem

dzieci; był, jak się wydaje, przyzwoitym człowiekiem, ale liberałem, i Tołstoj wpadł we wściekłość. Dał jej podnoszący włosy na głowie wykład o złej stronie małżeństwa.

Masza, która również się zakochała i chciała wyjść za mąż, została potraktowana podobnie. Najmłodsza córka, Aleksandra, była bardziej skłonna zostać jedną z jego uczennic, była bowiem w złych stosunkach z matką.

To właśnie Zofia musiała przyjąć na siebie główne uderzenie moralnych kataklizmów Tołstoja. Przez ćwierć wieku zmuszał ją do współżycia i wpędzał w kolejne ciąży. Później nagle zaczął nalegać, by oboje wyrzekli się seksu i żyli „jak brat z siostrą”. Zofia sprzeciwiła się, uznała to bowiem za zniewagę dla swojego statusu żony, zwłaszcza że mówił i pisał o tym, nie szanując prywatności i nie zachowując dyskrecji. Ona natomiast nie chciała, by świat zaglądał do jej sypialni. On zażądałaby spali w osobnych pokojach. Ona nalegała na podwójne łóżko jako symbol wciąż trwającego małżeństwa.

Jednocześnie stwarzał pozory zazdrości. Napisał ponurą opowieść, *Sonatę Kreutzerowską*, o zabójstwie żony dokonany przez szaleńczo zazdrosnego męża, który czuł się dotknięty jej związkiem ze skrzypkiem. Zofia przepisywała ją, jak wszystkie pisma Tołstoja, z rosnącą niechęcią i trwogą, zdając sobie sprawę, że ludzie mogą sądzić, że dotyczy to właśnie jej. Publikacja została wstrzymana przez cenzora, ale opowieść krążyła w rękopisie, a plotki rosły. Czuli się w końcu zmuszona domagać się publikacji sądząc, że jej postawa przekona ogół, iż to nie ona jest bohaterką tej opowieści.

Kontrapunktem tej niby publicznej dyskusji były okropne kłótnie, wynikające z niezdolności Tołstoja do dotrzymania ślubu czystości. W końcu roku 1888 w *Dziennikach* odnotowuje: „Zły mnie napadł ... Nazajutrz, rankiem trzydziestego, spałem źle. To było takie wstrętne, jak po zbrodni”. Kilka dni później: „Wciąż jeszcze mocniej opętany, upadłem”. Jeszcze w roku 1898 mówił do Aylmer Maude: „Byłem mężem wczoraj wieczorem, ale to nie powód, by poniechać walki. Bóg może mi zezwoli, by nie zdarzyło się to ponownie”<sup>53</sup>.

Fakt, że Tołstoj opowiadał obcym ludziom o swym życiu seksualnym z żoną, wskazuje, że Zofia słusznie uważała, że jej najszybsze tajemnice są wystawione na spojrzenia świata. Działo się to właśnie w latach rosnącego napięcia, które objawiło szaleństwo tołstojowskiej *głasnosti*. Zofia nie lubiła początkowo czytać jego *Dzienników* - żadna wrażliwa osoba nie lubiłaby również - ale się w końcu do tego przyzwyczaiła. Wobec tego, że jego pismo było tak zniekształcone, nabrała zwyczaju przepisywania *Dzienników* na czysto, zarówno dawnych jak i bieżących. Intelktualiści, którzy wszystko piszą mając wzgląd na przyszłą publikację, zwykli używać swych dzienników jako *pieces justificatives*, narzędzia propagandowego, broni defensywnej lub ofensywnej przeciw możliwym krytykom, a także przeciw najbliższym. Tołstoj tak właśnie traktował swoje *Dzienniki*. Im bardziej jego stosunki z Zofią się pogarszały, tym bardziej krytyczne wobec niej stawały się jego zapiski, a on coraz mniej pragnął, by ona je przeglądała. Już w roku 1890 notowała: „Lowoczkę zaczyna niepokoić to, że przepisuję jego pamiętniki ... Chciałby zniszczyć stare pamiętniki i wystąpić przed dziećmi i publicznością w roli patriarchy. Teraz też wszystko z próżności”<sup>54</sup>.

Wkrótce zaczął ukrywać swe dzienniki. Tak więc polityka *głasnosti* załamała się, zastąpiły ją podchody i uniki obu stron. Tołstoj zapisywał w dziennikach, odtąd - jak sądził - przez żonę nie czytanych, na przykład kolejne kłótnie z Zofią o *Sonatę Kreutzerowską*. „A Lowoczka zerwał ze mną wszelkie stosunki ... Czytałam po kryjomu jego pamiętnik, chciałam pojąć, dowiedzieć się, jak mogłabym wnieść w jego życie i sama otrzymać od niego cośkolwiek, co mogłoby nas znów połączyć. Ale jego pamiętnik przejmował mnie jeszcze większą rozpaczą; pewnie się dowiedział, że go czytam, i teraz zaczął go gdzieś chować. Ale nic mi nie powiedział.” A dalej: „Dawniej przepisywałam to, co pisał, i to mnie cieszyło. Teraz daje wszystko córkom [nie pisze: naszym], a przede mną starannie ukrywa. Bardzo systematycznie zabija mnie i usuwa ze swego życia osobistego, co mnie okropnie boli” (zapis z 20 listopada 1890).

Ostatecznym odwrotem od jego polityki otwartości było rozpoczęcie prowadzenia „tajnego” dziennika, który Tołstoj chował w jednym z butów do konnej jazdy. Ona, nie znajdując niczego w jego zwykłym dzienniku, zaczęła podejrzewać, że istnieje drugi, szukała i w końcu znalazła, zabierając go w triumfie, by w tajemnicy odczytywać. Później wkleiła doń kartę papieru, na której napisała: „Z bólem serca przepisałam ten bolesny dzienniczek mojego męża. Jak wiele w nim niesprawiedliwości w stosunku do mnie, okrucieństwa i - wybac mi, Boże i Lowoczka - przekreżeń i zmyśleń... choćby o jego ożenku”.

U podstaw tej koszarnej bitwy dzienników było rosnące przekonanie Tołstoja, że żona przeszkadza mu w duchowym spełnieniu, nalegając na „normalny” tryb życia, który on uznał za moralnie odrażający. Mimo że on tak twierdził, Zofia nie była raziącą materialistką; nie odmawiała moralnej prawdy większości tego, co Tołstoj głosił. Pisała więc do niego: „Wraz z tłumem widzę światło latarni. Przyznaję, że jest to światło, ale nie mogę iść szybciej, bo powstrzymuje mnie tłum, moje otoczenie i przyzwyczajenia”. Tołstoja jednak, w miarę jak się starzał, coraz bardziej niecierpliwił i odpychał luksus życia, który kojarzył z Zofią: „Zasiadamy i jemy dziesięć dań. Lody, lokaje, srebrna zastawa - a żebraków pomijamy milczeniem”.

Pisał do Zofii: „Życie, którym ty żyjesz, zostało mi właśnie oszczędzone; to straszny błąd, który niemal doprowadził mnie do samobójstwa. Nie mogę powrócić do życia, które prowadziłem, w którym znalazłem unicestwienie ... Między nami trwa walka, aż do śmierci”.

Tragiczny i żalony finał tej walki rozpoczął się w czerwcu 1910 roku. Przyspieszył go powrót z zesłania Czertkowa, którego Zofia znienawidziła i który uważał ją najwyraźniej za rywalkę w panowaniu nad prorokiem.

Mamy dokładną i w dużej mierze obiektywną relację o tym, co się zdarzyło, ponieważ nowy sekretarz Tołstoja, Walentin Bułgakow, prowadził swój dziennik. Znamieniem pewnej obsesji w kręgu Tołstoja jest polecenie wydane przez Czertkowa Bułgakowowi, by posyłał kopie swoich codziennych zapisków sekretarzowi Czertkowa, Aleksemu Siergiejence. Jednakże, relacjonuje Bułgakow, gdy Czertkow powrócił z zesłania i w drugiej połowie roku 1910 „sam pojawił się na horyzoncie Jasnej Polany, i gdy wydarzenia w rodzinie Tołstojów przyjęły dramatyczny obrót, zrozumiałem, jak ograniczała mnie »cenzura« ze strony Włodzimierza Grigoriewicza [Czertkowa], i pod różnymi pretekstami przestałem pokazywać mu kopie dziennika, chociaż tego ode mnie żądano”.

Bułgakow pisze dalej: „Uprzedzono mnie, że żona Lwa Nikołajewicza Tołstoja swoim charakterem i poglądami jest mu zupełnie obca, jeśli nawet nie wroga. To było zupełnie dla mnie czymś nowym, tym bardziej że podczas naszego pierwszego spotkania Zofia Andriejewna wywarła na mnie zupełnie korzystne i nawet dość silne wrażenie. Spodobało mi się proste wejrzenie jej błyszczących piwnych oczu, spodobała jej prostota, przystępność, inteligencja”<sup>55</sup>.

Powrót Czertkowa zaznaczył się najpierw przejęciem przez niego *Dzienników* Tołstoja. Bez wiedzy Tołstoja, po kryjomu robił ich fotografie. W dniu 1 lipca Zofia nalegała, by „nieprzyjemne fragmenty” zostały wykreślone, nie mogą bowiem być publikowane. Wybuchła awantura. Później Zofia jeździła z Bułgakowem powozem, błagając go, by przekonał Czertkowa do zwrotu *Dzienników*: „całą drogę płakała, wyglądała niesłychanie żałośnie ... Nie mogłem bez uczucia głębokiego współczucia patrzeć na płaczącą, nieszczęśliwą kobietę”. Podczas rozmowy Bułgakowa z Czertkowem ten ostatni „bardzo wzburzony” oskarżył Bułgakowa o to, że powiedział hrabinie, gdzie są schowane *Dzienniki* i, jak pisze Bułgakow, „zupełnie dla mnie nieoczekiwanie zrobił straszny grymas i pokazał mi język”. Czertkow niewątpliwie poskarżył się Tołstojowi, który 14 lipca napisał list do Zofii, oświadczając jej: „Twój charakter w ciągu ostatnich lat staje się coraz bardziej drażliwy, despotyczny i nieopanowany”, a ponadto stwierdził, że oboje mają „krańcowo odmienne

pojmowanie sensu i celu życia". Aby zakończyć spór, *Dzienniki* zostały opieczętowane i schowane w banku<sup>56</sup>.

Tydzień później, 22 lipca, Tołstoj zauważył: „Miłość to zjednoczenie dusz rozdzielonych ciałem”. Tego dnia pojechał jednak do lasu w pobliżu wsi Grumont, by podpisać nowy testament, pozostawiając najmłodszej córce wszystkie swoje prawa autorskie, z Czertkowem jako zarządzającym. Zorganizował to wszystko Czertkow i sam zredagował dokument, a Bułgakowa trzymano z dala od sprawy, sądzono bowiem, że powie o tym Zofii. Bułgakow bał się, że Tołstoj nie wiedział, co podpisuje.

Bułgakow komentował: „I tak dokonał się akt, którego Zofia Andriejewna obawiała się najbardziej: rodzina, której interesów materialnych tak gorliwie chroniła, została pozbawiona praw własności do dzieł literackich Tołstoja po jego śmierci”. Dodawał jeszcze, że Zofia instynktownie czuła, iż „zdarzyło się właśnie coś okropnego i niepowetowanego”.

W dniu 3 sierpnia odegrały się „koszmarne sceny”, kiedy Zofia wprost oskarżyła Czertkova o stosunki homoseksualne z jej mężem. Tołstoj „został znieważony w całej swojej ludzkiej godności”<sup>57</sup>. W dniu 14 września Bułgakow odnotował inną okropną scenę, gdy Czertkow powiedział Tołstojowi w obecności Zofii: „Gdybym miał taką żonę jak pan, to bym sobie palnął w łeb...”. Czertkow powiedział jej przy innej okazji: „Gdybym zechciał, mógłbym narobić wiele złego pani i pani rodzinie, ale tego nie zrobię!”.

W tydzień później Tołstoj odkrył, że Zofia znalazła jego tajny dziennik i przeczytała. Nazajutrz, niezgodnie z uprzednią umową, Tołstoj na nowo powiesił fotografię Czertkova w swym gabinecie. Gdy udał się na konną przejażdżkę, Zofia podarła fotografię i wyrzuciła. Wystrzeliła później z pistoletu-straszaka i pobiegła do parku. Awantury te często odbywały się przy najmłodszej córce, Aleksandrze, która nabrała zwyczaju przyjmowania postawy bokserkiej - jej matka pytała: „Czy to światowa panna? Nie, to furman!” - a odnosiło się do ciemnych sekretów rodziny<sup>58</sup>.

W nocy z 27 na 28 października, już po północy, Tołstoj przebudziwszy się, odkrył, że Zofia przegląda jego papiery, najwidoczniej szukając tajnego testamentu. Obudził Aleksandrę i powiedział: „Wyjeżdżam zaraz... na zawsze!”.

Zdążył jeszcze nocą na pociąg. Rankiem Bułgakowa powiadomił o tym triumfujący Czertkow: „Twarz wyrażała podniecenie i radość”. Dowiedziawszy się o tym, co się stało, Zofia rzuciła się do stawu, potem podjęła dalsze, chociaż nieprzekonujące, próby samobójcze.

W dniu 1 listopada Tołstoj, chory na bronchit i zapalenie płuc, musiał opuścić pociąg i położyć się do łóżka na stacji Astapowo, na linii kolei riazańsko-uralskiej. Zofia z rodziną przyjechała do niego specjalnym pociągiem dwa dni później. W dniu 7 listopada nadeszły wiadomości o śmierci proroka.

Ostatnie miesiące jego życia były tragiczne, nie naznaczyła ich bowiem żadna uszlachetniająca debata nad wielkimi problemami, jaką powinien ucieleśniać spór teoretyczny, ale zazdrość, niechęć, zemsta, skrytość, zdrada, zły nastrój, histeria i małe podłości. Rozegrał się konflikt rodzinny najbardziej upadającego gatunku, zatruty przez wtrącanie się zainteresowanego własną korzyścią człowieka z zewnątrz, zakończony całkowitą katastrofą. Wielbicieli Tołstoja próbowali później uczynić scenę biblijnej tragedii z tej, która rozegrała się u łóża śmierci na stacji Astapowo, ale prawdą jest, że długie i burzliwe życie Tołstoja zakończyło się nie z hukiem, lecz jękiem.

Przypadek Tołstoja jest jeszcze jednym przykładem, co się staje wówczas, gdy intelektualista dąży do realizacji abstrakcyjnych idei kosztem innych ludzi. Historyk jest skłonny uważać to za prolegomena na małą osobistą skalę nieskończenie wielkiej katastrofy narodowej, która miała wkrótce pochłonąć całą Rosję. Tołstoj zniszczył swoją rodzinę i uśmiercił sam siebie, próbując dokonać totalnego przeobrażenia moralnego, które uważał za niezbędne.



Przewidział - a swoimi pismami bardzo do tego zachęcił - przeobrażenie samej Rosji nie na drodze stopniowych i pracochłonnych reform, którymi pogardzał, ale przez wulkaniczną konwulsję. Nastąpiła ona w roku 1917 jako rezultat wydarzeń, których nie mógł przewidzieć, i w sposób, jakiego nie chciałby nawet brać w rachubę. Nonsensem stało się to wszystko, co pisał o odrodzeniu społeczeństwa. Święta Rosja, którą Tołstoj kochał, została zniszczona, wydaje się, na zawsze. Złośliwą ironią było, że głównymi ofiarami tego Nowego Jeruzalem byli jego ukochani chłopci, których dwadzieścia milionów padło w masowej rzezi na ofiarnym ołtarzu idei.

## Przypisy Rozdział 5

1. Cytowane za: George Steiner, *Tolstoy or Dostoevsky*, London 1960.
2. Lew Tołstoj, *Dzienniki*. Tłum. Maria Leśniewska. T. I: 1847-1894. Kraków 1973, s. 105 (zapis z 13 października 1853), s. 109 (2-3 listopada 1853), s. 204 (7 lipca 1857). Ponadto zapis z 18 lipca 1853, według Aylmer Maude (wyd.), *The Prwate Diary of Leo Tolstoy 1853-57*, London 1927, s. 17.
3. A. M. Gorkij, Lew Tołstoj, w: L. N. Tołstoj w wspomnianijach sowriemiennikow. T. II, Moskwa 1955, s. 419.
4. 19 stycznia 1898, w: *The Prwate Diary of Leo Tolstoy...*
5. Cytowane w: Henri Troyat, *Tolstoy* (tłum.), London 1968, s. 133-140.
6. Ilja Tołstoj, *Wspomnienia o moim ojcu*. Przełożyli Irena Tuwim i Julian Stawiński, Warszawa 1962, s. 60.
7. Lew Tołstoj, *Dzieciństwo. Lata chłopięce. Młodość*. Przełożył Paweł Hertz. Warszawa 1984, s. 394.
8. Cytowane w: Aylmer Maude, *LIFE OF TOLSTOY*, London 1929, s. 69.
9. Lew Tołstoj, *DZIENNIKI*, OP. CIT., s. 109 (zapis z 2-3 listopada 1853).
10. Maude, *LIFE OF TOLSTOY*, s. 37.
11. *IBIDEM*, s. 126.
12. *IBIDEM*, s. 200; Henri Troyat, *TOLSTOY*; s. 194.
13. R. F. Christian, *TOLSTOY: A CRITICAL INTRODUCTION*, Cambridge 1956.
14. Edward Crankshaw, *TOLSTOY: THE MAKING OF A NOVELIST*, London 1974, wyjątkowo trafnie wskazuje na siłę i słabość Tołstoja jako pisarza.
15. Elisabeth Gunn, *A Daring Coiffeur: Reflections on War and Peace and Anna Karenina*, London 1971.
16. Lew Tołstoj, *ANNA KARENINA*. Warszawa 1965, t. I, s. 403-404, t. II, s. 207.
17. Lew Tołstoj, *DZIENNIKI*, t. II, 1895-1910, Kraków 1973, s. 48.
18. Cytuje E. Crankshaw, *TOLSTOY...* s. 66.
19. Zapisy z 25 i 27 lipca, 1 sierpnia 1857, w: Aylmer Maude (wyd.), *THE PRIVATE DIARY OF LEO TOLSTOY...*
20. *IBIDEM*, s. 10, 158, oraz: Lew Tołstoj, *DZIENNIKI*, t. I, s. 161.
21. *The Private Diary of Leo Tolstoy...*, s. 10-16; A. A. Fet, *Moi wspomnianija*, w: L. N. Tołstoj w wspomnianijach sowriemiennikow, Moskwa 1955, t. I, s. 78.
22. Henri Troyat, *TOLSTOY*, s. 63.
23. Lew Tołstoj, *DZIENNIKI*, t. I, s. 240.
24. Troyat, *OP. CIT.*, s. 212.
25. Walentin Bułgakow: *L. N. TOLSTOJ W POSLEDNIJ GOD JEGO ŻIZNI*, Moskwa 1957, s. 287.
26. Aylmer Maude (wyd.), *The Private Diary of Leo Tolstoy...*, s. XXI.

27. Cyt. w: Ernest J. Simmons, LEO TOLSTOY, London 1949, s. 621-622.
28. Lew Tołstoj, LISTY. Tłum. Maria Leśniewska. T. I: 1845-1886, Kraków 1976, s. 223-224 (list do Mikołaja Strachowa z 19 marca 1870 - list nie wysłany).
29. Lew Tołstoj, DZIENNIKI, t. I, s. 173, 165-166; E. Crankshaw, TOLSTOY..., s. 145-152.
30. Lew Tołstoj, DZIENNIKI, t.1, s. 268; S. A. Tołstoj, LENIFBA L. N. TOLSTOGO, w: TOLSTOJ W ZOOSPOMINANIACH SOWRIEMIENNIKOW, Moskwa 1955, t. I, s. 106-116, Ernest J. Simmons, LEO TOLSTOY, s. 270; E. Crankshaw, TOLSTOY, s. 196-204.
31. Anna Edwards, SONYA: THE LIFE OF COUNTESS TOLSTOY, London 1981, s. 267.
32. Próbkę rękopisu Tołstoja podaje Crankshaw, OP. CIT., s. 247.
33. IBIDEM, s. 198.
34. Cyt. Henri Troyat, TOLSTOY, s. 525-526.
35. Lew Tołstoj: WSPOMNIENIA, w: Lew Tołstoj, DZIECIŃSTWO. LATA CHŁOPIĘCE. MŁODOŚĆ, Warszawa 1984, s. 379.
36. Lew Tołstoj, DZIENNIKI, t. I, s. 191-192.
37. Lew Tołstoj, LISTY, t. I: 1845-1886, s. 274.
38. IBIDEM, t. II, 1887-1910, s. 227 (list z 27 listopada 1903).
39. Ernest J. Simmons, OP. CIT., s. 400.
40. Śmierć brata Lewina w ANNIE KARENINIE; i odmowa udziału w pogrzebie w WOJNIE I POKOJU.
41. Zofia Tołstojowa, PAMIĘTNIKI. Wybór i przekład Maria Leśniewska. Kraków 1968, s. 83.
42. Cyt. w: Henri Troyat, TOLSTOY, s. 133.
43. IBIDEM, s. 212.
44. Cyt. w: E. Crankshaw, *op. cit.*, s. 237-238.
45. List do siostry, cyt. w: Ernest J. Simmons, *op. cit.*, s. 429.
46. *Ibidem*, s. 738.
47. Cytowane w: Isaiah Berlin, The Hedgehog and the Fox: An Essay on Tolstoy's View of History, London 1953, s. 6.
48. Patrz przykład przytoczony przez I. Berlina: Kutuzow w *Wojnie i pokoju* w kolejnych redakcjach z „przebiegłego, podstarzałego, słabowitego sybaryty”, którym był, jak to wynika z danych historycznych, staje się „niezapomnianym symbolem narodu rosyjskiego w całej swej prostocie i intuicyjnej mądrości”, to jest tym, kim chciał być Tołstoj.
49. E. J. Simmons, *op. cit.*, s. 317-318.
50. Przenikliwą analizę chrześcijaństwa Tołstoja daje Steiner, *Tolstoy or Dostoevsky*, s. 260-265.
51. Lew Tołstoj, *Dzienniki*, t. II, s. 87 (zapis z 21 III 1898).
52. Powiedzenia te pochodzą głównie z książki Walentina Bułgakowa, *op. cit.*, i z przedmowy George'a Steinera do angielskiego jej wydania: Valentin F. Bulgakov, *The Last Year of Leo Tolstoy*, *op. cit.*
53. Ernest J. Simmons, *op. cit.*, s. 463 i n.
54. Zofia Tołstojowa, *Pamiętniki*, s. 83 (zapis z 17X111890).
55. Walentin Bułgakow, L. N. Tołstoj w ostatnim roku jego życia, s. 51-52.
56. *Ibidem*, s. 312-317, także tekst listu Lwa Tołstoja do żony Zofii z 14 lipca 1910 (polskie tłumaczenie w: Zofia Tołstojowa, *Pamiętniki*, s. 367-369).
57. W. Bułgakow, *op. cit.*, s. 337-338.
58. *Ibidem*, s. 385.

## 6. Głębokie wody Ernesta Hemingwaya

Choć przez cały wiek XIX Stany Zjednoczone rozrastały się i umacniały, i w końcu zeszłego stulecia stały się już największą i najbogatszą potęgą świata, to upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim w społeczeństwie amerykańskim pojawili się tego rodzaju intelektualiści, o których już pisałem. Było tak z kilku powodów.

Niepodległa Ameryka nigdy nie miała *ancien regime*, uprzywilejowanej klasy, opartej raczej na uświęconym posiadaniu niż na naturalnej sprawiedliwości. Nie istniał żaden irracjonalny i niesprawiedliwy porządek, który nowe plemię świeckich intelektualistów miałoby zastąpić obliczonymi na tysiąc lat modelami wyrosłymi na rozsądku i moralności. Było na odwrót: to właśnie Stany Zjednoczone były same owocem rewolucji przeciw niesprawiedliwości starego porządku. Konstytucja Stanów oparta była na zasadach racjonalnych i etycznych i była zamierzona, napisana i wprowadzona zgodnie z wcześniejszym doświadczeniem, poprawiana przez ludzi o najwyższej inteligencji, zamiłowaniu do filozofii i moralnej postawie. Nie było więc przepaści między klasą rządzących i wykształconych: była to jedna i ta sama klasa.

Jak zauważył to de Tocqueville, nie było również w Stanach Zjednoczonych zinstytucjonalizowanej klasy duchownych i dlatego nie było także antyklerykalizmu, poważnego źródła intelektualnego fermentu w Europie. Religia w Ameryce była powszechna, ale pod kontrolą świeckich. Interesowała się postępowaniem ludzi, a nie dogmatami. Była nieprzymuszona i wielowyznaniowa, raczej wyrażała wolność, a nie ją ograniczała.

I wreszcie, Ameryka była lądem obfitości i możliwości, gdzie ziemia była tania i było jej dużo, i nikt nie musiał być biedny. Nie było widomych dowodów krzyczącej niesprawiedliwości, która w Europie pobudzała zdolnych, wykształconych ludzi do wyznawania idei radykalnych. Żadne grzechy jeszcze nie krzyczały pod niebiosa o zemstę. Większość ludzi była zbyt zajęta zarabianiem i wydawaniem, eksploatowaniem i scalaniem, by podawać w wątpliwość podstawowe zasady swojego społeczeństwa.

Pierwsi amerykańscy intelektualiści, jak Washington Irving, przejęli ton i zwyczaje, styl i poglądy Europy, gdzie spędzali większość czasu, byli żywym spadkiem kulturalnego kolonializmu. Wyłonienie się rodzimego i niezależnego amerykańskiego ducha intelektualnego było reakcją na „uniżoność” Irvinga i jemu podobnych.

Pierwszy i najbardziej reprezentatywny wyraziciel tego ducha to Ralph Waldo Emerson (1803-1882), archetyp amerykańskiego intelektualisty XIX wieku, który głosił, że jego celem jest wydobycie „tasiemca Europy” z ciała i umysłu Ameryki, „wyparcie miłości do Europy przez miłość do Ameryki”<sup>1</sup>. On także pojechał do Europy, ale w nastroju krytyki i odrzucenia. Jednakże jego nacisk na własny amerykańizm prowadził do szerokiego utożsamiania się ze swoim społeczeństwem, i to tym ściślej, im bardziej posuwał się w latach; było to dokładną antytezą poglądów inteligencji europejskiej.

Emerson urodził się w Bostonie, w roku 1803, był synem unitariańskiego pastora. Został również pastorem, ale przestał nim być, bo nie mógł z pełnym przekonaniem sprawować Wieczery Pańskiej. Podróżował po Europie, odkrył Kanta, powrócił i osiedlił się w Concord, w stanie Massachusetts, gdzie rozwinął pierwszy, rodzimy, amerykański ruch filozoficzny, znany jako transcendentalizm, przedstawiony w jego pierwszej książce, *Naturę*, wydanej w roku 1836. Jest to filozofia neoplatońska, nieco antyracjonalistyczna, trochę mistyczna, z domieszką romantyczną, a ponad wszystko - niejasna. Emerson zanotował w jednym ze swych licznych notesów i dzienników:

„Urodziłem się i przyszedłem na świat, by uwolnić siebie samego dla wszechświata od wszechświata, by czynić dobro, bez którego natura nie może się obejść, i nic mnie od tego nie

zwolni; później zanurzę się na nowo w świętej ciszy i wieczności, z której jako człowiek powstałem.

Bóg jest bogaty i przygarnia o wiele więcej ludzi niż ja, zaspokaja ich potrzeby, obdziela pięknem wszystkich.

Niech będzie wolno mi to powiedzieć: ręce, ciało i historia Waldo Emersona byłyby nieczyste i znużone, ale ja nie zniżę się do obcowania z tym czy innym człowiekiem. Ponad życiem, ponad wszystkimi stworzeniami będę płynął zawsze po morzu obfitości między plemiona ludzi. Nie może strumień popłynąć w górę, ani grzech, ani śmierć człowieka nie splami tej odwiecznej energii, która rozdziela się między ludźmi, tak jak słońce rozdziela swe promienie, a morze krople swych wód<sup>2</sup>.

Nie ma w tym zbyt dużo sensu, a jeśli choć trochę, są to truizmy. Jednakże w epoce, gdy podziwiano teorie Hegla i wczesne dzieła Carlyle'a, wielu Amerykanów było dumnych, że ich młody kraj wydał prawdziwego, własnego intelektualistę. Spostrzeżono później, że jego siła opierała się „nie na tym, że ludzie go rozumieją, ale dlatego, że takich ludzi jak on trzeba zachęcać”<sup>3</sup>. Rok później opublikował *Naturę* i wygłosił mowę w Harvardzie, zatytułowaną *The American Scholar* („Amerykański uczonec”), którą Oliver Wendell Holmes miał nazwać „naszą intelektualną deklaracją niepodległości”<sup>4</sup>. Tematy jego wystąpień podejmowała pączkująca amerykańska prasa. Gazeta „New York Tribune” Horace'a Greeleya, publikująca depesze Marksa z Europy, wówczas najbardziej wpływową w całych Stanach, lansowała transcendentalizm Emersona w sposób sensacyjny, niczym własność narodową, jak wodospad Niagara.

Emersonowi warto przyjrzeć się bliżej, bowiem jego kariera pokazuje, jakich trudności doświadczali intelektualiści amerykańscy zrywając z rodzimą ugodą. Pod wieloma względami pozostał on wytworem przeszłości Nowej Anglii, zwłaszcza w swym naiwnym, purytańskim podejściu do spraw seksu. Gdy przyjechał do domu Carlyle'ów w Craigenputtock w sierpniu 1833, wydał się Jane Carlyle nieco eteryczny, „jakby dopiero co wyłonił się z chmur”. Sam Carlyle natomiast zauważył, że Emerson odjechał „jak anioł ze swą piękną, przezroczystą duszą”<sup>5</sup>.

Podczas następnej wizyty, w roku 1848, Emerson opisał w swym dzienniku, jak był zmuszony do obrony amerykańskich zasad moralnych podczas obiadu wydanego w domu Johna Fostera, na którym byli Dickens, Carlyle i inni: „Powiedziałem, że gdy przybyłem do Liverpoolu, dowiadywałem się, czy prostytutka w tym mieście była zawsze tak rażąca, jak się wówczas wydawało, dla mnie bowiem wskazywało to na zgubne zepsucie w tym państwie; uważałem, że nie można tam wychować bezpiecznie chłopca. Powiedziano mi jednak, że przez całe lata nie było ani gorzej, ani lepiej. Carlyle i Dickens odparli na to, że czystość płci męskiej jest w naszych czasach taka sama jak dawniej i że w Anglii jest tak rzadka, iż mogą wymienić wszystkie wyjątki. Carlyle oczywiście uważał, że podobnie jest w Ameryce ... Zapewniłem go, że tak z nami nie jest, bo w większości młodzi ludzie o dobrej pozycji i dobrym wychowaniu wchodzą tak dziewiczy do swego małżeńskiego łóża, jak ich świeżo poślubione żony”<sup>6</sup>.

Henry James pisał później o Emersonie: „...jego zupełna nieświadomość zła ... jest jedną z najpiękniejszych cech, z których go znaliśmy”, choć dodaje okrutnie: „Mieliśmy wrażenie, że mamy do czynienia z łaknącym emocji sumieniem, tracącym oddech w pustce, poruszającym oskrzelami jak ryba wyrzucona na piasek”<sup>7</sup>.

Widoczne było, że popęd seksualny u Emersona nie jest silny. Jego pierwsza, młoda żona nazywała go „Dziaduniem”. Druga, która musiała cierpliwie znosić wielbioną przez niego matkę, od czasu do czasu dawała upust gorzkim uwagom, notowanym naiwnie przez Emersona w dzienniku: „Uchowaj mnie, Panie, przed wspaniałymi istotami. Wolę mniej

wspaniałe, normalne". Albo: „Nie ma tyle miłości, by zapobiec temu, co ma nadejść; dobry Bóg uczynił wszystko, co mógł, niestety, egoizm odniósł całkowite zwycięstwo”<sup>8</sup>.

Poemat *Give Ali to Love* („Oddaj wszystko miłości”) był uznany za odważny, ale nie ma danych, by Emerson kiedykolwiek dał wiele z samego siebie. Jedną jego wielką pozamałżeńską przyjaźń z kobietą była czysto platoniczna, lub może neoplatoniczna, i nie było to z jej wyboru. Ostrożnie zauważył: „Mam zmysły i odnajduję rozkosz w przyjemności, ale wiem z doświadczenia, że przyjemność jest przynętą w pułapce”<sup>9</sup>.

Dziennik Emersona, który niezmiennie mówi o nim więcej, niż on sam zamierzał powiedzieć, w części odnoszącej się do lat 1840-1841 notuje sen o udziale w debacie o małżeństwie: jeden z mówców nieoczekiwanie obrócił na słuchaczy „wylot odpływu pompy parowej ... obficie polewającej wodą”, która wszystkich wyгнаła, a w końcu dosięgła Emersona „i przemoczyła mnie, gdy się przypatrywałem. Obudziłem się z ulgą i stwierdziłem, że jestem zupełnie suchy”<sup>10</sup>.

Emerson żenił się dwukrotnie, za każdym razem z rozsądku, i w ten sposób zdobył kapitał, który, mądrze zainwestowany, dał mu znaczną niezależność finansową i literacką. Zainteresował się także szybko rozwijającym się systemem przedsiębiorczości. Zdobyl ostatecznie nieporównaną sławę jako mędrzec i prorok, nie tyle dzięki swym książkom, ile dzięki tournée odczytów, które były częścią tego systemu. Najpierw był cykl *Ludzkie życie* w Bostonie w roku 1838, później w Nowym Jorku w roku 1842 *Czas*, po którym nastąpiło studium wielkich ludzi, *Przedstawiciele ludzkości*, w roku 1845.

Pojawienie się Emersona jako intelektualisty, wszelako popularnego wykładowcy, którego odczyty były szeroko relacjonowane w lokalnej, regionalnej i nawet ogólnokrajowej prasie, zbiegły się z rozwojem ruchu liceów, zainicjowanego przez Josiaha Holbrooka w roku 1826 w celu kształcenia Amerykanów<sup>11</sup>. Licea powstały w Cincinnati w roku 1830, w Cleveland w 1832 i Columbus w roku 1835, a później na całym prężnym Środkowym Zachodzie i w dolinie Missisipi. Do końca lat trzydziestych XIX wieku prawie każde znaczne miasto miało liceum. Pojawiły się też biblioteki młodych handlowców, stowarzyszenia odczytowe i dyskusyjne, szczególnie ukierunkowane na młodych, niezonatych mężczyzn - urzędników bankowych, sprzedawców, księgowych i im podobnych, którzy stanowili zadziwiająco wysoki procent ludności nowych miast<sup>12</sup>. Myślą przewodnią było trzymanie ich z dala od ulicy i od barów, wspieranie ich kariery ekonomicznej i dobra moralnego.

Poglądy Emersona pasowały dokładnie do tego zamierzenia. Potępiał elity kulturalne i intelektualne. Sądził, że własna kultura Ameryki musi być narodowa, uniwersalna i demokratyczna. Sprawą życiową była samopomoc. Pierwszy Amerykanin, który przeczytał na farmie Homera - jak mówił Emerson - oddał wielką przysługę Stanom Zjednoczonym. Twierdził, że jeśliby spotkał człowieka z Zachodu [USA] czytającego dobrą książkę w pociągu, wziąłby go w ramiona. Jego osobista filozofia ekonomiczna i polityczna była identyczna z publiczną filozofią, popychającą Amerykanów przez kontynent dla wypełnienia się ich oczywistego losu:

„Bezpieczne prawo opiera się na samoregulującym się liczniku popytu i podaży. Nie przyjmujcie ustaw. Wtrącajcie się, a złamiecie maszynę waszymi prawami. Nie dawajcie nikomu zasiłków, wprowadzajcie równe prawa, czyńcie bezpiecznym życie i własność, a nie będziecie musieli dawać jałmużny. Otwórzcie drzwi i dajcie sposobność talentowi i cności, a one same okażą swoją wartość i własność nie znajdzie się w złych rękach. W wolnej i sprawiedliwej wspólnocie własność przejdzie od leniwego i głupiego do pracowitego, odważnego i wytrwałego”<sup>13</sup>.

Trudno byłoby wymyślić coś bardziej przeciwnego doktrynom, które rozwijał i głosił Marks dokładnie w tym samym czasie. A ponadto rzeczywiste doświadczenie Emersona na tym polu wielokrotnie zadawało kłam sposobowi, w jaki - według Marksa - kapitaliści

powinni się zachowywać. Dalecy od przeciwstawiania się tej dążności do oświaty, posiadacze i zarządcy popierali ją zdecydowanie.

Gdy w roku 1851 Emerson przyjechał do Pittsburga, skończono wcześniej pracę, by młodzi urzędnicy mogli pójść go posłuchać. Jego wykłady nie były oczywiście przeznaczone dla wzmocnienia ducha przedsiębiorczości (*Tożsamość myśli z naturą*, *Naturalna historia umysłu* i tak dalej). Był on jednak skłonny uznać, że wiedza i wewnętrzny charakter przyczyniają się do powodzenia w interesach. Wiele osób, które przychodziły, oczekując, że zadziwi je ten wybitny filozof, stwierdzało, że głosi to, co oni uważają za zdrowy rozsądek. „Cincinnati Gazette” donosiła o nim, że jest „tak skromny ... jak stary, dobry dziadek ze swoją Biblią”.

Wiele z jego powiedzeń: „Każdy człowiek jest konsumentem i powinien być producentem”; „[Człowiek] ze swej natury sporo wydaje i dlatego powinien być bogaty”; „Życie to poszukiwanie władzy” - trafiały do słuchaczy, a gdy zostały uproszczone i wyjęte z kontekstu przez gazety, trafiły do wspólnego zasobu amerykańskich popularnych mądrości. Nie wydaje się więc przypadkowe, że Emersona łączono często w tej samej serii odczytów z Phineasem Taylorem Barnumem, który mówił na temat *Sztuka zdobywania pieniędzy* i *Powodzenie w życiu*. Słuchanie Emersona było oznaką aspiracji kulturalnych i wyrobionego smaku: stał się wcieleniem Myśliciela.

Podczas jego ostatniego odczytu w Chicago, w listopadzie 1871 roku - jak donosiła „Chicago Tribune” - „aplauz ... świadczył o kulturze słuchaczy”. Dla narodu, który z tym samym entuzjazmem zabiegał o postęp moralny i umysłowy, co o pieniądze, i oba te elementy uważał za istotne dla stworzenia nowej cywilizacji, Emerson był do końca lat siedemdziesiątych XIX wieku bohaterem narodowym i mentorem, tak jak Hugo dla Francji lub Tołstoj dla Rosji. Emerson ustanowił wzór dla Ameryki.

Na tym tle, w którym rozwój gospodarczy kraju oraz jego życie kulturalne i intelektualne były postrzegane w szerokiej harmonii, umieszczamy Ernesta Hemingwaya: na pierwszy rzut oka trudno go w ogóle uznać za intelektualistę. Po bliższym zbadaniu okazuje się jednak, że ma nie tylko wszystkie główne cechy intelektualisty, ale łączą się one w specyficznym amerykańskim sposobie i są bardzo znamienne. Był ponadto prawdziwie oryginalnym pisarzem. Zmienił styl, w jakim wypowiadali się jego rodacy-Amerykanie i ludzie w całym świecie mówiący po angielsku. Hemingway stworzył nowy, osobisty, świecki i wysoce współczesny wzorzec etyczny, który był z pochodzenia głęboko amerykański, ale mogły go z łatwością przyswoić także inne kultury. Łączył w sobie wiele amerykańskich postaw i uczynił siebie ich archetypowym wcieleniem, tak że w pewnym okresie uosabiał Amerykę, jak Wolter uosabiał Francję w latach pięćdziesiątych XVIII wieku, a Byron Anglię w latach dwudziestych XIX wieku.

Hemingway urodził się w roku 1899 w zdrowym przedmieściu Oak Park pod Chicago, które ćwierć wieku wcześniej tak serdecznie oklaskiwało Emersona. Rodzice, Grace i Edmund („Ed”) Hemingwayowie, tak jak i on sam, byli znakomitymi produktami tej cywilizacji, którą Emerson i jego odczyty oraz dynamizm ekonomiczny przez nie wspierany pomogły powołać do istnienia. Rodzice Hemingwaya byli, lub wydawali się być, zdrowi, pracowici, dobrze wykształceni, wielostronnie utalentowani i dobrze przystosowani do swego społeczeństwa, wdzięczni za europejskie dziedzictwo kulturalne i świadomi sposobu, w jaki udoskonaliła je Ameryka.

Bali się Boga i żyli pełnią życia zarówno w domu, jak i poza domem. Doktor Hemingway był doskonałym lekarzem, który także polował, łowił ryby, żeglował, wędrował z namiotem i przecierał nowe szlaki; nauczył swego syna umiejętności, które potrzebne są człowiekowi lasu.

Grace Hamingway była kobietą o wybitnej inteligencji, silnej woli i o wielu dokonaniach: była czytana, pisała świetną prozę i z dużą wprawą wiersze, malowała i robiła meble, które projektowała, a także dobrze śpiewała, grała na różnych instrumentach,

komponowała i publikowała oryginalne pieśni<sup>14</sup>. Oboje czynili wszystko, co mogli, by przekazać swym dzieciom, z których Ernest był najbardziej faworyzowany, całe swe dziedzictwo kulturalne. Pod wieloma względami byli wzorowymi rodzicami; Hemingway rozwijał się wszechstronnie, był czytany i dobrze władał piórem, z powodzeniem także uprawiał sporty.

Oboje rodzice byli bardzo religijni, należeli do Kościoła kongregacjonistów, doktor Hemingway był też surowym adwentystą dnia siódmego. Chodzili nie tylko do kościoła w niedzielę i odmawiali modlitwę przed i po posiłku, ale - jak wspominała siostra Hemingwaya, Sunny - odmawiali „poranne modlitwy rodzinne, którym towarzyszyło czytanie Biblii i śpiewanie pieśni, nawet dwóch”<sup>15</sup>.

Protestancki kodeks moralny był ściśle przestrzegany przez oboje rodziców, a wszelkie naruszenia surowo karane. Grace Hemingway biła dzieci szczotką do włosów, a doktor - paskiem do brzytwy. Gdy odkryto, że kłamały lub przeklinały, usta myto im szczypiącym mydłem. Po otrzymaniu kary dzieci musiały klękać i prosić Boga o przebaczenie.

Doktor Hemingway wyjaśniał zawsze, że utożsamia chrześcijaństwo z męskim honorem i zachowaniem dżentelmena: „Chciałbym, byś reprezentował - pisał do syna Ernesta - wszystko to, co jest dobre i szlachetne, odważne i uprzejme u mężczyzn, bój się Boga i szanuj kobiety”<sup>16</sup>. Matka chciała, by był przeciętnym protestanckim bohaterem, nie palił i nie pił, zachował czystość przedmażeńską, pozostał wierny żonie, zawsze czczył i słuchał rodziców, zwłaszcza matki.

Hemingway całkowicie odrzucił religię swoich rodziców, a wraz z nią model takiego syna, jakiego oni pragnęli. Wydaje się, że jeszcze w wieku dojrzewania postanowił rozwijać swój geniusz i zamiłowania i stworzyć swój własny obraz człowieka honoru i dobrego życia, które zasłuży na nagrodę. Była to romantyczna, literacka i do pewnego stopnia etyczna koncepcja, która jednak nie miała żadnej treści religijnej. Rzeczywiście, Hemingway wydawał się być pozbawiony ducha religijnego. Prywatnie porzucił wiarę w wieku siedemnastu lat, gdy spotkał Billa i Katy Smith (została ona żoną Johna Dos Passosa); ojciec ich, ateistyczny wykładowca uniwersytecki, napisał efektowną książkę, „udowadniającą”, że Jezus Chrystus nigdy nie istniał.

Hemingway przestał praktykować religię w pierwszej sposobnej chwili - gdy rozpoczął pracę w „Kansas City Star” i zamieszkał sam, bez nadzoru. W roku 1918, kiedy miał już prawie dwadzieścia lat, zapewniał matkę: „Nie martw się i nie płacz ani się nie niepokój, że nie będę dobrym chrześcijaninem. Jestem taki sam jak zawsze, modłę się co wieczór i wierzę tak samo nieugięcie”<sup>17</sup>.

W istocie było zupełnie inaczej, mówił tak dla świętego spokoju. Nie tylko nie wierzył w Boga, ale uważał zinstytucjonalizowaną religię za groźbę dla ludzkiego szczęścia. Pierwsza jego żona, Hadley, mówiła, że widziała go klęczącego tylko dwa razy: na ślubie i na chrzcinach ich syna.

Chcąc sprawić przyjemność swej drugiej żonie, Paulinie, Hemingway przyjął religię katolicką, ale nie miał większego pojęcia, co oznacza nowa wiara. Wpadał w gniew, gdy Paulina próbowała przestrzegać jej wskazań (na przykład w sprawie regulacji urodzin), jeśli mu to przeszkadzało. Napisał bluźniercze parodie Ojciec Nasz w opowiadaniu *Jasne, dobrze oświetlone miejsce* i Ukrzyżowania w *Śmierci po południu*; było także bluźniercze błogosławieństwo spluwaczką w jego sztuce *Piąta kolumna*.

Hemingway pogardzał katolicyzmem tak dalece, jak go pojmował. Nie zgłosił żadnego protestu, gdy na początku wojny domowej w Hiszpanii, kraju, który znał i - jak twierdził - kochał, spalono setki kościołów, ołtarze i naczynia liturgiczne zostały sprofanowane, a tysiące księży, mnichów i zakonnic wymordowano. Porzucił także katolicyzm z chwilą rozstania się z drugą żoną<sup>18</sup>. Całe swe dorosłe życie przeżył właściwie jako poganin, czcąc idee stworzone przez siebie samego.

Odrzucenie przez Hemingwaya religii było cechą dorastającego intelektualisty, tym bardziej charakterystyczną, że stanowiło ono część odrzucenia moralnej kultury jego rodziców. Hemingway dążył później do traktowania odmiennie matki i ojca, w sposób uwalniający od winy tego ostatniego. Gdy ojciec popełnił samobójstwo, Hemingway próbował uczynić matkę odpowiedzialną, chociaż jasne było, że doktor świadomie uprzedza działanie bolesnej, śmiertelnej choroby. Doktor Hemingway był słabszy z dwojga rodziców, choć całkowicie popierał żonę w konfliktach z synem, który spierał się raczej z obojgiem rodziców niż z samą tylko matką. Grace była jednakże tą osobą, na której skoncentrował się opór Hemingwaya, prawdopodobnie dlatego, że uznał ją za główne źródło swej egoistycznej woli i literackich możliwości. Była nadzwyczajną kobietą, tak jak on nadzwyczajnym mężczyzną. Dla obojga nie było miejsca w tym samym kręgu.

Spór ich wybuchł w roku 1920, gdy Hemingway, który spędził ostatni okres I wojny światowej w jednostce sanitarnej na froncie włoskim i powrócił niczym bohater wojenny, nie tylko nie znalazł sobie zajęcia, ale i obraził rodziców swym beczynnym i, według nich, występny postępowaniem. W lipcu tego roku Grace napisała do niego Wielkie Napomnienie: Życie każdej matki - powiedziała - jest podobne do banku. „Każde dziecko, które jej się rodzi, przychodzi na świat z dużym i rosnącym stale kontem bankowym, wydawałoby się niewyczerpalnym”. Dziecko bierze, wciąż bierze wypłaty z konta, „żadnych wpłat w pierwszych latach”. Później, aż do lat dojrzewania, „gdy z banku otrzymano duże wypłaty”, było „tylko kilka groszowych wpłat, niektóre usługi pełne dobrej woli, rozważli i podziękowań”. Po osiągnięciu wieku męskiego bank działa nadal, rozdając miłość i sympatię: „Konto potrzebuje wtedy pewnych wpłat, dość sporych, w postaci wdzięczności i uznania, zainteresowania dla poglądów i spraw matki. Mało wtedy pociechy otrzymuje dom, pragnie się obdarzyć względami jakieś szczególne uprzedzenie matki, pod żadnym pozorem nie można oburzać się na jej poglądy. Kwiaty, owoce lub słodczyce, coś ładnego do noszenia, co wręcza się matce z pocałunkiem i uściskiem ... Ukradkowe płacenie rachunków, tak by przestały trapić matkę ... Są to wkłady, dzięki którym konto pozostaje w dobrym stanie. Wiele matek, które znam, otrzymuje takie i jeszcze cenniejsze dary i rewanże od synów mniej zdolnych od mojego. Póki czas, synu mój Erneście, skończ z próżniaczym wałęsaniem się i szukaniem przyjemności ... przestań wykorzystywać swoją urokliwą twarz ... i zaniedbywać swoje obowiązki wobec Boga i Zbawcy, Jezusa Chrystusa ... Czeką cię tylko bankructwo. Przekroczyłeś swoje konto”<sup>19</sup>.

Tkwiała nad tym dokumentem trzy dni, polerowała go troskliwie, tak jak czynił to Hemingway ze swoimi własnymi, nagradzanymi utworami, a później wręczyła go synowi osobiście. Widać tu, od kogo otrzymał silne poczucie moralnej obrazy, nie bez domieszki obłudy, która miała stanowić tak ważną część jego twórczości.

Hemingway zareagował tak, jak można było oczekiwać: wolno wzbierającą, długotrwałą furią - odtąd traktował swą matkę jak wroga. Dos Passos mówił, że Hemingway był jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek przyznał się, że naprawdę nienawidzi swej matki. Inny stary znajomy, generał Lanham, to potwierdził: „Od pierwszej chwili, gdy spotkałem Ernesta Hemingwaya, pamiętam, że zawsze mówił o swej matce: »ta suka«. Musiał mi mówić z tysiąc razy, jak bardzo jej nienawidzi i na jak wiele sposobów”<sup>20</sup>.

Nienawiść ta odbijała się wielokrotnie i rozmaicie w jego powieściach. Przelewała w łączącą się z nią pogardę dla starszej siostry, „mojej siostry, suki Marcelline”, „suki aż po czubek uszu”. Przeszła w ogólną nienawiść do rodziny, często wyrażaną przy niestosownej okazji, jak w dyskusji o złych malarzach (jego matka malowała) w autobiografii *Ruchome święto*: „Oni nie robią rzeczy strasznych ani krzywd osobistych tak jak rodziny. Jeżeli idzie o złych malarzy, wystarczy na nich nie patrzeć. Jednakże nawet wówczas, kiedy nauczyłeś się nie patrzeć na rodzinę ani jej nie słuchać i nauczyłeś się nie odpowiadać na listy, rodzina ma wiele sposobów, żeby być niebezpieczną”.



Nienawiść do matki była tak silna, że do pewnego stopnia zatrzała całe jego życie, w dużej mierze dlatego, że odczuwał zawsze osad winy, która mu dokuczala i utrzymywała nienawiść wiecznie żywą. Nienawidził matki wciąż w roku 1949, gdy miała już prawie osiemdziesiąt lat; pisał wtedy do wydawcy ze swego domu na Kubie: „Nie spotkałem się z nią, a ona wie, że nie może tu przyjechać”<sup>21</sup>. To negatywne uczucie przewyższało czysto utylitarną niechęć odczuwaną przez Marksa do swej matki; było raczej bliskie postawie Marksa wobec samego systemu kapitalistycznego. Dla Hemingwaya nienawiść do matki osiągnęła status systemu filozoficznego.

Zerwanie z rodziną skierowało Hemingwaya do „Toronto Star”, a stąd do Europy jako korespondenta zagranicznego i powieściopisarza. Wyparł się nie tylko religii rodziców, ale i optymistycznego, opartego na chrześcijańskiej kulturze światopoglądu swej matki, wyrażonego w jej mocnej, choć stereotypowej prozie, którą on pogardzał. Jedną z sił, która popychała Hemingwaya ku literackiej doskonałości, która stała się jego wybitną cechą, był nieprzeparty impuls, by nie pisać tak jak matka, stosująca zastarzałą retorykę wygładzonego dziedzictwa literackiego. (Szczególnie nienawidził zdania, niejako streszczającego styl prozy matki, pochodzącego z jednego z jej listów do niego: „Nadano ci imiona na cześć dwóch najbardziej wspaniałych i szlachetnych dżentelmenów, jakich kiedykolwiek znałam”.)

Od roku 1921 Hemingway prowadził życie korespondenta zagranicznego, Paryż był jego bazą wypadową. Relacjonował wydarzenia wojenne na Bliskim Wschodzie i przebieg konferencji międzynarodowych, ale główna jego uwaga była skupiona na literatach-emigrantach, przebywających na paryskim Lewym Brzegu. Pisał wiersze. Próbował pisać prozę. Jednym z wielu przyzwyczajęń, które odziedziczył po matce, było otaczanie się książkami, chował je po kieszeniach, czytał w każdej chwili i w każdym miejscu, skoro tylko nadarzała się okazja.

Czytał wszystko i całe życie kupował książki, w każdym mieszkaniu Hemingwaya ściany były obstawione regałami z książkami. W domu na Kubie stworzył bibliotekę z 7400 tomów, potrzebną do ścisłych badań na wszystkie tematy, którymi się interesował, i z szerokim zestawem tekstów literackich, które czytał i do których wciąż sięgał.

Do Paryża przybył już po przeczytaniu właściwie całej klasyki angielskiej, zdecydowany jednak pogłębić swoje lektury. Nigdy nie cierpiał z powodu nieukończenia studiów uniwersyteckich, choć tego żałował i starał się zapłacić wszystkie luki, jakie ich brak mógł powodować. Zabrał się więc do Stendhala, Flauberta, Balzaca, Maupassanta i Zoli, do największych pisarzy rosyjskich, jak Tolstoj, Turgieniew i Dostojewski, i Amerykanów: Henry'ego Jamesa, Marka Twaina i Stephena Crane'a. Czytał także Conrada, Eliota, Gertrudę Stein, Ezrę Pounda, Davida H. Lawrence'a, Maxwella Andersona i Jamesa Joyce'a.

Lektury jego były wszechstronne, ale dyktowała je coraz bardziej rosnąca potrzeba pisania. Gdy miał piętnaście lat, odkrył Kiplinga i badał go przez całe życie. Zajmował się także Conradem i wspaniałym zbiorem Joyce'a, *Dublińczycy*. Podobnie jak wszyscy rzeczywiście dobrzy pisarze, Hemingway nie tylko pochłaniał drugorzędnych twórców, jak Marryat, Hugh Walpole i George Moore, ale także analizował ich i uczył się od nich.

Hemingway zbliżył się do jądra paryskiej inteligencji w roku 1922, gdy przyjechał tu Ford Madox Ford. Był on wielkim odkrywcą talentów literackich, wspomógł Lawrence'a, Normana Douglasa, Wyndhama Lewisa, Arthura Ransome'a i wielu innych. W roku 1923 Ford opublikował pierwszy numer „Transatlantic Review” i za rekomendacją Ezry Pounda zaangażował Hemingwaya na niepełny etat. Hemingway podziwiał Forda jako literackiego impresario, ale bardzo się na niego uskarżał, że ignoruje młodszych pisarzy, że nie interesuje się wystarczająco nowymi stylami i formami literackimi, że jego upodobania są zbyt bliskie upodobaniom magazynów głównego nurtu, a przede wszystkim, że Ford zakłada, iż najlepsze literackie osiągnięcia pochodzą z Francji i Anglii, i wielce lekceważy dorobek Ameryki, szybko rosnący pod względem ilości i jakości. Hemingway uważał się za impresaria

amerykańskiej awangardy. Narzekał: „Ford prowadzi ten cały przeklęty interes na zasadzie kompromisu”<sup>22</sup>.

Gdy się jednak wprowadził do niewielkiego biura Three Mountain Press na Wyspie św. Ludwika, zaczął nadawać „Transatlantic Review” śmiały kierunek amerykański, tak że wraz z sześćdziesięcioma utworami brytyjskimi i czterdziestu francuskimi przeforsował dziewięćdziesiąt amerykańskich, w tym Gertrudy Stein, Djuna Barnes, Lincolna Steffensa, Natalie Barney, Williama Carlosa Williama i Nathana Ascha. Gdy Ford opuścił Paryż udając się do Stanów Zjednoczonych, Hemingway bez skrupułów przekształcił numery lipcowy i sierpniowy w triumfalną paradę młodych talentów amerykańskich, tak że Ford po swym powrocie uznał, że musi przeprosić za „sporą próbkę pracy Młodej Ameryki, której roszczenia tak uporczywie, choć nie tak skutecznie - narzucaliśmy naszym czytelnikom”<sup>23</sup>.

Hemingway jednak dążył ku literackiej sławie i mniej go obchodziły koterie i intrzygi wśród inteligencji Lewego Brzegu niż rozwój własnego talentu. Pound rekomendował Hemingwaya Fordowi: „Pisze bardzo dobre wiersze i jest najlepszym stylistą prozy w świecie”<sup>24</sup>. Uwaga ta, z roku 1922, jest bardzo trafna, choć Hemingway w żadnym wypadku nie rozwinął jeszcze swej dojrzałej metody. Pracował jednakże nad nią, jak o tym świadczą jego najwcześniejsze notatniki, pełne ciągłych wymazań i poprawek. Prawdopodobnie żaden pisarz beletrysta nie kształtował tak wytrwale i tak długo własnego stylu pisania, który by dokładnie odpowiadał dziełu, jakie pragnął wykonać. Praca Hemingwaya w tych latach może być przykładem, jak pisarz powinien zdobywać umiejętności zawodowe. Jest ona porównywalna, w szlachetności celu i wytrwałości w trudzie, ze żmudnymi wysiłkami Ibsena, by zostać dramaturgiem.

Hemingway był przekonany, że wyrósł w fałszywym świecie, który symbolizowały religia jego rodziców i ich kultura moralna, i że musi go zastąpić światem prawdziwym. Co rozumiał przez prawdę? Nie była to odziedziczona, objawiona prawda chrześcijaństwa jego rodziców - taką właśnie odrzucał - ani też prawda jakiegokolwiek innego wyznania lub ideologii, wzięta z przeszłości i odbijająca cudze poglądy, nawet wielkich ludzi, ale prawda, którą on sam dostrzegł, odczuł, usłyszał, powąchał i posmakował. Podziwiał literacką filozofię Conrada i sposób, w jaki on podsumował swój cel - „całkowita wierność prawdzie moich własnych odczuć”. Był to jego punkt wyjściowy.

Ale jak przekazać tę prawdę? Większość ludzi, którzy piszą, w tym większość pisarzy zawodowych, skłonna jest do oglądania tego, co się dzieje, oczami innych, dziedziczy bowiem zastarzałe określenia i kompozycje wyrazów, wytarte metafory, frazesy i literackie przenośnie. Jest to szczególnie prawdziwe w odniesieniu do dziennikarzy, piszących reportaże z wydarzeń często się powtarzających i banalnych. Hemingway górował jednak wyśmienitym wyszkoleniem w „Kansas City Star”. Kolejni wydawcy tej gazety stworzyli niejako katalog jej stylu, złożony ze stu dziesięciu reguł, które wymuszały na reporterach używanie jasnego, prostego, bezpośredniego, wolnego od frazesów języka angielskiego, i reguł tych ściśle przestrzegano. Hemingway określił je później jako „najlepsze reguły, jakie kiedykolwiek poznał w zawodzie pisarza”<sup>25</sup>.

W roku 1922, przekazując sprawozdanie z Międzynarodowej Konferencji Gospodarczej w Genewie, został nauczony przez Lincolna Steffensa sztuki depešowania, którą przyswajał sobie szybko i z coraz większą przyjemnością. Pokazał Steffensowi dowód swego pierwszego osiągnięcia, wykrzykując: „Steffens! Zobacz ten kablogram: ani grama tłuszczu, żadnego przymiotnika, żadnego przysłówka! Tylko krew, kości i mięśnie... To nowy język”<sup>26</sup>.

Na tej dziennikarskiej podstawie Hemingway stworzył własną metodę, stosowaną zarówno w teorii, jak i w praktyce. W swoim czasie napisał sporo o tym, jak pisać: w *Ruchomym święcie*, w *Zielonych wzgórzach Afryki*, w *Śmierci po południu* i w *By-line* oraz gdzie indziej<sup>27</sup>.

„Podstawowe zasady pisania”, które Hemingway ustalił dla siebie, są warte prześledzenia<sup>28</sup>. Idąc za Conradem, określił kiedyś, na czym polega sztuka pisania powieści: „Znajdź coś, co cię wzrusza, co dziejąc się wprawia cię w podniecenie. Zapisz to później, ale tak wyraźnie, by mógł to ujrzeć również i czytelnik”<sup>29</sup>. Należy to wszystko ująć zwięźle, oszczędnie, prosto, używając mocnych słów i krótkich zdań, nic zbędnego i dla efektu. „Proza to jak architektura - pisał - żadna dekoracja wnętrza, a barok już dawno przeminął”<sup>30</sup>. Hemingway zwracał uwagę szczególną na ścisłość wyrażenia, przetrząsał słowniki, szukając odpowiednich słów. Trzeba pamiętać, że wówczas, gdy kształtował się styl jego prozy, Hemingway był także poetą i znajdował się pod dużym wpływem Ezry Pounda, który - jak mówił Hemingway - nauczył go więcej niż ktokolwiek inny. Pound „był człowiekiem, który wierzył w *mot juste* - jedyny i jedynie słuszny wyraz w danym miejscu - a także tym, kto nauczył mnie nie ufać przymiotnikom”. Hemingway studiował również z uwagą Joyce'a, drugiego pisarza, którego poczucie precyzji słowa szanował i naśladował. I rzeczywiście, jeśli Hemingway miał jakichś literackich przodków, to można powiedzieć, że był potomkiem mariażu Kiplinga z Joyce'em.

Prawdą jest, że pisarstwo Hemingwaya ma swoje odrębne cechy. Wpływ jego na to, co ludzie nie tylko pisali, ale i widzieli w ćwierćwieczu 1925-1950, był tak przygniatający i stanowczy, a jego wciąż trwające oddziaływanie tak przenikliwe, że obecnie nie możemy wyodrębnić czynnika Hemingwaya z naszej prozy, zwłaszcza z powieści. We wczesnych latach dwudziestych było mu jednak trudno pozyskać uznanie, a nawet być w ogóle wydawanym. Jego debiut, *Trzy opowiadania i dziesięć wierszy*, był typowym przedsięwzięciem awangardowym, opublikowanym jedynie w Paryżu. Wielkie magazyny w ogóle nie chciały słyszeć o jego opowiadaniach, a jeszcze w roku 1925 „The Dial”, uważające się za pismo odważne, odrzuciło jego opowiadania, w tym tak znakomite jak *Niepokonany*.

Hemingway uczynił to, co czynią wszyscy naprawdę oryginalni wielcy pisarze - stworzył swój własny rynek, zaraził czytelników swym własnym gustem. Metoda, która świetnie łączyła nagi, dokładny opis faktów z subtelną odpowiedzią uczucia, powstała w latach 1923-1925, i właśnie w roku 1925 nastąpił przełom wraz z publikacją *W naszych czasach*.

Ford uznał się za upoważnionego do obwołania go czołowym pisarzem Ameryki: „najbardziej świadomy, największy mistrz, najdoskonalszy”. Według Edmunda Wilsona książka ta ujawniła prozę „pierwszego gatunku”, „uderzająco oryginalną”, o imponującej „randze artystycznej”.

Po pierwszym sukcesie powstały szybko dwie żywe i tragiczne powieści: *Słońce też wschodzi* (1926) i *Pożegnanie z bronią* (1929), ta ostatnia być może najlepsza, jaką napisał kiedykolwiek. Książki te, sprzedawane w setkach tysięcy egzemplarzy, czytane wciąż od nowa, omawiane i dyskutowane, były przedmiotem zazdrości i wzorcem dla pisarzy wszelkiego rodzaju. Już w roku 1927 Dorothy Parker, w recenzji zbioru *Mężczyźni bez kobiet*, zamieszczonej w gazecie „New Yorker”, określiła jego wpływ jako „niebezpieczny” - „najprostsza rzecz, którą on robi, wydaje się przecież tak łatwa do wykonania. Spójrzcie jednak na chłopców, którzy próbują ją zrobić”<sup>31</sup>.

Sposób pisania Hemingwaya można było sparodiować, ale nie można go było z powodzeniem naśladować, był on bowiem nierozdzielny od tematu jego książek i zwłaszcza od ich moralnej postawy. Celem Hemingwaya było uniknięcie wyraźnego dydaktyzmu wszelkiego rodzaju, demaskował go też u innych, nawet u największych. Pisał: „Kocham *Wojnę i pokój* za cudowne, wnikliwe i prawdziwe opisy wojny i ludzi, nigdy jednak nie podzielałem opinii wielkiego hrabiego ... Mógł wymyślić więcej z większą intuicją i prawdą niż ktokolwiek inny dotychczas. Myśl jego, ociążała i mesjanistyczna, jednakże nie była lepsza od wywodów wielu protestanckich profesorów historii i nauczyłem się od niego nie

ufać mojemu własnemu Myśleniu przez duże M i próbować pisać tak prawdziwie, bezpośrednio, obiektywnie i skromnie, jak tylko to jest możliwe"<sup>32</sup>.

W swoich najlepszych dziełach Hemingway starał się zawsze oszczędzić czytelnikowi kazań lub nawet trącania go łokciem, by zwrócić uwagę, jak zachowują się jego postacie. Niemniej jego książki są zabarwione nową, świecką etyką, która wynika bezpośrednio ze sposobu, w jaki Hemingway opisuje wydarzenia i działania bohaterów.

Owa subtelna uniwersalność etyki Hemingwaya czyni go tak archetypowym i intelektualnym, a istotę tej etyki odzwierciedla jego amerykańizm. Hemingway uważał Amerykanów za ludzi energicznych, czynnych, mocnych, nawet gwałtownych, za ludzi czynu, zdobywców, twórców, zwycięzców i pacyfistów, myśliwych i budowniczych. Sam był energiczny, czynny, mocny, nawet gwałtowny. Rozmawiając z Poundem i Fordem o literaturze, od czasu do czasu podrywał się, by poćwiczyć bokserską walkę z cieniem wokół studia wynajmowanego przez Forda.

Hemingway był wielkim, mocnym mężczyzną, który potrafił wykonać wiele różnych czynności fizycznych. Dla niego, jako Amerykanina i pisarza, czymś naturalnym było wieść czynne życie i opisywać życie w działaniu. Właśnie działanie było tematem jego pisarstwa.

Oczywiście, nie było to nic nowego. U Kiplinga bohaterowie lub poddani są żołnierzami, rozbójnikami, inżynierami, kapitanami żeglugi morskiej i władcami, dużymi i małymi - wszyscy i wszystko, nawet zwierzęta i maszyny ulegają napięciom, wprawiane w gwałtowny ruch. Kipling nie był jednak intelektualistą. Był geniuszem, miał w sobie „demoną”, ale nie uważał, że mógłby przemodelować świat dzięki własnej, nie wspomagannej inteligencji, nie odrzucał olbrzymiego zasobu odziedziczonej mądrości. Przeciwnie, zagorzale podtrzymywał jej prawa i zwyczaje jako nie dające się zmienić przez małego człowieka i opisywał z upodobaniem tragiczny koniec tych, którzy rzucili im wyzwanie.

Hemingway jest bliższy Byronowi, innemu twórcy, który łaknął działania i opisywał je z entuzjastyczną wprawą. Byron nie wierzył w utopijne i rewolucyjne plany Shelleya, które wydawały mu się abstrakcyjnymi ideałami raczej, a nie wykonalnymi pojęciami - jego tezy są podane przez samego Shelleya w *Julian i Maddalo* - i sam ukształtował swój system etyczny, odrzucił bowiem tradycyjny kodeks, gdy opuścił żonę i Anglię na zawsze. Jedynie w tym sensie Byron był intelektualistą. Nigdy nie ustanowił formalnie swego systemu, chociaż jest on dość spójny, co wynika przekonująco z jego listów i co przepaja każdą stronę jego poematów narracyjnych, *Wędrówek Childe Harolda* i *Don Juana*. Jest to system honoru i obowiązku, nie skodyfikowany, ale odzwierciedlony w działaniu. Nikt, kto czyta te poematy, nie może być zupełnie pewny, jak Byron widział dobro i zło, zwłaszcza jak oceniał bohaterstwo.

Hemingway pewnego dnia określił swój ideał jako zdolność do przedstawienia „wdzięku pod przymusem” (dziwne sformułowanie wobec imienia matki - Grace - Gracji), ale nie poszedł dalej poza to określenie.

Prawdopodobnie jego etyka nie była możliwa do precyzyjnego określenia, a próby jej zdefiniowania tylko by ją zdeformowały. Dopuszczała jednak nieskończone możliwości ilustracyjne, i to jest właśnie napędowa siła, która kryje się za całym dziełem Hemingwaya. Jego powieści są powieściami akcji, co czyni z nich utwory ideologiczne, dla Hemingwaya bowiem nie istnieje akcja moralnie neutralna. Nawet opis posiłku jest deklaracją moralną, ponieważ są rzeczy dobre i złe do jedzenia i picia, tak jak są dobre i złe sposoby jedzenia i picia. Prawie każda czynność może być wykonana poprawnie lub niepoprawnie, ściślej - szlachetnie lub niegodziwie.

Autor nie podaje morału, natomiast przedstawia wszystko w ukrytych ramach moralnych, tak że akcja mówi sama za siebie. Ramy są osobiste i pogańskie, z pewnością niechrześcijańskie. Rodzice Hemingwaya, zwłaszcza matka, uważali jego opowiadania za niemoralne, często oburzające, matka bowiem mogła uznać ich mocny ton etyczny za fałszywy lub bluźnierczy.

Hemingway mówił lub raczej dawał do zrozumienia, że są dobre albo złe sposoby popełnienia cudzołóstwa, kradzieży lub zabójstwa. Istotą powieści Hemingwaya jest obserwacja bokserów, rybaków, matadorów, żołnierzy, pisarzy, sportowców czy niemal każdego, kto ma wykonać określone zadanie, próbuje żyć dobrym i uczciwym życiem, według określonych wartości, i ponosi klęskę. Tragedia następuje dlatego, że same wartości stają się iluzoryczne lub błędne albo zostaje wobec nich popełniona zdrada na skutek wewnętrznej słabości czy zewnętrznej złej woli, czy też wskutek bezwzględności obiektywnych faktów. Lecz nawet klęska jest okupiona widzeniem prawdy, zdolnością jej odczucia i odwagą spojrzenia jej w twarz. Postacie Hemingwaya wytrzymują lub padają, bez względu na to, czy są wierne prawdzie, czy też nie. Prawda jest istotnym składnikiem jego prozy i jedyną nicią, która przewija się konsekwentnie przez jego system etyczny.

Stworzywszy swój własny styl i własną etykę, Hemingway z konieczności uznał, że żyje jednym i drugim. Stał się niejako ofiarą, więźniem, niewolnikiem swojej własnej wyobraźni, zmuszonym do wcielania jej w rzeczywistym życiu. Nie był pod tym względem wyjątkiem.

Kiedy Byron opublikował pierwszą księgę *Wędrowek Childe Harolda*, uznał, że kroczy tą drogą, którą sam nakreślił. Mógł zmienić nieco kierunek, pisząc *Don Juana*, nie pozostawił jednak sobie właściwie żadnego wyboru - musiał wieść życie, jakie opiewał. Przypadek Byrona był jednak tak sprawą smaku, jak i przymusu: znajdował on przyjemność w kontaktach z kobietami, w bohaterskich czynach i w roli wyzwoliciela.

Podobnie rzecz się miała ze współczesnym Hemingwayowi Andre Malraux, innym działaczem-intelektualistą, pisarzem, rewolucjonistą, odkrywcą, pirackim poszukiwaczem dzieł sztuki, bohaterem ruchu oporu, który zakończył swą karierę jako minister kultury, członek prezydium rządu, zasiadający po prawej ręce generała de Gaulle'a.

Z Hemingwayem sprawa nie jest tak oczywista. Jego pogoń za „prawdziwym” życiem, życiem w działaniu, była czynnością intelektualną w tym sensie, że stanowiła istotny element jego powieści. Jak mówi Robert Jordan, bohater powieści *Komu bije dzwon* (1940), „chciałbym wiedzieć, jak to naprawdę było, a nie jak to miało być”. Hemingway, intelektualista opętany potrzebą działania, był rzeczywistą istotą. Spostrzegawczy współpracownik z „Toronto Star” tak scharakteryzował dwudziestoletniego Hemingwaya: „Bardziej dziwaczne połączenie żywej wrażliwości i fascynacji przemocą nigdy nie chodziło po ziemi”.

Hemingway znajdował przyjemność we wszystkich zajęciach pozadomowych swego ojca, a ponadto w jeździe na nartach, morskich połowach ryb, polowaniu na grubego zwierza i w wojaczce. Na pewno był człowiekiem odważnym. Herbert Matthews, reporter „New York Timesa”, opisuje, jak Hemingway podczas bitwy nad Ebro w roku 1938 uratował go przed utonięciem w rzece, wykazując się nadzwyczajną siłą: „Miał dobry chwyt”<sup>33</sup>. Myśliwi, którzy zabrali go na safari w Afryce Wschodniej, dawali podobne świadectwa. Ponadto jego odwaga nie była bezmyślna lub instynktowna. Miał ostre wycucie niebezpieczeństwa, świadczy o tym wiele anegdot. Wiedział, co to znaczy odczuwać strach i jak strach pokonać, żaden inny pisarz nie opisał nigdy prawdziwiej tchórzostwa. Czytając Hemingwaya ma się ochotę przeżyć to, co się czyta. Oto dlaczego obraz Hemingwayowskiego człowieka czynu stał się tak szybko sławny, jak jego twórca. Tak jak wielu intelektualistów, Hemingway miał uderzający talent do autoreklamy. Stworzył nową, silną osobowość - odrzucając dawnego romantyka odzianego w aksamit, który oddał w swoim czasie cenne usługi - mężczyźnię w stroju safari, z ładownicą i sztucerem, czapce z daszkiem, pachnącego prochem, tytoniem i whisky.

Jedną z jego obsesji było dodawanie sobie kilku lat. W latach dwudziestych obwołał się „Papą”, ostatnia dziewczyna stawała się „córką”. W początkach lat czterdziestych „Papa” Hemingway był już najbardziej znaną postacią ilustrowanych magazynów, tak słynnym jak

czołowi aktorzy Hollywoodu. Żaden pisarz w historii nie udzielił tylu wywiadów i nie pozował tak często do fotografii prasowych. Jego twarz okolona siwą brodą stała się bardziej znana niż Tolstoja.

Próbując jednakże uosabiać swą etykę i żyć stosownie do legendy, jaką stworzył, Hemingway zbudował kariatydę, z którego nie pozwolił sobie wyjść aż do śmierci. Podobnie do swej matki, która widziała macierzyńską miłość w postaci konta bankowego, Hemingway gromadził wciąż doświadczenia z różnych akcji na swym koncie, czerpiąc z niego przy pisaniu powieści.

Wojna na froncie włoskim w latach 1917-1918 była „kapitałem założycielskim”. W latach dwudziestych niemal go wyczerpał, równoważąc odpływ szaleńczym sportem i walką byków. W latach trzydziestych dokonał cennych wkładów w postaci polowań na grubego zwierzca i dużego owocobrania - hiszpańskiej wojny domowej. Okazał się jednak leniwy w wykorzystaniu możliwości II wojny światowej, a jego spóźnione włączenie się do niej przysporzyło mu niewiele pisarskiego kapitału. Odtąd jego głównymi wkładami było polowanie i łowienie ryb, a próby powrotu do polowań na grubego zwierzca i na areny zmagania matadorów przyniosły więcej farsy niż dobrego owocu. Edmund Wilson określił kontrast zarówno w pisaniu, jak i działaniu Hemingwaya: „młody mistrz i stary oszust”.

Prawda tkwiła w tym, że Hemingway nadal znajdował przyjemność w niektórych zajęciach, ale nie tak dużą, jak utrzymywał. Już nie tak chętnie polował na odludziu; sprawiał wrażenie, że brakuje mu odwagi, by powiesić sztucer i zasiąść w swej bibliotece. Falszywa, wymuszona, chępliwa natura pobrzmiwa w jego sprawozdaniach przesyłanych wydawcy, Charlesowi Scribnerowi. W roku 1949 Hemingway pisał do niego: „Chcąc uczcić swoje pięćdziesiąte urodziny ... popieprzyłem trzy razy, ustrzeliłem w klubie dziesięć bardzo szybkich gołębi, wypilem z przyjaciółmi skrzynkę wytrawnego wina »Piper Heidsieck« i wałęsałem się całe popołudnie po oceanie za wielką rybą”<sup>34</sup>.

Prawda? Kłamstwo? Przesada? Nikt nie wie. Żadnego z oświadczeń Hemingwaya o sobie, a bardzo mało mówił on o innych ludziach, nie można uznać bez przyjęcia innych świadectw. Pomimo pierwszorzędного znaczenia prawdy w etyce jego powieści Hemingway wyznawał charakterystyczną dla intelektualistów wiarę, że w jego własnym przypadku prawda winna pełnić służebną rolę. Sądził, i czasami się tym chęlił, że kłamstwo weszło w skład jego wykształcenia jako pisarza. Kłamał zarówno świadomie, jak i bez zastanowienia. Z pewnością wiedział, że kłamię od czasu do czasu, co wyjaśnia w swym urzekającym opowiadaniu *Powrót żołnierza* za pośrednictwem postaci Krebsa. Pisał o tym: „To naturalne, że najlepsi pisarze są kłamcami. W większej części ich zajęcie polega na tym, że kłamią lub zmyślają ... Często kłamią nieświadomie, a później wspominają swoje kłamstwa z głębokim żalem”<sup>35</sup>.

Dowody wykazują, że Hemingway nałogowo mijał się z prawdą na długo przedtem, zanim wypracował niejako zawodowe usprawiedliwienie dla swych kłamstw. Kłamał, gdy miał pięć lat, utrzymując, że sam powstrzymał wrywającego się konia. Rodzicom powiedział, że zaręczył się z aktorką filmową Mae Marsh, chociaż widział ją jedynie w filmie *Narodziny narodu*, i powtórzył to kłamstwo swym kolegom z Kansas City, aż z takim szczegółem, jak obrączka za sto pięćdziesiąt dolarów.

Wiele z tych rażących kłamstw było szytych grubymi nićmi i kłopotliwych. Na przykład wmawiał przyjaciołom, że złapał rybę, którą bez wątpienia kupił na targu. Opowiadał zawiłą historię, jak to będąc zawodowym bokserem w Chicago, mimo złamanego nosa przystąpił do walki. Zmyślił, że ma w sobie indiańską krew i nawet twierdził, że ma indiańskie córki. Autobiografia Hemingwaya, *Ruchome święto*, jest zupełnie niewiarygodna i podobnie jak *Wyznania* Rousseau najbardziej niebezpieczna wówczas, gdy wydaje się, że jest szczerą.

Zwykle opowiadał kłamliwe historie o swych rodzicach i siostrach, czasem bez widocznej przyczyny. Mówił, na przykład, że jego siostra Carol została zgwałcona w wieku

dwunastu lat przez seksualnego zbrojnego, co było zupełnie nieprawdziwe, a później twierdził, że rozwiodła się lub nawet że zmarła (w rzeczywistości wyszła za męża, i to szczęśliwie, za pana Gardinera, którego Hemingway nie lubił)<sup>36</sup>.

Wiele z najbardziej zagmatwanych i wciąż powtarzanych kłamstw Hemingwaya dotyczy jego służby w czasie I wojny światowej. Jak wiadomo, wielu żołnierzy, nawet odważnych, kłamie opowiadając o swych czynach wojennych; dzięki szczegółowemu badaniu, jakiemu poddano życie Hemingwaya, odkryto, że czasem karygodnie mijał się z prawdą<sup>37</sup>. Na przykład zmyślenia Hemingwaya o tym, co się stało we Włoszech, są wręcz bezczelne. Po pierwsze, twierdził, że zgłosił się do wojska na ochotnika, ale został odrzucony ze względu na słaby wzrok. Nie znajduje to potwierdzenia w aktach i jest zupełnie nieprawdopodobne. W rzeczywistości był żołnierzem nieliniowym, i to z własnego wyboru. Przy wielu okazjach, w tym i w wywiadach dla prasy, mówił, że służył w 69. włoskim pułku piechoty i uczestniczył w trzech wielkich bitwach. Twierdził także, że należał do rozbitego pułku Arditi, i mówił swemu przyjacielowi z armii brytyjskiej, „Chink” Dorman-Smithowi, że prowadził szarżę Arditi na Monte Grappa i został ciężko ranny.

Mówił także swemu przyjacielowi z hiszpańskiej wojny domowej, generałowi Gustavo Duranowi, że dowodził pierwszą kompanią, później batalionem, choć miał wtedy tylko dziewiętnaście lat. Rzeczywiście był ranny - nie ma co do tego wątpliwości - ale wciąż opowiadał kłamliwie, jak to się stało i jaka to była rana. Zmyślił opowieść o tym, że dwukrotnie został postrzelony w mosznę i musiał nosić swe jądra na poduszce. Mówił, że został powalony serią czterdziestu pięciu strzałów z karabinu maszynowego i że dosięgły go trzydzieści dwie kule. I że na dodatek został ochrzczony jako katolik, pielęgniarki bowiem sądziły, że jest bliski śmierci. Wszystkie te opowieści były nieprawdziwe.

Wojna wyzwoliła w nim naturę kłamcy. Zazdrosny o wyższe umiejętności Matthews'a jako korespondenta, w liście do domu przekazywał z Hiszpanii stek kłamstw o sytuacji na froncie w rejonie Teruelu: „...przekazałem pierwszą relację o bitwie do Nowego Jorku równo dziesięć godzin wcześniej od Matthews'a, pojechałem z powrotem, wykonałem cały atak z piechotą, wkroczyłem do miasta za kompanią dynamitardów i trzema kompaniami piechoty, opisałem to, pojechałem z powrotem i miałem większość cudownej relacji o walce dom po domu, gotową do przekazania telegraficznie...”<sup>38</sup>.

Kłamał również, że był pierwszy w oswobodzonym Paryżu w roku 1944.

Okazał się kłamcą również i w sprawach seksualnych. Jedną z jego najbardziej wyborszych historyjek włoskich, często przez niego powtarzanych, była opowieść o tym, jak został więźniem seksualnym pewnej Sycylijki, właścicielki hotelu, która schowała mu ubranie, co zmusiło go do cudzołożenia z nią przez tydzień. Opowiadał Bernardowi Berensonowi, adresatowi wielu kłamliwych listów, że gdy skończył *Słońce też wschodzi* i dorwał się do dziewczyny, powróciła niespodziewanie jego żona i musiał dziewczynę wyprowadzić przez dach - nie było w tym jednak ani żdźbła prawdy.

Kłamał na temat swej słynnej walki z zazdrości z „tym [Harrym] Loebem” w Pamplonie, w roku 1925, mówiąc, że Loeb miał broń i groził, że go zastrzeli (incydent ten był zmieniony w *Słońce też wschodzi*). Opowiadał kłamstwa o wszystkich swoich małżeństwach, rozwodach i ugodach, zarówno z zainteresowanymi kobietami, jak i swoją matką. Kłamstwa wobec trzeciej żony, Marty Gellhorn, tak jak i o niej samej, były szczególnie zuchwałe. Ona z kolei uznała go za „największego kłamcę od czasu Munchhausena”. Podobnie jak niektórzy inni pisarze-łgarze, Hemingway pozostawiał fałszywe tropy: niektóre z jego najbardziej frapujących opowiadań, na pozór autobiograficznych - jak o tym świadczy przynajmniej liczba danych w nich zawartych - mogą być zwykłymi wymysłami. Można spokojnie powiedzieć, że Hemingway miał mało szacunku dla prawdy.

W rezultacie przystosował się do tej „marnej, nieuczciwej dekady”, do lat trzydziestych. Hemingway nigdy nie miał konsekwentnego systemu przekonań politycznych, jego etyka dotyczyła właściwie osobistych wierności. Jego dawny przyjaciel, Dos Passos, tak o nim powiada: jako młody człowiek „miał jeden z najbardziej przenikliwych umysłów, zdolnych demaskować ambicje polityczne, w jakie się kiedykolwiek pakowałem”<sup>39</sup>. Trudno jednak znaleźć wiele dowodów na to twierdzenie.

W wyborach roku 1932 Hemingway popierał socjalistę, Eugene'a Debsa. Jednak już w roku 1935 stał się w wielu sprawach usłużnym wyrazicielem linii partii komunistycznej. W numerze organu partii komunistycznej „New Masses” z 17 września 1935 zamieścił gwałtowny artykuł *Who killed the vets* („Kto zabił weteranów?”), oskarżając rząd o śmierć, podczas huraganu na Florydzie, 450 byłych kombatantów-pracowników kolei, zatrudnionych przy robotach federalnych. Było to typowe ćwiczenie z komunistycznej roboty propagandowej.

Hemingway przez całą tę dekadę był przekonany, jak się wydaje, że partia komunistyczna jest jedynym prawdziwym i wiarygodnym przewodnikiem antyfaszystowskiej krucjaty i że zdradą jest jej krytyka lub udział w działalności prowadzonej poza jej kontrolą. Twierdził wtedy, że ktokolwiek ma poglądy antykomunistyczne, jest „albo głupcem, albo kanalią”, i nie pozwolił, by jego nazwisko widniało w czołówce nowego lewicowego magazynu „Ken”, wypuszczonego przez „Esquire”, gdy odkrył, że nie jest komunistyczny.

Ta postawa zadecydowała o jego odzwie na hiszpańską wojnę domową, którą powitał na gruncie zawodowym jako źródło materiału: „Wojna domowa to najlepsza wojna dla pisarza, jest najbardziej doskonała”<sup>40</sup>. Jednakże, co było dziwne wobec jego kodeksu etycznego, który zawierał szczegółowe zabezpieczenia na wypadek konfliktu wierności, siły tradycji lub różnego pojmowania sprawiedliwości, Hemingway poparł, od początku do końca, stanowisko partii komunistycznej w sprawie wojny w całej jej brutalności.

Czterokrotnie odwiedził front wiosną i jesienią 1937 oraz wiosną 1938, ale zanim wyjechał z Nowego Jorku, już zdecydował, o co chodzi w tej wojnie domowej, i udzielił swego nazwiska propagandowemu filmowi *Spain in Flames* („Hiszpania w ogniu”) wraz z Dos Passosem, Lillian Hellman i Archibaldem MacLeish.

Pisał wtedy: „Moje sympatie są zawsze po stronie wyzyskiwanej klasy pracującej i jestem przeciw próżniaczym obszarnikom, nawet jeśli piję z obszarnikami i strzelam z nimi do gołębi”. Komuniści to „lud tego kraju” i wojna była walką między „ludem” a „obszarnikami, Marokańczykami, Włochami i Niemcami”. Oświadczył, że lubi i szanuje hiszpańskich komunistów, „najlepszych” w tej wojnie<sup>41</sup>.

Zgodnie z polityką partii komunistycznej linia postępowania Hemingwaya polegała na współbrzmieniu z rolą Związku Sowieckiego, zwłaszcza w kierowaniu bezwzględными działaniami partii komunistycznej w splamionej krwią polityce wewnętrznej Republiki Hiszpańskiej.

Doprowadziło go to do skandalicznego zerwania z Dos Passosem. Tłumaczem Dos Passosa był Jose Robles, dawny wykładowca Johns Hopkins University, przyjaciel Andresa Nina, przywódcy anarchistycznej organizacji POUM. Robles był także tłumaczem generała Jana Antonowicza Berzina, szefa sowieckiej misji wojskowej w Hiszpanii, i dlatego znał niektóre tajemnice konszachtów Moskwy z madryckim ministerstwem obrony. Berzin został zamordowany przez Stalina, który potem wydał polecenie hiszpańskiej partii komunistycznej, aby zlikwidować POUM. Nin został zamęczony na śmierć, setki innych aresztowano, oskarżono o działalność faszystowską i rozstrzelano. Także Roblesa oskarżono o szpiegostwo i skrycie zastrzelono. Dos Passos niepokoił się jego zniknięciem. Hemingway, który uważał się za nadzwyczaj doświadczonego w sprawach polityki, a Dos Passosa za naiwnego żółtodzioba, wyśmiał jego obawy.



Hemingway zatrzymał się w Gaylord's Hotel w Madrycie, potem odwiedzał bossów partii komunistycznej i zapytał swego bliskiego przyjaciela Pepe Quintanilla (który, jak się potem okazało, był odpowiedzialny za większość komunistycznych egzekucji), co się stało z Roblem. Otrzymał zapewnienie, że Robles żyje i ma się dobrze, oczywiście przebywa w więzieniu, ale będzie miał bezstronny proces. Hemingway uwierzył w to i przekazał Dos Passosowi.

W rzeczywistości Robles wtedy już nie żył, i gdy Hemingway o tym się w końcu dowiedział - od dziennikarza, który właśnie przybył do Madrytu - powiedział Dos Passosowi, że to jasne, że Robles był winien jak wszyscy diabli i tylko głupiec może myśleć, iż było inaczej. Dos Passos, bardzo przygnębiony, odmówił uznania winy Roblesa i publicznie zaatakował komunistów. Wywołało to naganę Hemingwaya: „W Hiszpanii toczy się wojna między ludźmi, którym zwykle sprzyjałeś, i faszystami. Jeśli nienawidząc komunistów uważasz, że masz prawo atakować za pieniądze ludzi, którzy wciąż walczą w tej wojnie, sądzę, że powinieneś ustalić fakty”. Jak się okazało, Dos Passos właściwie ustalił fakty, a Hemingway okazał się naiwny, łatwowierny i wystrychnięty na dudka<sup>42</sup>.

Pozostał taki do końca wojny, a nawet przez pewien czas po wojnie. Szczyt jego współdziałania z komunistami przypadł na dzień 4 czerwca 1937, gdy przemawiał na II Kongresie Pisarzy, który Komunistyczna Partia USA zorganizowała w nowojorskiej Carnegie Hali. Hemingway podkreślił, że pisarze muszą walczyć z faszyzmem, bo jest to jedyny reżim, który nie pozwoli im mówić prawdy, oraz że intelektualiści mają obowiązek udać się do Hiszpanii i działać tam sami - powinni skończyć z kłótnią o sprawy doktrynalne, wstać z fotela i pójść walczyć: „Toczy się tam teraz i toczyć się będzie jeszcze długo wojna dla każdego pisarza - niech sam jedzie i zobaczy”<sup>43</sup>.

Hemingway był z pewnością naiwniakiem. Jednakże świadomie uczestniczył w kłamstwie, jasno bowiem wynika z jego opowieści o wojnie hiszpańskiej, *Komu bije dzwon*, że był świadom ciemnej strony sprawy republikańskiej i prawdopodobnie znał od początku część prawdy o Komunistycznej Partii Hiszpanii. Opublikował swą książkę dopiero w roku 1940, gdy było już po wszystkim. Dopóki jednak toczyła się wojna, Hemingway zajmował to samo stanowisko co ci, którzy próbowali przemilczeć *W holdzie Katalonii* George'a Orwella, zataić prawdę, która przeszła długą drogę, wyprzedzona przez polityczne i wojskowe konieczności. Było to dość dziwne jeszcze pod innym względem, bowiem Hemingway nie wykazał skłonności, by zastosować się do własnych wskazówek i „badać wojnę”. Gdy Ameryka poważnie włączyła się do krucjaty przeciw nazizmowi w roku 1941, Hemingway się nie przyłączył. Kupił sobie dom, Finca Vigia, w pobliżu Hawany, który pozostał jego główną siedzibą do końca życia. Sukces *Komu bije dzwon*, jednego z największych bestsellerów stulecia, przyniósł mu olbrzymi dochód i Hemingway chciał się nim cieszyć, szczególnie ulubionym sportem - dalekomorskimi połowami ryb. Skutkiem tego był inny wstydlivy epizod jego życia, znany jako „fabryka kanciarzy”<sup>44</sup>.

Hemingway miał duże skłonności do nawiązywania przyjaźni wśród miejskiego półświatka, zwłaszcza w krajach o języku hiszpańskim. Lubił zadawać się z podejrzanymi typami, z których tworzono *cuadrillas* matadorów, ze stałymi bywalcami nadbrzeżnych kawiarni, sutenerami i prostytutkami, policyjnymi kapusiami, którzy ciepło reagowali na stawiane przez niego drinki i dawane napiwki.

W roku 1942 w wojennej Hawanie Hemingwaya prześladować zaczęła obawa nieuniknionego - jego zdaniem - niebezpieczeństwa przewrotu faszystowskiego. Na Kubie mieszkało wówczas, jak dowodził, trzysta tysięcy osób pochodzenia hiszpańskiego, w tym od piętnastu do trzydziestu tysięcy „wściekłych falangistów”. Mogą oni urządzić powstanie i obrócić Kubę w nazistowską placówkę u progu Ameryki. Ponadto, jak mówił, otrzymał wiarygodne informacje, że niemieckie łodzie podwodne krążą po wodach wokół Kuby; obliczył też, że flota tysiąca łodzi podwodnych może wysadzić na Kubie trzydziestotysięczną

armię nazistowską, wspomagającą powstańców. Trudno powiedzieć, czy sam wierzył w te fantastyczne zapowiedzi: przez całe życie był mieszaniną powierzchownej sofistyki, pokrywającej głęboką łatwowierność niemal w każdej dziedzinie. Mogła na niego wywrzeć wpływ szpiegowska powieść Erskine Childersa, *The Riddle of the Sands*. Niewątpliwie Hemingway przekonał ambasadora USA, Spruille'a Bradena, bogatego kompana od picia i sportu, że coś trzeba zrobić.

Hemingway zaproponował, że zwerbuje i będzie dowodził grupą agentów spośród lojalnych przyjaciół z półświatka. Mieliby pilnować podejrzanych faszystów, a jednocześnie on użyłby swego dalekomorskiego jachtu motorowego, odpowiednio uzbrojonego, do patrolowania rejonu odwiedzanego przez U-Booty, próbując wywabić choć jednego na powierzchnię. Braden zaaprobował plan i później starał się go sobie przypisać<sup>45</sup>. Hemingway otrzymywał tysiąc dolarów miesięcznie dla opłacenia sześciu pełnoetatowych agentów i dwudziestu tajnych, wybranych spośród jego kawiarnianych *cuadrillas*. Ważniejszy był, w czasach ścisłego racjonowania, miesięczny przydział stu dwudziestu dwóch galonów paliwa dla jego jachtu, na którym zamontowano ciężki karabin maszynowy i przydzielono porcję ręcznych granatów.

„Fabryka kanciarzy”, jak ją nazwał, podniosła prestiż Hemingwaya w pijackich środowiskach Hawany, ale nie ma żadnych danych, że wykryła ona chociaż jednego faszystowskiego szpiega. Przede wszystkim Hemingway zrobił błąd, płacąc więcej za pasjonujące raporty.

FBI, które traktowało przedsięwzięcie rywali z możliwie największą dezaprobatą, poinformowało Waszyngton, że siatka Hemingwaya wyprodukowała jedynie „niejasne i nieuzasadnione raporty o sensacyjnym charakterze ... Jego dane były prawie na pewno bezwartościowe”. Hemingway, świadomy wrogości FBI, odciął się, że wszyscy agenci FBI są irlandzkiego pochodzenia, rzymskimi katolikami, poplecznikami Franco oraz „uciekierami od poboru”. Zdarzyło się kilka niedorzecznych incydentów, zbyt nieprawdopodobnych w jakiegokolwiek szpiegowskiej opowieści, w tym raport jednego z agentów Hemingwaya o „złowieszczej paczce” w barze Basque, która, jak się okazało, zawierała tanie wydanie *Życia św. Teresy z Avila*. Co do patroli przeciw łodziom podwodnym, potwierdziły się poglądy krytyków Hemingwaya, że potrzebował paliwa do swoich wypraw na ryby. Jeden ze świadków stwierdzał: „Nie zrobili, do cholery, niczego, zupełnie nic. Pływali sobie i świetnie się bawili”.

Epizod ten doprowadził do jednej z brutalnych kłótni Hemingwaya. Otóż, wśród ludzi przez niego najbardziej podziwianych w Hiszpanii był generał Duran, który jako „Manuel” inspirował go w tworzeniu postaci Roberta Jordana, bohatera powieści *Komu bije dzwon*. Duran spełniał wszystkie wymagania Hemingwaya - był intelektualistą, który stał się mistrzem strategii. Był muzykiem, przyjacielem Manuela de Falli i Andresa Segovii, członkiem przedwojennej elity intelektualnej Hiszpanii. Wyznawał pogląd, który Hemingway popierał, że „współczesna wojna” wymaga „inteligencji, jest to robota dla intelektualisty ... Wojna to także poezja, tragiczna poezja”<sup>46</sup>.

W roku 1934 Duran otrzymał od dowództwa armii hiszpańskiej przeniesienie do rezerwy, jednak na początku wojny domowej powołano go ponownie do służby czynnej - szybko okazał się wybitnym generałem, ostatecznie dowodził 20. korpusem. Po upadku republiki bez powodzenia zgłaszał się na ochotnika do armii brytyjskiej i amerykańskiej.

Gdy Hemingway wymyślił plan „fabryki kanciarzy”, użył swych wpływów, by Duran został przydzielony do ambasady amerykańskiej w Hawanie, i powierzył mu prowadzenie całej akcji. Generał i jego żona Bonte, z pochodzenia Angielka, bywali wówczas gośćmi w Finca. Duran jednak szybko zrozumiał, że cała sprawa zakrawa na farsę i jest stratą czasu. Zwrócił się o inną pracę, doszło wtedy do ostrej kłótni, z udziałem Bonte i ówczesnej żony Hemingwaya, Marty, a skończyło się wybuchem na lunchu w ambasadzie. Hemingway nie

rozmawiał już nigdy z Duranem, z wyjątkiem przypadkowego spotkania w maju 1945, gdy pisarz zadrwił: „Całkiem niezłe udało ci się trzymać z dala od wojny”.

Był to charakterystyczny ton, jaki przybierały spory Hemingwaya z dawnymi przyjaciółmi. Jak na człowieka, który wychwalał w swym kodeksie postępowania i powieściach cnoty przyjaźni, zadziwiająco trudno mu było zachować przyjaźń dłuższy czas. Podobnie jak bywało to z wieloma intelektualistami, na przykład z Rousseau i Ibsenem, jego kłótnie z przyjaciółmi-pisarzami odznaczały się szczególną zajadłością.

Hemingway był niezwykle zazdrosny, nawet jeśli przyłożyć normy życia literackiego, zazdrosny o talent i powodzenie innych.

Do roku 1937 Hemingway pokłócił się z każdym pisarzem, jakiego wówczas znał. Warto wspomnieć o jednym godnym uwagi wyjątku, który dobrze o nim świadczy. Jedynym pisarzem, którego nie atakował w swej autobiografii, był Ezra Pound, od pierwszej do ostatniej strony pisał o nim z aprobatą. Od początku znajomości podziwiał bezinteresowną życzliwość Pounda dla innych pisarzy. Hemingway przyjmował od Pounda ostrą krytykę, jakiej by nie przyjął od nikogo innego, w tym trafną radę w roku 1926, by zajął się raczej powieścią, a nie publikował jeszcze jeden tom opowiadań. Wydaje się, że Hemingway podziwiał u Pounda cnotę, której - o czym wiedział - on sam był pozbawiony: całkowitego braku zawodowej zazdrości<sup>47</sup>.

Gdy Pound był w roku 1945 zagrożony karą śmierci za zdradę, to jest za wygłoszenie w czasie wojny ponad trzystu felietonów radiowych na rzecz Osi, Hemingway właściwie uratował mu życie. Dwa lata wcześniej, gdy Pound został oficjalnie oskarżony, Hemingway argumentował: „On oczywiście zwariował. Myślę, że można udowodnić, że on zwariował już wtedy, gdy pisał ostatnią *Cantos* ... Ma on za sobą długą historię szczodrobliwości i bezinteresownej pomocy innym artystom, jest jednym z największych żyjących poetów”. W tym wypadku zasługą Hemingwaya była udana obrona Pounda jako obłąkanego, uwięzienie w szpitalu dla umysłowo chorych i uratowanie od komory gazowej<sup>48</sup>.

Hemingway uniknął także konfliktu z Joyce'em, być może z braku okazji lub dlatego, że zawsze podziwiał jego dzieło, a pewnego razu powiedział, że Joyce „to jedyny żyjący pisarz, którego zawsze poważałem”. O reszcie przykro wspominać. Kłócił się z Fordem Madoxem Fordem, Sinclairem Lewisem, Gertrudą Stein, Maxem Eastmanem, Dorothy Parker, Haroldem Loebem, Archibaldem MacLeishem, a także wieloma innymi.

Jego literackie kłótnie uwydatniały zarówno zadziwiającą domieszkę brutalnej złośliwości, jak i skłonności do łągarstwa. Oczywiście, wiele jego najgorszych kłamstw dotyczyło innych pisarzy. Dał na przykład w swojej autobiografii potwornie fałszywy portret Wyndhama Lewisa („W Lewisie nie było widać zła; po prostu wyglądał paskudnie ... Te oczy ... były oczami zawiedzionego gwałciciela”), widocznie w odwecie za pewną krytykę jego dzieła wypowiedzianą przez Lewisa<sup>49</sup>.

W tej samej książce opowiada stek kłamstw na temat Scotta Fitzgeralda i jego żony Zeldy. Zelda dotknęła do żywego Hemingwaya, choć Fitzgerald podziwiał i lubił go, i nie uczynił mu żadnej krzywdy, natomiast powtarzające się ataki Hemingwaya na tego delikatnego i poranionego człowieka są trudne do zrozumienia, chyba że w kategoriach nieubłaganej zazdrości. Według Hemingwaya Fitzgerald zwierzył mu się: „Wiesz, że nigdy nie spałem z nikim, prócz Zeldy ... Zelda powiedziała, że z powodu mojej budowy nie uszczęśliwię żadnej kobiety, i to właśnie wytrącało ją pierwotnie z równowagi”. Obaj wyszli do toalety męskiej i Fitzgerald wyjął penisa, a Hemingway wielkodusznie zapewnił go: „Jesteś całkowicie w porządku”. Epizod ten jest, jak się wydaje, czystą fantazją.

Najbardziej nieubłagany konflikt poróżnił Hemingwaya z Dos Passosem, szczególnie bolesny ze względu na ich długą znajomość. Niewątpliwie przyczyną była zazdrość: Dos Passos znalazł się na okładce „Time'a” w roku 1936, Hemingway musiał czekać jeszcze cały rok.

Później doszło do incydentu z Roblesem w Hiszpanii, po czym nastąpiła kłótnia w Nowym Jorku zarówno z Dos Passosem, jak i z jego żoną Kate, z którą Hemingway przyjaźnił się jeszcze dłużej. Hemingway nazwał Dos Passosa próżniakiem, który pożyczycza pieniądze, ale nigdy ich nie zwraca, a jego żonę - kleptomanką; naigrawał się też wiele z jego portugalskich przodków i z rzekomego nieprawego pochodzenia. Hemingway próbował zamieścić te potwarze w *Mieć i nie mieć* (1937), ale na drodze prawnej został zmuszony przez wydawców do ich usunięcia. W roku 1947 mówił Williamowi Faulknerowi, że Dos Passos jest „okropnym snobem (z uwagi na to, że jest bękartem)”.

W zamian Dos Passos sportretował Hemingwaya pod postacią odpychającego George'a Elberta Warnera w *Chosen Country* (1951), co spowodowało, że Hemingway poinformował szwagra Dos Passosa, Billa Smitha, że na Kubie „trzyma sforę złych psów i kotów wyćwiczonych w rzucaniu się na portugalskich bękartów, którzy pisują kłamstwa o swych przyjaciółach”. Wypuścił w Dos Passosa ostatni kołczan pocisków w *Ruchomym święcie*, nazwał go niebezpieczną rybą-pilotem, prowadzącą takie rekiny, jak Gerald Murphy, prosto po zdobycz, i oskarżył go o zniszczenie swego pierwszego małżeństwa<sup>50</sup>.

To ostatnie twierdzenie było oczywiście kłamliwe, bo Hemingway nie potrzebował niczyjej pomocy w niszczeniu swych małżeństw. W powieściach często pisał o kobietach z dużym zrozumieniem. Dzielił z Kiplingiem dar urozmaicenia swego zwykłego męskiego podejścia nieoczekiwaną i wysoce skuteczną prezentacją kobiecego punktu widzenia. Nie brakowało nawet wszelkiego rodzaju domysłów o kobiecej, transwestyckiej lub transseksualnej domieszce u Hemingwaya, co wynikało z widocznej obsesji na punkcie włosów, zwłaszcza krótkich włosów u kobiet, przypisywanej temu, że matka odmawiała ubierania go w chłopięce ubranka i nie obcinała mu włosów przez długi czas<sup>51</sup>.

Jest jednak niewątpliwe, że Hemingway natrafiał na duże trudności w stworzeniu jakiegokolwiek ucywilizowanego stosunku z kobietą, w każdym razie na dłuższy czas, chyba że opartego na jej całkowitym uzależnieniu.

Jedyną kobietą w jego własnej rodzinie, którą lubił, była młodsza siostra Ursula - „moja śliczna siostrzyczka Ura”, jak ją nazwał - bo uwielbiała go i była jego niewolnikiem. W roku 1950 opowiadał jednemu z przyjaciół, że gdy powrócił z wojny w 1919, Ursula, wówczas siedemnastoletnia dziewczyna, „zwykle na mnie czekała, śpiąc na schodach wiodących do mojego pokoju na trzecim piętrze. Chciała się obudzić, gdy wracałem, bo ktoś jej powiedział, że źle mężczyźnie pić samemu. Chciała się napić ze mną czegoś lekkiego, zanim pójde spać, a później położyć się obok mnie, bym nie był sam w nocy”. Spaliśmy zawsze przy zapalonym świetle, chyba że ona czasami je gasiła, jeśli widziała, że śpię, ale wstawała i zapalała światło, gdy widziała, że się budzę”<sup>52</sup>.

Może to wszystko zmyślił, może tak właśnie wyobrażał sobie ideał zachowania kobiety wobec niego; tak czy inaczej, nie zamierzał szukać takiej uległości w prawdziwym dorosłym życiu. Tak się jednak złożyło, że trzy z czterech jego żon były niezwykle uległe, tak jak nakazywały dwudziestowieczne wzorce amerykańskie, ale to mu nie wystarczało. Hemingway potrzebował urozmaicenia, zmiany, także i dramatu.

Jego pierwsza żona, Hadley Richardson, była o osiem lat od niego starsza i miała całkiem niezły kapitał, z którego korzystał, dopóki jego książki nie zaczęły się rozchodzić w dużych nakładach. Była zgodną, uprzejmą kobietą, atrakcyjną do czasu, kiedy przybrała na wadze podczas ciąży z pierwszym dzieckiem Hemingwaya, Jackiem („Bumby”); później nie udało się jej zrzucić nadwagi<sup>53</sup>.

Hemingway nie miał skrupułów pieszcząc inne kobiety w jej obecności, jak na przykład głośną Lady Twysden, z domu Dorothy Smurthwaite, występującą w *Słońce też wschodzi* jako Brett Ashley, z którą flirtował na Montparnasse i która była powodem jego kłótni z Haroldem Loebem.

Hadley przełknęła to upokorzenie, również i romans Hemingwaya z Pauline Pfeiffer, seksowną, szczupłą dziewczyną, o wiele bogatszą od Hadley - jej ojciec był jednym z największych właścicieli ziemskich i spekulantów zbożem w stanie Arkansas. Pauline uległa z kretesem urokowi Hemingwaya i w końcu go uwiodła. Kochająca się para przekonała później Hadley, by zgodziła się na urządzenie *menage a trois* - jak pisała gorzko z Juan-les-Pins w roku 1926; „Mamy trzy tace śniadaniowe, trzy mokre kostiumy kąpielowe suszą się na sznurze, stoją w domu trzy rowery”.

Gdy ta sytuacja przestała ich zadowalać, wypchnęli Hadley na próbną separację, później doprowadzili do rozwodu. Zgodziła się, pisząc do Hemingwaya: „Wzięłam cię na dobre i na złe (i to właśnie miałam na myśli)”. Rozwiązanie było szlachetne z jej strony i uradowany Hemingway pisał do niej przesadnie: „...być może najszczęśliwsze dla Bumby zawsze będzie to, że to ty właśnie jesteś jego matką ... jakże podziwiam twoje szczere myśli, twój umysł i serce, twoje kochane ręce i modłę się zawsze do Boga, by wynagrodził ci ten wielki ból, jaki ci zadałem, najlepszej, najwierniejszej i najukochańszej osobie, jaką znałem kiedykolwiek”<sup>54</sup>. Jest nieco szczerości w tym liście - rzeczywiście Hemingway uznał postępowanie Hadley za szlachetne. Jeszcze zanim poślubił Pauline, zaczął kształtować legendę o świętości Hadley. Pauline ze swej strony odnotowała bezinteresowne podejście Hadley do rozwodu i postanowiła, że Hemingway nie będzie tak szczęśliwy następnym razem. Użyła swych pieniędzy, by uczynić ich życie bardziej dostatnim, kupując i upiększając wspaniały dom w Key West na Florydzie, który niejako wprowadził Hemingwaya w świat dalekomorskich wypraw na ryby, przez niego tak ukochany.

Pauline dała mu syna Patricka, ale gdy w roku 1931 oświadczyła, że będą mieli następne dziecko (Gregory'ego), ich małżeństwo zaczęło się rozpadać.

Hemingway przebywał teraz chętnie w Hawanie, gdzie zaprzyjaźnił się z Jane Mason, jasnoblond pięknoscią, o czternaście lat od niego młodszą, żoną kierownika filii linii lotniczych Pan-American Airways na Kubie. Była szczupłą, ładną pierwszorzędną sportsmenką, sporo pijącą, uwielbiającą wałęsanie się po mieście od baru do baru z kumplami Hemingwaya od kieliszka, lubiącą prowadzić brawurowo samochody sportowe. Pod wieloma względami była idealną heroiną Hemingwaya, ale ulegała także depresjom i nie potrafiła kierować swoim skomplikowanym życiem. Próbowwała popełnić samobójstwo i udało się jej złamać kręgosłup, wtedy Hemingway stracił dla niej zainteresowanie.

Tymczasem Pauline podjęła rozpaczliwe kroki, by odzyskać męża. Ojciec - pisała do Hemingwaya - dał jej właśnie dużą sumę pieniędzy - czy nie potrzebuje trochę? „Nie ma końca tym brudnym pieniądzom ... Daj mi znać i nie sprowadzaj żadnej kobiety. Kochająca Cię, Pauline”.

Zbudowała mu basen kąpielowy w Key West i pisała do niego: „Chciałabym, byś spał w moim łóżku, kąpał się w mojej łazience i pił moją whisky ... Drogi Papo, proszę, przyjeźdź tak szybko, jak tylko będziesz mógł”. Udała się do chirurga wykonującego operacje plastyczne: „Mam duży nos, niekształtne usta, sterczące uszy, ale brodawki i pieprzyki usunięto mi wszystkie przed wyjazdem na Kubę”.

Ufarbowała nawet na ciemno włosy koloru złota, które jej okropnie wychodziły. Jednakże nie udała się w podróż na Kubę. Hemingway wysłał po nią łódź, ale nie zabrał jej na pokład. W *Mieć i nie mieć* zawarł ostrzeżenie: „Im lepiej będziesz się obchodzić z mężczyzną i im bardziej okazywać mu będziesz miłość, tym szybciej poczuje się tobą zmęczony”.

Ponadto jak ktoś, kto czując się winny, zrzuca winę na drugich, uznał, że Pauline jest odpowiedzialna za rozpad jego pierwszego małżeństwa i zasłużyła na to, co ją teraz miało spotkać.

Tym razem była to Marta Gellhorn, gorliwie dociekliwa dziennikarka i pisarka, podobnie jak Hadley absolwentka żeńskiego college'u Bryn Mawr, i - jak większość

hemingwayowskich kobiet - pochodząca z bezpiecznej, zamożnej, średniej klasy Środkowego Zachodu. Była wysoką niebieskooką blondynką o zadziwiająco długich nogach, blisko dziesięć lat młodszą od Hemingwaya. Pisarz spotkał ją po raz pierwszy w Key West w barze Sloppy'ego Joe w grudniu 1936, w następnym roku zaprosił do odwiedzenia go w Hiszpanii. Spełniła jego życzenie, a doświadczenie, jakiego doznała, było dla niej niespodzianką, bynajmniej nie dlatego, że powitał ją kłamstwem: „Wiedziałem, Cóрко, że przyjedziesz tutaj, dlatego że to ja załatwiłem, byś mogła przyjechać” - było to zupełną nieprawdą, czego była świadoma. Nalegał również na zamykanie jej pokoju z zewnątrz, „tak by żaden mężczyzna jej nie niepokoił”<sup>55</sup>.

Marta odkryła, że w jego pokoju w hotelu Ambos Mundos panuje obrzydliwy bałagan: „Ernest był wielkim brudasem ... jednym z najbardziej niewybrednych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam” - pisała później. Hemingway odziedziczył po ojcu upodobanie do kanapek z cebulą i w Hiszpanii rozkoszował się przyrządzaniem ich z dużej różnorodności miejscowych odmian, chrupiąc je i pociągając whisky od czasu do czasu ze srebrnej płaskiej flaszki, co było godnym uwagi połączeniem. Marcie często dokuczały nudności, i jest prawdopodobne, że nigdy nie miała z nim stosunku fizycznego. Nie chciała mieć z nim nigdy dzieci, później adoptowała jedno („Nie potrzeba mieć dziecka, jeśli można je kupić. To właśnie zrobiłam”).

Wyszła za Hemingwaya przede wszystkim dlatego, że był słynnym pisarzem, którym ona starała się bardzo gorliwie zostać: miała nadzieję, że spłynie na nią jego literacka charyzma. Pauline walczyła jednak zawzięcie o zatrzymanie męża, a gdy poczuła, że przegrywa, pamiętając o łatwym rozwiązaniu w przypadku Hadley, nalegała na takie, które byłoby trudne i opóźniło rozwód. Zanim sprawa dobiegła końca, Hemingway był skłonny winić Martę o rozbitcie ostatniego małżeństwa; przyjaciele zapewniali o rażących publicznych kłótniach już we wczesnym okresie ich związku.

Marta była niewątpliwie najsprytniejszą i najbardziej zdecydowaną z żon Hemingwaya, i ich małżeństwo nie miało nigdy żadnej szansy przetrwania. Po pierwsze, przeciwstawiła się mocno jego picu i brutalności, którą ono powodowało. Gdy pewnego razu, w końcu roku 1942, prowadziła samochód w drodze do domu, bo on pił na przyjęciu, doszło do sprzeczki i Hemingway uderzył ją wierzchem dłoni. Marta zwolniła bieg jego Lincolna, wozu bardzo wówczas drogiego, i skierowała go prosto na drzewo, zostawiając Hemingwaya w samochodzie<sup>56</sup>.

Później wynikła sprzeczka o czystość w domu: Marta sprzeciwiła się stanowczo trzymaniu sfory dzikich kocurów w domu na Kubie, śmierdziały one okropnie i pozwalano im spacerować po zastawionym stole. Gdy Hemingwaya nie było w domu w roku 1943, Marta spowodowała wykastrowanie kocurów, co wywołało gwałtowny pomruk Hemingwaya: „Okaleczyła moje koty!”<sup>57</sup>.

Poprawiała jego francuską wymowę, podawała w wątpliwość jego znajomość win francuskich, wyśmiewała „fabrykę kanciarzy” i napomykała każdemu, że Hemingway powinien być bliżej walk toczących się akredytację wydaną przez „Collier's”, dla którego ona również pracowała, i pomimo jej wściekłości zostawił ją i pojechał. Popędziła za nim do Londynu i znalazła go, w 1944, mieszkającego w brudzie, jak zwykle; puste butelki po whisky turlały się pod łóżkiem.

Był to początek końca. Kiedy wrócili na Kubę, potrafił budzić ją w środku nocy, kładąc się spać po zakończonej pijatyce. „Gdy próbowałam spać, budził mnie, by się nade mną natrzasać, warczeć i drwić - moją zbrodnią było to, że musieliśmy być na wojnie, choć on nie musiał, ale to nie było tak, jak on teraz utrzymywał. Ja byłam podobno obłąkana, pragnęłam tylko podniecenia i niebezpieczeństwa, nie poczuwałam się do odpowiedzialności wobec nikogo, byłam egoistką ponad wszelką miarę. Ciągnęło się to bez końca i, wierz mi, było nieznośne i ohydne”<sup>58</sup>.

On zaś groził: „Zamierzam wystarać się o kogoś, kto zechce ze mną pozostać i pozwoli mi być pisarzem rodziny”<sup>59</sup>.

Napisał obsceniczny wiersz *Do pochwy Marty Gellhorn*, którą porównywał do pomarszczonej szyjki starego termoforu; wiersz ten czytał każdej kobiecie, jaką udało mu się zaciągnąć do łóżka. Stawał się, jak skarżyła się Marta, „z każdym rokiem coraz bardziej obłąkany”. Prowadziła „życie niewolnicy z brutalnym panem” i wreszcie odeszła. Syn jego, Gregory, komentował: „On właściwie Martę torturował, a gdy zniszczył całą jej miłość i ona go opuściła, twierdził, że to ona go porzuciła”<sup>60</sup>.

Rozeszli się w końcu 1944 roku, i to na mocy prawa kubańskiego: ponieważ ona odeszła, on zatrzymywał wszystko, co do niej należało. Oświadczył też, że małżeństwo z nią było jego „największym życiowym błędem”, i w długim liście do Berensona wymieniał jej wady, oskarżał o zdradę („królik”), twierdził, że nigdy nie widziała, jak umiera człowiek, a zarobiła więcej pieniędzy na opisywaniu okrucieństwa niż jakakolwiek inna kobieta od czasów Harriet Beecher Stowe - było to wszystko nieprawdą.

Czwarte i ostatnie małżeństwo Hemingwaya trwało aż do jego śmierci, głównie dlatego, że tym razem jego protagonistka, Mary Welsh, była zdecydowana trzymać się go bez względu na to, co się stanie. Pochodziła z zupełnie odmiennej klasy niż wszystkie poprzednie żony Hemingwaya, była córką drwala z Minnesoty. Nie mogła mieć żadnych złudzeń na temat mężczyzny, za którego wychodziła za mąż. Na samym początku ich związku, w lutym 1945, upił się, opowiadając Mary w paryskim hotelu Ritz, co sądzi o jej mężu, australijskim dziennikarzu, Noelu Monksie - jego fotografię postawił na sedesie i posiekał strzałami z pistoletu, niszcząc muszlę klozetową i zalewając pokój<sup>61</sup>.

Mary była dziennikarką, współpracowniczką „Time'a”, nie tak ambitną i o tak wygórowanych pragnieniach jak Marta, ale pracowitą i przebiegłą. Zdając sobie sprawę, że Hemingway potrzebuje raczej żony- -służącej niż współzawodnika, zarzuciła zupełnie dziennikarstwo, by wyjść za niego, chociaż ciągle musiała znosić obelgi w rodzaju: „Nie musiałem pieprzyć się z generałami, by mieć materiał dla „Time'a”<sup>62</sup>. Nazywał ją „Kieszonkową Wenus Papy” i chępił się, ile to razy miał z nią stosunek: powiedział generałowi Charlesowi („Buck”) Lanhamowi, że łatwo mu uśmierzać Mary, bo „nawadnia ją czterokrotnie wieczorem” (gdy Lanham zapytał ją o to po śmierci Hemingwaya, westchnęła: „Żeby to tylko była prawda”)<sup>63</sup>.

Mary była zdecydowaną kobietą, menedżerem, było w niej coś z hrabiny Tołstoj. Wtedy, oczywiście, Hemingway, tak jak Tołstoj, cieszył się ogólnoswiatową sławą: prorok męskości, z napitkami, bronią, ubraniem typu safari, sprzętem kempingowym wszelkiego rodzaju, nazywanym od jego imienia. Gdziekolwiek się znalazł, w Hiszpanii, w Afryce, a zwłaszcza na Kubie, towarzyszył mu dwór serdecznych przyjaciół i lekkoduchów, czasem wędrowny cyrk, zwykle tkwiący na miejscu w Hawanie. Dworacy byli często tak ekscentryczni, jak u Tołstoja, moralnie gorszego gatunku, ale na swój sposób równie oddani.

Marta Gellhorn odnotowała kiedyś - jak się wyraziła - „bardzo zabawną rozczulającą scenę na Kubie”: Hemingway „czytający *Komu bije dzwon* gronu wyrosniętych, zamożnych, półpiśmiennych kumpli, strzelających do gołębi i łowiących z nim ryby, a teraz siedzących jak zaczarowani na podłodze”<sup>64</sup>.

Jednak z powodu jego okropnych zwyczajów rzeczywistość życia Hemingwaya była mniej dekoracyjna niż w Jasnej Polanie. Durie Shevlin, żona jednego z przyjaciół Hemingwaya, milionera, pozostawiła opis kubańskiej dekoracji z roku 1947: jacht niewygodny, po willi Finca włączają się oglupiałe koty i nie ma ciepłej wody. Nie ogolony Hemingway, śmierzący alkoholem i potem, mamrotał w pidgin English, który sobie przyswoił, i nałogowo powtarzał: „Kurze gówno”. Mary miała sporo roboty.

Powtarzały się, czasem rozmyślnie, upokorzenia, zwłaszcza że Hemingway kochał zaloty kobiet, szczególnie gdy były to kobiety czarujące, słynne i schlebiające. Była wśród

nich Marlena Dietrich, która śpiewała mu w łazience, gdy się golił, była Laureen Bacall („Jesteś nawet większy, niż sobie wyobrażałam”), Nancy „Slim” Hayward („Kochanie, jesteś taka wiotka i piękna”) i Virginia „Jigee” Viertel, należąca do paryskiego cyrku Hemingwaya: „Minęło półtorej godziny - wspominała Mary w ponurym nastroju - od czasu gdy wyszłam z pokoju »Jigee« Viertel, a Ernest powiedział: »Przyjdę za minutę«”.

W Madrycie były, jak mówił, „kurwy bojowe”; w Hawanie dziewczyny lekkich obyczajów z nabrzeża, które lubił pieścić w obecności Mary, jak niegdyś robił to z Dorothy Twysden pod niespokojnym spojrzeniem Hadley.

Gdy się zestarzał, dziewczyny, których pragnął, były coraz młodsze. Hemingway opowiadał raz Malcolmowi Cowleyowi: „Pieprzyłem każdą kobietę, jaką chciałem, i choć sporo ich zostało, to sądzę, że dam im radę”<sup>65</sup>.

To nigdy nie było prawdą, a stało się mniej prawdziwe po II wojnie światowej. W Wenecji zawróciła mu w głowie młoda kobieta, straszna i patetyczna, Adriana Ivancich, którą uczynił heroiną nieszczęsnej powieści powojennej *Za rzekę, w cień drzew* (1950). Była zimną i obojętną snobką, która chciała doprowadzić do małżeństwa, a ponadto, jak ujął to syn Hemingwaya, Gregory, „pilnowała jej stale matka z krzywym nosem”.

Hemingway nie szczędził gościnności niewątpliwie jednej z najokropniejszych par w historii literatury, a ponieważ Adriana miała ambicje artystyczne, zmusił opornego wydawcę do przyjęcia jej projektów okładek zarówno do *Za rzekę, w cień drzew*, jak i do utworu *Stary człowiek i morze* (1952), książki, która do pewnego stopnia przywróciła mu sławę i przyniosła nagrodę Nobla. Obie obwoluty musiały być poprawione. Adriana drwiła z Mary jako „niekulturalnej”, opinię tę echem powtarzał sam Hemingway, chwając wychowanie Adriany i cywilizowany sposób zachowania, przeciwstawiając jej dla kontrastu Mary, którą nazywał „markie-tanką” i „zamiataczką”<sup>66</sup>.

Dalsze upokorzenia oczekiwały ją podczas ostatniego wielkiego safari Hemingwaya zimą 1953-1954. Raził niesłychanym brudem, jego namiot stał się stertą nie używanej już bielizny i ubrań oraz pustych butelek po whisky. Dla jakichś tajemniczych powodów, łączących się z jego osobistą etyką, nosił stroje krajowców, ogolił głowę, ufarbował niektóre ze swoich ubrań na kolor pomarańczoworóżowy, tak jak to robią Masajowie, i nawet dźwigał ze sobą dzidę. Co gorsza, wziął sobie miejscową dziewczynę z plemienia Wakamba o imieniu Debba, którą strażnik zwierzyny na safari, Davis Zaphiro, nazwał „cuchnącym kawałkiem obozowego śmiecia”. Debba ze swoimi przyjaciółkami i Hemingwayem urządzali obrzędy, a raz nawet jego namiot się zawalił. Cały czas, jak utrzymuje Mary w swoim dzienniku, „trwał jego napastliwy i nieustanny monolog, brzęczący dzień i noc”<sup>67</sup>.

W roku 1959 nastąpiła ostatnia wielka wyprawa do Hiszpanii, kiedy to cyrk Hemingwaya podróżował z osiemdziesięcioma lub dziewięćdziesięcioma sztukami bagażu, śledząc letnie walki byków. Dziewiętnastoletnia Valerie Danby-Smith, córka przedsiębiorcy budowlanego z Dublina, spotkała się z Hemingwayem, by przeprowadzić wywiad dla belgijskiej agencji prasowej. Hemingway zakochał się w niej i nawet zapragnął z nią się ożenić, uznał jednak, że Mary jest lepszą żoną, która zadba o starego człowieka, naturalną ostatnią żoną - „żoną na drogę”.

Valerie została zaangażowana za 250 dolarów miesięcznie, przyłączyła się do cyrku i jechała na przednim siedzeniu samochodu w zasięgu pieszczącej ręki Hemingwaya, Mary zaś siedziała z tyłu. Ścierpiła to, uznając, że Valerie jest nieszkodliwa, a rozchmurzając Hemingwaya uczyniła go mniej gwałtownym - nawet po jego zgonie Mary wciąż ją zatrudniała; w końcu Valerie została żoną Gregory'ego Hemingwaya. Ale wówczas, w Hiszpanii, przyczyniła się do tego, że lato stało się „okropne, szkaradne i nędzne”<sup>68</sup>.

Czy Mary musiała wycierpieć więcej niż hrabina Tolstoj? Prawdopodobnie nie, w tym sensie, że Hemingway, w odróżnieniu od Tolstoja, był domatorem, pozbawionym chęci ucieczki na odludzie. Mary uczyła się hiszpańskiego, dobrze prowadziła dom i uczestniczyła



w większości jego sportowych wypraw. Hemingway napisał niegdyś o niej „raport”, wyliczając jej zalety: „świetna rybaczka, dość dobry strzelec, tęgi pływak, naprawdę dobry kucharz, dobry znawca wina, świetny ogrodnik, może prowadzić jacht lub dom po hiszpańsku”<sup>69</sup>. Nie współczuł jej jednak, gdy - jak często się zdarzało - doznawała kontuzji lub zranienia podczas wypraw myśliwskich. Zanotowała charakterystyczny dialog, jaki wywiązał się po jej bolesnym skaleczeniu:

- „- Byłabyś lepiej cicho!
- 2. Staram się być cicho.
- 3. Żołnierze tak się nie zachowują.
- 4. Ale ja nie jestem żołnierzem”<sup>70</sup>.

Nie brakowało szarpiących kłótni na oczach innych, scen przerażających gwałtów w zaciszu domu. Pewnego razu zrzucił jej maszynę do pisania, zniszczył popielniczkę, do której była przyzwyczajona, chlusnął jej winem w twarz i nazwał flejtuchem. Odpowiedziała, że jeśli próbuje się jej pozbyć, ona nie zamierza opuścić domu: „Jeśli potrafisz, spróbuj sprowokować mnie do odejścia, i tak ci się to nie uda ... Cokolwiek powiesz lub zrobisz, chyba że mnie zabijesz, co byłoby brudną sprawą, zamierzam tu pozostać i prowadzić ci dom i twoją Finca, dopóki pewnego dnia nie wejdiesz rankiem trzeźwy i nie powiesz mi, zgodnie z prawdą i bez ogródek, że chcesz, bym sobie poszła”<sup>71</sup>. Był jednak zbyt przezorny, by przyjąć tę ofertę.

Dzieci Hemingwaya były milczącymi i czasem bojaźliwymi świadkami jego burzliwego życia małżeńskiego. Gdy były małe, podrzucano je niankom i służącym, a tymczasem cyrk Hemingwaya toczył się przez świat.

Wiemy o jednej z nianiek, Adzie Stern, przedstawianej jako lesbijka. Bumby, najstarszy, przekupywał ją kradzionymi napitkami. Patrick modlił się, by trafiła do piekła, a Gregory, najmłodszy, bał się, że ona odejdzie<sup>72</sup>.

Gregory ostatecznie napisał demaskatorską i raczej gorzką książkę o swoim ojcu. Jako młody człowiek miał drobne kłopoty z policją kalifornijską. Matka jego, Pauline, od dawna rozwiedziona, zadzwoniła do Hemingwaya 30 września 1951 roku, by powiadomić go o tym i znaleźć u niego pocieszenie i wskazówki. Odpowiedział, że to ona jest temu winna: „Tak go właśnie wychowałeś!”. Nastąpiła gwałtowna sprzeczka między nimi, Pauline „krzyczała do słuchawki i łkała nie panując nad sobą”. W nocy obudził ją potworny ból, a nazajutrz zmarła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat na stole operacyjnym z powodu guza nadnercza. Stres emocjonalny mógł jej stan pogorszyć. Hemingway winił syna, ten zaś widział przyczynę w gniewie ojca. „To nie moje drobne kłopoty wyprowadziły matkę z równowagi, ale brutalna rozmowa telefoniczna, którą przeprowadziła na osiem godzin przed śmiercią.” Gregory notował w swojej książce: „Jest wspaniale być pod wpływem dominującej osobowości, dopóki ten ktoś jest zdrow, ale gdy butwieje mu dusza, w jaki sposób powiedzieć mu, że śmierdzi?”<sup>73</sup>.

W rzeczywistości Hemingway nie cierpiał na butwienie duszy. Był alkoholikiem. Alkoholizm był tak ważnym, właściwie głównym czynnikiem w jego życiu i twórczości, jak narkomania u Coleridge'a. Był klasycznym, podręcznikowym przykładem postępującego alkoholizmu, powodowanego przez chroniczną i prawdopodobnie odziedziczoną depresję, która się jeszcze pogłębiała. Hemingway zwierzył się raz Mac Leishowi: „Kłopot w tym, że całe życie, gdy sprawy miały się naprawdę źle, jeden drink pomagał widzieć wszystko w o wiele lepszym świetle”<sup>74</sup>.

Zaczął pić jako nastolatek; miejscowy kowal, Jim Dilworth, potajemnie dawał mu mocnego jabłecznika. Matka Hemingwaya zauważyła jego skłonności i zawsze obawiała się, że Ernest stanie się alkoholikiem (jest też opinia, że zaczął dużo pić po pierwszej wielkiej kłótni z Grace). We Włoszech pił wino, później w klubie oficerskim w Mediolanie popijał mocne trunki. Rana i nieszczęsny romans przyczyniły się do tego, że pił już bardzo dużo: w

szpitalu w jego szafie znaleziono pełno pustych butelek po koniaku, co było złowieszczym ostrzeżeniem.

W Paryżu, w latach dwudziestych, kupował wino galonami u plantatorów winorośli, potrafił wypić pięć lub sześć butelek czerwonego wina do jednego posiłku. Uczył Scotta Fitzgeralda pić wino prosto z butelki, co było według niego tak podniecające, „jak widok dziewczyny idącej popływać bez kostiumu kąpielowego”.

W Nowym Jorku, jak mówił, „skręciło go na kilka dni” po podpisaniu umowy dotyczącej książki *Słońce też wschodzi*, co było prawdopodobnie jego pierwszym długotrwałym atakiem alkoholizmu.

Powszechnie uważano, że to on wymyślił slogan lat dwudziestych: „Wypij sobie”, choć niektórzy, jak VirgQ Thomson, mówili, że sam niechętnie fundował drinki, natomiast Hemingway oskarżał znajomych o wykorzystywanie jego gościnności, na przykład Kena Tynana podczas pobytu na Kubie w latach pięćdziesiątych<sup>75</sup>.

Hemingway szczególnie lubił pić z kobietami, miało to bowiem zastępować mu aprobatę ze strony matki. Hadley piła z nim bardzo dużo, kiedyś napisała: „Wciąż jest mi droga twoja uwaga, że niemal wielbiłeś mnie jako pijaczkę”<sup>76</sup>. Tę samą zgubną rolę odgrywała jego śliczna towarzyszką z lat trzydziestych w Hawanie, Jane Mason, z którą pijał dzin, a po nim zaraz szampana oraz mrożone daiquiri z olbrzymich kielichów; rzeczywiście w tamtym dziesięcioleciu na Kubie jego pijaństwo po raz pierwszy w pełni się objawiło. Jeden z właścicieli baru opowiadał, że w życiu nie widział kogoś, kto mógł wypić więcej martini niż Hemingway.

Kiedyś w domu swego przyjaciela, Thorwalda Sancheza, Hemingwaya ogarnął wojowniczy nastrój: wyrzucił swoje ubranie przez okno i zbił cenny szklany serwis bakaratowy. Żona Sancheza przestraszyła się tak okropnie, że krzyczała i błagała lokaja, by go zamknął. Na safari widziano, jak Hemingway wymykał się z namiotu o piątej rano na drinka. Jego brat, Leicester, mówił, że w końcu lat trzydziestych w Key West Hemingway wypijał dziennie siedemnaście szklanek whisky-and-soda, często zabierając wieczorem do łóżka butelkę szampana.

W tym też czasie wątroba po raz pierwszy zaczęła ostrym bólem dawać mu się we znaki. Lekarz polecił Hemingwayowi, by zupełnie przestał pić alkohol, i on rzeczywiście próbował ograniczyć się do picia trzech szklanek whisky przed obiadem. Nie trwało to jednak długo. W czasie II wojny światowej pił coraz więcej; w połowie lat czterdziestych mówiono, że podczas śniadania wlewał dzin do herbaty.

A. E. Hotchner, który robił wywiad z Hemingwayem dla pisma „Cosmopolitan” w roku 1948, opowiadał, że pisarz połknął siedem podwójnych Dubli Papy (koktajl nazwany tak w Hawanie na jego cześć - mieszanina rumu, grapefruitów i maraschino), a kiedy wychodził na obiad, wziął ze sobą ósmego na drogę. Chwalił się też: „Wypiłem tu kiedyś wieczorem serię takich szesnastu”. Chętnie się też wobec wydawcy, że rozpoczął wieczór od absyntu, potem wchłonął butelkę wina przy obiedzie, przeszedł na „sesję z wódką”, a później „do trzeciej nad ranem dopełniał to whisky-and-soda”.

Jego przedobiadowe drinki na Kubie przeważnie opierały się na rumie, w Europie na martini, w proporcji piętnaście do jednego. Pewnego razu, we wczesnych latach pięćdziesiątych, obserwowałem, jak połknął szybko jedną po drugiej sześć takich porcji - było w takim piciu sporo publicznej brawury - na tarasie przed piwiarnią Le Dôme na bulwarze Montparnasse. Przy śniadaniu pił dzin lub szampana, szkocką lub „śmierć na Gólsztromie”, dużą szklankę holenderskiego dzinu z limoną, jeszcze jeden z jego wynalazków. A na szczycie tego wszystkiego zawsze whisky: syn Hemingwaya, Patrick, mówił, że ojciec przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia pochłaniał dziennie litr whisky.

Zdolność Hemingwaya do wlewania w siebie trunków była godna podziwu. Lillian Ross, która przedstawiła jego sylwetkę w „New Yorkerze”, chyba nie zauważyła, że był

pijany od dawna, gdy z nią rozmawiał. Davis Zaphiro wspominał ostatnie safari: „Sądzę, że był cały czas pijany, ale rzadko było to po nim widać”.

Hemingway wykazywał też niezwykle zdolność przerywania picia, a nawet eliminowania go zupełnie na krótki czas, i to - oraz mocna budowa fizyczna - pozwalało mu przeżyć. Skutki chronicznego alkoholizmu były jednak nieubłagane. Picie było też jedną z głównych okoliczności towarzyszących niezwyklej liczbie wypadków, jakim ulegał.

Walter Benjamin niegdyś określił intelektualistę (tj. siebie) jako człowieka „w okularach na nosie i z jesienią w sercu”. Hemingway z pewnością miał jesień w sercu - często niewątpliwie pełnię zimy - ale okularów nie nosił tak długo, jak się dało, mimo że odziedziczył słaby wzrok w lewym oku po matce (ona także z próżności odmawiała noszenia okularów).

Skutkiem tego, a może i z powodu pewnej ociążałości, przez całe życie ulegał różnym wypadkom. Lista ich jest rażąco długa<sup>77</sup>. W dzieciństwie upadł z patykiem w ustach i zranił migdałki; wbił sobie w plecy haczyk od wędkę; odnosił obrażenia grając w futbol i uprawiając boks. W roku 1918 odrzucony wybuchem miny rozbił sobie pięść o szklaną gablotę. W dwa lata później rozciął stopę spacerując po rozbitym szkłe, kiedy indziej znów wywołał rozległe krwawienie, bo nadział się na kołek w łodzi. Poparzył się dotkliwie rozbijając grzałkę w roku 1922, zerwał więzadła stopy (1925), a źrenicę zdrowego oka rozciął mu syn w roku 1927. Wiosną 1928 nastąpił pierwszy z jego poważnych wypadków pijackich, gdy wróciwszy do domu pomylił sznur od świetlika z łańcuszkiem od rezerwuaru i ściągnął sobie na głowę całą ciężką szklaną konstrukcję, co skończyło się wstrząsem mózgu i dziewięcioma szwami. W roku 1929 rozciął sobie mięsień w pachwinie, w 1930 uszkodził palec wskazujący uderzając w worek bokserski, został zraniony przez wyrwywającego się konia, a w wypadku samochodowym złamał ramię; w roku 1935 postrzelił się po pijanemu w nogę, a później zranił, gdy z oszczepem polował na rekina.

Złamał też wielki palec u nogi kopiąc w zamkniętą bramę, rozbił stopę o lustro i uszkodził źrenicę chorego oka (1938) oraz dwukrotnie publicznej brawury - na tarasie przed piwiarnią Le Dôme na bulwarze Montparnasse. Przy śniadaniu pił dżin lub szampana, szkocką lub „śmierć na Golfsztromie”, dużą szklanę holenderskiego dżinu z limoną, jeszcze jeden z jego wynalazków. A na szczycie tego wszystkiego zawsze whisky: syn Hemingwaya, Patrick, mówił, że ojciec przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia pochłaniał dziennie litr whisky.

Zdolność Hemingwaya do wlewania w siebie trunków była godna podziwu. Lillian Ross, która przedstawiła jego sylwetkę w „New Yorkerze”, chyba nie zauważyła, że był pijany od dawna, gdy z nią rozmawiał. Davis Zaphiro wspominał ostatnie safari: „Sądzę, że był cały czas pijany, ale rzadko było to po nim widać”.

Hemingway wykazywał też niezwykle zdolność przerywania picia, a nawet eliminowania go zupełnie na krótki czas, i to - oraz mocna budowa fizyczna - pozwalało mu przeżyć. Skutki chronicznego alkoholizmu były jednak nieubłagane. Picie było też jedną z głównych okoliczności towarzyszących niezwyklej liczbie wypadków, jakim ulegał.

Walter Benjamin niegdyś określił intelektualistę (tj. siebie) jako człowieka „w okularach na nosie i z jesienią w sercu”. Hemingway z pewnością miał jesień w sercu - często niewątpliwie pełnię zimy - ale okularów nie nosił tak długo, jak się dało, mimo że odziedziczył słaby wzrok w lewym oku po matce (ona także z próżności odmawiała noszenia okularów).

Skutkiem tego, a może i z powodu pewnej ociążałości, przez całe życie ulegał różnym wypadkom. Lista ich jest rażąco długa<sup>77</sup>. W dzieciństwie upadł z patykiem w ustach i zranił migdałki; wbił sobie w plecy haczyk od wędkę; odnosił obrażenia grając w futbol i uprawiając boks. W roku 1918 odrzucony wybuchem miny rozbił sobie pięść o szklaną gablotę. W dwa lata później rozciął stopę spacerując po rozbitym szkłe, kiedy indziej

znów wywołał rozległe krwawienie, bo nadział się na kołek w łodzi. Poparzył się dotkliwie rozbijając grzałkę w roku 1922, zerwał więzadła stopy (1925), a źrenicę zdrowego oka rozciął mu syn w roku 1927. Wiosną 1928 nastąpił pierwszy z jego poważnych wypadków pijackich, gdy wróciwszy do domu pomylił sznur od świetlika z łańcuszkiem od rezerwuaru i ściągnął sobie na głowę całą ciężką szklaną konstrukcję, co skończyło się wstrząsem mózgu i dziewięcioma szwami. W roku 1929 rozciął sobie mięsień w pachwinie, w 1930 uszkodził palec wskazujący uderzając w worek bokserski, został zraniony przez wyrwywającego się konia, a w wypadku samochodowym złamał ramię; w roku 1935 postrzelił się po pijanemu w nogę, a później zranił, gdy z oszczepem polował na rekina.

Złamał też wielki palec u nogi kopiąc w zamkniętą bramę, rozbił stopę o lustro i uszkodził źrenicę chorego oka (1938) oraz dwukrotnie uległ wstrząsowi mózgu w roku 1944, gdy wjechał samochodem w czasie zaciemnienia na cysternę wodną i gdy wyleciał z motocykla do rowu.

W 1945 jego nalegania na przejście kierownicy podczas odwożenia Mary na lotnisko w Chicago skończyły się poślizgiem i uderzeniem samochodu o nasyp ziemny: Hemingway złamał trzy żebra, poważnie zranił kolano i czoło, Mary wyleciała przez przednią szybę. W 1949 paskudnie został podrapany podczas zabawy z lwem. W 1950 upadł na swej łodzi, rozcinając sobie głowę i nogę, przecinając tętnicę i doznając wstrząsu mózgu po raz piąty.

W 1953 zwichnął ramię wypadając z samochodu, tejże zimy nastąpiła cała seria wypadków w Afryce: dotkliwe oparzenia, gdy po pijanemu próbował gasić ogień w buszu, dwa wypadki lotnicze, których skutkiem był jeszcze jeden wstrząs mózgu, złamana podstawa czaszki, pęknięte dwa dyski w kręgosłupie i obrażenia wewnętrzne: pęknięta wątroba, uszkodzona śledziona i nerki, poparzenia, zwichnięte ramię i ręka oraz sparaliżowany mięsień zwieracza. Wypadki, które następowały po picciu, ciągnęły się aż do śmierci Hemingwaya: zerwane więzadła, zwichnięta kostka, gdy włąził na płot w 1958, i następny wypadek samochodowy w roku 1959.

Mimo że Hemingway miał mocny organizm, na jego zdrowie coraz bardziej wpływał alkoholizm, poczynając od uszkodzenia wątroby w późnych latach trzydziestych. W roku 1949, podczas jazdy na nartach w Cortina d'Ampezzo, wpadła mu do oka drobina pyłu, co w połączeniu z jego picciem rozwinęło się w bardzo poważny przypadek róży, na który wciąż jeszcze cierpiał dziesięć lat później: sinawa, łuszcząca się czerwona blizna, rozciągająca się od grzbietu nosa do ust. W tym już czasie, po ostatniej wielkiej „sesji” pijackiej w Hiszpanii w roku 1959, Hemingway doświadczał kłopotów z nerkami i wątrobą, i prawdopodobnie także haemochromatosis (marskość, brązowa skóra, cukrzyca), cierpiał na obrzęk kostek, skurcze, chroniczną bezsenność, słabszą krzepliwość krwi, mocznicę, miewał dolegliwości skórne<sup>78</sup>.

Był impotentem i przedwcześnie się postarzał. Ostatnia fotografia Hemingwaya, ukazująca, jak spaceruje w pobliżu domu, który zakupił w Idaho, bardzo wiele mówi o pisarzu. Nawet w takim stanie wciąż był na nogach, wciąż żył, i ta myśl stała się dla niego nie do zniesienia. Jego ojciec popełnił samobójstwo ze strachu przed śmiertelną chorobą. Hemingway obawiał się, że jego choroby nie są śmiertelne: 2 lipca 1961, gdy okazało się, że nie daje wyniku leczenie depresji i paranoi, wziął do ręki najlepszą dubeltówkę, załadował dwa naboje i odstrzelił sobie całą górę czaszki.

Dlaczego Hemingway pragnął śmierci? Nie jest to czymś niezwykłym wśród pisarzy. Współczesny mu Evelyn Waugh, wówczas porównywalnej wielkości literat, również chciał umrzeć. Waugh nie był jednak intelektualistą: nie sądził, że może przemodelować zasady życia po swojemu, lecz poddał się tradycyjnej dyscyplinie swojego Kościoła, umierając z przyczyn naturalnych w pięć lat później.

Hemingway stworzył swój własny kodeks, oparty na honorze, prawdzie i lojalności. Zawiodł w tych trzech punktach i one zawiodły się na nim. Mówiąc bardziej poważnie, być

może czuł, że nie dotrzymuje kroku swej sztuce. Hemingway miał bardzo dużo poważnych wad, ale nie brakowało mu jednego: artystycznej uczciwości. Świeciła mu ona jak latarnia przez całe życie.

Postawił sobie zadanie stworzenia nowego sposobu pisania po angielsku, i to mu się udało. Było to jedno z ważniejszych wydarzeń w dziejach języka angielskiego. Poświęcił wykonaniu tego zadania ogromne zasoby umiejętności twórczych, energii i cierpliwości. Samo w sobie było to trudne. O wiele trudniejsze było jednak utrzymanie narzuconego sobie wysokiego poziomu twórczości.

Stało się to dla niego widoczne w połowie lat trzydziestych i powiększyło jeszcze jego wrodzoną skłonność do depresji. Od tej chwili kilka udanych opowiadań było jedynie odchyleniami w długim ślizgu prowadzącym w dół. Jeśliby Hemingway był artystą niższego lotu, mogłoby to niewiele oznaczać dla niego jako człowieka; po prostu pisałby i publikował słabsze powieści, jak czyni to wielu pisarzy. On jednak był świadom, że pisze poniżej swego najlepszego poziomu, i ta wiedza była dla niego nie do zniesienia.

Szukał więc ratunku w alkoholu, pił nawet podczas pracy. Po raz pierwszy w latach dwudziestych zauważono, że gdy pisze, stoi przed nim szklaneczka „rumu świętego Jakuba”. Zwyczaj ten, początkowo rzadki, stał się regularny, później niezmienny.

W latach czterdziestych, jak opowiadano, Hemingway wstawał o wpół do piątej rano, „zwykle zaczynając pić od razu i pisząc na stojąco, z ołówkiem w jednym ręku, a butelką w drugiej”<sup>79</sup>.

Wywarło to na jego pracy skutek, jakiego należało się spodziewać - po prostu-zgubny. Doświadczony wydawca potrafi zawsze powiedzieć, czy dany utwór literacki powstał przy wspomaganie alkoholu, choćby autor był najbardziej utalentowany.

Hemingway zaczął pisać duże ilości materiału nie do publikacji albo też nie osiągającego minimalnego poziomu, jaki sam sobie wyznaczył. Niektóre z tych utworów były jednak opublikowane i uznano je za gorsze, nawet za parodię wcześniejszych dzieł. Były jeden lub dwa wyjątki, szczególnie *Stary człowiek i morze*, chociaż i w nim tkwił także element autoparodii.

Ogólny poziom był jednak niski i jeszcze się obniżał; świadomość Hemingwaya, że nie może osiągnąć ponownie poziomu swego geniuszu, nie mówiąc już o jego rozwoju, przyspieszyła obroty spirali depresji i picia. Był człowiekiem, którego zabiła własna sztuka, a jego życie jest lekcją, której powinni nauczyć się wszyscy intelektualiści: sztuka to jeszcze nie wszystko.

## Przypisy Rozdział 6

1. Zob. Edward Wagenknecht, *Ralph Waldo Emerson: Portrait of a Balanced Soul*, New York 1974, s. 158-201.
2. *Journals and Miscellaneous Notebooks of Ralph Waldo Emerson*, Harvard 1960, t. VII, s. 435.
3. Thomas Wentworth Higginson, *Every Saturday*, 18 kwietnia 1868.
4. Zob. Joel Porte, *Representative Man: Ralph Waldo Emerson in His Time*, New York 1979.
5. *Correspondence of Emerson and Carlyle*, New York 1964, s. 14.
6. Zapis pod datą 25 kwietnia 1848 w: Joel Porte (wyd.), *Emerson in his Journals*, Harvard 1982, s. 385.
7. Henry James, *The Art of Fiction*, s. 223-224.
8. *Journals and Miscellaneous Notebooks of Ralph Waldo Emerson*, t. VIII, s. 88-89, 242.
9. *Ibidem*, t. IX, s. 115.
10. *Ibidem*, t. VII, s. 544.

11. Zob. artykuł wyjaśniający to zagadnienie: Mary Kupiec Cayton, *The Making of an American Prophet: Emerson, his audience and the rise of the culture industry in nineteenth-century America*, „*American Historical Review*”, June 1987.
12. Zob. Paul Boyer, *Urban Masses and Moral Order in America 1820-1920*, Harvard 1978, s. 109.
13. Cyt. przez E. Wagenknechta, op. cit., s. 170; zob. także: Lewis S. Feuer, Ralph Waldo Emerson's Reference to Karl Marx, „*New England Quarterly*”, XXXIII (1960).
14. O Grace Hemingway zob. Max Westbrook, *Grace under Pressure: Hemingway and the Summer of 1920*, w: James Nagel (wyd.), *Ernest Hemingway: The Writer in Context*, Madison, Wisconsin, 1984, s. 77 i n.; rodzina opisana jest w książce Marcelline Hemingway Sandford, *At the Hemingways: A Family Portrait*, Boston 1961.
15. Madeleine Hemingway Miller, *Ernie*, New York 1975, s. 92; Kenneth S. Lynn, *Hemingway*; New York 1987, s. 19-20, twierdzi, że te codzienne religijne obrządki były przestrzegane jedynie wówczas, gdy Hemingwayowie mieszkali razem ze swoim dziadkiem Hallem, ojcem Grace.
16. Kenneth S. Lynn, op. cit., s. 115.
17. Carlos Baker (wyd.), *Ernest Hemingway: Selected Letters, 1917-61*, New York 1981, s. 3.
18. O poglądach religijnych Hemingwaya zob. Jeffrey Meyers, *Hemingway: A Biography*, London 1985, s. 31-32, 178, oraz Lynn, op. cit., s. 70, 249, 312-314.
19. Cyt. Lynn, op. cit., s. 117-118.
20. Cyt. w: Bernice Kert, *The Hemingway Women*, New York 1983, s. 27.
21. Carlos Baker (wyd.), *Ernest Hemingway: Selected Letters*, s. 670, 663.
22. Lynn, op. cit., s. 233.
23. Ibidem, s. 234 i n., zob. także: B. J. Poli, *Ford Madox Ford and Transatlantic Review*, Syracuse 1967, s. 106.
24. Lynn, op. cit., s. 230.
25. Cyt. w: Meyers; op. cit., s. 24.
26. Ibidem, s. 94.
27. Zob. „*Paris Review*”, Spring 1981.
28. Podaje Meyers, op. cit., s. 137.
29. William White (wyd.), *By-Line: Ernest Hemingway: Selected Articles and Dispatches of Four Decades*, New York 1967, s. 219.
30. Cyt. Meyers, op. cit., s. 74-75.
31. „*New Yorker*”, 29 października 1927.
32. Wstęp do antologii *Men at War*, New York 1942.
33. Herbert Matthews, *A World in Revolution*, New York 1971, s. 24-25.
34. Cyt. Meyers, op. cit., s. 426.
35. Cyt. w: Michael S. Reynolds, *Hemingway's Reading 1910-40*, Princeton 1981, s. 4.
36. O łgarstwach Hemingwaya, zob. Meyers, op. cit., s. 9, 15-16, 27; Lynn, op. cit., s. 74.
37. Na ten temat zob. Michael S. Reynolds, *Hemingway's First War*, Princeton 1976.
38. Ernest Hemingway do Hadley Hemingway, 31 stycznia 1938, list cyt. w: Lynn, op. cit., s. 447.
39. John Dos Passos, *Best Times*, New York 1966, s. 141.
40. Ernest Hemingway, *Zielone wzgórza Afryki*, Warszawa 1959.
41. List z 9 lutego 1937, w: Carlos Baker (wyd.), *Ernest Hemingway, Selected Letters*, s. 458; Ernest Hemingway do Harry'ego Sylwestera z 1 lipca 1938, cyt. w: Meyers, op. cit., s. 303.
42. Zob. Hugh Thomas, *The Spanish dvii War*; London 1982, s. 706 (i przypis); Lynn, op. df., s. 448-449, *Selected Letters*, s. 463, Meyers, op. rif., s. 307.

43. Fascism is a Lie, „New Masses”, 22 czerwca 1937.
44. Najlepszy jej opis daje Meyers, op. cit., s. 367-388, Lynn, op. cit, s. 502 i n.
45. Spruille Braden, Diplomats and Demagogues, New York 1971.
46. Meyers, op.cit., s. 370.
47. Jacqueline Tavernier-Courbin, Ernest Hemingway and Ezra Pound, w: James Nagel (wyd.), Ernest Hemingway; The Writer in Context, s. 179 i n.
48. Ernest Hemingway do Archibalda MacLeish, sierpień 1943, cyt. Meyers, op.cit., s. 514; E. Fuller Tolley, The Roots of Treason: Ezra Pound and the Secrets of St Elizabeth's, London 1984.
49. Ernest Hemingway, Ruchome święto. Tłum. Bronisław Zieliński, Warszawa 1966, s. 84.
50. Meyers, op. cit., s. 205-206; Ludington Townsend, John Dos Passos: A Twentieth- -Century Odyssey, New York 1980.
51. Zob. Lynn, op. cit., s. 38-48.
52. Ernest Hemingway do Arthura Mizenera, 2 czerwca 1950, w: Selected Letters, s. 697.
53. Bernice Kert, The Hemingway Women, New York 1983, s. 170; praca ta jest najważniejszym źródłem informacji o wszystkich żonach i przyjaciółkach Hemingwaya.
54. Cyt. Lynn, op. cit., s. 356.
55. B. Kert, op. cit., s. 296-297.
56. Carlos Baker, Ernest Hemingway: A Life Story, New York 1969, s. 380.
57. Meyers, op. cit., s. 353.
58. B. Kert, op. cit., s. 391-392.
59. Selected Letters, s. 576.
60. Gregory H. Hemingway, Papa, Boston 1976, s. 91-92.
61. Meyers, op. cit, s. 416.
62. Cyt. w: Meyers, op. cit., s. 394.
63. Selected Letters, s. 572; Meyers, op. cit, s. 530.
64. Martha Gellhorn do Clary Spieghel, 17 maja 1940, cyt. w: Meyers, op. cit., s. 353.
65. Lynn, op. cit., s. 517, 577; Meyers, op. cit, s. 426.
66. Gregory H. Hemingway, op. cit., s. 109, Meyers, op. cit., s. 447 i n. Wersja Adriany jest przedstawiona w jej wspomnieniach, La Torre Bianca, Milan 1980, które napisała przed popełnieniem samobójstwa.
67. B. Kert, op. cit, s. 476.
68. Mary Welsh Hemingway, How It Was, New York 1976, s. 602.
69. By-Line, s. 473.
70. Mary Welsh Hemingway, op. cit., s. 607.
71. Ibidem, s. 280-281.
72. B. Kert, op. cit.f s. 268 i n.
73. Meyers, op. cit., s. 480; Selected Letters, s. 367; Gregory Hemingway, Papa, s. 100.
74. Meyers, op. c/f., s. 351.
75. Kathleen Tynan, The Life of Kenneth Tynan, London 1987, s. 164-166.
76. List z 11 listopada 1920, cyt. w: Lynn, op. cit., s. 127-128.
77. Drukowane przez Meyersa, op. cit., s. 573-575.
78. Pełną analizę medyczną podaje Lynn, op. cit., s. 528-531.
79. C. L. Sulzberger, A Long Row of Candles, New York 1969, s. 612.

## 7. Bertolt Brecht: serce z lodu

Ci, którzy chcą oddziaływać na umysły ludzi, dawno już uznali, że teatr jest najpotężniejszym środkiem, pozwalającym im podjąć to zamierzenie.

W dniu 7 lutego 1601 roku, w przeddzień rewolty w Londynie wywołanej przez hrabiego Essex i jego ludzi, opłacili oni trupę teatralną, do której należał Szekspir, by dała specjalny, nie okrojony spektakl *Ryszarda II*, sztuki uważanej wówczas za podważającą monarchię. Kierowana przez jezuitów kontrreformacja umieszczała przedstawienia dramatyczne dokładnie w centrum *propaganda fidei*.

Pierwsi świeccy intelektualiści byli nie mniej świadomi znaczenia sceny. Pisali dla niej zarówno Wolter, jak i Rousseau, przy czym ten ostatni ostrzegał przed niebezpiecznymi możliwościami psucia przez nią obyczajów publicznych. Wiktor Hugo używał jej do niszczenia ostatnich Burbonów. Byron poświęcił dużo energii dramatom pisany wierszem, nawet Marks pracował nad takim utworem.

Dopiero jednak Ibsen, jako pierwszy, rozważnie, systematycznie i z zadziwiającym sukcesem wykorzystał scenę dla dokonania rewolucji postaw społecznych.

Bertolt Brecht, pod wieloma względami zupełnie odmienny drama- topisarz, w jednym był naturalnym spadkobiercą Ibsena: stworzył nowożytną, wyrafinowaną sztukę propagandową, znakomicie wykorzystując jedną z dwudziestowiecznych, nowych instytucji kulturalnych - teatr szeroko wspierany przez państwo. Przez dwa dziesięciolecia po swojej śmierci, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszego wieku, Brecht był prawdopodobnie najbardziej wpływowym pisarzem na świecie. Do dzisiaj pozostaje tajemniczą postacią, tak zresztą jak i za swego życia. Był to świadomy wybór jego samego i partii komunistycznej, to jest organizacji, której Brecht służył wiernie przez trzydzieści lat.

Z wielu powodów chciał, by publiczność interesowała się nie jego biografią, a jego twórczością. Władza komunistyczna również wołała, by nie badano dokładnie jego pochodzenia i tła, na którym działał, tak jak i oczywiście stylu jego życia<sup>1</sup>.

W biografii Brechta jest więc wiele luk, chociaż główne zarysy są zaznaczone dość dokładnie. Brecht urodził się 10 lutego 1898 roku w nudnym, szacownym Augsburgu, mieście leżącym sześćdziesiąt kilometrów od Monachium. Wbrew powtarzanemu, komunistycznemu twierdzeniu Brecht nie był pochodzenia chłopskiego. Jego przodkowie tak w linii męskiej, jak i w żeńskiej, sięgając aż do wieku szesnastego, byli solidną klasą średnią: rolnikami, doktorami, nauczycielami, później naczelnikami stacji i ludźmi interesu<sup>2</sup>. Matka Brechta była córką urzędnika państwowego. Ojciec był związany z przemysłem papierniczym, początkowo jako kierownik biura, potem dyrektor handlowy papierni w Augsburgu. Młodszy jego brat, Walter, zajął się później interesami, został profesorem techniki papiernictwa na politechnice w Darmstadt.

Bertolt miał kłopoty z sercem, był delikatny i stał się - jak wielu innych czołowych intelektualistów - ulubionym dzieckiem swej matki. Twierdziła, że nie potrafi mu niczego odmówić.

W wieku dojrzałym Brecht nie interesował się rodziną. Zaledwie czasami wspominał o swym ojcu. Nie odwzajemnił uczuć matki. Gdy matka zmarła w roku 1920, Bertolt nalegał, by nazajutrz zaprosić do domu grupę hałaśliwych przyjaciół - „reszta z nas była oniemiała z żalu”, wspominał jego brat - i ostentacyjnie opuścił miasto w przeddzień jej pogrzebu, choć później, w jednej z bardzo rzadkich chwil czynienia sobie wyrzutów, skrytykował swoje postępowanie wobec matki: „Powiniennem być napiętnowany”<sup>3</sup>.

Legenda głosi, że w szkole Brecht nie tylko wyparł się religii, ale i publicznie spalił Biblię i katechizm, i o mało nie wydano go za pacyfistyczne poglądy. W istocie wydaje się, że pisał poezję patriotyczną i znalazł się w kłopotach nie z powodu pacyfizmu, tylko dlatego,



że oszukiwał na egzaminach. Był częścią przedwojennej (przed rokiem 1914) gitarowej niemieckiej kultury młodzieżowej i jej pronaturalnej, antymiejskiej ideologii.

Większość ze współczesnych mu mężczyzn z klasy średniej poszła z poboru do wojska, pojechała prosto na front i tam zginęła, a jeśli ktoś przeżył, został nazistą. Brecht nie uchylał się od służby wojskowej; zwolniony z wojska z powodu niewydolności serca został sanitariuszem (studiował już krótko medycynę na Uniwersytecie Monachijskim).

Przedstawił później przerażający obraz „rzeźni”, w której uczestniczył w szpitalach wojskowych: „Jeśli doktor polecił mi »Amputujcie nogę, Brecht!«, odpowiadałem: »Tak jest, panie doktorze!« i odcinałem nogę. Gdy mówiono mi: »Zróbcie trepanację, Brecht!«, otwierałem czaszkę tego człowieka i majstrowałem przy jego mózgu. Widziałem, jak ich łatano, by wysłać tak szybko, jak tylko się da, z powrotem na front”<sup>4</sup>.

W rzeczywistości Brechta powołano dopiero w październiku 1918 roku, gdy już właściwie było po wojnie, i zajmował się głównie przypadkami chorób wenerycznych. Łgał również, gdy twierdził przyjmując Stalinowską Nagrodę Pokojową, że w listopadzie 1918 „natychmiast” stanął po stronie komunistycznej Republiki Bawarskiej i został delegatem żołnierskim. Opowiadał różne wersje o tym, co robił, ale na pewno nie było to nigdy czymś bohaterskim<sup>5</sup>.

Poczynając od roku 1919, Brecht szybko stał się znanym literatem, najpierw jako krytyk, którego obawiano się z powodu surowości oceny, brutalności i okrucieństwa, później w samym teatrze - dzięki grze na gitarze, umiejętności pisania songów (od pierwszego do ostatniego jego talent poetycki błyszczał najdoskonalej i najczyściej) i śpiewania ich wysokim, niezwykle hipnotycznym głosem, przypominającym głos Paula McCartneya w latach sześćdziesiątych.

Nastawienie teatru niemieckiego we wczesnych latach dwudziestych było mocno lewicowe i Brecht z niego czerpał dla siebie wskazówki. Pierwszym jego sukcesem był *Spartakus*, którego nazwę zmieniono na *Werble nocą* (1922) - za tę sztukę Brecht otrzymał nagrodę imienia Kleista, przyznawaną najlepszym młodym dramaturgom. Wywołało to wrzawę ze strony radykalnej prawicy, ale Brecht nie był wówczas ideologiem, a raczej oportunistą. Chciał zwrócić na siebie uwagę i powiodło mu się to w sposób zadziwiający.

Celem jego było *epater la bourgeoisie*. Demaskował kapitalizm i wszystkie instytucje klasy średniej. Atakował armię. Pochwalał tchórzostwo i opisał je w słynnym opowiadaniu *Środki przeciw przemocy*, którego autobiograficzny bohater, Keuner, jest skończonym tchórzem. Przyjaciel Brechta, Walter Benjamin, odnotował później, że tchórzostwo i zwykła siła niszczycielska uderzały w nim najbardziej<sup>6</sup>. Lubił, by jego utwory prowokowały konflikty i skandale. Ideałem dla niego było, by sztuka wywołała gwizdy i sykania jednej połowy słuchaczy i wojowniczy aplauz drugiej. Tradycyjny przegląd teatru, oparty na pieczołowitej analizie estetycznej, Brechta nie interesował. Pogardzał oczywiście tradycyjnymi intelektualistami, zwłaszcza akademickimi, lub romantykami.

Właściwie Brecht wynalazł typ intelektualisty nowego rodzaju, tak jak w swoim czasie uczynili to Rousseau i Byron. Stworzony przez Brechta nowy model jajogłowego (on sam był jego prototypem) to człowiek szorstki, twardy, bezduszny, cyniczny, trochę gangster, trochę krzepki sportowiec. Brecht chciał wprowadzić do teatru ochryplą, pełną potu i gwałtu atmosferę sportowego stadionu. Podobnie jak Byron, lubił towarzystwo zawodowych bokserów. Poproszony w roku 1926 na jurora konkursu poetyckiego, zignorował czterysta wierszy nadesłanych przez poetów i nagrodził surowy kawał poezji, który znalazł w magazynie kolarskim<sup>7</sup>.

Odrzucił austro-niemiecką tradycję muzyczną na rzecz metalicznego, powtarzającego się refrenu, znajdując pokrewną duszę w żydowskim kompozytorze Kurcie Weillu, z którym współpracował. Chciał, by jego teatr pokazał niejako swój szkielet, całą maszynię osłaniającą iluzję: był to jego nowy rodzaj prawdy. Urzekła go maszyna, tak jak

inżynierowie, którzy ją tworzyli i nią kierowali. Siebie widział jako operatora, inżyniera umysłu. Tak właśnie jest ukazany w powieści SUKCES Liona Feuchtwangera - jako inżynier Kaspar Proechl, o którym jedna z postaci mówi: „Brakuje ci najważniejszych ludzkich narządów: umysłu zdolnego odczuwać przyjemność i kochającego serca”.

Wiele Brechtowskich postaw i działań w latach dwudziestych odzwierciedlało jego geniusz autoreklamy. Dzielił ten dar z Hemingwayem, który żył niemal dokładnie w tej samej epoce (i oczywiście z wieloma innymi intelektualistami), i podobnie jak Hemingway rozwinął własny styl ubierania się. Styl Hemingwaya był jednak wszechamerykański i przeważnie sportowy.

Brecht wyraźnie, choć po kryjomu, podziwiał Hemingwaya i bardzo się niepokoił, jeśli ktoś sugerował, że ukraść pomysł „Papie” Hemingwayowi.

W latach dwudziestych Brecht otwarcie wyrażał podziw dla Stanów Zjednoczonych - był to ostatni moment, gdy inteligencja europejska uznała za możliwą do przyjęcia postawę proamerykańską - zwłaszcza dla gangsterów i bohaterów sportu: Brecht napisał nawet poemat o walce Dempseya z Tunneyem w 1926 roku.

Tak więc niektóre pomysły dotyczące swego ubioru wziął z Atlantyku. Inne były jednakże wybitnie europejskie. Skórzana kurtka z paskiem i kaszkiet to ulubiony strój gwałtownych młodych ludzi z Czeka, stworzonej przez Lenina w roku 1918. Brecht dodał swój własny wynalazek: skórzany krawat i kamizelkę z rękawami z materiału. Chciał wyglądać na pół jak student, na pół jak robotnik, ale w pełni elegancko.

Jego nowy strój wywołał różne uwagi. Wrogowie twierdzili, że Brecht nosi jedwabne koszule pod proletariacką uprzężą. Karl Zuckmayer nazwał go „krzyżówką szofera ciężarówki z jezuickim seminarzystą”<sup>8</sup>. Brecht dopełnił swój własny styl specjalnym zaczesaniem włosów prosto do dołu na czoło i noszeniem stałego trzydniowego zarostu, ani mniej, ani więcej. Dodatki te były szeroko naśladowane przez młodych intelektualistów trzydzieści, czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat później. Kopiowali również jego zwyczaj noszenia okularów w stalowej, „oszczędnej” oprawie. Okulary Brechta były w szarym, ulubionym przez niego kolorze.

Pisał na specjalnej szarej bibułce i gdy stał się bardziej znany, zaczął publikować *Versuche* (*Próby*), teksty swoich sztuk, w ciemnoszarej oprawie papierowej, jak podręczniki szkolne, co okazało się wysoce skuteczną formą promocji własnej, także bardzo później naśladowaną.

Samochód Brechta, otwarty Steyr, był także w szarym kolorze; otrzymał go od producenta tych samochodów za napisanie wierszy reklamowych. Krótko mówiąc, Brecht miał nadzwyczajny talent do prezentacji wizualnych, na którym to polu Niemcy w latach dwudziestych przewodzą światu: prawie dokładnie w tym samym czasie Hitler projektował skrajnie surowy aparat partii nazistowskiej i SS, wymyślając technikę nocnych pokazów, znaną później jako „światło i dźwięk”.

Wzrost wpływów Hitlera był jednym z czynników, które popchnęły Brechta do zajęcia wyraźniejszej postawy politycznej. W roku 1926 czytał *Kapitał*, lub pewne jego fragmenty, i później związał się z partią komunistyczną, choć według Ruth Fischer, niemieckiej działaczki komunistycznej i siostry jego przyjaciela, kompozytora Hansa Eislera, Brecht przystąpił do partii komunistycznej dopiero w roku 1930<sup>9</sup>.

Rok 1926 był godny uwagi ze względu na rozpoczęcie przez Brechta współpracy z Weillem. W roku 1928 tworzą *Operę za trzy grosze*, której premiera wieczorem 31 sierpnia okazała się natychmiast miażdżącym przebojem, najpierw w Niemczech, później na całym świecie.

Pod wieloma względami był to charakterystyczny przykład sposobu działania Brechta. Główny wątek został wzięty z *Opery żebraczej* Johna Gaya, a całe pasáže libretta były po prostu ukradzione z przekładu K. L. Ammera poezji François Villona (po protestach

Ammerowi dano udział w honorariach). Sukces dzieła w dużej mierze zawdzięczano chwytliwej i wysoce oryginalnej muzyce. Brecht potrafił jednak zdobyć większość zasługi za trwały sukces *Opery za trzy grosze*, i gdy w końcu pokłócił się z Weillem, oświadczył pogardliwie: „Spuszczę ze schodów tego fałszywego Richarda Straussa”<sup>10</sup>.

Brecht zdobywał laury między innymi dzięki swej wielkiej umiejętności postępowania w życiu publicznym i w polityce show businessu. W roku 1930 G. W. Pabst, który uzyskał prawa do filmowania *Opery za trzy grosze*, sprzeciwił się robieniu zdjęć według scenariusza napisanego przez Brechta, pisarz bowiem dokonał zmian akcji wyraźnie w duchu komunistycznym. Brecht odmówił przywrócenia stanu pierwotnego i w październiku sprawa znalazła się w sądzie. Zagrał następnie przed kamerami kilka dokładnie wyreżyserowanych scen napadów złości, i choć sprawa przybrała niekorzystny dla niego obrót - Pabst kupił dzieło oryginalne, a nie jego wersję marksistowską - Brecht wymusił pełną rekompensatę finansową w zamian za odstąpienie od procesu i potrafił ponadto pozować na męczennika zasady uczciwości artysty, gnębiętego przez brutalny system kapitalistyczny. Opublikował swój własny scenariusz, poprzedzony wstępnym esejem, wskazując na prawdziwie marksistowski morał: „sprawiedliwość, wolność i charakter stały się wszystkie zależne od procesu produkcji”<sup>11</sup>. Miał doskonały talent promowania własnych interesów, głosząc oddanie się sprawie publicznej.

Drugi powód kryjący się za rosnącą sławą Brechta to uznanie go w roku 1930 przez partię komunistyczną za swoją gwiazdę, co dało mu wszystkie korzyści wynikające z jej potężnego instytucjonalnego wsparcia. Brecht nigdy nie miał znaczenia w Moskwie za czasów Stalina i nawet Komunistyczna Partia Niemiec (KPD), o wiele bardziej giętka w sprawach artystycznych, uważała niektóre z jego dzieł za błahe i heretyckie, jak na przykład *Rozkwit i upadek miasta Mahagonny* (1930), sztukę prowokującą kłótnie, bójki i demonstracje organizowane przez nazistów.

Brecht dał jednak do zrozumienia, że jest gotów nagiąć się do dyscypliny partyjnej, chodził na wykłady z marksizmu-leninizmu w Kolegium Robotniczym w Berlinie i, oczywiście, będąc w sercu heglistą, który ukochał duchowy świat fantazji metody dialektycznej - jego umysł był na wskroś niemiecki, podobnie jak Marksa - uznał system za atrakcyjny intelektualnie. Pierwsze jego dzieło prawdziwie marksistowskie, *Decyzja*, przypada na lato 1930 roku, a jego adaptacja *Matki* Gorkiego była wystawiana w całych Niemczech w salach, którymi zarządzała KPD. Brecht pisywał wtedy agitpropagandowe scenariusze filmowe. Rozwinął, ponownie z Weillem (ten zaś nigdy nie był zapalonym marksistą), nową, polityczną formę sztuki, tak zwaną *Schulopern* (opera szkolna lub dramat dydaktyczny).

Celem jej było jakoby wychowanie polityczne słuchaczy, ale raczej chodziło o przekształcenie ich w dobrze wyćwiczony chór, na podobieństwo tłumów w Norymberdze. Aktorzy stawali się jedynie narzędziami politycznymi, ludźmi-maszynami, nie aktorami, i postacie w spektaklu nie były jednostkami, a typami, wykonującymi wysoce sformalizowane czynności. Zalety artystyczne tej formy sztuki polegały na świetnym wystawieniu, w czym Brecht innych przewyższał, choć jej przydatność polityczna była oczywista i przetrwała dziesięciolecia, osiągając dno w ponurych opero-dramatach, wystawianych przez madame Mao podczas chińskiej rewolucji kulturalnej w latach sześćdziesiątych.

Brecht jako pierwszy dla celów agitpropagandy adaptował przekazy o procesach (czarownicy, Sokratesa, Galileusza, zawieszony gazety Marksa) - ujęte w formę sztuk dramatycznych znalazły one swe miejsce w repertuarze lewicowym, wypływając od czasu do czasu na powierzchnię, na przykład w postaci trybunału lorda Russella, sądu zbrodnie wojenne w Wietnamie. Wiele z wynalazków scenicznych Brechta - jak biały makijaż, szkielety, trumny, platformy z gigantyczną bronią - jest wciąż systematycznie używanych w „postępowym” teatrze ulicznym, pochodach i demonstracjach.

Brecht używał jeszcze innych środków, dzięki którym jego nazwisko było wciąż na ustach publiczności. Pozował do fotografii pisząc poezję pośród tłumu robotników, by podkreślić, że dni romantycznego politycznego indywidualizmu przeminęły i że poezja jest teraz wyrazem kolektywnej działalności proletariatu. Wyznawał publicznie zasady marksistowskiej samokrytyki. Swoją szkolną operę *Der Jasager* („Ten, kto mówi »tak«”) zaproponował komunistycznej szkole partyjnej im. Karola Marksa i zwrócił się do uczniów o uwagi, a następnie napisał ją ponownie stosując się do tych uwag (później, gdy sprawa stała się już znana publicznie, spokojnie przywrócił jej stan pierwotny)<sup>12</sup>. Stale podkreślał czynnik współpracy w swojej działalności, choć jeśli sztuka padała, wyjaśniał, że jego udział był skromny.

Dojście Hitlera do władzy w 1933 roku przerwało nagle tę karierę pełną sukcesów i Brecht opuścił Niemcy rankiem nazajutrz po pożarze Reichstagu. Lata trzydzieste były dla niego trudnym okresem. Nie pragnął zostać męczennikiem. Spróbował osiedlić się w Wiedniu, ale nie spodobał mu się tam wzrost nastrojów pangermańskich i wyjechał do Danii. Stanowczo odmówił wyjazdu na wojnę w Hiszpanii. Jeździł kilkakrotnie do Moskwy, był współredaktorem pisma „Das Wort” (wraz z Feuchtwangerem i Willi Bredelem), drukowanego w Rosji i przynoszącego mu jedyny regularny dochód. Sądził jednak słusznie, że Rosja to nie jest bezpieczne miejsce dla takich ludzi jak on, i nigdy nie przebywał tam dłużej niż kilka dni. W latach 1933-1938 pisał głównie utwory polityczne. Przy końcu dekady nagle zaczął tworzyć dzieła o wiele poważniejsze: *Życie Galileusza* (1937), *Sąd nad Lukullusem* (1938), *Dobry człowiek z Seczuanu* (1939-1940), *Matka Courage i jej dzieci* (1939).

Postanowił także zdobyć rynek amerykański pisząc *Kariere Artura Ui*, z Hitlerem w postaci chicagowskiego gangstera. Rozpoczęcie wojny w roku 1939 przekonało go, że Dania jest zbyt niepewna, pojechał więc do Szwecji, później do Finlandii, wreszcie dostał wizę amerykańską i przez całą Rosję i Pacyfik dotarł do Kalifornii i Hollywood w roku 1941.

Był już w Ameryce wcześniej, ale nie wywarł tam wrażenia poza kołami lewicowymi. Szybko rozwiała się jego młodzieńcza, wyidealizowana, gazetowa wersja Ameryki; Brecht nigdy nie polubił rzeczywistości amerykańskiej, a faktycznie ją zniechęcił. Nie potrafił pracować w hollywoodzkim systemie studyjnym i coraz bardziej był zazdrosny o powodzenie innych emigrantów (wyjątkiem był Peter Lorre)<sup>13</sup>. Nie podobały się jego scenariusze filmowe. Niektóre z jego planów zawaliły się zupełnie. W latach 1944r-1945 Wystan Hugh Auden pracował z nim nad angielską wersją *Kaukaskiego kredowego koła*; współpracowali także nad adaptacją *Księżnej z Malfi*, ale w ostatniej chwili ich wersję zarzucono na rzecz tekstu oryginalnego, który okazał się nieoczekiwanym przebojem w Londynie, Brecht zdecydował się więc wycofać swe nazwisko z tego przedsięwzięcia.

Wystawienie *Życia Galileusza* z wielkim Charlesem Laughtonem w roli głównej padło po kilku spektaklach. Ani w Hollywood, ani na Broadwayu Brecht nie pojmował praw rządzących tym rynkiem sztuki, nie potrafił się do niego przystosować. Nie cierpiał menedżerów amerykańskiego teatru ani nawet równych sobie rangą; jeśli praca jego miała przynosić efekty, musiał panować nad sytuacją.

Rozumiejąc, że jego teatr osiągnie sukces jedynie w idealnych warunkach, w których on osobiście będzie zwierzchnikiem, Brecht przygotował się do faustowskiej transakcji. Została ona utracona z powodu konieczności złożenia zeznań przed Komisją Kongresu USA do Badania Działalności Antyamerykańskiej w dniu 30 października 1947 roku. Komisja badała wówczas sprawę wywrotowej działalności komunistycznej w Hollywood i Brecht, wraz z dwiętnastoma innymi osobami, otrzymał wezwanie do stawienia się jako potencjalny „wrogi świadek”. Wszyscy (poza Brechtem) zbiorowo odmówili odpowiedzi na pytanie o członkostwo w partii komunistycznej i zostali uznani za winnych obrazy Kongresu; dziesięciu z nich zostało skazanych na rok więzienia<sup>14</sup>.

Brecht nie miał jednakże zamiaru siedzieć w amerykańskim więzieniu. Gdy zapytano go o członkostwo, stwierdził stanowczo: „Nie, nie, nie należałem, nigdy nie należałem”. Przesłuchanie miało coś z farsy, bowiem tłumacz, David Baumgardt z Biblioteki Kongresu, mówił jeszcze mniej wyraźnie niż Brecht i rozjuszony przewodniczący Komisji, J. Parnell Thomas, zakrzyknął: „Nie mogę zrozumieć tłumacza, mówi gorzej niż świadek!”.

Komisja nie odrobiła swej pracy domowej i Brecht, zdając sobie z tego sprawę, kłamał gładko i z powagą:

„- Czy wiele z pańskich pism opiera się na filozofii Marksa i Lenina?

- Nie. Nie sędzę, by to było ściśle. Oczywiście studiowałem ją. Musiałem ją studiować jako dramaturg piszący sztuki historyczne”.

Gdy zapytano Brechta o pieśni, które stworzył dla śpiewnika partii komunistycznej, odparł, że były to. złe tłumaczenia. Zamierzał także złożyć oświadczenie lojalności z zapewnieniem: „Moja działalność ... była zawsze czysto literacka o ściśle niezależnym charakterze”, ale nie dano mu okazji do jego odczytania. Kłamał jednakże z takim przekonaniem, był tak skrupulatny w poprawianiu wszystkich błędnych danych, wydawał się tak szczerzy i chętny do udzielenia pomocy Komisji, że podziękowano mu publicznie jako wyjątkowo usłużnemu świadkowi<sup>15</sup>.

Inni pisarze, których też wezwano do stawienia się, byli tak zachwyceni przebiegłością, z jaką Brecht oszukał Komisję, że zignorowali fakt popełnienia wobec nich zdrady, a mianowicie że Brecht w ogóle zgodził się odpowiadać na pytania Komisji. Pozostał więc bohaterem lewicy. Bezpieczny, już w Europie, uderzył w ton wyzywający w wywiadzie dla prasy: „Gdy zarzucono mi chęć kradzieży Empire State Building, uznałem, że czas wyjechać”<sup>16</sup>.

Osiedlając się w Szwajcarii, Brecht rozpoczął od dokładnego przeglądu sceny europejskiej, zanim podjął decyzję, jak zaplanować swą przyszłą karierę. Zaprojektował dla siebie nowy strój - dobrze skrojone szare „ubranie robocze”, z szarą sukienką czapką. Nawiązał wiele użytecznych kontaktów dzięki swym powiązaniom z partią komunistyczną.

Kształtujący się marionetkowy sowiecki reżim w Niemczech Wschodnich, walczący o polityczną aprobatę, a jeszcze bardziej o zaspokojenie własnych ambicji kulturalnych, dążył w tym czasie do zjednania sobie jakiejś wybitnej postaci literackiej, która pomogłaby zdobyć mu uznanie. Brecht miał właściwe, literackie i ideologiczne, listy uwierzytelniające, o jakie chodziło Niemcom Wschodnim.

W październiku 1948 Brecht przeprowadził rozpoznanie sytuacji w Berlinie Wschodnim, uczestnicząc w przyjęciu wydanym na jego cześć przez wydział kultury partii komunistycznej. Wilhelm Pieck, przyszły prezydent Niemiec Wschodnich, siedział po jednej stronie Brechta, po drugiej zaś pułkownik Tupanow, sowiecki komisarz polityczny. Odpowiadając swoim przedmówcom, Brecht zastosował charakterystyczny chwyt, pozwalający mu zatrzymać wszystkie opcje, a jednocześnie uderzyć w teatralną nutę skromności. Po prostu uściskał ręce ludziom siedzącym po jego obu stronach, następnie usiadł. W trzy miesiące później w Berlinie Wschodnim odbyła się wystawna, potężnie subsydiowana premiera *Matki Courage i jej dzieci*; była wielkim sukcesem, a przybyli na nią krytycy z całej Europy Zachodniej. Przekonała ona ostatecznie Brechta, by założyć w Niemczech Wschodnich bazę dla swych działań teatralnych.

Ten mistrzowski plan był jednak bardziej zawily. Otóż Brecht odkrył, że również Austria poszukuje powojennego uznania. Austriacy należeli do najbardziej entuzjastycznych stronników Hitlera i prowadzili wiele z jego obozów koncentracyjnych (w tym cztery z największych sześciu obozów śmierci). Kierując się motywami strategii, alianci uznali za dogodne traktowanie Austrii jako „kraju okupowanego”, praktycznie raczej jako „ofiary agresji nazistowskiej” niż jako wroga, ale dopiero od roku 1955 Austria miała status neutralny. Paszport austriacki był więc bardzo użyteczny. Jednocześnie władze austriackie,

podobnie jak Niemcy Wschodnie, bardzo się starały wywalczyć swój powrót do serca cywilizowanego świata, podkreślając austriacki wkład do kultury, dlatego powołanie do tego zadania Brechta widziały jako rzecz dogodną. Transakcja została więc zawarta.

Brecht stwierdził, że chce „prowadzić intelektualną pracę w kraju, który stwarza dla niej właściwą atmosferę”. Dodawał: „Pozwólcie mi podkreślić, że uważam się jedynie za poetę i nie pragnę służyć jakiegokolwiek określonej ideologii politycznej. Odrzucam pomysł mojej repatriacji do Niemiec”. Utrzymywał, że jego więzi z Berlinem Wschodnim są powierzchowne: „Nie mam żadnej funkcji urzędowej ani zobowiązań w Berlinie i nie otrzymuję żadnej pensji w ogóle ... chcę uważać Salzburg za swoje stałe miejsce zamieszkania”<sup>17</sup>.

Większość z tych oświadczeń była kłamliwa, Brecht bowiem nie miał zamiaru mieszkać w Salzburgu. Dostał jednak paszport austriacki, co nie tylko umożliwiło mu podróże wszędzie tam, dokąd zechciał, ale dało mu także znaczny stopień niezależności wobec rządu wschodnioniemieckiego.

Był jeszcze trzeci czynnik w skrupulatnie nakreślonej strategii Brechta. Jego układ z Niemcami Wschodnimi przewidywał, że zapewnią mu własny zespół i teatr, zaopatrzone w poważne środki, w zamian za artystyczną identyfikację z reżimem. Rachował, jak się okazało słusznie, że takie założenie da jego sztukom właściwe wsparcie, by mogły wejść do światowego repertuaru. Prawa autorskie Brechta stały się w ten sposób nadzwyczaj cenne, jednakże nie miał on najmniejszego zamiaru pozwolić Niemcom Wschodnim na korzystanie z nich ani też poddać się kontroli ich wydawnictw. W dziesięcioleciu 1922-1933 Brecht odmawiał zawsze wszelkich kontaktów z instytucjami wydawniczymi KPD, przedkładając nad nie solidne firmy kapitalistyczne, które płaciły należyte honoraria. Teraz Brecht powierzył swe prawa zachodnioniemieckiemu edytorowi, Peterowi Suhrkampowi, i zmusił wydawców wschodnioniemieckich do zamieszczania, nawet w ich własnych wydaniach jego dzieł, formuły: „Za zezwoleniem Suhrkamp Verlag, Frankfurt a/Main”. Wszystkie jego dochody z publikacji na całym świecie i honoraria za międzynarodowe wystawienia były w ten sposób płacone w twardej walucie zachodnio-niemieckiej i po właściwym kursie przekazywane na konto bankowe, które Brecht otworzył w Szwajcarii.

W lecie 1949 roku, za pomocą dwulicowości i zwykłego łgarstwa, Brecht miał dokładnie to, co chciał: austriacki paszport, poparcie rządu wschodnioniemieckiego, wydawcę zachodnioniemieckiego i szwajcarskie konto bankowe. Obrął za miejsce stałego pobytu - i to jako „doradca artystyczny” instytucji, która była właściwie jego własną trupą teatralną - Berliner Ensemble, przy czym jego żona, Helene Weigel, była dyrektorem teatru.

Pierwsza wielka premiera, *Pan Puntila i jego sługa Matti*, odbyła się 12 listopada 1949 roku. We właściwym czasie Theater am Schiffbauerdamm został mu przekazany na stałą siedzibę zespołu, lansowanego plakatem Picassa. Żadnemu artyście od czasów Wagnera nie zapewniono na taką skalę warunków do wystawiania jego dzieł. Miał sześćdziesięciu aktorów, ponadto projektantów kostiumów i scenografów oraz muzyków, dziesiątki pracowników technicznych, razem dwieście pięćdziesiąt osób. Wszystkie możliwe luksusy, o jakich marzy dramaturg, były w jego zasięgu.

Brecht mógł prowadzić próby nawet pięć miesięcy. Oczywiście mógł, i tak czynił, odwoływać wieczorne przedstawienie sztuki już widniejącej w repertuarze, po to, by kontynuować próby nowej - tym, którzy przyszli do teatru, zwracano po prostu pieniądze za wykupione bilety.

Nie było żadnych obaw o liczbę zaangażowanych aktorów lub o koszty wystawienia. Brecht mógł pisać na nowo lub zmieniać fragmenty swoich sztuk kilkakrotnie podczas prób zespołu i osiągać stopień doskonałości, jakiej żaden inny dramaturg nie mógł osiągnąć gdziekolwiek indziej na świecie. Korzystając z dużego budżetu przeznaczonego na podróże,

mógł zawieźć spektakl *Matki Courage i jej dzieci* w wykonaniu swego zespołu do Paryża w roku 1954, a w następnym roku wyjechać znowu z *Kaukaskim kredowym kołem*.

Wizyty te były prawdziwym początkiem międzynarodowej sławy i wpływów Brechta. Przygotowywał się jednak do tego wiele lat, używając wszystkich swoich cudownych umiejętności autoreklamy. Polerował swój proletariacki *image* tak samo, jak swoje sztuki. Nadzwyczajnych starań dokładał w szyciu dla siebie ubrań roboczych. Dziennikarzy zachęcano do przeprowadzania wywiadów, ale po dokładnym zbadaniu danych o każdym z nich. Dozwalano wykonywać fotografie, ale pod warunkiem że Brecht wybierze przeznaczone do publikacji. Brecht zawsze starał się nadać swemu dziełu „poważny”, nawet solidny wymiar i zwrócić uwagę uczonych, w których przebiegle widział świetnych, długofalowych promotorów sławy pisarza. Dlatego właśnie zaczął swą serię *Prób*, którą teraz wznowił, ale już na znacznie szerszą skalę.

Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych Brecht prowadził „dziennik roboczy”; był to jednak nie tyle dziennik, ile raczej bieżąca relacja o pracy i funkcjonowaniu jego artystycznego intelektu, przybrana w to, co lubił nazywać „dokumentacją” - wycinki prasowe i tym podobne. W roku 1945 zaczął określać ów dziennik i inne papiery robocze mianem „archiwum”. Sfotografował je w całości i przekonał New York Public Library do włączenia mikrofilmu „archiwum” do jej zbiorów. Celem było zachęcenie studentów do pracy nad rozprawami doktorskimi o dziele Brechta, umożliwienie im dostępu do materiałów na ten temat. Drugi zestaw materiałów przesłano absolwentowi Harvardu, Gerhardowi Nellhausowi, który pisał właśnie taką pracę doktorską i we właściwym czasie stał się entuzjastycznym i skutecznym propagatorem wizerunku Brechta w USA.

Brecht już wcześniej pozyskał dla siebie Erica Bentleya, profesora literatury angielskiej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (UCLA), który pracował nad twórczością Stefana Georga. W roku 1943 Brecht zachęcił go, by zarzucił studia nad Georgiem i zajął się jego twórczością. Bentley przetłumaczył więc (wraz z Mają Bentley) nie tylko *Kaukaskie kredowe koło* i zorganizował jego amerykańską premierę w roku 1948, ale stał się czołowym heroldem sztuki Brechta po drugiej stronie Atlantyku.

Brecht odnosił się zimno do tego rodzaju uczniów i zmuszał ich do bezustannego koncentrowania się na jego dziele. Bentley zapewniał: „[Brecht] nie próbował wiele dowiedzieć się o mnie. Wcale mnie też nie zachęcał, bym dowiedział się wiele o nim”<sup>18</sup>. Brecht dobrze wiedział, że rosnące trudności, nawet jego gburowate zachowanie nie tylko nie zniechęca uniwersyteckich tropicieli, ale wręcz zachęca ich do oddawania mu przysług. Stawał się celowo grymaśny i wymagający, wszystko w imię artystycznej uczciwości. Rousseau dokonał dokładnie tego samego odkrycia i korzystał z niego, jednakże Brecht praktykował tę technikę z niemiecką wydajnością i dokładnością.

W roku 1950 wysiłki te zaczęły przynosić coraz bardziej widoczne zyski w Ameryce. Brecht usilnie propagował swą sławę w Europie i zachęcał innych do czynienia tego samego. Ogromna jego władza teatralnego patrona przyciągnęła do Berlina Wschodniego szeroką grupę młodych niedoszłych dyrektorów i scenografów. Brecht rozkazywał im jak pruski sierżant - kierował całym zespołem rządząc niepohamowanie i arbitralnie - a oni oddawali mu należny szacunek.

Same próby Brechta stawały się teatralnymi wydarzeniami i były nagrywane przez jego uczniów, taśmy uzupełniały „archiwum”, krążyły też po Londynie, Paryżu i innych stolicach. Ci młodzi ludzie służyli pomocą w rozprzestrzenianiu „ewangelii” Brechtowskiej po całym świecie show businessu<sup>19</sup>. Był także propagowany przez czołowych intelektualistów spoza jego kręgu. We Francji w jego bęben bił Roland Barthes w magazynie „Le Theatre populaire”. Jako jeden z założycieli nowej i modnej semiologii, czyli badań nad sposobami komunikowania się między ludźmi, Barthes znajdował się w idealnej wprost sytuacji, by móc umieścić Brechta na piedestale, gdzie podziwialiby go intelektualiści. W Wielkiej Brytanii

Brecht miał jeszcze bardziej wpływowego rzecznika w osobie Kennetha Tynana, którego do Brechta w roku 1950 przekonał Erie Bentley. Warto nadmienić, że Tynan był od roku 1954 krytykiem teatralnym „Observera”.

Wytrawna promocja Brechta i jego dzieła mogłaby być mniej skuteczna, gdyby nie zbiegła się z podstawową zmianą w ekonomice teatru na Zachodzie. W ćwierćwieczu 1950-1975 po raz pierwszy właściwie w każdym kraju europejskim przyjęto zasadę finansowania teatru przez państwo. Nowa instytucja była pomyślana na szeroką skalę i wyposażona w obfite środki, czasami wnoszone częściowo przez sektor prywatny. Odmiennie niż teatry państwowe dawnego stylu, których archetypem była Comedie Française, nowe zespoły, zwykle statutowo umieszczane poza kontrolą rządową, chełpiły się swoją niezależnością. Z grubsza przypominały szczerze finansowane teatry Europy Wschodniej, szczególnie Brechta, i rzeczywiście skłonne były brać Europę Wschodnią za swój model, skupiając się na wystawnych, drobiazgowo przygotowanych spektaklach. Różniły się jednak repertuarem, grając nie tylko klasykę, ale i „znaczące” nowe sztuki z repertuaru międzynarodowego - dzieła Brechta naturalnie zaliczały się do tej kategorii. W Londynie, gdzie nastąpiła najbardziej rewolucyjna zmiana, subsydiowane teatry szybko zastąpiły komercyjne, dostarczając sztuk „wyborowych” - National Theatre wyznaczył sam Kennetha Tynana na swego pierwszego kierownika literackiego. Dlatego w całej Europie, a później na całym świecie, widzowie oglądali sztuki Brechta bardzo poważnie subsydiowane i grane w idealnych warunkach, często kopiowane według norm, jakie Brecht ustanowił w swoim własnym teatrze. Nawet Wagner nie cieszył się taką łaskawością losu.

W ten sposób faustowska transakcja Brechtowi się opłaciła: jeszcze za swego życia stał się najbardziej wpływową postacią w teatrze światowym. Zawsze był gotów zadbać o swoją część, o to, ile tylko dało mu się wyszarpać dzięki swojemu sprytowi. Od najwcześniejszych lat Brecht nie tylko praktykował interesowną służalczość, ale uczynił ją kultem.

Wyznawał szwejkowską filozofię. Jedno z pierwszych powiedzeń przypisywanych Brechtowi brzmi: „Nie powinienesz zapominać, że sztuka jest szwindlem. Życie jest szwindlem”. Jeśli chce się przeżyć, trzeba uprawiać szwindle, ostrożnie i z powodzeniem.

Jego sztuki obfitują w porady tej treści. W *Werblach nocą* tchórzliwy żołnierz, Kragler, chełpi się: „Jestem świnia, a świnia idzie [z wojny] do domu”. Bohater Brechta, Galileusz, składając się przed księciem Medici, powiada: „Czy uważacie mój list za zbyt służalczy? ... Człowiek taki jak ja może osiągnąć godne stanowisko tylko czołgając się na brzuchu. I wiedzcie, że gardzę ludźmi, których mózgi nie potrafią sprostać napełnieniu ich brzucha”. Brecht wspierał tę doktrynę także i poza sceną. Mówił swemu synowi Stefanowi, że nędza trzeba unikać za wszelką cenę, bo nędza wyklucza wielkoduszność. By przeżyć, jak mówił, musisz być egoistą. Najważniejszym przykazaniem jest: „Bądź dobry dla siebie!”<sup>20</sup>.

Za tą filozofią krył się twardy egoizm, który wydaje się być wspólną cechą czołowych intelektualistów. Brecht jednakże dążył do swych egoistycznych celów z systematyczną i zimnokrwistą bezwzględnością, którą rzadko się spotyka. Przyjął ponurą logikę służalczości: jeśli kłaniał się mocniejszemu, to tyranizował słabszego. Jego postawa wobec kobiet była straszliwie logiczna: sprawiał, że wszystkie służyły jego celom. Były kurami w zagrodzie, gdzie on był kogutem. Wymyślił nawet pewien styl ubierania się swych kobiet, uzupełniający jego własny: długie suknie, ciemne kolory, co miało stanowić aluzję do purytanizmu<sup>21</sup>.

Wydaje się, że po raz pierwszy odniósł sukces, gdy miał siedemnaście lat i uwiódł dziewczynę o dwa lata młodszą. Jako młody mężczyzna skupiał uwagę na dziewczętach z klasy pracującej: chłopkach, córkach farmerów, fryzjerkach, ekspedientkach, później były to aktorki, tuziny aktorek. Żaden impresario nie używał tak bez skrupułów łóżka w dobieraniu obsady, a Brecht znajdował szczególną przyjemność w psuciu surowo wychowanych dziewczyn katoliczek.



Nie jest jasne, dlaczego kobiety uważały go za tak atrakcyjnego. Jedną z jego przyjaciółek, aktorka Mariannę Zoff, opowiadała, że zawsze był brudny i że musiała mu myć szyję i uszy sama. Elsa Lanchester, żona Charlesa Laughtona, twierdziła, że zęby Brechta wyglądały jak „małe nagrobki wystające z czarnych ust”. Jednakże jego głos, cienki, piskliwy, wysoki, dla niektórych był urokliwy; gdy Brecht śpiewał, opowiadała Mariannę Zoff, jego „zgrzytliwy, metaliczny głos” sprawiał, że ciarki przechodziły po grzbiecie; lubiła także jego „pajęczną chudość” i „czarne oczy jak guziki”, które mogły żądlić. Brecht był uprzedzająco grzeczny we wczesnej fazie znajomości, całował w rękę, wytrwały, a przede wszystkim wymagający; nie tylko jego matka uważała, że trudno się oprzeć prostej natarczywości jego prób.

Ponadto Brecht, chociaż bez serca, wyraźnie uważał kobiety za ważniejsze dla siebie od mężczyzn, powierzał im odpowiedzialne zadania, choć odbywało się to na zasadzie służalczej zależności. Lubił obdarzać każdą specjalnym imieniem, którego tylko on używał, jak na przykład „Bi”, „Mar”, „Muck”, i tak dalej. Nie przejmował się zazdrością, niechęcią, niezgraniem ludzi, kłótniami; właściwie je lubił.

Celem jego, podobnie jak Shelleya, było kierowanie małymi grupami seksualnymi, w których on byłby panem. Tam, gdzie Shelleyowi się nie udawało, Brechtowi zwykle się powodziło. Zawsze grupował kobiety w zespoły, dwu- lub trzyosobowe.

W lipcu 1919 roku młoda kobieta, Paula Banholzer (Bi), przed którą roztaczał szerokie obietnice małżeństwa, dała mu syna. W lutym 1921 zakochał się w Zoff (Mar), która także zaszła w ciążę. Chciała urodzić dziecko, ale on odmówił: „Dziecko zniszczy cały mój spokój umysłu”. Obie kobiety jednak się spotkały i zaatakowały Brechta w monachijskiej kawiarni. Zmusiły go, by usiadł między nimi i dokonał wyboru: która z nich? Brecht odpowiedział: „Obie”. Zaproponował Bi, że ożeni się z Mar, uzna jej dziecko, a potem się z nią rozwiedzie, następnie ożeni się z Bi i jej syna także uzna za swego. Mar wypaliła mu, co o nim sądzi, i wybiegła z niesmakiem z kawiarni. Bi chętnie zrobiłaby to samo, ale ponieważ była raczej nieśmiała, po prostu wyszła. Brecht ją śledził, dopadł w przedziale kolejowym i oświadczył się - został przyjęty. W kilka tygodni później rzeczywiście się ożenił, ale nie z Bi, lecz z Mar. Poroniła pierwsze dziecko, ale w marcu 1923 urodziła córkę, Hannę.

W kilka miesięcy później Brecht miał romans z inną aktorką, Helene Weigel. Sprowadził się do jej mieszkania we wrześniu 1924, ich syn, Stefan, urodził się w dwa miesiące później.

Stopniowo przybywało członków tego seksualnego kolektywu; znalazła się w nim oddana sekretarka Brechta, Elizabeth Hauptmann, i jeszcze jedna aktorka, Carola Neher, grająca Polly w *Operze za trzy grosze*.

Brecht i Mar rozwiedli się w 1927 roku. Na kogo padł wtedy jego wybór? Wahał się dwa lata, w końcu wybrał Helene Weigel, logicznie najbardziej dla niego użyteczną. Carola Neher otrzymała rekompensatę w postaci bukietu kwiatów ze słowami: „Nie można na to nic poradzić, ale przecież to nic nie znaczy”. W odpowiedzi grzmotnęła go bukietem w głowę. Elizabeth Hauptmann próbowała popełnić samobójstwo.

Te brudne i dręczące dla kobiet poczynania nie zakłóciły spokoju Brechta. Ani razu nie dał najmniejszej oznaki, że poruszyły go cierpienia, które zadał kobietom. Wykorzystał je i odrzucił, gdy przestały mu być potrzebne.

Tragiczny był przypadek Margarete Steffin (Muck), aktorki-amatorki, której dał rolę, później uwiódł podczas prób. Pojechała za nim na emigrację i została jego bezpłatną sekretarką. Miała zdolności językowe i zajmowała się jego zagraniczną korespondencją (Brechtowi sprawiał trudności każdy język poza własnym). Zapadła na gruźlicę i jej stan zdrowia pogarszał się z upływem lat spędzanych na wygnaniu. Gdy jej lekarz i przyjaciel, Robert Lund, ponaglał, by poszła do szpitala, Brecht wyraził sprzeciw: „Nic dobrego z tego nie wyniknie; ona nie może pozostać w szpitalu, bo jest mi teraz potrzebna”. Tak więc

Margarete Steffin obyla się bez leczenia i nadal dla Brechta pracowała, a gdy w roku 1941 opuścił ją w Moskwie i wyjechał do Kalifornii, umarła w kilka tygodni później, z telegramem od Brechta w rękę. Miała trzydzieści trzy lata.

Innym przypadkiem była Ruth Berlau, z którą zaczął romansować w roku 1933, bystra dwudziestosiedmioletnia Dunka, wykradziona przez Brechta mężowi, wybitnemu lekarzowi. Podobnie jak innym kochankom Brecht dał jej sporo roboty kancelaryjnej i literackiej. Oczywiście zwracał bardzo uwagę na to, co ona mówi o jego sztukach. To rozwścieczało Weigel, która nienawidziła Berlau bardziej niż jakąkolwiek inną z kochanek Brechta. Berlau była z nim w Ameryce, gdzie się gorzko skarżyła: „Jestem nieślubną żoną Brechta” lub też: „Jestem kurwą pisarza-kłasyka”. Wpadła w chorobę nerwową i musiała być leczona w nowojorskim Bellevue Hospital. Brecht komentował: „Nie ma większych wariatów od zwariowanych komunistów”. Zwolniona ze szpitala, Berlau zaczęła dużo pić. Pojechała z nim do Berlina Wschodniego, będąc uległą, to robiąc sceny, dopóki Brecht nie wysłał jej w końcu do Danii, gdzie wpadła w alkoholizm. Była serdeczna i utalentowana, ale jej wieloletnie cierpienia nie znaczyły wiele dla Brechta.

Weigel była najtwardszą z kobiet Brechta, a jednocześnie najbardziej służalczą. Właściwie ona zastąpiła mu matkę. Brecht, podobnie jak Marks, odczuwał stałą potrzebę wyzyskiwania ludzi i w przypadku Weigel dosięgnął szczytu wyzysku. Pod wieloma względami Weigel była zdecydowaną kobietą, o zdolnościach przywódczych i ogromnych talentach organizacyjnych. Pozornie wydawali się sobie równi; on nazywał ją: Weigel, ona zwracała się do niego: Brecht.

Brak jej było jednak zaufania do siebie, do swego uroku jako kobiety, a on wykorzystywał tę jej słabość i robił z niej użytek. Weigel służyła mu zarówno w domu, jak i w teatrze. W domu myła i szorowała z zapalczą energią, poszukiwała pięknych rzeczy w antykwariatach, zawzięcie gotowała, czasami świetnie, i wydawała nie kończące się przyjęcia dla jego kolegów, przyjaciół i kobiet.

Wspierała jego interesy zawodowe każdym nerwem. Gdy Brecht uzyskał własny teatr w 1949 roku, prowadziła dla niego całą administrację, zabiegając o kasę, rachunki, murarzy, sprzątaczkę, personel i wyżywienie. Dawał jej jednakże wielokrotnie do zrozumienia, nawet w sposób okrutny, że ona zawiaduje jedynie gmachem teatru i nie do niej należy działalność artystyczna - wyraźnie Weigel od niej odsunął. Często musiała do niego pisać, prosząc o spotkanie w sprawach teatru.

W domu każde z nich miało oddzielne mieszkanie z własnym dzwonkiem. Miało to ją uchronić przed flirtami Brechta, które kontynuował bez wytchnienia, prawie beznamytnie, w latach berlińskich, gdy jego władza i stanowisko dały mu „dostęp” do tuzinów młodych aktorek. Od czasu do czasu Weigel, doprowadzona do kresu wytrzymałości, opuszczała dom. Zazwyczaj jednak nastrojona była posepnie, z tolerancyjną rezygnacją. Czasami dawała młodym kochankom dobre rady: Brecht to bardzo zazdrosny mężczyzna, bałaganiarz, oczekuje od swych kobiet wierności lub przynajmniej pozostania pod jego władzą. Kontrolował je w pełni. Potrafił dzwonić kilka razy, by sprawdzić, co porabia kochanka nie spędzająca z nim wieczoru. Aż do końca przypominał starego jelenia, z wielkim wysiłkiem zaganiającego swoje łanie do stada.

Wyteżone uganianie się Brechta za kobietami nie pozostawiało mu czasu na zajmowanie się dziećmi. Miał przynajmniej dwoje nieślubnych: Ruth Berlau urodziła mu w roku 1944 syna, który zmarł młodo. Starszy syn, którego miał z Paulą, Frank Banholzer, dorósł do pełnoletności i zginął na froncie w Rosji w roku 1943. Brecht właściwie nie odmówił uznania go za syna, ale prawie zupełnie się nim nie interesował, chyba nigdy go nie widział i nigdy nie wspominał o nim w swoich dziennikach.

Zresztą i „legalne” dzieci nie zabierały wiele miejsca w życiu Brechta. Żałował za każdym razem, gdy musiał wydać na nie pieniądze lub spędzić z nimi czas.

To stara śpiewka o intelektualnym idealizmie: idee były ważniejsze od ludzi. Ludzkość przez duże „L” była ważniejsza od mężczyzn i kobiet, od żon, synów i córek. Florence, żona Oscara Homolki, która poznała dobrze Brechta w Ameryce, podsumowała to taktownie: „W stosunkach z innymi był bojownikiem o prawa ludzkie, nie troszcząc się nadmiernie o szczęście bliskich mu osób”<sup>22</sup>. Brecht twierdził, cytując Lenina, że trzeba być bezwzględny wobec jednostek, by móc służyć kolektywowi.

Tę samą zasadę stosował w pracy. Miał wysoce oryginalny i twórczy styl prezentacji, ale treść najczęściej była wzięta od innych pisarzy. Miał talent adaptacji, był parodystą, potrafił odnowić i uwspółcześić wątki i idee innych ludzi. Jest chyba prawdą, że poza nim żaden pisarz nie osiągnął takiej sławy, przyczyniając się do niej tak mało tym, co było jego własne.

- Dlaczegoż by nie? - zapytałby cynicznie Brecht. - Czy istnieje właściwie coś ważniejszego niż to, że oddajemy przysługę proletariatu?

Złapany na kradzieży tłumaczenia poezji Villona dokonanej przez Ammera, przyznał się do, jak to określił, „zasadniczego niedbalstwa w sprawach własności literackiej” - co było osobliwe ze strony człowieka, który później tak nieustępliwie pilnował swojej własności.

Jego *Święta Joanna szlachtuzów* (1932) jest rodzajem parodii *Dziewicy Orleańskiej* Schillera i *Świętej Joanny* Shawa. Oparł swoją sztukę *Karabiny pani Carrar na Jeźdźcach do morza* Johna Millingtona Synge'a. *Pan Puntila i jego sługa Matti* Brechta była związana z kradzieżą pracy etnografki Helli Wuolojocki, która gościła go w Finlandii (charakterystyczny przykład niewdzięczności). Wiersz *Freiheit und Demokratie* („Wolność i demokracja”, 1947) bardzo wiele zawdzięczał poematowi Shelleya *Maska anarchii*. Kradł od Kiplinga, kradł od Hemingwaya. Gdy Ernest Bornemann zwrócił uwagę Brechtowi na dziwne podobieństwo między jedną z jego sztuk a opowiadaniem Hemingwaya - dotykając w ten sposób jego czulego miejsca - Brecht zakrzyknął: „Wynoś się! Wynoś się! Wynoś się!”. Helene Weigel, która była w kuchni zajęta gotowaniem i nie słyszała początku sporu - nie miała więc pojęcia, o co chodziło - przyłączyła się lojalnie i wpadła do pokoju, krzycząc: „Tak, idź sobie! Idź! Idź!”, wymachując „patelnią jak mieczem”<sup>23</sup>.

„Zasadnicze niedbalstwo” Brechta było jedną z przyczyn, dla których - poza jego satelitami i tymi, którzy byli z nim złączeni więzami partyjnymi - Brecht był ogólnie niepopularny wśród pisarzy. Pogardzali nim akademicy pisarzy szkoły frankfurckiej (Herbert Marcuse, Max Horkheimer) jako „prostactkim marksistą”. Jeden z nich, Theodor Wiesen- grund Adorno, mówił, że Brecht codziennie godzinami wpycha sobie brud pod paznokcie, by wyglądać jak robotnik.

W Ameryce Brecht zrobił sobie wrogów zarówno z Christophera Isherwooda, jak i z Wystana Hugh'a Audena. Isherwood czuł się dotknięty wysiłkami Brechta i Weigel zniszczenia świeżo przyjętego przez niego buddyźmu. Uważał Brechta za „bezwzględnego”, za tchórze, a ich oboje za zachowujących się jak para z Armii Zbawienia<sup>24</sup>.

Auden, niegdyś współpracujący z Brechtem, chwalił jego poezję, ale nie traktował go poważnie jako polityka („On nie może myśleć”) i uważał jego morale za godne ubolewania: „człowiek bardzo niesympatyczny”, „ohydna postać”, jeden z nielicznych, który istotnie zasługuje na karę śmierci: „Właściwie mogę sobie wyobrazić, że zrobiłbym mu to sam”<sup>25</sup>.

Tomasz Mann także nie lubił Brechta: był dla niego „partyjniakiem”, „na nieszczęście bardzo utalentowanym”, „potworem”. Brecht odcinał się: Mann był „typowym nowelistą”, „klerykałem-faszystą”, „półgłówkiem”, „lizusem”<sup>26</sup>.

Jedną z przyczyn, dla których Adorno i jego przyjaciele tak bardzo nie lubili Brechta, było jego identyfikowanie się z „robotnikami”, co słusznie uważali za oszustwo. Oczywiście ich własny pogląd, że wiedzą, czego „robotnicy” naprawdę chcą, co czują i w co wierzą, był równie bezpodstawny; prowadzili bowiem życie ludzi należących do klasy średniej i podobnie jak Marks nigdy nie spotykali kogoś, kto pracuje w pocie czoła. Ale przynajmniej

nie ubierali się jak proletariusze, nosili garnitury starannie skrojone przez drogiego krawców. Kłamstwa i szachrajstwa, jakie Brecht sam o sobie rozgłaszał, przyprawiać mogły o mdłości. Na przykład opowiadał, jak to przyjeżdżał na spotkanie do drogiego hotelu (Savoy w Londynie, Ritz w Paryżu, Plaza w Nowym Jorku - miejsce odpowiednio się zmieniał), ubrany oczywiście w swój „strój roboczy”, i nie był wpuszczany przez portiera w liberii. Brecht z natury był jednak autokratą, w pełni zdolnym do zachowania się jak rozgniewany junkier, jeśli ktoś próbował mu przeszkodzić w zdobyciu tego, czego naprawdę chciał; jest więc zupełnie nieprawdopodobne, by taka historia mogła się wydarzyć. Brecht używał jej jako godła swych stosunków z systemem kapitalistycznym.

W jednej z opowiadanych wersji Brecht jakoby został zatrzymany przy wejściu na salę, gdzie odbywało się wystawne przyjęcie, i został poproszony o wypełnienie formularza. Gdy to uczynił, portier zapytał: „- Bertolt Brecht? Czy pan jest krewnym Bertolta Brechta?”

Brecht odpowiedział: „- Tak, jestem jego synem”. A później podniecony, dodał mrużąc: „W każdej dziurze można znaleźć kajzera Wilhelma II”<sup>27</sup>.

Niektóre ze swoich trików reklamowych Brecht zapożyczał od Charlie Chaplina, którego podziwiał i niegdyś oceniał jako lepszego od siebie reżysera. Tak więc gdy przybył swym samochodem na oficjalne przyjęcie i portier otworzył mu drzwi, Brecht sarkastycznie wysiadł na drugą stronę, pozostawiając portiera z głupią miną na pastwę naigrawań gapiącego się tłumu. Samochód - to oczywiście wciąż stary Steyr. Brecht z dużym szumem odmówił przywileju otrzymania urzędowej limuzyny od władz wschodniemieckich. Jednocześnie utrzymanie Steyra, pokrywanie kosztów paliwa, części zamiennych, napraw itd. było właściwie przywilejem - w praktyce nikt nie mający więzi z reżimem Niemiec Wschodnich nie był wówczas w stanie utrzymać prywatnego samochodu. Steyr miał dodatkową wartość dla Brechta: służył mu za symbol osobistej reklamy.

Powtórzmy raz jeszcze: było coś zwodniczego w sposobie życia Brechta. Poza pięknym mieszkaniem wznoszącym się nad cmentarzem, na którym był pochowany jego ukochany Hegel (mieszkanie Weigel znajdowało się piętro niżej), Brecht kupił piękną wiejską posiadłość w Bucków nad jeziorem Scharmutzel. Została ona skonfiskowana „kapitałiście” i Brecht korzystał z niej latem, wypoczywając w cieniu olbrzymich, starych drzew. Właściwie były tam dwa domy, jeden z nich mniejszy, i Brecht nie krył, że to właśnie w nim mieszka - nazywał go „domkiem ogrodnika”.

W miejskim mieszkaniu wisiały, na wypadek wizyty oficjeli reżimu, portrety Marksa i Engelsa; były one jednak umieszczone nie bez sarkazmu, niewykrywalnego, jak sądzono, dla urzędowego oka, ale tak by wywołać chichot przyjaciół.

Troska Brechta o zachowanie własnego *image* i przynajmniej pozorów niezależności wyłoniła się niewątpliwie z faktu dokonania przez niego faustowskiej transakcji. Właściwie nie było nic nowego w utożsamianiu swoich interesów zawodowych z przetrwaniem i poszerzaniem wpływów władzy komunistycznej. Było to wyraźnie widoczne w jego życiu od roku 1930.

W latach trzydziestych Brecht był stalinistą, nieraz fanatycznym. Amerykański filozof Sidney Hook wspomina lodową rozmowę w 1935 roku, gdy Brecht odwiedził go w mieszkaniu przy Barrow Street na Manhattanie. Wielkie czystki właśnie się zaczęły i Hook, podnosząc sprawę Zinowiewa i Kamieniewa, zapytał Brechta, jak może on współpracować z amerykańskimi komunistami, którzy trąbią o ich winie. Brecht odrzekł, że amerykańscy komuniści, podobnie jak niemieccy, nie są dobrzy, i jedyna organizacja, która się liczy, to partia sowiecka. Hook wskazał, że wszyscy oni stanowią część tego samego ruchu, odpowiedzialnego za areszty i uwięzienie niewinnych dawnych towarzyszy. Na to Brecht: „Co do nich, im bardziej są niewinni, tym bardziej zasługują na rozstrzelanie”. (Rozmowa toczyła się po niemiecku, co Hook podaje w swej relacji.) Hook: „Dlaczego? Dlaczego?”. Powtórzył pytanie, ale Brecht nie odpowiedział. Hook wstał, wyszedł do drugiego pokoju i

przyniósł kapelusz i płaszcz Brechta. „Gdy wróciłem, on wciąż siedział, trzymając szklanę w ręku. Widząc mnie z jego kapeluszem i płaszczem wyglądał na zaskoczonego. Postawił szklanę, wstał, z mdłym uśmiechem wziął ode mnie kapelusz i płaszcz i wyszedł”<sup>28</sup>.

Kiedy Hook opublikował tę relację, podał ją w wątpliwość Erie Bentley. Ale Hook twierdzi, że gdy pierwszy raz relacjonował ten incydent Bentleyowi na Kongresie Wolności Kultury w roku 1960, Bentley rzekł: „To zupełnie podobne do Brechta”, przypominając pierwszą reakcję Byrona na opowieść o Shelleyu i jego nieślubnym dziecku z Claire Clairmont.

Co więcej, potwierdził to profesor Henry Pachter z nowojorskiego Uniwersytetu Miejskiego, który poświadczał, że Brecht wypowiadał się podobnie w jego obecności, i dodał jeszcze bardziej druzgocące uzasadnienie, które wówczas przedstawił Brecht: „Za pięćdziesiąt lat komuniści zapomną o Stalinie, ale ja chcę być pewny, że będą nadal czytać Brechta. Dlatego nie mogę odłączyć się od partii”<sup>29</sup>.

Prawdą jest, że Brecht nigdy nie protestował przeciwko czystkom, nawet jeśli uderzały one w jego przyjaciół. Gdy jego dawna kochanka, Carola Neher, została aresztowana w Moskwie, tak to skomentował: „Jeśli została skazana, to musiał być przeciw niej istotny dowód”. Poszedł nawet dalej dodając, że w tym wypadku „nie ma się wrażenia, by zbrodnię spotkała odpowiednia kara”<sup>30</sup>. Carola zniknęła - prawie na pewno zamordowana przez Stalina.

Gdy inny z przyjaciół, Tretjakow, został rozstrzelany przez Stalina, Brecht napisał wiersz dla uczczenia jego pamięci, ale opublikował go dopiero wiele lat później. Natomiast wtedy Brecht oświadczył publicznie: „Procesy udowodniły w pełni istnienie aktywnego spisku przeciw ustrojowi ... Wszystkie szumowiny w kraju i za granicą, pasożyty, zawodowi przestępcy, donosiciele przyłączyły się do niego. Cały ten motłoch miał ten sam cel. Jestem przekonany, że taka jest prawda”<sup>31</sup>.

W tamtych latach Brecht publicznie popierał całą politykę Stalina, także w sprawach artystycznych. W latach 1938-1939, na przykład, poparł atak na „formalizm”, to znaczy właściwie na każdy przejaw eksperymentu artystycznego lub innowacji. Pisał wtedy: „Sama wstępna kampania przeciw formalizmowi pomogła w owocnym rozwinięciu form artystycznych udowadniając, że treść społeczna jest absolutnie decydującym warunkiem takiego rozwoju. Wszelka formalna innowacja, która nie służy i nie czerpie uzasadnienia ze swej treści społecznej, pozostanie zupełnie bez znaczenia”<sup>32</sup>.

Gdy Stalin zmarł, Brecht zauważył: „Wyzyskiwani na wszystkich pięciu kontynentach ... musieli odczuć, że na wieść o śmierci Stalina ich serca bić przestały. Był ucieleśnieniem ich nadziei”<sup>33</sup>.

Brecht był zachwycony, gdy w roku 1955 otrzymał Stalinowską Nagrodę Pokoju. Większa część ze stu sześćdziesięciu tysięcy rubli została przelana prosto na szwajcarskie konto Brechta. Pojechał jednak do Moskwy, by odebrać nagrodę, i poprosił Borysa Pasternaka, widocznie nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go ostatnio atakowano, by przetłumaczył jego - Brechta - przemówienie z tej okazji. Pasternak był szczęśliwy, że może to uczynić, ale później - gdy nazwa nagrody została zmieniona (na Międzynarodową Nagrodę Leninowską „Za utrwalanie pokoju między narodami”) - zignorował prośbę Brechta, by przetłumaczył garść jego wierszy sławiących Lenina.

Brecht był przybity krążącym tajnym referatem Chruszczowa o zbrodniach Stalina i mocno przeciwstawiał się jego opublikowaniu. Jednemu ze swych uczniów wyjaśniał powody: „Mam konia. Kuleje i ma parchy, jest szpotawy. Ktoś przychodzi do mnie i mówi mi: »Ten koń kuleje, jest szpotawy i ma parchy«. Ten ktoś ma rację, ale co mi z tego? Nie mam innego konia. W ogóle nie ma innego konia. Sądzę, że najlepiej jest wtedy jak najmniej myśleć o wadach konia”<sup>34</sup>.

„Nie myśleć” - taka była postawa Brechta, którą z konieczności sam przyjął, od 1949 bowiem był teatralnym funkcjonariuszem ultrastalinowskiego reżimu Niemiec Wschodnich. Rozpoczął od tego, co uważał za kontynuację, to jest od dworskiego wiersza *Do rodaków* dla uświetnienia „wyboru” Wilhelma Piecka na prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej w dniu 2 listopada 1949 roku. Wiersz dołączył do listu do Piecka, wyrażając swój „zachwyt” dla tego wydarzenia.

W sumie Brecht był najbardziej lojalny ze wszystkich pisarzy uznawanych za swoich przez partię komunistyczną, jeśli wyłączymy z naszych rozważań absolutnych pismaków. Udzielał swego nazwiska każdemu przedsięwzięciu wspieranemu przez reżim w polityce zagranicznej. Protestował wobec inteligencji zachodnioniemieckiej za tolerowanie remilitaryzacji Republiki Federalnej Niemiec, zachowując samemu milczenie na temat takich samych zbrojeń NRD.

Zwyczajem Brechta było potępienie innych za swoje własne grzechy powtarzającym się motywem w tamtych latach była nikkczemność zachodnich intelektualistów, którzy „służą” kapitalizmowi za pieniądze i przywileje. W chwili zgonu Brecht pracował nad sztuką na ten temat. Dostarczał większej części materiałów o treści antyadenauerowskiej; między innymi był autorem słynnej kantaty *Sprawozdanie z Herrnburga*, z takimi śpiewkami jak:

Adenauer, Adenauer, nie chowaj rąk za pas,  
Za trzydzieści srebrników sprzedałeś ty nas.

Zapewniło mu to nagrodę państwową NRD I stopnia w dziedzinie literatury. Brecht uczynił się dostępny dla przybywających z wizytą dygnitarzy i wygłaszał do nich mowy demaskujące remilitaryzację zachodnioniemiecką. Podpisywał telegramy protestacyjne. Pisał marszowe piosenki i inne wiersze dla reżimu.

Zdarzały się również i konflikty, zwykle o pieniądze, jak na przykład z DEFA, wschodnioniemieckim państwowym przedsiębiorstwem filmowym, o *Matkę Courage*. Reżim odrzucił za pierwszym razem *Abecadło filmowe* jako „pacyfistyczne”, ale ustąpił, gdy Brecht zagroził, że postawi sprawę przed (kontrolowaną przez komunistów) Światową Radą Pokoju.

Zasadą jednak było, że to Brecht ustępował. Sztuka jego *Przesłuchanie Lukullusa* z roku 1939, początkowo napisana dla radia jako antywojenna diatryba, otrzymała partyturę muzyczną skomponowaną przez Paula Dessau i 17 marca 1951 roku miała odbyć się premiera tego widowiska we wschodnioblerlińskiej Operze Państwowej. Reżim został zaalarmowany rozgłosem, jakim opera się cieszyła. Zdecydowano, że jest zbyt pacyfistyczna, a ponieważ było za późno, by zahamować pracę nad nią, przedstawienia zredukowano do trzech i wydano wszystkie bilety jedynie członkom partii. Niektóre jednak zostały sprzedane na czarnym rynku berlińczykom z zachodniej części miasta, którzy przybyli na premierę i dziko operę oklaskiwali. Dwa pozostałe przedstawienia zostały odwołane.

Tydzień później urzędowy organ partyjny, „Neues Deutschland”, opublikował napastliwy artykuł zatytułowany: „*Przesłuchanie Lukullusa*” *niepowodzenie eksperymentu w Niemieckiej Operze Państwowej*. Ogień skoncentrowano na muzyce Dessaua, nazwanego zwolennikiem Strawińskiego, „fanatycznego niszczyciela europejskiej tradycji muzycznej”, ale krytykowano również libretto jako „nie odpowiadające rzeczywistości”.

Brechta, podobnie jak Dessaua, wezwano na zebranie partyjne, które trwało osiem godzin. Przy końcu Brecht, pełen szacunku dla zebranych, oświadczył: „Czy można gdziekolwiek na świecie znaleźć rząd, który wykazywałby takie zainteresowanie artystami i słuchał z taką uwagą tego, co oni mówią?” i dokonał zmian, o które partia prosiła, zmieniając tytuł na *Potępienie Lukullusa*, a Dessau ponownie napisał muzykę. Jednakże nowa premiera w dniu 12 października nie była wciąż zadowolająca. Gazeta „Neues Deutschland” uznała, że widać już „znaczną poprawę”, ale przedstawieniu wciąż brak ludowego wydzźwięku i jest ono

„niebezpiecznie bliskie symbolizmowi". Potępione w ten sposób Przesłuchanie Lukullusa zniknęło ze sceny wschodnioniemieckiej, choć Brecht miał je wystawić na Zachodzie<sup>35</sup>.

Prawdziwa próba dla faustowskiej transakcji Brechta nastąpiła w czerwcu 1953 roku, gdy wschodnioniemieccy robotnicy wywołali powstanie i czołgi sowieckie zostały sprowadzone do ich pokonania. Brecht pozostał lojalny, ale za pewną cenę; przebiegle wykorzystał tę tragedię, aby wzmocnić własną pozycję i poprawić warunki transakcji, którą zawarł z władzą.

W chwili, gdy zmarł Stalin, Brecht znajdował się pod coraz większą presją władz wschodnioniemieckich w kierunku dostosowania się do sowieckiej polityki artystycznej, wówczas zachwalającej metodę Stanisławskiego, której Brecht nienawidził. „Neues Deutschland", wyrażając opinie Państwowej Komisji Sztuk Pięknych - Brecht miał w niej wrogów i prowadziła ona kampanię przeciw jego Berliner Ensemble - ostrzegło, że zespół Brechta jest „niezaprzeczalnie w opozycji wobec wszystkiego, za czym opowiadał się Stanisławski". Ponadto w tamtym okresie Ensemble jedynie partycypował w teatrze i Komisja blokowała próby Brechta przejęcia Theater am Schiffbauerdamm. Celem Brechta było zniszczenie Komisji i przejęcie teatru.

Powstanie, jak się wydaje, zupełnie Brechta zaskoczyło, ujawniając, jak był całkowicie pozbawiony kontaktu z życiem zwykłych ludzi. Miał sporo obcej waluty i stale podróżował za granicę, tam też z żoną robił większość zakupów; w Niemczech Wschodnich miał dostęp do specjalnych sklepów dla uprzywilejowanej, wyższej partyjnej nomenklatury. Natomiast masy ludności, której duża część głodowała, były całkowicie na łasce samowolnych zmian w rządowej polityce racjonowania i blisko 60000 ludzi zbiegło do samego Berlina Zachodniego.

W kwietniu 1953 nagle podniesiono ceny, a kartki żywnościowe odebrano całym kategoriom ludności, na przykład inicjatywie prywatnej i właścicielom domów (Brecht należał do obu tych kategorii, ale nie podlegał przepisom tego zarządzenia z mocy swego uprzywilejowanego statusu i austriackiego obywatelstwa). Nagle, 11 czerwca, polityka ta uległa drastycznej zmianie: przywrócono kartki żywnościowe, a polityka płac i cen obróciła się zdecydowanie przeciw robotnikom fabrycznym. Nazajutrz, 12 czerwca, robotnicy budowlani uważając, że stracili połowę swych zarobków, zażądali zwołania masowego wiecu. Protesty rozpoczęły się faktycznie 15 czerwca i narastały z coraz większą furją, dopóki nie nadjechały sowieckie czołgi.

Brecht, choć zaskoczony przez powstanie, nawet przebywając na wsi potrafił wyciągnąć z niego dla siebie korzyści. Zdawał sobie sprawę, jak ważne jest jego poparcie dla reżimu w tej krytycznej chwili. W dniu 15 czerwca napisał do premiera rządu, Ottona Grotewohla, nalegając, by podjęto decyzję o przejęciu teatru przez Berliner Ensemble i by tę decyzję ogłoszono. Oznaczało to, że w zamian Brecht poprze linię partii, jakakolwiek by ona była. Były trudności w podjęciu decyzji, jaka ma być ta linia, dopóki nie został aresztowany niejaki Willi Gottling, bezrobotny z Berlina Zachodniego, który we wschodnim sektorze nieopatrznie zbierał datki; osądzony w tajnym procesie, skazany na śmierć jako „zachodni agitator" i rozstrzelany.

W ten sposób „faszystowska agitacja" stała się wyjaśnieniem przyczyn buntu i przyjętą linią partii, którą Brecht niezwłocznie poparł. Przy końcu dnia podyktował listy do partyjnych przywódców, Ulbrichta i Grotewohla, oraz do sowieckiego doradcy politycznego, Władimira Siemionowa, który właściwie był rosyjskim generał-gubernatorem.

W dniu 21 czerwca „Neues Deutschland" donosiło: „Laureat Nagrody Państwowej Bertolt Brecht przesłał do sekretarza generalnego Komitetu Centralnego Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, Waltera Ulbrichta, list, w którym oświadczył: »Odczuwam w tej chwili potrzebę wypowiedzenia mojego przywiązania do Partii. Wasz Bertolt Brecht«".

Brecht twierdził później, że jego list w rzeczywistości zawierał sporo krytyki rządu i że cytowane zdanie było poprzedzone dwoma innymi: „Historia odda szacunek rewolucyjnemu niepokojowi Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec. Wielka dyskusja z masami o tempie budownictwa socjalistycznego sprawia, że osiągnięcia socjalizmu będą poddane dokładnemu zbadaniu i zostaną zabezpieczone”.

Gody Suter, szwajcarski korespondent, pisał: „Tylko raz i to właśnie wówczas widziałem go bezradnego, prawie małego, gdy wyciągnął skwapliwie z kieszeni postrzępiony oryginał tego listu. Widoczne było, że pokazywał go wielu ludziom”<sup>36</sup>.

Brecht nie podjął jednak żadnych starań, by opublikować pełny tekst swego listu, wtedy lub później, choć miał z pewnością kalkę, a więc i kopię. Jeśliby ją opublikował, reżim łatwo mógłby przedstawić oryginał. Brecht był w pełni zdolny do tego, by wysłać jeden list, a później skarżyć się prywatnie, że posłał zupełnie coś innego. Nawet jeśli jego wersja była prawdziwa, skargi na zachowanie się Ulbrichta nie miały większego znaczenia. Władcy NRD mieli ważniejsze problemy na głowie niż subtelności Brechtowskiego poparcia - na przykład jak ocalić swe karki. Tak czy inaczej, Brecht był już kupiony i splecony. Dlaczego mieliby się wahać i nie skrócić jego małej noty dziękczynnej?

„Neues Deutschland” w dwa dni później opublikowało długi list Brechta, który wyjaśniał swoje stanowisko z brutalną szczerością. Odwoływał się w nim do „niezadowolenia znacznej części robotników Berlina z całej serii nieudanych przedsięwzięć ekonomicznych”. Ale pisał dalej: „Zorganizowane elementy faszystowskie próbowały nadużyć tego niezadowolenia dla swych krwawych celów. Przez kilka godzin Berlin był na krawędzi III wojny światowej. Tylko dzięki szybkiej i sprawnej interwencji oddziałów radzieckich próby te się nie udały. Oczywiście jest, że interwencja oddziałów radzieckich w żadnej mierze nie była skierowana przeciw demonstracjom robotniczym. Doskonale było widoczne, że była ona skierowana jedynie przeciw próbie rozpoczęcia nowej masakry”<sup>37</sup>.

W liście do zachodniemieckiego wydawcy Brecht powtórzył tę wersję: „faszystowski i podżegający do wojny motłoch”, złożony „ze wszystkich rodzajów zdeklasowanych młodych ludzi”, rozlał się po Berlinie Wschodnim i tylko Armia Radziecka zapobiegła wojnie światowej. Taka była linia partii, aż do ostatniej kropki nad „i”.

Nie było jednak najmniejszego dowodu na istnienie „agitatorów faszystowskich”. Nawet sam Brecht w nich nie wierzył. Jego osobisty dziennik ujawnia, że znał prawdę. Ale oczywiście został opublikowany w długi czas po jego śmierci<sup>38</sup>.

Ponadto Brecht uznał, iż prawda - mianowicie że zwykły niemiecki robotnik odrzuca reżim - jest nienawistna. Tak jak większość członków klasy rządzącej, z robotników spotykał jedynie służących i czasem rzemieślników dokonujących napraw w jego domu. Zanotował rozmowę z hydraulikiem; ten skarżył się, że uczeń, którego wyrzucił za złodziejstwo, jest teraz w Policji Ludowej (Volkspolizei), pełnej dawnych nazistów. Hydraulik chciał doczekać wolnych wyborów. Brecht replikował: „W takich wyborach wygrają naziści”. Nie wynikało to zupełnie z logiki wywodów hydraulika, ale odzwierciedlało nastawienie umysłu Brechta. Nie dowierzał ludowi niemieckiemu, nad demokrację przedkładał sowieckie rządy kolonialne<sup>39</sup>.

Brecht otrzymał swoje *quid pro quo* za popieranie reżimu, choć Ulbricht zwlekał przez większą część roku. W swych wysiłkach nad rozbięciem Komisji Sztuk Pięknych Brecht znalazł cenną pomoc w osobie młodego i błyskotliwego profesora filozofii marksistowskiej na Uniwersytecie Humboldta, Wolfganga Haricha, który zaopatrzył go w argumenty doktrynalne, przybrane we właściwy żargon, na jaki Brecht sam się nie mógł zdobyć. W początkach roku 1954 Komisja została ostatecznie rozwiązana i zastąpiona nowym ministerstwem kultury, które powierzono staremu przyjacielowi Brechta, Johannesowi Becherowi. W marcu 1954 nastąpiła ostateczna zapłata w tej transakcji, gdy Brechtowi oddano w formalne posiadanie tak pożądaną przez niego teatr.



Uczcił swoje zwycięstwo wykradając śliczną żonę Haricha, Isot Kilian, którą tymczasowo uczynił swoją główną kochanką i asystentką w nowej siedzibie. Roztrzęsionemu Harichowi udzielił cynicznej rady: „Teraz się z nią rozwiedź. Ożenisz się z nią ponownie za dwa lata” - w ten sposób dając do zrozumienia, że wtedy już z nią skończy.

Ale stało się inaczej. Zachorował w końcu roku 1954. Nastąpiło to nieco wcześniej przed rozpoznaniem choroby serca. Brecht nie dowierzał komunistycznej medycynie i leczył się w klinice w Berlinie Zachodnim. Uzgodnił, że będzie przyjęty do kliniki w Monachium, ale nigdy tam nie dojechał: rozległy zakrzep tętnicy wieńcowej pozbawił go życia w dniu 14 sierpnia 1956 roku.

Brecht próbował jeszcze po raz ostatni podejść pobłażliwą Helene Weigel. Obmyślił testament, w którym pozostawił swoje prawa autorskie czterem kobietom: swojej dawnej sekretarce i kochance Elizabeth Hauptmann, która otrzymała prawa do *Opery za trzy grosze*, najcenniejszej ze wszystkich; biednej Ruth Berlau, Isot Kilian i Katche Rulicke, którą uwiódł w końcu roku 1954 i która była zmienniczką Isot Kilian. Jednakże Kilian, którą Brecht wyznaczył do właściwego poświadczenia testamentu, była zbyt niecierpliwa, by czekać w biurze notarialnym na dokończenie tej procedury. Okazało się więc, że testament nie jest prawomocny.

Weigel, jako jedyna legalna żona, otrzymała cały udział i przydzieliła innym kobietom ich część stosownie do własnej dobrej woli.

Pozostałe pragnienia Brechta zostały jednak spełnione. Wyraził życzenie, by pochowano go w szarej stalowej trumnie, nie wydając na pastwę robactwu i, skoro tylko umrze, przebito jego serce stalowym sztyletem. Uczyniono to i ogłoszono: wiadomość ta była dla wielu, którzy go znali, pierwszą wzmianką o tym, że miał serce.

Starałem się w tym opisie znaleźć coś, co by przemawiało na korzyść Brechta. Pomijając jednak fakt, że zawsze ciężko pracował i posyłał paczki z żywnością ludziom w Europie podczas wojny i zaraz po niej (ale może robiła to Weigel), nie ma niczego, co by świadczyło na jego rzecz. Jest jedynym spośród badanych przeze mnie intelektualistów, który wydaje się nie mieć żadnej cechy kompensującej inne braki.

Podobnie jak większość intelektualistów przedkładał idee nad ludzi. Nie było żadnego ciepła w jego związkach z innymi. Nie miał też przyjaciół w zwykłym znaczeniu tego słowa. Odczuwał przyjemność w pracy z ludźmi pod warunkiem, że on tą pracą kierował. Jednakże, jak to odnotował Erie Bentley, praca z nim była serią posiedzeń komisji lub zarządu. Nie był, zdaniem Bentleya, zainteresowany ludźmi jako poszczególnymi osobami. Prawdopodobnie dlatego nie mógł stworzyć postaci, jedynie typy. Używał ich jako agentów, każdego do odpowiedniego celu.

Odnosiło się to również do kobiet, które nie miały dla niego cech indywidualnych jako ludzie, a jedynie były dlań współlokatorkami jednego łóżka, sekretarkami, kucharkami.

Co jednak w końcu było jego celem? Nie jest w ogóle jasne, czy Brecht miał jakieś naprawdę ustalone przekonania. Jego francuski tłumacz, Pierre Abraham, wspominał, że Brecht powiedział mu na krótko przed śmiercią, że zamierza opublikować ponownie swoje dydaktyczne sztuki, z nowym wstępem, zawierającym stwierdzenie, że nie trzeba ich brać poważnie, ale tylko jako „ćwiczenia dla tych atletów ducha, którzy powinni być dobrymi dialektami kami”<sup>40</sup>. Dzieła te w swoim czasie były z pewnością wystawiane z całą powagą, a jeśli były jedynie „ćwiczeniami”, to które z dzieł Brechta takie nie było?

Zimną na przełomie roku 1922 i 1923 Arnolt Bronner rozmawiał z Brechtem o potrzebach ludzi. Bronner wywierał bardzo duży wpływ na Brechta. „Wzmocnił” lub „uczynił bardziej lewicowym” swoje imię, zmieniając je z Arnolda na Arnolta, co Brecht naśladował: nie tylko zarzucił swoje dwa imiona, Eugen i Friedrich, jako „zbyt rojalistyczne”, ale i zmienił Bertold na Bertolt. Gdy przy tej okazji Bronner podkreślił potrzebę zmienienia świata, tak by nikt nigdy nie głodował, Brecht dostał furii. Według

Bronnera wykrzyczał wtedy: „Co cię to obchodzi, że ludzie głodują? Trzeba iść naprzód, wyrobić sobie nazwisko i zdobyć teatr, by wystawiać swoje sztuki!”. Bronner dodał: „Nie interesowało go nic innego”<sup>41</sup>.

Brecht lubił być dwuznaczny, zagadkowy, tajemniczy. Ukrywał swój intelekt pomysłowo, tak jak ubierał swe ciało w strój roboczy. Być może jednak przy tej okazji, właśnie przynajmniej wtedy, powiedział, co myślał naprawdę.

## Przypisy Rozdział 7

1. Polityka głośności Michaiła Gorbaczowa sprawiła, że pojawiło się w publikacjach komunistycznych więcej szczegółów o życiu Brechta, zob. Werner Mittenzwei, *The Life of Bertolt Brecht*, Berlin Ost 1987.
2. Najbardziej użyteczna jest książka Ronalda Haymana, *Bertolt Brecht: A Biography*, London 1983, która omawia jego pochodzenie (s. 5 i n.). Autor korzystał też z doskonałej pracy Martina Esslina, *Bertolt Brecht: A Choice of Evils*, London 1959.
3. Bertolt Brecht, *Gesammelte Gedichte*, s. 76.
4. Cyt. przez Siergieja Tretiakowa w: Bert Brecht, „International Literature”, Moskwa 1937. Zob. też: Bertolt Brecht, *Pieśń o poległym żołnierzu*.
5. Esslin, op. cit., s. 8-9.
6. Walter Benjamin, *Understanding Brecht* (tłum.), London 1973.
7. Esslin, op. cit., s. 27-28.
8. Cyt. w: *ibidem*, s. 22.
9. Ruth Fischer, *Stalin and German Communism*, Harvard 1948, s. 615; Esslin, op. cit., s. 133-176.
10. Cyt. przez Daniela Johnsona, *Mac the Typewriter*, „Daily Telegraph”, 10 II 1988.
11. Lotte H. Eisner, *Sur le proces de VOpera de Quat'Sous*, „Europe”, (Paryż), I-II, 1937.
12. Esslin, op. cit., s. 42-43.
13. Zob. James K. Lyon, *Bertolt Brecht in America*, Princeton 1980.
14. O udziale Brechta w przesłuchaniach w Kongresie, zob. Lyon, op. cit., s. 326 i n.
15. *Hearings Regarding the Communist Infiltration of the Motion Picture Industry*, Washington, DC, 1947, dają pełny tekst dialogu z Brechtem, s. 491-504.
16. Cyt. Esslin, op. cit., s. 71.
17. Hayman, op. cit., s. 337-340.
18. O Nellhausie i Bentleyu, zob. Lyon, op. cit., s. 152 i n., 205.
19. Esslin, op. cit., s. 81-82.
20. Hayman, op. cit., s. 245.
21. *Ibidem*, s. 225.
22. Cyt. Lyon, op. cit., s. 209.
23. Hayman, op. cit., s. 140-141.
24. Lyon, op. cit., s. 238-239.
25. „New York Times” 2 XI 1958; Lyon, op. cit., s. 300; Humphrey Carpenter, W. H. Auden, London 1981, s. 412.
26. Lyon, op. cit., s. 264r-265.
27. Esslin, op. cit., s. 79.
28. Sidney Hook, *Out of Step: An Unquiet Life in the Twentieth Century*, New York 1987, s. 492-493.

29. Zob. „New Leader” 30 XII 1968, 28 IV 1969.
30. Hayman, op. cit., s. 209.
31. Bertold Brecht, Schriften zur Politik und Gesellschaft, s. 111 i n.
32. B. Brecht, Versuche,, XII, s. 147.
33. Cyt. Esslin, op. cit., s. 162.
34. Cyt. Daniel Johnson, „Daily Telegraph” 10III1988.
35. „Neues Deutschland” 22 III, 19 X 1951; Esslin, op. cit., s. 154 i n.
36. „Tagesanzeiger” (Zurych) 1 IX 1956.
37. „Neues Deutschland” 23 VI 1953.
38. Zob. jego Arbeitsjournal z zapisem z 20 VIII 1953.
39. O powstaniu zob. świetny fragment u Haymana, op. cit., s. 365-378.
40. „Europę” I-II 1957.
41. Cyt. Esslin, op. cit., s. 136.

## 8. Bertrand Russell: przykład logicznych bzdur

Żaden intelektualista w dziejach nie udzielał rad ludzkości tak długo jak Bertrand Russell, trzeci z kolei lord Russell (1872-1970). Urodził się w roku, w którym generał Ulysses S. Grant został wybrany ponownie na prezydenta USA, a zmarł w przeddzień afery Watergate. Był o kilka miesięcy młodszy od Marcela Prousta i Stephena Crane'a, a kilka tygodni starszy od Calvina Coolidge'a i Maxa Beerbohma; żył jednak dość długo, by pozdrawiać zrewoltowanych studentów roku 1968 i cieszyć się dziełem Stopparda i Pintera.

Przez cały ten czas spod pióra Russella płynął równomierny strumień porad, napomnień, informacji na zastanawiająco różne tematy. Jedna z bibliografii (prawie na pewno niekompletna) wymienia sześćdziesiąt osiem jego książek. Pierwsza, *German Social Democracy*, została opublikowana w 1896 roku, gdy królowej Wiktorii pozostało jeszcze pięć lat życia; jego pośmiertne *Essays in Analysis* (1973) ukazały się w roku rezygnacji Nixona z prezydentury. Pomędzy tymi datami Russell publikował prace o geometrii, filozofii, matematyce, sprawiedliwości, przebudowie społecznej, ideach politycznych, mistycyzmie, logice, bolszewizmie, Chinach, mózgu, przemyśle, ABC atomów (to w roku 1923, w trzydzieści sześć lat później przybyła książka o wojnie jądrowej), nauce, teorii względności, oświacie, sceptycyzmie, małżeństwie, szczęściu, moralności, lenistwie, religii, sprawach międzynarodowych, historii, energii, prawdzie, wiedzy, władzy, obywatelstwie, etyce, biografii, ateizmie, mądrości, przyszłości, rozbrojeniu, pokoju, zbrodniach wojennych i na inne jeszcze tematy<sup>1</sup>. Trzeba do tego dodać olbrzymią liczbę artykułów w gazetach i magazynach, obejmujących każdy temat, jaki można wymyślić, nie wyłączając użycia szminki, zwyczajów turystów, wyboru cygar i bicia żon.

Dlaczego Russell uważał się za upoważnionego do udzielania tak wielu rad i dlaczego ludzie go słuchali? Odpowiedź na pierwsze pytanie nie jest oczywista od razu. Prawdopodobnie pierwszą i najważniejszą przyczyną obfitości jego dorobku była wielka łatwość pisania, w jego przypadku dobrze opłaconego.

Przyjaciel Russella, Miles Malleson, pisał o Russellu w latach dwudziestych: „Codziennie rano Bertie wychodził na godzinny samotny spacer, układając i obmyślając swoją pracę na dany dzień. Mógł później wrócić i pisać przez resztę poranka, potoczyście, łatwo i bez ani jednej poprawki”<sup>2</sup>. Finansowe wyniki tej sympatycznej działalności były notowane w małym notesiku, w którym wymieniał honoraria, jakie otrzymał za wszystko, co opublikował bądź wygłosił przez całe swoje życie. Trzymał go w wewnętrznej kieszeni i w rzadkich chwilach bezczynności lub zniechęcenia wyjmował, by przejrzeć, co nazywał „zajęciem, które najbardziej cieszy”<sup>3</sup>.

Z pewnością Russell nie miał rozległej wiedzy o życiu innych ludzi i nie interesował się szczególnie poglądami i uczuciami tłumu. Był sierotą, rodzice zmarli, gdy miał cztery lata, i dzieciństwo spędził w domu swojego dziadka, pierwszego lorda Russella, który przeprowadził ustawę o wielkiej reformie wyborczej 1832 roku w starej, nie zreformowanej Izbie Gmin. Zapleczem Russella była wigowska arystokracja, która odcinając się od kontaktów z pospółstwem, a nawet ze szlachtą, miała arbitralne upodobanie w ideach radykalnych.

Stary lord jako były premier spędzał przyjemnie czas w rezydencji Pembroke Lodge w Richmond Park, nadanej mu przez królową Wiktorię, tam też dorastał Russell. Zawsze sądziłem, że jego nie do naśladowania akcent, bardzo czysty i dawny, pochodził od jego dziadka, choć często był błędnie klasyfikowany jako „Bloomsbury”.

Główny wpływ na dzieciństwo Bertranda wywarła jednak babka, głęboko religijna dama o wyraźnie purytańskich poglądach i wzniosłych zasadach.

Rodzice Russella byli ateistami i skrajnymi radykałami i życzyli sobie, aby ich syn został wychowany w duchu idei Johna Stuarta Milla. Ale babka nie posłuchała ich wskazówek, Russell więc wzrastał w atmosferze Biblii i Niebieskich Ksiąg, pod opieką całej procesji guwernantek i guwernerów, z których jeden, jak się okazało, był ateistą. Nie miało to wielkiego wpływu na życie Russella, szedł on bowiem zawsze własną drogą.

W wieku piętnastu lat pisał w swoim dzienniku, używając alfabetu greckiego, by ukryć myśli przed wścibskim okiem: „Muszę ... wejrzeć w same podstawy religii, w której zostałem wychowany”<sup>4</sup>. Został wówczas niewierzącym i był nim do końca swoich dni. Pogląd, że większość ludzi potrzebuje jakiejś istoty wyższej i ją uznaje, nigdy do niego nie przemawiał. Sądził, że ludzki umysł znajdzie odpowiedzi na wszystkie zagadki wszechświata albo ich nie znajdzie w ogóle. Nigdy żaden człowiek nie miał większej od niego ufności w moc intelektu, chociaż Russell był skłonny uważać go za abstrakcyjną, bezcielesną siłę. Ukochanie zalet intelektu i podejrzliwy stosunek do spraw cielesnych, prawdopodobnie wynikający z purytańskich nauk babki, sprawiły, że Russell został matematykiem.

Nauka o liczbach - nic bardziej odległego od codzienności - była pierwszą i największą pasją jego życia. Z pomocą armii korepetytorów Russell otrzymał stypendium w Trinity College w Cambridge i w roku 1893 został wymieniony jako kandydat, który zdał z wyróżnieniem egzamin na stopień bakalaureusa nauk ze specjalizacją w matematyce. Objął później stanowisko wykładowcy w Trinity College, i we właściwym czasie powstał pierwszy szkic wielkiej pracy, *The Principles of Mathematics*, którą napisał z Alfredem Northern Whiteheadem, kończąc ją w ostatni dzień starego stulecia.

Russell pisał: „Lubię matematykę, bo *nie* jest człowiecza”. W swoim eseju, *The Study of Mathematics*, cieszył się: „Matematyka zawiera w sobie nie tylko prawdę, ale najwyższe piękno - piękno zimne i surowe jak rzeźba, nie wywierające uroku na żadną z części naszej słabszej natury, wysublimowanie czyste i zdolne do surowej doskonałości, jaką tylko może okazać największa sztuka”<sup>5</sup>.

Russell nigdy nie uważał, by należało zachęcać pospólstwo do przenikania granic wiedzy. Jego praca zawodowa w dziedzinie matematyki była wykonywana w wysoce fachowy sposób, bez żadnych ustępstw dla niezawodowców. Spekulacje filozoficzne, jak dowodził, winny być dokonywane w języku specjalistycznym, i walczył nie tylko o utrzymanie, ale i wzmocnienie hieratycznego kodu.

Russell był wielkim kapłanem intelektu, nie pozwalającym obcym przeniknąć tajemnic. Nie zgadzał się zasadniczo z tymi ze swoich kolegów-filozofów, którzy, jak George Edward Moore, chcieli dyskutować problemy w zwyczajnym, zdroworozsądkowym języku, utrzymywał bowiem, że „zdrowy rozsądek uosabia metafizykę dzikusów”.

Jednakże jeśli wielcy kapłani intelektualistów mieli obowiązek, jak sądził, utrzymania misteriiów eleuzyjskich dla swojej kasty, to mieli także obowiązek, strzegąc zasobu wiedzy, uraczyć pospólstwo niektórymi owocami swojej mądrości. Nakreślił w ten sposób różnicę między filozofią zawodową i popularną etyką, uprawiając jedną i drugą.

Od roku 1895 do 1917 i ponownie w latach 1919-1921 i 1944-1949 Russell był wykładowcą w Trinity College, wiele też lat wykładał i nauczał na uniwersytetach amerykańskich. Jednak większość swego życia spędził na mówieniu ludziom, co winni myśleć i robić, i ten intelektualny ewangelizm całkowicie zdominował drugą część jego długiego życia.

Podobnie jak Albert Einstein w latach dwudziestych i trzydziestych, Russell stał się dla rzesz ludzi na całym świecie kwintesencją i archetypem abstrakcyjnego filozofa, uosobieniem mówiącej głowy.

Co to jest filozofia? No cóż, to rodzaj rzeczy - mówił Bertrand Russell.

Russell był utalentowanym popularyzatorem. Jedną z jego wcześniejszych prac objaśniała dzieło Leibniza, dla którego zawsze żywił cześć<sup>6</sup>. Jego wspaniała przeglądowa praca A

History of Western Philosophy (1946) wyróżnia się wśród dzieł tego gatunku i słusznie została uznana na całym świecie za bestseller. Koledzy uniwersyteccy Russella krytykowali ją, wyrażali ubolewanie z jej powodu, a z pewnością zazdrościli mu tej popularnej pracy.

Ludwig Wittgenstein uznał jego książkę *The Conquest of Happiness* (1930) za „zupełnie nie do zniesienia”<sup>7</sup>. Gdy w roku 1949 opublikowano ostatnie wielkie dzieło filozoficzne Russella, *Human Knowledge*, recenzenci akademicy odmówili potraktowania go poważnie. Jeden z nich nazwał książkę Russella „trajkotaniem kuglarza”<sup>8</sup>.

Jednakże publiczność lubi filozofa, który zstępuje między ludzi. Ponadto uważano, słusznie czy też nie, że Russell miał odwagę przekonać i był gotów za nie cierpieć. Tak jak Einstein udał się na emigrację uciekając przed tyranią nazistów, Russell wielokrotnie brał się za łby z władzami i przyjmował karę więzienia.

Tak na przykład w roku 1916 napisał anonimową ulotkę dla No Conscription Fellowship (Związek Przeciw Poborowi), protestując przeciw skazaniu na więzienie człowieka, który ze względów religijnych uchylał się od służby wojskowej, mimo że w ustawie o poborze był umieszczony „paragraf sumienia”. Kolporterzy ulotek zostali aresztowani i skazani na więzienie. Russell napisał list do „Timesa” oświadczając, że to on był autorem ulotki. Wytoczono mu proces w Mansion House przed Lordem Mayorem Londynu i osądzono, skazując na sto funtów grzywny. Russell odmówił zapłaty, zajęto więc jego meble w Trinity College i sprzedano na poczet grzywny. Rada Trinity, elitarny zarząd złożony ze starszych wykładowców, zakazała mu prowadzenia wykładów. Podeszli do sprawy bardzo poważnie i wydawało się, że większość z nich działała po wielkim namyśle i kierując się wyższymi zasadami<sup>9</sup>. Dla szerokiej publiczności wyglądało to jak podwójna kara za to samo wykroczenie.

W dniu 11 lutego 1918 roku Russell był sądzony i skazany po raz drugi. Tym razem za artykuł umieszczony w radykalnej gazecie „Tribunal”, zatytułowany *The German Peace Offer* („Niemiecka propozycja pokojowa”), w którym pisał: „Garnizon amerykański, który teraz będzie okupował Anglię i Francję, bez względu na to, czy okaże się skuteczny przeciw Niemcom, czy też nie, potrafi bez wątplenia zastraszyć strajkujących, do czego armia amerykańska jest przyzwyczajona u siebie w kraju”. Za ten nieprzemysłany, kłamliwy i doprawdy absurdalny artykuł został oskarżony, na mocy ustawy o obronie królestwa, o „złożenie w drukowanej publikacji pewnych oświadczeń mogących wystawić na szwank stosunki Jego Królewskiej Mości ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki” i skazany w sądzie przy Bow Street na sześć miesięcy<sup>10</sup>. Gdy wyszedł na wolność, Foreign Office odmówił mu, przynajmniej na razie, wydania paszportu, a podsekretarz stanu, sir Arthur Nicolson, składając parafę na jego aktach notował, że Russell to „jeden z najbardziej szkodliwych dziwaków w tym kraju”<sup>11</sup>.

Russell miał ponownie kłopoty z prawem w latach 1939-1940, gdy otrzymał katedrę na Uniwersytecie Miejskim Nowego Jorku (City University of New York). Był wtedy już znany ze swych areligijnych i przypuszczalnie niemoralnych poglądów. Mało że publikował niezliczone artykuły przeciw chrześcijaństwu; udoskonalił jeszcze swoje dokonania oratorskie, deklamując nosowym tonem duchownego „Credo ateisty”: „Nie wierzymy w Boga. Ale wierzymy w supremację ludzkości. Nie wierzymy w życie po śmierci. Ale wierzymy w nieśmiertelność przez dobre uczynki”<sup>12</sup>.

Rozkoszował się recytując to dzieciom swoich postępowych przyjaciół. Gdy ogłoszono nowojorską nominację Russella, głośno zaprotestowało miejscowe duchowieństwo anglikańskie i katolickie.

Wobec faktu, że uniwersytet ten był miejską instytucją, obywatele Nowego Jorku mogli zaskarżyć wspomnianą nominację, do czego dała się namówić pewna mieszkanka tego miasta. Zaskarżyła ona miasto Nowy Jork, które wówczas tak pragnęło sprawę przegrać, jak ona ją wygrać. Adwokat powódki uznał prace Russella za „lubieżne, zmysłowe, pożądlive,

namiętne, erotomańskie, afrodyzjackie, lekceważące, ograniczone, kłamliwe i pozbawione tkanki moralnej". Sędzia, pochodzenia irlandzkiego, dodał swoją część inwektyw i uznał, że Russell nie nadaje się do objęcia katedry jako „obcy ateista i rzecznik wolnej miłości”. Burmistrz, Fiorello La Guardia, odmówił wniesienia odwołania przeciw temu wyrokowi i sekretarz hrabstwa Nowy Jork oświadczył publicznie, że Russella należałoby „wytapiać w smole i wytarzać w pierzu, a następnie wygnąć”<sup>13</sup>.

Ostatnia utarczka Russella z władzami nastąpiła w roku 1961, gdy miał już osiemdziesiąt osiem lat i starał się usilnie, by go aresztowano za opór wobec władzy, kiedy protestował przeciw zbrojeniom nuklearnym. Uczestniczył w nielegalnym strajku „siedzącym” przed Ministerstwem Obrony w Londynie 18 lutego i przesiedział na chodniku kilka godzin. Nic jednak nie zaszło i musiał udać się do domu. W dniu 6 sierpnia otrzymał jednak wezwanie do stawienia się w sądzie na Bow Street za podżeganie ogółu do łamania prawa; został więc oskarżony i skazany na miesiąc więzienia, zamienionego później na tydzień, który spędził w więziennym szpitalu. Gdy ogłoszono wyrok, pewien człowiek zakrzyknął: „Hańba! Hańba! Przecież to starzec osiemdziesięcioośmioletni!”, ale sędzia jedynie zauważył: „Ma pan tyle lat, by mieć więcej rozumu”<sup>14</sup>. Można wątpić, czy te zdarzenia sprawiły, że przeciętni ludzie lepiej poznali poglądy Russella. Ale świadczyły one o jego szczerości i gotowości wyprowadzenia filozofii z akademickiej wieży z kości słoniowej na rynek. Ludzie uważali go, raczej nieprecyzyjnie i niedokładnie, za współczesnego Sokratesa zażywającego truciznę lub za wyłaniającego się z beczki Diogenesa. W rzeczywistości wizja Russella jako tego, który niesie światu filozofię, jest całkowicie myląca; próbował on raczej dopasować świat do swej filozofii i spostrzegł, że się to nie udało.

Przypadek Einsteina był zupełnie odmienny - był on bowiem fizykiem zainteresowanym rzeczywistym zachowaniem się wszechświata i był zdecydowany zastosować w opisie tego zachowania najdokładniejsze normy badań empirycznych. Poprawiając fizykę Newtona Einstein zmienił całkowicie sposób widzenia przez nas wszechświata, i jego dzieło ma niezliczone i nie kończące się zastosowania: jego wkład do teorii atomu był pierwszym wielkim kamieniem milowym na drodze do wytwarzanej przez człowieka energii nuklearnej.

Inaczej było z Russellem: jemu bowiem zupełnie obce były realia fizyki. Nie posługiwał się bodaj najprostszym przyrządem mechanicznym ani nie wykonywał żadnych rutynowych czynności, które wykonuje człowiek nawet najbardziej do nich nieprzywykły. Bardzo lubił herbatę, ale nie potrafił jej zaparzyć. Gdy jego trzecia żona, Peter, miała wyjechać, pisała mu na tabliczce: „Podnieś wieko kuchenki. Nastaw imbryk na gorącą płytę. Poczekaj do chwili zagotowania. Wlej wody do czajniczka”, ale jemu nie udało się wykonać całego zabiegu<sup>15</sup>.

W starszym wieku zaczął tracić słuch i wyposażono go w aparat słuchowy, nie potrafił go nigdy sam włączyć.

Zarówno świat ludzi, jak i zjawisk fizycznych wprawiał go stale w zakłopotanie. Pisał, że wybuch I wojny światowej zmusił go do „poddania rewizji swoich poglądów na naturę ludzką. ... Mniemałem do owego czasu, że całkiem zwykłą cechą rodziców jest miłość do swych dzieci, jednakże wojna przekonała mnie, że jest to dość rzadki wyjątek. Sądziłem, że większość ludzi niemal ponad wszystko lubi pieniądze, odkryłem jednak, że wolą oni niszczenie. Przypuszczałem, że intelektualiści powszechnie kochają prawdę, ale stwierdziłem znów, że jedynie dziesięć procent pośród nich przedkłada prawdę nad popularność”<sup>16</sup>. Te pełne gniewu zdania zdradzają tak głęboką niewiedzę, jakimi uczuciami kierują się zwyczajni ludzie podczas wojny i w każdym innym czasie, że nie wymagają komentarza. W kilku tomach autobiografii Russella można znaleźć jeszcze wiele innych stwierdzeń, które

wywołują zdziwienie normalnego czytelnika, że tak rozumny człowiek nie znał zupełnie natury ludzkiej.

Zadziwiający jest, że Russell potrafił w pełni wykryć u innych owo niebezpieczne połączenie teoretycznej wiedzy i praktycznej ignorancji na temat tego, co ludzie odczuwają i czego chcą. W roku 1920 odwiedził bolszewicką Rosję i 19 maja spotkał się z Leninem, który wydał mu się „ucieleśnioną teorią”. Pisał później: „Miałem wrażenie, że gardzi on pospółstwem i jest intelektualnym arystokratą”. Russell wiedział doskonale, jak takie połączenie czyni człowieka niezdolnym do sprawowania mądrych rządów, i nawet dodawał: „Gdybym spotkał go [Lenina] nie wiedząc, kim jest, nie przypuszczałbym, że jest to wielki człowiek, ale pomyślałbym, że jest to skostniały dogmatyk”<sup>17</sup>. Russell nie mógł ani też nie chciał uznać, że jego opis Lenina stosował się w pewnej mierze do niego samego. On był również intelektualnym arystokratą, który pogardzał ludźmi, a niekiedy litował się nad nimi.

Russell nie tylko nie był świadom, jak zachowuje się większość ludzi, bardzo mu również brakowało znajomości samego siebie. Nie mógł więc dostrzec swoich rysów odbitych w Leninie. O wiele ważniejsze było to, że nie pojmował, iż sam jest wystawiony na działanie sił bezsensu i emocji, co wywoływało jego ubolewania w przypadku zwyczajnych ludzi.

Russell twierdził, że problemy świata w dużej mierze można rozwiązać dzięki logice, rozsądkowi i umiarkowaniu. Jeśliby mężczyźni i kobiety kierowali się bardziej rozsądkiem niż uczuciami, wnioskowali logicznie, a nie intuicyjnie, wykazywali umiarkowanie, miast popadać w skrajności, to wówczas wojna stałaby się niemożliwa, stosunki między ludźmi byłyby harmonijne, a sytuacja ludzkości ulegałaby stałej poprawie.

Jako matematyk Russell uważał, że w czystej matematyce nie ma takich pojęć, które nie mogłyby być objęte kategoriami logiki, i nie ma problemu, którego by nie można rozwiązać drogą rozumowania. Nie był tak nierozsądny, by przypuszczać, że problemy ludzkie można rozwiązać tak jak równania matematyczne, niemniej wierzył, że jeżeli będą dane ku temu czas, cierpliwość, metoda, umiarkowanie i rozsądek, można będzie odpowiedzieć na nasze trudności, publiczne i prywatne. Russell był przekonany, że można do nich podchodzić w duchu filozoficznego obiektywizmu. A przede wszystkim sądził, że jeśliby tylko była dana odpowiednia podstawa rozsądku i logiki, olbrzymia większość istot ludzkich byłaby zdolna zachowywać się przyzwoicie.

Kłopot polegał na tym, że Russell wciąż wykazywał w różnych okolicznościach swego życia, iż wszystkie wspomniane tezy opierają się na chwiejnych podstawach. W każdym krytycznym momencie jego poglądy i czyny podlegały tak uczuciom jak i rozsądkowi. W chwilach krytycznych logika zniknęła. Nie można było wierzyć, że zachowa się odpowiednio, gdy zagrożone będą jego interesy. Były jeszcze inne słabe punkty. Głosząc swój humanistyczny idealizm, Russell ponad wszelkie inne względy stawiał prawdę. Przyparty jednak do muru był skłonny - całkiem to prawdopodobne - skłamać, by wydostać się z trudnej sytuacji. Gdy jego poczucie sprawiedliwości było obrażone, a jego uczucia wzburzone, szacunek dla ścisłych danych się załamywał. Niemniej uważał za trudne osiągnięcie tej zgodności, jaką swoim zwolennikom powinno teoretycznie narzucać dążenie do rozsądku i logiki.

Prześledźmy, jak rozwijały się poglądy Russella na wielkie problemy pokoju i wojny, które pochłaniały jego energię prawdopodobnie bardziej niż wszystko inne. Russell uważał wojnę za najwyższy paradygmat zachowania irracjonalnego. Przeżył dwie wojny światowe i kilka mniejszych i nienawidził ich wszystkich. Jego odraza do wojny była absolutnie prawdziwa.

W roku 1894 ożenił się z Alys Whittall, siostrą Logana Pearsalla Smitha. Była kwakierką i jej szlachetny, religijny pacyfizm wzmocnił jego mocną i logiczną - jak sam uważał - wielostronność.



Gdy w roku 1914 wybuchła wojna, Russell zadeklarował się jako jej totalny przeciwnik i czynił wszystko, co było w jego mocy, po obu stronach Atlantyku, by doprowadzić do pokoju, narażając swoją wolność i karierę. Wypowiedzi, które doprowadziły do jego uwięzienia, nie świadczyły, że pochodzą od człowieka spokojnego, rozsądnego czy umiarkowanego.

Jego główne filozoficzne wystąpienie w obronie pacyfizmu w roku 1915, *The Ethics of War*, dowodzące, że trudno usprawiedliwić jakąkolwiek wojnę, jest dość logiczne<sup>18</sup>. Ale Russell wyrażał swój pacyfizm, wówczas i później, w sposób wysoce emocjonalny, by nie powiedzieć - wojowniczy. Na przykład, gdy Jerzy V w 1915 roku złożył obietnicę powstrzymania się na czas wojny od alkoholu, Russell szybko zarzucił abstynencję, którą podjął na życzenie swej żony Alys. Pisał później, że motywem, jakim się król Jerzy V kierował, było „ułatwienie uśmiercania Niemców, wydawało się przeto, że musi być jakiś związek między pacyfizmem a alkoholem”<sup>19</sup>.

Russell upatrywał w amerykańskiej sile środek wymuszenia pokoju i podniecony błagał prezydenta Wilsona, którego uważał za zbawcę świata, o „podjęcie przywództwa ludzkości” przeciw stronom walczącym<sup>20</sup>. Napisał list do Wilsona w duchu mesjanistycznym: „Głębokie przekonanie zmusza mnie, by mówić za wszystkie narody w imieniu Europy. W imieniu Europy zwracam się do Pana o przywrócenie nam pokoju”.

Russell mógł nienawidzić wojny, choć czasami kochał siłę. Było coś agresywnego, nawet wojowniczego w jego pacyfizmie. Po ogłoszeniu deklaracji o wypowiedzeniu wojny pisał: „Przez kilka tygodni czułem, że gdyby zdarzyło mi się spotkać Asąitha lub Greya, nie mógłbym się powstrzymać od dokonania morderstwa”<sup>21</sup>. Rzeczywiście, w jakiś czas później Russell wyrównał dług z Asąithem: wyszedł z basenu w Garsington Manor, nagi jak go Pan Bóg stworzył, i natknął się na premiera, siedzącego na brzegu. Gniew Russella już ostygł i zamiast zamordować premiera, wszedł z nim w dyskusję o Platonie, Asąith był bowiem świetnym humanistą.

Wybitny wydawca, Kingsley Martin, pod którego kierownictwem pracowałem, znający dobrze Russella, zwykł był mówić, że najbardziej wojowniczy ludzie, jakich spotkał, to pacyfiści, i wymieniał nazwisko Russella. Uczeń Russella, T. S. Eliot, mówił to samo: „[Russell] uważał każdy pretekst za wystarczający, by popełnić zabójstwo”.

Russell nie miał jednak żadnego upodobania do rękoczynów. Był pod pewnymi względami absolutystą, który wierzył w rozwiązania całościowe. Powracał wielokrotnie do wzmianki o epoce nieustającego pokoju, narzuconego światu wstępnym aktem skutecznej polityki.

Po raz pierwszy idea ta nasunęła mu się w końcu I wojny światowej, gdy przekonywał, że Ameryka winna użyć swej przeważającej siły, by doprowadzić do rozbrojenia: „Mieszanina ras i względny brak tradycji narodowej czynią Amerykę szczególnie odpowiedzialną dla wypełnienia tego zadania”<sup>22</sup>.

Później, gdy Ameryka zdobyła w latach 1945-1949 monopol na broń nuklearną, propozycja ta powróciła z niezwykłą mocą. Ponieważ Russell próbował potem zaprzeczać, zaciemniać lub usprawiedliwiać swe poglądy z tego okresu, ważne jest, by wymienić je szczegółowo i w porządku chronologicznym.

Jak ustalił jego biograf, Ronald Clark, Russell zalecał wojnę prewencyjną przeciw Rosji nie raz, ale wiele razy, i to w ciągu kilku lat<sup>23</sup>. Odmienne od wielu ludzi lewicy, Russell nigdy nie uległ urokom sowieckiego reżimu. Zawsze całkowicie odrzucał marksizm. Książka, w której opisał swą wizytę w roku 1920 w Rosji, *The Practice and Theory of Bolshevism* (1920), krytycznie oceniała Lenina i jego działalność. Russell uważał Stalina za potwora i uznawał za prawdziwe fragmentaryczne relacje o przymusowej kolektywizacji, wielkim głodzie, czystkach i łagrach, docierające na Zachód.

Pod tymi wszystkimi względami Russell odbiegał zupełnie od typowej postępowej inteligencji. Nie podzielał zadowolenia, z jakim przyjęła ona rozszerzenie sowieckiego panowania nad większością Europy Wschodniej. Uważał, że jest to katastrofa dla cywilizacji zachodniej. Pisał 15 stycznia 1945: „Nienawidzę rządu sowieckiego, bo kieruję się rozsądkiem”. Sądził, że sowiecka ekspansja będzie trwała dopóty, dopóki nie zostanie powstrzymana groźbą lub użyciem siły. W liście z 1 września 1945 Russell utrzymywał: „Myślę, że Stalin odziedziczył ambicję Hitlera zdobycia światowej dyktatury”<sup>24</sup>.

Dlatego też gdy Stany Zjednoczone zrzuciły na Japonię pierwszą bombę atomową, Russell powrócił do swojego poglądu, że Ameryka powinna narzucić pokój i rozbrojenie światu, używając nowej broni, by zmusić do tego oporną Rosję. Dla Russella była to zesłana przez niebiosa sposobność, która może się nigdy nie powtórzyć. Po raz pierwszy przedstawił swą strategię w artykule opublikowanym 18 sierpnia w dzienniku labourzystowskim „Forward” oraz w artykule ogłoszonym 2 października 1945 w „Manchester Guardian”. Na ten sam temat ukazał się artykuł w „Cavalcade” 20 października 1945, zatytułowany *Humanity's Last Chance*, zawierający znaczącą uwagę: „Nie będzie trudno znaleźć *casus belli*”. Ponad pięć lat Russell wielokrotnie powtarzał te i podobne opinie. Wyłożył je w piśmie „Polemic” w numerze z lipca-sierpnia 1946, w przemówieniu w Royal Empire Society w dniu 3 grudnia 1947, drukowanym w piśmie „United Empire” w styczniu-lutym 1948 i w „New Commonwealth” w styczniu 1948, w odczycie w Imperial Defence College 9 grudnia 1947, i powtarzał przy różnych okazjach, jak w wystąpieniu na konferencji studenckiej w Westminster School w listopadzie 1948, które opublikował w styczniu 1949 w „Nineteenth Century and After”, i ponownie w artykule z marca 1950 w piśmie „World Horizon”.

Nie owijał sprawy w bawełnę. W przemówieniu w Royal Empire Society 3 grudnia 1947 zaproponował zawarcie sojuszu - była to zapowiedź NATO - dyktującego warunki Rosji: „Skłonny jestem sądzić, że Rosja na te warunki przystanie, a jeśli odmówi, i to wkrótce, świat może przeżyć w rezultacie wojnę i wyłonić się z jednym rządem, takim, jakiego potrzebuje”.

W maju 1948 roku Russell pisał do amerykańskiego eksperta rozbrojeniowego, dra Waltera Marseille: „Jeśli Rosja zaleje Europę Zachodnią, zniszczenia będą na taką skalę, że nie będzie można ich naprawić po jej odbiciu. Praktycznie cała wykształcona ludność będzie zesłana do obozów pracy w północno-wschodniej Syberii lub na wybrzeżu Morza Białego, gdzie większość wymrze z niewygód, a ci, co przeżyją, obrócą się w zwierzęta. Bomby atomowe, jeśli zostaną użyte, będą musiały spaść na Europę Zachodnią, Rosja będzie bowiem poza zasięgiem. Rosjanie, nawet bez bomb atomowych, będą zdolni zniszczyć wszystkie wielkie miasta w Anglii ... Nie mam wątpliwości, że Ameryka w końcu zwycięży, ale jeżeli Europa Zachodnia nie będzie zabezpieczona przed najazdem, zostanie utracona dla cywilizacji na całe stulecia. Sądzę, że nawet za taką cenę wojna się opłaci. Komunizm musi być zmieciony z powierzchni i ustanowiony rząd światowy”<sup>25</sup>.

Russell stale podkreślał konieczność szybkiego działania: „Wcześniej czy później Rosjanie będą mieli bomby atomowe, a gdy będą je mieli, będzie to o wiele twardszy orzech do zgryzienia. Wszystko trzeba robić w pośpiechu, z jak największą szybkością”<sup>26</sup>.

Nawet gdy Rosja dokonała eksplozji bomby atomowej, Russell wciąż obstawał przy swoich tezach, usilnie przekonując, że Zachód musi skonstruować bombę wodorową. „Nie sądzę, by przy obecnym układzie sił na świecie traktat o ograniczeniu zbrojeń atomowych mógł przynieść cokolwiek poza szkodą, każda ze stron bowiem będzie sądziła, że druga uchyla się od wypełniania traktatu”. W formie najbardziej bezkompromisowej przedstawił tezę „lepsza śmierć niż Czerwoni”: „Następna wojna, jeśli się wydarzy, będzie największym nieszczęściem, jakie dotknęłoby ludzkość do owej chwili. Przychodzi mi na myśl tylko jeszcze gorsze nieszczęście: rozciągnięcie władzy Kremla na cały świat”<sup>27</sup>.

Obrona przez Russella idei wojny prewencyjnej była szeroko znana i omawiana w tamtych latach. Na Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym w Amsterdamie w roku 1948 został on gwałtownie zaatakowany przez delegata sowieckiego, Arnosta Kolmana, który otrzymał równie szorstką odpowiedź: „Wracaj, pan, i powiedz swoim władcom na Kremlu, że muszą wysłać bardziej kompetentnych sługusów wykonujących ich program propagandy i fałszu”<sup>28</sup>. Jeszcze 27 września 1953 Russell pisał w „New York Times Magazine”: „Choć nowa wojna byłaby straszna, wolałbym ją od światowego imperium komunistycznego”.

Z pewnością w tamtym właśnie okresie poglądy Russella zaczęły jednak ulegać gwałtownej i zasadniczej zmianie. Już miesiąc później, w październiku 1953, zaprzeczył w „Nation”, że kiedykolwiek „popierał wojnę prewencyjną przeciw Rosji”. Cała historia, pisał, była „komunistycznym wymysłem”<sup>29</sup>.

Przez pewien czas, jak odnotował to jeden z jego przyjaciół, gdy przypomniano mu jego powojenne poglądy, Russell twierdził: „Nigdy tego nie mówiłem. Po prostu zmyślił to komunistyczny dziennikarz”<sup>30</sup>. W marcu 1959 roku, w wywiadzie dla telewizji BBC udzielonym Johnowi Freemanowi, prowadzącemu słynny program *Face to Face* (Twarzą w twarz), Russell zmienił swoją taktykę.

Eksperti rozbrojeniowi z Ameryki posłali mu dokładne dane o jego wcześniejszych oświadczeniach, i nie mógł dalej zaprzeczać, że złożył je w poprzednich latach. Powiedział więc Freemanowi, który pytał Russella o jego stanowisko w sprawie wojny prewencyjnej: „W całej pełni jest to prawda, wcale tego nie żałuję. Całkowicie się to zgadza z moimi obecnymi poglądami”<sup>31</sup>.

Poświadczył tę wypowiedź listem do tygodnika „Listener”, wydawanego przez BBC: „Właściwie zupełnie zapomniałem, że niegdyś uważałem za pożądaną politykę gróźb, pociągających za sobą możliwość wybuchu wojny. W roku 1958 ponownie Alfred Kohlberg i Walter W. Marseille zwrócili moją uwagę na rzeczy, które mówiłem w roku 1947, i przeczytałem to ze zdumieniem. Nie mogę złożyć żadnych usprawiedliwień”<sup>32</sup>.

W trzecim tomie autobiografii z roku 1968 Russell zaryzykował dalsze wyjaśnienia: „...dawałem wówczas taką radę, dawałem ją tak przypadkowo, bez jakiegokolwiek nadziei, że zostanie wysłuchana, iż wkrótce o niej zapomniałem”. Dodawał także: „Wspominałem o tym w prywatnym liście i ponownie w jednym z przemówień, że nie wiedziałem o poddaniu mnie przez prasę drobiazgowej analizie”<sup>33</sup>. Badania prowadzone przez Ronalda Clarka wykazały, że Russell wielokrotnie występował na rzecz wojny prewencyjnej w licznych artykułach i przemówieniach, i to w okresie kilku lat. Trudno uwierzyć, że tak dokładnie można zapamiętać, jakie było własne stanowisko, podtrzymywane uporczywie długo.

Gdy Russell powiedział Johnowi Freemanowi, że poglądy, jakie wyznawał w późnych latach pięćdziesiątych, były zgodne z jego powojennym poparciem dla wojny prewencyjnej, liczył na łatwowierność pod innym względem. Oczywiście, większość ludzi stwierdzi, że Russell mówił głupstwa. Była jednak w tym logika zupełnie innego rodzaju, a mianowicie logika skrajności. Zarówno jego stanowisko w sprawie wojny prewencyjnej, jak i w kwestii „lepszemu śmierci niż Czerwoni” były przykładami rozsądnej linii rozumowania, doprowadzonej do skrajnego punktu, przy użyciu bezwzględnej i nieludzkiej logiki. Tu tkwił słaby punkt Russella. Przykładał bowiem fałszywe wartości do nakazów logiki mówiąc ludzkości, jak ma prowadzić swoje sprawy, pozwalając na lekceważenie intuicyjnych wymagań zdrowego rozsądku.

Stąd też gdy w połowie lat pięćdziesiątych Russell zdecydował, że broń nuklearna jest wcielonym złem i w żadnych okolicznościach nie wolno jej użyć, pozegłował zgodnie ze straszliwą istotą logiki w kierunku zupełnie odwrotnym, ale równie skrajnym. Po raz pierwszy wyraził swój sprzeciw w sprawie broni nuklearnej w roku 1954, w audycji radiowej o próbach na atolu Bikini, zatytułowanej *Mans Peril* („Groźba dla człowieka”); potem biorąc

udział w różnych konferencjach międzynarodowych wypowiadał się coraz dobitniej za całkowitym zakazem tej broni.

W dniu 23 listopada 1957 roku Russell opublikował w tygodniku „New Statesman” list otwarty do Eisenhowera i Chruszczowa, przedstawiając w nim swoje stanowisko w tej sprawie<sup>34</sup>.

Miesiąc później, przeglądając pocztę nadesłaną do tygodnika, zdumiałem się na widok długiego tekstu tłumaczenia, z dołączonym listem po rosyjsku podpisanym przez Chruszczowa. Była to osobista odpowiedź sowieckiego przywódcy na list Russella. Dla Sowieków była to oczywiście głównie propaganda, mając bowiem ogromną przewagę w siłach konwencjonalnych byli zawsze przygotowani do przyjęcia uzgodnionego (choć nie nadzorowanego) zdemontowania broni jądrowych. Jednakże gdy list został opublikowany, wywołał olbrzymią sensację. W stosownym momencie nadeszła ze strony amerykańskiej bardzo niechętna odpowiedź - nie od samego prezydenta, ale od sekretarza stanu, Johna Fostera Dullesa<sup>35</sup>. Russell był zachwycony tak znakomitą odpowiedzią. Jego próżność - jedna z jego słabości - została połaskotana, a rozsądek, nigdy nie będący jego najmocniejszą stroną, wytracony z równowagi. List Chruszczowa, który szeroko sympatyzował z jego stanowiskiem, nie tylko wpędził go w położenie skrajnego antyamerykanizmu, ale także pobudził go, by uczynić sprawę zakazu broni jądrowej ośrodkiem swego życia. W ten sposób ujawniły się tolstojowskie tęsknoty.

W następnym roku, 1958, Russell został prezesem nowej Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego (CND), umiarkowanej grupy stworzonej przez kanonika Johna Collinsa z katedry św. Pawła, pisarza Johna Boyntona Priestleya i innych, zmierzającej do zjednania jak najszerzej opinii w Wielkiej Brytanii przeciw produkcji broni nuklearnej. Organizowała ona pokojowe demonstracje, starając się o ścisłe utrzymanie ich w granicach prawa, we wczesnym okresie wywierając pozytywne wrażenie i działając skutecznie.

Jednakże ze strony Russella niedługo pojawiły się oznaki ekstremizmu. Rupert Crawshay-Williams, którego osobista relacja o Russellu jest najbardziej wiarygodna, zanotował w swoim dzienniku 24 lipca 1958 pouczający wybuch Russella przeciw Stracheyowi. John Strachey był dawnym komunistą, później posłem do Izby Gmin z ramienia prawicowego skrzydła Partii Pracy i ministrem wojny w powojennym rządzie Clementa Attlee. W roku 1958 Strachey już od dawna nie sprawował żadnego urzędu i nie ponosił żadnej urzędowej odpowiedzialności, chociaż było wiadome, że wierzy w odstraszącą rolę broni nuklearnej. Gdy Russell dowiedział się, że Crawshay-Williams z żoną bywają u Stracheya, zapytał o jego poglądy na temat bomby wodorowej, a gdy mu je wyjaśniono, uznał, że są one podzielane przez Williamsów: „»Wy i John Strachey należycie do klubu morderców« - powiedział, bębniąc w oparciu krzesła. Russell wyjaśnił, że klub morderców składa się z ludzi, którzy właściwie nie troszczą się o los mas ludności, bo oni sami jako rządzący i uprzywilejowani przeżyją. »Zapewnią sobie własne bezpieczeństwo, budując prywatne schrony przeciwatomowe« - powiedział Bertie [Russell]”.

Gdy zapytano go, czy naprawdę sądzi, że Strachey ma własny schron przeciwatomowy, Russell krzyknął: „Tak, oczywiście, że ma!”. Dwa tygodnie później kontynuowali dyskusję o bombie wodorowej, tym razem „rozpoczęła się ona spokojnie”. Nagle „Bertie zsiniał i powiedział: »Następnym razem, gdy spotkacie waszego przyjaciela, Johna Stracheya, powiedzcie mu, że nie mogę zrozumieć, dlaczego on chce, by Nasser miał bombę wodorową«. ... On był przekonany, że ludzie tacy jak John [Strachey] naprawdę zagrażają światu, i czuł, że ma podstawy, by tak twierdzić”<sup>36</sup>.

Ten rosnący gniew, przy jednoczesnym braku troski o obiektywne fakty, przypisywanie najpodlejszych motywów tym, którzy mają inne poglądy, oraz oznaki paranoi znalazły publiczny wyraz w 1960 roku, gdy Russell dokonał rozłamu w Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego i utworzył własną grupę bezpośredniego działania, nazwaną

Komitetem Stu, posługującą się metodą nieposłuszeństwa obywatelskiego. Wśród sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Komitetu znajdowało się wielu czołowych intelektualistów, artystów i pisarzy - Compton Mackenzie, John Braine, John Osborne, Arnold Wesker, Reg Butler, Augustus John, Herbert Read i Doris Lessing - wielu z nich nie było w żadnym przypadku ekstremistami. Grupa ta wkrótce wyłamała się spod kontroli.

Historia pokazuje, że wszystkie ruchy pacyfistyczne osiągają punkt, w którym element bardziej wojowniczy staje się sfrustrowany z braku postępów i ucieka się do obywatelskiego nieposłuszeństwa i aktów gwałtu. To oznacza stadium, w którym taki ruch traci masowe poparcie. Komitet Stu i późniejszy rozpad CND były klasycznym przykładem tego procesu. Postępowanie Russella jedynie przyspieszyło to, co musiało i tak nastąpić. Przez pewien czas przypisywano je wpływowi wywieranemu na Russella przez jego nowego sekretarza, Ralpha Schoenmana.

Prześledzę wkrótce jego stosunki z Schoenmariem, ale tutaj warto zauważyć, że poczynania i oświadczenia Russella od początku do końca kryzysu w CND były dla niego charakterystyczne. Spotkania prowadzące do jego dymisji ze stanowiska prezesa stawały się coraz bardziej nieprzyjemne, Russell bowiem przypisywał niegodne motywy Collinsowi, oskarżając go o kłamstwa i nalegając, by zamknięte obrady były nagrywane<sup>37</sup>.

Rzeczywiście, z chwilą gdy Russell przestał być trzymany w ryzach przez Collinsa i przyjaciół, ekstremizm zupełnie opanował jego umysł i jego wypowiedzi stały się tak absurdalne, że zraziły najbardziej fanatycznych zwolenników. Były sprzeczne z tym, co on uważał - w spokojniejszym nastroju - za podstawowe zasady perswazji. W eseju o Wolterze, w roku 1958, Russell pisał: „Przy żadnym poglądzie nie należy obstawać gorliwie. Nikt z zapalem nie utrzymuje, że siedem razy osiem równa się pięćdziesiąt sześć, wiadomo bowiem, że tak właśnie jest. Gorliwość jest jedynie konieczna w zalecaniu poglądu, który jest wątpliwy lub dowodnie uznany za fałszywy”<sup>38</sup>.

Wiele z oświadczeń Russella po roku 1960 było nie tylko gorliwych, ale i oburzających, a wypowiadał je często pod wpływem chwilowego impulsu, gdy wpadał w stan słusznego oburzenia na tych, którzy nie podzielali jego poglądów. Tak na przykład w kwietniu 1961 do przemówienia w Birmingham przygotował sobie noty, w których czytamy: „Na podstawie czysto statystycznych danych Macmillan i Kennedy są około pięćdziesięciu razy bardziej niegodziwi niż Hitler”. Było to fałszywe (pomijając wszystko inne), ponieważ porównywało fakty historyczne z ich futurystyczną projekcją. Jednakże zapis wykazuje, że Russell ostatecznie wówczas powiedział: „Przywykliśmy sądzić, że Hitler był niegodziwy, chciał bowiem zabić wszystkich Żydów. A Kennedy i Macmillan nie tylko chcą zabić wszystkich Żydów, ale również i nas. Są więc obaj o wiele bardziej niegodziwi niż Hitler”. Dodał później: „Nie zamierzam podporządkować się rządowi, który organizuje rzeź całej ludzkości ... To najbardziej niegodziwi ludzie, jacy kiedykolwiek żyli”<sup>39</sup>.

Uznając przesłanki Russella, trzeba stwierdzić, że w jego oskarżeniach była pewna logika, stosowana jednak wybiórczo. Czasami Russell pamiętał, że wszystkie mocarstwa posiadające broń nuklearną są w równej mierze winne planowania masowego mordy, i włączał Rosjan do swoich polemik. Tak więc w liście publicznym z roku 1961, wysłanym z „więzienia w Brbcton”, Russell zapewniał: „Kennedy i Chruszczow, Adenauer i de Gaulle, Macmillan i Gaitskell dążą do wspólnego celu: skończenia z życiem ludzkim ... By sprawić przyjemność tym ludziom, wszystkie prywatne uczucia, wszystkie publiczne nadzieje [mają] być wymazane na zawsze”<sup>40</sup>. Z zasady jednak koncentrował on swój ogień na Zachodzie, szczególnie na Wielkiej Brytanii, a ponad wszystko na Stanach Zjednoczonych.

Oznaczało to, że zapominał, jak bardzo nienawidził nie tyle samego reżimu sowieckiego, ile Rosji i Rosjan. W okresie bezpośrednio po wojnie Russell wielokrotnie oświadczał, że Sowietci są tak samo źli, jak naziści, lub nawet gorsi od nich. Crawshay-Williams zanotował kilka z jego gwałtownych wystąpień: „Wszyscy Rosjanie są wschodnimi barbarzyńcami”;

„Wszyscy Rosjanie są imperialistami”. Pewnego razu „potrafił nawet powiedzieć, że wszyscy Rosjanie będą »czołgać się na brzuchu, by zdradzić swoich przyjaciół«”<sup>41</sup>.

Jednak przy końcu lat pięćdziesiątych i później Russella opanowały żarliwe uczucia antyamerykańskie, zajmując miejsce nienawiści do Rosjan. Antyamerykanizm był w nim głęboko zakorzeniony, choć przedtem jedynie wypływał na powierzchnię. Podtrzymywała go zarówno staromodna brytyjska duma, patriotyzm wyższej klasy i pogarda dla parweniuszy i sprzedawców, jak i liberalno-postępowa nienawiść do największego kapitalistycznego państwa świata.

Radykalni rodzice Russella należeli do pokolenia, które wciąż kojarzyło Amerykę z demokratycznym postępem, i przebywali tam z długą wizytą w roku 1867, albowiem, jak Russell odnotował, „młodzi ludzie, którzy mieli nadzieję zreformować świat, pojechali do Ameryki, by zobaczyć, jak się to robi”. Russell dodawał: „Nie mogli przewidzieć, że ci mężczyźni i kobiety, których demokratyczny zapał tak pochwalali i których tryumfalną opozycję przeciwko niewolnictwu podziwiali, byli dziadkami i babkami tych, co zamordowali Sacco i Vanzettiego”<sup>42</sup>.

On sam odwiedzał Amerykę wielokrotnie i żył tam przez lata, głównie po to, by zarobić pieniądze: „Jestem straszliwie splukany i spoglądam na Amerykę, by odbudować moje finanse” - pisał w roku 1913, a powtarzało się to wiele razy. Zawsze był krytyczny wobec Amerykanów, byli - jak zanotował podczas swej pierwszej wizyty w roku 1896 - „nie do opisania leniwi we wszystkim, z wyjątkiem interesów”<sup>43</sup>; jego poglądy o wpływie Ameryki na otaczający świat szalenie się jednak wahały.

Podczas I wojny światowej, jak już widzieliśmy, uważał wilsonowską Amerykę za zbawcę świata. W latach dwudziestych, rozczarowany, przyjął postawę skrajnie antyamerykańską. Twierdził, że socjalizm, który wówczas wyróżniał, będzie niemożliwy w Europie, „dopóki Ameryka nie nawróci się na socjalizm albo przynajmniej nie zechce pozostać neutralna”<sup>44</sup>. Oskarżał Amerykę o „powolne niszczenie cywilizacji Chin”, przepowiadał, że demokracja Stanów Zjednoczonych upadnie, jeśli nie przyjmie zasady kolektywizmu, wzywał do „ogólnoświatowej rewolty” przeciw amerykańskiemu „kapitalistycznemu imperializmowi” i zapewniał, że jeśli „amerykańska wiara w kapitalizm nie zostanie podważona”, to nastąpi „zupełny upadek cywilizacji”<sup>45</sup>.

Dwadzieścia lat później, podczas II wojny światowej i po niej, Russell popierał posunięcia militarne Ameryki. Towarzyszyła temu rosnąca niechęć do amerykańskiej polityki. W końcu roku 1950, po wizycie w USA Russell pisał do Crawshay-Williamsa: „Ameryka była wstrętna: republikanie są tak nikczemni, jak głupi, co i tak już dużo mówi. Mówiłem każdemu, że uważam za interesujące badanie atmosfery państwa policyjnego ... Myślę, że III wojna światowa wybuchnie w maju”<sup>46</sup>.

Założył się z Malcolmem Muggeridge, że Joseph McCarthy będzie wybrany na prezydenta (musiał zapłacić przegraną, kiedy senator zmarł).

Gdy Russell rozpoczął kampanię przeciw bombie wodorowej, jego antyamerykanizm stał się zupełnie irracjonalny i taki pozostał aż do jego zgonu. Wypracował sobie dziecinną teorię spisku w związku z zabójstwem Kennedy'ego. Później, zmęczony sprawą bomby wodorowej - podobnie jak u Tolstoja uwaga Russella koncentrowała się krótko na jednej sprawie - przerzucił się na Wietnam i organizował ogólnoświatową kampanię oczerniającą postępowanie Ameryki w tym kraju.

Informowany przez swego sekretarza, Schoenmana, Russell padał łatwo ofiarą najbardziej ekstrawaganckich pomysłów. Pół wieku wcześniej ubolewał nad rozpowszechnianiem przez aliantów opowieści zmierzających do podnoszenia gorączki wojennej, o okrucieństwach Niemców w Belgii - zadał sobie trud, by w swej książce z 1916 roku *Justice in Wartime* („Sprawiedliwość podczas wojny”) ujawnić, że wiele z nich jest bezpodstawnych. W latach sześćdziesiątych Russell używał swego prestiżu do

rozpowszechniania i udzielania wiarygodności opowieściom z Wietnamu, które były nawet mniej wiarygodne, a miały jedynie wzmocnić nienawiść do Ameryki.

Polityka ta osiągnęła szczyt w postaci Trybunału Zbrodni Wojennych (1966-1967), który utworzony przez Russella ostatecznie zebrał się w Sztokholmie w celu ogłoszenia wyroku przeciw Ameryce. Do tego pokazu propagandowego Russell zwerbował chętnie stojących do tego zadania intelektualistów, jak Isaac Deutscher, Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir, jugosłowiański pisarz Vladimir Dedijer, który Trybunałowi przewodniczył, oraz były prezydent Meksyku i poeta-laureat z Filipin. Nie zachowano nawet pozorów sprawiedliwości lub bezstronności, Russell sam bowiem oświadczył, że zwołał ich dla osądzenia „wojennych zbrodniarzy Johnsona, Ruska, McNamary, Lodge'a i ich kolegów przestępców”<sup>47</sup>.

Jako filozof Russell stale nalegał, by słów używać ostrożnie i zgodnie z ich dokładnym znaczeniem. Jako doradca ludzkości przyznał w swojej autobiografii, że ma „zwyczaj opisywania rzeczy - które są dla nas nie do zniesienia - w tak odrażający sposób, ażeby inni podzielali naszą wściekłość”<sup>48</sup>. Jest to dość dziwne wyznanie człowieka zawodowo oddanego obiektywnej analizie problemów, człowieka, który zobowiązał się nieść sztandar rozsądku.

Ponadto jego próby wprawienia kogoś we wściekłość udawały się jedynie z tymi, którzy nie byli tego warci lub też wpadali w gniew z byle powodu. Gdy Russell oświadczył w roku 1951, że w Ameryce „nikt nie powie słowa o polityce, dopóki nie sprawdzi, czy ktoś nie podsłuchuje”, nikt rozsądny nie traktował tego poważnie<sup>49</sup>. Kiedy podczas kubańskiego kryzysu rakietowego w roku 1962 stwierdził: „Wydaje się prawdopodobne, że w niecały tydzień będziemy wszyscy martwi, by sprawić przyjemność amerykańskim szaleńcom”, przyniosło to szkodę jemu, a nie prezydentowi Kennedyemu<sup>50</sup>. Zmniejszyło się audytorium Russella po jego wypowiedzi, że amerykańscy żołnierze w Wietnamie są „tacy sami jak nasi”.  
.

Trzeba przyznać, że Russell przez całe swoje życie wywierał większe wrażenie jako ten, kto podtrzymuje spór, niż jako autor anegdot i sentencji. Antologia jego powiedzeń czytałaby się nie lepiej niż Tołstoja: „Dżentelmenem jest człowiek, którego dziad miał dochód większy niż tysiąc funtów rocznie”; „Nigdy już nie będzie demokratycznego rządu w Afryce”; „Dzieci trzeba posłać do szkół z internatem, by je wyrwać spod wpływu miłości macierzyńskiej”; amerykańskie matki „są winne instynktownej niekompetencji. Wydaje się, że wyszło źródło uczucia”; „Naukowego stosunku do życia z trudem można nauczyć się od kobiet”<sup>52</sup>.

Ostatnia uwaga przypomina, że choć Russell prawie wyłącznie w ostatnich dziesięcioleciach swego życia wygłaszał oświadczenia polityczne, był przez pewien czas bardziej znany z powodu swych poglądów na takie międzywojenne tematy, jak małżeństwo koleżeńskie, wolna miłość, reforma rozwodów i koedukacja. Przynajmniej w teorii Russell popierał doktrynę praw dla kobiet w takiej postaci, w jakiej była przedstawiana przez ówczesnych jej orędowników. Żądał równości dla kobiet w małżeństwie i poza nim i przedstawiał je jako ofiary przestarzałego systemu moralności, pozbawionego prawdziwie etycznej podstawy. Według Russella należy się cieszyć wolnością seksualną, krytykował więc „tematy tabu i ludzkie poświęcenie, które tradycyjnie uchodzi za »cnotę«”<sup>53</sup>.

W jego spojrzeniu na kobiety, życie społeczne, dzieci i stosunki międzyludzkie odzywały się wyraźnie echa Shelleya. Russell czuł rzeczywiście szczególne oddanie dla Shelleya, którego wiersze - jak utrzymywał - najlepiej wyrażały jego postawę wobec życia. Osiedlił się w tej samej części Walii, w której Shelley w latach 1812-1813 próbował utworzyć wspólnotę, a dom Russella, Plas Penrhyn, był dziełem tego samego architekta, który zbudował dom przyjaciela Shelleya, Maddoxa, po drugiej stronie ujścia rzeki Portmadoc.

Jednakże, podobnie jak w przypadku Shelleya, stosunek Russella do kobiet nie zawsze był zgodny z jego zasadami teoretycznymi. Pierwsza żona, Alys, subtelna, kochająca,

wielkodusznie myśląca amerykańska kwakierka, padła ofiarą rosnącego libertynizmu swego męża, podobnie jak Harriet Shelley. Russell, jak odnotowaliśmy, był wychowany surowo i pozostał pruderyjny w sprawach seksu jeszcze długo po skończeniu dwudziestu lat życia. Gdy w 1900 roku jego brat Frank, drugi lord Russell, porzucił swą pierwszą żonę, otrzymał rozwód w Reno i ożenił się ponownie, Russell odmówił uznania jego nowej żony i sugerował mu, by wybierając się doń na obiad, żonę zostawił poza domem (Frank został później oskarżony przed sądem Izby Lordów o bigamię). W miarę upływu lat Russell stał się - tak jak wcześniej Wiktor Hugo - bardziej rozpustny i mniej skłonny do przestrzegania zasad społecznych, chyba że mu one odpowiadały.

Alys została faktycznie porzucona po szesnastu latach małżeństwa, 19 marca 1911 roku, gdy Russell odwiedził pełną życia lady Ottoline Morrell w jej domu pod numerem 44 na Bedford Square, kiedy to akurat jej mąż, Philip, niespodziewanie wyszedł. Twierdził, że tamtego wieczoru nie miał „pełnego stosunku” z lady Ottoline, a jedynie zdecydował się „rzucić Alys” i doprowadzić do tego, by lady Ottoline „rzuciła Philipa”. To, co Morrell mógł czuć czy myśleć, było mu „zupełnie obojętne”. Zapewniano Russella, że mąż zamorduje ich oboje, ale on by „chętnie zapłacił tę cenę za jedną noc”.

Russell natychmiast przekazał tę wiadomość Alys, która „wpadła we wściekłość i oznajmiła, że zażąda rozwodu wymieniając nazwisko Ottoline”. Po sprzeczce Russell „stanowczo” powiedział, że jeśli zrobi to, czym mu grozi, popełni „samobójstwo, by pokrzyżować jej plany”. Wtedy „jej wściekłość stała się nie do zniesienia. Miotła się przez kilka godzin, a kiedy przestała, udzieliłem lekcji na temat filozofii Locke'a jej siostrzenicy”<sup>54</sup>.

Relacja Russella nie zgadza się z faktycznym zachowaniem się Alys. Od początku do końca traktowała męża z wielkim opanowaniem, ze spokojem i widocznym uczuciem, zgadzając się odejść i zamieszkać z bratem - tak by Russell mógł kontynuować romans z lady Ottoline (jej mąż tolerował romans pod warunkiem, że zostaną publicznie zachowane pewne zasady przyzwoitości) - i odkładając rozwód do maja 1920 roku.

Nadal jednak kochała Russella. Gdy Trinity College pozbawiła go stanowiska wykładowcy, Alys pisała doń: „Oszczędziłam około stu funtów dla zakupu obligacji skarbowych, ale raczej dam je Tobie, jeśli będę mogła, obawiam się bowiem, że ten akt prześladowania bardzo nadweręża Twoje dochody”<sup>55</sup>. Gdy on przebywał w więzieniu, Alys mówiła: „Myślę o Tobie codziennie z największym żalem i marzę o Tobie prawie co noc”<sup>56</sup>. Russell ujrzał ją ponownie w roku 1950.

Separacja z Alys wymagała kłamstw, oszustw i hipokryzji. W pewnej chwili Russell zgolił wąsy, by trudniej było go rozpoznać podczas potajemnych spotkań z lady Ottoline. Przyjaciele Russella byli wstrząśnięci, gdy dowiedzieli się, co się stało: trafiał im przecież zawsze do przekonania prawdą i szczerością.

Romans z lady Ottoline zapoczątkował okres seksualnego chaosu w jego życiu. Stosunki z nią nie okazały się zadowalające. Pisał: „Cierpiałem na ropotok, choć o tym nie wiedziałem, i wskutek tego mój oddech miał przykry zapach, z czego także nie zdawałem sobie sprawy. Ona nie mogła się zdobyć, by mi o tym powiedzieć”<sup>57</sup>. Tak więc stosunki między nimi ochłodziły.

W roku 1913 Russell spotkał w Alpach kobietę, której „mąż (...) był psychoanalitykiem”. Russell wspominał: „Chciałem zostać jej kochankiem, ale uznałem, że najpierw muszę powiedzieć jej o Ottoline”. Kobieta nie okazała zapału, usłyszawszy o istnieniu kochanki, „doszła jednak do wniosku, iż przez ten jeden dzień może nie zważać na swoje zastrzeżenia”. Jak pisze Russell, „od tej pory nie widziałem jej więcej”.

Na rok 1914 przypada dyskredytujący Russella epizod z młodą dziewczyną w Chicago: Helen Dudley była jedną z czterech siostr, córek renomowanego ginekologa, u którego Russell zatrzymał się, gdy przebywał w Chicago z odczytami. Russell wspominał: „Spędziłem dwie noce pod dachem jej rodziców, a drugą spędziłem z nią. Jej trzy siostry



pełniły straż, na wypadek, gdyby nadeszło któreś z rodziców". Russell umówił się, że ona przyjedzie latem tego roku do Anglii i będzie z nim żyła jawnie, oczekując jego rozwodu. Napisał do lady Ottoline o tym, co się wydarzyło. Jednakże ona dowiedziawszy się, że po kuracji jego oddech przestał być przykry, oświadczyła, iż pragnęłaby wznowić ich romans. W każdym bądź razie gdy w sierpniu 1914 Helen przybyła do Londynu, wybuchła I wojna światowa. Russell zdecydował się wystąpić publicznie przeciw wojnie, pisał: „Nie chciałem komplikować mej sytuacji prywatnym skandalem, który odebrałby wartość wszystkiemu, co mogłem powiedzieć”. Oznajmił więc Helen, że ich mały plan upadł. Wspominał: „...miałem z nią od czasu do czasu stosunki, ale wstrząs, jakim była wojna, zabił moją namiętność do niej i to złamało jej serce”. I tak kończy: „...padła ofiarą rzadkiej choroby, która ją najpierw sparaliżowała, a potem przyprawiła o obłąd”. Tyle o Helen.

Tymczasem Russell rzeczywiście skomplikował sobie sytuację, angażując się w związek z lady Constance Malleson, kobietą z towarzystwa, występującą pod pseudonimem Colette O'Neil. Spotkali się w 1916 roku. Pierwszy raz, gdy wyznali sobie miłość, „nie poszli do łóżka”, bo „mieli sobie za dużo do powiedzenia”. Oboje byli pacyfistami i gdy kochali się pierwszy raz, „usłyszeliśmy nagle krzyk zwierzęcego tryumfu na ulicy. Wyskoczyłem z łóżka i ujrzałem Zeppelina spadającego w płomieniach. Myślałem o ginących odważnych ludziach - to właśnie ich agonია była przyczyną tryumfu na ulicy. Miłość Colette w tej chwili była dla mnie ucieczką, nie przed samym okrucieństwem, które było nieuchronne, ale przed dręczącym bólem na myśl, że oto kim jest człowiek”<sup>58</sup>.

Jak się okazało, Russell wkrótce pozbył się dręczącego bólu i w ciągu kilku lat stał się okrutny dla lady Constance. Ona rada była dzielić Russella z lady Ottoline i obie kobiety odwiedzały go na przemian co tydzień podczas jego pobytu w więzieniu. Według oceny lady Constance lady Ottoline wolała pozostać ze swym dotychczasowym mężem, tak więc ona mogła zatrzymać Russella, gdyby nastąpił jego rozwód. Dlatego dostarczyła mu „dowodu”, który pozwolił mu otrzymać wyrok tymczasowy w maju 1920 roku.

Jednak Russell zakochał się wówczas w jeszcze innej, młodszej kobiecie, wyemancypowanej feministce, znanej jako Dora Black, która zaszła z nim w ciążę. Nie chciała go poślubić, bo potępiała instytucję małżeństwa, ale Russell, nie chcąc „skomplikować dalej sobie sytuacji”, nalegał na ślub i po otrzymaniu ostatecznego wyroku sądowego odbyła się ceremonia ślubna, „na sześć tygodni załedwie” przed urodzinami dziecka. Tak więc lady Constance została odprawiona, a Dora przymuszona do tego, co nazywała „hańbą i niełaską małżeństwa”<sup>59</sup>. Pięćdziesięcioletni Russell był wówczas zafascynowany „czarodziejskim wdziękiem” Dory i zachwycony „kąpielą przy świetle księżycy i bieganiem boso po pokrytej rosą trawie”. Ona ze swej strony z zainteresowaniem słuchała, jak opowiadał o bazgrołach, jakie na jego domu wypisał jakiś militarysta: „Tu mieszka ten zas... wariat pacyfista”, i że „każde słowo” było poprawnie napisane<sup>60</sup>.

Pod względem wyglądu zewnętrznego Russell nie u wszystkich budził sympatię. Śmiech jego był wówczas przenikliwy i gdaczący: T. S. Eliot - jego uczeń w Cambridge - określił ten śmiech jako „pukanie dziecięcia”, a George Santayana sądził, że bardziej przypominał on wycie hyeny. Russell nosił ciemne, staromodne, trzyczęściowe garnitury, które zmieniał rzadko (rzadko też miał jednocześnie więcej niż jeden), kamasze i wysokie sztywne kołnierzyki, podobnie jak współczesny mu prezydent Coolidge.

W latach drugiego małżeństwa Russella Beatrice Webb zanotowała w swym dzienniku, że był „osobą zamkniętą, niezdrową i cyniczną, przedwcześnie postarzałą”. Dora jednak lubiła jego „gęste, dość ładne szare włosy ... wzburzone na wietrze, wielki ostry nos i dziwnie mały podbródek oraz długą górną wargę”. Odnotowała również, że „szerokie, ale małe stopy stawiał na zewnątrz” i przypominał „kompletnego idiotę”<sup>61</sup>. Chciała - pragnienie fatalne - „chronić go przed jego własnym oderwaniem się od świata”.

Mieli dwoje dzieci, Johna i Kate. W 1927 roku założyli postępową szkołę w Beacon Hill, w pobliżu Petersfield. Russell oświadczył dla „New York Timesa”, że „gotowe do współpracy grupy około dziesięciu rodzin” winny „zebrać” swoje dzieci i „kolejno ich pilnować”; codziennie powinny odbywać się „dwie godziny lekcji” i dla „właściwej równowagi” resztę czasu dzieci powinny spędzać na „dzikim bieganii”<sup>62</sup>. Beacon Hill miało być próbą wcielenia w życie jego teorii. Szkoła jednak okazała się kosztowna i zmusiła Russella do pisania artykułów w celach zarobkowych. Ponadto wkrótce zmęczył go codzienny kariat zająć (podobnie było z Tolstojem) i zostawił Dorze prowadzenie szkoły. Dora, mimo swych skrajnie postępowych poglądów, miała jednak o wiele większe poczucie odpowiedzialności. Kłócili się także na temat seksu. Beatrice Webb przepowiadała, że małżeństwo Russella „z dziewczyną o lekkim charakterze i materialistycznej filozofii, której on nie mógł poważać i nie poważał”, musi się rozpaść. Russell (również i pod tym względem podobny do Tolstoja) nalegał na „otwartość” postępowania obojga, z czym ona się zgadzała: „Z Bertie rozstaliśmy się oboje wolni pod względem przygód seksualnych”. Nie sprzeciwiał się, gdy ona została sekretarką angielskiego oddziału Światowej Ligi ds. Reformy Seksualnej lub uczestniczyła, w 1926 roku, w międzynarodowym kongresie seksualnym w Berlinie, wraz z pionierem operacji zmiany płci, doktorem Magnusem Hirschfeldem, i wziętym ginekologiem, Normanem Haire.

Gdy jednak, całkowicie jawnie, miała romans z dziennikarzem Grif- finem Barry i - niejako hołdując stwierdzeniu Russella, że osiemnastowieczne damy w perukach często miały dzieci od różnych ojców - urodziła swemu kochankowi dwoje dzieci, Russell poczuł się nieszczęśliwy. Wiele lat później w swej autobiografii przyznał: „W moim drugim małżeństwie próbowałem zachować szacunek dla wolności mojej żony, co nakazywały mi własne przekonania. Stwierdziłem jednak, że moja zdolność przebaczenia i to, co może być nazwane miłością chrześcijańską, nie odpowiada wymaganiom, które im stawiałem”. Dodawał następnie: „Ktoś inny mógł mi to powiedzieć zawczasu, ale teoria mnie oślepiła”<sup>63</sup>. Russell pominął milczeniem, że podjął ze swej strony pewne działania i wbrew jego polityce otwartości były one potajemne. Rzeczywiście jest to bardzo znaczące, że w każdym przypadku, gdy intelektualisci próbują stosować pełną jawność w sprawach seksu, zawsze w końcu prowadzi to do takiej karygodnej skrytości, która jest niezwykle nawet w rodzinach normalnie dopuszczających się zdrady małżeńskiej. Dora relacjonowała później, jak została wezwana do letniego domu w Kornwalii przez zdezorientowanego kucharza, który nie pozwolił guwernantce zbliżyć się do dwojga uznanych dzieci Dory i Russella, bo „ona spała z panem”<sup>64</sup>. (Biedny kucharz został zwolniony.)

Dora odkryła także wiele lat później, że podczas jej nieobecności u Russella bywała jego dawna kochanka, lady Constance.

W końcu, kiedy wróciła do domu ze swoim nowym dzieckiem, spotkała ją nieprzyjemna niespodzianka: „Bertie wstrząsnął mną mówiąc, że przeniósł teraz swe uczucia na Peter Spence”. Margery („Peter”) Spence była studentką Oksfordu, która przyjechała opiekować się Johnem i Kate podczas wakacji. Russellowie spędzili wakacje we czworo w 1932 roku w południowo-zachodniej Francji, każde ze swoją kochanką lub kochankiem.

W roku poprzednim jednak, po śmierci swego bezdzietnego brata, Russell został lordem i zmieniło to w pewien sposób jego sytuację. Stał się bardziej pański, a ponieważ Peter pragnęła stałego związku, Russell zabrał ją do swego rodzinnego domu. Oburzona Dora wspominała: „Z początku nie mogłam uwierzyć, że Bertie mógłby mi uczynić taką rzecz”. Dodawała, że jakkolwiek było „nieuniknione”, że „taki człowiek” może „ranić ludzi na swój sposób”, to „tragiczną wadą” jego było odczuwanie „tak małego żalu”: „Choć kochał tłumy i żył ich cierpieniami, wciąż pozostawał daleko od nich, bo tkwiący w nim arystokrata pozbawiał go kontaktu z tymi ludźmi”<sup>65</sup>.

Dora odkryła również, w sposób dla niej bolesny, że gdy dochodziło do pozbycia się jednej żony i przyjęcia drugiej, Russell nie był wcale „oderwany od świata”. Podobnie jak inni ludzie jego sfery i bogactwa, wynajął zespół bardzo zdolnych prawników i dał im wolną rękę w osiągnięciu pożądanego dla niego wyniku.

Sprawa rozwodowa była nadzwyczaj skomplikowana i przykra i wlokła się trzy lata, częściowo dlatego, że wcześniej oboje podpisali akt separacji, dopuszczający cudzołóstwo obu stron i klauzulę, że żadne z nich w późniejszych sporach nie będzie wypominało uchybień małżeńskich popełnionych przed 31 grudnia 1932. W rzeczywistości utrudniło to jedynie i zagmatwało proces, a prawników Russella uczyniło bardziej agresywnymi. Każde z rodziców zabiegało bardzo o opiekę nad dwojgiem uznanych dzieci, ale Russell walczył aż do zwycięskiego końca - umieszczenia obojga dzieci pod kuratelą sądową, podobnie jak to było z biednymi potomkami Shelleya.

Chcąc to osiągnąć, jego prawnicy przedstawili złożone pod przysięgą zeznanie szofera - zwolnionego wcześniej przez Dorę ze szkoły i zatrudnianego teraz przez Russella - że Dora często bywała pijana, tłukła butelki whisky w swoim pokoju i spała z obcymi mężczyznami, jednym z rodziców uczniów szkoły i inspektorem<sup>66</sup>. Ale Russellowi nie udało się z tej sprawy wyjść bez szwanku. Przewodniczący rozprawy rozwodowej, wydając ostatecznie w roku 1935 wyrok, zauważył, że zdradę Dory „poprzedziły przynajmniej dwa przypadki niewierności ze strony jej męża i że był on winien wielu czynów cudzołóstwa w okolicznościach, które zwykle prowadzą do przewinienia ... niewierności pozwanego wobec osób z rodziny, tak jak i zatrudnionych w instytucji, którą zajmowały się obie strony”<sup>67</sup>.

Czytając różne relacje o tej długiej i gorzkiej awanturze, nie można nie odczuwać współczucia dla Dory, wiernej cały czas swym zasadom, przeciwnie niż Russell, który zarzucił swoje, gdy były dla niego niewygodne, a następnie zwrócił się o zastosowanie w pełni mocy prawa. Dora nigdy nie stawiała małżeństwa na pierwszym planie; wspominała: „Dopiero w 1935 roku uwolniłam się od mojego legalnego małżeństwa. Miałam już sporo ponad trzydzieści lat. Rozwód kosztował mnie trzy lata życia i pociągnął za sobą tragedie, z których nigdy nie pozbierałam się do końca”<sup>68</sup>.

Małżeństwo Russella z trzecią żoną, Peter Spence, trwało prawie piętnaście lat. Zauważył lakonicznie: „Gdy moja żona w 1949 roku zdecydowała, że nie chce mnie więcej, nasze małżeństwo dobiegło kresu”<sup>69</sup>. Za tym zwodniczym oświadczeniem kryje się długa lista jego małych zrad.

Russell nigdy nie był prawdziwym rozpustnikiem, polującym na kobiety przy autostradzie. Nie miał jednak skrupułów w uwodzeniu kobiet, które znalazły się na jego drodze. Faktycznie stał się prawdziwym ekspertem w stosowaniu wybiegów, jakie musiał opanować doświadczony cudzołóżnik w epoce poprzedzającej lata swobody. O jednej z takich okazji pisał do lady Ottoline: „...najbezpieczniej będzie dla pani przyjechać na dworzec i poczekać w poczekalni pierwszej klasy na peronie odjazdów, a później pojechać ze mną taksówką do jakiegoś hotelu i wejść razem ze mną. To wymaga mniej ryzyka niż jakikolwiek inny plan i nie wyda się dziwne kierownikowi hotelu”<sup>70</sup>.

Trzydzieści lat później udzielał spontanicznie rad w takich sprawach Sidneyowi Hookowi: „Hook, jeśli pan bierze dziewczynę do hotelu i recepcjonista wydaje się być podejrzliwy, to gdy on podaje cenę, niech pan ją zmusi, by się głośno poskarżyła: »Och, jak tu drogo!« Z pewnością będzie wówczas sądził, że jest ona pańską żoną”<sup>71</sup>.

Russell zwykle jednak wołał kobiety znajdujące się w pobliżu, tak było łatwiej. W 1915 roku zaproponował swemu dawnemu śmiałemu uczniowi T. S. Eliotowi i jego żonie Vivien schronienie w należącym do niego londyńskim mieszkaniu na Bury Street. Poeta opisywał Russella jako pana Apollinaxa, „nieobliczalny płód”, i pisał, że „słyszał uderzenia kopyt centaury o twardą darń”, gdy „jego sucha i namiętą przemowa drażyła popołudnie”. Jednakże Eliot był także ufną istotą i często pozostawiał swą żonę z centaurem i jego

namiętną mową. Russell przekazywał innym kochankom sprzeczne wersje tego, co się wydarzyło. Lady Ottoline mówił, że jego flirt z Vivien był platoniczny, a lady Constance wyznał, że kochał się z nią, ale było to doświadczenie „z piekła rodem i obmierzłe”<sup>72</sup>. Bardzo jest prawdopodobne, że prawda wyglądała zupełnie inaczej niż obie te relacje i że zachowanie się Russella przyczyniło się do zachwiania równowagi umysłowej Vivien Eliot.

Ofiary Russella były często skromniejszymi postaciami: pokojówkami, guwernantkami, młodymi i ładnymi kobietami kręcącymi się po domu. Profesor Hook portretując Russella twierdzi, że był to istotny powód rozpadu jego trzeciego małżeństwa. Hook jakoby dowiedział się „z dobrego źródła”, że Russell „mimo zaawansowanego wieku wciąż uganiał się za spódniczkami, które pojawiały się na jego drodze, i zachowywał się skandalicznie nawet wobec służących, nie za plecami Peter, ale na jej oczach i przy obecnych w domu gościach”.

Peter go opuściła, później powróciła, ale Russell nie chciał przyrzec, że pozostanie jej wierny, i ostatecznie stwierdziła, że już dłużej nie będzie znosić ciągłego poniżania<sup>73</sup>. Rozwód nastąpił w 1952 roku, Russell miał wówczas osiemdziesiąt lat. Ożenił się następnie z Edith Finch, nauczycielką z Bryn Mawr, którą znał od wielu lat i która opiekowała się nim do końca życia. Oskarżany o antyamerykańskość Russell odpowiadał zrezygnowanie: „Połowa moich żon to były Amerykanki”<sup>74</sup>.

W teorii Russell popierał dwudziestowieczny ruch emancypacji kobiet, w praktyce pozostawał wciąż zakorzeniony w wieku dziewiętnastym, był wiktorianinem - ostatecznie miał prawie trzydzieści lat, gdy umarła stara królowa - i skłonny był uważać kobiety za dodatek do mężczyzn. Dora pisała: „...pomimo obrony prawa głosu kobiet w gruncie rzeczy Bertie nie wierzył w równość kobiet i mężczyzn ... wierzył, że intelekt mężczyzny przewyższa intelekt kobiety. Powiedział mi raz, że zwykle musi zniżać się do poziomu kobiet”<sup>75</sup>.

Zapewne w głębi serca uważał, że najważniejszą czynnością kobiety jest rodzenie mężowi dzieci. Miał dwóch synów i córkę, czasami próbował się dla nich poświęcać. Jednakże, podobnie jak jego bohater Shelley, łączył przemożną chęć posiadania z bardziej ogólną obojętnością. Dora skarżyła się, że „ich problemy stawały się dla niego coraz bardziej odległe i coraz mniej zrozumiałe, był bowiem całkowicie pochłonięty swą rolą w polityce światowej”, zresztą sam musiał przyznać, że „zawiódł jako rodzic”<sup>76</sup>.

Jak działo się to w przypadku wielu słynnych intelektualistów, ludzie - dotyczy to żon i dzieci - skłonni byli stać się sługami ich idei, a praktycznie ich egoizmu. Russell pod pewnymi względami był przyzwoitym, życzliwym i cywilizowanym człowiekiem, zdolnym do bezinteresownych, bardzo szlachetnych gestów. Nie koncentrował się tak nieugięcie na sobie, jak robili to Marks, Tołstoj czy Ibsen. Jednakże wykorzystywał ludzi, zwłaszcza kobiety, i nie była to pozytywna cecha.

Jak pokazuje interesujący przypadek Ralpa Schoenmana, nie tylko kobiety wykorzystywał Russell. Schoenman był Amerykaninem, ukończył filozofię w Princeton, był absolwentem także London School of Economics. W roku 1958 przyłączył się do CND. W dwa lata później - miał wówczas dwadzieścia cztery lata - napisał do Russella o swych planach zorganizowania w ruchu rozbrojeniowym skrzydła obywatelskiego nieposłuszeństwa. Stary człowiek, zaintrygowany projektem, zachęcił Schoenmana do wspólnego spotkania i uznał, że ten jest zachwycający. Skrajne poglądy Schoenmana dokładnie pokrywały się z jego własnymi.

Stosunki między nimi przypominały bardzo stosunki między starym Tołstojem i Czertkowem. Schoenman został sekretarzem Russella i jego prawą ręką, a od 1960 roku właściwie marszałkiem dworu tego proroka-króla. Właściwie były dwa dwory: jeden w Londynie, gdzie znajdował się ośrodek działalności publicznej Russella, drugi - w jego domu w Plas Penhryn na półwyspie Portmeirion w północnej Walii.

Portmeirion została wzniesiona na kształt wsi włoskiej przez bogatego, lewicującego adwokata, Clougha Williams-Ellisa, właściciela większości okolicznych terenów. Jego żona, Amabel, siostra Johna Stracheya, była głośną apologetką Stalina i autorką propagandowej książki o budowie Kanału Białomorskiego (jak teraz wiemy, dzięki pracy niewolników), jednego z najbardziej odrażających dokumentów, powstałego w mrocznych latach trzydziestych.

Wielu dobrze sytuowanych postępowców, którzy sprzyjali Russellowi - Boswell Crawshay-Williams, Arthur Koestler, Humphrey Slater, wojskowy naukowiec P. M. S. Blackett (później lord Blackett) oraz historyk-ekonomista M. M. Postan - osiedliło się w pięknym sąsiedztwie, chcąc cieszyć się życiem i planować socjalistyczne millennium. Russell był ich królem i na jego dwór ściągąca, obok miejscowej inteligencji, chmara pielgrzymów z całego świata w poszukiwaniu mądrości i pochwały, tak jak czynili to niegdyś ich poprzednicy przybywając do Jasnej Polany.

Russell korzystał ze swych bardzo reklamowanych najazdów na Londyn, by wygłaszać mowy, demonstrować, dawać się aresztować i w ogóle niepokoić władze. Wołał jednak życie w Walii i dlatego bardzo dogodnie dla niego było mieć Schoenmana, nie wynagradzanego, ale oddanego i prawdziwie fanatycznego pomocnika, prowadzącego jego sprawy w Londynie.

Tak więc Schoenman był wezyrem u Russella-sultana i jego panowanie trwało sześć lat. Był z Russellem, gdy ten został aresztowany we wrześniu 1961 roku, i także trafił do więzienia; gdy go zwolniono w listopadzie, ministerstwo spraw wewnętrznych wystąpiło z wnioskiem o deportowanie Schoenmana jako niepożądanego cudzoziemca.

Wielu wybitnych postępowców podpisało petycję, by pozwolono mu pozostać, i rząd ustąpił. Później gorzko żalowali swego wstawiennictwa, gdy Schoenman - zdawało się - zupełnie zapanował nad umysłem Russella, tak jak to uczynił Czertkow z Tołstojem. Czasami trudno było starym przyjaciołom rozmawiać z Russellem przez telefon: to Schoenman odbierał telefony i jedynie podejmował się przekazania wiadomości. Zarzucano mu również, że to on był prawdziwym autorem wielu listów Russella pisanych do „Timesa” lub oświadczeń przekazywanych agencjom prasowym o wydarzeniach światowych.

Schoenman sam zresztą podsycał takie przekonanie. Twierdził: „Każda większa inicjatywa polityczna, nosząca imię Bertranda Russella, była po roku 1960 moim dziełem w zamyśle i wykonaniu”. Schoenman powiadał, że przynajmniej „częściową prawdą” było, iż stary człowiek „został złuzowany przez ponurego, młodego rewolucjonistę”<sup>77</sup>.

Schoenman z pewnością odegrał niemałą rolę w Komitecie Stu, Trybunale Zbrodni Wojennych w Wietnamie i założeniu Fundacji Pokojowej Bertranda Russella. W latach sześćdziesiątych londyńska baza Russella stała się czymś w rodzaju małego humorystyczno-wywrotowego Foreign Office, wysyłającego nie kończące się listy i telegramy do premierów i głów państw: Mao Tse-tunga i Czou En-laja w Chinach, Chruszczowa w Rosji, Nassera w Egipcie, Sukarno w Indonezji, Hajle Selasjego w Etiopii, Makariosa na Cyprze i wielu innych. Im dłuższe stawały się te pisma, dłuższe i częstsze, i coraz bardziej nierealne, tym coraz rzadziej na nie odpowiadano.

Ogłaszano także publiczne komentarze o bieżących wydarzeniach krajowych: „Sprawa Profumo jest poważna nie dlatego, że rząd składa się ze złoczyńców, homoseksualistów czy prostytutek. Jest poważna dlatego, że ludzie u władzy zniszczyli całkowicie uczciwość sądów, fałszując dowody, zastraszając świadków, będąc w zмовie z policją w niszczeniu świadectw i nawet pozwalając policji mordować człowieka”. W pewnym momencie gazety przestały drukować takie bzdury.

Starzy przyjaciele, którzy stracili kontakt z Russellem, przypuszczali, że Schoenman jest autorem wszystkich tych oświadczeń. Niewątpliwie napisał ich wiele. Nie było to jednak nic nowego. Russell mógł w pełni przekazać komuś innemu napisanie artykułu opatrzonego jego nazwiskiem, jeśli temat nie interesował go szczególnie. W roku 1941 Sidney Hook narzekał na felieton *What To Do if You Fall in Love with a Married Man* („Co masz robić,

gdy zakochasz się w żonatym mężczyźnie") autorstwa Bertranda Russella, zamieszczony w „Glamour” - Russell przyznał, że dostał za niego 50 funtów, ale tekst napisała jego żona, on zaś jedynie opatrzył go swym nazwiskiem<sup>78</sup>.

Nie ma danych, by twierdzić, że Schoenman poważnie zniekształcał poglądy Russella, które były tak samo skrajne, jak jego sekretarza.

Materiały archiwalne wykazują, że Schoenman zmieniał i wzmacniał własną ręką niektóre zdania w tekście Russella, ale te poprawki mogły być dyktowane przez samego Russella (oświadczenie o kubańskim kryzysie raketowym jest tego przykładem). Gdy zwyciężały emocje, Russell był zawsze skłonny do odchodzenia od przygotowanego, umiarkowanego tekstu. Jeśli wiele z oświadczeń ogłoszonych pod jego nazwiskiem wydaje się dziecinnych, należy pamiętać, że lata sześćdziesiąte były dziecięcą dekadą, a Russell jedną z jej symbolicznych postaci.

Często, zwłaszcza w ostatnich latach swego życia, pozwalał sobie na dziecinne wręcz napady złości. Zorganizował specjalną uroczystość publiczną, by pokazać, jak drze swoją legitymację Partii Pracy, i gdy na przyjęciu podszedł do niego Harold Wilson, wówczas premier, podając mu rękę ze słowami: „Lordzie Russell!”, stary arystokrata ostentacyjnie trzymał rękę w kieszeni.

Wbrew temu, co niektórzy wtedy sądzili, nie ulega wątpliwości - słusznie podkreśla to jego biograf, Ronald Clark - że Russell nigdy nie stał się zgrzybiałym starcem<sup>79</sup>. Popuszczał cugli Schoenmanowi, ale w gruncie rzeczy mocno trzymał wodze. Gdy uznał, że Schoenman nie służy już jego celom, postąpił zgoła bezwzględnie. Nie był przeciwny ekstremizmowi Schoenmana, ale nie lubił, gdy jego, Russella, spychano w cień.

Schoenman często wyjeżdżał za granicę jako „osobisty przedstawiciel lorda Russella”, co naraziło go na kłopoty. W Chinach, nawołując tłum do wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi, rozjuszył Czou Enlaja, który poskarżył się Russellowi. Bardzo głośne stało się karygodne postępowanie Schoenmana w lipcu 1965 roku na Światowym Kongresie Pokoju w Helsinkach. Russell otrzymał pełen oburzenia telegram od organizatorów: „Mowa pańskiego osobistego przedstawiciela wzbudziła wrzawę. Zasadniczo odrzucona przez słuchaczy. Olbrzymia prowokacja dla Kongresu Pokoju. Fundacja zdyskredytowana. Najważniejsza sprawa to odcięcie się pana od Schoenmana i jego mowy. Serdeczne pozdrowienia”<sup>80</sup>.

Nastąpiły później, w latach 1966-1967, długotrwałe publiczne i zakulisowe kłótnie o Trybunał Zbrodni Wojennych w Wietnamie. W roku 1969 Russell, wówczas dziewięćdziesięciosiedmioletni, uznał, że wyczerpały się już wszystkie korzyści, jakie mógł odnieść z usług Schoenmana, i nagle się od niego uwolnił. W dniu 9 lipca wyłączył Schoenmana ze swego testamentu jako wykonawcę i powiernika, a w połowie tegoż miesiąca całkowicie zerwał z nim stosunki. W dwa miesiące później Schoenman został usunięty z zarządu Fundacji Pokojowej Bertranda Russella.

W listopadzie Russell podyktował swojej czwartej żonie Edith oświadczenie, liczące siedem tysięcy słów, o całości swoich stosunków z Schoenmanem. Edith pisała tekst na maszynie, a Russell znał każdą stronę używając innej maszyny. Ton tego oświadczenia był wigowski, protekcjonalny i pożegnalny, z następującym zakończeniem: „Ralph jest zbyt wielkim megalomanem. Prawdą jest, że nigdy Ralpa nie traktowałem tak poważnie, jak mu się zdawało. Na początku bardzo go lubiłem. Nigdy nie uważałem go za człowieka o dużych zdolnościach i znaczeniu oraz dużym wpływie osobistym”<sup>81</sup>. Pod pewnymi względami przypominało to pozbycie się przez Russella żony, która już mu się nie podobała.

Jednym z powodów, dla których Russell trzymał tak długo Schoenmana, była umiejętność zbierania funduszy w sposób, który Russell uważałby za przykry. Russell zawsze lubił dostawać i wydawać pieniądze i - bądźmy sprawiedliwi - także je rozdawać. Podczas I wojny światowej, nie chcąc zatrzymać odziedziczonych akcji jednego z przedsiębiorstw, produkującego teraz broń, wręczył je - warte były wówczas trzy tysiące funtów - gnębionemu

biedą T. S. Eliotowi; wspominał potem: „Kilka lat później, już po wojnie, Eliot, gdy mu się lepiej wiodło, zwrócił mi te akcje”<sup>82</sup>.

Russell często dawał innym hojne prezenty, zwłaszcza kobietom. Ale bywał też małostkowy i skąpy. Hook twierdzi, że głównymi grzechami Russella była próżność i chciwość: często w Stanach Zjednoczonych pisał „michałki” do prasy lub wstępy do książek, które bardzo mało go obchodziły, za bardzo niskie honoraria.

Broniąc się, Russell winił najpierw szkołę, która kosztowała go dwa tysiące funtów rocznie, a potem swoje żony. Twierdził, że jego trzecia żona była ekstrawagancka i po ich rozwodzie utrzymywał, że z sumy 11 tysięcy funtów, która przypadła mu jako laureatowi nagrody Nobla, ona otrzymała 10 tysięcy. Dowodził, że musi dużo zarabiać i strzec swego kapitału, bo płaci naraz dwa „zestawy” alimentów. Radowała go zawsze bardzo perspektywa otrzymania dużych kwot, stąd też dokładnie je zapisywał w swym małym notesie.

Crawshay-Williams zauważył w swym dzienniku: „[Russell] lubi, gdy go zachęcamy, by rozwiódł się na temat pieniędzy, jakie teraz zarabia”. Szczególnie -rozkoszował się otrzymaną w 1960 roku duńską nagrodą Sonninga, równoważną pięciu tysiącom funtów i wolną od podatku. „Żadnego podatku, czysty zysk!” - triumfował. Powiedział też Crawshay-Williamsowi, że w Danii spędzi tylko dwa dni: „Jedziemy jedynie po to, by podjąć pieniądze, i wracamy prosto do domu”<sup>83</sup>.

Schoenman okazał się doskonałym ministrem finansów. Wkładał do listów Russella kartki papieru z takim na przykład tekstem: „Jeśli pan wierzy, że praca Bertranda Russella dla pokoju jest cenna, może zechciałby pan wesprzeć ją finansowo ... Notę tę, o której lord Russell nie wie, dołączył jego sekretarz”<sup>84</sup>.

Od tych, którzy pisali z prośbą o autograf Russella, Schoenman pobierał trzy funty (później zniżył opłatę do dwóch funtów). Od dziennikarzy żądał stu pięćdziesięciu funtów za przywilej przeprowadzenia wywiadu z Russellem.

Russell z pewnością wiedział o takim wymuszaniu pieniędzy, otrzymywał bowiem sporo protestów dotyczących amerykańskiego stylu gromadzenia funduszy przez Schoenmana. Pozwalał jednak na to i - jak się wydaje - udzielił swego błogosławieństwa dwóm z największych przedsięwzięć Schoenmana.

Wbrew radzie staromodnego wydawcy Russella, sir Stanleya Unwina, Schoenman zorganizował licytację praw do publikacji autobiografii Russella w Stanach Zjednoczonych - prawie nieznaną w tamtych czasach zabieg handlowy - i podbił sumę do olbrzymiego wówczas poziomu dwustu tysięcy dolarów.

Schoenman wykorzystał także fakt, że Russell, podobnie jak Brecht, gromadził duże archiwa osobiste. Russell (tak jak i współczesny mu Churchill) był wśród pierwszych, którzy dostrzegli wartość finansową listów od słynnych ludzi i zachowali wszystkie, jakie otrzymali (wraz z kopiami listów wysyłanych). W latach sześćdziesiątych archiwum to zawierało 250 000 dokumentów i było określane jako „najważniejszy zbiór tego rodzaju w Wielkiej Brytanii”. Schoenman, mistrz reklamy, przetransportował archiwum Russella do Londynu w dwóch wozach pancernych i po sporym huku przekazał je McMaster University w Hamilton, w kanadyjskim stanie Ontario, za 250 tysięcy dolarów<sup>85</sup>.

Mistrzowskim posunięciem Schoenmana było założenie fundacji pokojowej, dla której uzyskał status instytucji dobroczynnej wolnej od podatku, analogicznie do Atlantyckiej Fundacji Pokojowej. Z samozadowoleniem Russell notował: „Raczej wbrew mojej woli moi koledzy domagali się, by fundacja nosiła moje imię”<sup>86</sup>. W ostatnich latach swego życia mógł rozdać pokaźne sumy pieniędzy na wszystkie ulubione cele, poważne i nierozsądne, cieszyć się znacznymi dochodami i płacić tak niewiele podatku, jak tylko to było prawnie możliwe. Gdy Schoenman stworzył wspomniane wyżej pomysłowe przedsięwzięcie, bez zbytniej ceremonii pokazano mu drzwi.

Kiedy Russellowi zarzucano, że skoro on i jego przyjaciel Williams-Ellis są ludźmi bogatymi i socjalistami, dlaczego któryś z nich nie rozdał swoich pieniędzy, Russell szablonowo odpowiadał: „Obawiam się, że to nieporozumienie. Wraz z Clough Williams-Ellisem jesteśmy socjalistami. Nie udajemy chrześcijan”.

Umiejętność zdobycia tego, co najlepsze w obu światach, to jest w świecie postępowej obłudy i w świecie przywilejów, jest tematem, który się przewija przez życie wielu czołowych intelektualistów, a tym bardziej Bertranda Russella. Jeśli nieczęsto o coś aktywnie zabiegał, to nigdy nie odmawiał rzeczy, jakie przypadły mu na mocy pochodzenia, sławy i znajomości. Tak na przykład, gdy sędzia na Bow Street skazał go w roku 1918 na sześć miesięcy ciężkich robót, zmieniono tę karę po apelacji na lżejsze więzienie z następującym uzasadnieniem prezesa sądu: „Byłoby wielką stratą dla kraju, jeśliby pan Russell, człowiek wybitny, został ograniczony w całej pełni swych zdolności”<sup>87</sup>.

Własna relacja Russella w jego autobiografii sugeruje, że łaskawość tę należy przypisać koledze-filozofowi, wówczas sekretarzowi spraw zagranicznych. „Na interwencję Arthura Balfoura zostałem umieszczony w lżejszym więzieniu, tak że mogłem czytać i pisać tyle, ile chciałem, pod warunkiem że nie będę uprawiał propagandy pacyfistycznej. Znajdowałem więzienie pod wieloma względami zupełnie znośnym”<sup>88</sup>.

Przebywając w Brixton napisał *Introduction to Mathematical Philosophy* i rozpoczął *Analysis of Mind*. Mógł także otrzymać i przeczytać ostatnie nowości książkowe, w tym i bestseller Lyttona Stracheya *Eminent Victorians* („Wybitni wiktorianie”), który wywołał „u mnie takie salwy śmiechu, że strażnik wszedł do mojej celi ze słowami, że więzienie to miejsce odbywania kary”. Inni, mniej ustosunkowani koledzy-pacyfiści, jak E. D. Morel, doznali poważnego uszczerbku na zdrowiu podczas odbywania kary ciężkiego więzienia.

Russell smakował także w korzystaniu z małych przywilejów, jak z załatwionego przez Schoenmana otrzymywania dodatkowej liczby powieści sensacyjnych z biblioteki publicznej: Russell połykał wprost kryminały, podobnie jak wielu innych intelektualistów z Cambridge jego pokolenia (jego dawny kolega J. E. McTaggart potrzebował trzydziestu na tydzień).

Russell nie protestował - a któżby to uczynił? - gdy nawet podczas największych powojennych braków słynna szkocka gorzelnia posyłała mu skrzynkę whisky co miesiąc, z etykietą „The Earl Russell” (Lord Russell)<sup>89</sup>.

Russell, nie zawsze rozważnie, zachowywał się tak, że trudno było zapomnieć o jego pochodzeniu społecznym. O swojej pierwszej żonie powiedział: „Nie była kimś, kogo moja babka nazwałaby damą”. Swoje dwudzieste pierwsze urodziny określił jako dzień, gdy „doszedł do pełnoletności”. Często miał upodobanie do niegrzecznego zachowania się wobec ludzi, których określał jako klasę średnią, na przykład wobec architektów. Gdy mu się za bardzo naprzykrzano, potrafił zadzwonić po policję, by zabrała z jego londyńskiego mieszkania pewną aktorkę i jej agenta, którzy, naśladując Russella, urządzili „siedzący” strajk w jego salonie.

Bardzo pragnął otrzymać Order Zasługi (Order of Merit) i uważał za skandal, że gorsi od niego ludzie, jak Eddington i Whitehead, otrzymali go przed nim; był w pełni zadowolony, gdy król Jerzy VI w końcu przyznał i jemu ten order. Przekonanie lewicy, że Russell nigdy nie używał swego tytułu, było mitem. Odmiennie niż jego trzecia żona, która znajdowała w tym przyjemność, Russell używał tytułu pragmatycznie, to jest wówczas, gdy sądził, że może mu to przynieść pewną korzyść. Zawsze był lordem, kiedy było to potrzebne. Jeśli nie było to konieczne, Russell zachowywał się jak dobry kompan, brat łąta - ale do czasu. Nikomu nie było wolno pozwolić sobie na zbyt wiele.

Co do logiki, to odwoływał się do niej wtedy, gdy wymagała tego sytuacja. Po sowieckiej inwazji na Czechosłowację Russell został przekonany do podpisania listu protestacyjnego wraz z wieloma innymi pisarzami. Miałem za zadanie uzgodnić z nim publikację tego listu w „Timesie”. Podpisy miały być ułożone w porządku alfabetycznym,



tytuł listu miał brzmieć: *Od pana Kingsleya Amisa i innych*. Zdecydowałem, i zgodził się z moją propozycją również redaktor rubryki listów do „Timesa”, że list ten wywarłby większy efekt w świecie komunistycznym, jeśliby nosił tytuł: *Od lorda Russella i innych*. Tak też i zrobiliśmy.

Russell jednak dostrzegł w tym małe oszustwo i wpadł w gniew. Zatelefonował z protestem i w końcu dopadł mnie w drukarni, gdzie oddawałem do druku numer „New Statesmana”. Powiedział mi, że uczyniłem to rozmyślnie, by dać fałszywe wrażenie, że to on sam przygotował ten list. Zaprzeczyłem temu i stwierdziłem, że jedynym celem jest zapewnienie listowi maksymalnego wrażenia. „Zresztą - powiedziałem - jeśli pan zgodził się w ogóle podpisać ten list, to nie może się pan skarżyć, że pańskie nazwisko stoi na pierwszym miejscu - czy to nie logiczne?” „Logiczna bzdura!” - odrzekł ostro i trzasnął słuchawką.

### Przypisy Rozdział 8

1. Bibliografię Russella zob. w: Barry Feinberg, Ronald Kasrils, Bertrand Russell's America: His Transatlantic Travels and Writing, vol. I, 1896-1945, London 1973.
2. Cytowane w: Rupert Crawshay-Williams, Russell Remembered, Oxford 1970, s. 151.
3. Ibidem.
4. Fotografia tej strony z jego dziennika jest zamieszczona w: Ronald W. Clark, Bertrand Russell and his World, London 1981, s. 13.
5. Choć szkic *The Principles of Mathematics* został ukończony 31 grudnia 1899, to praca jako całość została opublikowana dopiero w roku 1930; pierwszy tom *Principia Mathematica* ukazał się w roku 1910, drugi i trzeci w 1912 i 1913.
6. Bertrand Russell, *The Philosophy of Leibniz*, London 1900.
7. Anthony Quinton, Bertrand Russell, w: *Dictionary of National Biography 1961-1970*, Oxford 1981, s. 905.
8. Norman Malcolm, „*Philosophical Review*”, I 1950.
9. Zob. G. H. Hardy, *Bertrand Russell and Trinity*, Cambridge 1970.
10. Szczegóły tej sprawy, zob. G. H. Hardy, op. cit.
11. B. Feinberg, R. Kasrils, op. cit., s. 60-61.
12. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 143.
13. John Dewey i Horace M. Kallen (wyd.), *The Bertrand Russell Case*, New York 1941.
14. Bertrand Russell, *The Autobiography of Bertrand Russell*, London 1969, vol. III, s. 117-118.
15. Crawshay-Williams, op. cit., s. 41.
16. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 17.
17. *Russian Journal*, wpis 19 V 1920, Russel Archives, McMaster University, Hamilton, Ontario, Kanada; cytowane w: Ronald W. Clark, *The Life of Bertrand Russell* London 1975, s. 378 i n.
18. „*International Journal of Ethics*”, I 1915.
19. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. I, s. 126.
20. „*Atlantic Monthly*”, III 1915.
21. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 17.
22. Cytowane przez B. Feinberga i R. Kasrilsa, op. cit., vol. I, s. 73.
23. Poglądy Russella omawia szczegółowo R. W. Clark, op. cit., s. 517-530.
24. List Bertranda Russella do Gamela Brenana, 1 IX 1945, cyt. R. W. Clark, op. cit., s. 520.
25. List Bertranda Russella do Waltera Marseille, 5 V 1948, Russell Archive, cyt. R. W. Clark, op. cit., s. 523-524.
26. „*Nineteenth Century and After*”, I 1949.

27. „World Horizon”, III 1950.
28. Cytowane w: Sidney Hook, *Out of Step: A Unquiet Life in the Twentieth Century*, New York 1987, s. 364.
29. „Nation”, 17 X 1953, 29 X 1953.
30. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 29.
31. „The Listener”, 19 III 1959.
32. Ibidem, 28 V 1959.
33. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. III, s. 17-18.
34. Przedrukowany w: Edward Hyams (wyd.), *New Statesmanship: An Anthology*, London 1963, s. 245-249.
35. Na temat okoliczności wymiany korespondencji Russell-Chruszczow-Dulles, zob. Edward Hyams, *The New Statesman: The History of the First Fifty Years, 1913-1963*, London 1963, s. 288-292.
36. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 106-109.
37. Wersja Collinsa jest zawarta w: John Collins, *Faith under Fire*, London 1966; natomiast wersja Russella w: Ralph Schoenman (wyd.), *Bertrand Russell: Philosopher of the Century*, London 1967. Zob. także R. W. Clark, op. cit., s. 574 i n., oraz Christopher Driver, *The Disarmers: A Study in Protest*, London 1964.
38. Bertrand Russell, *Voltaire's Influence on Me*, *Studies on Voltaire*, vol. VI, *Musee Voltaire*, Genewa 1958
39. Cyt. w: R. W. Clark, op. cit., s. 586 i n.
40. Cyt. w: R. Crawshay-Williams, op. cit.
41. Ibidem, s. 22-23.
42. Bertrand Russell, *Autobiografia 1872-1914*. Tłumaczył Bronisław Zieliński, Warszawa 1971, s. 21.
43. B. Feinberg i R. Kasrils, op. cit., vol. I, s. 22.
44. Bertrand Russell, *The Practice and Theory of Bolshevism*, London 1920.
45. „Daily Herald”, 16 XII 1921; „New Republic”, 15 i 22 III 1922; *Prospects of Industrial Civilization*, London 1923.
46. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 58.
47. R. W. Clark, op. cit, s. 627-628.
48. Bertrand Russell, *Autobiografia 1872-1914*, s. 88.
49. „Manchester Guardian”, 31 X 1951.
50. Cytuje R. W. Clark, op. cit., s. 592, sądząc, że to szczególne wyznanie było robotą Schoenmana, Russell bowiem napisał początkowo: „Ludzkość staje dziś wieczór przed poważnym kryzysem”. Zwrot ten jednak należy według mnie do samego Russella.
51. Cytuje „Time”, 16 II 1970.
52. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 17, 23; B. Feinberg, R. Kasrils, op. cit., s. 118; list Bertranda Russella do panny R. G. Brooks, 5 V 1930; B. Russell, *Manners and Morals*, London 1929.
53. *Companionate Marriage*, wykład w Nowym Jorku 3 XII 1927, cyt. Feinberg i Kasrils, op. cit., s. 106.
54. Bertrand Russell, *Autobiografia 1872-1914*, s. 281-282.
55. Cytuje R. W. Clark, op. cit., s. 302.
56. List Alys Russell do Bertranda Russella z 29 IX 1918 (Russell Archives), cytuje R. W. Clark.
57. Bertrand Russell, *Autobiografia 1872-1914*, s. 285.
58. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 26.
59. List Dory Black do Rachel Brooks, 12 V 1922, Russell Archives, cytuje R. W. Clark, op. cit., s. 397.

60. Dora Russell, *The Tamarisk Tree: My Quest for Liberty and Love*, London 1975, s. 54.
61. Margaret Cole (wyd.), *Beatrice Webb's Diary 1912-1924*, London 1952, zapis pod datą 16 II 1922; Dora Russell, op. cit., s. 53
62. „New York Times”, 30 IX 1927.
63. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 192.
64. Dora Russell, op. cit., s. 198.
65. Ibidem, s. 243-245.
66. Ibidem, s. 279.
67. Cytuje R. W. Clark, op. cit., s. 446.
68. Dora Russell, op. cit., s. 286.
69. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. III, s. 16.
70. List Bertranda Russella do lady Ottoline Morrell, 11 X 1911, cytuje R. W. Clark, op. cit., s. 142.
71. Sidney Hook, op. cit., s. 208.
72. Peter Ackroyd, *T. S. Eliot*, London 1984, s. 66-67, 84; Robert H. Bell, *Bertrand Russell and the Eliots*, „The American Scholar”, Summer 1983.
73. Sidney Hook, op. cit., s. 363.
74. „Time”, 16 II 1970.
75. Dora Russell, op. cit., s. 291.
76. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 190.
77. Ralph Schoenman, *Bertrand Russell and the Peace Movement*, w: George Nakhnikian (wyd.), *Bertrand Russells Philosophy*, London 1974.
78. Sidney Hook, op. cit., s. 307.
79. R. W. Clark, op. cit., s. 584.
80. Ibidem, s. 612.
81. Oświadczenie to, opublikowane w „New Statesman” po śmierci Russella, podaje w aneksach R. W. Clark, op. cit., s. 640-651.
82. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 19.
83. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 127-128.
84. R. W. Clark, op. cit., s. 610.
85. Ibidem, s. 620-622.
86. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. III, s. 159-160.
87. G. H. Hardy, op. cit., s. 47.
88. Bertrand Russell, *The Autobiography...*, vol. II, s. 34.
89. R. Crawshay-Williams, op. cit., s. 41.

## 9. Jean-Paul Sartre: „Mała kula puchu i atramentu”.

Jean-Paul Sartre, podobnie jak Bertrand Russell, był zawodowym filozofem, który starał się głosić kazania szerokim rzeszom ludzi. Całkowicie różnili się jednak sposobem podejścia do tego zadania. Russell traktował filozofię jako wiedzę hieratyczną, z której poznania tłum jest wyłączony. Znany na całym świecie filozof, taki jak on, może jedynie filtrować małe porcje mądrości i w bardzo rozcieńczonej postaci rozpowszechniać w artykułach prasowych, popularnych książkach i audycjach radiowych.

W przeciwieństwie do niego Sartre - działający w kraju, gdzie filozofia jest wykładana w szkole średniej i roztrząsana w kawiarniach - wierzył, że dzięki dramatom i powieściom sprawi, iż masy będą współuczestniczyły w jego systemie. Przynajmniej przez pewien czas wydawało się, że mu się to powiodło. Z pewnością poza nim żaden filozof w tym stuleciu nie miał tak bezpośredniego wpływu na umysły i postawę wielu, zwłaszcza młodych ludzi, i to na całym świecie.

Egzystencjalizm był popularną filozofią późnych lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Dramaty Sartre'a były przebojami. Książki Sartre'a sprzedawano w ogromnych nakładach, niektóre nawet ponad dwóch milionów egzemplarzy w samej tylko Francji<sup>1</sup>. Sartre proponował sposób na życie. Przewodniczył świeckiemu Kościołowi, choć dość nieokreślonego. Co to wszystko jednak oznaczało?

Podobnie jak wielu czołowych intelektualistów, Sartre był skrajnym egoistą. Nie zadziwia to wcale, jeśli się weźmie pod uwagę warunki jego dzieciństwa. Był klasycznym przykładem rozpieszczonego jedynaka. Jego rodzina należała do wyższej klasy średniej, ojciec był oficerem marynarki wojennej, matka, z domu Schweitzer, zamożną Alzatką. Ojciec Sartre'a był pod każdym względem mało znaczącym człowiekiem, zastraszonego przez własnego ojca, dawnym zdolnym studentem politechniki, noszącym srogie wąsy jakby dla skompensowania niskiego wzrostu (1,57 m). Zmarł, gdy Jean-Paul miał piętnaście miesięcy i stał się „jedynie fotografią w sypialni mojej matki”.

Matka, Anne-Marie, wyszła za mąż ponownie, tym razem za przemysłowca, Josepha Mancy, właściciela fabryki Delaunay-Belleville w La Rochelle.

Sartre, urodzony 21 czerwca 1905 roku, odziedziczył po ojcu wzrost (1,58), rozum i książki, ale w swej autobiografii, *Słowa (Les mots)*, zadał sobie wiele trudu, by usunąć go ze swego życia. Pisał: „Gdyby wyżył mój ojciec, ległby na mnie całą swoją długością i zmiażdżyłby mnie. Szczęściem umarł w młodym wieku. (...) Ale nikt z rodziny nie potrafił zaciekawic mnie tym właśnie człowiekiem”. Jeśli chodzi o książki, „lektury miał niedobre, jak wszyscy skądinąd jego współcześni. (...) Książki sprzedałem; nieboszczyk dotyczył mnie w znikomym stopniu”<sup>2</sup>.

Dziadek, który gnębił własnych synów, uwielbiał Jean-Paula i dał mu wolny dostęp do swojej dużej biblioteki. Matka Jean-Paula była popychadłem rodziny, chłopczyk stanowił jej najcenniejszą własność. Ubierała go w sukienki, nosił długie włosy, dłuższe nawet niż mały Hemingway, dopóki nie ukończył ośmiu lat i dziadek nie zarządził wielkiego strzyżenia jego loków.

Sartre nazywa swe dzieciństwo „rajem”; o matce pisał: „Widzę przecież doskonale, że ta dziewczica bawiąca w gościnie nadzorowanej, podległa wszystkim, po to tu jest, by mi służyć. (...) Matka była moją własnością, nikt mi nie kwestionował tego spokojnego stanu posiadania, nie wiedziałem, co to gwałtowny przymus i nienawiść, zaoszczędzono mi okrutnych nauk zazdrości...”.

Nie było mowy o żadnym buncie, albowiem „cudzy kaprys nigdy nie usiłował być moim prawem”. Raz tylko, gdy miał cztery lata, wsypał soli do konfitur, a poza tym żadnego łobuzowania, żadnych kar. Matka nazwała go Poulou. Mówiono mu, że jest ładny;

„a ja w to wierzę”. Wspominał: „Mam zapas dzieciennych odezwań, które się zapamiętuje, a potem przytacza; uczę się fabrykować nowe. Mam odezwania dorosłego mężczyzny, umiem wygłaszać, nie pacząc sensu, zdania »ponad swój wiek«”<sup>3</sup>.

Czasami oczywiście opowieść Sartre'a przypomina Rousseau: „Dobro rodzi się w tajnikach mojego serca, Prawda - wśród młodych ciemności mojego Pojmowania”. „(...) praw nie mam, skoro miłość obsypuje mnie dobrodziejstwami; obowiązków nie mam, skoro daję wszystko przez miłość.” Dziadek, jak pisał, „wierzy w Postęp, ja też; Postęp - owa uciążliwa droga, która doprowadziła aż do mnie”.

Pisał o sobie: „(...) w gruncie rzeczy jestem dobrem kulturowym. Nasiąkając kulturą, zwracam ją rodzinie za pomocą promieniowania...”. Wspomina dialog, który zainicjował z prośbą o pozwolenie przeczytania *Madame Bovary* Flauberta, książki wówczas wciąż uważanej za skandaliczną: Matka: „- Ależ jeśli mój maleńki kochaneczek będzie w tym wieku czytywał podobne książki, co będzie robił, jak dorośnie?” Jean-Paul: „- Będę je przeżywał!” Tę dowcipną odpowiedź powtarzano z przyjemnością w kółku rodzinnym i wśród przyjaciół<sup>4</sup>.

Ponieważ Sartre miał niewielki szacunek dla prawdy, trudno jest powiedzieć, na ile wiarygodne są jego opisy dzieciństwa i młodości. Matka Sartre'a, czytając *Słowa*, zdenerwowała się: „*Poulou n'a rien compris a son enfance* (Poulou nic nie zrozumiał ze swojego dzieciństwa)”<sup>5</sup>. Reakcję matki szczególnie pobudzały jego nieczule uwagi o członkach rodziny. Niewątpliwie Sartre był okaleczony. Gdy miał cztery lata, zapadł na gripę - na prawym oku rozwinęło się bielmo i nigdy już nie mógł widzieć normalnie. Oczy zawsze sprawiały mu kłopoty. Stałe nosił grube szkła, po ukończeniu sześćdziesięciu lat zaczął coraz bardziej ślepnąć.

Kiedy poszedł do szkoły, przekonał się, że matka nie mówiła mu prawdy o jego wyglądzie i że w istocie jest brzydki. Chociaż niskiego wzrostu, był jednak dobrze zbudowany: szeroki w ramionach, o rozwiniętej klatce piersiowej, mocny. Twarz miał bardzo pospolitą, a kalekie oko sprawiało, że wyglądał groteskowo. Dokuczano mu z tego powodu, odpowiadał dowcipem, szyderstwem, anegdotą, co sprawiło, że stał się szkolnym błaznem, nie gardzącym słodkim pochlebstwem ni gorzką ironią. Narzucał się później kobietom, jak to ujął, by „pozbyć się ciężaru swojej brzydoty”<sup>6</sup>.

Sartre uzyskał bardzo dobre wykształcenie: świetne liceum w La Rochelle, dwa lata nauki w liceum Henryka IV w Paryżu, w tamtych czasach prawdopodobnie najlepszej szkoły średniej we Francji, a później studia w Ecole Normale Supérieure, gdzie zdobywali dyplomy najlepsi uczeni Francji. Wśród współczesnych Sartre'owi wyróżnili się zdolnościami: Paul Nizan, Raymond Aron, Simone de Beauvoir.

Sartre uprawiał boks i zapasy. Grał niezłe na fortepianie, miał mocny głos i dobrze śpiewał oraz układał scenki artystyczne, grywane przez uczelniany teatr. Pisywał wiersze, opowiadania, sztuki, krótkie nowele i filozoficzne eseje. Znów był błaznem, ale teraz znał o wiele więcej trików. Przez wiele lat czytał około trzystu książek rocznie<sup>7</sup>. Zakres ich był bardzo szeroki, namiętnością Sartre'a stała się powieść amerykańska.

Zdobył także pierwszą kochankę, Simone Jollivet; podobnie jak jego ojciec, Sartre wolał kobiety wysokie, Simone była chudą blondynką, wyższą od niego o głowę. Sartre oblał egzaminy na pierwszym roku studiów, zdał wszystko świetnie w rok później zajmując pierwszą lokatę, de Beauvoir, młodsza od niego o trzy lata, była druga. Był już czerwiec 1929 roku i Sartre, jak większość ówczesnych młodych, inteligentnych ludzi, został nauczycielem. Lata trzydzieste to stracone dziesięciolecie dla Sartre'a. Nie osiągnął sławy literackiej, której oczekiwał i namiętnie pragnął. Spędził większość tych lat jako nauczyciel w Le Havre, kwintesencji prowincjonalnego bezguścia. Jeździł do Berlina, gdzie za radą Arona studiował Husserla, Heideggera i fenomenologię, wówczas najbardziej oryginalną

filozofię w Europie Środkowej. Zasadniczo jednak oddawał się ciężkiej nauczycielskiej harówce.

Sartre nienawidził burżuazji. Oczywiście był bardzo uświadomiony klasowo. Nie był jednak marksistą, właściwie nigdy nie czytał Marksa, może we fragmentach. Był z pewnością buntownikiem, ale buntownikiem bez powodu. Nie przystąpił do żadnej partii.

Nie zainteresowało go zupełnie dojście Hitlera do władzy. Wojna w Hiszpanii nie wywarła na nim wrażenia. Choć później twierdził coś wręcz przeciwnego, to nie odnotowano, by przed wojną miał zdecydowane poglądy polityczne. Jedna z fotografii przedstawia go w czarnej todze z koronkami i żółtym płaszczu obszytym gronostajem, przy czym jedno i drugie jest o wiele dla niego za duże. Zwykle nosił sportową marynarkę z rozpiętą koszulą, odmawiając noszenia krawata; dopiero w późnym wieku przybrał się w strój intelektualisty: biały pulower typu polo i dziwną półskórzaną marynarkę.

Pił sporo. W dzień rozdania nagród po drugim roku studiów grał główną rolę w groteskowej scenie, zapowiadającej *Lucky Jima* Kingsleya Amisa, ale pijany nie mógł wypowiedzieć swej kwestii i musiał zejść ze sceny<sup>8</sup>.

Utożsamiał się wtedy i potem, przez całe swoje życie, z młodymi, zwłaszcza ze studentami. Pozwalał swoim uczniom robić właściwie to, co chcieli. Jego przesłaniem było: jednostka jest w pełni odpowiedzialna sama za siebie, ma prawo krytykować wszystko i wszystkich. Chłopcy mogli w klasie zdejmować marynarki i palić papierosy, nie musieli robić notatek ani pisać wypracowań. Nie sprawdzał nigdy listy, nie karał uczniów ani nie wystawiał ocen.

Sartre pisał wiele, ale nie mógł znaleźć wydaWcy dla swych wczesnych powieści. Ze smutkiem śledził, jak jego przyjaciele, Nizan i Aron, dzięki swym publikacjom zdobywają sławę. W roku 1936 wydał wreszcie książkę, *Recherches philosophiques*, która wywołała niewielkie zainteresowanie. Był to jednak początek tego, czego zamierzał dokonać.

Istotą dzieła Sartre'a była projekcja filozoficznego aktywizmu poprzez powieść i dramat. Zdecydował się na to w końcu lat trzydziestych. Twierdził, że wszyscy współcześni pisarze - miał na myśli Dos Passosa, Virginie Woolf, Faulknera, Joyce'a, Aldousa Huxleya, Gide'a i Tomasza Manna - powielają poglądy pochodzące bezpośrednio lub pośrednio od Kartezjusza i Hume'a. Byłoby bardziej interesujące, pisał Sartre do Jeana Paulhana, „napisać powieść o czasach Heideggera, i zamierzam to właśnie zrobić”.

Problem Sartre'a tkwił w tym, że w latach trzydziestych pracował oddzielnie nad fikcją i nad filozofią; dopiero wówczas zaczął interesować ludzi, gdy fikcję i filozofię zespolił w jedno i narzucił je uwadze publiczności poprzez scenę. Natomiast powieść filozoficzna powstawała powoli. Sartre chciał jej nadać tytuł *Melancolie*. Wydawcy zmienili na *Mdłości* (*La Nausee*), tytuł bardziej frapujący, i ostatecznie wydali ją w roku 1938. Z początku również spotkała się z małym odzewem.

Sartre'a stworzyła wojna. Dla Francji wojna była katastrofą. Dla przyjaciół Sartre'a, jak Nizan, oznaczała śmierć. Innym przyniosła niebezpieczeństwo i hańbę. Dla Sartre'a nie był to zły czas. Wzięty do wojska, został przydzielony do sekcji meteorologicznej dowództwa artylerii grupy armii, gdzie wypuszczał balony dla określenia kierunku wiatru. Koledzy wyśmiewali go. Jego kapral, profesor matematyki, zauważył: „Od początku wiedzieliśmy, że z niego nie będzie dla wojska żadnego pożytku”.

Był to okres największego upadku morale armii francuskiej. Sartre był znany z tego, że nigdy się nie kąpał i lepił się od brudu. Jedynym jego zajęciem było pisanie. Codziennie pisał pięć stron powieści, znanej później jako *Drogi wolności* (*Les Chemins de la liberte*), cztery strony Dziennika wojennego i niezliczone listy, wszystkie do kobiet.

Gdy front rozpadł się pod ciosami Niemców, Sartre dostał się do niewoli 21 czerwca 1940 roku. Zdał sobie sprawę z sytuacji dopiero w obozie jenieckim koło Treves, kopany często w swoje szerokie siedzenie przez niemieckich strażników, ze szczególną pogardą traktujących brudnych francuskich jeńców. Podobnie jak w szkole, Sartre przeżył blaznując i

tworząc obozowy świat rozrywki. Pracował także nadal nad własnymi powieściami i dramataми, dopóki w marcu 1941 nie został zwolniony jako „na pół ociemniały”.

Podążył wprost do Paryża. Otrzymał posadę nauczyciela filozofii w słynnym Lycee Condorcet, większość bowiem kadry nauczającej tej szkoły znajdowała się na wygnaniu, w podziemi lub w obozach. Pomimo jego metod nauczania, lub też dzięki nim, inspektorzy szkolni uznali treść jego nauk za „wyśmienitą”.

Sartre znalazł wojenny Paryż ożywczym. Pisał później: „Czy ludzie mogliby mnie zrozumieć, gdybym powiedział, że horror był nie do wytrzymania, ale nam było z nim dobrze ... Nigdy nie byliśmy bardziej wolni niż podczas okupacji niemieckiej”<sup>9</sup>.

Ale nie wszyscy byli w takiej jak Sartre sytuacji. On był szczęśliwcem. Nie biorąc udziału w przedwojennym życiu politycznym, ani nawet we Froncie Ludowym, Sartre nie figurował w żadnych rejestrach ani wykazach nazistowskich. Dla nich był „czysty”. Wśród ludzi świadomych rzeczy Sartre uchodził za kogoś, kto cieszył się względami. W Paryżu było pełno frankofilskich intelektualistów niemieckich w mundurze, jak Gerhardt Heller, Karl Epting, Karl-Heinz Bremer. Wpływali oni nie tylko na cenzurę, ale i na te gazety i magazyny, którym dozwolono się ukazywać, także na recenzje teatralne i literackie<sup>10</sup>. Mile były przez nich widziane powieści i dramaty Sartre'a, oparte na filozofii wywodzącej się z Europy Środkowej, szczególnie zawarte w nich elementy filozofii Heideggera, aprobowanej przez nazistowskich intelektualistów i akademików.

Sartre nigdy nie deklarował czynnej współpracy z reżimem. Ale pisał do kolaboracyjnego tygodnika „Comoedia”, przez pewien czas nawet regularnie. Nie miał jednak żadnej trudności zarówno w publikacji swoich dzieł, jak i wystawieniu swoich sztuk. Jak powiedział Andre Malraux, „gdy musiałem stawić czoło gestapo, Sartre wystawiał swe sztuki w Paryżu z upoważnienia cenzorów niemieckich”<sup>11</sup>.

W nieokreślony sposób Sartre pragnął wnieść swój wkład do Ruchu Oporu. Na szczęście dla niego te starania do niczego nie doprowadziły.

Gdy pisze się o intelektualistach, wiąże się z tym osobliwa ironia, ten jej rodzaj, do którego można się przyzwyczaić. Własna filozofia Sartre'a, która wkrótce miała być nazwana egzystencjalizmem, kształtowała się już w jego umyśle. Właściwie była to filozofia działania, dowodząca, że charakter i znaczenie człowieka określają jego działania, nie jego poglądy i słowa.

Okupacja nazistowska wzbudziła u Sartre<sup>7</sup> a instynkty antytotalitarne. Chciał z nią walczyć. Jeśliby stosował się do zasad swojej filozofii, powinien był to czynić wysadzając w powietrze pociągi z wojskiem niemieckim lub biorąc udział w zamachach na SS-manów. W rzeczywistości robił jednak co innego. Mówił. Pisał. Teorią, umysłem i duchem wspierał Ruch Oporu, ale nie czynem. Pomagał zorganizować podziemną grupę Socjalizm i Wolność, która spotykała się i dyskutowała. Wydaje się, iż wierzył w to, że jeśliby wszyscy intelektualiści mogli zebrać się razem i zagrzmieć w trąby, runęłyby mury nazistowskiego Jerycha. Jednakże Gide i Malraux, z którymi starał się skontaktować, odrzucili jego oferty. Niektórzy członkowie wspomnianej grupy, jak kolega Sartre'a po fachu, filozof Maurice Merleau-Ponty, zaczęli pokładać coraz większą wiarę w marksizmie.

Jeśli Sartre wyznawał wówczas czyjeś poglądy, to były to poglądy Proudhona: właśnie w jego duchu napisał pierwszy swój manifest polityczny dotyczący powojennej Francji<sup>12</sup>. Manifest liczył sto stron. Ale były to słowa, bogactwo słów, nie czynów. Jeden z członków grupy, Jean Pouillon, wspominał: „Nie byliśmy zorganizowaną grupą Ruchu Oporu, jedynie gronem przyjaciół, którzy zdecydowali się razem być przeciw nazistom i przekazywać nasze przekonania innym”. Inni, spoza tej grupy, byli bardziej krytyczni. Georges Chazelas, który wybrał Francuską Partię Komunistyczną, mówił później: „Uderzyło mnie od samego początku, że były to właściwie dziecinne igraszki: na przykład, nigdy nie zdawali oni sobie sprawy, jak bardzo ich paplanina wystawia na niebezpieczeństwo robotę innych”. Raoul

Levy, inny aktywny członek Ruchu Oporu, nazwał ich postępowanie „jedynie ploteczkami nad filiżanką herbaty”, a samego Sartre'a „politycznym analfabetą”<sup>13</sup>. W końcu grupa Socjalizm i Wolność zmarła śmiercią naturalną.

Sartre nie zrobił więc niczego ważnego dla Ruchu Oporu. Nie uczynił nic i nie napisał ani słowa, aby ratować Żydów. Skoncentrował się bez reszty na promowaniu własnej kariery. Pisał z pasją dramaty, rozprawy filozoficzne i powieści, przebywając głównie w kawiarniach. Jego związek z St-Germain-des-Pres, który wkrótce miał stać się słynny na cały świat, był z początku bardzo przypadkowy. Jego główne dzieło filozoficzne, *L'Être et le Néant* („Byt i niebyt”), które wyklada najwszechstronniej zasady aktywizmu Sartre'a, powstało głównie w czasie ostrej zimy 1942-1943. Monsieur Boubal, właściciel Cafe de Florę na bulwarze St-Germain, wykazał niezwykłą zaradność zdobywając węgiel i tytoń. Sartre pisał więc co dzień w Cafe de Florę, siedząc w narzuconym szpetnym, nie dopasowanym, ale ciepłym sztucznym futrze, koloru jasnopomarańczowego, które gdzieś udało mu się zdobyć. Popijając bawarkę wykladał kałamarz i pióro i pisał później pilnie przez cztery godziny, czasem tylko podnosząc oczy znad papieru. „Mała kula puchu i atramentu”<sup>14</sup> - powiedziała o nim Simone de Beauvoir zauważając, że ożywił rozprawę, licząc ostatecznie 722 strony, „pikantnymi fragmentami”. Jeden z nich mówi „o dziurach, inny o odbytnicy i włoskim stylu uprawiania miłości”<sup>15</sup>. Rozprawa została opublikowana w czerwcu 1943 roku. Sukces jej rósł powoli (kilka z najważniejszych recenzji zostało opublikowanych dopiero w roku 1945), ale nieprzerwanie i coraz pewniej<sup>16</sup>.

To jednak dzięki scenie Sartre stał się znaczniejszą postacią. Sztuka *Muchy* pojawiła się w teatrze w tym samym miesiącu, w którym opublikowano *L'Être*, i początkowo sprzedano stosunkowo niewiele biletów. Zwróciła jednak uwagę i umocniła rosnącą sławę Sartre'a. Poproszono go o napisanie scenariuszy filmowych dla firmy Pathe, stworzył więc trzy scenariusze, w tym do świetnego filmu *Kości zostały rzucone*, zarabiając po raz pierwszy sporo pieniędzy.

Brał udział w tworzeniu nowego i wpływowego pisma „Les Lettres françaises” (1943), a wiosną roku następnego został dołączony do jury nagrody Pleiade wraz z Andre Malraux i Paulem Elouardem, co oznaczało, że stał się ważną postacią literacką.

W owej właśnie chwili, 27 maja 1944, jego sztuka *Przy drzwiach zamkniętych* została wystawiona na premierowym wieczorze w teatrze Vieux Colombier. To świetne dzieło, w którym troje ludzi spotyka się w salonie, a właściwie w przedpokoju piekła, rozgrywa się na dwóch poziomach. Jeden poziom to studium charakterów z przekazem: „Piekło to inni ludzie”. Drugi to popularne przedstawienie *L'Être et le Néant*, zradikalizowanej wersji Heideggera, ale w błyskotliwej, galijskiej interpretacji i współczesnym odniesieniu, z zawartym w niej przekazem aktywizmu i ukrytym wyzwaniem. Pod tym właśnie względem Francuzi byli zawsze wybitnie utalentowani - tylko oni potrafią z doskonałym wyczuciem niemiecką ideę uczynić wytworną. Sztuka przyniosła mu wielki sukces, wysoko ocenili ją tak krytycy, jak i publiczność, została uznana za „kulturalne wydarzenie rozpoczynające złoty wiek St-Germain-des-Pres”<sup>17</sup>. Uczyniła Sartre'a sławnym, przy czym kolejny raz okazało się, jak nieporównaną siłę ma teatr w propagowaniu idei. Dziwne się jednak wydaje, że to właśnie dzięki staromodnej formie przekazu, jakim jest odczyt publiczny, Sartre stał się słynny na całym świecie, nawet osławiony, swego rodzaju *monstre sacre*.

W rok po tej premierze Francja wkroczyła w okres pokoju. Wszyscy, zwłaszcza młodzi, nadrabiali zachłannie stracone lata, także w dziedzinie kultury, i poszukiwali eliksiru prawdy. Komuniści i świeżo powstały MRP (Mouvement Republicain Populaire - chrześcijańscy demokraci) toczyli zacieklą walkę o opanowanie pola. Sartre, posługując się swą nową filozofią, proponował: ani Kościół, ani partia, a jedynie śmiała doktryna indywidualizmu, w której każda istota ludzka jest absolutnym panem swej duszy, jeśli tylko wybierze drogę działania i odwagi. Było to przesłanie wolności po totalitarnym koszmarze.



Sartre dał poznać swoje talenty i siłę przyciągania jako wykładowca po udanej serii odczytów pod tytułem *Socjotechnika powieści*, wygłoszonych przy ulicy St. Jacques jesienią 1944 roku. Wtedy jedynie napomknął o kilku swoich tezach. Rok później, we Francji wolnej i w napięciu czekającej na podniecie intelektualną, Sartre zapowiedział publiczny odczyt w Salle des Centraux, w gmachu pod numerem 8 przy ulicy Jean Goujon, w dniu 29 października 1945.

Słowo „egzystencjalizm” nie pochodziło od niego. Wydaje się, że było wymyślone przez prasę. W sierpniu roku poprzedniego (1944) Sartre poproszony o wyjaśnienie terminu odpowiedział: „Egzystencjalizm - nie wiem, co to znaczy. Moja filozofia jest filozofią istnienia”. Teraz zdecydował się jednak podjąć to, co wykuła prasa, i zatytułował odczyt: *Egzystencjalizm jest humanizmem*.

Nic nie jest tak potężne - stwierdził Wiktor Hugo - jak idea, której czas nadszedł. Czas Sartre'a nadszedł dwiema różnymi drogami. Głosił wolność ludziom, którzy byli jej głodni i na nią czekali. Nie była to jednak łatwa wolność. „Egzystencjalizm - mówił Sartre - definiuje człowieka Vieux Colombier. To świetne dzieło, w którym troje ludzi spotyka się w salonie, a właściwie w przedpokoju piekła, rozgrywa się na dwóch poziomach. Jeden poziom to studium charakterów z przekazem: „Piekło to inni ludzie”. Drugi to popularne przedstawienie *L'Être et le Néant*, radykalizowanej wersji Heideggera, ale w błyskotliwej, galijskiej interpretacji i współczesnym odniesieniu, z zawartym w niej przekazem aktywizmu i ukrytym wyzwaniem. Pod tym właśnie względem Francuzi byli zawsze wybitnie utalentowani - tylko oni potrafią z doskonałym wyczuciem niemiecką ideę uczynić wytworną. Sztuka przyniosła mu wielki sukces, wysoko ocenili ją tak krytycy, jak i publiczność, została uznana za „kulturalne wydarzenie rozpoczynające złoty wiek St-Germain-des-Près”<sup>17</sup>. Uczyniła Sartre'a sławnym, przy czym kolejny raz okazało się, jak nieporównaną siłę ma teatr w propagowaniu idei. Dziwne się jednak wydaje, że to właśnie dzięki staromodnej formie przekazu, jakim jest odczyt publiczny, Sartre stał się słynny na całym świecie, nawet osławiony, swego rodzaju *monstre sacre*.

W rok po tej premierze Francja wkroczyła w okres pokoju. Wszyscy, zwłaszcza młodzi, nadrabiali zachłannie stracone lata, także w dziedzinie kultury, i poszukiwali eliksiru prawdy. Komuniści i świeżo powstały MRP (Mouvement Republicain Populaire - chrześcijańscy demokraci) toczyli zacieklą walkę o opanowanie pola. Sartre, posługując się swą nową filozofią, proponował: ani Kościół, ani partia, a jedynie śmiała doktryna indywidualizmu, w której każda istota ludzka jest absolutnym panem swej duszy, jeśli tylko wybierze drogę działania i odwagi. Było to przesłanie wolności po totalitarnym koszmarze.

Sartre dał poznać swoje talenty i siłę przyciągania jako wykładowca po udanej serii odczytów pod tytułem *Socjotechnika powieści*, wygłoszonych przy ulicy St. Jacques jesienią 1944 roku. Wtedy jedynie napomknął o kilku swoich tezach. Rok później, we Francji wolnej i w napięciu czekającej na podniecie intelektualną, Sartre zapowiedział publiczny odczyt w Salle des Centraux, w gmachu pod numerem 8 przy ulicy Jean Goujon, w dniu 29 października 1945.

Słowo „egzystencjalizm” nie pochodziło od niego. Wydaje się, że było wymyślone przez prasę. W sierpniu roku poprzedniego (1944) Sartre poproszony o wyjaśnienie terminu odpowiedział: „Egzystencjalizm - nie wiem, co to znaczy. Moja filozofia jest filozofią istnienia”. Teraz zdecydował się jednak podjąć to, co wykuła prasa, i zatytułował odczyt: *Egzystencjalizm jest humanizmem*.

Nic nie jest tak potężne - stwierdził Wiktor Hugo - jak idea, której czas nadszedł. Czas Sartre'a nadszedł dwiema różnymi drogami. Głosił wolność ludziom, którzy byli jej głodni i na nią czekali. Nie była to jednak łatwa wolność. „Egzystencjalizm - mówił Sartre - definiuje człowieka przez działanie. (...) Mówi mu, że jedyna nadzieja leży w działaniu i jedyną rzeczą, która pozwala człowiekowi żyć - jest czyn.” Tak więc „człowiek angażuje się w swoje życie,

sam określa swoją postać i poza tą postacią nie ma nic". Nowy Europejczyk 1945 roku, mówił Sartre, jest nową egzystencjalistyczną jednostką: „Jesteśmy sami, nikt nas nie usprawiedliwi. To właśnie chciałbym wyrazić, mówiąc, że człowiek skazany jest na wolność”<sup>18</sup>.

W ten sposób nowa egzystencjalistyczna wolność Sartre'a była niezmiernie pociągająca dla rozczarowanego pokolenia: samotnego, surowego, szlachetnego, nieco agresywnego, by nie powiedzieć gwałtownego, antyelitarnego, ludowego - nikt nie był pominięty. Każdy, a szczególnie młody, mógł być egzystencjalistą.

Po drugie, Sartre przeprowadził jednej z tych wielkich cyklicznych rewolucji w stylu godnym intelektualisty. W latach międzywojennych inteligencja francuska, zniechęcona wynaturzeniami długiej walki o Dreyfusa i rzezią we Flandrii, pielęgnowała cnoty niezależności. Ton nadał Julien Benda, którego książka *La Trahison des clercs* (1927), ciesząca się olbrzymim powodzeniem, zaklinała intelektualistów, by unikali „uzależnienia” od wiary lub partii czy też sprawy, a skupiali się na przestrzeganiu pryncypiów abstrakcyjnych, trzymając się z dala od areny polityki. Jednym z tych, którzy przestrzegali wskazań Benda, był właśnie sam Sartre. Aż do roku 1941 nikt nie był od niego mniej zaangażowany. Ale teraz, gdy badał atmosferę, puszczając co chwilę balony próbne, wyczuł odmienny powiew. Wraz z przyjaciółmi założył nowe czasopismo, „Les Temps Modernes” i został jego redaktorem naczelnym. Pierwszy numer z manifestem wydawców ukazał się we wrześniu 1945. Zasadniczym żądaniem manifestu było ponowne zaangażowanie się pisarzy:

„Pisarz w swojej epoce ma miejsce, które należy tylko do niego. Każde słowo odzywa się echem. Tak samo brzmi cisza. Uważam Flauberta i [Edmonda] de Goncourta za odpowiedzialnych za represje, które nastąpiły po Komunie, bo nie napisali ani jednego wiersza, by im zapobiec. Możecie powiedzieć, że to nie była ich sprawa. Ale czy sprawa Jeana Calas była sprawą Woltera? Czy skazanie Dreyfusa było sprawą Zoli?”<sup>19</sup>.

Stanowiło to tło do odczytu Sartre'a. Tej jesieni w Paryżu odczuwało się duże napięcie w życiu kulturalnym. Na trzy dni przed wystąpieniem Sartre'a zanotowano incydent na premierze dwóch baletów *Les Forains* i *Le Rendez-vous* w Theatre des Champs-Elysees: kurtyna, która była dziełem Picassa, została wygwizdana przez tłumnie zgromadzoną, dobraną publiczność.

Odczyt Sartre'a nie był szeroko reklamowany: ukazało się o nim kilka wzmianek w rubrykach małych ogłoszeń w „Liberation”, „Le Figaro”, „Le Monde” i „Combat”. Ale wieść o nim obiegała miasto i echo jej było bardzo duże. Gdy Sartre przybył na odczyt o wpół do dziewiątej wieczorem, tłum na ulicy wokół budynku, gdzie miał mówić, był tak duży, iż Sartre obawiał się, że zorganizowano demonstrację komunistyczną. Tymczasem wszyscy zgromadzeni gorączkowo starali się dostać na salę, ale była ona już tak nabita, iż jedynie pozwolono wejść przybyłym znakomitościom. Przyjaciele musieli siłą torować przejście samemu prelegentowi. Wewnątrz kobiety mdlały, łamano krzesła. Odczyt rozpoczął się z godzinnym opóźnieniem. To, co Sartre miał powiedzieć, było właściwie zwykłym akademickim wykładem filozofii. W tych jednak okolicznościach odczyt stał się pierwszym wielkim powojennym wydarzeniem w dziejach środków przekazu. Nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności tego wieczoru Julien Benda również wygłosił odczyt, ale do zupełnie pustej sali.

Relacje prasowe o odczycie Sartre'a były nadzwyczajne<sup>20</sup>. Mimo trudności z papierem wiele gazet przytaczało tysiące słów tekstu Sartre'a. Potępiano z pasją zarówno to, co powiedział, jak i charakter jego wystąpienia. Katolicki dziennik „La Croix” nazwał egzystencjalizm „groźniejszym niebezpieczeństwem niż osiemnastowieczny racjonalizm i dziewiętnastowieczny pozytywizm” i wspólnie z komunistycznym „L'Humanite” określał Sartre'a jako wroga społeczeństwa. W stosownym czasie umieszczono wszystkie dzieła Sartre'a na watykańskim indeksie książek zakazanych, a stalinowski komisarz pisarzy, Aleksander Fadiejew, nazwał Sartre'a „szakalem z maszyną do pisania, hieną z wiecznym piórem”.

Sartre stał się również powodem ostrej zazdrości zawodowej. Szkoła frankfurcka, nienawidząca Brechta, jeszcze bardziej znienawidziła Sartre'a. Max Horkheimer nazwał go „oszustem i gangsterem w świecie filozofów”. Wszystkie te ataki przyspieszyły jedynie bieg rydwanu Sartre'a. Stał się on wówczas, tak jak przed nim wielu innych czołowych intelektualistów, ekspertem w sztuce autoreklamy. Zresztą, czego nie zrobił sam, tego dokonali za niego jego zwolennicy.

Gazeta „Samedi Soir” zauważyła kwaśno: „Takiego triumfu reklamowego nie widzieliśmy od czasów Barnuma”<sup>21</sup>. Im bardziej jednak moralizowano nad fenomenem Sartre'a, tym większą zdobywał popularność. Listopadowy numer „Les Temps Modernes” wskazywał, że Francja jest krajem pobitym i zdemoralizowanym. Pozostała jej jedynie literatura i moda, egzystencjalizm miał dać Francuzom nieco godności i zachować ich odrębność w epoce upadku. Pójść za Sartre'em oznaczało - w przedziwny sposób - spełnienie czynu patriotycznego. Pośpiesznie przygotowana książkowa wersja jego odczytu została sprzedana w milionie egzemplarzy w ciągu jednego miesiąca.

Ponadto egzystencjalizm właściwie nie był filozofią do czytania, lecz manią, którą trzeba było się nacieszyć. „Katechizm egzystencjalisty” podkreślał: „Egzystencjalizmu, podobnie jak wiary, nie można wyjaśnić, można go tylko przeżyć”, i mówił czytelnikowi, gdzie można to uczynić<sup>22</sup>. St-Germain-des-Pres nie po raz pierwszy obwołano ośrodkiem mody intelektualnej. Sartre kroczył właściwie śladem Woltera, Diderota i Rousseau, którzy patronowali starej Cafe Procope, położonej dalej na bulwarze. Za drugiego cesarstwa, w epoce Gautiera, George Sand, Balzaka i Zoli, bulwar znów ożył; tak było również, gdy otwierano Cafe de Flore, a Huysmans i Apollinaire byli wśród jej bywalców<sup>23</sup>. W przedwojennym Paryżu ośrodkiem intelektualistów był jednak Montparnasse, którego ton był politycznie niezależny, nieco homoseksualny, kosmopolityczny, jego kawiarnie zdobyły szczupłe, biseksualne dziewczyny. Zmiana na St-Germain, społeczna i seksualna, a także intelektualna, była więc dramatyczna, bo sartrowski St-Germain był lewicujący, zaangażowany, bardzo heteroseksualny i ultrafrancuski.

Sartre był duszą towarzystwa, lubił whisky, jazz, girlsy i kabaret. Gdy nie widziano go w Cafe de Flore lub o krok dalej, w Cafe des Deux Magots, albo gdy nie jadł w Brasserie Lipp po drugiej stronie ulicy, siedział z pewnością w jednym z nowych piwnicznych klubów nocnych lub caves, których tak wiele teraz otwierano w Dzielnicy Łacińskiej. W Rosę Rouge śpiewała Juliette Greco, dla której Sartre napisał czarującą piosenkę; grał tam na puzonie pisarz i kompozytor Boris Vian, piszący także do „Les Temps Modernes”. Na rue Dauphine było słynne Tabou, a na rue Jacob mieścił się Bar Verte. Niedaleko, na rue Bonaparte pod numerem 42, mieszkał sam Sartre. Jego mieszkanie wychodziło na kościół St-Germain-des-Pres i Cafe des Deux Magots. (Mieszkała tam również i jego matka, która wciąż dbała o bieliznę Sartre'a.) Ruch miał również swój organ codzienny, gazetę „Combat”, redagowaną przez Alberta Camusa, którego najbardziej poczytne powieści były uznawane za egzystencjalistyczne. Simone de Beauvoir wspominała później: „»Combat« donosił życzliwie o wszystkim, co wychodziło spod naszych piór lub z naszych ust”. Sartre pracował cały dzień, pisząc intensywnie i ujmując w miliony słów odczyty, sztuki, powieści, eseje, wstępy, artykuły, audycje, scenariusze filmowe, reportaże, filozoficzne diatryby<sup>24</sup>.

Jacques Audiberti pisał o nim, że był „jak ciężarówka, parkująca z hałasem wszędzie, w bibliotece, teatrze, w kinach”. Wieczorem jednak grał, przy końcu był zwykle pijany i często agresywny. Pewnego razu podbił oko Camusowi<sup>25</sup>. Ludzie przybywali, by się na niego pogapić. Sartre był królem quartier, wszystkich gniewnych (enrages), wszystkich wtajemniczonych (branches), bywalców piwnicznych klubów (rats des caves). Jak pisał jego główny szef reklamy, Jean Paulhan, Sartre był „duchowym przywódcą tysięcy młodych ludzi”.

Jeśli Sartre był królem, to kim była królowa? I jeśli on był duchowym przywódcą młodych ludzi, to dokąd ich prowadził? Są to dwa różne pytania i choć mają wiele wspólnych elementów, wymagają po kolei dokładnego zbadania.

Zimą 1945-1946, gdy stał się sławą europejską, Sartre związał się na blisko dwa dziesięciolecia z Simone de Beauvoir. Była dziewczyną z Montparnasse, urodziła się w mieszkaniu nad słynną Café de la Ro- tonde. Miała trudne dzieciństwo, pochodziła z rodziny zrujnowanej przez bankructwo, z którego powodu dziadek siedział w więzieniu, posag matki nigdy nie został wypłacony, a ojciec nicpoń szlifował bruki na bulwarach i nigdy nie zajął się odpowiednią pracą<sup>26</sup>.

Simone de Beauvoir pisała gorzko o rodzicach: „Mój ojciec był tak przekonany o winie Dreyfusa, jak moja matka o istnieniu Boga”<sup>27</sup>.

Dla Simone ucieczką była szkoła; stała się intelektualistką, wyjątkowo zresztą elegancką. Wybiła się jako studentka filozofii Uniwersytetu Paryskiego i zajął się nią Sartre oraz jego otoczenie. Powiedział jej wtedy: „Od tej chwili biorę cię pod swoje skrzydła”. Jakkolwiek była to w pewnym sensie prawda, dla niej nie było to dobrodziejstwo jednoznaczne. Była od niego o cal wyższa, o trzy lata młodsza i, w ściśle akademickim znaczeniu, zdolniejsza. Jeden z jej współczesnych, Maurice de Gaudillac, określił jej pracę jako „trudną, wymagającą, dokładną, bardzo techniczną”; pomimo swego młodego wieku prawie pokonała Sartre'a w walce o pierwsze miejsce i dyplom uniwersytecki, a egzaminatorzy, Georges Davy i Jean Wahl, uważali ją za filozofa lepszego od niego<sup>28</sup>.

Podobnie jak Sartre, Simone de Beauvoir była wymagającym pisarzem. Nie potrafiła pisać dramatów, ale jej dzieła autobiograficzne, choć równie nieściśle co do faktów, są bardziej interesujące niż Sartre'a, a największa powieść, *Mandaryni*, opisująca francuski powojenny świat literatury, przyniosła Simone nagrodę Goncourtów i jest o wiele lepsza od jakiegokolwiek powieści Sartre'a. W dodatku Simone nie miała żadnej ze słabości charakteru Sartre'a, z wyjątkiem łgania.

A jednak ta kobieta, błyskotliwa i zdecydowana, stała się niewolnicą Sartre'a od pierwszej chwili, gdy się spotkali, i pozostała nią przez resztę swego życia, aż do jego zgonu. Służyła mu jako kochanka, kucharka, menedżer, żeńska obstawa i pielęgniarka, nie nabywając w jego życiu jakiegokolwiek specjalnego statusu prawnego lub finansowego. Pod wieloma względami Sartre traktował ją nie lepiej niż Rousseau swoją Therese, a nawet gorzej, bo sam był jawnie niewierny. W annałach literatury było tylko kilka przypadków mężczyzn bardziej wykorzystujących kobiety. Jest to tym bardziej zastanawiające, że de Beauvoir przez całe życie pozostawała feministką.

W roku 1949 ogłosiła pierwszy współczesny manifest feminizmu, *Le Deuxieme sexe (Druga płeć)*, który zdobył szeroki rozgłos w całym świecie<sup>29</sup>.

Pierwsze słowa manifestu: *On ne nait pas femme, on la devient* (Nie rodzimy się kobietami, stajemy się nimi), są świadomym echem pierwszych słów *Umowy społecznej* Rousseau. Właściwie de Beauvoir była pramatką ruchu feministycznego i powinna z tego tytułu być jego świętą patronką. W swoim własnym życiu jednak zdradziła wszystko to, czego broniła.

Nie jest całkowicie jasne, jak Sartre ustanowił i utrzymywał takie zwierzchnictwo nad Simone de Beauvoir. Nie mogła uczciwie opisać ich stosunku. On natomiast nie zadał sobie w ogóle trudu, by napisać cokolwiek na ten temat. Gdy się spotkali po raz pierwszy, Sartre był o wiele bardziej poczytny od niej i potrafił ująć swój tekst w formę potocznego monologu, którą ona uważała za porywającą. Jego kontrola nad Simone była po prostu typu intelektualnego, nie seksualna. Simone była jego kochanką przez większość lat trzydziestych, ale w pewnym momencie to się skończyło; od lat czterdziestych ich stosunki seksualne w dużej mierze nie istniały; zajmował się nią jedynie wówczas, gdy nie było nikogo innego.

Sartre był archetypem tego rodzaju mężczyzn, których uznano w latach sześćdziesiątych za męskich szowinistów. Zmierzał do odtworzenia w swoim dorosłym życiu „raju”

wczesnego dzieciństwa, kiedy to w pełnym zapachu perfum buduarze był ośrodkiem uwielbienia otaczających go kobiet. O kobietach myślał w kategoriach zwycięstwa i zaboru. W *Mdłościach* pisał: „Każda bez wyjątku z moich teorii była aktem podboju i posiadania. Sądziłem, że pewnego dnia z pomocą ich wszystkich zdobędę świat”. Pragnął całkowitej wolności dla siebie i, jak pisał, marzył przede wszystkim o zapewnieniu sobie niezależności od kobiet<sup>30</sup>.

Odmienne od wielu doświadczonych uwodzicieli, nie czuł niechęci do kobiet. Rzeczywiście wołał je bardziej od mężczyzn, prawdopodobnie dlatego, że były mniej skłonne do wdawania się z nim w dyskusję. Notował: „Wolę mówić kobiecie o najdrobniejszych sprawach niż Aronowi o filozofii”<sup>31</sup>. Lubił pisać listy do kobiet, czasem pisał tuzin listów dziennie. W kobiecie widział jednak nie osobę, ale jeszcze jeden skalp, który miał zawiesić u pasa, a próby obrony i usprawiedliwienia polityki podboju w kategoriach postępowych jedynie powiększały jego hipokryzję. Mówił więc, że chciał „zdobyć kobietę prawie w taki sposób, w jaki dopada się dzikiego zwierza”, ale „jedynie po to, by wydobyć ją ze stanu dzikości i podnieść do stanu równouprawnienia z mężczyzną”. A wspominając swoje wczesne podboje, zauważył, że „w tym wszystkim były głębie imperializmu”<sup>32</sup>. Nie ma jednak danych, że podobne rozważania kiedykolwiek odwiodły go od potencjalnej zdobyczy, były jedynie przeznaczone do przelania na papier.

Gdy po raz pierwszy Sartre uwiódł de Beauvoir, nakreślił jej swoje poglądy na sprawy seksu. Mówił szczerze o swym pragnieniu współżycia z wieloma kobietami. Powiedział też, że jego credo to „podróż, poligamia, szczerłość”. Na uniwersytecie jej przyjaciel zauważył, że nazwisko Simone przypomina angielskie słowo *beaver* (bóbr), po francusku *castor*. Sartre zawsze zwracał się do niej per *Castor* albo *vous* (pani), nigdy *tu* (ty)<sup>33</sup>.

Czasem wyczuwa się, że patrzył na Simone jak na pierwszorzędną wyćwiczoną zwierzę. O swojej polityce „zapewnienia” sobie „niezależności od kobiet” Sartre pisał: „Castor zaakceptowała tę niezależność i dotrzymuje słowa”<sup>34</sup>. Powiedział też jej, że istnieje „miłość konieczna” i „miłość przypadkowa”. Ta druga się nie liczyła. Te kobiety, którym ona przypadła, były „na obrzeżu”. Natomiast jego miłość do niej była miłością stałą, „konieczną”, a Simone postacią „centralną”, nie stojącą „na obrzeżu”.

Oczywiście ona miała także całkowitą swobodę postępowania. Mogła mieć swoje sympatie „na obrzeżu”, dopóki Sartre pozostawał jej główną, konieczną miłością. Oboje musieli jednak wykazać „szczerłość”. To było właśnie jeszcze jedno słowo w ulubionej intelektualnej grze seksualnej „otwartości”, które spotkaliśmy już w przypadku Tolstoja i Russella. Każde z nich, jak mówił Sartre, miało powiedzieć drugiemu, kiedy będzie miało dość.

Polityka szczerłości, jak można było oczekiwać, doprowadziła do dalszego i bardziej zgubnego przemilczania. De Beauvoir próbowała stosować tę politykę, ale obojętność, z jaką Sartre przyjmował wiadomości o jej sprawach, z których większość wydawała się mu błaża i nieokreślona, niewątpliwie zadawały jej ból. Sartre wyśmiał po prostu jej opis zalotów Arthura Koestlera, zawarty w *Mandarynach*.

Ponadto ci, którzy byli wmieszani w politykę szczerłości, nie zawsze ją lubili. Ważną dla Simone postacią „na obrzeżu”, pod pewnymi względami miłością jej życia, był amerykański pisarz Nelson Algren. Gdy miał już siedemdziesiąt dwa lata, a ich romans należał jedynie do przeszłości, Nelson udzielił wywiadu, w którym dał upust wściekłości z powodu jej niedyskrecji. Oświadczył, że opisanie go w *Mandarynach* było przykrą sprawą, choć przynajmniej został ukryty pod zmienionym nazwiskiem. Jednak w pierwszym tomie swej autobiografii, *Silą rzeczy*, Simone de Beauvoir nie tylko wymieniła nazwisko, ale i cytowała jego listy, na co z oporami dał jej swą zgodę. Z wściekłością wykrzyczał: „Do diabła, listy miłosne muszą być prywatne! Bywałem w burdelach na całym świecie i kobiety zamykały w nich zawsze drzwi, czy to było w Korei, czy w Indiach. A ta kobieta nie tylko otworzyła

drzwi na oścież, ale i wezwała publiczność i dziennikarzy!"<sup>35</sup>. Algren tak bardzo się zdenerwował na myśl o postępowaniu Simone de Beauvoir, że po wyjściu dziennikarza przeprowadzającego wywiad dostał rozległego ataku serca i zmarł tego samego wieczoru.

Sartre również uprawiał szczerość, ale tylko do pewnej granicy. W rozmowie i w listach informował Simone o swoich nowych dziewczynach: „Po raz pierwszy spałem z brunetką ... pełną zapachów, dziwnie owłosioną, z jakąś sierścią ciemną na grzbiecie i o białym ciele ... Język długi, jakby bez końca, sięgający aż do moich migdałków”<sup>36</sup>.

Żadna kobieta, nawet „centralna”, nie chce czytać takich rzeczy o swych rywalkach. Gdy Sartre przebywał w Berlinie w 1933 roku i de Beauvoir na krótko się do niego przyłączyła, na samym wstępie powiedział jej, że zdobył nową kochankę, Marie Ville. Podobnie jak Shelley, Sartre żywił dziecięce pragnienie, by stara miłość aprobowala nową. Jednakże Sartre nigdy nie mówił wszystkiego. Gdy de Beauvoir, która wykładała w Rouen przez większość lat trzydziestych, zatrzymywała się z nim w Berlinie lub gdziekolwiek indziej, Sartre dawał jej obrączkę. Mieli swój własny język. Podpisywali się w hotelach jako państwo Organatique lub pan i pani Morgan Hattick, jankescy milionerzy. Brak jednak danych o tym, że on kiedykolwiek chciał się z nią ożenić lub też dał jej możliwość wyboru bardziej formalnego związku. Nie wiedziała o tym, że przy kilku okazjach proponował małżeństwo kobietom „z obrzeża”.

Dla Simone było jasne, że życie, jakie prowadzą, jest przeciwne naturze. Nigdy nie potrafiła zaakceptować ze spokojem kochanek Sartre'a. Czuła się dotknięta z powodu Marie Ville. Jeszcze bardziej była urażona z powodu następnej, Olgi Kozakiewicz. Olga była jedną z dwóch sióstr (druga - Wanda, także stała się kochanką Sartre'a) i, by zaognić sprawę, uczennicą Simone de Beauvoir. Simone odczuwała tak wielką niechęć do romansu Sartre'a z Olgą, że wprowadziła ją do swej powieści, *L'Invitée*, i tam uśmierciła<sup>37</sup>.

Przyznawała w swej autobiografii: „(...) miałam do Sartre'a żal o to, że tę sytuację stworzył, a do Olgi, że się na nią zgodziła”. Simone stawiała opór: „Nie miałam zamiaru oddania suwerennej pozycji, jaką zawsze zajmowałam w samym środku wszechświata”<sup>38</sup>. Jednakże każda kobieta, która określa swego kochanka jako „sam środek wszechświata”, nie zajmuje mocnej pozycji, pozwalającej udaremnić jego odejście.

De Beauvoir próbowała sprawować kontrolę za pomocą współuczestnictwa. We troje: Sartre, de Beauvoir i dziewczyna, zwykle studentka - jego lub jej - tworzyli trójkąt, w którym de Beauvoir zajmowała pozycję nadzorującą. Często używano słowa „adopcja”.

Na początku lat czterdziestych Sartre stał się dobrze znany z uwodzenia swych studentek. Robert Francis w nieprzyjemnej krytyce sztuki *Przy drzwiach zamkniętych* pisał: „Wszyscy znamy pana Sartre'a. Jest osobliwym nauczycielem filozofii, który wyspecjalizował się w studiach nad bielizną swych studentek”<sup>39</sup>.

Skoro jednak de Beauvoir prowadziła wykłady dla bardziej odpowiednich studentek, to właśnie spośród nich pochodziło najwięcej ofiar Sartre'a, a oczywiście de Beauvoir wydaje się niekiedy grać rolę stręczycielki. Ona również, owładnięta niejasnym pragnieniem, by nie zostać wyłączonej z miłości, kształtowała swoje własne stosunki ze studentkami.

Jedną z nich była Natalia Sorokina, córka rosyjskich uchodźców, najlepsza uczennica de Beauvoir w Lycee Moliere w dzielnicy Passy, gdzie Simone uczyła podczas wojny. W roku 1943 rodzice Natalii złożyli formalne oskarżenie przeciw de Beauvoir o uwiedzenie małoletniej, co było poważnym kryminalnym przestępstwem, zagrożonym karą więzienia. Oddani obojgu przyjaciele interweniowali i oskarżenie zostało ostatecznie wycofane. Simone zakazano jednak wykładów na uniwersytecie, a patent na nauczanie we Francji został jej cofnięty do końca życia<sup>40</sup>.

Podczas wojny de Beauvoir stała się właściwie żoną Sartre'a: gotowała, szyla i prała, dbała o jego zarobki. Jednakże przy końcu wojny on nagle zauważył, że jest bogaty i otoczony przez kobiety, które przyciągnął zarówno jego intelektualny urok, jak i pieniądze.

Rok 1946 był najlepszym okresem jego miłosnych podbojów i oznaczał prawdziwy koniec seksualnych stosunków z de Beauvoir. John Weightman ujął to następująco: „We wczesnym stosunkowo okresie ona przyjęła rolę zasłużonej seksualnej emerytki, pseudożony, rezydującej na obrzeżu jego wciąż ulegającego zmianom seraju”<sup>41</sup>.

Simone narzekała: „Ileż pieniędzy wydał na nie wszystkie!”<sup>42</sup>. Notowała też z troską, że im starszy był Sartre, tym młodsze otaczały go dziewczęta - siedemnastolatki i osiemnastolatki, które on zapewniał o „adopcji” w sensie prawnym, co oznaczałoby, że odziedziczą po nim prawa autorskie. Simone mogła im dać rady i ostrzeżenia, jak Helene Weigel dziewczynom Brechta, chociaż nie miała tego prawnego statusu, jaki miała Niemka.

Była stale okłamywana. W latach 1946 i 1948, gdy Sartre jeździł do obu Ameryk, Simone otrzymała dokładną relację o jego gorącym romansie z niejaką Dolores, ale Sartre opowiadając, jak był zmęczony „wyczerpującą namiętnością” dziewczyny, nie powiedział o tym, że faktycznie proponował dziewczynie małżeństwo.

Później była Michelle, blondynka o włosach koloru miodu i żona Borisa Viana, śliczna siostra Olgi - Wanda, Evelyne Rey - egzotyczna aktorka o jasnych włosach, dla której Sartre napisał rolę w swej ostatniej sztuce, *Więźniowie z Altony*, oraz Arlette, która miała siedemnaście lat, gdy Sartre ją wynalazł - była najbardziej znienawidzona przez Simone de Beauvoir - i Helene Lassithiokatis, młodzianka Greczynka. W pewnym momencie, w późnych latach pięćdziesiątych, Sartre miał naraz cztery kochanki: Michelle, Arlette, Evelyne i Wandę, no i Simone, wszystkie okłamując w ten czy inny sposób.

Publicznie zadedykował swą *Critique de la raison dialectique* (1960) Simone de Beauvoir, ale jego wydawca, Gallimard, wydrukował mu prywatnie dwa egzemplarze ze słowami dedykacji „dla Wandy”, a kiedy odbyła się premiera *Więźniów*, Wandzie i Evelyne - oczywiście każdej z nich osobno - powiedziano, że zadedykował sztukę właśnie dla nich.

Jednym z powodów, dla których Simone nie lubiła tych młodych kobiet, było przekonanie, że zachęcają one Sartre'a do prowadzenia życia bez ograniczeń, nie tylko w seksie, ale i także w picciu i braniu narkotyków. W latach 1945-1955 Sartre przebrnął przez ogromną porcję roboty pisarskiej i innej, i by to osiągnąć, stale powiększał dawki alkoholu i barbituranów. Przebywając w Moskwie w roku 1954, doznał zawału z przepicia i został umieszczony w sowieckiej klinice. Ale po rekonwalescencji nadal pisał od trzydziestu do czterdziestu stron dziennie, często biorąc całą fiolkę Corydranu (lek wycofany jako niebezpieczny w roku 1971), by utrzymać się „na chodzie”. *Critique de la raison dialectique* rzeczywiście wydaje się być pisana zarówno pod wpływem alkoholu, jak i narkotyków.

Jego biografka, Annie Cohen-Solal, twierdzi, że Sartre często wypijał kwartę wina podczas dwugodzinnego *dejeuner* u Lippa, w Coupole, Balzar lub w innym ulubionym lokalu; ocenia, że jego dzienna dawka środków podniecających w tym czasie zawierała dwie paczki papierosów, kilka fajek nabijanych czarnym tytoniem, kwartę alkoholu (głównie wino, wódka, whisky i piwo), 200 miligramów amfetaminy, piętnaście gramów aspiryny, kilka gramów barbituranów oraz kawę i herbatę<sup>43</sup>.

Właściwie de Beauvoir nie oddała sprawiedliwości młodym kochankom Sartre'a. Wszystkie próbowały go zmienić, a najmłodsza, Arlette, starała się najbardziej, nawet wydobyła od niego obietnicę na piśmie, że nigdy już nie tknie Corydranu, tytoniu lub alkoholu, obietnicę, którą szybko złamał<sup>44</sup>.

Otoczony przez uwielbiające go kobiety, choć często kłótlive, Sartre miał mało czasu dla mężczyzn. Zatrudniał szereg sekretarzy, niektórzy z nich, jak Jean Cau, byli ludźmi bardzo utalentowanymi. Wokół Sartre'a kręcił się tłum młodych mężczyzn-intelektualistów. Wszyscy zależeli od niego, on rozdzielał pensje, datki, sprawował nad nimi patronat. Nie mógł jednak długo ścierpieć mężczyzn-intelektualistów, równych mu wiekiem i starszeństwem, którzy mogli w każdej chwili wypuścić powietrze z jego luźnych i napuszonych argumentów.

Nizan został zabity, zanim doszło między nimi do rozłamu, ale Sartre pokłócił się z całą resztą: Raymondem Aronem w roku 1947, Arthurem Koestlerem w 1948, Merleau-Ponty w roku 1951 i Camusem w 1952, by wspomnieć tylko o najważniejszych.

Spór z Camusem był równie gorzki, jak kłótnie Rousseau z Diderotem, Woltera z Hume'em lub Tolstoja z Turgieniewem, ale - inaczej niż w tym ostatnim przypadku - nie było pojednania. Wydaje się, że Sartre był zazdrosny zarówno o urodę Camusa, jak i po prostu o jego możliwości i oryginalność jako pisarza. *Dżuma*, opublikowana w czerwcu 1947, wywarła hipnotyczne wrażenie na młodych czytelnikach i szybko sprzedano 350 tysięcy jej egzemplarzy. Stała się przedmiotem krytyki ideologicznej w „Les Temps Modernes”, ale przyjaźń między oboma pisarzami trwała nadal, choć już na niezbyt pewnym gruncie. Gdy Sartre przesunął się ku lewicy, Camus pozostawał bardziej niezależny. W pewnym sensie zajmował tę samą pozycję, co George Orwell w Wielkiej Brytanii: przeciwny był wszelkim systemom autorytarnym i uznał Stalina za złego człowieka, stawiając go na tej samej płaszczyźnie, co Hitlera. Podobnie jak Orwell, a odmiennie niż Sartre, Camus uważał, że ludzie są ważniejsi od idei. Simone de Beauvoir notuje, że w roku 1946 Camus zwierzył się: „Wy i ja mamy tę wspólną cechę, że najważniejsi dla nas są ludzie; cenimy bardziej konkrety niż abstrakty, ludzi niż doktryny, a przyjaźń stawiamy wyżej niż politykę”<sup>45</sup>.

W głębi serca de Beauvoir mogła się z nim zgodzić, ale kiedy nastąpił ostateczny rozłam z powodu książki Camusa *Człowiek zbuntowany*, w latach 1951-1952, przyłączyła się do obozu Sartre'a. Ten zaś i jego akolici z „Les Temps Modernes” uważali książkę Camusa za atak na stalinizm i zdecydowali się podjąć z nią walkę w dwóch etapach.

Do pierwszego ataku Sartre wystawił młodego Francisa Jeanson, wówczas dwudziestodwuletniego, zauważając podczas kolegium redakcyjnego, które o tym zadecydowało: „Jest on najbardziej szorstki, ale przynajmniej kulturalny”. Później, gdy Camus odpowiedział, Sartre skierował sam długi i nieprzyjemny atak przeciw Camusowi: „Opanowała pana silna i formalna dyktatura, wsparta przez abstrakcyjną biurokrację, i rości pretensję do rządzenia zgodnie z prawem moralnym”; on zaś - Camus - cierpi „na urażoną próżność” i oddaje się „drobnym pisarskim konfliktom”. Sartre atakował: „Pańska kombinacja ponurego zarozumiałstwa i wrażliwości na ciosy zniechęcała zawsze ludzi do mówienia panu nagiej prawdy”<sup>46</sup>.

Teraz Sartre miał całą zorganizowaną lewicę za sobą i jego atak zaszkodził Camusowi; zapewne także go zranił - Camus był człowiekiem wrażliwym na ciosy i czasem gnębiło go zerwanie z Sartre'em. Kiedy indziej śmiał się z tego i uważał Sartre'a za śmieszny figurę, „człowieka, za którego matka musi płacić podatek dochodowy”.

Fakt, że Sartre nie umiał zachowywać męskich przyjaźni z ludźmió równym mu pokroju intelektualnym, pomaga wyjaśnić niezgodność i brak spójności oraz po prostu lekkomyślność jego poglądów politycznych. Prawdą jest, że nie był z natury politykiem. Właściwie nie miał stałych, jednolitych poglądów przed ukończeniem czterdziestu lat. Skoro rozstał się z ludźmi takimi, jak Koestler i Aron, którzy w późnych latach czterdziestych dojrzeli do tego, by stać się osobami o największym znaczeniu politycznym, on potrafił popierać kogokolwiek i cokolwiek.

W latach 1946-1947, dobrze wiedząc o swym olbrzymim prestiżu wśród młodzieży, Sartre wahał się, czy i w ogóle poprzeć jakąś partię. Zapewne wierzył w to, że intelektualista ma moralny obowiązek wesprzeć „robotników”. Tylko że Sartre nie znał żadnego robotnika, nawet nie starał się zetknąć z jakimkolwiek robotnikiem, z wyjątkiem swego świetnego sekretarza, Jeana Cau, który, będąc pochodzenia proletariackiego i zachowując silny akcent mieszkańców departamentu Aude, uchodził za robotnika.

Czy nie trzeba więc poprzeć tej partii, którą popiera większość robotników? We Francji lat czterdziestych oznaczało to poparcie dla komunistów. Sartre nie był jednak marksistą i marksizm znajdował się niemal po przeciwnej stronie mocno indywidualistycznej filozofii,



jaką głosił Sartre. Tak czy inaczej, nawet w późnych latach czterdziestych Sartre nie mógł zmusić się do potępienia Francuskiej Partii Komunistycznej czy stalinizmu, co było jednym z powodów jego konfliktów z Aronem i Koestlerem. Dawny uczeń Sartre'a, Jean Kanapa, obecnie czołowy intelektualista komunistyczny, pisał z oburzeniem: „To niebezpieczny osobnik, który lubi flirtować z marksizmem - ponieważ nie czytał Marksa, chociaż wie mniej więcej, co to jest marksizm”<sup>47</sup>.

Jedynym pozytywnym posunięciem Sartre'a była pomoc w organizowaniu ruchu niekomunistycznej lewicy przeciw zimnej wojnie, zwanego Rassemblement Democratique et Revolutionnaire (Zgromadzenie Demokratyczne i Rewolucyjne), w lutym 1948 roku. RDR dążyło do zwerbowania intelektualistów świata - Sartre nazwał to „Międzynarodówką Umysłu” - a tematem była jedność kontynentu. „Jednocz się, młodzieży Europy!” - wołał Sartre w swym przemówieniu w czerwcu 1948. „Kształtuj sama swój los! ... To nowe pokolenie, tworząc Europę, tworzy demokrację”<sup>48</sup>.

Gdyby Sartre rzeczywiście chciał zagrać kartą europejską i tworzyć historię, mógł poprzeć Jeana Monneta, który wówczas kładł podstawy ruchu, jaki stworzył dziesięć lat później Wspólnotę Europejską. Oznaczałoby to poświęcenie dużej uwagi szczególnie ekonomicznym i administracyjnym, co Sartre uważał za niemożliwe.

Jego towarzysz organizacyjny z RDR, David Rousset, uznał go za zupełnie bezużytecznego: „Pomimo jasności stylu jego pism żył on w świecie całkowicie wyizolowanym z rzeczywistości”. Był on, jak mówił Rousset, „bardzo uwikłany w grę i ruch idei”, ale niewiele interesowały go wydarzenia bieżące: „Sartre żył w bańce mydlanej”.

Gdy odbywał się pierwszy krajowy zjazd RDR w czerwcu 1949, Sartre'a nie można było nigdzie znaleźć: był w Meksyku z Dolores, próbując ją przekonać, by wyszła za niego. RDR po prostu się rozwiązało, a Sartre przeniósł swą płynną uwagę na absurdalny World Citizens' Movement (Światowy Ruch Obywatelski) Gary'ego Davisa. François Mauriac, wielki pisarz i sardoniczny, niezależny katolik, dał Sartre'owi wówczas sensowną publiczną radę, echo drwiących słów niezadowolonej przyjaciółki Rousseau: „Nasz filozof musi posłuchać się rozsądku - zarzuć politykę, Zanetto, *e studia la mathematica*”<sup>49</sup>.

Tymczasem Sartre zajął się sprawą homoseksualisty-złodzieja, Jeana Geneta, przebiegłego oszusta, który odwołał się z powodzeniem do łatwowiernej strony charakteru Sartre'a, tej strony, która potrzebowała jakiegoś surogatu wiary religijnej. Sartre napisał ogromną i absurdalną książkę na temat Geneta, prawie siedemset stron, która była właściwie uczczeniem sprzeczności, anarchii i seksualnego chaosu. Był to właśnie ten punkt, w opinii jego świadomych przyjaciół, w którym Sartre przestał być poważnym, systematycznym myślicielem, a stał się intelektualistą polującym na sensację<sup>50</sup>.

Zadziwiająco, że Simone de Beauvoir, bardziej rozsądna, która pod pewnym względem wyglądała, ubierała się i myślała jak nauczycielka starej daty, mogła tak niewiele uczynić, by go uchronić przed takimi szaleństwami. Starła się zachować jednak miłość Sartre'a i pozycję na jego dworze (niczym pani de Maintenon u Ludwika XIV, stwierdził John Weightman) i martwiła się także jego piciem i zażywaniem pigułek. Uważała, że chcąc utrzymać jego zaufanie, powinna mu towarzyszyć. Służyła mu więc bardziej jako echo niż jako mentor, i tak ułożyły się ich stosunki: Simone wspierała jego błędne sądy i aprobowała brak rozsądku. Nie znała się bardziej od niego na polityce i zaczęła wtedy opowiadać podobne nonsensy o wydarzeniach światowych.

W roku 1952 Sartre rozstrzygnął swe dylematy na temat Francuskiej Partii Komunistycznej i zdecydował się poprzeć komunistów. Była to decyzja emocjonalna, nie racjonalna, do której doszedł poprzez włączenie się w dwie agitacyjno-propagandowe kampanie FPK: sprawę Henri Martina (marynarza skazanego na więzienie za odmowę udziału w wojnie w Indochinach) i w sprawę brutalnego zdławienia zamieszek zorganizowanych przez Francuską

Partię Komunistyczną przeciw amerykańskiemu dowódcy NATO, generałowi Matthew Ridgewayowi<sup>51</sup>.

Jak wielu wówczas przewidywało, kampania Francuskiej Partii Komunistycznej, zmierzająca do uwolnienia Martina, ostatecznie doprowadziła do tego, że władze trzymały go dłużej w więzieniu, niż początkowo zamierzały. FPK tym się nie przejmowała - uwięzienie Martina służyło jej celom - ale Sartre powinien mieć więcej rozsądku. Poziom jego politycznej percepcji odsłania oskarżenie przez niego premiera Antoine'a Pinaya, staromodnego parlamentarnego konserwatysty, o zaprowadzenie dyktatury<sup>52</sup>. Sartre nigdy nie wykazał prawdziwego zainteresowania, nie mówiąc o entuzjazmie, dla demokracji parlamentarnej. Posiadanie prawa głosu w wielopartyjnym społeczeństwie nie było wcale tym, co on rozumiał przez wolność. Co więc przez to rozumiał? Odpowiedź na to jest jeszcze trudniejsza.

Ustawienie się Sartre'a w szeregu z komunistami w 1952 roku nie miało w ogóle logicznego sensu. Był to właśnie czas, gdy inni lewicowi intelektualiści opuszczali gremialnie partię komunistyczną po udokumentowaniu i potwierdzeniu na Zachodzie danych o strasznych zbrodniach Stalina. Sartre stwierdził teraz sam, że stoi na głowie. Zachowywał niespokojne milczenie o stalinowskich obozach, a obrona tego milczenia była całkowicie sprzeczna z jego własnym manifestem o zaangażowaniu, ogłoszonym w „Les Temps Modernes”. Argumentował słabo: „Skoro nie byliśmy członkami partii ani jej jawnymi sympatykami, nie było naszym obowiązkiem pisać o sowieckich obozach pracy; mogliśmy pozostać poza sporami o naturę tego systemu, o ile nie zajdą wydarzenia znaczącego socjologicznym”<sup>53</sup>. Podobnie Sartre milczał na temat przerażających procesów Slansky'ego i innych czeskich Żydów-komunistów w Pradze.

Nawet gorzej, pozwolił, by zrobiono z niego tresowanego niedźwiedzia na nedorzecznej konferencji urządzonej przez komunistyczny Światowy Ruch Pokoju w Wiedniu w grudniu 1952 roku. Płaszczyl się przed Fadiejewem, który niegdyś nazwał go hieną i szakalem, i opowiadał delegatom, że trzema najważniejszymi wydarzeniami w jego życiu był Front Ludowy w roku 1936, wyzwolenie i „ten kongres” - rażące kłamstwo - a nie odwołanie w Wiedniu spektaklu jego starej, antykomunistycznej sztuki *Brudne ręce*, co uczyniono na żądanie władz komunistycznej partii<sup>54</sup>.

Podczas czterech lat, kiedy to wiernie popierał linię FPK, Sartre robił i mówił rzeczy, które niemal rzucają wyzwanie uczciwości. Podobnie jak w przypadku Bertranda Russella, postępowanie Sartre'a przypomina jedną z niemiłych prawd zawartą w sentencji Kartezjusza: „Nie istnieje coś tak nedorzecznego lub nieprawdopodobnego, co nie zostałoby dowiedzione przez tego lub innego filozofa”.

W lipcu 1954 roku, po wizycie w Rosji, udzielił dwugodzinnego wywiadu reporterowi „Liberation”. Można uznać to za najbardziej poniżającą relację wybitnego zachodniego intelektualisty o państwie sowieckim, złożoną od czasu głośnej wyprawy George'a Bernarda Shawa we wczesnych latach trzydziestych<sup>55</sup>. Sartre oświadczył, że obywatele sowieccy nie podróżują nie dlatego, że im zabroniono, ale dlatego, że nie chcą opuszczać swego cudownego kraju. Utrzymywał: „Obywatele sowieccy krytykują swój rząd o wiele bardziej i o wiele skuteczniej, niż my to czynimy”. Twierdził, że „istnieje całkowita swoboda krytyki w ZSRS”.

Wiele lat później przyznał, że dopuścił się fałszu: „Kłamałem po mojej pierwszej wizycie w ZSRS w roku 1954. Właściwie słowo kłamstwo może brzmieć za mocno. Napisałem artykuł (...), w którym powiedziałem wiele przyjaznych rzeczy o ZSRS, choć nie wierzyłem w ich prawdziwość. Uczyniłem to częściowo dlatego, że uważałem za niegrzeczne oczernianie gospodarzy, skoro tylko powróci się do domu, a częściowo dlatego, że naprawdę nie wiedziałem, na jakim gruncie jestem zarówno w stosunku do ZSRS, jak i do moich własnych idei”<sup>56</sup>.

Było to dziwne wyznanie ze strony „duchowego przywódcy tysięcy młodych ludzi”, ponadto było ono tak samo zwodnicze, jak jego poprzednie fałszerstwa, Sartre bowiem świadomie i przemyślanie identyfikował się wtedy z celami Francuskiej Partii Komunistycznej. Bardziej miłosiernym czynem byłoby zarzucenie zasłony na pewne rzeczy, które mówił i czynił w latach 1952-1956.

W roku 1956 publiczna reputacja Sartre'a tak we Francji, jak i w szerokim świecie była bardzo zła, i nie mógł on tego nie zauważyć. Sowiecką inwazję na Węgry wykorzystał z ulgą jako powód, czy też jako pretekst, do zerwania z Moskwą i z Francuską Partią Komunistyczną.

Tak samo wykorzystał poniekąd rozszerzającą się wojnę algierską - szczególnie że powrót de Gaulle'a do władzy w roku 1958 dostarczył potrzebnego kozła ofiarnego - jako niezwykle dogodną okazję, by odbudować swój prestiż wśród niezależnej lewicy, zwłaszcza wśród młodych. Manewr ten do pewnego stopnia był autentyczny. Udał się w ograniczonym stopniu, nie udało się jednak Sartre'owi - odmiennie niż Russellowi - dostać do aresztu, chociaż bardzo się o to starał. We wrześniu 1960 roku przekonał stu dwudziestu intelektualistów do podpisania oświadczenia domagającego się „prawa do nieposłuszeństwa [urzędników państwowych, wojskowych itd.] w wojnie algierskiej”. Rząd IV Republiki prawie na pewno by go zaaresztował, ale rząd V Republiki był bardziej przemyślną instytucją, zdominowaną przez dwóch ludzi o wybitnym umyśle i kulturze, to jest samego de Gaulle'a i Andre Malraux. To Malraux powiedział wtedy: „Lepiej pozwolić Sartre'owi krzyczeć »Niech żyją [terrorysty]!« na placu Zgody niż go aresztować i sprawić nam wszystkim kłopot”. De Gaulle w odpowiedzi oświadczył, cytując przypadki Franciszka Villona, Woltera i Romain Rollanda, że lepiej pozostawić intelektualistów w spokoju: „Ci ludzie spowodowali mnóstwo kłopotu w swoim czasie, ale ważne jest, byśmy nadal szanowali swobodę myśli i wypowiedzi tak dalece, jak jest to zgodne z prawami naszego państwa i jednością narodu”<sup>57</sup>.

W latach sześćdziesiątych większość czasu Sartre spędził na podróżach po Chinach i krajach trzeciego świata, które to określenie wymyślił w 1952 roku geograf Alfred Sauvy, a Sartre spopularyzował. On i Simone de Beauvoir stali się znanymi postaciami, fotografowanymi podczas rozmów z różnymi afroazjatyckimi dyktatorami: Sartre w garniturze z czasów I wojny światowej, Simone w nauczycielskiej kamizelce, ożywionej „etnicznymi” spódnicami i szarfami.

Oświadczenia Sartre'a o reżimach, które go zapraszały, nie były bardziej sensowne niż jego lennicze zakłęcia składane stalinowskiej Rosji, były natomiast bardziej możliwe do przyjęcia. Sartre mówił o reżimie Castro: „Kraj, który zrodził rewolucję kubańską, jest po prostu demokracją”. O Jugosławii prezydenta Tito: „To urzeczywistnienie mojej filozofii”. O Egipcie Nassera: „Dotychczas odmawiałem mówienia o socjalizmie, wspominając system rządów w Egipcie. Teraz wiem, że nie miałem racji”.

Szczególnie ciepło mówił o Chinach Mao. Głośno potępiał amerykańskie „zbrodnie wojenne” w Wietnamie i porównywał Amerykę z nazistami. (Później porównał również de Gaulle'a z nazistami, zapominając, że generał z nimi walczył, gdy on wystawiał swoje sztuki w okupowanym Paryżu.)

Zarówno Sartre, jak de Beauvoir byli zawsze nastawieni antyamerykańsko: w 1947 roku, po wizycie w Ameryce, de Beauvoir opublikowała w „Les Temps Modernes” absurdalną sztukę pełną zabawnych przekręceń (np. Greenwicz Village, Max Tawin zamiast Mark Twain) i bezsensownych stwierdzeń, jak na przykład, że tylko bogatym pozwala się wchodzić do sklepów przy Piątej Alei. Właściwie każde stwierdzenie w tej sztuce jest nieprawdziwe, stała się ona przedmiotem błyskotliwej polemiki ze strony Mary McCarthy<sup>58</sup>.

W latach sześćdziesiątych Sartre odegrał czołową rolę w zdyskredytowanym Trybunale Zbrodni Wojennych Bertranda Russella w Sztokholmie. Żadne z tych nieco nierozważnych

poczynań nie wywarło wielkiego wrażenia, a jedynie stępiło działanie wszelkich poważnych oświadczeń, które Sartre powinien był złożyć. Sartre udzielał także rad swoim wielbicielom w trzecim świecie, rad, które miały niebezpieczne strony. Chociaż nie był człowiekiem czynu - jedna z najbardziej bolesnych drwin Camusa głosiła, że Sartre „próbuję tworzyć historię siedząc w swym fotelu” - zawsze zachęcał do działania innych, a działanie oznaczało zwykle przemoc. Stał się patronem Franza Fanona, ideologa afrykańskiego, którego można nazwać twórcą współczesnego czarnego afrykańskiego rasizmu, i napisał wstęp do jego biblii przemocy, *Les Damnés de la terre* (1961), który jest nawet bardziej żądny krwi niż tekst samej książki. Sartre pisał, że dla czarnego człowieka „zastrzelić Europejczyka to trafić dwa ptaki jednym rzutem kamienia: zniszczyć ciemność i człowieka, który ciemność”. Był to unowocześniony egzystencjalizm: oswobodzenie się przez morderstwo. To właśnie Sartre wynalazł odpowiednią technikę słowną (wziętą z filozofii niemieckiej) utożsamiania istniejącego porządku z „przemocą”, to jest ze „zinstytucjonalizowaną przemocą”, usprawiedliwiając w ten sposób zabójstwo dla jej obalenia.

Sartre zapewniał: „Dla mnie zasadniczym problemem jest odrzucenie teorii, według której lewica nie powinna odpowiadać przemocą na przemoc”<sup>59</sup>. Zwróćmy uwagę: nie „problemem”, ale „zasadniczym problemem”. Pisma Sartre'a były szeroko znane, zwłaszcza wśród młodzieży, co spowodowało, że stał się on niejako ojcem chrzestnym wielu ruchów terrorystycznych, które zaczęły dręczyć społeczeństwo od późnych lat sześćdziesiątych.

Sartre jednak nie przewidział, a uczyniłby to człowiek mądrzejszy, że przemoc, której on udzielił filozoficznego poparcia, będzie narzucona przez czarnych nie białym, ale innym czarnym. Pomagając Fanonowi podpalić Afrykę, Sartre przyczynił się do wojen domowych i masowych morderstw, które ogarnęły większą część tego kontynentu od połowy lat sześćdziesiątych do dziś dnia.

Jego wpływ na Azję Południowo-Wschodnią, gdzie wojna wietnamska dobiegała końca, był nawet jeszcze bardziej zgubny. Odrażające zbrodnie popełniane w Kambodży od kwietnia 1975 roku, które pozbawiły życia od jednej piątej do jednej trzeciej ludności tego kraju, zostały zorganizowane przez grupę frankofońskich intelektualistów, wywodzących się z klas średnich, znaną jako Angka Leu (Organizacja Najwyższa). Pośród ośmiu jej przywódców pięciu było nauczycielami, jeden profesorem uniwersytetu, jeden urzędnikiem państwowym i jeden ekonomistą. Wszyscy studiowali we Francji w latach pięćdziesiątych, gdzie nie tylko należeli do Francuskiej Partii Komunistycznej, ale także wchłonęli doktryny Sartre'a o filozoficznym aktywizmie i „koniecznej przemoc”. Ci masowi mordercy byli jego ideologicznymi dziećmi.

Działania Sartre'a w ostatnich piętnastu latach jego życia nie dodają wiele do jego dorobku. Właściwie, podobnie jak Russell, rozpaczliwie starał się utrzymać w awangardzie. W roku 1968 stanął po stronie studentów, jak to czynił od pierwszych dni swej kariery nauczyciela. Bardzo niewielu ludzi wyszło z wypadków maja 1968 roku zaszczytnie - Raymond Aron był we Francji znakomitym wyjątkiem<sup>60</sup> - tak więc niegodne wystąpienie Sartre'a być może nie zasługuje na szczególne potępienie. W wywiadzie dla Radia Luxembourg Sartre witał studenckie barykady: „Przemoc jest jedyną rzeczą, jaka pozostała studentom, którzy jeszcze nie weszli do systemu swych ojców ... W tej chwili jedyną siłą przeciwną systemowi w naszych pozbawionych charakteru krajach Zachodu są studenci ... do studentów należy decyzja, jaką formę przybierze ich walka. Nie możemy nawet ośmielać się doradzać im w tej sprawie”<sup>61</sup>.

Było to dziwne oświadczenie złożone przez człowieka, który spędził trzydzieści lat doradzając młodym ludziom, co mają robić. Było jeszcze więcej bzdur. Sartre mówił do studentów: „Najbardziej zadziwiająca w waszym działaniu jest to, że przekształca ono wyobraźnię w siłę”.

Simone de Beauvoir była równie podniecona. Ze wszystkich „śmiałych” haseł wymalowanych przez studentów na ścianach Sorbony, którymi się zachwyciała, najbardziej „poruszyło” ją jedno: „Zabrania się zabraniać!”.

Sartre poniżył się do przeprowadzenia wywiadu z efemerycznym przywódcą studentów, Danielem Cohn-Benditem, pisząc o nim w dwóch numerach tygodnika „Nouvel Observateur”. Uważał, że studenci mieli „sto procent racji”, reżim bowiem, który niszczyli, był „polityką tchórzostwa ... wezwaniem do morderstwa”. Jeden z artykułów był poświęcony głównie atakom na dawnego przyjaciela, Raymonda Arona, który niemal jedyny w tych szalonych czasach nie stracił głowy<sup>62</sup>.

W głębi duszy jednak Sartre nie podzielał tych wszystkich błazeństw. Młodzi dworacy zmusili go do podjęcia czynnej roli. Ale kiedy 20 maja pojawił się w amfiteatrze Sorbony, by przemówić do studentów, wydał się starym człowiekiem, zakłopotanym jasnymi światłami i dymem oraz tym, że zwracano się do niego „Jean-Paul”, czego nigdy się nie ośmielali czynić jego akolici. Uwagi Sartre'a nie były zbyt sensowne, a ostatnie jego słowa brzmiały: „Zamierzam was teraz pożegnać. Jestem zmęczony. Jeślibym teraz nie wyszedł, skończyłoby się tym, że powiedziałbym mnóstwo idiotycznych rzeczy”.

Na swoim ostatnim spotkaniu ze studentami w dniu 10 lutego 1969 był zmieszany, wręczono mu bowiem tuż przed rozpoczęciem przemówienia obraźliwy list: „Sartre, mów jasno i krótko. Mamy sporo zarządzeń do przedyskutowania i przyjęcia”. Nie był przyzwyczajony do otrzymywania takich rad ani też do postępowania zgodnie z nimi<sup>63</sup>.

W tym czasie jego zainteresowania poszły w nowym kierunku. Podobnie jak Tolstoj i Russell, nie trwał długo przy jednej sprawie. Studencką rewolucją zajmował się krócej niż rok. Nastąpiła po niej równie krótka, choć może bardziej dziwaczna próba utożsamienia się z „robotnikami”, tajemniczymi, ale wyidealizowanymi istotami, o których pisał tak wiele, ale które mu umykały przez całe życie.

Wiosną 1970 roku skrajna lewica we Francji dokonała spóźnionej próby „zeuropeizowania” rewolucji kulturalnej Mao. Ruch ten nazwano Proletariacką Lewicą, a Sartre zgodził się do niej przyłączyć; teoretycznie stał się naczelnym redaktorem jej dziennika, „Cause du peuple”, głównie po to, by uchronić go przed konfiskatą. Cele ruchu były zbyt gwałtowne nawet dla Sartre'a, gazeta wzywała do uwięzienia dyrektorów fabryk i linczowania posłów do parlamentu; było to niedojrzale romantyczne, dziecinne i mocno antyinteligentkie. Nie było tam właściwie miejsca dla Sartre'a i wydaje się, że to rozumiał, mamrocząc: „Jeślibym zadawał się z aktywistami, pchano by mnie w fotelu na kółkach i bym stał każdemu na drodze”. Popychali go jednak niektórzy z młodych zwolenników i on sam nie mógł się w końcu oprzeć pokusom politycznego show businessu. Tak więc Paryż został uraczony widokiem sześćdziesięciosiedmioletniego Sartre'a, do którego nawet de Gaulle (ku utrapieniu Sartre'a) zwracał się „Drogi Mistrzu”, sprzedającego na ulicach topornie redagowane gazety i wciskającego ulotki znudzonym przechodniom. Zrobiono mu fotografię podczas kolportażu na Champs-Elysees w dniu 26 czerwca 1970, ubranemu w swój nowy proletariacki strój: biały sweter, kurtkę z kapturem i workowate spodnie. Potrafił nawet sprawić, że go aresztowano, ale został zwolniony już po niecałej godzinie.

W październiku pojawił się ponownie, stanął na beczce ropy przed zakładami Renault w Billaincourt i przemówił do robotników. „L'Aurore” donosząc o tym drwiła: „Robotników tam nie było. Zgromadzenie Sartre'a składało się jedynie z kilku maoistów, których przywiódł ze sobą”<sup>64</sup>. W osiemnaście miesięcy później powrócił do innej fabryki Renault, tym razem przemycony do środka, by dać słowne poparcie strajkowi głodowemu, został jednak wytropiony przez strażników, którzy go wyrzucili. Wysiłki Sartre'a, jak się wydaje, nie wzbudziły nawet cienia zainteresowania wśród samych robotników fabryki samochodów; wszyscy jego zwolennicy to intelektualiści spośród idasy średniej, jak zawsze przedtem bywało.

Ale dla człowieka, który zawiódł w działaniu i który nigdy nie był działaczem w prawdziwym znaczeniu tego słowa, pozostawały jeszcze „słowa”. Sartre słusznie nazwał tak odcinek swej autobiografii. Dał jako motto: *Nulla dies sine linea* (Ani dnia bez wiersza). Tej obietnicy dotrzymał. Pisanie przychodziło mu łatwiej niż Russellowi i codziennie mógł ułożyć dziesięć tysięcy słów. Sporo było w tym materiale kiepskiej jakości, raczej pretensjonalnego, górnolotnego, bez tkanki mięśniowej, nadmuchanego.

Stwierdziłem to sam w Paryżu we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy zdarzało mi się tłumaczyć jego polemiki: zdawały się dobrze brzmieć po francusku, ale traciły po ujęciu ich w konkretne wyrażenia angielskie. Sartre nie nagromadził wiele materiału wartościowego. Pisząc do de Beauvoir w roku 1940 i zastanawiając się nad olbrzymią liczbą słów przelanych na papier, Sartre sam przyznał: „Zawsze uważałem ilość za cnotę”<sup>65</sup>.

Zastanawiające, że w ostatnich dziesięcioleciach życia nie dawała mu spokoju myśl o Flaubercie, pisarzu, który - zwłaszcza gdy chodziło o słowa - poprawiał swe dzieła z maniacką wytrwałością. Książka napisana przez Sartre'a o Flaubercie obejmowała trzy tomy i 2802 strony, wiele z nich prawie nie nadających się do odczytania. Sartre napisał wiele książek, niektóre są obszerne, a jeszcze większej liczby nie ukończył, choć często ten materiał wykorzystywał w innych pracach. Zamierzał napisać gigantyczny tom o rewolucji francuskiej, jeszcze inny o Tintoretto. Wielkim przedsięwzięciem była jego autobiografia, rywalizująca pod względem długości z *Pamiętnikami z za grobu* Chateaubrianda, z której to autobiografii *Słowa* są właściwie jedynie wyciągiem.

Sartre wyznał, że słowa były całym jego życiem: „Ulokowałem wszystko w literaturze ... Sądzę, że literatura zastępuje religię”. Przyznawał, że słowa są dla niego czymś więcej niż literami, że znaczą dla niego coś więcej; są żywe, tak jak żydowscy badacze Zohar lub Kabały czuli, że litery Tory miały religijną moc: „Czuję mistycyzm słów ... krok po kroku ateizm strawił wszystko. Odarłem z szat, ześwieczyłem pisanie ... jako niewierzący powróciłem do słów, bo musiałem wiedzieć, co znaczy mowa ... Przykładam się pilnie, ale czuję śmierć marzenia, radosną brutalność, ciągłą pokusę strachu”<sup>66</sup>.

Sartre napisał to w roku 1954, miliony słów były jeszcze przed nim. Co to oznacza? Prawdopodobnie bardzo niewiele. Sartre wolał zawsze pisać absurdy niż nie pisać w ogóle. Jest pisarzem, który ostatecznie potwierdza surową uwagę doktora Johnsona: „Francuz musi zawsze mówić, obojętnie, czy się zna na rzeczy, czy też nie”<sup>67</sup>. Sam Sartre ujął to następująco: „[Pisanie] jest moim przyzwyczajeniem i także moim zawodem”. Zapatrywał się jednak pesymistycznie na skuteczność tego, co pisał: „Wiele lat traktowałem moje pióro jak miecz: teraz rozumiem, jak jesteśmy bezradni. Wszystko jedno: piszę, będę wciąż pisał książki”.

Sartre także mówił. Czasem bez końca. Niekiedy nawet wówczas, gdy nikt go nie słuchał. Zachował się opis Sartre'a w autobiografii reżysera filmowego, Johna Hustona. W latach 1958-1959 pracowali razem nad scenariuszem o Freudzie. Sartre zamieszkał w domu Hustona, w Irlandii. Opisał on Sartre'a jako „mężczyznę podobnego do małej beczki i tak szpetnego, jak tylko szpetna może być istota ludzka. Twarz jego jest zarówno nadęta, jak i dziobata, zęby pożółkłe, ma rozbieżnego zęza”.

Zwracał uwagę głównie tym, że bez końca mówił. „Nie istniało coś takiego, jak rozmowa z Sartre'em. Mówił bezustannie. Nie można było mu przerwać. Czekano się na chwilę, by mu dech zaparło, nic takiego nie następowało. Słowa wylewały się z niego prawdziwym potokiem”. Huston zdziwił się, gdy ujrzał, że Sartre notuje własne słowa, mówiąc wciąż do niego. Czasem Huston wychodził z pokoju, nie mogąc już znieść nieustannego potoku słów. Odległy dźwięk głosu Sartre'a gonił go dookoła domu. Gdy Huston powracał do pokoju, Sartre wciąż mówił<sup>68</sup>.

Ta słowna biegunka zniszczyła jego czar jako wykładowcy. Gdy pojawiła się jego nieszczęsna książka o dialektyce, Jean Wahl mimo wszystko zaprosił Sartre'a na wykład o

niej do College de Philosophie. Sartre zaczął o szóstej po południu, czytając „mechanicznym, pośpiesznym tonem” rękopis wyjęty z olbrzymiej teczki. Nigdy nie podniósł oczu znad tekstu. Wydawał się całkowicie pochłonięty swoim własnym tekstem. Minęła godzina, słuchacze byli zniecierpliwieni. Sala była pełna, niektórzy musieli stać. Po godzinie i trzech kwadransach publiczność już była zmęczona, niektórzy leżeli na podłodze. Sartre, wydawało się, zapomniał o nich. W końcu Wahl musiał mu dać znak, że pora kończyć. Sartre zgarnął swoje papiery jednym ruchem i wyszedł bez słowa<sup>69</sup>.

Miał jednak zawsze dwór, który go słuchał. Stopniowo, gdy Sartre się starzał, dworzan było coraz mniej. W późnych latach czterdziestych i na początku pięćdziesiątych zarobił kolosalne pieniądze. Ale tak samo szybko je wydał. Zawsze był beztroski, gdy chodziło o pieniądze. Kiedy był chłopcem i chciał pieniędzy, wyjmował je po prostu z matczynej portmonetki. Gdy był nauczycielem, wraz z Simone de Beauvoir pożyczał i udzielał hojnie pożyczek: „Pożyczaliśmy od każdego” - przyznała Simone<sup>70</sup>. Sartre mówił: „Pieniądze mają to do siebie, że się psują i to mi się w nich podoba. Lubię patrzeć, jak przechodzą przez moje ręce i znikają”<sup>71</sup>.

Ta beztroska miała swą sympatyczną stronę. Odmienne od wielu intelektualistów, zwłaszcza sławnych, Sartre postępował z pieniędzmi prawdziwie wielkodusznie. Było mu przyjemnie regulować rachunek w kawiarni lub restauracji, często za ludzi prawie mu nie znanych. Łożył na różne cele. Przekazał RDR sumę ponad trzystu tysięcy franków (było to ponad sto tysięcy dolarów po kursie roku 1948).

Jego sekretarz, Jean Cau, mówił, że Sartre jest „niewiarygodnie szczodry i ufny”<sup>72</sup>. Tolerancja i (nieczęste) poczucie śmieszności sytuacji były najlepszą stroną jego charakteru.

Postawa Sartre'a wobec pieniędzy była jednak także nieodpowiedzialna. Udawał, że w sprawach honorariów i zarobków agentów jest zawodowcem - na spotkaniu z Hemingwayem, w 1949 roku, obaj pisarze dyskutowali tylko na ten temat, a rozmowa bardzo przypadła Hemingwayowi do gustu<sup>73</sup> - ale to było na pokaz.

Następca Jeana Cau, Claude Faux, wspominał: „[Sartre] uporczywie odmawiał zajęcia się choć trochę pieniędzmi. Uważał to za stratę czasu. Jednakże ciągle ich potrzebował, by je wydawać, pomagać innym”<sup>74</sup>.

Skutkiem takiego postępowania były olbrzymie długi u wydawców i konieczność spłaty zaległych rat podatku dochodowego. Matka po kryjomu płaciła za niego podatki - stąd wynikały kpiny Camusa - ale jej zasoby były ograniczone i w końcu lat pięćdziesiątych Sartre popadł w duże kłopoty finansowe, z których już właściwie nie wydobył się nigdy. Pomimo wciąż dużych zarobków pozostawał w długach i często bez gotówki. Nieraz się skarżył, że nie może sobie pozwolić na nową parę butów. Zawsze miał na swojej liście płac jakichś ludzi, których zatrudniał albo którym dawał jałmużnę. Oni tworzyli jego zewnętrzny dwór, kobiety zaś dwór wewnętrzny. W późnych latach sześćdziesiątych liczba dworzan wyraźnie się zmniejszyła, jako że osłabła jego pozycja finansowa i skurczył się dwór zewnętrzny.

W latach siedemdziesiątych Sartre coraz bardziej stawał się figurą patetyczną: przedwcześnie postarzały, prawie oślepy, czasem pijany, zatroskany o pieniądze, niepewny w swych poglądach. W jego życie wkroczył młody Żyd z Kairu, Benny Levy, piszący pod pseudonimem Pierre Victor. Rodzina jego uciekła z Egiptu w czasie kryzysu sueskiego w latach 1956-1957, Victor był bezpaństwowcem. Sartre pomógł mu uzyskać zezwolenie na pobyt we Francji i zrobił go swym sekretarzem. Victor lubił tajemniczość, nosił ciemne okulary i czasami sztuczną brodę. Miał ekscentryczne poglądy, czasem skrajne, przy których usilnie obstawał i do których z przekonaniem nakłaniał swego szefa. Nazwisko Sartre'a pojawiało się pod dziwnymi oświadczeniami lub sztukami, które pisali razem<sup>75</sup>.

Simone de Beauvoir obawiała się, że Victor stanie się drugim Ralphem Schoenmanem. Stała się szczególnie zawzięta, kiedy Victor zawarł sojusz z Arlette. Zaczęła nienawidzić i obawiać się go, tak jak Zofia Tolstoj nienawidziła i bała się Czertkowa.

W tym jednak czasie Sartre był niezdolny do publicznego szaleństwa. Jego prywatne życie seksualne pozostawało zróżnicowane, czas dzielił między swój harem. Wakacje spędzał następująco: trzy tygodnie z Arlette we wspólnym domu na południu Francji; dwa tygodnie z Wandą, zwykle we Włoszech; kilka tygodni z Helene na jednej z greckich wysp, a później miesiąc z Simone de Beauvoir, zazwyczaj z Rzymie. W Paryżu często przenosił się z mieszkania do mieszkania swych kobiet.

Ostatnie jego lata zostały opisane brutalnie przez de Beauvoir w małej książeczce, *La ceremonie des adieux*, w tym jego niepowściągliwość, opilstwo wspomagane przez dziewczyny przemycające mu butelki whisky oraz walka o władzę nad tym, co pozostało z jego umysłu. Musiało to być dla nich wszystkich ulgą, gdy Sartre zmarł w Hôpital Broussais [w XIV dzielnicy Paryża] w dniu 15 kwietnia 1980 roku.

W 1965 roku adoptował w tajemnicy Arlette jako swą córkę. Odziedziczyła po nim wszystko, w tym prawa autorskie, i przewodniczyła pośmiertnej publikacji jego rękopisów. Dla Simone de Beauvoir była to ostateczna zdrada: „centrum” przysłonił ktoś „z obrzeża”. Przeżyła Sartre’a o pięć lat, królowa-matka francuskiej lewicy intelektualnej. Nie pozostały po nich dzieci, nie było dziedziców.

Sartre, podobnie jak Russell, nie osiągnął spistości i zwartości w swych poglądach na politykę społeczną. Żadna część jego doktryny nie przeżyła twórcy. Ostatecznie, podobnie jak Russell, podtrzymywał jedynie nieuchwytne pragnienie przynależności do lewicy i obozu młodzieży. Intelektualny zmierzch Sartre'a, który jednak w pewnym okresie wydawał się być identyfikowany z fascynującą, choć pogmatwaną, filozofią życia, był szczególnie spektakularny.

Zawsze duża część wykształconej publiczności, domagającej się intelektualnych przywódców, pozostaje jednak niezaspokojona. Pomimo swych potworności Rousseau był szeroko czczony także i po śmierci. Sartre, inny *monstre sacre*, został wspaniale pochowany przez intelektualny Paryż. Ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, w większości młodych, odprowadziło go na cmentarz Montparnasse. Niektórzy, by lepiej widzieć, wdrapali się na drzewa. Połamane gałęzie runęły na samą trumnę.

Jakiej to sprawie przyszedł oddać cześć? Jakiej to wiary, jakiej świetlistej prawdy o ludzkości mieli dowieść swą masową obecnością? Pytania wydają się słuszne.

## Przypisy Rozdział 9

1. Annie Cohen-Solal, Sartre: A Life (tłum.), London 1987, s. 113.
2. Jean-Paul Sartre, Słowa. Przełożył Julian Rogoziński, Warszawa 1964, s. 13-14.
3. Ibidem, s. 15-23.
4. Ibidem, s. 85.
5. Cytuje Cohen-Solal, op. cit., s. 40.
6. Jean-Paul Sartre, War Diaries: Notebook for a Phoney War, November 1939-March 1940 (tłum.), London 1984, s. 281.
7. Cohen-Solal, op. cit., s. 67.
8. Ibidem, s. 79-30.
9. „Situations”, London 1965, reprint artykułu z roku 1945.
10. Ernst Junger, Premier journal parisien 1941-1943, Paris 1980.



11. Simone de Beauvoir, *The Prime of Life* (tłum.), London 1962, s. 384. Słowa Malraux cytowane są w: Herbert Lottman, *Camus*, London 1981, s. 705.
12. Cohen-Solal, op. cit., s. 166-169. Oryginalny tekst zaginął.
13. Cytowany wywiad w: A. Cohen-Solal, op. cit., s. 176 i n.
14. Simone de Beauvoir, *The Prime of Life*, s. 419.
15. Simone de Beauvoir, *Lettres au Castor et a quelques autres*, t. I-II, Paris 1983.
16. Jean-Paul Sartre, *UEtre et le Neant*, Paris 1943.
17. Guillaume Ganotiaux, *L'Age d'Or de St. Germain-des-Pres*, Paris 1965.
18. Jean-Paul Sartre, *L'Existentialisme est un humanisme*, Paris 1946; zob. Jean-Paul Sartre, *Egzystencjalizm jest humanizmem*. Tłum. Anna Rudzińska, Janusz Krajewski, Warszawa 1957, s. 34, 32 i 21.
19. „*Les Temps Modernes*”, 1 IX 1945.
20. Cohen-Solal, op. cit., s. 252-253. O epizodzie z Picasso, zob. Jacques Dumaine, *Quai d'Orsay 1945-51* (tłum.), London 1958, s. 13.
21. „*Samedi Soir*”, 3 XI 1945.
22. Christine Cronan, *Petit Catechisme de Vexistentialisme pour les profanes*, Paris 1946.
23. Herbert Lottman, *Splendours and Miseries of the Literary Cafe*, „*Saturday Review*”, 13 III 1965; tenże, *After Bloomsbury and Greenwich Village, St-Germain-des-Pres*, „*New York Times Book Review*”, 4 VI 1967.
24. Zob. Cohen-Solal, op. cit., s. 279-280.
25. Herbert Lottman, *Camus*, s. 369.
26. Claude Francis, *Fernande Gontier, Simone de Beauvoir* (tłum.), London 1987, s. XIV, 6, 25 i n.
27. *Ibidem*., s. 25.
28. Cohen-Solal, op. cit., s. 74-75.
29. Simone de Beauvoir, *Druga płęć*. T. II. *Kształtowanie się kobiety, sytuacja, usprawiedliwienia i ku wyzwoleniu*. Tłum. Maria Leśniewska. Kraków 1972, s. 11.
30. Cohen-Solal, op. cit., s. 76.
31. Jean-Paul Sartre, *War Diaries*, s. 281-282.
32. *Ibidem*, s. 325; Francis, Gontier, *Simone de Beauvoir*, s. 98-100.
33. Francis, Gontier, op. cit., s. 1 przypis.
34. Jean-Paul Sartre, *War Diaries*, s. 183.
35. Cyt. Francis, Gontier, op. cit., s. 236-237.
36. *Lettres au Castor*, t. I, s. 214-215.
37. Simone de Beauvoir, *L'Invitee*, Paris 1943, tłum.: *She Came to Stay*, Cleveland 1954.
38. Simone de Beauvoir, *W sile wieku*. Przeł. Hanna Szumańska-Grossowa, Warszawa 1964, s. 257 i n.
39. Cohen-Solal, op. cit., s. 213.
40. Francis, Gontier, op. cit., s. 197-200.
41. „*New York Review of Books*”, 13 VIII 1987.
42. Francis, Gontier, op. cit., s. XIII.
43. Cohen-Solal, op. cit., s. 373 i n.
44. *Ibidem*, s. 466.
45. Simone de Beauvoir, *Siłą, rzeczy*. Tłum. Jerzy Pański. T. I, Warszawa 1967, s. 137, Lottman, *Camus*, s. 404.
46. „*Les Temps Modernes*”, VII 1952. O tych konfliktach, zob. Lottman, *Camus*, s. 495 i n.; atak Sartre'a zob. „*Situations*”, s. 72-112.
47. Jean Kanapa, *L'Existentialisme n'est pas un humanisme*, Paris 1947, s. 61.
48. Cyt. Cohen-Solal, op. cit., s. 303.
49. „*Le Figaro*”, 25 IV 1949.

50. Jean-Paul Sartre, *Saint Genet, Comedien et Martyr*, Paris 1952, tłum., New York 1963, 1983.
51. Sartre napisał o pierwszej z nich książkę: *UAffaire Henri Martin*, Paris 1953.
52. „Liberation”, 16 X 1952.
53. Cyt. w: W. Laqueur, G. L. Mosse, *Literature and Politics in the Twentieth Century*, New York 1967, s. 25.
54. „Les Lettres Françaises”, 1-8 I 1953; „Le Monde”, 25 IX 1954.
55. „Liberation”, 15-20 VII 1954.
56. „Situations X”, Paris 1976, s. 220.
57. „Paris-Jour”, 2 X 1960.
58. Mary McCarthy, *Madame Guliwer en Amerique, On the Contrary*, New York 1962, s. 24-31.
59. Wywiad dla „France Observateur”, 1 II 1962.
60. David Caute, *Sixty-Eight: The Year of the Barricades*, London 1988, s. 95-96, 204.
61. Cohen-Solal, op. cit., s. 459-460; Francis, Gontier, op. cit., s. 327 i n.
62. „Nouvel Observateur”, 19 VI 1968, 26 VI 1968.
63. Cohen-Solal, op. cit., s. 463.
64. „l/Aurore”, 22 X 1970.
65. Jean-Paul Sartre do Simone de Beauvoir, 20 III 1940.
66. Rękopis nie opublikowany, 1954, obecnie w Bibliotheque Nationale w Paryżu, cyt. Cohen-Solal, op. cit., s. 356-357.
67. James Boswell, *Life of Dr Johnson*, London 1906, t. II, s. 326.
68. John Huston, *An Open Book*, London 1981, s. 295.
69. Cohen-Solal, op. cit., s. 38&-389.
70. Francis, Gontier, op. cit., s. 173-174.
71. Jean-Paul Sartre, *War Diaries*, s. 297-298.
72. Jean Cau, *Croquis de Memoire*, Paris 1985.
73. Mary Welsh Hemingway, *How It Was*, New York 1976, s. 280-281.
74. Cohen-Solal, op. cit., s. 377.
75. Zob. „Nouvel Observateur”, III 1980 (trzy ostatnie numery przed zgonem Sartre'a).

## 10. Edmund Wilson: żagiew z pożogi

Przykład Edmunda Wilsona (1895-1972) jest pouczający, umożliwia nam bowiem nakreślenie linii dzielącej tradycyjnego literata od tego rodzaju intelektualisty, jaki tu badaliśmy. Właściwie Wilson może być opisany jako człowiek, który rozpoczął karierę literacką, później stał się intelektualistą szukającym rozwiązań uniwersalnych, a następnie - mężczyzna pełen smutku i mądrości - na nowo poświęcił się zajęciu, które uprawiał w młodości: literaturze, swemu prawdziwemu zawodowi.

W czasach, gdy Wilson się urodził, amerykańscy literaci stanowili ustabilizowaną instytucję. Znakomitym tego przykładem był Henry James. Dla Jamesa literatura była życiem. Odrzucał z pogardą myśl świeckiego intelektualisty, że idee wyczarowane z niczego mogą przekształcić świat i ludzi. Dla niego historia, tradycja, formy już ustalone i sprawdzone, stanowiły odziedziczoną mądrość cywilizacji i jedyną niezawodną wskazówkę ludzkiego postępowania. James interesował się poważnie, w miarę możliwości bezstronnie, sprawami publicznymi; jego gest przyjęcia obywatelstwa brytyjskiego w roku 1915, identyfikujący go ze sprawą, którą uważał za słuszną, miał pokazać, iż artyście wypada wystąpić w doniosłej sprawie. Literatura była jednak zawsze najważniejsza: ci, którzy poświęcają dla niej swoje życie - kapłani, którzy oddają jej pokłon - nie powinni nigdy mieć nic wspólnego z fałszywymi bogami polityki.

Wilson był w głębi duszy człowiekiem o podobnych skłonnościach, ale przy tym o wiele bardziej kostycznym i niepoprawnym Amerykaninem. Odmiennie od Jamesa, uważał Europę, a zwłaszcza Anglię, za ustrojowo zepsutą, Amerykę natomiast, z jej wszystkimi niedoskonałościami, za wcielenie szlacheckiego ideału. To wyjaśnia, dlaczego czasem walczył w nim aktywista, by się wydostać ze swego tradycjonalistycznego pancerza.

Mimo wszystko urodzenie, przeszłość i skłonności sprawiły, że poszedł drogą jakobitów. Pochodził z dużej prezbiteriańskiej rodziny w Nowej Anglii i w dzieciństwie nie poznał nikogo spoza jej kręgu. Ojciec jego był prawnikiem, niegdyś prokuratorem generalnym stanu New Jersey. Miał skłonność do wydawania sądów, i Edmund odziedziczył po nim tę cechę. Mówił, że ojciec obchodził się z ludźmi tak, „jak na to zasługiwali”, ale „nieco *de haut en bas*”. Jak wskazał Leon Edel - wydawca pism Wilsona - skłonność do brania w krzyżowy ogień pytań i wydawania wyroku z wysokości Olimpu była najbardziej wyraźną cechą Edmunda Wilsona jako krytyka<sup>1</sup>. Wilson odziedziczył także po swoim ojcu namiętne umiłowanie prawdy i zawziętą determinację jej znalezienia. Okazało się to w końcu jego zbawieniem.

Matka miała cechy prawdziwego filistra. Lubiła ogrodnictwo i interesowała się rozgrywkami uczelnianego futbolu. Do końca życia chodziła na mecze drużyny Princeton. Pragnęła, by Edmund został świetnym zawodnikiem, i zupełnie jej nie ciekawiło to, co pisał. Może właśnie dobrze, że tak się stało, nie było bowiem między nimi niszczących spięć, jakie wynikały między Hemingwayem a jego matką.

Wilson chodził do Hill, szkoły przygotowującej do elitarnych uczelni, później, w latach 1912-1915, studiował w Princeton pod świetnym kierunkiem Christiana Gaussa. Spędził krótki czas w wojsku, którego nienawidził, później był reporterem „New York Evening Sun”, pojechał do Francji z jednostką szpitalną i zakończył wojnę jako sierżant służby wywiadowczej.

Wilson zawsze czytał dużo, wytrwale i systematycznie: jego notatki wykazują, że od sierpnia 1917 do chwili zawieszenia broni [11 XI 1918], to jest przez piętnaście miesięcy, przeczytał ponad dwieście książek: nie tylko starszych pisarzy, jak Zola, Renan, James i Edith Wharton, ale i bardzo wielu współczesnych, od Kiplinga i Chestertona do Lyttona Stracheya, Comptona Mackenzie, Rebeki West i Jamesa Joyce'a. Żaden człowiek nie czytał dokładniej i

uważniej niż Wilson, na swój sędziowski sposób czytał tak, jakby autor stawał przed sądem i chodziło o jego życie.

Jako pisarz Wilson był jednak o wiele mniej systematyczny. Wydawał się niezdolny do snucia dalekosiężnych planów. Książki jego dłużyły się nadmiernie, jego dzieła niebeletrystyczne rozpoczynały się jak eseje, powieści jak krótkie opowiadania. Najpierw Wilson interesował się tematem po dziennikarsku, później, gdy emocjonalnie „wchodził” w problem, z powodu swej prawniczej pasji dojścia do prawdy był zmuszony myszkować coraz głębiej. Ale cały ten proces przebiegał wcześniej, zanim pisarz odkrywał, o co mu naprawdę chodzi.

W latach dwudziestych pracował w „Vanity Fair”, później w „New Republic”; próbował krytyki teatralnej w „Dial”, a następnie powrócił do „New Republic”; pisał poezje, opowiadania i powieść *I Thought of Daisy* oraz ciężko pracował nad studium o pisarzach współczesnych, *Axel's Castle*. Wiódł uprzywilejowane, kawalerskie życie studenta i absolwenta elitarnej uczelni; krótko, bo przez dwa lata, 1923-1925, próbował małżeństwa z aktorką Mary Blair, znów wiódł nieskrępowane życie, a potem ożenił się ponownie, w roku 1929, z Margaret Canby. Był już wtedy młodym literatem o szerokich zainteresowaniach i cieszył się godną pozazdrosczenia opinią bystrego, obiektywnego krytyka.

Dobra koniunktura lat dwudziestych była tak zadziwiająca i wydawała się tak trwała, że zahamowała polityczny radykalizm. Nawet Lincoln Steffens, którego zbiór „demaskatorskich” felietonów *Shame of the Cities* (1904) był kamieniem milowym w erze postępu, sugerował, że amerykański kapitalizm może być równie trwały jak sowiecki kolektywizm: „Wyścig wygrały obie strony, każda na swój sposób”<sup>2</sup>.

„Nation” rozpoczął trzymiesięczną serię artykułów o trwałości dobrej koniunktury, pióra Stuarta Chase, a pierwszy odcinek został opublikowany 23 października 1929, to jest w dniu, w którym nastąpiło pierwsze wielkie załamanie rynku. Gdy stał się znany ogrom krachu i depresji, która po nim nastąpiła, opinia intelektualna skłoniła się ku lewicy.

Pisarze byli szczególnie ciężko dotknięci przez kryzys. W roku 1933 sprzedaż książek spadła o połowę w stosunku do 1929 roku, a stara firma „Little, Brown” z Bostonu uznała okres 1932-1933 za „dotychczas najgorszy” od roku 1837, to jest od kiedy zaczęła wydawać książki. John Steinbeck skarżył się, że nie może w ogóle sprzedać niczego: „Gdy ludzie są załamani, pierwszą rzeczą, z której rezygnują, są książki”<sup>3</sup>.

Nie wszyscy pisarze zwrócili się ku lewicy, ale większość tak uczyniła, przystępując do szerokiego, nieokreślonego, luźno zorganizowanego i często kłótliwego, choć niewątpliwie radykalnego ruchu. Spoglądając na to wstecz, Lionel Trilling uważa powstanie tej siły we wczesnych latach trzydziestych za wielki punkt zwrotny w historii amerykańskiej:

„Teraz, kiedy wiadomo, jak wielki zasięg miał ten ruch, można powiedzieć, że stworzył on amerykańską klasę intelektualną. Ustalił też charakter tej klasy, zważywszy wszelkie przekształcenia opinii, jako przeważnie lewicowej. I zupełnie oddzielnie od tej opinii polityczna tendencja lat trzydziestych określiła styl tej klasy: z radykalizmu zrodziły się bodźce moralne, poczucie kryzysu i troska o swoje ocalenie, które wyznaczają życie amerykańskich intelektualistów”<sup>4</sup>.

Trilling zauważył, że istota postawy intelektualisty zawiera się w spostrzeżeniu W. B. Yeatsa, że nie można „uchylić się” od „wielkiego dzieła duchowego intelektu” i że nie było „dzieła tak wielkiego jak to, które wybaczają to, co złe w człowieku”.

Problem polegał na tym, dodawał Trilling, że w latach trzydziestych było za mało ludzi pragnących zmienić postawę Jamesa i „uwolnić się od rys naniesionych przez rodzinę, klasę, grupy etniczne lub kulturalne, w ogóle przez społeczeństwo”<sup>5</sup>.

Porwany przez kipiący tłum intelektualistów, Edmund Wilson znalazł się wśród tych, którzy starali się o *tabula rasa*, chcąc tworzyć na niej od nowa podstawowe dokumenty cywilizacji. Zimą 1930-1931 czasopismu „New Republic”, osłabionemu i bez wyraźnego kierunku,

właśnie Wilson zaproponował, by przyjęło zasady socjalizmu. W „Wezwaniu do postępowców” (*Art Appeal to Progressives*) twierdził, że do czasu krachu na Wall Street amerykańscy liberałowie i postępowcy stawiali na kapitalizm, który dostarczy dóbr i stworzy wszystkim sensowne życie. Kapitalizm jednak się załamał i Wilson wyrażał nadzieję, że „Amerykanie zechcą teraz po raz pierwszy postawić swój idealizm i geniusz do rozporządzenia organizacji prowadzącej radykalny eksperyment społeczny”. Rosja rzuci wyzwanie Stanom Zjednoczonym, państwo sowieckie bowiem ma „prawie wszystkie te cechy, jakie wystawiają Amerykanie: nadzwyczajną wydajność i gospodarkę połączoną z ideałem czynu Herkulesa, który ma być wykonany wspólnym wysiłkiem, w atmosferze entuzjastycznych przechwałek - podobnie jak kampania Pożyczki Wolności (Liberty Loan Drive) - że mianowicie coś wielkiego dokona się w ciągu pięciu lat”<sup>6</sup>.

Porównując pierwszą pięciolatkę stalinowską z Pożyczką Wolności, Wilson pokazał, jak niewinny był w tym momencie świeżo upierzony radykalny intelektualista. Zaczął jednak czytać ze swą zwykłą stachanowską energią dzieła zbiorowe Marksa, Lenina i Trockiego. W końcu roku 1931 był przekonany, że muszą nastąpić olbrzymie zmiany i intelektualiści powinni znaleźć specjalne rozwiązania polityczne i ekonomiczne i zawrzeć je w szczegółowych programach. W maju 1932 Wilson zredagował wraz z Johnem Dos Passosem, Lewisem Mumfordem i Sherwoodem Andersonem manifest, ujęty w kapłańskim stylu politycznej ideologii, proponujący „rewolucję społeczno-ekonomiczną”<sup>7</sup>.

Po tym manifestcie tegoż lata Wilson określił swoje własne stanowisko w oświadczeniu rozpoczynającym się od słów: „Zamierzam głosować na kandydatów komunistów w wyborach najbliższej jesieni”. Wydaje się, że nigdy nie zamierzał ostatecznie wstąpić do partii komunistycznej, ale uważał ich przywódców za „autentycznych Amerykanów”, którzy mimo że obstają przy „posłuszeństwie wobec władzy centralnej, bez którego poważna robota rewolucyjna nie jest możliwa”, „nie stracili znajomości stosunków amerykańskich”. Komunistyczna Partia USA miała prawo twierdzić, że „zubożały ogół nie ma wyboru, jak tylko przejąc podstawowe gałęzie przemysłu i kierować nimi dla wspólnego dobra”<sup>8</sup>.

Wilson w pełni był świadom, że on i jego przyjaciele mogą być uznani za zamożnych ludzi z zewnątrz, bawiących się w politykę robotniczą. Poza studiowaniem marksizmu wkładem Wilsona do sprawy było wydanie koktajlu dla przywódcy KP USA, Williama Z. Fostera, podczas którego Foster odpowiadał na pytania nowo zradykalizowanych pisarzy. Wilson przytaczał z upodobaniem obraz Waltera Lippmanna w jego dużym domu w Waszyngtonie podczas burzy, ubranego w smoking, „trzymającego małą patelnię, którą próbował zapobiec prawdziwej powodzi spowodowanej przez dziurę w suficie” - był to doskonały przykład intelektualisty nie dającego sobie rady z kryzysem<sup>9</sup>.

Przytacza on także, zupełnie nieświadomie, równie znamieny przykład własnego postępowania, gdy dziękował swemu wiernemu czarnemu służącemu, Hatty'emu, który „cudownie poszerzył i naprawił” spodnie od stroju wieczorowego tak, że Wilson mógł pójść na przyjęcie do konsulatu sowieckiego dla uczczenia „nowej konstytucji”<sup>10</sup>.

Wilson, ogarnięty prawdziwą pasją prawdy, odmiennie niż prawie wszyscy intelektualiści opisani w tej książce, uczynił poważny, szczerzy i długotrwały wysiłek, by poznać warunki społeczne, o których pragnął się wypowiadać. Skoro tylko skończył pracę nad *Axel's Castle* w roku 1931, pograżył się w pisaniu reportażu z terenu całych Stanów Zjednoczonych, zebranych później w książce *The American Jitters* (1932).

Wilson cierpliwie słuchał, uważnie obserwował i sumiennie, dokładnie notował. Zbadał sytuację w przemyśle stalowym w Bethlehem, w stanie Pensylwania, a następnie pojechał do Detroit, by obejrzeć przemysł samochodowy. Nadsyłał sprawozdania o strajku w zakładach tekstylnych w Nowej Anglii, g kopalniach w Zachodniej Wirginii i w Kentucky. Pojechał później do Waszyngtonu, a przez Kansas i Środkowy Zachód do Colorado, stąd do Nowego Meksyku i Kalifornii. Opis jego jest godny uwagi ze względu na brak

tendencji, dar pokazania szczegółu, zainteresowanie się tak zjawiskami zwykłymi, nie związanymi z polityką, a także osobliwymi, jak i walką klasową, a ponad wszystko ze względu na zainteresowanie ludźmi i ideami; krótko mówiąc, było to zupełne przeciwieństwo Położenia klasy robotniczej w Anglii Engelsa.

Henry Ford był według Wilsona „dziwacznym połączeniem wielkości wyobraźni z tandetą, małostkowością ze wspaniałą wolą, północno-zachodniej szczerości i ponurości z wyróżniającą się praktycznością”. Wilson odnotował: „Sporo zjada się młodych ostryg w Detroit”. Zanotował również anegdoty o kłótniach, zbrodniach i morderstwach, które nie miały nic wspólnego z kryzysem, opisał zimę w Michigan, fantastyczną architekturę Kalifornii i wycieczkowe rancza w Nowym Meksyku. Żona Johna Barrymore była „miękkim małym pączkiem”. Dziewczyna ze Środkowego Zachodu powiedziała Wilsonowi, że „robi możliwie najlepszy użytek z ostatnich dwudziestu czterech godzin kapitalizmu”. Stare wieże szybowe koło Laguna Beach wyglądały jak „dawni druidzi z brodami, przykrywającymi im piersi”. W San Diego daleka latarnia, zapalająca się i gasnąca, skojarzyła mu się „z rytmicznie pulsującym w pochwie penisem”<sup>11</sup>.

W czasie okropnej zimy 1932 roku, gdy było ponad trzynaście milionów bezrobotnych, Wilson przyłączył się do dużego grona intelektualistów, którzy przybyli obserwować strajk węglowy w Kentucky, i dał wstrząsający opis tego, co tam ujrzał. Pisarze sprowadzili transport z pomocą, a prokurator tamtejszego hrabstwa zapowiedział im: „Możecie rozdzielić tyle żywności, ile zechcecie, ale skoro tylko powołacie się na prawo, to z przyjemnością i z obowiązku was zaskarżę”. Wilson wspominał, że pisarz Waldo Frank zagroził burmistrzowi „reklamą”.

Frank: „Pióro, jak powiedział Szekspir, jest mocniejsze od miecza”.

Burmistrz: „Nigdy nie ulękę się bolszewickiego pióra”.

Przybyłych intelektualistów zrewidowano, szukając broni, niektórych skopano, innych pobito. W siedzibie Komunistycznej Partii USA Wilson notował: „Zdeformowani ludzie ... garbus-windziarz, karlica w okularach, kobieta z odbarwioną częścią twarzy jak po oparzeniu, ale z naroślą na odbarwionej części”. Wilson ze sceptycyzmem zapatrywał się na skutki takich wizyt, pisząc do Dos Passosa: „Cała sprawa była dla nas bardzo interesująca, choć nie wiem, czy dała wiele górnikom”<sup>12</sup>.

Najbardziej godnym uwagi aspektem radykalizmu Wilsona w latach trzydziestych był sposób, w jaki jego niezależność umysłu i rzeczywista troska o prawdę zapobiegły temu, by stał się, jak Hemingway, podatnym narzędziem w ręku Komunistycznej Partii USA. Było to zgodne z tym, co powiedział Dos Passosowi, że pisarze powinni stworzyć własną, niezależną grupę, „by towarzysze nie mogli zrobić z nich frajerów”. Wilson spostrzegł już, że radykalny intelektualista, pochodzący z klas średnich, ma skłonność do wykazywania braku zasadniczej cechy ludzkiego charakteru, mianowicie zdolności utożsamiania się z własną grupą społeczną.

W uwagach zatytułowanych *The Communist Character* (1933) Wilson wskazuje na słabe strony intelektualisty:

„... może on tylko utożsamiać swe interesy z interesami wyjętej spod prawa mniejszości... jego ludzka solidarność mieści się jedynie w tym, jak wyobraża on sobie ogólny postęp ludzkości - siłą motywacyjną, której mocy jednak nie da się przecenić - i to, co traci on w bezpośrednich relacjach międzyludzkich, wyrównuje zdolnością patrzenia ponad nimi i poza osobami, z którymi je utrzymuje, to jest swoją rodziną i sąsiadami”<sup>13</sup>.

Człowiekowi tak bardzo interesującemu się życiem i charakterem ludzi, jakim był Wilson, taka kompensacja nie wystarczała. Zdecydował się jednak zbadać komunizm, nie tylko od strony jego teoretycznych źródeł - pracował właśnie nad tym, co miało się stać jego wielkim rozliczeniem historii marksistowskiej, *To the Finland Station* - ale i nad ich praktycznym zastosowaniem. Pod pewnymi względami Wilson dokonał większego wysiłku

nad poznaniem prawdy niż jakikolwiek inny intelektualista lat trzydziestych. Nauczył się czytać i mówić po rosyjsku. Opanował większość literatury na ten temat w języku oryginału.

Wiosną 1935, w odpowiedzi na jego podanie o stypendium Guggenheima na studia w Rosji, otrzymał subwencję w wysokości 2000 dolarów. Popłynął do Leningradu na rosyjskim statku i wkrótce już rozmawiał z ludźmi. Z Leningradu pojechał do Moskwy i później popłynął statkiem w dół Wołgi, wreszcie dotarł do Odessy.

Wielkie czystki dopiero się zaczynały, ale przyjezdni mogli wciąż poruszać się z pewną swobodą. W Odessie zapadł jednak na szkarlatynę, później nastąpił ostry atak kamicy nerkowej. Wilson spędził wiele tygodni w prymitywnym, brudnym, ale zadziwiająco niefrasobliwie prowadzonym szpitalu, w którym nie brakowało życzliwości i pluskiew, socjalizmu i nędzy. Wiele z tamtejszych postaci jakby zeszło wprost ze stron Puszkina, i rzeczywiście budynek zbudowano jeszcze w czasach, gdy Puszkini żył. Szpital ten dał Wilsonowi taki wgląd w społeczeństwo rosyjskie, jakiego by nie uzyskał w inny sposób. W rezultacie opuścił Rosję z rosnącą niechęcią do Stalina i niepokojącym sceptycyzmem do całego systemu, choć z dużym szacunkiem dla narodu rosyjskiego i ogromnym uwielbieniem dla jego literatury.

Stało się jasne, że to nieodparte zainteresowanie Wilsona ludźmi i niechęć na wyrażenie zgody, by przyćmiły ich idee, przeszkodziły mu w zachowaniu postawy intelektualisty. W końcu lat trzydziestych wszystkie skłonności i chęci literata powróciły. Proces uwalniania się od uroku marksizmu i lewicy nie był jednak łatwy. Książka *To the Finland Station* coraz bardziej się rozrastała. Została w końcu opublikowana w 1940 roku i dopiero w drugim wydaniu Wilson potępił stalinizm, „jedną z najbardziej odrażających tyranii, jakie kiedykolwiek poznał świat”. Książka jest mieszanką, zawiera fragmenty z okresu, gdy Wilson uważał wpływ marksizmu za decydujący. Łączy więc on na przykład ze sobą trzy propagandowe prace Marksa: *Walki klasowe we Francji 1848-1850*, *18 Brumairea Ludwika Bonaparte* (1852) i *Wojnę domową we Francji* (1871), jako „jeden z wielkich, zasadniczych twórców nowożytnej sztuki-nauki historii”, gdy w rzeczywistości są one pozbawioną skrupułów mieszaniną kłamstw, pobożnych życzeń i epitetów, historycznie zupełnie bezwartościową. Wilson broni marksowskiego antysemityzmu lub go odrzuca: „Jeśli Marks z pogardą traktuje swą rasę, to głównie być może powodowany gniewem, jak Mojżesz znajdujący dzieci Izraela tańczące przed złotym cielcem”.

Kiedy przedstawia postawę Marksa wobec pieniądza jako wynikającą z „prawie maniackiego idealizmu”, nie wspomina o oszukanych kupcach, pragnieniu, by krewni, w tym i matka, zmarli, oraz o pożyczkach, których Marks nigdy nie zamierzał spłacić, czy o spekulacjach na giełdzie (możliwe, że Wilson nie wiedział o tej ostatniej działalności). Wilsona w najmniejszym stopniu nie trapią cierpienia, jakie Marks zadał swej rodzinie w imię sprawy „sztuki-nauki”; może sobie jedynie wyobrazić, jak on sam by to czynił, w każdym razie teoretycznie.

A jak było w praktyce? Wilson wyraźnie nie potrafił lekceważyć prawdy i przedkładać idei ponad ludzi, co wyróżniało prawdziwego świeckiego intelektualistę. Ale czyż nie miał w sobie tego pomnikowego egoizmu, który - jak widzieliśmy - jest równie charakterystyczny dla tej grupy? Gdy spoglądamy na tę stronę jego charakteru i badamy jego zachowanie się, to dane nie są rozstrzygające.

Wilson miał cztery żony. Z pierwszą rozstał się za obopólną zgodą, bo ich kariery nie można było pogodzić, pozostali więc przyjaciółmi.

Jego druga żona, będąc na przyjęciu w Santa Barbara, we wrześniu 1932, w butach na wysokich obcasach, potknęła się i spadła z kilku stopni, umierając na skutek złamania podstawy czaszki. Pozostał sam podczas najbardziej intensywnego okresu marksistowsko-rosyjskiego, ale w 1937 spotkał znakomitą młodą pisarkę, o siedemnaście lat od niego młodszą, Mary McCarthy, i w następnym roku się z nią ożenił.

Trzecia żona stworzyła nowy wymiar politycznej egzystencji Wilsona. Mary McCarthy była zadziwiającym połączeniem cech wrodzonych i nabytych. Pochodziła z Seattle. Ze strony matki miała w sobie krew zarówno żydowską, jak i protestantów z Nowej Anglii. Rodzice jej ojca byli w drugim pokoleniu irlandzkimi osadnikami rolnymi, którzy dorobili się na handlu zbożem. Urodziła się 21 czerwca 1912, po niej jeszcze trzech młodszych braci, ale wkrótce wszyscy zostali sierotami.

Mary została wychowana najpierw przez przytłaczających ją wuja i ciotkę, oboje katolików, a później przez protestanckich dziadków<sup>14</sup>. Kształcono ją więc pod znakiem dwóch skrajności: jedną był katolicki klasztor, drugą - Vassar College, czcigodna żeńska uczelnia<sup>15</sup>. Jak można było przewidywać, wyszła stamtąd jako gryzypiórek i pedantka, połączenie zdeprawowanej zakonnicy i intelektualistki. Jej prawdziwe ambicje obracały się wokół teatru i w końcu zajęła się pisarstwem.

Okazało się, że potrafi pisać, i szybko zdobyła sławę jako nadzwyczaj bystry krytyk, początkowo literacki, później teatralny. Poślubiła i wkrótce prześcignęła nie odnoszącego sukcesu aktora i pisarza, Harolda Johnsruda, i gdy jej małżeństwo się rozpadło, poddała je starannej i dokładnej analizie w świetnym opowiadaniu *Cruel and Barbarous Treatment*<sup>16</sup>. Następnie w 1937 roku zamieszkała razem z Philipem Rahvem, rosyjskiego pochodzenia wydawcą „Partisan Review”, i to przywiodło ją w samo serce nowojorskiej sceny radykalnej. Paradoksalną prawdą było, że w latach trzydziestych Nowy Jork „stał się najbardziej interesującą częścią Związku Sowieckiego ... jedyną częścią tego kraju, w której mogła się otwarcie toczyć walka między Stalinem a Trockim”<sup>17</sup>. Walka toczyła się w dużej mierze wokół i w samym „Partisan Review”. Pismo to zostało założone w roku 1934 i początkowo było zdominowane przez Komunistyczną Partię USA.

Jego wydawca, Rahv, był na swój sposób niepokornym duchem. Formalną edukację ukończył w wieku lat szesnastu, a później utrzymywał się sam, śpiąc na ławkach w parkach nowojorskich i czytając w bibliotece publicznej. We wczesnych latach trzydziestych, w tym samym czasie co Wilson, nawrócił się na marksizm, oznajmiając o swym nawróceniu w *An Open Letter to Young Writers* („Otwartym liście do młodych pisarzy”), w którym podkreślał: „Musimy odciąć wszelkie więzy z lunatyczną cywilizacją, znaną jako kapitalizm”<sup>18</sup>.

W „Partisan Review” uderzył z bezbłędną dokładnością w dominującą nutę epoki - stał się intelektualistą ze średniej klasy, harującym jak robotnik lub chłop: „Odrzuciłem - pisał - kapłańskie szaty obłudnej duchowości, przyjętej przez burżuazyjnych pisarzy, po to, by stać się intelektualnym pomocnikiem proletariatu”<sup>19</sup>.

Rahv był też głównym organizatorem tego, co nazwał „literacką wojną klasową” (*The Literary Class War*) - taki był tytuł jednego z jego artykułów<sup>20</sup>.

Zerwał jednak z komunistami w roku 1936 z powodu procesów moskiewskich, które - jak sądził - były ukartowane. Rahv był zdolnym pasterzem literackiego stada, nadzwyczaj wyczulonym na zbiorowe nastroje. Zawiesił na pewien czas wydawanie „Partisan Review”, by poznać, w jaki sposób zachowuje się opinia literacka, później wznowił go jako organ nibytrockistowski i uznał, że przewidywał słusznie: większość pisarzy, którzy liczyli się w środowisku, była po jego stronie. Wśród nich była Mary McCarthy, która stała się jego kochanką, co było cenną premią, zważywszy, że była śliczną i pełną życia młodą kobietą<sup>21</sup>.

Do wojny Stalin-Trocki przyciągnęła ją nie polityka, ale wywołane przez nią teatralne podniecenie. James T. Farrell, powieściopisarz z Chicago, zanotował: „Linia krwi oddziela teraz stronników Stalina od stronników Trockiego i ta linia wydaje się być rzeką nie do przejścia”<sup>22</sup>. Earl Browder, który przewodniczył Komunistycznej Partii USA, oświadczył, że trockiści kolportujący ulotki na zebraniach partyjnych KP USA powinni być „wykończeni”.

Mary McCarthy opisała później redakcję „Partisan Review” jako izolowany garnizon na Union Square: „Cały ten region był terytorium komunistycznym; »oni« byli wszędzie: na ulicach, w kafeteriach; prawie każdy opuszczony dom mieścił przynajmniej jedną z ich grup



lub szkół czy też wydawnictw". Gdy „Partisan Review” przeniósł się na Astor Place, dzielił tam budynek z organem KP USA „New Masses”: „spotkanie »ich« w windzie, zjazd w milczeniu, wytrzymanie ich zimnego badania; z takiej perspektywy żartowano, choć się jej obawiano”<sup>23</sup>.

Wydaje się, że uznała za podniecającą tę wojnę religijną, z jej ostrą atmosferą *odium theologicum*. Oczywiście interesuje sposób, w jaki jej katolickie wychowanie przetrwało jako ideologiczna pedanteria, jak się miało wobec odmowy dialogu, jedzenia lunchu lub obcowania z kimkolwiek, kto złamał jedną z jej zasad moralno-intelektualno-politycznych, często wąsko określonych w kategoriach doktrynalnych.

Jej zainteresowanie polityką jako taką i wiedza w tej dziedzinie były powierzchowne. Przyznała później, że zajmowała stanowisko w sprawach politycznych często pragnąc tylko się popisać lub też dla żartu. Była zbyt krytyczna, by stać się towarzyszką w znaczeniu przyjętym w latach trzydziestych. Porównała później Trockiego do Gandhiego, co sugerowało, że wiedziała o nich obydwu bardzo niewiele. Nawet wówczas mogła spowodować szum w partiach lewicowych, odsłaniając po pijanemu rojalistyczne skłonności lub podnosząc w rozmowie brutalny mord carskiej rodziny<sup>24</sup>. Uderza, iż nie była w ogóle istotą polityczną: najpierw nie wiedziała nic o komunizmie, później była komunistką, a następnie prawie przez przypadek trockistką, potem antykomunistką, a ostatecznie jedynie wyznawała poglądy umiarkowanie lewicowe. Cały czas była jednak skrajnie krytyczna, częściowo wynikało to z jej natury, częściowo ze studiów nad angielską krytyką literacką, i w gruncie rzeczy była zainteresowana właściwie nie ideami, a ludźmi, przede wszystkim jako dziewczyna intelektualisty, nie jako intelektualistka w takim sensie słowa, jakiego tu używaliśmy.

Czy wolała być dziewczyną intelektualisty, czy też literatką? Rahv był bez wątpienia intelektualistą, nie był natomiast mężczyzną atrakcyjnym. Będąc ekspertem w kierowaniu tym, co można określić jako „stado niezależnych umysłów”<sup>25</sup>, zachowywał się bardzo tajemniczo i ukrywał własne poglądy. Jak pisał William Styron, był „tak tajemniczy, że prawie nie do rozpoznania”. Mary McCarthy notowała sama: „Jeśli dwóch ludzi jest do siebie niepodobnych, to on był najmniej podobny do kogokolwiek”<sup>26</sup>.

Według relacji Normana Podhoretza był człowiekiem „o wielkiej żądzy władzy”<sup>27</sup>. Tę żądzę zaspokajał po prostu przez sprawowanie władzy nad innymi ludźmi, jak szybko to odkryła jego nowa kochanka.

Tak więc Mary McCarthy, dusza romantyczna, która kochała nowojorską walkę stronnictw, ale nie dawała się zdominować na dłużej, wymknęła się spod wpływu Rahva i wyszła za mąż za Wilsona. W teorii mogło to być przymierze literackie, wysokiej klasy związek intelektualny, o trwałości związku Sartre'a z Simone de Beauvoir. W praktyce chodziło jednak o to, by powiodło się dwojgu bardzo różnym ludziom.

Prawdę powiedziawszy, stosunek Wilsona do kobiet miał coś wspólnego z postawą Sartre'a: był egocentryczny i wyzyskujący. Pouczający zapis jego rozmowy z Cyrilem Connolly, z roku 1956, na temat żon pokazuje, że według niego podstawową funkcją kobiety jest służyć mężowi. Uznał, że Connolly powinien pozbyć się swej obecnej żony, Barbary Skelton, i „związać się z inną kobietą, która będzie się lepiej o niego troszczyć”. Connolly odpowiedział, że spróbuje wziąć tę radę pod uwagę: „Jestem jak na lepie na muchy. Sporo straciłem i jeszcze ze wszystkim się nie uporałem”. Obaj ci mężczyźni rozmawiali o żonach, jakby to były gospodynie domowe<sup>28</sup>.

Jednakże Wilson, odmiennie niż Sartre, spoglądał na kobiety podejrzliwie i z obawą. Kobiety, jak notował w młodości, „są najbardziej niebezpiecznymi przedstawicielkami tych sił konserwatywnych”, którym „sprzeciwia się literacki bohater całym swym życiem”. Zabezpieczał się przed nimi, jak sądził, praktykując odmianę zwykłej polityki „szczeroci”,

którą tak lubią intelektualiści: w swoich notatnikach zamieszcza długie opisy kobiet w najbardziej intymnych pozycjach, a w szczególności stosunki seksualne z nimi.

Wilson był zarówno pisarzem-beletrystą, jak i krytykiem, i gdy kształtował swe przyzwyczajenie dokonywania zapisków, znajdował się pod wielkim wpływem Jamesa Joyce'a i jego *Ulissesa*. Sądził chyba, iż zapisując na bieżąco to, co się zdarzyło, może pozbyć się obaw związanych z seksem i władzy kobiet nad sobą.

Napisał bardzo wiele o Ednie St. Vincent Millay, pięknej poetce, jego pierwszej i, być może, największej miłości, która go hipnotyzowała. Opisał, jak on i John Peale Bishop, młody człowiek, razem z nim zajmujący mieszkanie - i także w niej zakochany - zawarli porozumienie, w którym się nią dzielili: Bishop pieścił górną połowę jej ciała, a Wilson dolną, ona zaś nazywała ich „ministrantami z piekła rodem”<sup>29</sup>. Opisał też, jak w roku 1920 kupował po raz pierwszy kondom: „Podszedłem do drogerii na Greenwich Avenue i zaglądałem nerwowo z zewnątrz, czy na pewno w środku nie ma kobiet”. Ekspedient „zademonstrował kauczukowy kondom, wielce zalecany, i nadmuchał go niczym balon, by pokazać, jak jest godny zaufania”. Balon jednak pękł „i okazało się, że jest to jakiś omen”. Wilson opisał, jak zapadł na chorobę weneryczną. Że padł „ofiara niebezpieczeństw seksu ... aborcji, rzeźączki, powikłań, złamanego serca”<sup>30</sup>. Przejawiał zainteresowanie częściami garderoby, które kobiety zdejmowały, by móc się kochać: zdjęcie „jednego z tych żenujących pasów było jak zjedzenie skorupiaka”<sup>31</sup>.

Wiele bezlitosnych fragmentów dotyczyło jego drugiej żony, Margaret, „stojącej bez bielizny w salonie przy Dwunastej Ulicy, z okrągłym, miękkim i szerokim łonem (o białej skórze)”. „Obejmowałem jej drobną postać, a ona stała nago, bez butów, z tłustymi biodrami, dużymi miękkimi piersiami, dużym tułowiem i drobnymi stopami”. Miała także „małe, silne dłonie o mocnym uścisku ... w łóżku widać małe ramiona i nogi, jakby żółwie łapy, każda w innym rogu”. Opisał, jak kochał się z nią w fotelu, ubraną w kostium balowy: „było to trochę kłopotliwe i chyba przerzuciła jedną nogę przez oparcie...”; albo „zdjęła w mgnieniu oka sukienkę wraz z bielizną ... Jestem jedną z tych gotowych dziewczyn powiedziała”<sup>32</sup>.

Były też stosunki pozamałżeńskie. Jedna z kobiet „nieco mnie zaszokowała mówiąc, że chciałyby, bym ją bił; jeden z jej przyjaciół lubił ćwiczyć żonę batem. Kupiłem szczotkę do włosów z drucianą szczecina ... i najpierw ją drapałem, później biłem. Było to dla mnie dość trudne, chyba dlatego, że miałem zahamowania. Powiedziała mi później, że było jej bardzo przyjemnie”. Inna „sądziła, że męski członek jest twardy cały czas, bo ilekroć była tak blisko niego, by to zauważyć, taki właśnie był”. prostytutka z Curzon Street „pracowała energicznie i rozkazująco”. Wiele kobiet - chyba zbyt wiele, by to było możliwe - wyrażało swój podziw: „Byłeś taki wspaniały!”, i tak dalej<sup>33</sup>.

Jego czwarta żona, Elena, była traktowana tak samo. Tak na przykład, w czasie kampanii wyborczej 1956 roku „...siedzieliśmy na tapczanie i słuchaliśmy przemówienia [Adlaia] Stevensona w Madison Square Garden, poczułem do niej pociąg - na wpół siedziała - rozszerzyła nogi, lubiła to ... gdy się wyłączyli, zaczęliśmy być bardziej aktywni”. Kontynuował: „Teraz wydaje mi się, że nigdy nie mam dość”. W Anglii, mając powyżej uszu „klasztornej stęchlizny” oksfordzkiej Ali Souls, wrócił pośpiesznie do Londynu, gdzie skoczył „na idącą do łóżka Elenę”<sup>34</sup>.

Nie było tego rodzaju quasi-pornograficznego materiału w notatnikach prowadzonych podczas trzeciego małżeństwa z Mary McCarthy albo też żaden nie został opublikowany. Związek ten trwał od lutego 1938 do końca wojny, ale wydawał się nieudany od samego początku.

Sartre mógł traktować Simone de Beauvoir jak niewolnicę, lecz nigdy jej nie mówił, co ma pisać. Wilson natomiast upierał się, by Mary McCarthy pisała beletrystykę, i traktował ją jak zdolną uczennicę, która wymaga uniwersyteckiego nadzoru. Ona najwyraźniej wyszła za Wilsona na skutek jego nalegań i stwierdziła, że on w tym związku dominuje: wydawał nie

tyle opinie, co wyroki, które ona nazywała „wersją autoryzowaną”. Sporo pił i po pijanemu czasami stawał się gwałtowny, zwłaszcza gdy jej porywczy duch się zbuntował. Później w jej opowiadaniach pojawiali się pijani, agresywni, rudowłosi mężczyźni (Wilson miał rude włosy, choć oczy brązowe) i czarnookie kobiety, z siniakami po razach zadanych przez mężów<sup>35</sup>.

Małżeństwo ciągnęło się do roku 1946, ale załamanie nastąpiło latem 1944, jak podała to sama Mary McCarthy w swym opisie zamieszczonym w prośbie o separację. Po przyjęciu wydanym dla osiemnastu osób, gdy wszyscy już poszli do domu i Mary zmywała naczynia:

„Zapytałam go, czy może wyrzucić śmiecie. Odpowiedział: »Wyrzuć sama!« Zaczęłam wnosić dwa duże pojemniki. Gdy przechodziłam przez drzwi, skłonił się ironicznie, powtarzając: »Wyrzuć sama!« Trzepnęłam go w policzek, nawet nie za mocno, wyszłam, wyrzuciłam śmiecie z pojemników i wróciłam na górę. Zawołał mnie, zeszłam na dół. Wstał z sofy, mocno się zamachnął i uderzył mnie w twarz, później bił wszędzie. Powiedział: »Sądziś, że jesteś ze mną nieszczęśliwa. Dobrze, tak cię urządzę, że dopiero poczujesz się nieszczęśliwa!« Wybiegłam z domu i wskoczyłam do samochodu”<sup>36</sup>.

Kłótnia o śmiecie została przez nią opisana w *A Charmed Life* (1955), w którym Martha jest terroryzowana przez rudowłosego Milesa Murphy: „Nikt, z wyjątkiem Milesa, nie zdołał jej nigdy zastraszyć ... z Milesem robiła pilnie to, czego nienawidziła”. Gdy Mary McCarthy napisała do Wilsona, że Miles to nie on, odpowiedział, że książki nie czytał, ale przypuszcza, że „to ktoś inny spośród jej złośliwych rudych Irlandczyków”.

Prawdą jest, że Mary McCarthy była zbyt silną osobowością i miała zbyt duży talent, by stać się partnerem, który by zadowolili takiego olimpijczyka i taką wymagającą postać. Mogła początkowo przedłużyć jego zaangażowanie w lewicową politykę, ale ostatecznie, dzięki duchowi niezależności, przyczyniła się do tego, że Wilson nabrał wstrętu do całej idei nakazanych postępowych zachowań.

Odejście jej oznaczało punkt, w którym Wilson przestał być intelektualistą i podjął na nowo bardziej odpowiednią dla niego rolę literata. W roku 1941 kupił duży, staromodny dom w Wellfleet, na przylądku Cape Cod, a potem odziedziczył kamienną rodzinną rezydencję w górnej części stanu Nowy Jork - krążył później majestatycznie między jednym a drugim, odpowiednio do pory roku.

Czwarta jego żona, Elena, z domu Helene-Marthe Mumm, była córką pół-Niemca, właściciela winiarni z szampańskiego rejonu Reims. Wilson notował z błogą pochwałą, że „jej szczerą i nie mającą zahamowań zwierzęcą duszą kontrastowała ze sztywnymi i arystokratycznymi manierami”, i odczuwając przy niej „głębką ulgę” zaczął „ponownie działać normalnie”. Prowadziła jego dom z utrzymaną w dawnym stylu europejską dyscypliną, wnosząc do jego życia komfort i elegancję. Wilson przyjął ten porządek z zadowoleniem, pracując cały dzień w piżamie i szlafroku ze swym zwykłym, niezmiennym skupieniem, wyłaniając się o piątej po południu na - jak to nazywał - „towarzyskie spotkanie”, w dobrze odprasowanym garniturze, świeżej koszuli i krawacie.

W dniu 19 stycznia 1948 roku wniósł do zapisków notę o swym nowym życiu niczym jakiś dawny ziemianin o skłonnościach literackich. Poszedł na spacer z psami: „wyglądały dość okazale na śniegu”. Moczary „wydawały się większe, jaśniejsze i spokojniejsze w bladym słońcu nad Cape Cod”. Miał „udany pracowity dzień” i „wypił dwa kieliszki dobrej czystej szkockiej”. A teraz „przebywał w domu odnajdując przyjemność w jego światłach i przytulnej atmosferze, łukowatych oknach i blasku świec... .

Osiem lat później stworzył esej *The Author at Sixty* („Pisarz w wieku sześćdziesięciu lat”), który na swój spokojny sposób jest hymnem na cześć znaczenia tradycji i ciągłości. Wilson pisał: „Życie w Stanach Zjednoczonych podlega niszczącej sile i frustracji, katastrofalnym załamaniom i stopniowemu zanikowi”. W młodości Wilson czuł się zagrożony na myśl o takim losie, ale teraz, „w sześćdziesiątym pierwszym roku życia, jedną z

tych rzeczy, które mnie najbardziej zaspokajają, jest poczucie mojej ciągłości. Jestem znów na mojej ojcowiznie, otoczony książkami mojego dzieciństwa i meblami, które należały do moich rodziców". Czy więc „tkwił już we własnej przeszłości”? W żadnym wypadku; znajdował się jedynie „w środku rzeczy, bo środek może być tylko w czyjejś głowie, a moje uczucia i myśli może dzielić wielu ludzi”<sup>38</sup>. Takie podejście do życia nie było zbyt odległe od tego, jakie wyznawał Henry James.

Warto zauważyć, że Wilson zachował - nawet po swej przemianie w dżentelmena-literata - przynajmniej pewne z tych cech, które popchnęły go do życia radykalnego intelektualisty. Był człowiekiem, który zwykle dążył do prawdy z wielką gorliwością. Ale w jego umyśle nadal pozostały obszary przesądów, gdzie prawdę osaczał z wielkim okrucieństwem. Jego anglofobia - stop antyimperializmu, nienawiści do angielskiego ustroju klasowego i po prostu zwykłej niepewności - przeżyła upadek jego wszystkich innych radykalnych porywów. Czytając jego powojenne zapiski ma się wrażenie, że chyba zgrzytał zębami, gdy pisał: Churchill jest „obrzydliwy i nieznośny”. Zauważa (zupełnie poważnie): „Powiada się o Brytyjczykach spokojnie, ale ostrożnie, że biorą w swe ręce cały interes z haszyszem” - co było faktem lub zmyśleniem, o jakim mógł donieść drugorzędny konsul francuski.

Skrupulatne znaczenie przywiązywał do „ostrej odprawy tego, co oksfordzkie”, „zaciętej mściwości Anglików”, „dwóch sposobów wypowiedania słowa »tak« - zimno i nieszczerze”; do tego, że są skłonni do „pobudzania przemocy” i że mają „międzynarodową reputację hipokrytów”. Powołuje się na „perfidny Albion”, „angielską kostnicę” i przyznaje: „Stałem się tak antybrytyjski, że zacząłem odczuwać sympatię dla Stalina, bo utrudniał życie tym Anglikom”<sup>39</sup>.

O innej jego wizycie w Anglii, w roku 1954, mamy nie tylko jego własną zatrutą relację, ale i zachwycający szkic Isaiaha Berlina, który był jego gospodarzem w Ali Souls. Wilson oświadczył: „Moją obecną polityką w Anglii jest: być »roztropnie agresywnym«”. Sprawiała mu przyjemność świadomość, że angielscy intelektualiści są bardziej „prowincjonalni” i „odosobnieni” niż przedtem, a Oksford „podniszczony rozpadał się, skrofuliczny i trędowaty”. Jego pokój w Ali Souls był „ponurą, małą celą jak w czwartorzędnym nowojorskim pensjonacie”, a obsługa w college’u „widocznie niezadowolona”.

Spotkawszy na przyjęciu E. M. Forstera, „małego, drobnego mężczyznę, który mógł na pierwszy rzut oka być jakimś urzędnikiem lub ekspedientem u optyka”, Wilson powiedział napastliwie, że dzieląc entuzjazm Forstera dla jego trzech ulubionych książek, *Wojny i pokoju*, *Boskiej komedii* oraz *Gibbona Zmierzchu cesarstwa rzymskiego*, sądził iż „*Kapitał* należy do tej samej kategorii”. Była to zadziwiająca uwaga jak na literata, nie intelektualistę, i Wilson odnotował, że uwaga ta „wprawiła Forstera w zakłopotanie”, co niewątpliwie się stało. Forster odparował, pośpiesznie podnosząc bezpieczny temat Jane Austen, później chyłkiem się wymknął z uwagą: „No tak, nie mogę pana odgradzić od spotkania innych ludzi”, której rozwodnionej ironii Wilson na szczęście nie odkrył<sup>40</sup>. Gdy Berlin zapytał go, czy „nie odczuwa niechęci do wszystkich literatów, których spotkał w Londynie”, Wilson odparł: „Nie, polubiłem najbardziej Evelynę Waugh i Cyrila Connolly”. „Dlaczego?” „Ponieważ sądzę, że są antypatyczni”<sup>41</sup>.

Osobista wrogość Wilsona do innych pisarzy była oczywiście cechą, którą podzielał z wieloma intelektualistami; nawet Marks nie mógłby zanotować swych wrażeń z większą złośliwością. O Davidzie Herbercie Lawrence Wilson pisał: „Głowę ma nieproporcjonalnie małą. Widać, że należy do niższej kasty - jakiejś niedojrzałej, źle dobranej rasy z kopalni węgla”. Jest także przerażający obraz Scotta Fitzgeralda, rzewnie pijanego, leżącego na podłodze w rogu pokoju; opis Roberta Lowella, zwariowanego maniaka, Edwarda Estlina Cummingsa z jego „kobiecy” głosem, opis Wystana Hugh Audena, „dostojnego

światowego człowieka ... który nagle zaczął nam mówić, że nie wychodzi mu biczowanie". Dorothy Parker używa zbyt tanich perfum. Van Wyck Brooks „nie rozumie wielkiej literatury", Cyril Connolly „nigdy nie słucha uwag czy opowiadań innych", T. S. Eliot „ma w sobie coś z łotra", a Sitwellowie „nie są wcale interesujący"<sup>42</sup>. Ten sędzia z Olimpu miał w sobie wiele nienawiści.

Długo jeszcze po rozstaniu z intelektualistami Wilson nie potrafił poradzić sobie z codziennymi sprawami, które go nękały. Ujawniło się to nagle i nieszczęśliwie w wypełnionej goryczą walce Wilsona z urzędnikami American Internal Revenue Service (Amerykański Urząd Podatkowy), o której napisał pełną oburzenia książkę. Sprawa jego była bardzo prosta: w latach 1946-1955 nie wypełnił żadnego formularza podatkowego, co w Stanach Zjednoczonych, tak jak w wielu innych krajach, jest poważnym wykroczeniem. W Ameryce jest to zwykle tak ciężko karane, grzywną i więzieniem, że gdy po raz pierwszy wyznał adwokatowi o swoim wykroczeniu, ten „powiedział mi od razu, że widocznie mam u siebie taki bałagan, iż jedyne, co mi zostało, to przyjąć obywatelstwo innego kraju"<sup>43</sup>. Powody, jakie Wilson wymienił, dla których nie przestrzegął prawa, są niemal dziecinne.

W swym dorosłym życiu był przeważnie „wolnym strzelcem". W końcu roku 1943 pracował w „New Yorkerze", a podatek odliczano mu od pensji. W 1946 roku opublikował *Memoirs of Hecate County*, które stały się jego wielkim handlowym sukcesem. Do tego czasu jego najwyższe zarobki wynosiły 7500 dolarów jako zastępcy redaktora „New Republic". Jednakże w tym roku ożenił się ponownie, a ponadto musiał pokryć koszty dwu rozwodów. Przydały mu się pieniądze, które uzyskał z *Memoirs of Hecate County*. Mówił, że zamierzał wtedy wywiązać się ze swych zobowiązań podatkowych, bo książka sprzedawała się dobrze i pieniądze wciąż napływały. Wpadł jednak nagle w kłopoty z pornografią i pieniądze się skończyły. Od tego czasu sądził, że nim zapłaci za lata po roku 1945, „byłoby lepiej poczekać, aż zarobię więcej pieniędzy". Stało się to w roku 1955, gdy „New Yorker" opublikował jego długie i bardzo podziwiane studium o zwojach znad Morza Martwego, które przerodziło się w uwieczoną powodzeniem książkę. Udał się wówczas do prawnika zajmującego się sprawami podatkowymi, którego rada zmiany obywatelstwa była dla Wilsona szokiem: „Nie miałem wtedy zupełnie pojęcia, jak wzrosły nasze podatki oraz jak zaostrożono kary za niewypełnianie formularzy podatkowych"<sup>44</sup>.

Było to niezwykle przyznanie się do winy. Wyznanie człowieka, który w latach trzydziestych pisał tak wiele o problemach społecznych, ekonomicznych i politycznych i udzielał płomiennych rad władzy, pociągających duże wydatki publiczne i nacjonalizację większych zakładów przemysłowych. Opublikował także obszerną książkę *To the Finland Station*, śledząc z entuzjazmem rozwój idei, które miały zrewolucjonizować postawę zwykłych ludzi przez przejęcie własności burżuazji. Jak więc, według niego, państwo miało pokryć koszty pochłaniającego wielkie zasoby Nowego Ładu, który on w pełni aprobował? Czyż nie odczuwał osobistej odpowiedzialności tych wszystkich, którzy dokonywali dzieła reformy, a zwłaszcza takich ludzi jak on, którzy wyrażali bezpośrednią moralną odpowiedzialność za mniej uprzywilejowanych? A co z marksistowską sentencją: „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb"? Czy sądził, że stosuje się to do innych, ale nie do niego? Mówiąc krótko, czy była to sprawa radykała, który darzył względami ludzkość w ogóle, ale nie myślał o poszczególnych istotach ludzkich? Jeśli tak było, to znajdował się w dobrym, a raczej złym towarzystwie, bo jak się wydaje, Marks nie zapłacił nigdy w swym życiu ani jednego grosza podatku dochodowego. Postawa Wilsona była w rzeczywistości uderzającym przykładem intelektualisty, który mówiąc wszystkim, jak prowadzić interesy, i to w tonie wyższego autorytetu moralnego, uważał, że praktyczne konsekwencje takich rad nie mają nic wspólnego z takimi jak on sam, a są przeznaczone jedynie dla „zwykłych ludzi".

Potrzeba było dwóch prawników i księgowych oraz pięciu lat, by uporządkować rozliczenia Wilsona z urzędem podatkowym. Oczywiście urząd podatkowy „uprzyjemnił” Wilsonowi życie. Obciążyli go zapłatą sześćdziesięciu dziewięciu tysięcy dolarów, rozłożoną na dziesięć lat i kredytowaną na sześć procent, do czego doszło 90 procent jako kara: 50 procent za popełnienie oszustwa, 25 procent za wykroczenie, 5 za niewypełnienie formularzy i 10 procent za przypuszczalne pomniejszenie dochodów. Było to jednak stosunkowo łagodne potraktowanie, Wilson bowiem mógł pójść do więzienia na rok za każdorazowe niewypełnienie formularza podatkowego. Ponadto na skutek powoływania się Wilsona na swe ubóstwo i konieczność uiszczenia sumy szesnastu tysięcy dolarów opłat prawnych urząd podatkowy podarował mu rozwiązanie kompromisowe: Wilson musiał zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Tak więc powinien uważać się za szczęśliwca.

Tymczasem Wilson napisał diatribę *The Cold War and the Income Tax: a Protest* („Zimna wojna i podatek dochodowy. Protest”). Pod każdym względem była to nierozsądna odpowiedź na jego kłopoty. Dały mu one przerażający wgląd w surowość współczesnego państwa, spełniającego swą najbardziej wojowniczą rolę - poborcy podatkowego - a nie powinno to być niespodzianką dla człowieka z wyobraźnią, który uczynił swoim zadaniem studia nad teorią i praktyką państwa. Najslabszą moralnie pozycję, by atakować państwo, ma ten, kto przesadnie zlekceważył negatywne mechanizmy, jakie w państwie się ujawniają, zakładając działanie państwa wyłącznie na zasadach humanitarnych, i protestuje tylko wówczas, gdy zderza się ze złem, spowodowanym przez własne niedbalstwo. W takiej właśnie sytuacji znalazł się Wilson.

W swej książce Wilson próbował usprawiedliwić własną niekonsekwencję twierdząc, że większość podatków dochodowych była przeznaczona na wydatki na obronę, spowodowane paranoją zimnej wojny. Ale wtedy nie płacił też podatku dochodowego na inne rządowe cele, nie tylko na obronę. Nie spostrzegł również, że w chwili, gdy jego sprawa została uregulowana, szybko wzrastała część federalnego podatku dochodowego przeznaczona na opiekę społeczną. Czy było moralnie usprawiedliwione unikać także wówczas płacenia podatku? Mówiąc w skrócie, książka pokazuje Wilsona od najgorszej strony i w gruncie rzeczy należy mu się wdzięczność za to, że przestał być politykiem-intelektualistą w wieku lat czterdziestu.

Dojrzałość Wilsona, po powrocie do stworzonej dla niego roli literata, okazała się nadzwyczaj owocna. Przejawiła się w dziele *Odkrycia nad Morzem Martwym* (*The Scrolls of the Dead Sea*, 1955), *Apologies to Iroquois* („Zadośćuczynienie Irokezom”, 1959) - o konfederacji Indian, i *Patriotic Gore* („Patriotyczna enklawa”, 1962) - o literaturze amerykańskiej okresu wojny domowej. Książki te, tak jak inne prace, cechowała zarówno odwaga, jak i pracowitość - by napisać o zwojach, trzeba było nauczyć się hebrajskiego - oraz nieustępliwa troska o prawdę. To właśnie odsunęło go od większości intelektualistów. Bardziej jednak przyczynił się do tego sposób, w jaki Wilson skoncentrował swe badania i pisanie wokół mocnej, gorącej, przenikliwej i cywilizowanej troski o ludzi, zarówno o grupy, jak i o jednostki, a nie o abstrakcyjne idee. Była to ta sama troska, która nadała barwę i żywość jego krytyce literackiej i czyniła ją tak przyjemną.

Wilson będąc u szczytu swej kariery uważał za pierwszorzędną świadomość, że książki nie są bezcielesnymi bytami, ale powstały w sercach i umysłach żywych mężczyzn i kobiet, i że klucz do ich zrozumienia leży we wzajemnym oddziaływaniu na siebie tematu i autora. Okrucieństwo idei tkwi w założeniu, że istoty ludzkie można tak nagiąć, że będą do nich pasowały. Dobroczynny wpływ wielkiej sztuki zawiera się w sposobie, w jaki przekształca się ona z olśnienia indywidualnego w pojęcie uniwersalne.

Rozważając twórczość Edny St. Vincent Millay, o której pisał z zadziwiającą błyskotliwością, Wilson przedstawił doskonałą definicję postępowania poety:

„Dając najwyższy wyraz głębokiemu osobistemu doświadczeniu, potrafiła ona utożsamić się z ogólnym ludzkim doświadczeniem i wysunąć się naprzód jako rzecznik ducha ludzkiego, powiadamiając o jego kłopotach i zmiennych losach, ale jako mistrzyni ludzkiej ekspresji właśnie dzięki doskonałości tej ekspresji stanęła ponad zwykłymi kłopotami, znużeniem i paniką”<sup>45</sup>.

Dzięki swemu humanizmowi Wilson potrafił zrozumieć te zjawiska, które uratowały go przed popełnieniem uniwersalnych błędów.

### Przypisy Rozdział 10

62. Zob. Leon Edel (wyd.), Edmund Wilson: The Twenties, New York 1975, Wstęp.
63. Ella Winter, Granville Hicks (wyd.), The Letters of Lincoln Steffens, 2 tomy, New York 1938, t. II, s. 829-830.
64. Don Congdon (wyd.), The Thirties: A Time to Remember, New York 1962, s. 24, 28-29.
65. Lionel Trilling, The Last Decade: Essays and Reviews 1965-75, New York 1979, s. 15-16.
66. L. Trilling, op. cit., s. 24.
67. Artykuł przedrukowany w: The Shores of Light, New York 1952, s. 518-533.
68. Leon Edel (wyd.), Edmund Wilson: The Thirties, New York 1980, s. 206.
69. Ibidem, s. 208-213.
70. Ibidem, s. 81.
71. Ibidem, s. 678-679.
72. Ibidem, s. 57, 64, 118, 120-122, 135.
73. Ibidem, s. 160-186, list Edmunda Wilsona do Johna Dos Passosa, 29 II 1932.
74. Ibidem, s. 378 i n.
75. Pochodzenie i dzieciństwo Mary McCarthy opisuje: Doris Grumbach, The Company She Keeps, London 1967.
76. Świetnym przypomnieniem ducha Vassar College jest jej esej The Vassar Girl, zob. Mary McCarthy, On the Contrary, London 1962, s. 193-214.
77. Przedruk w: Cast a Cold Eye, New York 1950.
78. Lionel Abel, New York City: A Remembrance, „Dissent”, VII 1961.
79. Drukowane w „Rebel Poel” i cytowane w: Terry A. Cooney, The Rise of the New York Intellectuals: „Partisan Review” and Its Circle, Wisconsin 1986, s. 41.
80. „Partisan Review”, XII 1934.
81. „New Masses”, VIII 1932.
82. O zmienności stanowisk politycznych Rahva, zob.: A. J. Porter, A. J. Dvosin (wyd.), Philip Rahv: Essays on Literature and Politics, 1932-78, Boston 1978.
83. Cyt. T. A. Cooney, op. cit., s. 99-100.
84. Ibidem, s. 117.
85. Zob. The Death of Gandhi i My Confession, w: Mary McCarthy, op. cit., s. 20-23, 75-105.
86. Tytuł artykułu Harolda Rosenberga, „Commentary”, IX 1948.
87. „New York Times Book Review”, 17 II 1974.
88. Norman Podhoretz, Breaking Ranks: A Political Memoir, New York 1979, s. 270.
89. Leon Edel (wyd.), Edmund Wilson: The Fifties; from Notebooks and Diaries of the Period, New York 1986, s. 372 i n. (zwłaszcza zapis pod datą 9 VIII 1956).
90. Edmund Wilson: The Twenties, s. 64-65.
91. Ibidem, s. 15-16.
92. Edmund Wilson: The Thirties, s. 593.

93. Ibidem, s. 6, 241 i n., 250 i n., itd.
94. Ibidem, s. 296-297, 523; Leon Edel (wyd.), Edmund Wilson: The Forties, New York 1983, s. 108-109.
95. Edmund Wilson: The Fifties, s. 582, 397, 140.
96. Na przykład: Mary McCarthy, The Group, New York 1963, rozdz. 13.
97. Cyt. D. Grumbach, op. cit., s. 117-118.
98. Edmund Wilson: The Forties, s. 269.
99. Przedruk w: Lewis M. Dabney (wyd.), The Portable Edmund Wilson, London 1983, s. 20-45.
100. Edmund Wilson: The Forties, s. 80-157 i passim.
101. Edmund Wilson: The Fifties, s. 101, 135-138, 117.
102. Relacja Isaiaha Berlina o wizycie Wilsona w roku 1954 była opublikowana przez „New York Times”.
103. The Twenties, s. 149; The Thirties, s. 301-303; The Fifties, s. 452 i n., 604 itd.; Berlin memoir.
104. Edmund Wilson, The Cold War and the Income Tax: A Protest, New York 1963, s. 7.
105. Ibidem, s. 4.
106. The Portable Edmund Wilson, s. 72.



## 11. Niespokojne sumienie Victora Gollancza

Z dotychczasowych studiów nad intelektualistami we wszystkich przypadkach widać wyraźnie jedno - intelektualiści mają znikomą szacunek dla prawdy. Pragną krzewić zbawczą, transcendentną Prawdę i traktują to zadanie za swą misję na rzecz ludzkości, są więc poirytowani doczesnymi, codziennymi prawdami zawartymi w obiektywnych faktach, które stają na drodze ich tez. Te niewygodne mniejsze prawdy pomijają milczeniem, fałszują, odwracają lub nawet rozmyślnie usuwają. Znakomitym przykładem tej tendencji jest Marks. Jednakże ci wszyscy, na których spoglądaliśmy, bardziej lub mniej cierpieli na to samo, jedynym wyjątkiem był Edmund Wilson, który być może nie był w ogóle prawdziwym intelektualistą. A teraz przypadek dwóch intelektualistów, w których dziele i życiu oszustwo, także oszustwo względem samego siebie, odgrywało główną, czasem rozstrzygającą rolę.

Pierwszy z nich, Victor Gollancz (1893-1967), zdobył znaczenie nie jako twórca liczącej się idei, ale dlatego, że przez niego wiele idei odcisnęło się na społeczeństwie z dużą mocą i namacalnymi skutkami. Był on, być może, najwybitniejszym intelektualistą-publicystą naszego stulecia. Na pewno nie był złym człowiekiem - nawet gdy czynił źle, był tego świadom i nie dawało mu to spokoju. Jego kariera wyraźnie pokazuje, jak wielką rolę odgrywało oszustwo w krzewieniu wiecznotrwałych idei. Nawet za jego życia ludzie, którzy się z nim stykali, doskonale wiedzieli, że beztrąsko obchodzi się z prawdą.

Teraz jednak dzięki rzetelności jego córki, Livii Gollancz, która udostępniła papiery ojca, i zręcznej postawie pierwszorzędnej biografki, Ruth Dudley Edwards, można będzie zbadać istotę i rozmiar jego fałszów<sup>1</sup>.

Gollanczowi dopisywało szczęście, zarówno pod względem pochodzenia, jak i - jeszcze bardziej - ożenku. Pochodził z wysoce utalentowanej i kulturalnej rodziny, jego żona również. Gollanczowie byli ortodoksyjnymi Żydami, wywodzili się z Polski; dziadek był chazanem, czyli kantorem, w synagodze Hambro. Ojciec Gollancza, Alexander, zapisał się jako pracowity i pełen powodzenia jubiler, człowiek pobożny i uczony. Stryj Gollancza, sir Herman Gollancz, był rabinem i uczonym w piśmie, człowiekiem, który oddawał się wielu zajęciom w służbie publicznej; inny stryj, sir Israel Gollancz, badacz Szekspira, był sekretarzem Akademii Brytyjskiej (British Academy) i właściwie stworzył wydział anglistyki Uniwersytetu Londyńskiego<sup>2</sup>.

Jedna z jego ciotek wykładała w Cambridge, inna była znakomitą pianistką. Żona, Ruth, była również wykształconą kobietą. Ukończyła szkołę św. Pawła dla dziewcząt, odbierając edukację artystyczną; jej rodzina, Łowy, nadzwyczajnie łączyła naukę, sztukę i powodzenie w interesach, a kobiety były równie energiczne, jak mężczyźni, w zajęciach kulturalnych (słynne dzieło Graetza, Historia Żydów, zostało przetłumaczone na angielski przez Bellę Łowy).

Przez całe życie był więc Gollancz otoczony ludźmi przesiąkniętymi tym, co najlepsze w cywilizacji europejskiej. Od najwcześniejszych lat dano mu wszelką sposobność zasmakowania w niej samemu. Jedyne syn, był rozpieszczany przez wielbiących go rodziców i płaszczące się przed nim siostry, traktowano go jak jedynaka. Dostawał dużo pieniędzy na własne wydatki, dzięki czemu folgował swej pasji - operze. Zainteresował się operą bardzo wcześnie - w wieku dwudziestu jeden lat widział już Aidę czterdzieści siedem razy - i odwiedzanie teatrów operowych Europy wypełniało mu wakacje do końca życia<sup>3</sup>.

Uzyskał stypendium w szkole św. Pawła, otrzymał wspaniałe klasyczne wykształcenie - dwa razy w tygodniu tłumaczył artykuł wstępny „Timesa” na grekę i łacinę - a później studiował w oksfordzkim New College jako stypendysta. We właściwym czasie zdobył nagrodę rektora za rozprawę łacińską i zajął pierwsze miejsce w studiach klasycznych.

Był już wtedy radykalnym intelektualistą, który czerpał płomienne soki ożywcze z Ibsena, Maeterlincka, Wellsa, Shawa i Walta Whitmana. Wydaje się, że we wczesnym wieku ustalił swoje poglądy na większość najważniejszych problemów i nigdy nie widział jakiegokolwiek powodu, by je zmieniać. W szkole i na uniwersytecie rówieśnicy uważali go za dogmatyka i zbyt pewnego siebie - z obu tych przyczyn nie był popularny.

Wcześniej porzucił ortodoksyjny judaizm mówiąc, że nie może wytrzymać czterdziestominutowego marszu (jazda była zabroniona w szabat) z domu w Maida Vale do synagogi w Bayswater; była to charakterystyczna przesada, bo chodziło o piętnastominutowy spacer. Kroczył po zwykłej drodze przez reformowany judaizm ku niczemu w ogóle, wspomagany w Oksfordzie przez Gilberta Murraya, dumnego ateistę.

Stworzył dla siebie później idiosynkratyczną wersję platońskiego chrześcijaństwa z Jezusem, „Najwyższą Drobiną”, w centrum. Osmotycz- na religia miała wielką zaletę w udzielaniu sankcji religijnej każdej ze świeckich postaw, jakie udało się przyjąć Gollanczowi. Nadal jednak korzystał z żydowskiego przywileju opowiadania niewinnych kawałów antyżydowskich.

Na pewien czas wada wzroku wykluczyła go z udziału w I wojnie światowej. Nastąpił później nieszczęsny okres służby w randze podporucznika w pułku Northumberland Fusilliers (fizylierzy northumberlandzcy), kiedy przekroczył regulamin, stał się skrajnie niepopularny i groził mu sąd wojskowy dla młodszych oficerów. Uszedł do Repton, by uczyć języków klasycznych.

Ucząc klasę szóstą, z której wszyscy mieli być wkrótce na froncie i zapewne polec, okazał się doskonałym, acz wywrotowym nauczycielem. Już na poły pacyfista (choć wyjątkowo agresywny), był również teoretykiem feminizmu, kimś w rodzaju socjalisty, przeciwnikiem kary śmierci, reformatorem prawa i - wówczas - agnastykiem. Był zdecydowany nawracać we wszystkich tych sprawach: „Podjąłem decyzję - napisał później - że wszystkim chłopcom, z którymi codziennie będę się stykał, będę mówił o polityce”<sup>4</sup>.

Miało to się stać hasłem jego życia: był prorokiem, magiem, który posiadał jakąś prawdę, a właściwie Prawdę, i był zdecydowany wbić ją w głowy innym. Nie niepokoiła go myśl, że rodzice chłopców mogą nie życzyć sobie, by ich synowie ulegli temu, co można uznać za propagandę wywrotową, szerzoną przez osobę mającą do nich przywilej dostępu, i że jest coś nieuczciwego w nadużywaniu swego stanowiska.

Gollancz wraz ze swym kolegą D. C. Somerwellem bronili swej postawy w dwóch broszurach: *Political Education at a Public School* („Edukacja polityczna w szkole publicznej”) - uzasadniającej „studiowanie polityki jako podstawy wykształcenia w szkole publicznej”, oraz *The School and The World* („Szkoła i świat”). Dyrektor szkoły, przebiegły Geoffrey Fisher (późniejszy arcybiskup Canterbury), uznał wybitne zdolności Gollancza, zauważył, że reszta nauczycieli nie może mu dorównać, i ostrzegł go, iż posuwa się zbyt daleko, a później - na żądanie ministerstwa wojny, które przygotowało akta o „działalności pacyfistycznej” w Repton - nagle zwolnił go na Wielkanoc 1918.

Gollancz pracował potem w Ministerstwie Apropowizacji, zajmując się racjonowaniem koszernej żywności, był później w Singapurze, a następnie pracował dla radykalnej grupy badawczej i dla trustu Rowntree. W końcu zatrudniono go w firmie Benn Brothers. Firma wydawała zarówno magazyny, jak „The Fruit Grower” i „Gas World”, które Gollancz uznał za nudne, jak i książki, głównie informatory. Przekonał sir Ernesta Benna, by mu pozwolił przekształcić dział książek w oddzielne przedsiębiorstwo z własnym kierownictwem i akcjami, i w ciągu trzech lat osiągnął zadziwiające sukcesy.

Benn pisał w swoim dzienniku: „Przynosi to największy zaszczyt geniuszowi Victora Gollancza, który sam się do tego przyczynił. Gollancz to Żyd, rzadkie połączenie wykształcenia, znajomości sztuki i zdolności do interesów”<sup>5</sup>.

Tajemnica Gollancza polegała na publikowaniu serii książek w różnej cenie, jako całości nie podlegających zmianom sezonu i mody, i na odważnej reklamie. Wydawał prace o nowinkach technicznych, jak automaty telefoniczne, które powinni mieć ci, co zajmują się biznesem, a także śmiało pod względem moralnym powieści.

Zaczął mającą ogromne powodzenie sześciopensową Biblioteką Benna (związaną z Penguin Books), a z drugiej strony drogimi, artystycznie wydanymi książkami, jak *Śpiąca królewna* z rysunkami Baksta. Według Douglasa Jerrolda, znakomitego współpracownika Gollancza, z tymi kosztownymi książkami łączyło się pewne oszustwo, kolorowe plansze bowiem były to podróbki malowane przez miniaturzystów, a następnie fotografowane<sup>6</sup>.

W roku 1928 Gollancz zarabiał pięć tysięcy funtów rocznie. Chciał jednak połowy udziałów tej firmy, już pod nową nazwą, Benn i Gollancz, i gdy sir Ernest odmówił, Gollancz założył własną firmę, zabierając ze sobą niektórych najlepszych autorów Benna, jak Dorothy L. Sayers.

Nowa firma miała osobliwą strukturę, która nosiła wszelkie oznaki zdolności Gollancza do przekonywania ludzi do wejścia w układy sprzyjające jego interesom kosztem ich własnych<sup>7</sup>. Wyłożył znacznie mniej niż połowę kapitału, ale mianował się dyrektorem z absolutną kontrolą głosów i dziesięcioma procentami zysku przed wypłatą dywidendy. Przypominało to raczej formy nadane przez Cecila Rhodesa swym kopalniom diamentów i złota w Afryce Południowej; być może one Gollancza zainspirowały.

Od samego początku firma przynosiła duże dochody, a udziałowcy otrzymywali tyle, by czuć się zaspokojeni. Gollancz odnosił sukcesy, ponieważ sprzedawał olbrzymią liczbę książek, zwłaszcza beletrystykę, dzięki niskim cenom, wydając tanio produkowane książki w nowej szacie graficznej - w żółto-czerwonej okładce, świetnie zaprojektowanej przez drukarza Stanleya Morisona, i w końcu rzucając na rynek towar pod wielkim ciśnieniem reklamy, w sposób nie znany nigdy przedtem wydawcom brytyjskim, a nawet amerykańskim.

Do tych trafnych handlowych zasad, istotnych dla powodzenia firmy, dochodziły spekulacje, oszustwo i matactwo. Gollancz utrzymywał szpiegów, którzy donosili mu o wewnętrznych sprawach innych firm, zwłaszcza o niezadowolonych autorach. Jeśli Gollancz sądził, że warto byłoby mieć takiego autora, pisał do niego długi, przymilny list, w którym to gatunku nabrał wielkiej wprawy. Niektórzy przychodzili do niego sami, bez namawiania, bowiem Gollancz w swych najlepszych czasach potrafił świetnie lansować przybysza i zrobić z nieźle sprzedającego się autora, twórcę bestsellerów, i czynił to lepiej niż jakikolwiek inny wydawca po obu stronach Atlantyku. Udoskonalił też sztukę przesadnej, by nie powiedzieć nieuczciwej, reklamy, zanim stała się znana w Londynie.

Ale współpraca z Gollanczem, jak stwierdzali autorzy, miała także ujemne strony. Gollancz prawdopodobnie wierzył, że jego metody reklamy są o wiele ważniejsze dla sprzedaży książek niż sam tekst. Nie miał więc oporów w zmuszaniu autorów do brania mniejszych zaliczek i honorariów, by podnieść budżet przeznaczony na reklamę. Nienawidził agentów, ci bowiem sprzeciwiali się tego rodzaju metodom. Jeśli było to tylko możliwe, przekonywał autorów, by nie angażowali w ogóle agentów.

Gollancz lubił takich autorów jak Daphne du Maurier, której pieniądze nie interesowały. Często zawierał słowne umowy „na zasadach przyjaźni”. Wierzył, że ma doskonałą pamięć. Miał jednak raczej zadziwiająco zdolność do zapisania na nowo całej historii w swym umyśle i obrony tej nowej wersji z namiętym przekonaniem.

Powstawały więc konflikty i krzyżowały się wzajemne oskarżenia. Gdy pisarz Louis Golding oskarżył go o niezapłacenie obiecanej premii za bestseller *Magnolia Street*, Gollancz odpowiedział sześciostronicowym listem, błyszcząc szczerością i zranioną prawością, udowadniając, że jego postępowanie było bez zarzutu. Agentowi, który próbował rzucić wyzwanie jego pamięci, Gollancz odpowiedział: „Jak pan śmie! Ja nie jestem w stanie popełnić błędu”<sup>8</sup>.

Tę śmiałą taktykę handlową wspierały groźne pokazy gniewu i krzyku. Gdy podnosił głos, było go słychać w całym gmachu. Lubił telefon z długim sznurem, z którym mógł chodzić tam i z powrotem po całym biurze, wrzeszcząc do słuchawki na agentów lub innych wrogów.

Listy Gollancza pisane są w zmiennej tonacji, od histerycznej wściekłości do obłudnych błagań, w czym był znakomity, czasem w jednym i tym samym liście. Gdy był wściekły, mógł wstrzymać wysłanie takiego listu na jeden dzień, „by słońce podjudziło mój gniew”; w konsekwencji wiele jego akt nosi uwagę „nie wysłane”. Niektórzy autorzy drżeli ze strachu i się poddawali. Inni wymykali się, by przybić do spokojniejszego brzegu. Ale w latach trzydziestych i czterdziestych przybysze przeważali szalę na korzyść firmy.

Były jeszcze inne powody wysokich zysków firmy. Gollancz zawsze płacił niskie pensje. Gdy występowało w rzeczywistej potrzebie, Gollancz płacił *ex gratia* lub proponował pożyczkę, nie podnosił jednak wynagrodzenia ani nie wypłacał zaliczki. Pod wieloma względami przypominał postacie z Dickensa. Zachowując się szczególnie podle, odwoływał się do stolika na pieczęcie firmowe, który, jak twierdził, wymuszał na nim oszczędność, i mówił: „Mój stolik, który stoi tu, gdy ja dyktuję ten list, poucza mnie, bym dodał, że..”<sup>9</sup>.

Jedną z przyczyn, dla których Gollancz mógł utrzymywać niskie pensje, nawet według kryteriów wydawnictw brytyjskich, było zatrudnianie raczej kobiet niż mężczyzn. Można było to usprawiedliwić, nawet uczynić cnotą, wspierając się racjami feministycznymi, ale rzeczywiste powody były dwustronne. Po pierwsze, kobiety można było skłonić do przyjęcia niższych płac i twardszych warunków pracy. Po drugie, były bardziej uległe wobec wysoce indywidualnego sposobu prowadzenia spraw przez Gollancza. A on potrafił się pieklić, doprowadzić do łez, objąć - jego zwyczaj całowania był niezwykły jak na lata trzydzieste - mówić po imieniu lub też zdrobniale, zapewnić, jak bardzo kobieta jest piękna. Niektóre z nich lubiły tę wysoce emocjonalną atmosferę biura Gollancza. Wiedziały również, że jego firma jest jedyną, w której mają widoki awansu na wyższe stanowiska, aczkolwiek źle płatne. Gollancz dał im również sposobność do tyranizowania innych.

Notatka o sprawach kadrowych z kwietnia 1936 roku nadaje posmaku sytuacji w biurze Gollancza, w jego najlepszych czasach:

„Od jakiegoś czasu zauważyłem brak dawnego ducha, który zwykle ożywiał personel ... Brak dawnego szczęścia przyczynia mi osobiście wiele zmartwienia. Sądzę, że możemy powrócić do dawnej sytuacji rozszerzając nieco kierownictwo; dlatego też zdecydowałem się mianować pannę Dibbs naczelnym kierownikiem i inspektorem całego personelu kobiecego w hali głównej ... Będzie zajmować właściwie takie stanowisko, jakie w rosyjskiej fabryce zajmuje przewodniczący zakładowego sowietu”<sup>10</sup>.

Niektóre z kobiet rozkwitały w takim patriarchalnym systemie. Jedna z nich, Sheila Lynd, awansowała na jego kochankę, zabraną trzy razy na urlop, otrzymała też pozwolenie zwracania się do Gollancza „drogi szefie”.

Mężczyźni nie mieli u Gollancza łatwego życia. Nie dlatego, że nie potrafił odkryć ich talentów. Przeciwnie, był w tym doskonały. Nie lubił jednak mężczyzn, a mężczyźni nie lubili jego. Nie mógł z nimi długo współpracować. Odkrył Douglasa Jerrolda, jednego z najlepszych wydawców swego pokolenia, ale złamał obietnicę przyjęcia go do nowej firmy. Odkrył Normana Collinsa, innego wybitnego przedsiębiorcę w dziedzinie środków przekazu, ale pokłócił się z nim i go zwolnił, przyjmując na jego miejsce służalczą zastępczynię. Stosunki Gollancza ze Stanleyem Morisonem, jednym z architektów sukcesu firmy, skończyły się wrzaskliwą rozgrywką i odejściem Morisona. Epickie konflikty rozgrywały się z niektórymi autorami-mężczyznami. W okresie powojennym Gollancz wprowadził swego siostrzeńca, Hilarego Rubinsteina, nadzwyczaj zdolnego administratora, dając jasno do zrozumienia, że we właściwym czasie odziedziczy po nim spuściznę, ale po wielu latach wyzysku skończyło się wypędzeniem Rubinsteina.

Jedną z moich tez w tej książce jest twierdzenie, że życie prywatne i życie publiczne czołowych intelektualistów nie mogą być od siebie oddzielone, a jedno pozwala wyjaśnić drugie. Wady i słabości charakteru nieodmiennie odbijają się w działalności na scenie światowej. Gollancz był dobitnym przykładem tej tezy.

Potwornie oszukiwał samego siebie, a czyniąc to, wstąpił na drogę oszukiwania innych na wielką skalę. Wierzył, że jest wielkim człowiekiem, instynktownie życzliwym, prawdziwym przyjacielem ludzkości. W rzeczywistości był niepoprawnym egoistą, skoncentrowanym jedynie na własnych sprawach. Znakomicie odzwierciedlały to jego kontakty z kobietami. Głosił swe poświęcenie dla sprawy kobiet, zwłaszcza swoich kobiet. W gruncie rzeczy kochał je tak długo, dopóki służyły jego celom. Podobnie jak Sartre, chciał być dorosłym dzieckiem w kołyszce, otoczonym przez oddane kobiety pachnące perfumami.

Ponieważ życie matki Gollancza obracało się dookoła jego ojca, usunął ją ze swego życia. Pojawia się ona epizodycznie w jego autobiografii; w liście z 1953 roku przyznał: „Nie kocham jej”. Zawsze otaczał się kobietami, ale to on był głównym ośrodkiem ich zainteresowania.

Uważał ideę męskiego współzawodnictwa za nie do zniesienia. W młodości miał uwielbiające go siostry. W wieku dojrzałym miał wielbiącą go żonę (miała w rodzinie sporo sióstr), która obdarzyła go serią wielbiących go córek. Był więc jedynym mężczyzną w sześciuosobowej rodzinie.

Ruth miała rozum i zdolności, ale to Gollancz miał być dla niej karierą. Nie ustąpiła mu w jednym punkcie: by przestała chodzić do synagogi. Pod każdym innym względem była jego niewolnicą. Prowadziła, nie tylko jego domy w Londynie i na prowincji, ale i wysyłała tam, gdzie trzeba, strzygła go, zajmowała się jego osobistymi finansami (z którymi, dość dziwne, nie potrafił dać sobie rady), dawała mu kieszonkowe i wraz z jego lokajem nadzorowała wszystkie najbardziej intymne zainteresowania Gollancza. On pod wieloma względami zachowywał się jak dziecko, całkiem bezradnie, być może umyślnie, i lubił nazywać ją „mamusią”.

Gdy wyjeżdżali za granicę, dzieci wraz z niańkami umieszczano w oddzielnym i tańszym hotelu, tak by Ruth mogła poświęcić się wyłącznie jemu. Godziła się z faktem, że nie jest jej wierny, i z nieprzyjemnym zwyczajem obławiania kobiet, który skłonił J. B. Priestleya do uwagi, że wszelkie cudzołóstwo jest niczym zdrożnym w porównaniu z flirtami Gollancza. On wyraźnie chciałby, aby ona „nadzorowała” jego kochanki - na sposób Helene Weigel lub Simone de Beauvoir - co mogłoby formalnie oznaczać, że mu wybaczta i uwalnia od winy. Ale ona nie potrafiła się do tego dostosować. Od wszystkich swoich kobiet, zarówno w rodzinie, jak i w firmie, wymagał niezachwianej lojalności, nawet w ich zapatrywaniach. Odmówił zaangażowania jednej kobiety tylko dlatego, że nie zaaprobowała jego poglądu o zniesieniu kary śmierci.

Gollancz wymagał kategorycznego oddania kobiet, by przynajmniej w części uśmierzyć irracjonalne obawy. Matka jego obawiała się, że mąż, który rankiem wychodził do pracy, może nigdy już nie wrócić, dokonywała więc skomplikowanych zabiegów rytualnych przed jego wyjściem z domu. Gollancz odziedziczył te obawy, które skoncentrował na Ruth. Te zadziwiająco oddziałujące przyzwyczajenia, rozwinięte jeszcze w wieku chłopięcym, prowadziły do chronicznej bezsenności, która z kolei wzmogła wiele jego lęków.

Choć miał fantastyczną zdolność do popełniania mactw, nie mógł zupełnie uśmierzyć sumienia. Zaskakiwało go ciągle poczuciem winy. Jego hipochondria z wiekiem stawała się coraz dotkliwsza i różnorodna, często będąc wyrazem tej winy. Gollancz wierzył, że jego liczne zdrady muszą się nieuchronnie skończyć chorobą weneryczną, o której wiedział bardzo mało. Istotnie, jego biografka sądzi, że cierpiał na „histeryczną chorobę weneryczną”.

W środku wojny przeżył załamanie, objawiające się dręczącym swędzeniem i bólem skóry, lękiem i poczuciem okropnego poniżenia. Lord Horder sądził, że Gollancz cierpi na nadwrażliwość zakończeń nerwów. Ale najdobitniejszym symptomem jego stanu było przekonanie, że jego członek stanie się nie do użytku. Jak pisał w jednym z tomów swojej autobiografii, „w chwili, gdy usiadłem, mój członek zaczął znikać. Czulem, jak cofa się w głąb mojego ciała”. Podobnie jak Rousseau, miał obsesję na tym punkcie, chociaż z mniej oczywistych powodów. Ciągłe sprawdzał, czy członek nie ma oznak choroby wenerycznej lub czy po prostu jest wciąż na swoim miejscu. W biurze dokonywał tych oględzin kilkakrotnie w ciągu dnia, i to w pobliżu pokrytego szronem okna, przez które, jak sądził, jest niewidoczny. Okazało się jednak, że personel teatru z przeciwka to zauważył i uznał za nieobyczajne<sup>11</sup>.

Okłamywanie samego siebie zadawało cierpienia i Gollanczowi, i innym osobom. Było jasne, że człowiek, który często nie zdaje sobie w pełni sprawy z obiektywnej rzeczywistości, nie jest oczywiście odpowiedni do udzielania ludzkości porad politycznych. Był w pewnym sensie socjalistą przez całe życie i ufał, że poświęcił je obdarzaniu pomocą robotników. Był przekonany, że wie, co robotnicy myślą i czego chcą. Brak jednak danych, by stwierdzić, że Gollancz kiedykolwiek znał jakiegoś robotnika, jeżeli nie liczyć Harry'ego Pollitta, szefa Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, niegdyś kotlarza. Gollancz miał dziewięciu służących w swym londyńskim domu, w Landbroke Grove, i trzech ogrodników w Brimpton, wiejskiej posiadłości w Berkshire. Rzadko jednak, choćby przez chwilę, skłonny był z nimi rozmawiać, chyba że listownie. Zaprzeczał zresztą gorąco, jakoby nie miał styczności z proletariatem. Gdy jeden z jego autorów, Tom Harisson, który prowadził badania ankietowe wśród szerokich warstw społeczeństwa, oskarżył Gollancza o zatrzymanie pieniędzy potrzebnych na opłacenie personelu, otrzymał odpowiedź pełną oburzenia: „Jeśli do czasu, nim osiągniesz mój wiek, będziesz pracował tak ciężko dla klasy robotniczej jak ja pracowałem, to nie będzie ci się źle powiodło. I pozwól sobie powiedzieć, że w twoim wieku ... miałem diabła mniej na życie niż ty teraz”<sup>12</sup>.

Gollancz wierzył, że prowadzi niemal mniszy tryb życia. W rzeczywistości od połowy lat trzydziestych zawsze korzystał z samochodu z szoferem, cygar, dobrego szampana i stolika w Savoyu, gdzie jadał lunch. Zatrzymywał się zawsze w najlepszych hotelach. Nie ma danych o tym, że odmówił sobie kiedyś czegokolwiek.

Zadziwia, że aktywna działalność Gollancza przeciw kapitalizmowi przypada na lata 1928-1930, to jest właśnie wtedy, gdy sam stał się kapitalistą, osiągając duży sukces finansowy. Twierdził, że zwiększa to naturalną skłonność człowieka do chęci zysku i tym samym do przemocy.

We wrześniu 1939, jak stwierdziliśmy, pisał do dramaturga Benna Levy, że Kapitał Marksa był według niego „czwartym najbardziej czarującym tomem w literaturze światowej”, łącząc „powaby pierwszorzędnej literatury, kryminału i ewangelii” (czy w końcu go przeczytał?)<sup>13</sup>.

Był to wstęp do długiego romansu ze Związkiem Sowieckim. Gollancz pochłonął całą fantastyczną relację Webbów o tym, jak funkcjonuje system sowiecki<sup>14</sup>. Określił ją jako „zdumiewająco fascynującą”; rozdziały mające na celu usunięcie „nieporozumień” o demokratycznej istocie tego reżimu „były najważniejszymi w tej książce”<sup>15</sup>. We właściwym momencie - zdarzyło się to w szczytowym okresie wielkich czystek - Gollancz mianował Stalina „Człowiekiem Roku”.

Gollancz rozpoczął własną działalność polityczną zwracając się do przywódcy Partii Pracy, Ramsaya Macdonalda, o miejsce w parlamencie; nic z tego nie wyszło wtedy ani też później. Wobec tego Gollancz skoncentrował się na publikacjach popularyzatorskich. We wczesnych latach trzydziestych wypuszczał coraz większą liczbę lewicowych rozpraw po

niskich cenach i w olbrzymich nakładach. Był wśród nich znakomity bestseller G. D. H. Cole'a, *The Intelligent Mans Guide Through World Chaos* („Przewodnik inteligentnego człowieka po chaosie świata”) oraz *What Marx Really Meant* („O co właściwie Marksowi chodziło”) i Johna Strache-ya *The Corning Struggle for Power* („Nadciągająca walka o władzę”) - skrajnie lewicowa tyrada, która prawdopodobnie wywarła większy wpływ po obu stronach Atlantyku niż jakkolwiek inna książka polityczna w tym okresie<sup>16</sup>. W tej właśnie chwili Gollancz przestał być wydawcą, a stał się politycznym propagandzistą, w tej również chwili rozpoczęło się także systematyczne oszustwo. Oznaką tej nowej polityki był list Gollancza do wielbego Percy'ego Dearmera, kanonika Westminsteru, w sprawie publikacji *Christianity and Crisis* („Chrześcijaństwo i kryzys”). Książka, jak Gollancz zaznaczał, powinna być i wyglądać „oficjalnie”, zawierając przyczynki od „znacznej liczby wysokich dygnitarzy Kościoła”. Jednak, jak pisał dalej, „być może jestem szczególnym gatunkiem wydawcy, który w sprawach, jak sądzę, o żywotnym znaczeniu, stara się nie publikować niczego, z czym by się nie zgadzał”. Dlatego książkę winno rozpocząć stwierdzenie, że „chrześcijaństwo jest nie tylko religią osobistego zbawienia, ale musi istotnie zainteresować się polityką” i „całkowicie opowiedzieć się za natychmiastowym i praktycznym socjalizmem i internacjonalizmem”<sup>17</sup>.

Pomimo tych wyraźnych elementów matactwa i dyrygowania kanonik wyraził zgodę i książka ukazała się w porę, w roku 1933. W tym samym duchu udzielono instrukcji innym autorom. Leonardowi Woolfowi, który opracowywał *The Intelligent Mans Way to Prevent War* („Sposób inteligentnego człowieka na zapobieżenie wojnie”), Gollancz zapowiedział, że najważniejszy rozdział, „Międzynarodowy socjalizm kluczem do pokoju”, ma być ostatni i inne muszą „prowadzić tendencyjnie do tej finałowej części”, jednakże by ukryć ten cel, byłoby „pożądane”, gdyby wcześniejszych rozdziałów nie pisali „ludzie, których opinia publiczna łączy z socjalizmem”<sup>18</sup>.

Z upływem lat trzydziestych element oszustwa stawał się coraz bardziej rażący. W poufnym liście do redaktora krytykującego książkę o związkach zawodowych, pióra komunisty Johna Mahana, Gollancz skarżył się: „Tak jak się rzecz rozwija, daje ona coraz bardziej skrajnie lewicowy komentarz i szczególnie w tej sprawie należy tego unikać”. Chciał natomiast, jak pisał dalej, nie „lewicowego komentarza, ale wyraźnie bezstronnego naświetlenia przez lewicowe pióro”. Pisał dalej znacząco o „wszystkich środkach, jakie panu przyjdą na myśl”, i kończył: „...oba punkty widzenia można przedstawić w taki sposób, że wobec wspaniałej atmosfery bezstronności, której nikt nie może atakować, czytelnicy niewątpliwie wyciągną właściwe wnioski”.

W książkach Gollancza zaczęły być odtąd stosowane wszystkie rodzaje „środków” dla oszukania czytelników. Na przykład, gdziekolwiek było to możliwe, określenie „lewicowy” zastępowało „partię komunistyczną”. Były również bezpośrednie skreślenia, odzwierciedlone w wielu listach Gollancza, którym często towarzyszyło rozczulające się nad sobą gładzenie o agonii jego sumienia.

Tak więc w liście do Webba Millera o książce na temat Hiszpanii Gollancz zarządził skreślenie dwóch rozdziałów, o których wiedział, że opisują prawdziwie tamtejszą sytuację. Pisał: „Jestem zmartwiony, prawie mi wstyd, że piszę ten list”. Wiedział, że relacja Millera nie jest „przesadzona pod żadnym względem”, ale było „absolutnie nieuniknione”, że „wiele fragmentów będzie wyławianych z tych rozdziałów i cytowanych propagandowo jako dowód »komunistycznego barbarzyństwa«”. Uważał, że nie może „publikować niczego, co by wspomagało propagandę drugiej strony”, a „osłabiało [komunistyczne] poparcie”. Miller mógłby sądzić, dodawał, że jest to „igranie z prawdą. Właściwie to nie jest tak, trzeba brać pod uwagę ostateczne wyniki”. I kończył: „Proszę o wybaczenie” i w stylu prośby skierowanej do Ruth, by wybaczyła mu utrzymywanie kochanki<sup>19</sup>.

Niektóre z instrukcji Gollancza, wydawanych autorom i redaktorom, choć po prostu zalecające oszustwo, były nadzwyczaj zagmatwane niewątpliwie na skutek dręczącej agonii jego sumienia - i nie było całkiem jasne, jakie szczególne oszustwo polecano im popełnić. Do autora podręcznika historii Gollancz tak się zwracał: „Chciałbym, by rzecz była napisana z największą bezstronnością, ale chciałbym, by mój bezstronny autor miał radykalne poglądy”. Dodawał, że „radykalizm autora” daje „gwarancję, że jeśli pomimo wszelkich wysiłków jakaś tendencja zostanie przyjęta”, nie będzie to „tendencja w złym kierunku”. Gollancz, jak jego ówczesne listy sugerują, właściwie mówił, że chciałby wydawać tendencyjne książki, które by nie wyglądały na tendencyjne.

Listy, które zachowały się w aktach Gollancza, przykuwają szczególną uwagę, stanowią bowiem jeden z niewielu przykładów bezpośredniego dowodu intelektualnego zatruwania źródeł prawdy, co też czynił wiedząc, że czyni źle, i usprawiedliwiając swe postępowanie wyższą przyczyną niż sama prawda.

Po dojściu Hitlera do władzy w styczniu 1933 roku Gollancz zdecydował się usunąć ze swej listy każdą książkę, która nie przynosiła pieniędzy lub nie służyła celom propagandy. Rozwinął też duże przedsięwzięcia mające wspierać socjalizm i obraz Związku Sowieckiego. Pierwszym była Nowa Biblioteka Sowiecka, seria książek propagandowych autorów sowieckich, przygotowanych bezpośrednio przez sowiecką ambasadę i rząd.

Nastąpiły jednak nieprzewidziane trudności związane z otrzymywaniem tekstów, albowiem poród tej serii przypadł na okres wielkich czystek. Kilku proponowanych autorów nagle zniknęło w archipelagu Gułag lub stanęło przed plutonem egzekucyjnym. Kilka tekstów nadesłano Gollanczowi bez podania nazwiska autora, co miało być zrobione później, gdy rozstrzelany autor był oficjalnie zastąpiony kimś innym. Dalszym makabrycznym niepowodzeniem była sprawa Andrieja Wyszyńskiego, naczelnego sowieckiego prokuratora, który w reżimie stalinowskim odgrywał tę samą rolę, co Roland Freisler, prezes Volksgerichtów (sądów ludowych), w hitlerowskich Niemczech. Wyszyński miał napisać tomik o sowieckiej sprawiedliwości, ale był zbyt zajęty orzekaniem wyroków śmierci na dawnych towarzyszy. Gdy w końcu tekst nadesłano, był zbyt pośpiesznie i źle napisany, by go opublikować. Czytelnicy książek Gollancza byli utrzymywani w błogiej nieświadomości tych wszystkich problemów.

W każdym bądź razie, gdy seria została opublikowana, Gollancz był już związany z o wiele poważniejszym przedsięwzięciem, Klubem Książki Lewicowej (Left Book Club), założonym początkowo dla przeciwstawienia się niechęci księgarzy do skrajnie lewicowej propagandy. Otwarcie Klubu towarzyszyła ogromna kampania reklamowa w lutym i marcu 1936 roku, co zbiegło się z przyjęciem przez Komintern polityki Frontu Ludowego w całej Europie: członkowie demokratycznych partii socjalistycznych, takich jak Partia Pracy, przestali być nagle „socjalfaszystami” i stali się „towarzyszami walki”. Wyrazili oni zgodę na kupowanie za pół korony miesięcznie, przez przynajmniej pół roku, książek wybranych przez komisję trzech: samego Gollancza, Johna Stracheya i Harolda Łaskiego, profesora London School of Economics. Otrzymywali także za darmo miesięcznik „Left Book News” oraz prawo uczestnictwa w bardzo szerokim wachlarzu imprez: letnich szkołach, zjazdach, pokazach filmowych, grupach dyskusyjnych, grach, wspólnych wakacjach za granicą, lunchach, wspólnej nauce języka rosyjskiego oraz prowadzonym ośrodku klubowym<sup>20</sup>.

Lata trzydzieste były najlepszym okresem dla tego typu grup. Jedną z przyczyn powodzenia Hitlera w Niemczech było stworzenie wielu takich grup dla ludzi każdego wieku i zainteresowań. Partia komunistyczna z opóźnieniem szła w jego ślady i Klub Książki Lewicowej udawał, jak skuteczna może być ta technika.

Gollancz miał początkowo nadzieję, że do maja 1936 zgłosi się 2500 subskrybentów, ale w rzeczywistości zgłosiło się dziewięć tysięcy, a ostateczna ich liczba doszła do pięćdziesięciu siedmiu tysięcy osób. Wpływ Klubu był nawet szerszy, niż te liczby mogłyby



sugerować: spośród wszystkich instytucji środków przekazu w latach trzydziestych Klub najrzędniej ustalił program i wymierzył kierunek dyskusji.

Działalność Klubu jednak była oparta na serii kłamstw. Pierwsze z nich, zawarte w broszurze o Klubie, stwierdzało, że komisja doboru książek „reprezentuje większość odcieni opinii w aktywnym i poważnym ruchu lewicowym”. W rzeczywistości wszystkie praktyczne cele Klubu Książki Lewicowej (LBC) były realizowane w interesie Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. John Strachey w tym okresie był pod całkowitą kontrolą tej partii<sup>21</sup>. Laski był członkiem Partii Pracy i został właśnie wybrany do jej Zarządu Krajowego, ale w roku 1931 nawrócił się na marksizm i zwykle popierał linię komunistów do roku 1939<sup>22</sup>.

Gollancz jechał na tym samym wózku aż do końca 1938 roku. Robił wszystko, o co poprosiła go partia komunistyczna. Dla „Daily Workera”, organu Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, napisał niesmaczny artykuł „Dlaczego czytam »Daily Workera«”, który został wykorzystany jako materiał propagandowy. Gollancz podkreślił swoje oddanie prawdzie, ścisłości i zaufaniu do inteligencji czytelnika - dobrze wiedział, że ta deklaracja jest bezpodstawna - i zauważał: „[Owo oddanie] to szczególna cecha mężczyzn i kobiet, czego nie możemy powiedzieć o dżentelmenach i damach. Jeśli chodzi o mnie, to spotykając wiele dam i dżentelmenów, w tym bardzo wielu nadzwyczaj uciążliwych, uważam tę cechę za niezwykle pokrzepiającą”<sup>23</sup>. Odwiedził także Rosję (w roku 1937) i oświadczył: „Po raz pierwszy byłem w pełni szczęśliwy ... będąc tutaj można zapomnieć, że zło panuje w reszcie świata”<sup>24</sup>.

Jednakże największą praktyczną przysługą, jaką Gollancz oddał partii komunistycznej, było wprowadzenie jej ludzi do kadry Klubu Książki Lewicowej. Sheila Lynd, Emile Burns i John Lewis, którzy redagowali wszystkie maszynopisy, oraz Betty Reid, organizatorka grup Klubu, byli wówczas wszyscy członkami Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii lub przez nią kontrolowani. Wszystkie decyzje polityczne, nawet w zupełnie drobnych sprawach, były omawiane z działaczami partyjnymi, często Gollancz podejmował je z samym Pollitem, sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego KP Wielkiej Brytanii.

Opinia publiczna nic o tym nie wiedziała. Klub LBC, by ukryć powiązania członków partii komunistycznej, z premedytacją wymieniał ich jako „socjalistów”. Z pierwszych piętnastu wybranych książek jedynie trzy nie były napisane przez członków partii komunistycznej lub kryptokomunistów, co niepokoiło Gollancza - nie sam fakt, ale wrażenie, jakie mogło to wywołać, że Klub nie jest niezależny. Domniemana niezależność Klubu była oczywiście w oczach partii komunistycznej największą jego zaletą. Jak radośnie zauważał czołowy ideolog partyjny, R. Palmę Dutt, w liście do Stracheya, fakt, iż opinia publiczna uważa, że jest to „niezależne przedsiębiorstwo handlowe”, a nie „propaganda określonej organizacji politycznej”, stanowi o jego wartości dla partii.

Drugim kłamstwem było wciąż powtarzane twierdzenie Gollancza, że cała organizacja Klubu, wraz z jego grupami, zjazdami i imprezami, jest „istotnie demokratyczna”. Za pozorami oligarchii krył się w rzeczywistości osobisty despotyzm samego Gollancza, który po prostu kontrolował finanse Klubu. Oczywiście nie prowadził oddzielnych ksiąg rachunkowych LBC i jego dochód i wydatki były pokrywane przez firmę Victor Gollancz Limited. W konsekwencji zupełnie nie wiadomo, czy Gollancz zarobił, czy też stracił na tym przedsięwzięciu.

Gdy krytycy twierdzili, że zrobił na LBC fortunę, Gollancz oskarżył ich o zniesławienie. W prywatnych listach do autorów podkreślał, że jego straty są przerażające, ale zaraz dodawał: „jest to absolutnie poufna wiadomość: z wielu punktów widzenia mniej niebezpieczna jest opinia, że zarobiliśmy na tym bardzo wiele, niż gdyby dowiedziano się, że ponieśliśmy straty”<sup>25</sup>. Mogło to po prostu usprawiedliwiać płacenie autorom mniejszych honorariów lub niepłacenie ich w ogóle.

Trzeba przyjąć, że LBC wyszedł na korzyść firmie Gollancza, choćby tylko uczestnicząc w jej kosztach ogólnych i reklamując inne książki przez nią wydane. Tak czy inaczej, skoro Gollancz obracał dochodami, płacił pensje i rachunki, to też i on podejmował ostateczne decyzje. Wszelka myśl, że członkowie Klubu mają coś do powiedzenia w jakiegokolwiek sprawie, jest czystą fantazją. Poszukując redaktora pisma „LBC News”, Gollancz zakładał, że musi on „łączyć inicjatywę z absolutnie bezpośrednim i niewątpliwym posłuszeństwem wobec moich poleceń, jakkolwiek mogłyby się one mu wydawać nierozsądne”<sup>26</sup>.

Trzecie kłamstwo wypowiedział John Strachey: „Nawet nie marzy się nam odmowa wyboru danej książki tylko dlatego, że nie zgadzamy się z jej wnioskami”. Poza jednym lub dwoma symbolicznymi labourzystow- skimi tomami - Clementa Attlee, przywódcę Partii Pracy, zaproszono do napisania *The Labour Party in Perspective* („Perspektywy Partii Pracy”) - większość danych świadczy o tym, że stosowanie się do linii Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii było głównym kryterium wyboru.

Szczególnie skandaliczna była sprawa Augusta Thalheimera, autora książki *Introduction to Dialectical Materialism* („Wstęp do materializmu dialektycznego”), którą Gollancz kazał opublikować w maju 1937 roku wierząc, że jest ortodoksyjna. Tymczasem autor został wplątany w jakiś niejasny konflikt z Moskwą i Pollitt zwrócił się do Gollancza o skreślenie tej książki. Książka została już zapowiedziana i Gollancz zaprotestował, że wrogowie Klubu mogą wykorzystać jej skreślenie jako „formalny dowód na to, że LBC jest po prostu częścią Komunistycznej Partii”. Pollitt odpowiedział jako stary kombatant po proletariacku: „Nie publikuj jej! Nawet gdybym musiał sobie poradzić ze Starym, Długim i dziekanem, tą cholera!” (miał na myśli Stalina, Palmę Dutta i dziekana Canterbury, Hewletta Johnsona). Gollancz spełnił polecenie i książka została skreślona, później jednak napisał płaczliwy list do Pollitta: „Jestem tak skonstruowany, że ten rodzaj fałszerstwa coś we mnie niszczy”.

Inną książką, którą partia chciała skreślić, okazała się *Why Capitalism Means War* („Dlaczego kapitalizm oznacza wojnę”), napisana przez socjalistę-weterana H. N. Brailsforda; książka krytykowała procesy moskiewskie. Gdy we wrześniu 1937 roku pokazano rękopis Burnsowi, ten uprzedził, że nawet po dużych cięciach i zmianach książka jest nie do przyjęcia dla partii. Gollancz był także za skreśleniem. Pisał do autora: „Nie mogę działać w tej sprawie przeciw własnemu sumieniu”. Opublikowanie książki krytykującej procesy byłoby „grzechem przeciw Duchowi Świętemu”. Jednakże Laski, którego martwiły procesy, a przy tym był starym przyjacielem Brailsforda, oświadczył, że książka musi wyjść, i zagroził dymisją, która zniszczyłaby ludowofrontową fasadę Klubu. Tak więc z oporem Gollancz uczynił to, czego żądał Laski, ale wydał książkę w sierpniu 1938 bez jakiegokolwiek reklamy - „pochował ją w niepamięci”, jak się wyraził Brailsford.

Gollancz wynalazł także „powody techniczne”, by skreślić książkę Leonarda Woolfa, zawierającą krytykę Stalina; ale Woolf miał własną drukarnię i lepiej znał się na drukarstwie niż Gollancz - odkrył kłamstwo i zagroził publicznym skandalem, jeśli umowa nie zostanie dotrzymana. Gollancz znów musiał ustąpić, ale postarał się, by książkę spotkało niepowodzenie.

Publikacje LBC były więc w rzeczywistości tak rozmyślnie zaplanowane, by posługując się oszustwem sprzyjać linii Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Jak pisał Gollancz do redaktora Biblioteki Lewicowego Uniwersytetu Domowego, „sposób ujęcia tematu nie powinien być oczywiście agresywnie marksistowski”. Poszczególne tomy powinny być tak napisane, żeby „nie wtajemniczony czytelnik po otwarciu książki nie odrzucił jej ze słowami: »Co, znów to marksistowskie nadzienie!«”.

Czasami związki z hierarchią Komunistycznej Partii były bardzo bliskie - akta wykazują, że Gollancz przekazywał Pollittowi pieniądze w gotówce: „Zastanawiam się, czy

zgodzisz się, bym dostał dziś rano pieniądze w banknotach funtowych. Przepraszam, że sprawiam Ci, Wiktorze, kłopot, ale wiesz, jak rzeczy stoją"27. Cenzura Komunistycznej Partii nie przepuszczała nawet najdrobniejszych szczegółów, tak więc J. R. Campbell, później redaktor „Workera”, był odpowiedzialny za usunięcie z bibliografii jednego tomu dzieł Trockiego i innych „nie istniejących osób”.

Choć postępowania Gollancza nie da się obronić i jest ono udokumentowane, jak to określa jego biografka, „masą obciążającego materiału”, musi być jednak rozpatrywane w szerszym kontekście. Bardziej niż inne dziesięciolecia naszego stulecia lata trzydzieste były epoką kłamstwa, dużego i małego. Rządy nazistowski i sowiecki popełniały oszustwa na wielką skalę, wydając na nie olbrzymie sumy i zatrudniając tysiące intelektualistów. Czcigodne instytucje, niegdyś sławne ze swego poświęcenia dla prawdy, obecnie rozmyślnie ją usuwały. W Londynie Geoffrey Dawson, redaktor „Timesa”, „nie dał do gazety”, jak to ujął, materiału od własnych korespondentów, który mógłby zaszkodzić stosunkom angielsko-niemieckim. W Paryżu Felicien Challaye, czołowy działacz słynnej Ligue des Droits de l'Homme (Ligi Praw Człowieka), ustanowionej dla udowodnienia niewinności Dreyfusa, uznał, że musi z niej wystąpić na znak protestu przeciw bezwstydnemu sposobowi, w jaki pomagała ukryć prawdę o stalinowskich okrucieństwach28.

Komuniści kierowali organizacjami fałszywymi z założenia, których szczególnym celem było okłamywanie współtowarzyszących im intelektualistów z pomocą różnych organizacji frontowych, jak League Against Imperialism (Liga Antyimperialistyczna). Jedną z nich była kierowana najpierw z Berlina, później, po dojściu Hitlera do władzy - z Paryża, przez niemieckiego komunistę Willi Muenzenberga, którego redaktor pisma „New Statesman”, Kingsley Martin, określił jako „natchnionego propagandzistę”.

Prawą ręką Muenzenberga, czeski komunistą Otto Katz, „fanatyczny i bezwzględny komisarz”, jak go Martin nazywał, angażował różnych brytyjskich intelektualistów do pomocy29. Był wśród nich Claud Cockburn, niegdyś dziennikarz „London Times”, a później redaktor lewicowego, skandalizującego piśmka „The Week”, który pomagał Katzowi sporządzać całkowicie zmyślane wiadomości, na przykład o „antyfrankistowskiej rewolucji” w Tetuanie. Gdy Cockburn następnie opublikował swą relację o tych wyczynach, został zaatakowany przez R. H. S. Crossmana w „News Chronicle” za bezwstydne uczucie przyjemności pisania takich kłamstw. Crossman był urzędowo zaangażowany w „działania dezinformacyjne” rządu brytyjskiego (tj. kłamstwa) w czasie wojny w latach 1939-1945. Pisał: „Czarna propaganda może być niezbędna w czasie wojny, ale większość z nas, którzy ją uprawiali, nienawidziła tego, co robiła”. Tak się złożyło, że Crossman był typowym intelektualistą, który zawsze stawia idee przed ludźmi i któremu brakuje silnego poczucia prawdy. Został on zganiony przez Cockburna, który określił pogląd Crossmana jako „wygodną pozycję etyczną, jeśli można przestać z tego się śmiać. Mnie przynajmniej wydaje się nieco zabawny widok człowieka strzelającego do własnych propagandowych kłamstw ... a utrzymującego swe sumienie w czystości, to jest w »nienawiści« do własnych czynów”. Dla Cockburna sprawa, dla której „człowiek walczy, warta jest kłamstwa”30. (Ale jaka sprawa! Zarówno Muenzenberg, jak i Katz zostali zamordowani przez Stalina za „zdradę”, Katz dlatego, że zadawał się z takimi „zachodnimi imperialistami” jak Claud Cockburn.)

Na tym właśnie tle należy osądzać oszustwa Gollancza. Najgłośniejszym była jego odmowa publikacji książki W hołdzie Katalonii, w której George Orwell ujawnił komunistyczne okrucieństwa na hiszpańskich anarchistach. Gollancz nie był osamotniony w odrzuceniu Orwella. Kingsley Martin odmówił opublikowania serii artykułów Orwella na ten sam temat i w trzydzieści lat później wciąż jeszcze bronił swej decyzji: „Nie chciałbym ich publikować, tak jak nie chciałbym publikować artykułu Goebbelsa podczas wojny z Niemcami”. Przekonał on także swego redaktora literackiego, Raymonda Mortimera, do odrzucenia „podejrzanej” recenzji napisanej przez Orwella, czego Mortimer później gorzko żałował31.

Stosunki Gollancza z Orwellem datowały się od dawna, były zawile, gorzkie i małostkowe. Gollancz wydał *Drogę do Wigan Pier* (The Road to Wigan Pier) Orwella, krytykującą brytyjską lewicę, a stało się to jeszcze przed powstaniem Left Book Club. Zdecydował się opublikować ponownie tę książkę, ale w ramach LBC i bez spornego fragmentu. Orwell nie chciał się na to zgodzić. Gollancz wydał ją więc z własnym kłamliwym wstępem, próbując wyjaśnić „błędy” Orwella tym, że pisał on jako „członek niższej klasy średniej”. Skoro Gollancz sam był członkiem tej klasy (choć oczywiście o wiele bogatszym od Orwella) i w przeciwieństwie do Orwella nie miał właściwie żadnego kontaktu z klasą robotniczą, to wstęp ten był szczególnie nieuczciwy. Gollancz później bardzo się tego wstydził i wpadł we wściekłość, gdy opublikował go jeden z amerykańskich wydawców<sup>32</sup>.

Nim jednak konflikt z Orwellem się zaostrzył, Gollancz sam zaczął rozważać swe komunistyczne powiązania. Było ku temu wiele powodów. Jednym z nich było przekonanie, że szkodzi swoim własnym interesom handlowym. Secker i Warburg z chęcią przechwycili W hołdzie Katalonii, a także inne książki i autorów, którzy mogliby oczywiście publikować u Gollancza, gdyby nie sprzeciw Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Przyjęcie linii partii przez Gollancza stworzyło w rzeczywistości poważnego rywala dla jego firmy. Drugą przyczyną była ograniczona rozpiętość uwagi Gollancza. Książki, autorzy, kobiety (z wyjątkiem Ruth), religie - sprawy te nie mogły na długo przykuć jego uwagi. Przez pewien czas Gollancz cieszył się Klubem i olbrzymimi zgromadzeniami, które Komunistyczna Partia pomagała organizować na jego rzecz w Albert Hall, gdy dziekan Canterbury intonował: „Boże, błogosław Klubowi Książki Lewicowej!”.

Gollancz odkrył, że ma dar przemawiania publicznie. Gwiazdy partyjne, ponad wszystko sam Pollitt, zdobywały zawsze największy aplauz dobrze wyszkolonego audytorium, a Gollancz tego nie lubił. Jesienią 1938 roku Gollancz okazywał niecierpliwość i znudzenie działalnością polityczną.

W takim nastroju był bardziej skłonny do wykazania otwartości swego umysłu. Podczas urlopowego pobytu w Paryżu w dniach Bożego Narodzenia przeczytał dokładne sprawozdanie z procesów moskiewskich, które go przekonało, że procesy były sfingowane. Po powrocie do Londynu oświadczył Pollittowi, że LBC nie będzie kramarzył zgodnie z linią Moskwy, przynajmniej w tej sprawie. W lutym 1939 Gollancz poszedł tak daleko, że w „LBC News” przyznał, że istnieją „pewne bariery ograniczające pełną wolność intelektualną w Związku Sowieckim”.

Wiosną Orwell zdziwił się decyzją Gollancza wydania jego powieści *Haust powietrza* (Coming Up for Air), co było widomą oznaką zmiany linii politycznej. Latem Gollancz wyraźnie starał się zerwać z Moskwą i powitał w sierpniu pakt Hitler-Stalin jeśli nie z pełną ulgą - oznaczał on, że wojna jest nieunikniona - to jako zesłaną przez niebo sposobność do całkowitego zerwania z Komunistyczną Partią. Natychmiast zajął się szerzeniem propagandy antymoskiewskiej, wskazując na wiele przykładów złego postępowania Moskwy, o czym większość świadomych ludzi wiedziała od lat. Orwell tak to skomentował do Geoffreya Gorera: „To straszne, że ludzie, którzy są takimi ignorantami, mogą mieć takie wpływy”<sup>33</sup>.

Po zerwaniu Gollancza z Moskwą nastąpiły zmiany w Klubie Książki Lewicowej. Sheila Lynd, Betty Reid i John Lewis przyłączyli się do Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. Gollancz zdecydował się nie zwalniać Lewisa i Lynd, która nie była już jego kochanką. Skorzystał jednak po kupiecku z okazji, by przesunąć ich na niższe stanowiska, obniżyć pensję i skrócić im okres wypowiedzenia<sup>34</sup>.

Odmienne od Kingsleya Martina, który z zażenowaniem bronił do końca życia swej jazdy w latach trzydziestych na jednym wózku z komunistami, i odmiennie niż Claud Cockburn, który cynicznie chełpił się swoim postępowaniem, Gollancz zdecydował się pójść na całego i ze skruchy uczynić cnotę. W 1941 roku opublikował tom, w którym zamieścił

artykuły napisane tak przez Łaskiego i Stracheya, jak i Orwella, i zatytułował go *The Betrayal of the Left: An Examination and Refutation of Communist Policy* („Zdrada lewicy: zbadanie i odrzucenie polityki komunistycznej”). Dokonał w tym tomie formalnego przyznania się do grzechów Klubu Książki Lewicowej:

„Przyjmowałem rękopisy o Rosji, dobre czy złe, były one bowiem »prawomyślne«; odrzucałem inne, napisane przez bona fide socjalistów i ludzi uczciwych, bo takimi nie były ... Publikowałem jedynie książki, które usprawiedliwiały procesy, i odsyłałem gdzie indziej ich socjalistyczną krytykę ... Jestem pewien, tak jak może być pewien człowiek, i wówczas w głębi serca byłem tego pewien, że wszystko to było złe”.

Trudno powiedzieć, czy zmiana w sercu Gollancza była tak prawdziwa i głęboka i czy takie też było przyznanie się do winy. Z pewnością podczas wojny przeżył załamanie duchowe, co skończyło się kryzysem fizycznym, już przez nas opisanym. Później jednak w górach w Szkocji usłyszał głos Boga mówiącego, że On „nie pogardza” „pokornym i skruszonym sercem” (niezwykle wyznanie, jak na intelektualistę). Wzmocniony w ten sposób, stworzył sobie nową religię - własną wersję chrześcijańskiego socjalizmu; dodała mu ona nowego zapалу, który uzewnętrznił się w entuzjastycznym poparciu Partii Pracy i publikacji serii tomów pod wspólnym tytułem *The Yellow Perils* („Żółte niebezpieczeństwa”).

Wkrótce jednak powrócił do swych dawnych sztuczek. W kwietniu 1944 odrzucił niszczycielską satyrę Orwella, *Folwark zwierzęcy* (*Animal Farm*): „W żaden sposób nie mogę opublikować takiego generalnego ataku [na Rosję]”. Książka trafiła również do Seckera i Warburga, którzy następnie zapewнили sobie słynny bestseller Orwella Rok 1984 (*Nineteen Eighty-Four*), zmuszając rozjuszonego i skruszonego Gollancza do uznania jej za „niezwykle przesadną”<sup>35</sup>.

Do końca życia nie dawała mu spokoju uczciwość Orwella (podobnie było z Kingsleyem Martinem), popychając w irytacji do ataków na pisarza, które nie były ani etyczne, ani też rozsądne. Nie mógł przyjąć, jak pisał, że „intelektualna uczciwość [Orwella] jest bez zarzutu ... według mnie Orwell stara się zaciekle być uczciwym, naprawdę uczciwym ... Czy nie ma on w sobie pewnej simplicite, która w człowieku o tak wielkiej inteligencji jest zawsze trochę nieuczciwa? Tak sam o tym sędzę”<sup>36</sup>.

Gollancz żył do 1967 roku, ale nigdy nie miał już takiej władzy i wpływu, jak w latach trzydziestych. Wielu, także „*New Statesman*” i „*Daily Mirror*”, przypisywało mu historyczne zwycięstwo wyborcze Partii Pracy w 1945 roku, tworzące polityczną strukturę powojennej Wielkiej Brytanii i większej części Europy Zachodniej, która utrzymała się właściwie aż do ery Margaret Thatcher. Ale premier Attlee nie nadał mu godności para, na którą, jak Gollancz sądził, zasłużył; nie otrzymał żadnych zaszczytów, dopiero w roku 1965 bardziej szczodry Harold Wilson nadał mu tytuł szlachecki.

Gollancz był próżny i to skłaniało go do przekonania, iż jest bardziej znany, niż był w rzeczywistości. W roku 1946, gdy statek, na którym spędzał wakacje, przybił do Wysp Kanaryjskich, Gollancz dostał napadu strachu, krzycząc, że policja Franco zamierza go porwać i torturować zaraz po wylądowaniu. Nalegał, by konsul brytyjski przybył na pokład i go ochronił. Konsul wysłał urzędnika, który zapewnił Gollancza, że nikt na wyspach nigdy nie słyszał o nim; ten rozczarowany odparł: „On sam o mnie nic nie słyszał”.

Powojenna kariera Gollancza była w rzeczywistości równią pochyłą. Napisał kilka książek, które osiągnęły sukces, ale jego własny biznes stopniowo tracił czołową pozycję na rynku. Gollancz nie nadążał za mijającym czasem i nie uznawał nowych gwiazd intelektu. Gdy Ludwig Wittgenstein napisał do niego we wrześniu 1945 roku, wskazując słaby punkt w jednej z jego wypowiedzi publicznych, odpowiedział notą jednowierszową: „Dziękuję za pański list, jestem pewien, że miał pan najlepsze intencje”, a ponadto z błędem napisał nazwisko filozofa sądząc, że to skromny wykładowca<sup>37</sup>.

Utracił kilku najlepszych autorów i przegapił starania o kilka ważnych książek. Okrzyknął Lolitę Nabokowa „rzadkim arcydziełem duchowego zrozumienia”, nie udało mu się jej jednak nabyć i w gniewie zdecydował, że to „z gruntu obmierzła książka, której wartość literacka została rażąco przeceniona”, i w końcu zdemaskował ją w „Bookmanie” jako „pornograficzną”.

Gollancz odegrał ważną rolę w nadzwyczaj udanej kampanii dotyczącej zniesienia kary śmierci, to jest w sprawie, która pochłaniała go dłużej niż jakakolwiek inna, i prawdopodobnie była najbliższa jego sercu, ale jego rola w tym przedsięwzięciu została przyćmiona przez Arthura Koestlera, którego nienawdził, i przez eleganckiego i elokwentnego Gerarda Gardinera, który zgarnął zaszczyty.

Co gorsza, Gollanczowi nie udało się uzyskać wyższego stanowiska w powstałej w 1957 roku Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego (CND). Poczł się upokorzony, że nie poproszono go nawet o przystąpienie do komitetu Kampanii. Traktował to, jak mówił, za „rujnującą zniewagę”, która „złamała mu serce”. Początkowo winił za to swego dawnego przyjaciela, kanonika Johna Collinsa, mianowanego przewodniczącym, uważając, że to stanowisko właśnie jemu, Gollanczowi, się należy. W rzeczywistości Collins toczył przegraną walkę o włączenie Gollancza do komitetu. Później Gollancz stwierdził, że stało się tak za sprawą J. B. Priestleya, przypisując jego wrogość sporowi, jaki toczyli o English Journey Priestleya we wczesnych latach trzydziestych. W istocie Priestley był jednym z wielu wśród założycieli komitetu, którzy oświadczyli, że za żadną cenę nie będą współpracować z Gollanczem.

W końcu prawie wszyscy ludzie uznali egocentryczną próżność Gollancza za nie do zniesienia, zwłaszcza że często znajdowała ona wyraz w przykrych wybuchach gniewu. W roku 1919 powiedział swemu szwagrowi, że nie może się zdecydować, czy zostać dyrektorem szkoły w Winchester, czy też premierem<sup>38</sup>. Właściwie miał szczęście, że jego żyłka do interesu pozwoliła mu stworzyć prywatną autokrację, w której nikt nie mógł rzucić mu wyzwania.

Ruth Dudley Edwards przytacza list z akt Gollancza, który charakteryzuje go lepiej niż jakikolwiek opis. Poproszono go, na co wyraził zgodę, by wygłosił wykład na cześć zmarłego biskupa Bella, jedyne go człowieka, który wypowiadał się ostro przeciw bombardowaniu obszaru Niemiec. Nadeszło jednak bardziej atrakcyjne zaproszenie i Gollancz swoje wystąpienie odwołał. Zirytowany organizator uroczystości ku czci biskupa, jeden z Pitmanów, napisał pełen wyrzutów list do Gollancza. Ten odpowiedział szczegółowo i gwałtownie. Zganił Pitmana za „napisanie listu, zanim słońce zaszło nad pańskim gniewem”, wyjaśnił bardzo szczegółowo okropny ciężar zobowiązań, który doprowadził do odwołania wykładu, sprzeciwił się bardzo zdecydowanie twierdzeniu Pitmana, że wykład był „jego moralnym obowiązkiem”, a później usprawiedliwiając się kontynuował: „Właściwie zaczynam tracić panowanie nad sobą, gdy dyktuję ten list; muszę powiedzieć, że taka uwaga jest jawnie absurdalna”. Dalej oskarżał Pitmana, że jest „karygodnie zuchwały”, i wreszcie zakończył: „Doskonale zdaję sobie sprawę, że zacząłem ten list w umiarkowanym tonie, a skończyłem w zupełnie niepohamowanym. Jestem w pełni świadom, że pomimo moich rad, w tej chwili nie uważam, by należało spuścić zasłonę nad moim gniewem, i dlatego polecam mojej sekretarce natychmiast wysłać ten list”.

Ta egoistyczna tyrada mogłaby być napisana, *ceteris paribus*, przez Rousseau, Marksa lub Tolstoja. Ale czy można byłoby wykryć wtedy tę maleńką, kpiącą z samego siebie, nutę ironii? Musimy żywić nadzieję, że tak.

**Przypisy Rozdział 11**

1. Ruth Dudley Edwards, Victor Gollancz: A Biography, London 1987.
2. O braciach Gollancz zob. Dictionary of National Biography, Supplementary Volume 1922-30, Oxford 1953, s. 350-352.
3. R. D. Edwards, op. cit., s. 48.
4. Cytuje R. D. Edwards, op. cit., s. 102.
5. Ibidem, s. 144.
6. Douglas Jerrold, Georgian Adventure, London 1937.
7. O firmie tej zob.: Sheila Hodges, Gollancz: The Story of a Publishing House, London 1978.
8. R. D. Edwards, op. cit., s. 171-172, 175.
9. Ibidem, s. 180.
10. Cytowane ibidem, s. 235.
11. Ibidem, s. 382.
12. Cytowane ibidem, s. 250.
13. Cytowane ibidem, s. 208.
14. Sidney i Beatrice Webb, Soviet Communism: A New Civilization, t. I-II, London 1935.
15. List Victora Gollancza do Stephena Spendera, II 1936.
16. Książki Cole'a zostały opublikowane w roku 1932 i 1934, Stracheya w roku 1932.
17. Cytuje Edwards, op. cit., s. 211.
18. Listopad 1932, cytuje Edwards, op. cit., s. 211.
19. Ibidem, s. 251, 247. Ocenzurowana książka Millera nosiła tytuł: I Found No Peace.
20. O Klubie LBC zob.: John Lewis, The Left Book Club, London 1970.
21. Zob.: Hugh Thomas, John Strachey, London 1973.
22. Zob.: Kingsley Martin, Harold Laski, London 1953.
23. „Daily Worker”, 8 V 1937.
24. „Moscow Daily News”, 11 V 1937.
25. List Victora Gollancza do J. B. S. Haldane, V 1938, cytuje Edwards, op. cit., s. 257.
26. Edwards, op. cit., s. 251.
27. Ibidem, s. 250.
28. George Orwell, Collected Essays, Journalism and Letters, 4 tomy, Harmondsworth 1970, t. I: 1920-40, s. 334, przypis.
29. Kingsley Martin: Editor: A Volume of Autobiography 1931-45, London 1968, s. 217. Natomiast o Muenzenbergu zob.: Arthur Koestler, The Invisible Writing, London 1954.
30. Claud Cockburn, I Claud: An Autobiography, Harmondsworth 1967, s. 190-195.
31. Martin, op. cit., s. 215; C. H. Rolph, Kingsley: The Life, Letters and Diaries of Kingsley Martin, London 1973, s. 225 i n.; Orwell, op. cit., t. I, s. 333-336.
32. Edwards, op. cit., s. 246-248.
33. Orwell, op. cit., t. I, s. 529.
34. Edwards, op. cit., s. 313.
35. Ibidem, s. 387.
36. Cytuje Edwards, op. cit., s. 269.
37. Ibidem, s. 408.
38. Dictionary of National Biography, Supplementary Volume, 1961-70, Oxford 1981, s. 439.

## 12. Kłamstwa, diabelne kłamstwa i Lillian Hellman

Jeśli Victor Gollancz był intelektualistą, który manipulował prawdą ze względu na, jego zdaniem, doniosłe cele, to Lillian Hellman wydaje się być osobą, dla której kłamstwo było czymś naturalnym. Tak jak Gollancz, była częścią wielkiej intelektualnej konspiracji na Zachodzie ukrywającej zbrodnię stalinizmu. W przeciwieństwie do niego Hellman nigdy nie przyznała się do błędów i kłamstw, chyba że w najbardziej pobieżny i nieszczerzy sposób; tkwiła po uszy w skandalicznym i bezczelnym zakłamaniu.

Można zapytać: dlaczego zajmować się mamy Lillian Hellman? Czyż nie była ona artystką obdarzoną wyobraźnią, dla której zmyślanie było koniecznością, a światy realny i fantastyczny nieuchronnie się ze sobą mieszały? Jak w przypadku Ernesta Hemingwaya, innego głośnego kłamcy, czy słusznie jest oczekiwać prawdy od twórcy zmyśleń?

Na nieszczęście dla Hellman brak szacunku dla prawdy zajął główne miejsce w jej życiu i pracy, i dwa są powody, dla których trudno ją zlekceważyć. Była pierwszą kobietą, która osiągnęła międzynarodowy status jako dramaturg i jako taka stała się symbolem dla wykształconych kobiet na całym świecie. Po drugie, w ciągu ostatnich dwudziestu lat życia, częściowo na skutek oszustw, Hellman zdobyła tak prestiżową i mocną pozycję na amerykańskiej scenie intelektualnej, że rzadko kto mógł jej dorównać. Oczywiście sprawa Hellman podnosi pytanie natury ogólnej, czy istnieją granice prawdy, jakiej intelektualiści jako klasa oczekują i wymagają od tych, których podziwiają?

Lillian Hellman urodziła się 20 czerwca 1905 roku, rodzicami jej byli średniozamożni Żydzi. Podobnie jak Gollancz, choć i dla motywów politycznych, i osobistych, próbowała w swej autobiografii pomniejszyć matkę, a wychwalać ojca. Matka jej pochodziła z bogatych i rozgałęzionych rodzin Newhouse'ów i Marców, które rozkwitły w warunkach amerykańskiego kapitalizmu.

Isaac Marx, naśladowując powszechny wzór żydowskiej imigracji, przybył z Niemiec do Ameryki po roku 1840 i zaczął jako wędrowny kramarz; osiedlił się jako kupiec i wzbogacił podczas wojny domowej; jego syn założył Marx Bank, najpierw w Demopolis, później w Nowym Jorku. Hellman opisała swą matkę, Julię Newhouse, jako wariatkę. W rzeczywistości Julia była wykształcona i świetnie wychowana, prawdopodobnie to ona była źródłem talentów Hellman. Jednakże Hellman uznała za politycznie pożądane porzucić Newhouse'ów i Marxów i niemal próbowała utrzymywać, że rodzina jej matki nie była wyznania mojżeszowego<sup>1</sup>.

Dla kontrastu, ojciec, Max, był dla córki bohaterem. Lillian była jedynaczką i Max ją psuł, niwecząc tę dyscyplinę, jaką próbowała narzucić matka. Hellman przedstawiała Maxa jako radykała, którego rodzice zbiegli jako uchodźcy polityczni do USA w roku 1848. Wyolbrzymiała jego wykształcenie i talenty umysłowe. W rzeczywistości starał się, by kapitalizm pracował na jego fortunę, tak jak dla Marxów i Newhouse'ów, ale Max im nie dorównał.

Jego przedsiębiorstwo splajtowało w 1911 roku (Hellman winiła za to nie istniejącego wspólnika) i później żył głównie na koszt krewnych, kończąc jako zwykły ekspedient. Nie ma danych o jego radykalizmie poza twierdzeniami Hellman. W artykule o stosunkach rasowych opisała, jak jej ojciec uratował czarną dziewczynę przed zgwałceniem przez dwóch białych. Opowiadała, jak mając jedenaście czy dwanaście lat wraz z czarną niańką Sophronią weszły w tramwaju do przedziału „tylko dla białych” i jak zostały z niego wypędzone mimo głośnych protestów. Mówiąc oględnie, wyprzedzało to o czterdzieści lat słynny akt wyzwania Rosy Parks w roku 1955, i wydaje się nieprawdopodobne<sup>2</sup>.

Siostry Maxa prowadziły pensjonat, gdzie Lillian się urodziła i spędzała większość czasu, osamotnione, ale żywe dziecko, bystrookie, obserwujące domowników i opowiadające sobie o nich historie. Sporo materiału zebrała o pensjonariuszach; później na Manhattanie wraz z Nathana- elem Western, który prowadził tam hotel - Hellman w nim mieszkała - zwykli po kryjomu otwierać księgę gości; stało się to kanwą jego książki *Miss Lonelyhearts*, a także scen jej sztuk. Opisywała siebie jako „okropnie nieznośne dziecko”, w co możemy uwierzyć;



pała, jeździła po Nowym Orleanie skradzionymi pojazdami, uciekła z domu i przeżyła zadziwiające przygody, które wydają się mniej wiarygodne. Gdy ojciec wyjechał do pracy w Nowym Jorku, Lillian wstąpiła na Uniwersytet Nowojorski, gdzie oszukiwała podczas egzaminów. Była dziewczyną mierzącą sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, „raczej pospolitą”, z zadatkami na mającą powodzenie *jolie laide*; wydaje się, że nawet jako nastolatka miała silną osobowość seksualną.

Wczesna kariera Hellman, podobnie jak jej dzieciństwo, została prześledzona przez ostrożnego i słusznie wnioskującego biografę, Williama Wrighta, choć stwierdził, że nie było to zadanie łatwe - autobiografia Hellman bowiem jest wysoce niewiarygodna<sup>3</sup>.

Gdy miała dziewiętnaście lat, dostała pracę u wydawców Boniego i Liverighta, którzy pod kierownictwem Horace'a Liverighta byli wówczas najbardziej przedsiębiorczą firmą w Nowym Jorku. Hellman utrzymywała później, że to ona odkryła Williama Faulknera i spowodowała publikację jego satyrycznej powieści *Mosquitoes*, z akcją w Nowym Orleanie, ale okazało się, że było zupełnie inaczej.

Miała poronienie i później, znów w ciąży, poślubiła agenta teatralnego, Arthura Kobera, opuściła wydawnictwo i zajęła się krytyką. Romansowała potem z Davidem Cortem, późniejszym redaktorem działu zagranicznego tygodnika „Life”; w latach siedemdziesiątych proponował on opublikowanie jej listów, niektórych z erotycznymi rysunkami na marginesach, i Hellman podjęła działania prawne, by mu w tym przeszkodzić - gdy umarł, okazało się, że listy zostały przypadkowo zniszczone.

Jako żona Kobera Hellman podróżowała do Paryża i Bonn w roku 1929, gdzie zamierzała wstąpić do młodzieżowej organizacji nazistowskiej; odwiedziła też Hollywood. Pracowała krótko jako lektorka dla Anne Nichols, później utrzymywała, że to ona odkryła *Ludzi w hotelu (Grand Hotel)* Vicky Baum, ale to również nie odpowiadało prawdzie<sup>4</sup>. W Hollywood, gdzie Kober pracował jako scenarzysta, Hellman czytała scenariusze dla wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

Radykalizm Hellman datuje się od czasu jej włączenia się do ruchu związkowego w przemyśle filmowym, gdzie pisarze do upadłego starali się o lepsze traktowanie przez wielkie studia.

Przełomowa chwila w jej życiu politycznym i uczuciowym nastąpiła w 1930 roku, gdy Hellman spotkała Dashiella Hammetta, autora powieści sensacyjnych. Ponieważ Hellman jego samego i ich związek opisała później bardzo romantycznie, trzeba powiedzieć jasno, jakim był człowiekiem<sup>5</sup>.

Hammett pochodził ze starej, dystyngowanej, choć biednej, rodziny z Maryland. Opuścił szkołę w wieku trzynastu lat, miał się dziwnych zajęć, walczył w I wojnie światowej i był ranny, później poznał pracę policji od wewnątrz jako detektyw agencji Pinkertona. W agencji Hammett pracował dla prawników wynajętych przez Fatty Arbuckle'a, załamanego sprawą sądową, w której ten aktor filmowy został oskarżony o zgwałcenie Virginii Rappe, później zmarłej. Według tego, co powiedzieli wywiadowcy Hammettowi, kobieta zmarła nie na skutek gwałtu, ale na chorobę weneryczną; ta sprawa - jak się wydaje - zrodziła u niego cyniczną niechęć do władzy w ogóle (i także urzeczenie czarnymi charakterami, tłuściochami, którzy często pojawiają się w jego powieściach). Gdy Hammett spotkał Lillian, opublikował już cztery powieści i zyskał właśnie sławę dzięki najlepszej z nich, *Sokołowi maltańskiemu (The Maltese Falcon)*.

Hammett był głęboko uzależnionym alkoholikiem. Sukces jego książki był prawdopodobnie najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć: przyniosła pieniądze i sławę, co oznaczało, że nie musi pracować. Nie był zresztą urodzonym pisarzem i chyba akt tworzenia uważał za nadzwyczaj zniechęcający. Z wielkim wysiłkiem ukończył *Papierowego człowieka (The Thin Man, 1934)*, który przyniósł mu jeszcze więcej pieniędzy i jeszcze większą sławę, ale później Hammett w ogóle już nic nie napisał.

Zakopywał się w hotelu ze skrzynką whisky Johnnie Walker z czerwoną kartką i pił. Alkohol spowodował moralne załamanie u człowieka, który, jak się wydaje, miał czasami twarde zasady. Żonie, Josephine Dolan, i dwojgu dzieciom posyłał pieniądze przypadkowo i z własnej zachcianki, czasami był szczodry, ale zwykle o nich zapominał. Zachowały się wzruszające listy do jego wydawcy, Alfreda A. Knopfa:

„Przez ostatnie siedem miesięcy pan Hammett przesłał mi jedynie sto dolarów, ale nie udało mu się napisać i wyjaśnić swoich kłopotów - teraz jestem w rozpacz - dzieci potrzebują ubrań i jedzenia, a ja nie mogę znaleźć pracy; mieszkam z rodzicami, którzy się starzejają i nie mogą więcej nam pomóc.”<sup>7</sup>

Pijanego Hammetta, z kontraktem na scenariusz, odnaleziono w Bel Air. Mildred Lewis, sekretarka studia przydzielona Hammettowi, nie miała nic do roboty, bo on zamiast pisać leżał w łóżku; opowiadała, jak słyszała głosy prostytutek, zamówionych przez telefon u Madame Lee Francis - były to zwykle czarnoskóre lub wschodnie kobiety - wspinających się lub schodzących po schodach, do których obracała się tyłem, tak że nie mogła się im dobrze przypatrzeć<sup>6</sup>.

Hammett prawdopodobnie zarobił ponad dwa miliony dolarów na swoich książkach, ale często był bez pieniędzy lub w długach, więc wymykał się chyłkiem z hotelu, gdzie miał zapłacić wysokie rachunki (na przykład w hotelu Pierre w Nowym Jorku był zadłużony na tysiąc dolarów), wkładając na siebie wszystkie ubrania, jakie miał ze sobą.

Alkohol czynił Hammetta skłonny do zniewag i przemocy, również i wobec kobiet. W roku 1932 został oskarżony o napaść przez aktorkę Elise de Viane. Twierdziła, że w hotelu pobił ją, gdy odrzuciła jego zaloty. Hammett nie podjął żadnej próby zaprzeczenia oskarżeniu i sąd ukarał go grzywną w wysokości 2500 dolarów.

Wkrótce po poznaniu Lillian Hellman uderzył ją w szczękę i znokautował. Związek ich nigdy nie był łatwy. W roku 1931 i ponownie w 1936 zaraził się od prostytutek rzeżączką i za drugim razem miał duże trudności w wyleczeniu się<sup>7</sup>. Kłócili się stale z powodu jego kobiet. Rzeczywiście nie jest jasne, czy i jak długo żyli ze sobą, choć oboje rozwiedli się ostatecznie ze swoimi partnerami. W wiele lat później, gdy jej kłamstwa o innych rzeczach starannie ujawniano, Gore Vidal cynicznie zapytał: „Czy ktoś ich kiedykolwiek widział razem?”

Opisując swój związek z Hammettem, Hellman bez wątpienia przesadzała dla celów własnej reklamy. Było w tym jednak nieco prawdy. W roku 1938, gdy Hellman przeniosła się do swego domu w Nowym Jorku (miała także farmę w Pleasantville), Hammett, jak donoszono, leżał beznadziejnie pijany w hotelu Beverly Wilshire, gdzie miał zapłacić rachunek w wysokości ośmiu tysięcy dolarów. Hellman przewiozła go samolotem do Nowego Jorku i karetką został zabrany do szpitala. Później mieszkał przez pewien czas u niej w domu. Zwykł jednak odwiedzać domy publiczne w Harlemie, które bardzo mu się podobały. Były więc powody do kłótni. W roku 1941 po pijanemu zażądał, by mu się oddała, ale Hellman odmówiła; później już nigdy nie próbował tego ponownie<sup>8</sup>. Związek ich nadal trwał; przez ostatnie trzy lata (zmarł w roku 1961) Hammett prowadził w jej nowojorskim domu egzystencję człowieka cudem utrzymywanego przy życiu. Z jej strony było to całkiem bezinteresowne, oznaczało wyrzeczenie się pokoju do pracy, który uwielbiała. Mówiła do swoich gości: „Proszę nie chodzić na górę. Tam, nad nami, jest umierający człowiek”<sup>9</sup>.

W ich przyjaźni widoczne jest, że Hellman jako pisarka zawdzięczała Hammettowi bardzo wiele. W rzeczywistości zaznacza się dziwna, niektórzy mogliby powiedzieć podejrzana, asymetria ich karier pisarskich. Niedługo po spotkaniu Hellman pisarstwo Hammetta skurczyło się do małej strużki, później wyschło zupełnie. Ona, dla kontrastu, zaczęła pisać z wielką łatwością i powodzeniem. Wyglądało to, jakby duch twórczy spłynął z jednego na drugie, tkwiąc w niej aż do jego śmierci; kiedy on odszedł, ona nie napisała już żadnej sztuki, której towarzyszyłby sukces.

Może to być czysty przypadek albo też i zbieżność nieprzypadkowa. Jak prawie we wszystkim, co dotyczy Hellman, trudno dotrzeć do prawdy. Pewne jest, że Hammett miał coś wspólnego z jej pierwszym przebojem, *The Childrens Hour*. Można powiedzieć, że musiał mu poświęcić wiele czasu i uwagi.

Temat miłości lesbijskiej pojawił się na scenie na Broadwayu w 1926 roku, kiedy to nowojorska policja „zamknęła” spektakl *The Captwe*, sztuki Edouarda Bourdeta, tłumaczonej na angielski. Gdy Hellman zaczęła pracować jako lektorka dla Hermana Shumlina i sama pisać sztuki, Hammett zwrócił jej uwagę na książkę Williama Roughheada, *Bad Companions*. Dotyczy ona przygnębiającej sprawy, która toczyła się w Szkocji w roku 1810, gdy pewna dziewczyna-mulatka, powodowana nie sprowokowaną

złośliwością i zrećnie kłamiąc, zrujnowała życie dwóch sióstr, chodzących do szkoły i oskarżonych przez nią o uprawianie miłości lesbijskiej.

Zadziwia fakt, że spustoszenie spowodowane przez kłamstwa, szczególnie kłamstwa kobiet, fascynowało zarówno Hellman, jak i Hammetta; kłamstwa kobiety są nicią, która łączy doskonale zawiloci *Sokoła maltańskiego*. Hammett po pijanemu kłamał jak każdy inny alkoholik; natomiast będąc trzeźwym starał się pedantycznie trzymać prawdy, choćby to było bardzo niewygodne. Jeśli był w pobliżu, dążył do narzucenia pewnego umiaru fantazjom Hellman. Ona, jakby dla kontrastu, była opętana przez kłamstwo i wciąż mijała się z prawdą. Kłamała często na temat genezy *The Childrens Hour* i okoliczności towarzyszących pierwszej nocy. Ponadto Hellman nie wspominała o swym długu wdzięczności wobec książki Roughheada, i kiedy sztuka pojawiła się na scenie, jeden z krytyków, John Mason Brown, oskarżył ją o plagiat - było to pierwsze z wielu tego rodzaju oskarżeń, jakim musiała stawić czoło<sup>10</sup>.

Mimo wszystko była to doskonała sztuka, a zmiany dokonane w stosunku do oryginału stanowiły klucz do odczucia jej podniecającego charakteru i dynamizmu. Obecnie nie można ustalić, czy i jaki był wpływ Hammetta na ostateczny kształt sztuki. Podobnie jak George Bernard Shaw, Hellman miała wielki dar czy też dramaturgiczny talent: jej negatywne postacie wypowiadały się w sposób wiarygodny. Tu właśnie tkwi główne źródło potężnego napięcia, jakim emanują jej sztuki.

Temat *The Childrens Hour* musiał wywołać kontrowersje. Wymowa i ostrze słów drażniły przeciwników tej sztuki i zachwyciły obrońców. Marszałek dworu odmówił wydania zezwolenia na jej wystawienie w Londynie, została zakazana w Chicago i w wielu innych miastach (w Bostonie zakaz obowiązywał przez ćwierć wieku). W Nowym Jorku policja nie podjęła przeciw niej żadnych kroków, sztuka od razu spodobała się krytykom i miała sukces kasowy, wystawiono ją 691 razy.

Ponadto śmiałość tematu i jego znakomite potraktowanie, a przede wszystkim wściekłość, jaką wywołała wśród *hien pensants*, natychmiast zapewniła Hellman szczególne miejsce w uczuciach postępowych intelektualistów, które utrzymała aż do śmierci. Gdy nie udało się jej uzyskać nagrody Pulitzera za najlepszą sztukę sezonu 1934-1935, jeden z członków jury bowiem, wielbny William Lyon Phelps, był przeciwny jej tematowi, nowojorscy krytycy dramatyczni ustanowili dla niej specjalną nagrodę.

Sukces sztuki przyniósł jej także kontrakt na pisanie scenariuszy w Hollywood za 2500 dolarów tygodniowo i przez następne dziesięciolecie pracowała na przemian nad scenariuszami i nad sztukami dla Broadwayu. Dokonania jej wywoływały mieszane wrażenia, ale jako całość były imponujące. Sztuka jej pióra na temat strajków, *Days to Come*, okazała się klapą. Premiera odbyła się 15 grudnia 1936, przedstawienia zawieszono po sześciu dniach. Natomiast *Lisie gniazdo* (*The Little Foxes*, 1939), sztuka, której akcja toczy się około roku 1900 i przedstawia żądę pieniędzy ludzi Południa USA - wielu z nich Hellman знаła z czasów dzieciństwa - okazała się wielkim sukcesem i miała 410 przedstawień. Dzięki dość brutalnej, ale konstruktywnej krytyce Hammetta jest to najlepiej napisana i skonstruowana z jej sztuk, najczęściej też wznawiana. Co więcej, sztuka odniosła sukces mimo silnej konkurencji: w sezonie 1939 grano Maxwella Andersona *Key Largo*, Mossa Harta i George'a S. Kaufmana *The Man Who Came to Dinner*, Williama Saroyana *The Time of Your Life*, Philipa Barry'ego *The Philadelphia Story*, Cole Portera *Leave It to Me, Life with Father* oraz kilka świetnych sztuk brytyjskich.

Hellman kontynuowała dobrą passę następnym przebojem, *Warta na Renie* (*Watch on the Rhine*), opublikowanym dwa lata później.

Tymczasem z sześciu jej hollywoodzkich scenariuszy połowa okazała się pozycjami klasycznymi. Film *The Childrens Hour*, którego scenariusz napisała dla Sama Goldwyna, a za jego namową zmieniła tytuł na *Ich troje* (*These Three*) i usunęła wątek lesbijski, stał się wielkim sukcesem, tak samo było z jej *Słepym zaułkiem* (*Dead End*, 1937). Odniosła także godne uwagi zwycięstwo nad Hays Office pisząc scenariusz *Warty na Renie* (*Watch on the Rhine*). Lewicujący bohater tej sztuki, niemiecki antyhitlerowiec Kurt Muller, ostatecznie znajduje sposób na zabicie łotra, hrabiego Teck.

Hays Office zaprotestowało, według jego zasad bowiem mordercy powinni być ukarani. Hellman ripostowała, że słusznie jest zabijać nazistów lub faszystów, bo jest właśnie wojna, i postawiła na swoim. Rzeczywiście, film ten został wybrany na dobroczynną projekcję przed samym prezydentem Rooseveltem. Takie były wtedy czasy.

Inny z jej scenariuszy, przeznaczony dla Sama Goldwyna, napisany został dla czysto prosowieckiego filmu propagandowego *Gwiazda Polarna (North Star, 1943)* o rozkosznym sowieckim kołchozie; był to jeden z trzech zrealizowanych w Hollywood filmów, zrobionych zgodnie z linią Komunistycznej Partii USA (dwa pozostałe to *Misja w Moskwie* i *Pieśń o Rosji*)<sup>11</sup>.

Od połowy lat trzydziestych temat sztuk teatralnych i scenariuszy filmowych Hellman sugeruje ściśle jej powiązanie z radykalną lewicą. Domniemanie, że została zwerbowana do partii komunistycznej przez Hammetta, jest jednak prawdopodobnie błędne. Po pierwsze, skłonna była do bardziej agresywnych od niego postaw politycznych. Jeśli w tym była jakaś jota prawdy, to właśnie ona wciągnęła Hammetta do poważniejszej i bardziej systematycznej działalności politycznej.

Ponadto, podczas gdy nadal utrzymywała z Hammettem sporadyczne kontakty seksualne aż do roku 1941 (według jej relacji, do roku 1945), miała liczne romanse z innymi mężczyznami: dyrektorem jednego z magazynów, Ralphem Ingersolem, dwoma dyrektorami teatru na Broadwayu, trzecim sekretarzem ambasady USA w Moskwie, Johnem Melby, i innymi.

Hellman znana była z przejmowania inicjatywy seksualnej w kontaktach z mężczyznami. Ponadto cieszyła się wielkim powodzeniem. Jak mówił o niej jeden z przyjaciół: „Była prosta. Była seksualnie agresywna w czasach, gdy nie zachowywała się tak żadna inna kobieta. Inne były różne, Bóg wie jakie, ale nie czyniły pierwszego ruchu. Lillian nigdy się nie wahała i wyjaśniała sytuację”<sup>12</sup>.

Oczywiście nie zawsze tak było. Martha Gellhorn utrzymywała, że w roku 1937, w Paryżu, Lillian bez powodzenia uwodziła Hemingwaya. Arthur Miller przypisywał zawziętą wrogość, jaką Hellman żywiła do niego, odrzuceniu jej zalotów: „Lillian romansowała z każdym mężczyzną, jakiego napotkała. Nie byłem nią zainteresowany i nigdy mi tego nie wybaczyła”<sup>13</sup>.

W zaawansowanym wieku średnim Hellman po prostu kupowała towarzystwo przystojnych, młodych ludzi. Sukcesy jej były na tyle znane powszechnie, że dały jej osobliwą reputację, którą żywiły się różne pogłoski. Mówiono na przykład, że uczestniczyła w męskim pokerze w domu Fredericka Vanderbilta Fielda: wygrywający zabierał Hellman do sypialni. Pamiętniki jej, skądinąd chępliwe, nie wspominają nic o jej podbojach.

Kobieta z taką reputacją i upodobaniami bynajmniej nie wydawała się cieszyć wielkim zaufaniem Komunistycznej Partii USA lat trzydziestych, wysoce doktrynerskiej organizacji. Nazwisko Hellman było jednak z pewnością dla partii przydatne. Czy była kiedykolwiek faktycznym członkiem partii? Jej sztuka o strajkach, *Days to Come*, nie była dziełem o inspiracji marksistowskiej. *Warta na Renie* była przeciwna linii partii w okresie od sierpnia 1939 do czerwca 1941, wspierającej pakt Hitler-Stalin.

Z drugiej strony Hellman bardzo aktywnie udzielała się w hollywoodzkiej gildii pisarzy filmowych (Hollywood Screen Writers' Guild), opanowanej przez KP USA, zwłaszcza podczas ostrych bojów lat 1936-1937. Byłoby więc logiczne, gdyby Hellman wstąpiła do partii w roku 1937; utrzymywała, że uczynił to Hammett.

Był to rok, gdy liczebność partii komunistycznej osiągnęła najwyższy poziom, a partia popierała Nowy Ład Roosevelta i politykę Frontu Ludowego. Jakkolwiek neofici wczesnych lat trzydziestych, chcący uchodzić za poważnych idealistów, którzy czytali Marksa i Lenina (jak Edmund Wilson), zaczęli występować z partii przed 1937 rokiem, linia Frontu Ludowego na krótko uczyniła partię komunistyczną znów modną i przyciągnęła znaczną liczbę nowicjuszy ze środowiska show businessu, mało znających się na polityce, ale pragnących przebywać u intelektualnego ołtarza<sup>14</sup>.

Hellman pasowała do tej kategorii. Jednak fakt, że jeszcze przez wiele lat popierała politykę Sowietów i nie wyparła się jej, kiedy moda na nią minęła, sugeruje, że Hellman stała się właściwie partyjnym aparatczykiem, chociaż nie najwyższej rangi. Sama zawsze

zaprzeczała, jakoby była członkiem partii. Martin Berkeley oświadczył, że w czerwcu 1937 roku Hellman, wraz z Hammettem, Dorothy Parker, Donaldem Ogdenem Stewartem i Alanem Campbellem, uczestniczyła w zebraniu, w jego domu, właśnie w celu utworzenia hollywoodzkiej komórki KP USA; później Hellman powoływała się raczej na Piątą Poprawkę [do Konstytucji USA], niż dawała odpowiedź na pytanie o to zebranie.

Przesłuchanie jej przez Komisję Badania Działalności Antyamerykańskiej mocno sugeruje, że była członkiem partii w latach 1937-1949. Jej akta w FBI, liczące prawie tysiąc stron, chociaż pełne zwykłego śmiecia i wciąż powtarzających się danych, padają także solidne fakty. Otóż poza Berkeleyem, Louis Budenz, niegdyś naczelny redaktor „Daily Workera”, podobnie stwierdził, że Hellman była członkiem partii; tak samo zeznali dwaj inni reformatorzy, jeszcze inni podawali dane o odgrywaniu przez nią czynnej roli na zebraniach partyjnych<sup>15</sup>.

Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że z wielu przyczyn, w tym i z powodu swobodnego życia seksualnego Lillian Hellman, partia komunistyczna uznała za bardziej dogodnie utrzymywanie jej raczej w roli tajnego, a nie jawnego członka, sprawując nad nią kontrolę jak nad współtowarzyszem, ale i traktując ją tolerancyjnie. Jest to jedyne wytłumaczenie, które pasuje do wszelkich jej działań i postaw w tym okresie. Z pewnością czyniła ona wszystko, co możliwe, jeśli nawet pominiemy jej sztuki i scenariusze, by wspomóc penetrację amerykańskiego życia intelektualnego przez Komunistyczną Partię USA i poprzeć cele polityki sowieckiej. Uczestniczyła w działaniach ścisłego aktywu KP USA.

W czerwcu 1938 roku wzięła udział w dziesiątym krajowym zjeździe KP USA w Nowym Jorku. Odwiedziła w październiku 1937 Rosję razem z Walterem Duranty, pro Stalinowskim korespondentem „New York Timesa”. Procesy trwały wówczas w całej pełni. Po powrocie Hellman oświadczyła, że nic o nich nie wiedziała. Natomiast komentując ataki zachodnich libertarianów na procesy moskiewskie oświadczyła, że nie potrafi odróżnić „prawdziwych oskarżeń od dzikiej nienawiści”<sup>7</sup> i „faktu od zmyślenia, gdy jest przemieszany ze ślepą urazą do ludzi i miejsc”.

W następnym roku jej nazwisko pojawiło się jednak wśród sygnatariuszy (wraz z Malcolmem Cowleyem, Nelsonem Algrenem, Irwinem Shaw i Richardem Wrightem) oświadczenia w czasopiśmie „New Masses”, wyrażającego aprobatę dla procesów.

Pod opieką słynnego Otto Katza dwa razy odwiedziła Hiszpanię w roku 1937 i wpłaciła, wraz z innymi pisarzami, pięćset dolarów na prokomunistyczny film propagandowy, z którym łączyło się także i nazwisko Hemingwaya. Jednakże relacja Hellman o tym, co robiła w Hiszpanii, po prostu pełna kłamstw, została szczególnie obalona przez Marthę Gellhorn i trudno obecnie dokładnie ustalić, co tam rzeczywiście robiła.

Podobnie jak większość intelektualistów Hellman angażowała się w zawzięte spory z innymi pisarzami. Skomplikowało to jej pozycję polityczną. Chęć poparcia sowieckich działań w Hiszpanii wciągnęła ją w konflikt z Williamem Carneyem, korespondentem tamtejszym „New York Timesa”, który nalegał na publikowanie faktów nie pasujących do wersji Moskwy. Oskarżyła go o relacjonowanie wydarzeń wojennych z bezpiecznego i komfortowego Côte d'Azur.

W roku 1939 poparła sowiecką inwazję na Finlandię, oświadczając: „Nie wierzę w ogóle w tę miłą, piękną Republikę Finlandii, nad którą tak wszyscy płaczą. Byłam tam i wydała mi się pronazistowską, małą republiką”. Wciągnęło ją to w konflikt z Tallulah Bankhead, która grała w teatralnej wersji *Lisiego gniazda* (*The Litle Foxes*) i była już traktowana jak wróg z wielu powodów (głównie z zazdrości seksualnej). Bankhead urządziła dobroczynny show na rzecz fińskich agencji pomocy. Hellman oskarżyła ją o to, że odmówiła podobnej pomocy Hiszpanii. Bankhead odparła to oskarżenie jako „bezcelne kłamstwo”.

Nie ma żadnych danych, że Hellman kiedykolwiek była w Finlandii, a jej biograf uważa to za nieprawdopodobne<sup>16</sup>. Nadal jednak atakowała Bankhead w różnych publikacjach, nawet po śmierci aktorki. Pisała o pijakach w rodzinie Bankhead, o zażywaniu narkotyków, o uwodzeniu przez Bankhead czarnych kelnerów i opowiedziała niesmaczną historię (w autobiograficznym *Penlimento*) o Bankhead, nalegającej na męża, by pokazał gościowi swe męskie wdzięki w pełnej krasie.

Konflikt między Hellman i Bankhead toczył się właściwie o to, kto był po stronie robotników. Prawda była taka, że żadna z nich nic nie wiedziała o klasie robotniczej, poza tym że od czasu do czasu brała sobie kochanka spośród jej szeregów. Hellman kiedyś przeprowadziła wywiady w Filadelfii dla nowojorskiego radykalnego dziennika wieczornego „PM”, zadając pytania taksówkarzowi, dwóm mężczyznom w sklepie i dwojgu czarnym dzieciom, z których odpowiedzi wyciągnęła wniosek, że Ameryka jest państwem policyjnym. Nie miała przyjaciół wśród robotników, z wyjątkiem dokera Randalla Smitha, którego spotkała po wojnie w Martha's Vineyard. Służył on w Brygadzie im. Lincolna w Hiszpanii i z pewnością nie był typowym amerykańskim proletariuszem. Ponadto zaczął żywić niechęć do Hellman, Hammetta i ich bogatych, radykalnych przyjaciół. Mówił: „Jako były komunista zwykłem czuć się dotknięty ich postawą, taką wyniosłą i intelektualną. Wątpię, czy któreś z nich było kiedykolwiek na zebraniu albo wykonało jakąś robotę. Oni byli oficerami, ja byłem żołnierzem”. Smith szczególnie nie lubił nawyku Hammetta okazywania w towarzystwie władzy nad kobietami: „...brał swoją laskę i zadzierał sukienkę aktualnej przyjaciółce”<sup>17</sup>.

Życie, jakie Hellman prowadziła, było z pewnością dalekie od tego, co lubiła nazywać „walką”. W domu przy 82. Wschodniej Ulicy i na stutrzydziestoakrowej farmie w Westchester żyła jak nowojorski bogacz z gospodynią, lokajem, sekretarką i służącą. Chodziła do najbardziej modnego psychiatry, Gregory'ego Zilboorga, który brał sto dolarów za godzinę.

Sztuki teatralne i scenariusze filmowe przyniosły Hellman szacunek i bogactwo. We wrześniu 1944 roku pojechała do Moskwy na zaproszenie rządu sowieckiego i zamieszkała w rezydencji ambasadora Harrimana, gdzie miała romans z dyplomatą Melbym. Podróż ta przyniosła normalne żniwo kłamstw. Mówiła, że w Rosji była pięć miesięcy; Melby, bardziej wiarygodny świadek, twierdził, że trzy. Opublikowała dwie różne relacje 2. swych rosyjskich przeżyciach, jedną w magazynie „Collier's” w roku 1945, drugą w pierwszym tomie swej autobiografii, *An Unfinished Woman*, w roku 1969. W artykule nie wspominała o tym, że widziała Stalina. W autobiografii twierdziła, że chociaż nie prosiła o audiencję u Stalina, to jednak oświadczono jej, że Stalin zgodził się udzielić wywiadu. Grzecznie odmówiła, dlatego że nie miała mu nic ważnego do powiedzenia i nie chciała zabierać mu cennego czasu. Temu bzdurnemu opowiadaniu wcześniej sama zaprzeczyła, mówiąc zaraz po powrocie na konferencji prasowej w Nowym Jorku, że prosiła o audiencję u Stalina, ale powiedziano jej, że jest „zbyt zajęty Polakami”<sup>18</sup>.

W latach trzydziestych i we wczesnych czterdziestych Hellman była lewicową bohaterką sukcesu, fetowaną znakomitością. W późnych latach czterdziestych życie jej weszło w nową fazę, potem gloryfikowaną w radykalnej legendzie jako okres męczeństwa. Przez pewien czas kontynuowała działalność polityczną. Wraz z innymi członkami skrajnej lewicy poparła Wallace'a w wyborach na prezydenta w roku 1948.

W 1949 roku była wśród organizatorów popieranej przez Sowiety konferencji kulturalnej i naukowej w sprawie pokoju światowego, obradującej w Waldorf-Astoria. Kłopoty jej dopiero się jednak zaczynały.

Sztuki powojenne nie odnosiły takich sukcesów jak wcześniejsze. Dalszy ciąg *Lisiego gniazda*, o tej samej rodzinie, noszący tytuł *Another Part of the Forest* („Inna część lasu”), miał premierę w listopadzie 1947 roku i 191 przedstawień, ale otrzymał słabe oceny. Stał się sławny z pojawiania się nieobliczalnego ojca Hellman, Maxa, który siadał wśród parterowej widowni i licząc hałaśliwie nowe dolarowe banknoty przez cały pierwszy akt, oświadczał w przerwie: „Moja córka napisała tę sztukę. Idzie coraz lepiej”. Sześć miesięcy później, za poradą swego psychiatry, Hellman oddała go pod opiekę z powodu starczej demencji.

Miała problemy ze swą następną sztuką, *The Autumn Garden*. Twierdziła później, że Hammett skrytykował pierwszy szkic tej sztuki, więc ten szkic podarła; jednak cały rękopis, z uwagą „pierwsza redakcja”, zachował się w bibliotece teksańskiego uniwersytetu stanowego. Gdy ją wystawiono w marcu 1951 roku, osiągnęła 101 przedstawień.

Tymczasem Komisja Badania Działalności Antyamerykańskiej przeczesywała przemysł filmowy. Tak zwana „hollywoodzka dziesiątka”, która odmówiła odpowiedzi na pytania Komisji na temat działalności politycznej, została wezwana do sądu za obrazę władzy. W listopadzie 1947 producenci filmowi zgodzili się na zwolnienie z pracy pisarzy, którzy

znaleźli się w tej grupie. Magazyn gildii pisarzy filmowych zaatakował tę decyzję w artykule *Judaszowe kozły ofiarne*, napisanym przez Hellman, która zawarła w nim zadziwiające stwierdzenie: „Nigdy w filmie amerykańskim nie znalazło się ani jedno zdanie, nie padło ani słowo o komunizmie”.

Młyny prawa melły jednak powoli. Hammett wpłacił kaucję na fundusz poręczycielski za pisarzy filmowych oskarżonych o obrazę. Trzech oskarżonych skorzystało z kaucji i zniknęło. FBI sądziło, że Hammett wie, gdzie przebywają, i dlatego przysłało ekipę, by dokonała rewizji na farmie Hellman. Sam Hammett został wezwany do sądu 9 lipca 1951 i poproszony o pomoc w odnalezieniu osób, które zniknęły, przez podanie nazwisk tych pisarzy, którzy wpłacili na fundusz poręczycielski. Zamiast powiedzieć, że nazwisk tych nie zna (co było zgodne z prawdą), Hammett uporczywie odmawiał odpowiedzi i został aresztowany. Hellman utrzymywała, że musiała sprzedać swoją farmę, by opłacić jego koszty sądowe w wysokości sześćdziesięciu siedmiu tysięcy dolarów.

Hellman sama w 1948 roku dostała się na czarną listę w Hollywood i cztery lata później, 21 lutego 1952, otrzymała nakaz stawienia się przed groźną Komisją. W owej jednak chwili Hellman udało się odnieść zwycięstwo, choć była już na progu porażki. Zawsze odnosiła sukcesy w wystąpieniach publicznych, umiejętność tę dzieliła z innymi współczesnymi intelektualistami, takimi jak Brecht i Sartre.

Brechtowi, jak widzieliśmy, udało się przekształcić swoje stawienie się przed Komisją w propagandową wygraną. Osiągnięcie Hellman było nawet znaczniejsze i stało się podstawą jej późniejszej sławy jako królowej męczenników obozu radykałów. Tak jak w przypadku Brechta, pomogła jej głupota członków Komisji.

Zanim Hellman stawiała się przed Komisją, zasięgnęła dokładnej porady prawnej swojego doradcy, Josepha Rauha. Nie ma wątpliwości, że rozumiała swą sytuację prawną, dość zresztą skomplikowaną. Nie chciała wymieniać żadnych nazwisk, ale też nie chciała pójść do więzienia. Nie chciała również powoływać się na Piątą Poprawkę, bo jeśli tak uczyniła, to mogłoby się wydawać, że osłania siebie - powołanie się byłoby przyznaniem się do winy (kursowało wtedy określenie: „komunista od Piątej Poprawki”). Powinna była jednak być przygotowana do powołania się na Piątą Poprawkę, jeśliby czyniąc tak, wydawała się chronić jedynie innych. W tym zawierał się problem Rauha, bowiem Piąta Poprawka chroni świadka tylko przed oskarżeniem samego siebie.

Jak Hellman mogła się uratować przed więzieniem dzięki Piątej Poprawce, gdy jednocześnie przedstawiała się jako niewinna ratująca innych? Powiedziała później, że nigdy nie było mowy o pójściu do więzienia: „Wyglądało to jak zadanie algebraiczne. Później jednak zaczęłam na to patrzeć jak na problem z zakresu spraw publicznych. Wiedziałam, że jeśli w »New York Timesie« nazajutrz będzie widniał tytuł: *Hellman odmawia podania nazwisk*, to wygrałam. Jeśli jednak pojawi się tytuł: *Hellman powołuje się na Piątą Poprawkę*, to przegrałam”.

Hellman rozwiązała problem, pisząc 19 maja 1952 chytry i kłamliwy list do Johna S. Wooda, przewodniczącego Komisji. Twierdziła, że doradzono jej, iż nie może powoływać się na Piątą Poprawkę w swojej sprawie, a potem odmówić odpowiedzi na temat innych. Nie zawahała się przed wielkim kłamstwem: „Nie lubię działalności wywrotowej i zdrady w żadnej postaci i jeślibym kiedykolwiek je stwierdziła, uważałabym za swój obowiązek donieść o tym właściwym władzom”. A potem zastosowała świetny trik, który tak ustawił sytuację prawną, że wydawało się, jakby Hellman była szczęśliwa idąc do więzienia, jeśliby tylko chodziło o jej wolność, ale ona powołała się na Piątą Poprawkę, by ochraniać innych, zupełnie niewinnych ludzi: „Ranić niewinnych ludzi, których znam od wielu lat, by uratować siebie, jest dla mnie nieludzkie, nieprzyzwoite i nikczemne. Nie mogę i nie przykroję mego sumienia, by pasowało do tegorocznej mody, chociaż dawno temu doszłam do wniosku, że nie jestem politykiem ani nie zajmuję wygodnej pozycji w jakiejś grupie politycznej”.

Ku wściekłości przewodniczącego, który zapewne zrozumiał, na czym polega trik Hellman, jeden z członków Komisji, nie pojmujący sensu prawnego całej sprawy, złożył wniosek, by list ten został włączony do akt, co umożliwiło uradowanemu Rauhowi przekazać kopie listu natychmiast prasie. Nazajutrz pojawił się dokładnie taki tytuł, jakiego pragnął Rauh.

W tomie autobiografii dotyczącym tych wypadków, zatytułowanym *Scoundrel Time* („Czas kanalii”), Hellman upiększyła później całą historię, wymyślając różne szczegóły, między innymi o człowieku, krzyczącym z galerii: „Dzięki Bogu, ktoś w końcu ma odwagę to zrobić!”. Nie musiała jednak niczym się niepokoić. List jej był jedynym „faktem”, który z tego przesłuchania trafił do podręczników historii. Znalazł się także w antologiach jako wzruszająca obrona wolności sumienia przez bezinteresowną i bohaterską kobietę<sup>19</sup>.

Było to jądro późniejszej legendy Hellman. Legendzie towarzyszył mit, że Hellman została zrujnowana finansowo zarówno na skutek czarnej listy, jak i olbrzymich opłat sądowych, które przypadły w udziale jej i Hammettowi w wyniku tego „polowania na czarownicę”.

Nie ma jednak danych, że Hellman została zrujnowana. Sztukę *The Childrens Hour* wystawiono ponownie, co przyniosło znaczny dochód. Hellman zatrzymała swój nowojorski dom, do czasu gdy w późnym wieku przeniosła się do bardziej wygodnego mieszkania. Prawdą jest, że sprzedała swoją farmę, ale w roku 1956 kupiła piękną posiadłość w Martha's Vineyard; okolica ta stała się wówczas wytwornym miejscem wypoczynku bogatych intelektualistów, modniejszym niż peryferie Nowego Jorku.

Kłopoty finansowe Hammetta miały wiele przyczyn. Gdy w końcu przestał pić, nie podjął jednak pracy, spędzając czas przed telewizorem. Był także nieobliczalnie rozrzutny. Nie było takiego niebezpieczeństwa w przypadku Hellman, ale dzieliła ona z Hammettem inną cechę - nie płaciła podatku dochodowego. Jak wskazują przypadki Sartre'a i Edmunda Wilsona, radykalni intelektualiści chętnie domagają się ambitnych programów rządowych, nie czując się do uczestniczenia w nich.

Niepłacenie przez Hammetta podatku dochodowego sięga właściwie lat trzydziestych i wyszło na jaw dopiero, gdy Hammett dostał się do więzienia. Oczywiście jeszcze przed wojną FBI odnotowało jego praktyki. Wyrok na Hammetta sprawił oczywiście, że urząd podatkowy wraz z innymi wierzycielami, których było wielu, zażądał spłaty długu. W dniu 28 lutego 1957 do sądu federalnego wpłynął zaoczny wyrok przeciw Hammettowi na sumę 104795 dolarów za lata 1950-1954. Władze nie postępowały zbyt ostro, urzędnik sądowy donosił, że nie należy oczekiwać pieniędzy: „Sądzę po przeprowadzonym śledztwie, że rozmawiałem ze złamanym człowiekiem”. Do chwili zgonu Hammetta suma, którą był winien, wraz z procentami wzrosła do 163286 dolarów<sup>20</sup>.

Zadłużenie Hellman wobec urzędu podatkowego było jeszcze większe: w roku 1952 oceniane było na sumę od 174 tysięcy do 190 tysięcy dolarów - sumę olbrzymią w tamtych dniach. Twierdziła później, że była bez grosza i musiała podjąć pracę w domu towarowym Macy's, ale nie ma w tym żdźbła prawdy.

Akcje Hellman stały nisko w latach pięćdziesiątych, trudnej dekadzie dla radykałów. Jednakże od roku 1960 nagle znów poszły w górę. Sztuka jej, *Toys in Attic* („Zabawki na strychu”), oparta na pomysle Hammetta i wspomnieniach Hellman z dzieciństwa o pensjonacie, została wystawiona w Nowym Jorku 25 lutego 1960 roku w wyśmienitej, premierowej obsadzie. Osiągnęła 556 przedstawień, ponownie nagrodę krytyków i przyniosła Hellman duże pieniądze. Była to jednak jej ostatnia poważna sztuka, a zgon Hammetta w następnym roku zdawał się sugerować, że bez niego nie mogła napisać następnej. Nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę. Teraz jednak znowu miały powrócić dni sukcesu. Radykalizm odżywał w latach sześćdziesiątych i w końcu dekady osiągnął prawie swoją moc z dni powodzenia w latach trzydziestych. Podróż do Rosji przyniosła następną porcję kłamstw i zapewnienie, że tajna mowa Chruszczowa, potwierdzająca zbrodnie Stalina, była uderzeniem w plecy dawnego protektora<sup>21</sup>. Hellman, czując nastrój opinii w Ameryce, uznała, że jest czas na pisanie pamiętników.

Stały się one jednym z wielkich sukcesów wydawniczych stulecia i przyniosły Hellman więcej sławy, prestiżu i powagi intelektualnej niż jej sztuki. Była to oczywiście - jeszcze za życia - kanonizacja samej siebie, apoteoza utkana z drukowanego słowa i machina reklamy. *An Unfinished Woman*, książka opublikowana w roku 1969, stała się bestsellerem i zdobyła Krajową Nagrodę Publikacji z dziedziny Sztuki i Literatury (National Book Award for Arts and Letters). *Pentimento*, opublikowana w roku 1973, cztery miesiące była na liście



bestsellerów. Trzecia, *Scoundrel Time* (1976), znajdowała się na liście bestsellerów nie krócej niż przez dwadzieścia trzy tygodnie.

Zaproponowano jej pół miliona dolarów za prawo do sfilmowania biografii. Zaczęła się cieszyć zupełnie nową sławą mistrza stylu prozy i poproszono ją o objęcie seminarium piśmiennictwa w Berkeley i MIT (Massachusetts' Institute of Technology). Nagrody i zaszczyty przychodziły jedne po drugich. Uniwersytet Nowojorski wybrał ją Kobiętą Roku, Brandeis nadał jej Medal Sztuki Teatralnej (Theatre Arts Medal), Yeshiva - nagrodę za osiągnięcia (Achievement Award). Otrzymała też Medal MacDowella za wkład do literatury (MacDowell Medal for Contributions to Literature) oraz doktoraty honoris causa uniwersytetów Yale, Columbia i innych.

W 1977 roku Hellman była z powrotem na szczycie hollywoodzkiej socjety, przedstawiana do nagrody Akademii Sztuki Filmowej. W tym samym roku część jej pamiątek pojawiła się w postaci bardzo chwalonego filmu *Julia*, który zdobył z kolei wiele nagród.

Na wschodnim wybrzeżu USA Hellman była królową radykalnej elegancji i najważniejszym trybikiem wśród postępowej inteligencji i ludzi z towarzystwa, którzy się koło niej kłębili. Rzeczywiście Hellman królowała w Nowym Jorku lat siedemdziesiątych tak, jak Sartre królował w Paryżu w latach 1945-1955. Popierała i dobierała najważniejsze komitety. Zestawiała swoje czarne listy i narzucała je za pośrednictwem dziesiątków usłużnych intelektualnych pacholków. Wielkie nazwiska nowojorskich radykałów zbiegały się na jej rozkazy. Część jej władzy wynikała ze strachu, jakim napawała innych. Potrafiła prychnąć komuś w twarz, obrzucić przekleństwami, uderzyć torbą po głowie. W Martha's Vineyard zadziwiała wściekłością, z jaką atakowała tych, którzy przechodzili przez jej ogród w drodze na plażę.

Była teraz bardzo bogata i zatrudniała legion prawników do atakowania najmniejszego sprzeciwu lub naruszenia jej praw. Pochlebcy, którzy sądzili, że oni jedynie oddają jej boską cześć, mogli być nieprzyjemnie oburzeni. Gdy Erie Bentley, przyjaciel Brechta, wystawił poza Broadwayem sztukę przeciw polowaniom na czarownice, *Are You Now or Have You Ever Been!*, zawierającą sceny, w których aktorki czytały fragmenty listów Hellman, ta zażądała honorarium i oświadczyła, że doprowadzi do zawieszenia przedstawień, jeśli właściciele teatru nie spełnią jej życzeń. Szybko załatwiła nakaz sądowy.

Większość ludzi ulegała jej żądaniom. Mówiono o niej, że wydała milion dolarów na wykupienie akcji teatru, by uniknąć procesu o wznowienie w roku 1981 *Lisiego gniazda*. Rzekomo potężne instytucje skakały na jej rozkaz, często zanim wydała jakieś polecenie. Tak na przykład wydawnictwo „Little, Brown” z Bostonu odrzuciło książkę Diany Trilling, gdy autorka odmówiła skreślenia fragmentu krytykującego Hellman. Pani Trilling, która próbowała jedynie bronić swego zmarłego męża Lionela przed złośliwym atakiem Hellman, zawartym w *Scoundrel Time*, powiedziała o niej: „Lillian to najpotężniejsza kobieta, może nawet najpotężniejsza *osobowość*, jaką kiedykolwiek znałam”.

Podstawą władzy Hellman był niezwykley mit, jaki stworzyła o sobie w swych autobiografiach. Pod pewnym względem można to porównać z kanonizacją samego siebie dokonaną przez Rousseau w *Wyznaniach*.

Jak zostało to wielokrotnie wykazane, pamiętniki czołowych intelektualistów - przykłady Sartre'a, de Beauvoir, Russella, Hemingwaya, Gollancza są tutaj oczywiste - to źródła zupełnie niewiarygodne. Spośród owych intelektualnych samouwiebień najbardziej niebezpieczne są te, które rozbrajają czytelnika pozorną szczerością i przyznaniem się do winy. Tak więc dzienniki Tołstoja, chociaż wydają się być rzetelne, w rzeczywistości więcej ukrywają, niż ujawniają. *Wyznania* Rousseau, jak spostrzegli to Diderot i inni, którzy znali ich autora, są starannym ćwiczeniem zakłamania, w sprawie szczerości ukrywającej grzęzawisko fałszu bez dna. Pamiętniki Hellman dostosowują się do tego przebiegłego wzoru. Często przyznaje się do braku precyzji, chaosu i luk w pamięci, dając czytelnikowi wrażenie, że podjęła się ciągłego wysiłku wyławiania ścisłej prawdy z niewyraźnych konturów przeszłości. Stąd gdy tylko pojawiły się jej książki, wielu recenzentów, w tym niektórzy z najbardziej spostrzegawczych, chwalili jej prawdomówność.

W owym chórze pochwał i wrzawie pochlebstw dworzan Hellman w latach siedemdziesiątych podnosiły się też odmienne głosy tych, którzy osobiście doświadczyli jej kłamstw. W szczególności gdy pojawiła się *Scoundrel Time*, relacja Hellman została podważona przez tak znamienite postacie, jak Nathan Glazer w „Commentary”, Sidney Hook w „Encounter”, Alfred Kazin w „Esquire” i Irvin Howe w „Dissent”<sup>22</sup>. Pisarze ci koncentrowali się na ujawnianiu skandalicznych zniekształceń i pominięć. W większości byli nieświadomi jej zmyśleń. Ataki ich były fragmentem wciąż toczącej się bitwy między demokratycznymi liberałami a twardogłowymi stalinowcami i jako takie wywołały stosunkowo mało zainteresowania i nie zadały Hellman poważniejszej szkody.

Ale wtedy Hellman uczyniła poważny błąd w swej ocenie. Dotyczył on obszaru, w którym zwykle czuła się jak u siebie, to jest w dziedzinie propagandy. Otóż Hellman prowadziła od dawna wojnę z Mary McCarthy, trwającą od czasu stalinowsko-trockistowskiego rozłamu wśród amerykańskiej lewicy w latach trzydziestych. Wojnę podtrzymała kłótnia na seminarium w Sarah Lawrence College w roku 1948, gdy Mary McCarthy ujawniła kłamstwa Hellman o Johnie Dos Passosie i Hiszpanii, oraz dalsze kłótnie na konferencji w Waldorf w roku 1949. Odtąd McCarthy wielokrotnie oskarżała Hellman o kłamstwa na wielką skalę, lecz, jak wydawało się, nie czyniła jej szkody. Ale w styczniu 1980, w programie telewizyjnym *The Dick Cavett Show*, McCarthy powtórzyła swoje najbardziej uzasadnione oskarżenia o kłamstwach Hellman: „Powiedziałam niegdyś w jednym z moich wywiadów, że każde słowo, jakie ona pisze, jest kłamstwem, w tym »i« oraz »ja«”. Hellman oglądała program. Jej gniew i upodobanie do sporów sądowych pokonały rozwagę. Rozpoczęła proces o wynagrodzenie szkód ocenionych na 2 225 000 dolarów i prowadziła go z wielką wytrwałością i energią.

Co nastąpiło później, było klasycznym dowodem prawdziwości opinii, że skarga o zniesławienie zwraca jedynie uwagę na oskarżenie. Wcześniejsze oskarżenia o kłamstwa nie dotknęły Hellman. Teraz publiczność nastawiła uszu. Pachniało polowaniem, a może i dopadnięciem zwierzyny. Proces był jednak złą reklamą, pisarze bowiem, którzy skarżą innych pisarzy, nie są nigdy lubiani. Wiedzano, że Hellman jest bogata, podczas gdy McCarthy musiała sprzedać swój dom, by zapłacić koszty procesu.

Przyjaciele obu stron gromadzili pieniądze i śpieszyli z radami, a sprawa, wraz z wstępnymi przesłuchaniami, stała się wielką *story*, zwracając uwagę na sprawę prawdomówności Hellman. Biorąc całą kwestię poważniej, sprawa zapoczątkowała nową intelektualną grę: odkrycie zmyśleń Hellman.

McCarthy, która szybko musiała zapłacić 25 tysięcy dolarów opłat, nie miała innego wyboru, jak nadawać ton, inaczej czekała ją finansowa ruina. Jak pisze William Wright, biograf Hellman: „Skarżąc McCarthy, Hellman zmusiła jeden z najbystrzejszych i najbardziej energicznych umysłów kraju do przebiccia się przez całe *oeuvre* Hellman w poszukiwaniu kłamstwa”<sup>23</sup>. Inni byli szczęśliwi, że mogą się przyłączyć. W wiosennym numerze z 1981 roku szeroko czytanego „Paris Review” ukazał się artykuł Marthy Gellhorn wymieniający i dokumentujący osiem większych kłamstw Hellman o Hiszpanii. A Stephen Spender zwrócił uwagę McCarthy na dziwną sprawę Muriel Gardiner.

Spender miał krótki romans z Muriel, bogatą młodą Amerykanką, niegdyś żoną Anglika, Juliana Gardinera. Udała się ona do Wiednia, by studiować psychiatrię, i przystąpiła tam do konspiracji, walczącej z nazizmem, jako „Mary”, przewożąc korespondencję i ludzi. Zakochała się w antyhitlerowcu, austriackim socjaliście o nazwisku Joe Buttinger i poślubiła go. Gdy w 1939 roku wybuchła wojna, oboje wyjechali z Europy i osiedlili się w stanie New Jersey.

Hellman nigdy nie spotkała Muriel, ale dowiedziała się wszystkiego o niej, jej mężu i działalności konspiracyjnej od swego nowojorskiego adwokata. Ale to właśnie u Hellman bogata dziedziczka amerykańskiej fortuny poślubia środkowoeuropejskiego przywódcę socjalistycznej konspiracji i jest to punkt wyjścia dla *Warty na Renie*, którą Hellman zaczęła pisać pięć miesięcy po przybyciu Buttingerów do New Jersey, choć ostatecznie wątek tego dzieła niewiele miał z nimi wspólnego.

Gdy Hellman przystąpiła do pisania *Pentimento*, wykorzystała ponownie przeżycia Muriel, nazywając ją Julią, ale tym razem włączyła i siebie do wątku książki jako

przyjaciółkę Julii, ukazując się w pochlebnym świetle. Ponadto przedstawiła to jako fakt z własnej autobiografii.

Gdy ukazała się książka, nikt nie zakwestionował relacji Hellman. Muriel jednak ją przeczytała i napisała bardzo przyjazny list do Hellman, wskazując na podobieństwa. Nie otrzymała odpowiedzi, a Hellman zaprzeczała później, że kiedykolwiek otrzymała taki list. Skoro nigdy nie spotkała Muriel, twierdziła, że były dwie amerykańskie agentki konspiracji, „Julia” i „Mary”.

Kim więc była Julia? Już nie żyje - mówiła Hellman. - Jakie było jej prawdziwe nazwisko? Hellman nie ujawniła go: matka Julii wciąż żyje i może być prześladowana przez niemieckich reakcjonistów.

Gdy spory na temat prawdomówności Hellman nie ustawały, Muriel stopniowo zarzuciła wiarę w dobrą wolę Hellman. W roku 1983 Muriel postarała się, by Yale University wydał jej pamiętniki, *Code Name Mary*. Gdy zostały one opublikowane, reporterzy „New York Timesa” i „Time'a” zaczęli zadawać kłopotliwe pytania o *Pentimento* i film *Julia*. Dyrektor Archiwum Austriackiego Ruchu Oporu, dr Herbert Steiner, potwierdził, że była tylko jedna „Mary”.

Czy Julia to Mary, czy też była to postać zmyślona? W każdym bądź razie Hellman została zdemaskowana jako wielka kłamczyni. McCarthy, będąc w kontakcie z Muriel, wniosła wiele z tego materiału do wstępnego postępowania w sprawie o zniesławienie. Później, w czerwcu 1984 roku, „Commentary” opublikował znakomity artykuł Samuela McCrackena z Uniwersytetu Bostońskiego, zatytułowany *Julia i inne fikcje Lillian Hellman (Julia and Other Fictions by Lillian Hellman)*. McCracken przeprowadził olbrzymie badania, przypominające zakrojone na wielką skalę policyjne śledztwo, obejmujące rozkłady kolejowe, linie okrętowe i inne sprawdzalne fakty, składające się na szczegóły relacji Hellman o Julii w *Pentimento*. Po przeczytaniu tego artykułu nikt rozsądnie myślący nie mógł mieć żadnej wątpliwości, że epizod z Julią jest fikcją opartą na prawdziwych przeżyciach kobiety, której Hellman nigdy nie spotkała.

Śledztwo McCrackena zdjęło zasłonę z innego mrocznego zakątka życia Hellman - ujawniło jej pogoń za pieniędzmi. Hellman zawsze była skąpa i skłonność ta wzrastała z wiekiem. Większość jej procesów toczyła się o pieniądze.

Po zgonie Hammetta Hellman nawiązała romans z bogatym mieszkańcem Filadelfii, Arthurem Cowanem. Doradzał jej w kwestiach lokowania kapitału. Pouczył, jak ma wykupić prawa autorskie Hammetta, przejęte przez rząd Stanów Zjednoczonych za jego długie podatkowe. Cowan przekonał władze, by wystawiły prawa autorskie Hammetta na licytację, określając cenę wywoławczą na pięć tysięcy dolarów. Hellman nakłoniła córki Hammetta, by zgodziły się na tę sprzedaż, wmawiając im kłamliwie, że inaczej one same będą odpowiadać za długі ojca. Cowan i Hellman byli jedynymi licytującymi i płacąc po 2500 dolarów wykupili prawa autorskie Hammetta. Hellman zaczęła wkrótce energicznie rozbudowywać tę literacką spuściznę, która przyniosła jej setki tysięcy dolarów - 250 tysięcy dolarów za samą telewizyjną adaptację opowiadania Hammetta.

Kiedy z kolei zmarł Cowan, według relacji Hellman w *Pentimento* nie pozostawił testamentu. McCracken ustalił, że jednak Cowan pozostawił testament, tylko że Hellman nic nie otrzymała, co sugerowało, że pokłócili się przed jego zgonem. Ale Hellman przekonała widocznie siostrę Cowana, że było jego intencją, by Hellman dostała jego część praw autorskich Hammetta, bowiem siostra napisała list zawierający zrzeczenie się praw na rzecz Hellman. Tak więc Hellman aż do swej śmierci cieszyła się wzrastającą wartością *in toto* praw autorskich Hammetta; dopiero w testamencie zapisała coś jego zubożałym córkom<sup>24</sup>.

Lillian Hellman zmarła 3 lipca 1984 roku, w miesiąc po opublikowaniu artykułu McCrackena. Przedtem zawałił się świat fantazji, na którym zbudowała swoją sławę. Niegdyś agresywna królowa radykalnej lewicy, teraz na całej linii przeszła do obrony. Jednakże intelektualnych bohaterów czy bohaterek nie zrzuca się tak łatwo z piedestału. Tak jak chłopci z południowych Włoch nadal składają ofiary i zanoszą prośby do swoich ulubionych świętych, mimo że istnienie tych świętych okazało się czystym wymysłem, tak też miłośnicy postępu trzymają się swoich idoli, nawet gdy są one na glinianych nogach.

Chociaż odrażające postępowanie Rousseau było dobrze znane nawet za jego życia, czciciele rozumu tłoczyli się przy grobie autora *Wyznań* i zinstytucjonowali mit jego boskości.

Żadna rewelacja o postępowaniu Marksa w życiu prywatnym lub o jego publicznej nieuczciwości, choć dobrze udokumentowana, nie zniszczyła - jak się wydaje - wiary jego zwolenników w to, że był człowiekiem prawym.

Powolny upadek Sartre'a i monotonna głupota jego późniejszych poglądów nie przeszkodziły pięćdziesięciu tysiącom paryskich „uświadomionych” zjawić się na jego pogrzebie.

Pogrzeb Hellman w Martha's Vineyard zgromadził również doborową publiczność. Wśród notabli liberalnej lewicy, którzy przybyli złożyć jej hołd, byli Norman Mailer, James Reston, Katherine Graham, Warren Beatty, Jules Pfeiffer, William Styron, John Hersey i Carl Bernstein.

Hellman pozostawiła prawie cztery miliony dolarów, z których większość trafiła do dwóch funduszy powierniczych. Jednym z nich był fundusz Dashiella Hammetta (Dashiell Hammett Fund), który miał udzielać grantów „kierując się przekonaniem politycznymi, społecznymi i ekonomicznymi, oczywiście radykalnymi, zmarłego Dashiella Hammetta, który wierzył w doktrynę Karola Marksa”.

Pomimo wszystkich rewelacji i ujawnienia tak wielu fałszerstw mit Lillian Hellman istnieje nadal. W styczniu 1986 roku, to jest w osiemnaście miesięcy po jej śmierci, odbyła się w Nowym Jorku premiera hagiograficznej sztuki *Lillian* i została dobrze przyjęta. Choć lata osiemdziesiąte dobiegły końca, wciąż palą się ofiarne świece przed ołtarzem bogini rozumu i odprawiane są świeckie msze.

Czy Lillian Hellman, podobnie jak jej bohater Stalin, zostanie w końcu zapomniana, czy też ze swoimi bajeczkami nadal będzie walczącym symbolem myśli postępowej? Zobaczymy. Doświadczenie ostatnich dwustu lat sugeruje jednak, że jeszcze długo ona i jej kłamstwa cieszyć się będą życiem.

## Przypisy Rozdział 12

1. William Wright, *Lillian Hellman: The Image; the Woman*, London 1987, s. 16-18.
2. *Ibidem*, s. 22-23, 327.
3. Autobiografia Lillian Hellman ma trzy części: *An Unfinished Woman*, Boston 1969; *Pentimento*, Boston 1973; *Scoundrel Time*, Boston 1976.
4. Wright, *op. cit.*, s. 51.
5. Są dwie biografie Hammetta: Richard Layman, *Shadow Man: The Life of Dashiell Hammett*, New York 1981, i Dianę Johnson, *The Life of Dashiell Hammett*, London 1984.
6. Johnson, *op. cit.*, s. 119 i n.
7. *Ibidem*, s. 129-130.
8. *Ibidem*, s. 170-171.
9. Wright, *op. cit.*, s. 285.
10. *Ibidem*, s. 102.
11. Zob. Mark W. Estrin, *Lillian Hellman: Plays, Films, Memoirs*, Boston 1980; Bernard Dick, *Hellman in Hollywood*, Palo Alto 1981.
12. Cytuje Wright, *op. cit.*, s. 326.
13. *Ibidem*, s. 295.
14. Zob. Harvey Klehr, *The Heyday of American Communism*, New York 1984.
15. Wright, *op. cit.*, s. 129, 251 i n., 361-362.
16. *Ibidem*, s. 161.
17. *Ibidem*, s. 219-220.
18. „New York Times”, 2 III 1945.
19. Wright, *op. cit.*, s. 244-256.
20. Johnson, *op. cit.*, s. 287-289.
21. Wright, *op. cit.*, s. 318.
22. „Commentary” VI 1976, „Encounter” II 1977; „Esquire” VIII 1977; „Dissent” jesień 1976.

23. Wright, *op. cit.*, s. 395.
24. *Ibidem*, s. 295-298, 412-413.

### 13. Odlot rozumu

Pod koniec II wojny światowej nastąpiła znacząca zmiana w dążeniach świeckich intelektualistów, przesunięcie akcentu z utopizmu na hedonizm. Przesunięcie to, zrazu bardzo powolne, później nabrało tempa. Początki tego procesu najlepiej można prześledzić rozpatrując poglądy i stosunki między trzema pisarzami angielskimi, urodzonymi w roku 1903. Są to: George Orwell (1903-1950), Evelyn Waugh (1903-1966) i Cyril Connolly (1903-1974). Dałoby się ich określić jako: Starego Intelektualistę, Antyintelektualistę i Nowego Intelektualistę.

Waugh zaprzyjaźnił się z Orwellem dopiero wtedy, gdy autora Folwarku zwierzęcego dosięgła śmiertelna choroba. Waugh i Connolly spierali się ze sobą całe dorosłe życie. Orwell i Connolly znali się od czasów szkoły. Każdy z tych pisarzy patrzył ostrożnie, sceptycznie, czasem z zazdrością na pozostałych. Connolly, odczuwający osobiście niepowodzenia całej trójki, napisał pełen żalu nad sobą dwuwiersz na egzemplarzu Wergiliusza, który podarował krytykowi teatralnemu T. C. Worsleyowi:

„W Eton uczył się z Orwellem, Waugh z nim studiował w Oksfordzie.  
Potem nikim pozostał, tak jak przedtem był nikim”<sup>1</sup>.

Było to jednak dalekie od prawdy. Pod pewnymi względami okazał się najbardziej wpływowy spośród nich trzech.

Orwell, o którym najpierw będziemy mówić, był niemal klasycznym przykładem Starego Intelektualisty w tym sensie, że dla niego polityczne zaangażowanie się w osiągnięciu utopijnej, socjalistycznej przyszłości było oczywistym zamiennikiem religijnego idealizmu, w który nie mógł uwierzyć. Bóg mógł dla niego nie istnieć. Pokładał swą wiarę w człowieku, ale przyjrząwszy się bliżej obiektowi swego nabożeństwa, wiarę tę utracił.

Orwell, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Eric Blair, pochodził z rodziny niższej rangi twórców Imperium Brytyjskiego i przypominał ich wyglądem. Był wysoki, szczupły, z krótko ostrzyżonymi włosami i ostro przyciętym wąsem. Jego dziadek z linii ojca służył w armii indyjskiej, a dziad z linii matki handlował drzewem tekowym w Birmie. Ojciec pracował w kolonialnym rządzie Indii.

Orwell chodził z Connollym do tej samej modnej szkoły prywatnej, a później obaj uczyli się w Eton. Posłano go do kosztownej szkoły, albowiem - podobnie jak Connolly - był zdolnym chłopcem, po którym spodziewano się, że uzyska stypendium i przyniesie zaszczyt szkole. Faktycznie obaj chłopcy napisali zabawną, choć miażdżącą relację o szkole, która przyniosła jej szkodę<sup>2</sup>. Esej Orwella Takie to były radości (Such, Such Were the Joys) jest nietypowo przesadny i nawet kłamliwy. A. S. F. Gow, jego wychowawca z Eton, który znał dobrze tę prywatną szkołę, wierzył, że Orwell został przekupiony przez Connolly'ego w celu napisania tego krzywdzącego oskarżenia<sup>3</sup>. Jeśli tak rzeczywiście było, był to jedyny przypadek, gdy Connolly przekonał Orwella, by postąpił nieetycznie, zwłaszcza że chodziło o kłamstwo. Orwell - jak powiedział przez zaciśnięte zęby Victor Gollancz - był aż do bólu prawdomówny.

Po opuszczeniu Eton Orwell przez pięć lat służył w indyjskiej policji, od roku 1922 do 1927. W policji poznał imperializm od podszewki, był obecny przy egzekucjach i karaniu chłostą i uznał, że znieść tego nie potrafi. Właściwie jego dwa znakomite eseje: Wieszanie (A Hanging) i Zabicie słonia (Shooting an Elephant) być może bardziej przyczyniły się do podważenia ducha imperium w Wielkiej Brytanii niż jakiegokolwiek inne pisma<sup>4</sup>.

Wrócił do Anglii na urlop, podał się do dymisji i zdecydował, że będzie pisarzem. Wybrał pseudonim George Orwell, choć rozważał inne warianty, jak P. S. Burton, Kenneth Miles i H. Lewis Always<sup>5</sup>.

Orwell był intelektualistą w tym sensie, że wierzył, przynajmniej w młodości, iż świat można przemienić siłą intelektu. Myślał więc w kategoriach idei i pojęć. Jednakże jego natura i, być

może, policyjna zaprawa obdarzyły go namiętą ciekawością ludzi. Instykt policjanta z pewnością mówił mu, że rzeczy nie są tym, na co wyglądają, i że tylko śledztwo i bliższe rozpoznanie mogą wydobyć prawdę.

Stąd, odmiennie od większości intelektualistów, Orwell przedsięwziął karierę socjalistycznego idealisty, badając z bliska życie klasy robotniczej. Łączyło go to z Edmundem Wilsonem, który podzielał jego namiętność do ścisłej prawdy. Orwell był jednak o wiele bardziej wytrwały od Wilsona w poszukiwaniu wiedzy o robotnikach i przez wiele lat to poszukiwanie doświadczenia pozostawało głównym tematem jego życia.

Najpierw wynajął pokój w Notting Hill, wówczas londyńskiej dzielnicy ruder. Później, w 1929 roku, pracował w Paryżu jako pomywacz i tragarz w kuchni. Zachorował jednak na zapalenie płuc - cierpiał potem na gruźlicę, która zabiła go w wieku czterdziestu siedmiu lat - i przygoda skończyła się krótkim pobytem w paryskim szpitalu dla ubogich, epizodem opisanym w mące w Nędzarzu w Paryżu i Londynie (*Down and Out in Paris and London*, 1933). Żył później z włóczęgami i zbieraczami chmielu, stołował się w robotniczej rodzinie w przemysłowym mieście Wigan w hrabstwie Lancashire i prowadził wiejski sklep. Wszystkie te zajęcia miały jeden cel: „Czułem, że muszę uciec nie tylko od imperializmu, ale i od wszelkiej formy panowania jednego człowieka nad drugim. Chciałem się zanurzyć, dotrzeć do sedna sprawy wśród uciskanych, być jednym z nich i stać po ich stronie przeciw tyranom”<sup>6</sup>.

Gdy więc wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, Orwell nie tylko poparł moralnie republikę - jak uczyniło to dziewięćdziesiąt procent zachodnich intelektualistów - ale i faktycznie o nią walczył. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że walczył o nią w szeregach, jak się miało okazać, najbardziej zgnębianej i umęczonej części armii republikańskiej, anarchistycznej milicji POUM.

To doświadczenie okazało się istotne dla całej reszty jego życia. Charakterystyczne było to, że Orwell chciał najpierw pojechać do Hiszpanii i przekonać się samemu, jaka jest tam sytuacja, zanim podejmie decyzję, co mu czynić wypada. Ale dostać się do Hiszpanii było trudno, wjazd był właściwie kontrolowany przez partię komunistyczną. Orwell udał się najpierw do Victora Gollanca, ten polecił go Johnowi Stracheyowi, a ten z kolei Harry'emu Pollittowi, sekretarzowi generalnemu KC KP Wielkiej Brytanii. Jednakże Pollitt gotów był zaopatrzyć Orwella w list polecający, jeśli ten wprawdzie zgodzi się wstąpić do kontrolowanej przez komunistów Brygady Międzynarodowej. Orwell odmówił, nie dlatego że miał coś przeciw Brygadzie - próbował rzeczywiście do niej wstąpić w Hiszpanii w następnym roku - ale dlatego że zamknęłoby mu to możliwość dokonania wyboru, zanim by poznał fakty.

Tak więc Orwell zwrócił się do lewicowego ugrupowania, znanego jako Niezależna Partia Pracy (*Independent Labour Party*). Skierowali oni Orwella do Barcelony i skontaktowali z anarchistami - w ten sposób wstąpił do milicji POUM.

Duże wrażenie wywarła na nim Barcelona: „Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w mieście, gdzie klasa robotnicza była u władzy”, a jeszcze większe milicja: „Wiele postaw życiowych, charakterystycznych dla rozwiniętych społeczeństw, takich jak snobizm, pogoń za pieniędzmi, lęk przed przełożonymi, przestało tutaj w naturalny sposób istnieć. Zatarły się zwykłe podziały klasowe i to w stopniu prawie niewyobrażalnym dla mieszkańców już i tak zdeprawowanej przez pieniądź Anglii...”<sup>7</sup>.

Walkę, w której został ranny, uznał za doświadczenie w pewien sposób podnoszące na duchu i napisał list z łagodnymi wyrzutami do Connolly'ego, który - tak jak większość intelektualistów - oglądał wojnę po prostu jako „zainteresowany” turysta: „Szkoda, że nie przyjechałeś na naszą pozycję i nie zobaczyłeś się ze mną, gdy byłeś w Aragonii. Miałbym przyjemność zrobienia ci herbaty w schronie”<sup>8</sup>.

Orwell opisał służbę w milicji: „Należało się do społeczności, dla której życie nadzieją było bardziej naturalne niż skłonność do apatii i cynizmu i dla której słowo »towarzysz«

oznaczało braterstwo, a nie, jak w większości krajów - oszustwo. Oddychało się atmosferą równości". Tam „nikt nie gonił za zyskiem, mimo że brakowało wszystkiego, nie było płaszczenia się i przywilejów". Tam też „każdy widział na własne oczy, chociażby w ogólnych zarysach, jak mogą wyglądać pierwsze etapy socjalizmu". W zakończeniu pisał do domu: „Widziałem cudowne rzeczy i w końcu naprawdę wierzę w socjalizm, jak nigdy przedtem"<sup>9</sup>.

Nastąpiły później nieszczęsne zdarzenia z komunistyczną czystką anarchistów, dokonaną na rozkaz Stalina. Tysiące towarzyszy Orwella zostało po prostu zamordowanych lub wtrąconych do więzienia, torturowanych i straconych. On sam szczęśliwie uszedł z życiem. Wiele wyjaśniły mu trudności, jakie napotkał po powrocie do Anglii, w opublikowaniu relacji o tych strasznych wydarzeniach. Ani Victor Gollancz w Klubie Książki Lewicowej (Left Book Club), ani Kingsley Martin w „New Statesman" - kierujący dwoma najpoważniejszymi instytucjami w Wielkiej Brytanii informującymi opinię postępową - nie pozwolili mu opublikować prawdy. Orwell został więc zmuszony udać się gdzie indziej.

Orwell zawsze stawiał doświadczenie przed teorią i te wydarzenia udowodniły, że miał rację. Teoria uczyła, że lewica będąc u władzy zachowa się sprawiedliwie i z szacunkiem dla prawdy. Doświadczenie pokazało mu, że lewica jest zdolna do popełnienia niesprawiedliwości i okrucieństw w stopniu dotychczas prawie nie znanym - mogą z nimi jedynie rywalizować potworne zbrodnie niemieckich nazistów - i gotowa jest stłumić prawdę w imię popieranej przez siebie wyższej prawdy. Doświadczenie, potwierdzone przez to, co się stało w czasie II wojny światowej, gdy wszystkie wartości, w tym i lojalność, uległy pomieszaniu, nauczyło go także, że istoty ludzkie znaczą więcej od abstrakcyjnych idei.

Orwell nigdy nie zarzucił całkowicie wiary w to, że lepsze społeczeństwo może być stworzone siłą idei, i pod tym względem pozostał intelektualistą. Zmienił się kierunek jego ataku: atakował teraz nie tradycyjne, kapitalistyczne społeczeństwo, a oszukańcze utopie, jakimi próbowali je zastąpić tacy intelektualiści, jak Lenin.

Dwie największe książki Orwella, *Folwark zwierzęcy* (1945) i *Rok 1984* (1949), były zasadniczą krytyką realizowanych abstrakcji - totalitarnej kontroli nad umysłem i ciałem, czego żądała utopia, oraz „wypaczeń, którym podlega gospodarka scentralizowana"<sup>10</sup>.

Taka zmiana akcentu z konieczności doprowadziła Orwella do zajęcia bardzo krytycznej postawy wobec samych intelektualistów. Współgrało to dobrze z jego charakterem, który można raczej określić jako zdyscyplinowany, a nie cygański. W jego dziełach są rozproszone takie uwagi, jak na temat Ezry Pounda: „...ma się prawo oczekiwać zwykłej przyzwoitości nawet od poety". Aksjomatem Orwella było, że biedak, „przeciętny człowiek", ma silniejsze od ludzi wykształconych poczucie tego, co jest „zwykłą przyzwoitością", silniejsze przywiązanie do prostych wartości, jak uczciwość, lojalność i prawdomówność.

Gdy Orwell zmarł w roku 1950, jego ostateczny cel polityczny był niejasny i wciąż zaliczano go do lewicowych intelektualistów. Gdy sława jego wzrosła, lewica i prawica walczyły, właściwie walczą dotąd, o tytuł jego wierności. W ciągu czterdziestu lat, które minęły od śmierci Orwella, jest on coraz częściej używany jako pałka do bicia intelektualnych koncepcji lewicy. Intelektualiści, którzy najmocniej odczuwają solidarność ze swą klasą, długo uważali go za wroga.

Tak więc Mary McCarthy - czasem niejednolita w swych poglądach politycznych, ale nie w świadomości kastowej - w swym eseju oceniała go surowo: Orwell był „konserwatystą z usposobienia, w przeciwieństwie do emerytowanego pułkownika lub robotnika, aż do skrajności w postępowaniu, ubiorze lub poglądach"; był „raczującym filistrem", „rzeczywiście był filistrem". Socjalizm Orwella był „niezbadaną ideą, poczętą poza nim, zwykłą tyradą". Jego pogoń za stalinowcami była „jedynie wynikiem osobistej niechęci".



„Polityczne niepowodzenie ... było niepowodzeniem jego poglądów". Jeśliby żył, z pewnością przesunąłby się ku prawicy, tak że „błogosławieństwem dla niego okazało się prawdopodobnie to, że zmarł"<sup>11</sup>. (Ten ostatni pogląd - lepszy martwy niż antykomunista - jest uderzającym przykładem priorytetów dla pierwowzorów intelektualistów.)

Jedną z przyczyn odsunięcia się zawodowych intelektualistów od Orwella było jego coraz wyraźniejsze przekonanie, że skoro słuszne jest ciągle poszukiwanie rozwiązań politycznych - „tak właśnie jak lekarz musi próbować ratować życie pacjenta, który prawdopodobnie umrze" - to powinniśmy zacząć „od uznania, że zachowanie polityczne jest w dużej mierze nieracjonalne" i dlatego z zasady niepodatne na ten rodzaj rozwiązań, jaki zwykle próbują narzucić intelektualiści<sup>12</sup>. W miarę jak intelektualiści stawali się coraz bardziej podejrzliwi wobec Orwella, to ci o odmiennych przekonaniach - czyli literaci - byli skłonni go polubić.

Evelyn Waugh, na przykład, nigdy nie przestał doceniać znaczenia czynnika irracjonalnego w życiu. Nawiązał korespondencję z Orwellem i odwiedził go w szpitalu; gdyby Orwell żył nadal, przyjaźń ich z pewnością by się rozwinęła. Przede wszystkim doszli do wspólnego wniosku, że pisarz, którego podziwiali, P. G. Wodehouse, nie powinien być represjonowany za swe nierozsądne (ale zupełnie nieszkodliwe w porównaniu z Ezrą Poundem) wojenne audycje radiowe. W tej sprawie obaj, Orwell i Waugh, nalegali, by jednostka okazała się ważniejsza od abstrakcyjnego pojęcia sprawiedliwości ideologicznej.

Waugh szybko uznał Orwella za potencjalnego zdrajcę szeregów inteligencji. Notował w swym dzienniku pod datą 31 sierpnia 1945: „Zjadłem dziś obiad z moim komunistycznym kuzynem Claudem [Cockburnem], który ostrzegał mnie przed literaturą trockistowską, tak więc przeczytałem z dużą przyjemnością *Folwark zwierzęcy* Orwella"<sup>13</sup>. Podobnie uznał siłę oddziaływania Roku 1984, choć uważał za nieprawdopodobne, by nie przetrwał duch religijny, który by stawiał opór odmalowanej przez Orwella tyranii. W swym ostatnim liście do Orwella, z 17 lipca 1949, Waugh podniósł tę sprawę dodając: „Niech pan patrzy, tak mnie pańska książka podnieciła, że zaryzykowałem wygłoszenie kazania"<sup>14</sup>.

Jeśli Orwell z oporem i opóźnieniem przyjął niepowodzenie utopii z racji istotnego absurdu ludzkiego postępowania, to Waugh podtrzymywał krzykliwie taką opinię przez większą część swego dorosłego życia. Rzeczywiście, żaden wielki pisarz, nawet Kipling, nigdy nie przedstawił lepiej postawy antyintelektualnej. Waugh, podobnie jak Orwell, wierzył w doświadczenie osobiste, w poznanie sprawy własnym okiem, będąc przeciwny teoretycznemu fantazjowaniu. Warto odnotować, że chociaż nie starał się, jak Orwell, żyć wraz z ludźmi gnębnymi, był jednak nałogowym podróżnikiem i odwiedzał często odległe i trudno dostępne rejony. Waugh spotkał wielu ludzi, był uczestnikiem wielu wydarzeń i miał zarówno praktyczną, jak i książkową wiedzę o świecie.

Pisząc o sprawach poważnych, Waugh wykazywał nadzwyczajny szacunek dla prawdy. Jedno z jego dzieł politycznych, opis meksykańskiego reżimu rewolucyjnego, zatytułowany *Robbery Under Law* (1939), poprzedza apel do czytelników. Wyjaśnił w pełni i dokładnie, co uprawniło go do pisania na ten temat i jak wydało mu się to nie odpowiadające wymaganiom. Zwrócił uwagę na książki tych autorów, których poglądy były odmienne niż jego własne, i ostrzegł czytelników, by nie opierali swoich opinii o tym, co się dzieje w Meksyku, tylko na jego relacjach. Waugh podkreślał, że boleje nad literaturą „zaangażowaną". Czytelników, jak pisał, „znużeni przywilejem istnienia wolnej prasy", postanowili „narzucić sobie dobrowolną cenzurę", organizując kluby książki - miał na myśli Klub Książki Lewicowej (LBC) Gollancza - będą więc „zupełnie pewni, że cokolwiek przeczytają, będzie napisane z zamiarem potwierdzenia ich dotychczasowych poglądów". Oddając sprawiedliwość swoim czytelnikom, Waugh uznał za słuszne podsumować własne przekonania.

Pisał, że jest konserwatystą i wszystko, co zobaczył w Meksyku, umocniło jego poglądy. Człowiek z natury swojej „jest wygnańcem na tej ziemi i nigdy nie będzie ani samowystarczalny, ani doskonały”. Sądził, że szanse człowieka na osiągnięcie szczęścia „nie są bardzo pomniejszone przez warunki polityczne czy ekonomiczne, w jakich człowiek żyje”, i że nagle zmiany w położeniu człowieka zwykle pogarszają sprawy, „a bronią ich źli ludzie, powodowani złymi zamiarami”.

Waugh wierzył w rząd: „Ludzie nie mogą żyć razem nie kierując się zasadami”, które jednak „winny ograniczać się do minimum bezpieczeństwa”. „Żadna forma rządu dana przez Boga ... nie jest lepsza od innej”, a jeśli „anarchiczne elementy społeczeństwa” są zbyt silne, to „trzeba zająć się jedynie utrzymaniem pokoju”.

Według Waugha nierówności bogactwa i stanowisk są „nieuniknione”, przeto „dyskusje nad korzyściami ich usunięcia są bez znaczenia”. Faktycznie ludzie „z natury rzeczy dopasowują się do systemu klasowego”, jest on bowiem „konieczny dla pracy zespołowej”. Wojna i podbój są także nie do uniknięcia. Sztuka jest naturalną funkcją człowieka i „zdarza się”, że największa sztuka powstaje „w systemach tyranii politycznej”, chociaż, jak pisał Waugh, „nie sądzę, by wiązała się ona z jakimś szczególnym systemem”. W końcu Waugh oświadczył, że jest patriotą w tym sensie, że nie uważa, by brytyjski dobrobyt komuś innemu koniecznie szkodził, ale jeśli tak się zdarzyło, to „chcę, by Wielkiej Brytanii dobrze się wiodło, a nie jej rywalom”.

Waugh opisał więc aktualny stan społeczeństwa i jakie w nim winny nastąpić zmiany oraz własne stanowisko. Oczywiście miał swoją wyidealizowaną wizję tego społeczeństwa, ale będąc antyintelektualistą bez skrupowania przyznawał, że nie jest ona możliwa do urzeczywistnienia. Jego idealne społeczeństwo, opisane we wstępie do książki opublikowanej w roku 1962, miało cztery warstwy. Na szczycie było „źródło zaszczytu i sprawiedliwości”. Tuż poniżej byli „mężczyźni i kobiety, których władza pochodzi z góry, a są oni strażnikami tradycji, moralności i przyzwoitości”. Muszą być „gotowi do poświęceń”, ale są zabezpieczeni „przed zarazkami korupcji i ambicji dzięki dziedzicznemu władaniu”, są „karmicielami sztuk i cenzorami obyczajów”.

Poniżej znajdują się „klasy przemysłu i wykształcenia”, ćwiczone od dzieciństwa „w obyczajach uczciwości”. Na samym dole zaś wyrobnicy ręczni, „dumni ze swoich umiejętności i związani z tymi, którzy są wyżej, wspólną wiernością dla monarchy”.

Waugh wyciągał w końcu wnioski, że idealne społeczeństwo unieśmiertelnia siebie: „W ogóle to człowiek jest najlepiej przystosowany do tych zadań, które widział wykonywane przez swego ojca”. Jednakże taki ideał „nigdy w historii nie istniał ani istnieć nie będzie”, zresztą „co roku oddalamy się od niego coraz bardziej”.

Mimo wszystko Waugh nie był defetystą. Nie wierzył bowiem, jak mówił, w oplakiwanie, a później bicie pokłonów przed duchem epoki: „duch epoki jest duchem tych, którzy go tworzą, i im silniejsze są wyrazy sprzeciwu wobec panującej mody, tym większe prawdopodobieństwo zawrócenia go z drogi ku zgubie”<sup>15</sup>.

Waugh stale i odpowiednio do swego olbrzymiego talentu „sprzeciwiał się panującej modzie”. Jednakże wyznając takie poglądy, oczywiście powstrzymywał się od udziału w polityce jako takiej. Ujął to następująco: „Nie pragnę doradzać memu władcy w wyborze jego sług”<sup>16</sup>.

Sam unikał polityki. Ubolewał również, że tak wielu z jego przyjaciół i współczesnych, nie tylko Cyril Connolly, uległo w latach trzydziestych duchowi epoki, zdradziło literaturę i oddało się politykowaniu.

Connolly fascynował Waugha, który pisał o nim w kilku swoich książkach i w sposób błyskotliwy komentował wypowiedzi Connolly'ego. Skąd takie zainteresowanie Connollym? Były tego dwa powody.

Po pierwsze, Waugh uważał Connolly'ego za godnego uwagi z powodu znakomitego dowcipu i umiejętności „ujmowania w lapidarnej formie, zdanie po zdaniu, rozkosznych ćwiczeń z parodii, wyśmienitej narracji, błyszczących metafor”, czasami „uderzająco oryginalnych”<sup>17</sup>. Jednocześnie Connolly'emu brakowało poczucia struktury literackiej, architektury - jak wolał to określać Waugh - a także wytrwałej energii, dlatego nie mógł stworzyć większego dzieła. Była to według Waugha wielce interesująca cecha.

Po drugie, i było to o wiele ważniejsze, Waugh uznawał Connolly'ego za reprezentatywnego ducha swych czasów, a więc kogoś, kogo trzeba obserwować jak rzadkiego ptaka. W swoim egzemplarzu *The Unquiet Grave* Connolly'ego, obecnie przechowywanym w Ośrodku Badawczym Nauk Humanistycznych (Humanities Research Center) uniwersytetu stanu Teksas w Austin, Waugh poczynił wiele uwag o charakterze Connolly'ego: był on, jak pisał, „najbardziej typowym człowiekiem mojego pokolenia”, z „autentycznym brakiem erudycji”, „ukochaniem bezczynności, swobody i dobrobytu”, „romantycznym snobizmem”, „trwonieniem i rozpaczą”, „wielkim talentem wypowiedzi”. Jednocześnie „krępowało go lenistwo” i dokuczała mu bardzo irlandzkość. I choć starał się to ukryć, „był Irlandczykiem w znoszonym ubraniu, imigrantem tęskniącym za domem, zawstydzonym, bardzo śmiesznym w domu publicznym, z gotowym cytatem na ustach, bojącym się wiedźm i boginek, dumnym ze swoich wyczynów”; miał też Connolly „głębokie przekonanie Irlandczyka, że na świecie liczą się jedynie dwie rzeczywistości: piekło i USA”<sup>18</sup>.

W latach trzydziestych Waugh ubolewał, że Connolly pisał „o ostatnich wydarzeniach literackich” nie jak pisarz, który „wykorzystuje swój talent i poszukuje go na swój sposób”, ale że traktował te wydarzenia jako „serię »ruchów«, podkopów, bombardowań i okrążeń lub też partyjnych albo wyborczych oszustw. Zapewne odzywał się w nim Irlandczyk”. Potępił Connolly'ego ostro, że „wpadł w szpony zaangażowania”, w „zimny, wilgotny wilczy dół polityki, do którego wjechali poślizgiem jego przyjaciele”. Waugh uważał to za „przykry koniec tak wielkiego talentu, za najbardziej zdradliwego wroga obietnicy”<sup>19</sup>. Sądził, że opętanie Connolly'ego polityką nie będzie trwało długo i że jest on zdolny do dokonania rzeczy jeśli nie lepszych, to z pewnością innych. W każdym bądź razie, jak ktoś taki jak Connolly może radzić ludzkości, jak ma kierować swymi sprawami?

No właśnie! Nie będąc złym człowiekiem, Connolly odznaczał się charakterystycznymi moralnymi słabościami intelektualisty, i to w zadziwiającej mierze. Po pierwsze, choć wyznawał zasady równości, przynajmniej gdy było to modne w latach 1930-1950, pozostał do końca życia snobem. „Nic nie rozjuszało mnie bardziej niż to, że traktowano mnie jak Irlandczyka” - skarżył się, wskazując, że Connolly było jedynym irlandzkim nazwiskiem wśród nazwisk ośmiorga pradziadków. Pochodził z rodziny zawodowych żołnierzy i żeglarzy. Ojciec jego był nie wyróżniającym się oficerem, natomiast dziadek admirałem, a ciotka hrabiną Kingston.

W roku 1953, w nie podpisanym szkicu w gazecie „*New Statesman*”, krytyk John Raymond stwierdził, że Connolly sfalszował szczegóły swej biografii w *Enemies of Promise*. Gdy oryginalne wydanie z roku 1938 (i dlatego „proletariackie”) przemilczało jego znakomite i majątkowe koligacje, to zostały one pracowicie przywrócone w poprawionym wydaniu z 1948 roku, gdy już uległy zmianie intelektualne mody. Connolly, jak odnotował Raymond, zawsze był „skłonny do korzystania z takich kulturalnych prądów”: „Nikt inny nie znał lepiej postaw, oszustw, blichtru literatury angielskiej w ostatnim ćwierćwieczu”<sup>20</sup>.

Snobizm jego datował się od dawna. Podobnie jak wielu innych czołowych intelektualistów, na przykład Sartre, Connolly był jedyakiem. Matka go uwielbiała, nazywała Brzdącem (Sprat). Był zepsutym dzieckiem, egocentrykiem, brzydalem, nie brał udziału w zabawach i uznał internat za trudny do zniesienia. Przetrwał po pierwsze dzięki temu, że kręcił się wokół dobrze urodzonych młodzieńców i uczestniczył w ich „zabawach”.

„W tym semestrze - pisał z uniesieniem do matki - jest tu okropnie dużo arystokracji ... syjamski książę, wnuk lorda Chelmsforda, syn wicehrabiego Maldena, który jest synem księcia Essex, jeszcze jeden wnuk lorda i bratanek biskupa Londynu”<sup>21</sup>. Po drugie, przeżył dzięki swemu dowcipowi. Podobnie jak Sartre, odkrył szybko, że intelektualny dowcip, zwłaszcza umiejętność rozśmieszania innych, przynosi mu pewne, choć skromne uznanie. Zanotował później, że „poszła wokół wiadomość”, że „Connolly to śmieszny chłopak”, i „wkrótce gromadził się koło mnie tłum”.

Jako nadworny błazen bardziej wpływowych młodzieńców Connolly miał się dobrze i w Eton, choć tam dał się poznać także i na polu mądrości: „Stałem się jakby Sokratesem niższych klas college'u”. Znany jako „stypendysta kopnięty w głowę przez muła”, Connolly posłużył się darami swego intelektu, by dostać się do wartego pożądanego „szczytu”, przejście więc do Oksfordu było sprawą prawie naturalną. Współczesny mu lord Jessel powiedział: „No tak, dostał pan stypendium Balliol College i to jest w Oksfordzie najważniejsze - wcale bym się nie dziwił, jeśli by pan nic innego nie zrobił do końca życia”.

Niewiele brakowało, o czym Connolly wiedział, by ta przepowiednia się sprawdziła. Connolly był bardzo bystry, dostrzegał wiele zarówno u siebie, jak i u innych. Wcześniej stwierdził, że z natury jest hedonistą, celem, jaki sobie wyznaczył, była nie tyle doskonałość, ile „doskonałość w szczęściu”. Ale jak miał stać się szczęśliwy bez odziedziczonych pieniędzy, będąc zmuszony sam się o nie starać?

Waugh miał rację, gdy wskazywał na jego lenistwo. Connolly sam przyznawał, że „to lenistwo uczyniło mnie kaleką”. W Oksfordzie pracował mało i zajął trzeciorzędą lokatę. Wylądował więc na łatwej posadzie sekretarza bogatego pisarza Logana Pearsalla Smitha, który przydzielił mu kilka zadań z pensją tygodniową ośmiu funtów, co było dość sporą sumą w tamtych czasach. Smith miał nadzieję stać się drugim Boswellem, ale wkrótce się rozczarował, gdyż wymagało to wielkiej wytrwałości i pracowitości.

Connolly wkrótce ożenił się z majątną kobietą, Jean Bakewell, z dochodem tysiąca funtów rocznie. Wydawał się być w niej zakochany, ale oboje byli zbyt dużymi egoistami, by mieć dziecko. Doszło do źle wykonanego zabiegu sztucznego poronienia w Paryżu, zmuszającego Jean do poddania się operacji, po której nie mogła mieć już nigdy dzieci; nastąpiły zakłócenia w pracy gruczołów dokrewnych, nadmierne tycie i Connolly stracił zainteresowanie dla Jean.

Zresztą wydaje się, że nie zajął on nigdy dojrzałej postawy wobec kobiet. Przyznawał, że dla niego „miłość” przybiera formę „ekshibicjonizmu jedyne dziecko”. Oznacza również „pragnienie złożenia mojej osobowości u czyichś stóp, tak jak szczeniak przynosi do stóp właściciela oślinioną piłkę”<sup>22</sup>.

Tymczasem pieniądze Jean wystarczyły, by nie musiał podejmować regularnej pracy. Dzienniki Connolly'ego, prowadzone w latach 1928-1937, pokazują następstwa: „Leniwy ranek. Nadzwyczaj leniwy ranek, lunch o drugiej”. „Leżę na sofie, próbując sobie wyobrazić żółty promień słońca wędrujący po białej ścianie.” „Za dużo bezczynności. W takiej sytuacji za bardzo jest się skłonny opierać na kimś lub na czymś, a to przeważnie się nie udaje.”<sup>23</sup>. Właściwie Connolly nie był tak leniwy, za jakiego lubił się podawać. Ukończył *Enemies of Promise*, ostrą krytykę kierunków literackich, która, ostatecznie opublikowana w 1938 roku, okazała się jedną z najważniejszych książek tego dziesięciolecia.

Gdy nadeszła wojna w Hiszpanii, Connolly w porę się rozpolitykował: jeździł do Hiszpanii trzykrotnie; było to jakby wielkie tournée, obowiązkowe wśród intelektualistów pewnej klasy, odpowiednik łowów na grubego zwierzka dla inteligencji. Connolly miał listy uwierzytelniające od Harry'ego Pollitta, które się przydały, gdy towarzysz Connolly'ego, W. H. Auden, został aresztowany w Barcelonie za oddanie moczu w ogrodach publicznych Monjuich, co było poważnym wykroczeniem w Hiszpanii<sup>24</sup>.

Relacje Connolly'ego z tych wizyt, zamieszczane głównie przez „New Statesmana”, były pełne ostrego i świeżego kontrastu wobec szarzielonej, zaangażowanej prozy ówczesnych intelektualistów. Wskazują one na wysiłek, z jakim Connolly wykonywał zadania lewicowca. Pisał o sobie: „Należę do jednej z najbardziej niepolitycznych generacji, jaką kiedykolwiek widział świat ... nie mogliśmy wcześniej uczestniczyć w wiecu politycznym, najpierw musieliśmy pójść do kościoła”.

Ci, którzy zajęli „bardziej realistyczną” postawę - jak Evelyn Waugh i Kenneth Clark - pojęli, iż „życie, jakie prowadzą, zależy od bliskiej współpracy z klasą rządzącą”. Reszta „wahała się”, dopóki nie wybuchła wojna w Hiszpanii: „zaczęli [teraz] w pełni myśleć politycznie, jak sędzę, dzięki zainteresowaniu sprawami zagranicznymi”.

Connolly szybko jednak zauważył, że wiele osób należy do lewicy, bo ma nadzieję na karierę lub „nienawidzi własnego ojca, lub było im źle w publicznej szkole albo obrażono je na komorze celnej, czy wreszcie miało kłopoty z seksem”<sup>25</sup>. Zwrócił wyraźną uwagę na znaczenie tak literackich, jak i politycznych zalet i polecał Axel's Castle Edmunda Wilsona jako „jedyne lewicowe dzieło krytyczne, przyjmujące zarówno normy estetyczne, jak i ekonomiczne”<sup>26</sup>.

Connolly wyraźnie napomynał, że rozpolitykowana literatura zawiodła. W odpowiednim momencie, gdy stało się to intelektualnie bezpieczne, ogłosił otwarcie koniec „zaangażowania”. W październiku 1939 roku

bogaty wielbiciel, Peter Watson, obmyślił doskonałą rolę dla Connolly'ego: wydawanie miesięcznika nowej literatury, „Horizon”, którego wyraźnym celem była obrona doskonałości literatury, choć dookoła szczyrzył zęby ogarniający wszystko duch wojny.

Od początku „Horizon” okazał się zadziwiającym sukcesem i przypieczętował pozycję Connolly'ego jako głównej siły napędowej wśród inteligencji. W roku 1943 uznał on, że może odpisać lata trzydzieste na straty: „Najbardziej typowa literatura tamtych dziesięciu lat była polityczna i zawiodła podwójnie, nie osiągnęła bowiem żadnego z zamierzonych celów politycznych i nie dała żadnego dzieła literackiego o trwałej wartości”<sup>27</sup>.

Natomiast Connolly zapoczątkował proces odejścia od intelektualnego poszukiwania utopii, dążąc do oświeconego hedonizmu. Czynił to na łamach „Horizonu”, napisał także bardzo ważną książkę, zbiór eskapistycznych rozważań o przyjemności, *The Unquiet Grave* (1944). W młodości określił swą ideologię jako poszukiwanie „doskonałości w szczęściu”, w proletariackich latach trzydziestych nazwał ją „estetycznym materializmem”, a teraz była to „obrona norm cywilizowanych”.

Dopiero jednak w czerwcu 1946, gdy już było po wojnie, Connolly zabrał się w końcu do szczegółowego ujęcia swego programu w jednym z artykułów wstępných w „Horizonie”<sup>28</sup>. Charakterystyczne, że właśnie bystrooki Evelyn Waugh zwrócił uwagę na to oświadczenie Connolly'ego. Śledził on jego działalność bardzo uważnie, pomimo wszystkich wojennych przygód, i później w swojej trylogii *Sword of Honour* opisał złośliwie Connolly'ego z czasów wojny jako Everarda Spruce'a, a jego magazyn jako „Survival”, natomiast piękne dziewczęta, intelektualne asystentki - w rzeczywistości Lys Lubbock, która dzieliła łożę z Connollym, i Sonię Brownell, później drugą panią Orwell - jako Frankie i Coney. Zwrócił też uwagę katolickich czytelników „Tablet” na okropności programu Connolly'ego<sup>29</sup>. Obejmował on dziesięć punktów, uznanych przez Connolly'ego za „główne cechy cywilizowanego społeczeństwa”. A oto one:

1. zniesienie kary śmierci,
2. reforma prawa karnego, wzorcowe więzienia i resocjalizacja więźniów,
3. usunięcie slumsów i założenie „nowych miast”,
4. subsydiowanie opłat za prąd i ogrzewanie oraz ich „nieograniczone dostawy jak powietrza”,
5. bezpłatne lekarstwa, subsydiowanie żywności i odzieży,

6. zniesienie cenzury, tak by każdy mógł pisać, mówić i wystawiać to, co zechce; zniesienie ograniczeń w poruszaniu się i kontroli walutowej, koniec z podsłuchem telefonicznym i gromadzeniem akt personalnych o ludziach znanych ze swoich obrazoburczych opinii,

7. reforma przepisów prawnych dotyczących homoseksualistów i aborcji oraz przepisów o rozwodach,

8. ograniczenie praw własności; prawa dla dzieci,

9. zachowanie piękna architektury i natury, subsydia dla sztuk pięknych,

10. prawodawstwo przeciw dyskryminacji rasowej i religijnej.

Program ten miał stać się właściwie receptą dla przyszłego społeczeństwa permissywnego. Rzeczywiście, jeśli pominiemy niektóre z bardziej niepraktycznych ekonomicznych pomysłów Connolly'ego, to faktycznie wszystko, do czego wzywał, stało się prawem w latach sześćdziesiątych nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i w Stanach Zjednoczonych, i w większości innych demokracji zachodnich. Zmiany te, dotyczące prawie każdego aspektu życia społecznego, kulturalnego i seksualnego, miały uczynić lata sześćdziesiąte jednym z najbardziej decydujących dziesięcioleci w historii nowożytnej; pod tym względem bliskie są czasom po roku 1790.

Zrozumiałe było, że Waugh się zaniepokoił. Podejrzał, że te działania, które proponował Connolly, pociągały za sobą właściwie usunięcie chrześcijańskiej podstawy społeczeństwa i zastąpienie jej wszech- ogólnym dążeniem do przyjemności. Connolly widział w tym ostateczne osiągnięcie cywilizacji, dla innych był to bieg ku pandemonium. Cała sprawa wykazała jednak niewątpliwie, że intelektualiści stają się o wiele bardziej wpływowi, gdy zamiast politycznymi utopiami zajmują się społecznymi zakazami i zasadami. Wykazał to Rousseau w wieku XVIII, a ponownie Ibsen w XIX. Teraz zostało to udowodnione jeszcze raz: jeśli, jak wspomniał Connolly, politycznie lata trzydzieste okazały się niepowodzeniem, permissywne lata sześćdziesiąte, z intelektualnego punktu widzenia, były zadziwiającym triumfem.

Sam Connolly, choć ustalił program, odegrał niewielką rolę w przeprowadzeniu rewolucji, mimo że dożył roku 1974. Nie był jednak stworzony do prowadzenia długich kampanii lub też dokonywania heroiczych czynów. Duch mógł być chętny, ale ciało było zawsze mdłe. Connolly zresztą ukuł zdanie o sobie: „Uwięziony w każdym grubasie chudzielec wściekle daje znać, że chce wyjść”<sup>30</sup>.

Chudy Cyril jednak nigdy się nie pojawił. Był antybohaterem na długo przed tym, zanim wymyślono to słowo. Chciwość, egoizm i małe złodziejstwa zawsze towarzyszyły jego krokom. Już w roku 1928 nie zapłacony rachunek z pralni skłonił Desmonda McCarthy'ego do nazwania Connolly'ego oportunistą i pasożytem. Wielu ludzi, którzy ofiarowali Connolly'emu gościnę, miało później powody, by tego żałować. Ktoś znalazł coś, co uznano za „łazienkowy detritus” w głębi dziadkowego zegara. Lord Berners odkrył gnijącą miskę z krewetkami w jednej ze

swych stylowych szaf. Somerset Maugham stwierdził, że Connolly ukradł mu dwa wygrane avocado, i zmusił go do rozpakowania walizek i zwrócenia owoców. W kilka tygodni później na pół zjedzone dania odnaleziono w szufladach w sypialni, a kawałki spaghetti i plasterki bekonu znaczyły zainteresowanie gościa księgozbiorem gospodarza. Była także mowa o „popiole z cygara strząśniętym, choć bez złośliwego zamiaru, na kulinarne arcydzieła podane przez żonę słynnego amerykańskiego intelektualisty”<sup>31</sup>. Wspominano o nierycerskim zachowaniu się podczas nalotu pocisków V-2 na Londyn w roku 1944, gdy Connolly - podobnie jak Bertrand Russell trzydzieści lat wcześniej - był w łóżku z pewną zacną damą. Prawdopodobnie była to lady Perdita (później, w rzeczywistości, pani Annie Fleming), opisana przez Evelynę Waugh jako osobę, którą Connolly był wówczas zainteresowany. Ale

gdy Russell wyskoczył z łóżka lady Constance Malleson w geście szlachetnego oburzenia na ludzkie bestialstwo, to w przypadku Connolly'ego skok podyktował strach, zrekompensowany przez bon mot: „Blady strach wykończył miłość”.

Jasne jest więc, że taki człowiek nie mógł przewodzić krucjacie w imię cywilizacji, nawet jeśli miał w sobie trochę energii. Oczywiście, tak jednak nie było. Lenistwo, nuda i obrzydzenie do siebie sprawiły, że Connolly w roku 1949 uśmiercił „Horizon”: „Zamknęliśmy duże okna na Bedford Square, zabrano już telefon, oddano meble, ostatnie numery poszły do piwnicy, na aktach zaczął się zbierać kurz. Tylko artykuły nadchodziły wciąż nieubłaganie...”.

Rozwiódł się w końcu z biedną Jean i ożenił z Barbarą Skelton. Związek ten trwał jednak niedługo - od roku 1950 do 1954. Obserwowali się nawzajem ostrożnie. Oboje, tak jak Tolstoj i Zofia, i wielu mieszkańców Bloomsbury, prowadzili konkurencyjne dzienniki, by je później opublikować.

Gdy związek się już rozpadł, Connolly skarżył się gorzko Edmundowi Wilsonowi na dziennik Barbary, w którym opisywała swoje stosunki z Connollym i który mogła opublikować w każdej chwili jako powieść. Tymczasem Wilson odnotował słowa Connolly'ego, że Barbara „zabrała i schowała dziennik, w którym opisywał ich wspólne życie. Connolly wiedział jednak, gdzie dziennik się znajduje i zamierzał tam się włamać w pierwszej dogodnej chwili, gdy ona gdzieś wyjedzie”<sup>32</sup>. Widocznie tak się jednak nie stało, bo dotychczas taki dziennik się nie ukazał. Dziennik Barbary Skelton został ostatecznie opublikowany w roku 1987; Connolly miał słuszne powody do niepokoju: przedstawia on niezapomniany portret intelektualisty, który leży na wznak w stanie śpiączki.

Tak więc 8 października 1950 Barbara Skelton zanotowała: „[Cyril] zapadł się w łóżku jak zdychająca gęś, wciąż ma na sobie szlafrok ...

Wgłębił się w poduszkę i zamknął oczy z wyrazem zrezygnowanego cierpienia ... Weszłam godzinę później do sypialni, Cyril wciąż leżał z zamkniętymi oczami”. W dniu 10 października: „[Cyril] leży dziś długo w wannie, gdy ja tymczasem robię przepierkę. Kiedy później weszłam do sypialni, znalazłam go stojącego nago w pozie pełnej rozpacz, zapatrzonego w przestrzeń ... wróciłam potem do sypialni, Cyril wciąż gapił się w przestrzeń ... napisałam list, weszłam do sypialni, Cyril stał tyłem, opierając się o framugę okna”. W rok później, 17 listopada 1951: „[Cyril] nie zejdzie na śniadanie, leży w łóżku, ssąc końce kołdry ... Czasami leży przez godzinę, z kawałkami prześcieradła wychodzącymi mu z ust jak ektoplazma”<sup>33</sup>.

Tymczasem ten obrońca wartości cywilizowanych zniósł jajo permissywności raczej w ten sam sposób, jak Erazm zniósł jajo reformacji. Natomiast wyhodowanie kurcząt należało do kogoś innego, ale w tym całym zabiegu do kotła wrzucono nowy i niepokojący składnik, którego Connolly nie przewidział, i jeśliby mógł, z pewnością wyraziłby z jego powodu ubolewanie. Był to kult przemocy.

Zadziwia, że przemoc często wywierała duży wpływ na niektórych intelektualistów. Szło to w parze z pragnieniem radykalnych, absolutnych rozwiązań. Jak inaczej możemy wyjaśnić upodobanie do przemocy u Tolstoja, Bertranda Russella i tak wielu innych tytularnych pacyfistów? Sartre był także pod urokiem przemocy, igrając z nią oddzielony ciemnym obłokiem eufemizmów. Argumentował następująco: „Gdy młodzież ściera się z policją, naszym zadaniem jest nie tylko wykazać, że to policja dokonuje gwałtu, ale i przyłączyć się do młodzieży w walce z przemocą”. Lub też jeśli intelektualista nie zaangażuje się „w akcję bezpośrednią” (to jest przemoc) na rzecz czarnych, jest „wtedy winny ich morderstwa, tak jakby nacisnął spust broni, z której zabito [Czarne Pantery], zamordowane przez policję, przez system”<sup>34</sup>.

Kojarzenie intelektualistów z przemocą zdarza się zbyt często i nie można go potraktować jako odchylenia od normy. Często też podziwia się tych „ludzi czynu”, którzy

uprawiają przemoc. Mussolini miał zadziwiającą liczbę intelektualnych zwolenników, bynajmniej nie wszyscy byli Włochami. W drodze do władzy Hitler miał największe podwózenie w domach akademickich, a jego wyborcze apele do studentów ciągle odnosiły o wiele większy skutek niż jego dokonania wśród ludności Niemiec wziętej jako całość. Hitler zawsze wypadał dobrze wśród nauczycieli i profesorów uniwersytetu. Wielu intelektualistów dostało się do wyższych szeregów partii nazistowskiej i uczestniczyło w najbardziej makabrycznych okrucieństwach SS35.

Tak na przykład cztery Einsatzgruppen, czyli ruchome bataliony śmierci, które były zapowiedzią hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania” w Europie Wschodniej, miały wśród oficerów niezwykle wysoki odsetek absolwentów uniwersytetów. Otto Ohlendorf, dowódca batalionu „D”, miał na przykład dyplomy ukończenia trzech uniwersytetów i doktorat prawa.

Stalin miał także legiony intelektualnych zwolenników, podobnie jak tacy powojenni politycy - ludzie przemocy - jak Castro, Nasser czy Mao. Zachęta do przemocy lub jej tolerancja przez intelektualistów były czasami wynikiem charakterystycznego, nie skrępowanego myślenia. Poemat Audena o wojnie domowej, Hiszpania, opublikowany w marcu 1937, zawiera słynny wers: „Świadome przyjęcie winy za popełnione w potrzebie morderstwo”. Skrytykował to Orwell, choć lubił poemat jako całość, ale sądził, że zdanie to mógł napisać ktoś, dla kogo „morderstwo jest jedynie słowem”. Auden bronił się twierdząc, że „jeśli istnieje coś takiego, jak sprawiedliwa wojna, morderstwo może być również potrzebne, by dokonała się sprawiedliwość” - a jednak usunął zwrot „w potrzebie”36.

Kingsley Martin, który służył w Quaker Ambulance Unit (Szpital Polowy Kwakrów) w czasie I wojny światowej i wzdragał się przed przemocą w każdej postaci, czasem wplątywał się w jej teoretyczną obronę. W roku 1952, przyklaskując ostatecznemu triumfowi Mao w Chinach, ale nerwowo reagując na doniesienia, że półtora miliona „wrogów ludu” zostało usuniętych, zapytywał głupio na łamach gazety „New Statesman”: „Czy rzeczywiście te egzekucje były konieczne?”.

Leonard Woolf, naczelny redaktor, zmusił go w tydzień później do odpowiedzi na pytanie: czy Martin mógłby udzielić pewnej informacji: w jakich okolicznościach egzekucja półtora miliona ludzi przez rząd jest „rzeczywiście ... konieczna”? Martin oczywiście nie udzielił żadnej odpowiedzi; aż przykro było patrzeć, jak starał się urwać z haka, na który się sam wbił37.

Z drugiej strony, niektórzy intelektualiści nie uważali faktu przemocy za odrażający. Przykład Normana Mailera (ur. 1923) jest tu szczególnie pouczający, jest bowiem pod wieloma względami typowy dla badanego przez nas rodzaju intelektualisty38. Pierworodny i jedyny syn matriarchalnej rodziny, od samych urodzin był ośrodkiem podziwu damskiego otoczenia. Otoczenie to stanowiły matka Fanny, której rodzina, Schneiderowie, z powodzeniem prowadziła własny interes, oraz jej siostry. Później przyłączyła się do tego towarzystwa siostra Mailera. Chłopiec był przykładnym brooklyńskim dzieckiem, spokojnym, grzecznym, zawsze pierwszym w klasie, w Harvardzie w wieku szesnastu lat; jego postępy kobiety witały entuzjastycznie.

Pierwsza żona Normana, Beatrice Silverman, zanotowała: „Fanny właściwie nie chciała, by jej mały geniusz kiedykolwiek się ożenił”. „Geniusz” to słowo, które często pojawiała się na ustach Fanny, gdy mówiła o synu; zresztą poinformowała reporterów podczas jednej z częstych wizyt w sądzie: „Mój syn jest geniuszem”.

Wcześniej czy później wszystkie żony Mailera z przykrością uświadamiały sobie istnienie „czynnika Fanny”. Trzecia żona, lady Jean Campbell, skarżyła się: „Jedynie, co zawsze robiliśmy, to szliśmy na obiad z jego matką”. Czwarta żona, aktorka o jasnych włosach, która przybrała pseudonim Beverley Bentley, została skarcona (i zaatakowana fizycznie) za uwagi na temat Fanny. Jednak żony zastępowały dorosłemu Mailerowi dziecięcy świat kobiet. Utrzymywał z nimi dobre stosunki po kolejnych rozwodach, z



wyjątkiem jednej, twierdząc: „Jeśli rozwiodłeś się z kobietą, możesz się wtedy z nią zaprzyjaźnić, bo nie ma już w niej seksualnej próżności”.

Miał sześć żon, które dały mu ośmioro dzieci, a szósta żona, Norris Church, była w wieku najstarszej córki Mailera. Było także wiele innych kobiet, czwarta żona skarżyła się: „Gdy byłam w ciąży, miał stewardesę. Trzy dni po przywiezieniu naszego dziecka do domu zaczął romansować .

Zmiany partnerek bardzo przypominają Bertranda Russella, atmosfera haremu przywodzi na myśl Sartre'a. Ale choć Mailer przeszłość miał matriarchalną, to zapatrywania mocno patriarchalne. Pierwsze jego małżeństwo rozpadło się, dlatego że żona pragnęła zrobić karierę, więc Mailer odprawił ją jako „niewczesną wyzwolicielkę kobiet”. Narzekał na trzecią: „Lady Jean wydała dziesięć milionów dolarów na małżeństwo ze mną, ale nigdy nie zrobiła mi śniadania”. Rozstał się z czwartą żoną, ponieważ go zdradziła. Jedną z jego żon skarżyła się: „Norman nie chce mieć nic wspólnego z kobietą, która odnosi sukcesy zawodowe”.

Oceniając w roku 1971 jedną z jego książek V. S. Pritchett zauważył, że skoro Mailer miał tak wiele żon (wówczas zaledwie cztery), to „najwyraźniej był zainteresowany nie samymi kobietami, ale czymś, co one w sobie miały”<sup>39</sup>.

Drugą cechą, jaką Mailer dzieli z wieloma intelektualistami, jest geniusz autoreklamy. Znakomita promocja jego wybitnej powieści wojennej *Nadzy i martwi* (1948) była wysoce profesjonalnym dziełem jego wydawców, Rinehartów, i może być uznana za najbardziej dopracowaną i udaną z kampanii wydawniczych po wojnie. Gdy się rozpoczęła, Mailer przejął własne sprawy, które przez następne trzydzieści lat zadziwiały i ostrzegały wszystkich: twórczość, żony, rozwody, poglądy, konflikty i polityka zostały zręcznie utkane w jeden, bez użycia szwu, strój autoreklamy.

Mailer był pierwszym intelektualistą, który wykorzystał skutecznie telewizję do promocji samego siebie, a to dzięki programom zawierającym pamiętne, czasem alarmujące sceny. Wcześniej pojął nienasycony apetyt telewizji na programy nie przegadane i pełne akcji, stając się jednym z najbardziej czynnych intelektualistów, kroczącym po drodze przetartej już przez Hemingwaya.

Czemu miała służyć ta cała reklama? Oczywiście próżności i egoizmowi: wiadomo przecież, że wiele z działań takich ludzi, jak Tolstoj, Russell czy Sartre, choć powierzchownie racjonalnych, da się jedynie wyjaśnić pragnieniem zwrócenia na siebie uwagi. Chodziło także o cel bardziej przyziemny - o pieniądze. Patriarchalne upodobania Mailera często okazywały się kosztowne. Zaciągnięty do sądu w roku 1979 przez swą czwartą żonę, Mailer twierdził, że nie stać go na płacenie jej tysiąca dolarów tygodniowo, płaci bowiem czterysta dolarów drugiej żonie i tyleż samo piątej, natomiast sześćset dolarów szóstej i ma pół miliona dolarów długu, winien jest swemu agentowi sto osiemdziesiąt pięć tysięcy i nie zapłacił podatku na sumę 80500 dolarów, co doprowadziło do tego, że władze podatkowe obłożyły jego dom zastawem w wysokości stu tysięcy dolarów. Autoreklama Mailera miała niewątpliwie przyciągnąć czytelników, co mu się świetnie udało. A oto tylko jeden przykład: jego długi esej, *Więzień seksu* (*The Prisoner of Sex*), atakujący feminizm i oparty w większej części na jego małżeńskich przygodach, opublikowany w „Harper's Magazine” w marcu 1971, sprawił, że nigdy nie sprzedano tak wielu egzemplarzy jednego numeru w całej studwudziestoletniej historii tego czasopisma.

Jednakże reklama Mailera miała również poważny cel, a mianowicie głoszenie koncepcji, która stała się dominującym tematem jego twórczości i życia: konieczność odrzucenia niektórych ograniczeń, krępujących osobowość człowieka.

Dotychczas większość wykształconych ludzi utożsamiała takie ograniczenia z cywilizacją - na przykład poeta Yeats określił cywilizację dokładnie jako „ćwiczenie w powściągliwości”. Mailer postawił to twierdzenie pod znakiem zapytania. Czyż dla

niektórych ludzi osobista przemoc nie jest czasem konieczna, a nawet nie staje się cnotą? Mailer doszedł do takiego stanowiska okrężną drogą.

W czasach młodości był jednym z wielu aktywistów, w kampanii prezydenckiej w 1948 roku wygłosił osiemnaście przemówień na rzecz Wallace'a<sup>40</sup>. Zerwał jednak z Komunistyczną Partią USA na głośnej konferencji w roku 1949, w Waldorf, i odtąd jego poglądy polityczne, odbijając czasami jedynie porozumienie liberałów z lewicą, stały się bardziej wyważone i oryginalne.

W szczególności jego twórczość pisarska i dziennikarstwo prowadziły go do badania położenia Murzynów i ich kulturalnych odniesień w życiu Zachodu. W roku 1957 letni numer „Dissent”, magazynu Irvinga Howe'a, opublikował rozprawę Mailera *The White Negro*, która okazała się jego najważniejszym utworem, rzeczywiście kluczowym dokumentem epoki powojennej. Dokonał w nim analizy „świadomości hipisów”, zachowania się młodych, apodyktycznych i pewnych siebie Murzynów jako formy kontrkultury; wyjaśnił i usprawiedliwił ją, oczywiście domagając się przyjęcia jej przez radykalnych białych. Jest wiele aspektów czarnej kultury, jak argumentował Mailer, które postępowi intelektualści powinni się postarać szczegółowo zbadać: antyracjonalizm, mistycyzm, poczucie siły życiowej i, co nie mniej ważne, aspekt przemocy, nawet rewolucji. Rozważmy, pisał Mailer, prawdziwy przypadek, kiedy to dwóch młodych ludzi pobiło ze skutkiem śmiertelnym właściciela sklepu ze słodyczami. Czy nie miało to swego aspektu dobroczynnego? „Morduje się nie tylko słabego, pięćdziesięcioletniego mężczyznę, ale również i instytucję, narusza prywatną własność, wchodzi w nowe relacje z policją i wprowadza niebezpieczny czynnik do czyjegoś życia”. Gniew bowiem, skierowany do wewnątrz, jest niebezpieczny dla twórczości, a skoro przemoc zostanie użyta, uzewnętrzniona i znajdzie ujście, czyż sama nie jest twórcza?

Była to pierwsza, ostrożnie wyważona i świetnie ujęta próba usankcjonowania przemocy osobistej, w przeciwstawieniu do „zinstytucjonalizowanej przemocy” społeczeństwa, i wywołała zrozumiałą irytację w niektórych kręgach. Howe przyznał później, że powinien był usunąć fragment o morderstwie w sklepie ze słodyczami. W tym samym czasie Norman Podhoretz zaatakował poglądy Mailera jako „jedne z najokropniejszych moralnie idei...”, „pokazały one bowiem, dokąd może doprowadzić ideologia hipizmu”<sup>41</sup>.

Jednak bardzo wielu młodych ludzi, białych i Murzynów, czekało na takie właśnie przewodnictwo i uzasadnienie. Rozprawa *The White Negro* była autentycznym świadectwem tego, co działo się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nadała też intelektualnej powagi wielu czynom i postawom dotychczas uważanym za pozostające poza granicę cywilizowanego zachowania i dodała pewne znaczące i zgubne punkty do programu proponowanego dekadę wcześniej przez Cyrila Connolly'ego.

Przesłanie wywierało tym większy wpływ, że Mailer niejako wzmacniał je własnymi działaniami publicznymi i prywatnymi. W dniu 23 lipca 1960 był poddany śledztwu za udział w burdzie w komisariacie policji w Provincetown; oskarżono go o pozostawanie w stanie nietrzeźwym, ale nie o „chuligańskie zachowanie”. W dniu 14 listopada został oskarżony ponownie, tym razem o „chuligańskie zachowanie” w klubie na Broadwayu.

Pięć dni później wydał wielkie przyjęcie, by oznajmić, że zgłasza swą kandydaturę na burmistrza Nowego Jorku. O północy walczył po pijanemu pod domem z intelektualistami - Jasonem Epsteinem i George'em Plimptonem - którzy wyszli z przyjęcia. O wpół do piątej wrócił z ulicy z podbitym okiem, spuchniętą wargą i w zakrwawionej koszuli. Kiedy żona (druga z kolei - Adele Morales, malarka pochodzenia hiszpańsko-peruwiańskiego) zganiała go, Mailer chwycił szczyrok o dwuipółcalowym ostrzu, uderzył ją w brzuch i plecy; jedna z ran miała trzy cale głębokości. Na szczęście Adele nie zmarła. Proces, który nastąpił po tym wypadku, był skomplikowany; Adele odmówiła podpisania powództwa, Mailer dostał wyrok w zawieszeniu i pozostawał pod nadzorem władzy sądowej.

Wypowiedzi Mailera z tego okresu nie zawierają żadnej szczególnej nuty skruchy. W wywiadzie dla Mike'a Wallace'a oświadczył: „Nóż dla młodocianego przestępcy jest bardzo ważny. Rozumie pan, to jest jego miecz, jego męskość”. Powinny być urządzone - dodał jeszcze - doroczne turnieje gangów w Central Park.

Dnia 6 lutego 1961 czytał swoją poezję w hebrajskim ośrodku młodych poetów (Young Men's Hebrew Association Poetry Center), w tym i strofy:

„Dopóki posługujesz się nożem,  
Pozostało w tobie trochę miłości”.

Kierownik ośrodka sądząc, że przekracza to granicę przyzwoitości, zadzwonił, by spuszczone kurtynę. Gdy już było po całym incydencie, Mailer podsumował sytuację: „Dziesięcioletni gniew sprawił, że tak postąpiłem. A teraz czuję się lepiej”<sup>42</sup>.

Odnotowano także inne, bardziej rozmyślnie publiczne próby Mailera wspierania kontrkultury. Na przykład, na wielkim wiecu przeciw wojnie w Wietnamie, zorganizowanym w Berkeley 2 maja 1965 przez Yippie Jerry Rubina, który był pod wrażeniem *The White Negro*, Mailer przemawiał jako główny mówca. Oświadczył, że propagowane przez prezydenta Lyndona Johnsona „wielkie społeczeństwo” „utknęło w g...”, i nawoływał dwadzieścia tysięcy studentów nie tylko do krytyki prezydenta, ale i do jego znieważania (miało to polegać na przyklejaniu plakatów z fotografią Johnsona głową do dołu). Przysłuchiwał się temu wystąpieniu Abbie Hoffman, wkrótce arcykapłan kontrkultury. Twierdził on później, że Mailer pokazał, „jak można skutecznie skierować protest, celując nie w decyzje, ale w bebechy tych, którzy te decyzje podejmują”<sup>43</sup>.

W dwa lata później Mailer uroczyście uczestniczył w wielkim marszu na Pentagon 21 października 1967, zabawiając i prowokując olbrzymie audytorium sprośnościami. Zaareztowano go i skazano wówczas na trzydzieści dni aresztu, z czego dwadzieścia pięć w zawieszeniu. Zwolniony z aresztu Mailer mówił reporterom: „No, drodzy Amerykanie, dziś jest niedziela, a my palimy ciało i krew Chrystusa w Wietnamie” – broniąc później swojej aluzji tym, że chociaż nie jest chrześcijaninem, zawarł małżeństwo z chrześcijanką. Chodziło o panią Mailer numer cztery, która potem skarżyła się, że gdy krytykowała jego matkę, mąż bił ją po intymnych częściach ciała. W rezultacie Mailer wprowadził do polityki język hipisów, głos ulicy, tępiąc jednocześnie kapłański język mężów stanu. W maju 1968 roku, w szczytowej fazie studenckich niepokojów, „Village Voice” analizując wezwania Mailera pisał: „Dlaczego nie poszukano Mailera? Mailera, który głosił rewolucję, zanim jeszcze stała się ruchem. Mailera, który nazywał LBJ [Lyndona Baines Johnsona] potworem, czytającym przemówienia pisane przez oślizgłych liberałów. Mailera, który był z Murzynami, nędzą Kuby, przemocą, egzystencjalizmem ... gdy Nowa Lewica była wciąż tylko iskierką w oku C. Wrighta Millsa”<sup>44</sup>.

Choć Mailer obniżył z pewnością ton debaty politycznej, nie jest jasne, czy wzbogacił jej zawartość. Jego wpływ na życie literackie był podobny. Konflikty z przyjaciółmi-pisarzami dorównywały lub nawet przewyższały te, jakie toczyli Ibsen, Tolstoj, Sartre i Hemingway. Wadził się prywatnie i publicznie z Williamem Styronem, Jamesem Jonesem, Calderem Willinghamem, Jamesem Baldwinem, Gore Vidalem oraz wieloma innymi.

Podobnie jak u Hemingwaya, konflikty te przybierały czasami gwałtowne formy. W roku 1956 donoszono, że Mailer walczył na gazonie kwiatowym pod domem Styrona. Przeciwnikiem jego był Bennett Cerf, któremu Mailer powiedział: „Nie jest pan żadnym wydawcą, jest pan dentystą!”.

W roku 1971 doszło do wymiany ciosów po twarzy i uderzeń głową z Gore Vidalem przed telewizyjnym show Dicka Cavetta. Na przyjęciu w roku 1977 scenariusz był następujący:

Mailer do Vidala: „Wyglądasz jak stary, brudny Żyd”

Vidal: „Otóż to, ty wyglądasz jak stary, brudny Żyd”.

Mailer chlusta drinkiem w twarz Vidalowi, ten gryzie go w palec<sup>45</sup>. W debacie telewizyjnej, która nastąpiła po scenie bicia się po twarzy, uczestniczyła nieszkodliwa a wytworna paryska korespondentka „New Yorkera”, Janet Flanner. Doszło do dyskusji między Vidalem a Mailerem o pederastii.

Później:

Flanner: „Na litość boską!” [śmieje się].

Mailer: „Wiem, że mieszkałaś we Francji przez wiele lat, ale wierz mi, Janet, że można osiąść kobietę w inny sposób”.

Flanner: „Tak, słyszałam” [śmieje się głośnie].

Cavett: „Tą elegancką wymianą zdań kończymy nasz show”.

Mailer uosabiał mieszanię permissywności z przemocą, zjawisko charakterystyczne dla lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, i cudownie przetrwał własne błazeństwa. Inni nie byli takimi szczęściarzami ani nie byli tak elastyczni. Zdarzały się smutne przypadki strat wśród intelektualistów, którzy odrzucili staromodną utopię i zwrócili się ku nowemu, przyprawiającemu o zawrót głowy i coraz bardziej brutalnemu hedonizmowi.

W chwili, gdy Cyril Connolly ogłosił swój manifest w roku 1946, Kenneth Peacock Tynan skończył właśnie pierwszy rok studiów w Magdalen College, w Oksfordzie, i zajął tam pozycję przywódcy społeczności intelektualnej. Cztery miesiące później, gdy zaczął się nowy rok akademicki, jako świeżo upieczony student byłem świadkiem jego przybycia do Magdalen. Patrzyłem z podziwem na tego wysokiego, pięknego mężczyznę, o cechach kobiety, z jasnożółtymi kędziorami. Zwracała uwagę twarz bez zarostu, modne cedzenie słów, garnitur w kolorze śliwkowym, lawendowy krawat i pierścień z rubinem. Miałem ze sobą mój szkolny kufer.

Tynan zdawał się wypełniać pomieszczenie sobą i swoimi sługami, których zmusił do ciszy władcym nakazem. Zaskoczyło mnie to, co powiedział: „Opiekuj się tą skrzynią, chłopcze - są w niej złote koszule!”. Nie byłem jedynym, którego zadziwiło to wystąpienie. W roku 1946 Tynan i ja byliśmy wśród tych niewielu studentów, którzy przyszli na uniwersytet prosto ze szkoły. Olbrzymia większość wróciła z wojny, niektórzy mieli wyższe rangi i byli świadkami, a może i sprawcami scen okropnej masakry. Ale czegoś podobnego nie widzieli jednak nigdy. Krzepcy majorzy z gwardii pieszej zaniemówili. Piloci bombowców - którzy uśmiercili tysiące ludzi w rajdach na Berlin - wytrzeszczali w zdumieniu oczy. Komandorzy marynarki, którzy zatopili Bismarcka, gapili się z podziwem. Przystojni chorążowie z wojsk pancernych, ulizani młodszy oficerowie zadarli nosa. Doskonale panując nad wyreżyserowaną przez siebie sceną, Tynan zniknął w otoczeniu swej gwardii.

Tego zadziwiającego młodego człowieka spotkała, choć sam o tym wtedy nie wiedział, jeszcze bardziej zadziwiająca historia. Mogłaby pochodzić z opowieści absolwentów i bohaterów Magdalen College, nie takich jak Oscar Wilde czy Compton Mackenzie, ale jak Arnold Bennett. Fakty z życia Tynana troskliwie zgromadziła jego druga żona, Kathleen, i opublikowała w czulej i smutnej biografii, wzorcowej dla tego gatunku<sup>46</sup>.

Tynan urodził się w roku 1927 i wychował w Birmingham, chodził do tamtejszego słynnego gimnazjum i rozwijał się wspaniale, grając główną rolę w szkolnym przedstawieniu Hamleta i zdobywając stypendium w Oksfordzie. Uważał się za jedyne, uwielbianego i pieszczonego syna Rose i Petera Tynana, właściciela sklepu tekstylnego. Ojciec dawał mu dwadzieścia funtów na drobne wydatki co dwa tygodnie, była to olbrzymia suma w tamtych czasach. W rzeczywistości Tynan był nieprawnym dzieckiem, a jego ojciec, jak go nazywał Bennett, „jegomościem” prowadzącym podwójne życie. W pierwszej połowie tygodnia był mieszkającym w Birmingham Peterem Tynanem. W drugiej połowie tygodnia, we fraku i cylindrze, szarych kamaszach i ręcznie szytej jedwabnej koszuli, był sędzią pokoju o

nazwisku Peter Peacock, cieszącym się powodzeniem przedsiębiorcą, sześciokrotnym burmistrzem miasta Warrington, mężem lady Peacock i ojcem całego zastępu małych Peacocków. Podstęp wyszedł na jaw w roku 1948 (Tynan kończył wtedy Oksford), gdy sir Peter zmarł i oburzona prawowita rodzina przybyła z Warrington z żądaniem wydania ciała; zapłakanej matce Tynana nie dano uczestniczyć w pogrzebie.

Podobna historia zdarzyła się już w Oksfordzie, kiedy to inny student Magdalen College, domniemany baronet Edward Hulton, musiał usunąć „sir” ze swojej tabliczki - i Tynan zareagował natychmiast, wymyślając historię, że jego ojciec był finansowym doradcą Lloyd George'a. Ale oszustwo ojca bardzo go zabolalo. Usunął człon „Peacock” ze swego nazwiska. Ponadto poczucie winy matki względem Kennetha wyjaśnia, dlaczego od samego początku opiekowała się nim nadmiernie i psuła go; to prawda, że zawsze traktował ją jak służącą.

Tynan zwykł był zawsze rozkazywać wszystkim wokół, czuł się wtedy panem. W Oksfordzie ubierał się po książęcemu, gdy wciąż jeszcze materiały tekstylne przydzielano na kartki. Poza śliwkowym garniturem i złotymi koszulami Tynan ubierał się w płaszcz podbity czerwonym jedwabiem, krótką irchową kamizelkę, czasami widywano go w innym garniturze, koloru butelkowej zieleni, jak mówiono, z sukna bilardowego, oraz w zielonych zamaszowych butach; używał też makijażu - „trochę szkarłatnego barwnika na wargach”<sup>47</sup>.

Dzięki niemu odżył w Oksfordzie duch estetycznej ekstrawagancji. Przez cały ten czas był oczywiście osobą, o której najczęściej mówiono w całym mieście. Grał w sztukach i je wystawiał. Błyskotliwie przemawiał w związku studentów. Pisał lub wydawał magazyny. Wydawał sensacyjne przyjęcia, na których bywały znakomitości londyńskiego show businessu (pobierano za wstęp dziesięć szylingów). Skupiał wokół siebie dwór młodych kobiet i podziwiających go wykładowców. Zazdrościcy spalili jego kukłę. Wydaje się, że to on powołał do życia strony *Brideshead Revisited*, który później stał się bestsellerem, i dodał następne.

Ponadto, odmiennie od tych wszystkich, którzy wywoływali sensacje, dokonał w Oksfordzie wiele dobrego. Wystawiał sztuki i pisał krytyki. Grał razem z Alec Guinnesssem. Co ważniejsze, szybko zdobył opinię najbardziej zuchwałego dziennikarza literackich magazynów w Londynie.

Motto jego brzmiało: „Pisz herezje, same herezje”. Do swego biurka przypiął kartkę z radosnym sloganem: „Budź nastroje, podżegaj i rań uczucia, wzniecaj trąby powietrzne!”

Postępował zawsze zgodnie z tymi nakazami i dzięki temu szybko uzyskał godną pozazdroszczenia pracę krytyka teatralnego gazety „*Evening Standard*”, a w odpowiednim czasie o wiele bardziej wpływowe stanowisko krytyka teatralnego „*Observera*”, wówczas najlepszej gazety w Wielkiej Brytanii. Czytelnicy wybałuszali w zdumieniu oczy, jak niegdyś studenci w Magdalen College, na ten zadziwiający fenomen, który wydawał się znać całą światową literaturę i używał oryginalnych słów<sup>48</sup>.

Tynan stał się potęgą w londyńskim świecie teatralnym, który patrzył na niego z podziwem, strachem i nienawiścią. Zrobił on ze sztuki Osborne'a *Miłość i gniew* (*Look Back in Anger*) przebój sezonu i rozpowszechnił legendę o młodych gniewnych.

Wprowadził Brechta do Wielkiej Brytanii. Co więcej, zorganizował wielką kampanię na rzecz subsydiowanego teatru, co umożliwiło wystawienie dramatów Brechta. Gdy powstał brytyjski Teatr Narodowy, został jego pierwszym kierownikiem literackim (1963-1973) i ustalił jego bardzo kosmopolityczny repertuar: z siedemdziesięciu dziewięciu sztuk wystawionych tam za jego rządów, w większości także według jego pomysłów, połowa stała się przebojami sezonu, co było zadziwiającym rekordem.

Był już dobrze znany w Stanach Zjednoczonych dzięki kilku świetnym krytykom zamieszczonym w gazecie „*New Yorker*” w latach 1958-1960; w Teatrze Narodowym zdobył sławę światową. W latach sześćdziesiątych był zapewne najbardziej wpływową postacią w

światowym teatrze; a, jak już twierdziłem w tej książce i powtarzam raz jeszcze, teatr ostatecznie kreuje postawy ludzkie bardziej niż inne dziedziny sztuki.

Tynanowi przyświecały też poważne cele. Podobnie jak Connolly, i równie nieprecyzyjnie, łączył hedonizm i permissywność z socjalizmem. W opublikowanej w roku 1957 Declaration, manifeste gniewnych, umieścił jedno ze swoich przemysłanych oświadczeń na temat celów działania. Podkreślał, że sztuka powinna być „zarejestrowana urzędowo, musi się zaangażować”. Również i socjalizm powinien oznaczać „postęp w kierunku przyjemności” i stać się „wesołym, międzynarodowym manifestem”<sup>49</sup>. Pisząc to w roku opublikowania *The White Negro* Tynan miał częściowo na celu to samo, co Mailer, to jest złamanie językowych zakazów na scenie i w druku. Nikt inny w Wielkiej Brytanii nie odegrał większej roli w zniszczeniu starego systemu cenzury, oficjalnej i nieoficjalnej. Jego wysiłki były przerywane bardziej tradycyjnymi, politycznymi gestami, nawet o dość permissywnym charakterze.

W roku 1960 po wielu zabiegach udało mu się wprowadzić obsceniczne wyrażenie do tekstu opublikowanego w „Observerze”. W roku następnym zorganizował popierającą Castro demonstrację w Hyde Parku, z pomocą kilku dziesiątek ładnych dziewcząt. W dniu 13 listopada 1965 dokonał majstersztyku wyrachowanej autoreklamy, wypowiadając słowo „gówno” w programie satyrycznym nadanym późnym wieczorem przez telewizję BBC. Przez pewien czas uczyniło go to najbardziej znanym człowiekiem w kraju. W dniu 17 czerwca 1969 zorganizował pokaz nagości na scenie wystawiając *Oh! Calcutta!*. Została ona ostatecznie wystawiona na całym świecie i zebrała ponad 360 milionów dolarów.

Jednakże niszcząc cenzurę Tynan także niszczył siebie. Zmarł w roku 1980 na rozedmę płuc, skutek nałogowego palenia i słabości płuc, odziedziczonej po ojcu. Jednakże wcześniej jako istota moralna zadał sobie szkodę nie do naprawienia, można to też określić jako poświęcenie siebie na ołtarzu seksu.

Obsesje seksualne Tynana datują się od jego wczesnych lat. Twierdził później, że się onanizował, gdy miał jedenaście lat, i często wychwalał radości tej czynności; przy końcu życia, kiedy koniecznie chciał siebie scharakteryzować, określił się jako wymierający gatunek, *Tynanosaurus homo masturbans*. Jako chłopiec starał się kolekcjonować pornografię, co nie było łatwe w wojennym Birmingham. Gdy grał jako uczeń w *Hamlecie*, skłonił Jamesa Agatę, wówczas czołowego krytyka i znanego homoseksualistę, do napisania wzmianki o tym przedstawieniu. Agatę uczynił to i zaprosił chłopca do swego londyńskiego mieszkania, kładąc mu rękę na kolanie: „Czy jesteś homoseksualistą, mój chłopcze?”. „Niestety nie, proszę pana”. „No cóż, miałem nadzieję, że jest inaczej”<sup>50</sup>.

Tynan mówił prawdę. Czasami lubił się przebierać w kobiece szaty i szczególnie nie zniechęcał ludzi do szerzenia wieści, że jest homoseksualistą wierząc, że ułatwia mu to dostęp do kobiet. Pod żadnym jednak względem nie miał doświadczenia homoseksualisty, „nawet bladego pojęcia”, jak to sam ujął<sup>51</sup>. Był jednak zainteresowany sadomasochizmem. Agatę, odkrywszy to, dał mu klucz do własnej obszernej kolekcji pornograficznej, co dopełniło zepsucia Tynana.

Odtąd Tynan gromadził własny zbiór. We właściwym czasie zarówno różne gospodynie, jak i jego żony odnajdywały tę kolekcję i doznawały głębokiego wstrząsu. To dziwne, bo Tynan nigdy nie starał się ukrywać swych seksualnych zainteresowań i czasami głośno je obwieszczał. Podczas debaty w Oxford Union oświadczył: „Moim tematem jest - po prostu: Smaganie paskiem o zmierzchu”. Zawierał znajomości z wieloma młodymi kobietami w Oksfordzie i zwykle prosił je, by mu darowały swoje majtki, które zawieszał obok pejczy zdobiącego jego ściany. Lubił zmysłowe żydowskie dziewczęta, zwłaszcza te, które miały surowych ojców i były przyzwyczajone do kar cielesnych. Jednej z nich powiedział, że słowo „chłostać” ma „dobre wiktoriańskie brzmienie kary”. Dodał: „wyrażenie »dać klapsa« jest

bardzo przekonujące i ma właściwy wydźwięk pensjonarski ... Seks oznacza dawanie klapsów, a piękno - to pupa, i tak zawsze będzie"52.

Od swoich żon nie oczekiwał poddania się takim ćwiczeniom, które kojarzył z grzechem i nikczemnością, cieszyć się więc nimi byłoby podłością. Jednakże gdy w teatrze był już wszechwładny, nie miał trudności w znalezieniu bezrobotnych aktorek, które z nim współdziałały w zamian za pomoc z jego strony.

Wydawało się, że kobietom mniej przeszkadzał jego sadyzm, przybierający tylko łagodne formy, niż jego próżność i władcze zapędy. Jedna z nich porzuciła go, bo ilekroć wchodzili do restauracji, zabraniał jej używać okularów. Inna powiedziała: „W chwili gdy się z nim żegnałam, wypadałam zupełnie z jego myśli”. Tynan traktował kobiety jak własność. Czasem miał ujmujący sposób bycia i można powiedzieć, że był spostrzegawczy i wyrozumiały. Uważał jednak, że kobiety powinny obracać się wokół mężczyzn niczym Księżyc wokół Ziemi.

Jego pierwsza żona, Elaine Dundy, miała własne ambicje i w końcu napisała pierwszorzędną powieść. Prowadziło to do kłótni o charakterze raczej teatralnym, z wrzaskami, rozbijaną zastawą stołową i okrzykami: „Zabiję cię, suko!”. Mailer, bez wątplenia autorytet w zakresie małżeńskich konfliktów, ocenił małżeństwo Tynanów wysoko: „Wymierzają sobie takie ciosy, że trzeba siedzieć i bić brawo jak na meczu bokserskim”.

Tynan, zastrzegając sobie bezwzględne prawo do niewierności, oczekiwał lojalności od swojej małżonki. Pewnego razu, wracając od kochanki do swego londyńskiego mieszkania, znalazł w kuchni pierwszą żonę z nagim mężczyzną. Rozpoznał w nim poetę, producenta programów BBC; ponieważ był pijany, śmiało schwycił ubranie mężczyzny i wyrzucił je do szybu od windy.

Zwykle nie był taki odważny. Po rozwodzie z pierwszą żoną skłonił Kathleen Gates, z którą miał się ożenić, by się do niego przeprowadziła. Mąż jej włamał się przez drzwi frontowe domu Tynana, a ten schował się za sofą. Mąż dopadł go później w pobliżu domu matki Kathleen, w Hampstead, doszło do bójki i pofrunęły kępki złotych, nieco już siwiejących włosów Tynana. A dalej Kathleen opowiadała: „Przeczekaliśmy jakiś czas w domu mojej matki. Wymknęliśmy się stamtąd nocą. Byliśmy już kawałek od domu, gdy Ken zaczął mnie przekonywać, iż jesteśmy śledzeni, i ukrył się w pobliskiej skrzyni na śmieci”53. Tynana nie cieszyło zbytnio nasuwające się skojarzenie z Samuelem Beckettem, dramaturgiem, którego sztukę pierwotnie lekcewał.

Drugie małżeństwo załamało się podobnie jak pierwsze z powodu nalegań Tynana na pełną swobodę seksualną dla siebie i wierność żony. Stworzył stały związek z pewną bezrobotną aktorką, z którą realizował wymyślne fantazje sadomasochistyczne: Tynan przebierał się za kobietę, aktorka za mężczyznę, a czasem najmował jeszcze dodatkowo prostytutki. Powiedział Kathleen, że zamierza kontynuować te sesje dwa razy w tygodniu, „choć jest to przeciw zdrowemu rozsądkowi, rozumowi i dobremu sercu, nawet przeciw koleżeństwu ... Taki jest jednak mój wybór, moja sprawa, moja potrzeba ... Jest to po prostu komiczne i trochę wstrętne. Dotknęło mnie to jak choroba i nie mogę nic zrobić, dopóki infekcja nie minie”54.

Sytuacja wyglądała źle. Jeszcze gorsza była decyzja Tynana, by zarzucić karierę i zostać pornografistą, jak się okazało bez powodzenia. Aż do roku 1958 notes z jego zobowiązaniami zawierał noty: „Napisać sztukę. Pisać książkę pornograficzną. Pisać autobiografię”. W roku 1964 nawiązał kontakty z magazynem „Playboy”, chociaż, co jest dziwne, opierali się oni próbom dostarczenia materiału erotycznego. Tynan zapewne optymistycznie wierzył, że może przekształcić pornografię w poważną formę sztuki, zachęcony krzykliwym sukcesem Oh! Calcutta!.

We wczesnych latach siedemdziesiątych Tynan próbował zjednać wielu wybitnych pisarzy do opracowania antologii twórczości na temat fantazji masturbacyjnych, ale otrzymał poniżające odmowy od Nabokova, Grahama Greene'a, Becketta, Mailera i innych.

Później coraz bardziej wciągała go długotwałą, ale ostatecznie nieudana próba nakręcenia filmu pornograficznego. Z jednego powodu przynajmniej: nigdy nie mógł zebrać odpowiednich funduszy. W odróżnieniu od innych intelektualistów Tynan nie był skąpy. Na odwrót, był bardzo szczodry, nawet lekkomyślny pod tym względem, co łączyło go z Sartre'em.

Umierając matka pozostawiła mu znaczną sumę pieniędzy po ojcu, które Tynan co prędzej wydał. Gdy opuścił Teatr Narodowy, otrzymał bardzo skąpą odprawę. Podpisał tak nierozsądne kontrakty na Oh! Calcutta!, że uzyskał zaledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za ten nadzwyczaj udany show.

Większość ostatnich lat życia poświęcił próbie zebrania funduszy na przedsięwzięcie, które jego mądrzejsi przyjaciele uważali za niegodne. Sam miał też wątpliwości. Pisał z Prowansji do Kathleen: „Dlaczego ja tutaj biję pianę z pornografii? Bardzo mi wstyd”.

W St. Tropez przyśniła mu się naga dziewczyna, pokryta pyłem i ekskrementami, z obciętymi włosami, z dziesiątkami pinesek wbitych w głowę. W owej chwili, jak zanotował, „obudziłem się z przerażeniem. I natychmiast gdzieś koło hotelu zaczęły szczekać psy, niby bez związku, jakby chciały powiedzieć, że przeszedł niewidzialny dla człowieka władca ciemności”<sup>55</sup>.

Ostatnie lata Tynana, smutny kontrapunkt obsesji seksualnej i niemocy fizycznej, zostały wzruszająco opowiedziane przez wdowę po nim, i jest to wstrząsająca lektura dla tych, którzy znali i podziwiali tego człowieka. Przypomina się znamienne zdanie Szekspira, że „haniebnie niszczy i moc ducha trwoni czyn pożądlivy”<sup>56</sup>.

Bardziej jeszcze uderzającym przypadkiem permissywności, z mocniejszym naciskiem na przemoc, był Rainer Werner Fassbinder, prawdopodobnie najbardziej utalentowany reżyser filmowy, jakiego kiedykolwiek wydały Niemcy. Był dzieckiem klęski, urodził się w Bawarii 31 maja 1945 roku, niemal nazajutrz po samobójstwie Hitlera; dorastając korzystał i jednocześnie padł ofiarą nowych wolności, którymi tacy intelektualiści, jak Connolly, Mailer i Tynan, próbowali obdarzyć cywilizowaną ludzkość.

W latach dwudziestych film niemiecki był w świecie najlepszy. Dojście nazistów do władzy wyгнаło z Niemiec wielu wybitnych twórców: do Hollywood trafiła ich lwią część, i gdy upadł reżim nazistowski, amerykańskie władze okupacyjne posadziły hollywoodzki film na niemieckiej ziemi. Epoka ta zakończyła się w roku 1962, gdy dwudziestu sześciu młodych niemieckich scenarzystów i reżyserów filmowych wydało deklarację o niezależności niemieckiego kina, znaną jako Manifest z Oberhausen.

Fassbinder opuścił szkołę dwa lata wcześniej i w wieku dwudziestu jeden lat nakręcił dwa filmy krótkometrażowe. W niemieckim świecie sztuki, zdominowanym przez cień Brechta, Fassbinder stworzył mały zespół, znany jako Antyteatr. W swym pierwszym, uwieńczonym powodzeniem filmie grał Mackie Majchra w Operze za trzy grosze według Brechta. Chociaż Antyteatr był w teorii egalitarny, w praktyce była to hierarchiczna tyrania, z Fassbinderem jako panującym, który rządził (jak mówiono) tak, jak Ludwik XIV Wersalem<sup>57</sup>. Wykorzystał ten zespół do nakręcenia swego pierwszego udanego filmu, *Liebe ist kalter als der Tod*, który powstał w ciągu zaledwie dwudziestu czterech dni w kwietniu 1969 roku.

Fassbinder z zadziwiającą prędkością stał się nie tylko czołowym, ale i symbolicznym twórcą filmowym epoki permissywności. Odznaczał się wielką wolą i autorytetem, a także godną zazdrości mocą podejmowania błyskawicznych i stanowczych decyzji, co umożliwiało mu tworzenie wysokowartościowych filmów szybko i oszczędnie. Pochwała krytyki nastąpiła



wkrótce. Światowy sukces kasowy osiągnął dopiero *Strach zżera duszę* (1974), ale był to już jego dwudziesty pierwszy film.

Poczynając od listopada 1969 roku, w ciągu dwunastu miesięcy nakręcił dziewięć filmów pełnometrażowych. Jeden z najwyższej ocenianych i pod względem artystycznym i finansowym - *Handlarz czterech pór roku* (1972) miał 470 ujęć i został nakręcony w ciągu dwunastu dni.

Do chwili ukończenia trzydziestego siódmego roku życia Fassbinder nakręcił czterdzieści trzy filmy; biorąc pod uwagę ostatnie trzynaście lat i jeden film przypadał na sto dni<sup>58</sup>. Reżyser nigdy nie odpoczywał. Pracował bez przerwy i innych zmuszał do pracy, także w niedziele. W sensie zawodowym miał fanatyczną i niezłomną dyscyplinę wewnętrzną. Mógłby powiedzieć: „Wyśpię się dopiero po śmierci”.

Tę fantastyczną wydajność osiągnął przy jednoczesnym pobbżaniu sobie i praktykach samogwałtu. Ojciec jego był lekarzem, opuścił rodzinę, gdy Fassbinder miał sześć lat, zarzucając medycynę na rzecz poezji i utrzymując się z zarządzania tanimi nieruchomościami. Matka Fassbinderowa była aktorką, grała później w niektórych jego filmach. Po rozwodzie wyszła za mąż za pisarza. Fassbinder wzrastał w atmosferze literackiej bohemy, amoralnej, nieodpowiedzialnej i niepewnej jutra. Czytał bardzo dużo i szybko zaczął tworzyć, pisać opowiadania i piosenki. Z tą samą szybkością wchłaniał nową kulturę permissywną i z pewnością z niej korzystał. Fassbinder stał się znawcą życia ulicy. W wieku piętnastu lat pomagał ojcu zbierać czynsz w dzielnicy ruder. Zwierzył się mu, że kocha syna rzeźnika. Ojciec - co było typowo niemieckie - odparł: „Jeśli już chcesz pójść do łóżka z mężczyzną, to czy nie może być to ktoś z uniwersytetu?”<sup>59</sup>.

Odtąd Fassbinder z nieustępliwym zacięciem dążył do osiągnięcia jednego z trzech wielkich celów kultury lat sześćdziesiątych: nieograniczonego wykorzystania seksu dla przyjemności.

W miarę jak rosła jego władza w teatrze i kinie, rosły też wymagania Fassbinder'a i bezwzględność. Jego kontakty seksualne dotyczyły głównie mężczyzn. Niektórzy byli żonaci i mieli dzieci, zdarzały się okropne sceny rodzinnej rozpacz. Od samego początku trąciło to sadomasochizmem i skrajnością. Fassbinder przyciągał mężczyzn spośród robotników, czynił ich aktorami i kochankami. Wydaje się, że jeden z nich, którego nazywał „swoim bawarskim Murzynem”, specjalizował się w rozbijaniu drogich samochodów. Inny, niegdyś uprawiający prostytutkę w Afryce Północnej, był mordercą i wywoływał chwile grozy wśród współpracowników Fassbinder'a. Trzeci, rzeźnik, który stał się aktorem - popełnił samobójstwo.

Ale Fassbinder interesował się również kobietami i opowiadał po ojcowsku o „stworzeniu tradycyjnej rodziny”. Do kobiet miał stosunek właściciela, lubił je kontrolować. W początkach kariery, chcąc zebrać pieniądze na swoje filmy, Fassbinder kazał kobietom, które były od niego zależne, „obsługiwać” imigrantów - *gastarbeiterów*, jak określali ich Niemcy.

W roku 1970 ożenił się z aktorką Ingrid Caven, która wierzyła, że uczyni z niego mężczyznę heteroseksualnego. Wesele zamieniło się w orgię. Ingrid w swoim łóżku znalazła świeżo poślubionego męża z družbą.

Następnie Fassbinder ożenił się powtórnie z jedną ze swoich redaktorek, Juliane Lorenz, ale nadal zachowywał się ostentacyjnie jako homoseksualista w barach, hotelach i domach publicznych, od żony jednak żądał wierności. Podczas kręcenia *Berlin Alexanderplatz* (1980) Fassbinder odkrył, że Juliane spędziła noc z jednym z elektryków. Zrobił scenę zazdrości i nazwał ją dziwką, ona zaś podarła metrykę ślubu i rzuciła mu ją w twarz.

W swoich filmach i stylu życia Fassbinder odzwierciedlał drugi wielki temat nowej kultury, mianowicie przemoc. Jako bardzo młody człowiek wydawał się być bliski Andreasowi Baaderowi, który pomagał stworzyć jedną z najbardziej znanych

zachodnioniemieckich grup terrorystycznych, i Horstowi Sohnleinowi, który dokonywał podpaleń dla grupy Baader-Meinhof.

Aktor i przyjaciel Fassbindera, Harry Baer, opowiadał, że Fassbinder często wspominał, iż namawiano go, by bardziej się włączył do działalności terrorystycznej, ale on powiedział sobie, że „kręcenie filmów będzie o wiele ważniejsze dla »sprawy« niż wyjście na ulicę”<sup>60</sup>. Gdy Baader i inni członkowie jego grupy popełnili samobójstwo w więzieniu Stammheim w październiku 1977 roku, Fassbinder krzychał pełen gniewu: „Zamordowali naszych przyjaciół!”.

Film, jaki potem zrealizował, Trzecie pokolenie (1979), zawierał tezę, że groźba terroryzmu została wykorzystana przez władze, by uczynić Niemcy znów krajem totalitarnym, co wywołało wściekłość publiczności. W Hamburgu tłum pobił kinomechanika aż do utraty przytomności i zniszczył taśmę filmową. We Frankfurcie młodzi ludzie wrzucili bomby z kwasem solnym do kina, które wyświetlało ten film. Fassbinder zwykle otrzymywał subsydia państwowe na produkcję swoich filmów - to także było znakiem czasów - ten film jednak zrobił za swoje własne pieniądze: było to dzieło miłości, lecz i nienawiści.

W tym czasie Fassbinder zajął się trzecim tematem nowej kultury: narkotykami, które wtedy niszczyły jego organizm. Tolerancja, akceptacja narkotyków zawsze była milczącym założeniem liberalnego społeczeństwa, zwłaszcza w środowisku hipisów. W latach sześćdziesiątych stało się normalną praktyką intelektualistów pisanie petycji z żądaniem złagodzenia ustaw dotyczących narkotyków.

Jako młody człowiek Fassbinder zarabiał pieniądze przeprowadzając skradzione samochody przez granice, ale wydaje się, że wówczas jeszcze nie miał nic wspólnego z narkotykami. Był oczywiście częścią niemieckiej sceny hipisowskiej. Podobnie jak Brecht, zaprojektował dla siebie odpowiedni strój: starannie podarte dzinsy, koszula w kratę, buty - zdarte lakierki, lica i rzadka broda. Palił nałogowo - setkę papierosów dziennie. Jadł sporo i dobrze i w wieku trzydziestu lat był opasły i podobny do żaby; twierdził: „Stawanie się brzydkim to sposób na odosobnienie się ... Mocne i tłuste ciało to potworna zaporą przeciw wszystkim formom uczucia”<sup>61</sup>. Fassbinder również sporo pił. Łykał mnóstwo pastylek nasennych, na przykład Mandrax. Wydaje się, że nie zażywał silnych narkotyków, dopóki nie ukończył filmu Chińska ruletka w roku 1976; miał wtedy trzydzieści jeden lat.

Gdy wypróbował kokainę, uznał, że ma ona w sobie moc twórczą i używał jej regularnie i w coraz większych dawkach. Kręcąc film Bolswiser w roku 1977, zmusił jednego z aktorów do zagrania swej roli po zażyciu narkotyków.

Tak wypadki zmierzały ku nieuniknionemu finałowi. W lutym 1982 roku Fassbinder zdobył Złotego Niedźwiedzia na Berlińskim Festiwalu Filmowym; chciał osiągnąć potrójny sukces i uzyskać Złotą Palmę w Cannes i Złotego Lwa w Wenecji. Nie dostał jednak nagrody w Cannes, natomiast wydał tam dwadzieścia tysięcy marek na kokainę i roztrwonił sumy za prawa dystrybucji swego następnego filmu w zamian za zagwarantowaną przyszłą dostawę.

Pod koniec życia potrafił być brutalny wobec kobiet. Kiedyś, na przykład, pijany czy oszołomiony narkotykami wpadł w gniew i bez przyczyny kopnął w gołeń dziewczynę pracującą u niego jako asystentka.

Na swym przyjęciu urodzinowym w dniu 31 maja, wydarzeniu niemal publicznym, wręczył swej pierwszej żonie Ingrid olbrzymiego plastikowego fallusa zapewniając, że ten przedmiot uczyni ją na pewien czas szczęśliwą. Nie zmieniał ustalonego rozkładu zajęć i wywiadów mimo stale rosnącej ilości pochłanianych narkotyków, alkoholu i zakazanych tabletek nasennych. Rankiem 10 czerwca Juliane Lorenz znalazła go martwego w łóżku, aparat wideo był wciąż włączony. Odbył się pogrzeb, choć trumna była pusta, bo policja wciąż dokonywała oględzin zwłok w związku z narkotykami. Morał był tak prosty i wyraźny, że nie warto było o nim mówić, chociaż wielu to uczyniło. Dla uczczenia zmarłego artysty zrobiono jego maskę pośmiertną, jak Goethemu lub Beethovenowi; na festiwalu filmowym w

Wenecji, we wrzeźniu, krążyły między stolikami kawiarni na placu Świętego Marka pirackie kopie tego makabrycznego przedmiotu.

Tynan i Fassbinder mogą być uznani za ofiary kultu hedonizmu. Byli także i tacy, którzy padli ofiarą uznania przemocy przez intelektualistów. Wśród nich znajdował się James Baldwin (1924-1988), najbardziej wrażliwy i pod pewnymi względami największy czarny pisarz amerykański. Był to przypadek człowieka, który mógł prowadzić szczęśliwe i spełnione życie dzięki swoim znacznym osiągnięciom. Niestety, stało się inaczej, do czego przyczynił się nowy intelektualny klimat jego czasów: Baldwin uznał, że przesłaniem jego dzieł powinna być nienawiść, i głosił ją z gniewnym entuzjazmem.

Baldwin stanowi także przykład dziwnego paradoksu; mianowicie że intelektualiści, którzy powinni uczyć ludzi, by zaufali swemu umysłowi, zwykle zachęcają do kierowania się uczuciami, miast zalecać dialog i pojednanie, zbyt często namawiają do użycia siły.

Relacja Baldwin o swym dzieciństwie i młodości jest niewiarygodna, o czym jeszcze będziemy mówić. Na podstawie jednak jego biografii pióra Fern Marji Eckman, i innych źródeł, można otrzymać dokładne streszczenie<sup>62</sup>.

Tłem, na którym toczyło się życie Baldwin w latach dwudziestych, był Harlem, pod pewnymi względami wywierający ujemny wpływ. Był najstarszym z ośmiorga rodzeństwa. Matka jego wyszła za mąż, gdy James miał trzy lata. Dziad Baldwin był jeszcze niewolnikiem w Luizjanie, ojczym natomiast niedzielnym kaznodzieją, członkiem sekty religijnej (Holy Roller); pracował w hucie szkła za nędzną zapłatę. Pomimo biedy Baldwin był jednak dobrze, choć surowo, wychowany. Matka mówiła o nim, że zawsze trzymał w jednej ręce małego brata lub siostrę, a w drugiej książkę. Pierwszą książką, jaką Baldwin przeczytał, była Chata wuja Toma, czytał ją wciąż na nowo; wpływ jej na twórczość Baldwin, mimo że starał się go usunąć, był uderzający.

Rodzice uznali jego talent i wspierali go, podobnie czyniło szereg innych osób. W latach dwudziestych i trzydziestych w szkołach Harlemu nie było śladu defetyzmu na tle rasowym. Wierzono, że czarni, jeśli tylko ciężko pracują, mogą prześcignąć innych. Nędza nigdy nie była uznawana za usprawiedliwienie niechodzenia do szkoły. Wymagania szkolne były wysokie, dzieci miały je spełniać lub podlegały karom.

Baldwin kwitł w tej atmosferze. W szkole publicznej numer 24 jej dyrektorka, Gertrude Ayer, wówczas jedyna czarna dyrektorka szkoły w Nowym Jorku, była znakomitą nauczycielką; inna nauczycielka, Orilla Miller, zabrała go po raz pierwszy do teatru i zachęcała do pisania. Gdy miał trzynaście lat - uczył się wówczas w gimnazjum Fredericka Douglasa juniora - opublikował w szkolnej gazecie swe pierwsze opowiadanie, zatytułowane Douglas Pilot; później był redaktorem tej gazety, a pomagali mu dwaj wybitni czarni nauczyciele, poeta Countee Cullen, który uczył francuskiego, i Herman Porter.

Jako nastolatek Baldwin pisał z nadzwyczajnym wdziękiem i wyrażał radość z czynionych postępów. Rok po ukończeniu szkoły napisał artykuł do gazety szkolnej, chwając „ducha dobrej woli i przyjaźni”, który uczynił gimnazjum Fredericka Douglasa juniora „jednym z najlepszych w kraju”<sup>63</sup>.

Będąc już ukształtowanym pisarzem, był teraz także wybitnym młodzieżowym kaznodzieją, uznawanym za „złotoustego”. Podziwiano go i popierano, a starsi społeczności zielonoświątkowców ofiarowali mu swą przyjaźń.

Kontynuował naukę w znanym nowojorskim liceum De Witt Clintona w Bronxie, z którego wyszli między innymi Paul Gallico, Paddy Chayewsky, Jerome Weideman i Richard Avedon. Swoje utwory beletrystyczne publikował w świetnym magazynie szkolnym „The Magpie”, który sam później redagował. Znów zaprzyjaźnił się z kilkoma świetnymi nauczycielami, którzy udzielali jego rzucającym się w oczy talentom wszelakiej zachęty.

Późniejsze artykuły Baldwin w „Magpie” odbijają jego utratę wiary. Porzucił Kościół. Pracował jako tragarz i windziarz, potem na budowie w New Jersey, nocami pisał. W tym

okresie otrzymał znów wiele dowodów przyjaźni i zachęty od starszych, zarówno czarnych, jak i białych. Czołowy murzyński pisarz, Richard Wright, sprawił, że przyznano Baldwinowi nagrodę Saxtona, która umożliwiła mu podróż do Paryża.

Publikowano jego utwory w czasopismach „Nation” i „New Leader”. Baldwin wchodził na szczyt wytrwale i metodycznie. Ludzie, którzy go wówczas znali, dawali świadectwo jego gorliwej, ciężkiej pracy, sumiennej pomocy rodzinie, otrzymującej od niego każdy zaoszczędzony grosz. Wszystko świadczyło o tym, że jest szczęśliwy.

Zmiana nastąpiła w roku 1948, gdy opublikował bardzo chwalony artykuł, *The Harlem Ghetto*, w żydowskim miesięczniku intelektualnym „Commentary”<sup>64</sup>. Mnóstwo ludzi użyczyło mu pieniędzy, by mógł twórczo pracować. Pożyczka od Marlona Brando umożliwiła mu ukończenie powieści o harlemskim życiu kościelnym, *Głoś to na górze*, która została wydana w roku 1953 i obdarzona wielkimi pochwałami.

Baldwin prowadził życie kosmopolitycznego intelektualisty, skacząc prosto z Harlemu do Greenwich Village i na paryski Lewy Brzeg, omijając zupełnie czarną burżuazję. Ignorował Południe. Problem murzyński nie był dla niego sprawą o pierwszorzędym znaczeniu. Rzeczywiście, czytając większość jego wcześniejszych i najlepszych dzieł, nie można wywnioskować, że był Murzynem. Tak w życiu, jak i w swojej twórczości był zwolennikiem integracji. Niektóre z jego najlepszych esejów były przeznaczone dla integracyjnego „Commentary”<sup>65</sup>. Jego wydawca, Norman Podhoretz, zauważył później: „Był to murzyński intelektualista w prawie dokładnie tym samym sensie, co żydowscy intelektualiści”<sup>66</sup>.

Jednakże w drugiej połowie lat pięćdziesiątych Baldwin wyczuł kształtujący się nowy klimat - klimat tolerancji i przyzwolenia z jednej strony i aprobaty nienawiści z drugiej. Baldwin był (a może jedynie w to wierzył?) homoseksualistą; jego druga powieść *Giovanni's Room* (1956) zajmowała się tym tematem. Została odrzucona przez jego własnego wydawcę i Baldwin był zmuszony zwrócić się do innego, który - jak się pisarz przekonał - zapłacił mu za mało. Doświadczenie to napełniło go wściekłością wobec amerykańskich wydawców. Ponadto odkrył, że wściekłość, przynajmniej takiej „poszkodowanej” osoby jak on sam, okazała się tematem dnia, modna i słuszna. Rozciągnął ją na wszystkich ludzi i instytucje, które niegdyś szanował. Zwrócił się przeciw Richardowi Wrightowi i wielu innym czarnym przyjaciołom, którzy niegdyś go wspomagali<sup>67</sup>.

Zaczął potępiać białą rasę. Napisał od nowa całą swoją autobiografię. Stał się jeszcze jednym intelektualistą, którego autobiograficzna twórczość pod złudną warstwą ekshibicjonistycznej szczerości jest niebezpiecznie zwodnicza<sup>68</sup>.

Baldwin odkrył, że był bardzo nieszczęśliwym dzieckiem. Ojciec powiedział mu, że jest najszkaradniejszym chłopcem, jakiego w życiu widział, tak szkaradnym, jak może być czarci pomiot. O swoim ojcu napisał: „Nie pamiętam przez wszystkie te lata, by chociaż jedno z jego dzieci było kiedykolwiek zadowolone widząc jego powrót do domu”. Twierdził, że gdy ojciec zmarł, słyszał jak matka westchnęła: „Jestem czterdziestoletnią wdową z ośmiorgiem dzieci, których nigdy nie chciałam”. Odkrył też, że w szkole znęcano się nad nim okrutnie. W sposób budzący przerażenie opisał gimnazjum Fredericka Douglasa juniora. Gdy je odwiedził w roku 1963, powiedział do uczniów: „Biali są przeświadczeni, że Murzyn jest tu szczęśliwy. Waszym zadaniem jest nie wierzyć w to ani chwili dłużej”<sup>69</sup>.

Stwierdził, że w gimnazjum, które ukończył, jedynie biali byli szczęśliwi, czemu zawzięcie zaprzeczał współczesny mu Richard Avedon. O nauczycielu angielskiego, który mu pomagał, Baldwin powiedział: „Wzajemnie się nienawidziliśmy”. Gwałtownie i wciąż na nowo krytykował książki, które niegdyś kochał, takie jak na przykład *Chata wuja Toma*. Atakował całą koncepcję popierania integracji przez Murzyna należącego do klasy średniej<sup>70</sup>. Zbadał sytuację na Południu i w późnych latach pięćdziesiątych przystąpił do ruchu walczącego o prawa obywatelskie. Nie był jednak zainteresowany taktyką Martina

Luthera Kinga, który szedł w ślady Gandhiego, ani racjonalną działalnością takich czarnych intelektualistów, jak Bayard Rustin, który z mistrzowską zręcznością podjął sprawę równości. W atmosferze wytworzonej przez The White Negro Mailera Baldwin z coraz większą gwałtownością grał kartą emocji - także przeciw samemu Mailerowi, radząc mu, by spędził nieco czasu z białym rasistą, a nie z białym liberałem, bo wtedy przynajmniej by wiedział, na czym stoi.

Baldwin rzeczywiście spędził sporo czasu z białymi liberałami, tak w Ameryce jak i w Europie. Niczego tak bardzo nie lubił, jak właśnie gościnności białych liberałów. W stylu wielkiej intelektualnej tradycji Rousseau Baldwin przyjmował gościnność z istic książeczą łaską. W jego biografii czytamy: „Pomimo twórczych mąk Baldwin regularnie przejeżdżał z domu do domu, na podobieństwo średniowiecznego króla podróżującego po swoim królestwie, rozdając władczo zaszczyconym łaską poddanym przywilej służenia mu za gospodarza”<sup>71</sup>. Baldwin czynił z domu gospodarza prywatny klub, zapraszając doń także swych przyjaciół; później potrafił wyjechać mówiąc: „Twój dom stał się za bardzo publiczny”. Jeden z gospodarzy, raczej z należnym szacunkiem niż w gniewie, oświadczył: „Gościć Jimmy'ego to nie podejmować kogoś jako gościa, ale podejmować całą karawanę”. Im więcej wywoływał nienawiści, tym więcej otrzymywał dowodów służalczości. Echa Rousseau są tu niesamowite.

Ta nienawiść miała szeroki zasięg, czarni liberałowie doświadczyli jej nawet więcej niż ich biała odmiana. Jeden z nich skarżył się: „Nie ma znaczenia, jak bardzo uważasz się za wolnego. Jimmy sprawia, że czujesz, jakbyś wciąż miał w sobie odrobinę Wuja Toma”.

Na początku lat sześćdziesiątych Podhoretz zwrócił się do Baldwina o zbadanie działalności Malcolma X i jego Czarnych Muzułmanów (Black Muslims) oraz głoszonej przez nich idei przemocy i zaproponował opublikowanie jego wniosków w „Commentary”. Baldwin uczynił tak, ale sprzedał swój utwór pismu „New Yorker” za znacznie większą sumę pieniędzy<sup>72</sup>.

W 1963, wraz z opisem młodzieńczych doświadczeń związanych z rasizmem, tekst ten został opublikowany jako książka pod tytułem Następny razem pożar (The Fire Next Time). Przez czterdzieści jeden tygodni znajdowała się ona wśród pięciu czołowych tytułów na liście amerykańskich bestsellerów, tłumaczono ją na całym świecie. Pod jednym względem stanowiła logiczne następstwo The White Negro Mailera i prawdopodobnie bez niego byłoby niemożliwe jej powstanie.

Dzieło to wywarło jednak o wiele większy wpływ zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i gdzie indziej, było to bowiem oświadczenie czołowego czarnego intelektualisty - dotychczas działającego w granicach literackich konwenansów i przestrzegającego zasad wystąpień typowych dla kultury zachodniej - o czarnym nacjonalizmie, opartym na podstawach rasowych. Baldwin nadał swej wściekłości formalną literacką postać, zinstytucjonalizował ją, propagował i jej bronił. Czyniąc tak stworzył nowy rodzaj asymetrii rasowej. Żaden biały intelektualista nie mógłby - było to nie do pomyślenia - twierdzić, że wszyscy biali nienawidzą Murzynów, tym bardziej brać w obronę taką nienawiść. A jednak Baldwin upierał się teraz, że czarni nienawidzą białych, i z jego dzieła wynikało, że są w tym usprawiedliwieni. Udzielił więc intelektualnej powagi nowej i szybko się rozszerzającej formie czarnego rasizmu, która ogarnęła czarne społeczności na całym świecie.

Można wątpić, czy Baldwin naprawdę wierzył w nieuchronność czarnego rasizmu i dzielącą obie rasy przepaść, przez którą nie można przerzucić żadnego mostu. Młody James Baldwin zaprzeczyłby temu zdecydowanie. Było to sprzeczne z jego doświadczeniem i dlatego starszy Baldwin musiał na nowo napisać swoją biografie.

W ten sposób ostatnich dwadzieścia lat życia Baldwina było opartych na fałszu, a przynajmniej na karygodnym chaosie. W rzeczywistości przeżył większość tych lat za granicą, daleko od wszelkich walk. Dzieło jego padło ofiarą ognia, który sam rozpałił, i

przestało wywierać wpływ. Przeżył jedynie duch książki Następny razem pożar. Wzmocnił on przesłanie gorączkowej polemiki Franza Fanona, *Les Damnés de la terre* i twierdzenie Sartre'a, że przemoc jest usankcjonowanym prawem tych, których można określić na podstawie ich rasy, klasy lub kategorii jako ofiary moralnej niesprawiedliwości.

Dochodzimy teraz do kluczowego punktu życia intelektualnego: stosunku do przemocy. Podejmując ten problem, większość świeckich intelektualistów, zarówno pacyfiści, jak i niepacyfiści, wykazuje brak logiki i chaos w rozumowaniu. Mogą jej się wyrzec w teorii i oczywiście logika każe im to uczynić, jest to bowiem antyteza racjonalnego rozwiązania problemów. W praktyce jednak od czasu do czasu ją aprobuje - można to nazwać syndromem koniecznego morderstwa - lub pochwalają jej użycie przez tych, z którymi sympatyzują. Inni intelektualiści, stanąwszy wobec faktu przemocy stosowanej przez tych, których pragnęliby bronić, przenoszą po prostu moralną odpowiedzialność, dzięki pomysłowym dowodom, na tych, których chcą atakować.

Wybitnym praktykiem tej techniki był filolog i filozof, Noam Chomsky. Pod innymi względami przypomina raczej utopistę w dawnym stylu niż hedonistę-intelektualistę. Urodził się w Filadelfii w roku 1928 i szybko zyskał sławę jako ekonomista, wykładając w Instytucie Technologii stanu Massachusetts oraz na kilku uniwersytetach: Columbia, Princeton, Harvard i innych. W roku 1957, wtedy gdy Mailer opublikował *The White Negro*, Chomsky opracował mistrzowskie dzieło zatytułowane *Syntactic Structures*. Była to książka prawdziwie oryginalna i wydawała się wówczas decydującym wkładem do toczonej od dawna dyskusji, jak zdobywamy wiedzę, a szczególnie, w jaki sposób przyswajamy jej tak dużo.

Przypominają się słowa Bertranda Russella: „Jak to się dzieje, że istoty ludzkie, których kontakty ze światem są krótkie, jednostkowe i ograniczone, są mimo to zdolne wiedzieć tak wiele?”<sup>73</sup>. Istnieją dwa konkurujące ze sobą wyjaśnienia. Jednym jest teoria, że człowiek przychodzi na świat z ideami wrodzonymi. Jak pisze Platon w *Menonie*: „Człowiek, który nie wie, ma prawdziwe sądy o tym, czego nie wie”. Najważniejsze treści tkwią w umyśle od początku, choć zewnętrzne bodźce i doświadczenie, oddziałując na zmysły, muszą przenieść tę wiedzę do świadomości. Kartezjusz utrzymywał, że taka intuicyjna wiedza jest bardziej niezawodna od innych i że wszyscy ludzie urodzili się z pewną jej dozą, chociaż jedynie najbardziej rozważni uświadamiają sobie jej pełne możliwości<sup>74</sup>. Większość filozofów z kontynentu europejskiego w pewnym stopniu podziela ten pogląd.

Przeciwna temu jest anglosaska tradycja empiryzmu, kształtowana przez Locke'a, Berkeley'a i Hume'a. Głosi, że choć cechy fizyczne mogą być dziedziczone, to umysł w chwili urodzin człowieka jest tabula rasa i cech umysłu nabywa się przez doświadczenie. Poglądy te, zwykle w wysoce uwarunkowanej formie, są ogólnie wyznawane w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach o tej samej kulturze.

Dokonane przez Chomsky'ego studium składni, to jest zasad rządzących układem słów lub dźwięków tworzących zdania, doprowadziło go do wykrycia tego, co nazwał „lingwistycznymi uniwersaliami”. Języki na świecie o wiele mniej się różnią od siebie, niż się to na pozór wydaje, wszystkie bowiem mają syntaktyczne uniwersalia, które określają hierarchiczną strukturę zdań. Chomsky, a później jego następcy, wszystkie języki badali zgodnie z tym modelem. Chomsky wyjaśniał, że te niezmiennie zasady intuicyjnej składni są tak głęboko zakorzenione w ludzkiej świadomości, że muszą być wynikiem genetycznego dziedzictwa. Nasza umiejętność posługiwania się językiem jest raczej wrodzona niż nabyta. Wyjaśnienia Chomsky'ego dotyczące lingwistycznych danych mogą nie być poprawne, są to jednak dotychczas jedyne wiarygodne wyjaśnienia, które umieszczają Chomsky'ego mocno w kartezyjańskim lub „kontynentalnym” obozie<sup>75</sup>.

Wywołały one także znaczne intelektualne ożywienie, nie tylko w kołach uniwersyteckich, i uczyniły Chomsky'ego kimś w rodzaju znakomitości, jak stało się z Russellem po ogłoszeniu

jego pracy o zasadach matematyki lub z Sartre'em, gdy spopularyzował egzystencjalizm. Pokusą dla takich znakomitości jest używanie kapitału, który nabyli dzięki świetnej znajomości własnej dziedziny, do zdobycia forum dla własnych poglądów w sprawach publicznych. Jak już widzieliśmy, zarówno Russell, jak i Sartre ulegli tej pokusie; tak też było w przypadku Chomsky'ego.

W latach sześćdziesiątych intelektualisci na Zachodzie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, byli coraz bardziej poruszeni polityką amerykańską w Wietnamie i wzrastającą przemocą, z jaką była ona realizowana. Tkwił w tym jakiś paradoks. Jak to się stało, że podczas gdy intelektualisci gotowi byli zaakceptować przemoc w walce o równość rasową lub oswobodzenie kolonii, dokonywaną nawet przez sekciarskie grupy terrorystyczne, uznali ją za tak odrażającą, kiedy stosował ją zachodni rząd demokratyczny, by ochronić trzy małe kraje przed okupacją dokonywaną przez reżim totalitarny? Właściwie nie można logicznie wyjaśnić tego paradoksu.

Wyjaśnienia, jakie przedstawiali intelektualisci, że mianowicie przeciwstawiają się „zinstytucjonalizowanej przemocy” z jednej strony, ale z drugiej strony usprawiedliwiają indywidualną, osobistą antyprzemoc (i wiele jej wariantów), muszą na razie wystarczyć. Z pewnością wystarczyły także i Chomsky'emu, który stał się, i pozostał, czołowym intelektualnym krytykiem wietnamskiej polityki Stanów Zjednoczonych. Od wyjaśnienia, jak ludzkość nauczyła się posługiwać językiem, zwrócił się ku doradzaniu jej, jak ma prowadzić swą geopolitykę.

Charakterystyczne jest, że tacy intelektualisci w ogóle nie dostrzegają niestosowności odejścia od swojej własnej dziedziny, w której są uznanymi mistrzami, do spraw publicznych, gdzie zapewne nie mają większych praw do posłuchu niż inni ludzie. Oczywiście zawsze twierdzą, że szczególna wiedza daje im cenną intuicję. Russell wierzył bez wątpienia, że jego umiejętności filozoficzne czynią rady udzielane ludzkości za godne zwrócenia na nie uwagi. Roszczenie to Chomsky poparł w swoich wykładach o Russellu w roku 1971 76.

Sartre twierdził, że egzystencjalizm odnosi się bezpośrednio do problemów moralnych wywołanych przez zimną wojnę i do naszej odpowiedzi na kapitalizm i socjalizm.

Chomsky z kolei wnioskował, że jego praca o lingwistycznych uniwersaliach jest sama w sobie podstawowym świadectwem niemoralności polityki amerykańskiej w Wietnamie. W jaki sposób? No, argumentował Chomsky, to zależy od tego, jaką przyjmuje się teorię wiedzy. Jeśli umysł w chwili urodzin to rzeczywiście tabula rasa, a istoty ludzkie są jakby kawałkami plasteliny, którą można dowolnie kształtować, to nadają się one do, jak to określał Chomsky, „»kształtowania zachowania« przez władze państwowe, kierownika zespołu, technokratę lub Komitet Centralny”<sup>77</sup>. Jeśli zaś mężczyźni i kobiety mają wrodzone struktury umysłu i wrodzoną potrzebę wzorów kulturowych i społecznych, które są dla nich „naturalne”, to takie wysiłki państwa zakończą się niepowodzeniem, ale zanim to się stanie, powstrzymają nasz rozwój i pociągną za sobą straszne okrucieństwo. Próba Stanów Zjednoczonych narzucenia swej woli, a szczególnie wzorów rozwoju społecznego, kulturalnego i politycznego, ludom Indochin jest drastycznym przykładem takiego okrucieństwa. By dojść do takiej konkluzji, trzeba było szczególnej przewrotności, którą niestety poznał każdy, kto badał kariery intelektualistów.

Jeśli argument Chomsky'ego dotyczący wrodzonych struktur miał być przekonujący, mógłby być słusznie określony jako ogólny przykład przeciwny wszelkiego rodzaju inżynierii społecznej. Z wielu różnych przyczyn inżynieria społeczna była uderzającym oszustwem i wielkim przekleństwem epoki nowożytnej. W XX wieku zabiła dziesiątki milionów niewinnych ludzi w Rosji Sowieckiej, nazistowskich Niemczech, komunistycznych Chinach i w innych krajach. Byłaby to jednak ostatnia rzecz, jakiej mogłyby bronić kiedykolwiek zachodnie demokracje ze wszystkimi swoimi wadami.

Wręcz przeciwnie: inżynieria społeczna jest tworem sekciarskich intelektualistów, którzy wierzą, że mogą zmienić ludzkość oświecając ją swoim jedynie rozsądkiem. W tym mieści się pierworództwo totalitarnej tradycji - przecierał drogę Rousseau, usystematyzował Marks i zinstytucjonalizował Lenin. Następcy Lenina prowadzili przez ponad siedemdziesiąt lat najdłuższy w historii eksperyment z inżynierii społecznej; niepowodzenie tego eksperymentu całkowicie potwierdza ogólne wnioski Chomsky'ego.

Inżynieria społeczna lub, jak ją nazwano, rewolucja kulturalna, doprowadziła do milionów ofiar śmiertelnych w maoistowskich Chinach i nie osiągnęła sukcesu. Wszystkie systemy inżynierii społecznej stosowane przez rządy pseudoliberalne lub totalitarne były pierwotnie stworzone przez intelektualistów. Na przykład apartheid został wypracowany w swej szczegółowej współczesnej formie na wydziale psychologii społecznej Uniwersytetu Stellenbosch. Podobne systemy w innych częściach Afryki, jak ujaama w Tanzanii, consciencism w Ghanie, negritude w Senegal, „zambijski humanizm” i inne, zostały wysmażone na wydziałach nauk politycznych lub socjologii miejscowych uniwersytetów. Amerykańska interwencja w Indochinach, choć może nieroztropna i nierozsądnie przeprowadzona (jak się to niewątpliwie okazało), była zamierzona właśnie dla uratowania tamtejszych ludów przed inżynierią społeczną.

Chomsky ignorował takie argumenty. Nie wykazywał zainteresowania totalitarnymi próbami zlikwidowania lub zmiany wrodzonych cech. Głosił, że demokracja liberalna, państwo o zasadach laissez faire, jest tak samo niepożądana jak totalitarna tyrania, system kapitalistyczny bowiem, którego jest ona z konieczności organiczną częścią, dostarcza elementów przymusu stanowiącego niezmiennie zaprzeczenie samospelnienia. Wojna wietnamska była według Chomsky'ego dobitnym przykładem kapitalistyczno-liberalnego ucisku małego narodu, który próbował odpowiedzieć na swoje własne intuicyjne potrzeby; oczywiście było to skazane na niepowodzenie, ale w tym czasie dopuszczono się niewypowiedzianych okrucieństw<sup>78</sup>.

Argumenty intelektualistów takich jak Chomsky niewątpliwie odegrały poważną rolę w zmianie pierwotnie zdecydowanej postawy Stanów Zjednoczonych zapewnienia demokratycznemu społeczeństwu szansy rozwoju w Indochinach. Gdy wycofały się wojska amerykańskie, szybko wkroczyli społeczni inżynierowie, jak przewidzieli to dokładnie ci, którzy wspierali interwencję amerykańską. Rozpoczęły się wtedy naprawdę niewypowiedziane okrucieństwa. W roku 1975 w Kambodży, bezpośrednio wskutek wycofania się Amerykanów, popełniono jedną z największych masakr, i to w stuleciu niewyobrażalnych zbrodni. Grupa marksistowskich intelektualistów, wykształconych w Paryżu Sartre'a, a dowodzących teraz groźną armią, przeprowadziła eksperyment z inżynierii społecznej, bezlitosny nawet w kategoriach Stalina lub Mao.

Reakcja Chomsky'ego na to okrucieństwo jest pouczająca. Była też złożona i zwichrowana. Nosiła uderzające podobieństwo do reakcji Marksa, Engelsa i ich zwolenników na ujawnienie rozmyślnie błędnego cytatu Marksa z mowy budżetowej Gladstone'a. Zbyt dużo zabrałoby miejsca badanie jej w szczegółach, ale istota była zupełnie prosta.

Zgodnie z definicją Chomsky'ego, która stała się teraz faktem metafizycznym, to Ameryka postępowała nikczemnie w Indochinach. Stąd nie można potwierdzić, że w ogóle nastąpiła masakra w Kambodży, dopóki nie znajdzie się sposobów wykazania, że to Stany Zjednoczone były za nią odpowiedzialne, bezpośrednio lub pośrednio.

Odpowiedź Chomsky'ego i jego współpracowników przeszła przez cztery fazy<sup>79</sup>:

1. nie było żadnej masakry, jest to wymysł zachodniej propagandy;
2. mogło dojść do zabójstw na małą skalę, ale „cierpienia Kambodży zostały wykorzystane przez cynicznych zachodnich filantropów, rozpaczliwie żądających zwycięstwa nad »wietnamskim syndromem«”;



3. zabójstwa były na szerszą skalę, niż początkowo sądzono, był to jednak skutek zbydłecenia tamtejszych chłopów w wyniku oddziaływania amerykańskich zbrodni wojennych;

4. Chomsky został ostatecznie zmuszony do zacytowania „jednego z niewielu autentycznych kambodżańskich uczonych”, który zręcznie zmieniając chronologię mógł „udowodnić”, że najgorsza masakra wydarzyła się nie w roku 1975, ale „w połowie 1978”, i to nie dla racji marksistowskich, a „tradycjonalistycznych, rasistowskich i antywietnamskich”. Reżim wtedy „stracił wszelką barwę marksistowską” i stał się organem „nadzwyczaj szowinistycznego, drobnochłopskiego populizmu”. Jako taki „w końcu” uzyskał aprobatę CIA, która od wyolbrzymienia masakry dla celów propagandy przeszła do jej dokonania. Mówiąc w skrócie: zbrodnia Pol Pota była w rzeczywistości zbrodnią Ameryki, quod erat demonstrandum.

W połowie lat osiemdziesiątych przedmiotem zainteresowań Chomsky'ego stała się Nikaragua; przekroczył on jednak znacznie punkt gotowości rozsądnych ludzi do prowadzenia z nim poważnych dyskusji i powtórzył ponury przykład Russella i Sartre'a. Tak więc jeszcze jeden intelekt, który niegdyś zdawał się przewyższać swoich kolegów, zamknął się na pustyni ekstremizmu. Przypominał starego Tolstoja, który zagniewany i roztrzęsiony opuścił Jasną Polanę. Wydaje się, że wielu sekciarskim intelektualistom przytrafia się groźna umysłowa menopauza, którą można nazwać odlotem rozumu.

Dotarliśmy do końca naszych rozważań. Minęło właśnie około dwustu lat, kiedy świeccy intelektualiści zaczęli zastępować stare duchowieństwo jako przewodnicy i nauczyciele ludzkości. Wejrzelśmy w szereg indywidualnych przypadków tych, którzy starali się doradzać ludzkości. Zbadaliśmy ich moralne i wyrokujące kompetencje do wykonania tego zadania. W szczególności zbadaliśmy ich postawę wobec prawdy, sposób, w jaki poszukują jej świadectw i jak je oceniają, oraz odpowiedź nie tylko daną ludzkości w ogóle, ale każdej istocie ludzkiej; badaliśmy też sposób traktowania przez nich przyjaciół, kolegów, podwładnych, a przede wszystkim ich własnych rodzin. Dotknęliśmy społecznych i politycznych konsekwencji, jakie wynikły z udzielanych przez nich rad.

Jakie wnioski należy wysnuć? Czytelnicy osądzą sami. Myślę jednak, że wykryłem dziś jakiś publiczny sceptycyzm, który się pojawia, gdy intelektualiści wstają, by głosić nam kazanie; wykryłem rosnącą skłonność zwykłych ludzi do kwestionowania prawa uczonych, pisarzy i filozofów, nawet wybitnych, do mówienia nam, jak mamy się zachować i prowadzić nasze sprawy. Wydaje się rozszerzać przekonanie, że intelektualiści nie są mądrzejsi jako nauczyciele lub bardziej wartościowi jako ludzie służący za przykład niż szarlatani lub kapłani dawnych czasów.

Podzielam ten sceptycyzm. Tuzin osób, zatrzymanych przypadkowo na ulicy, może udzielić równie rozsądnych opinii o sprawach moralnych i politycznych, co przeciętni przedstawiciele inteligencji. Poszedłbym nawet dalej: nasze tragiczne stulecie, które widziało tak wiele milionów niewinnych istnień poświęconych realizacji planów poprawienia losów ludzkości, udzieliło nam nauki: strzeżcie się intelektualistów!

Nie tylko należy trzymać ich z dala od wszystkich dźwigni władzy, ale trzeba na nich spoglądać ze szczególną podejrzliwością, gdy próbują przedstawić swoją uniwersalną receptę. Strzeżcie się komitetów, konferencji i porozumień intelektualistów. Nie wiercie oświadczeniom wychodzącym z ich zwartych szeregów. Nie traktujcie poważnie ich opinii na temat przywódców politycznych i ważnych wydarzeń.

Intelektualiści bowiem, dalecy od stania się wielkimi indywidualistami lub nonkonformistami, stosują się do pewnych utartych wzorów postępowania. Traktowani jako grupa, często są skrajnymi konformistami, poruszającymi się w obrębie koła nakreślonego przez tych, których aprobaty szukają i cenią.

To właśnie czyni ich, en masse, tak niebezpiecznymi, bo umożliwia im tworzenie klimatu opinii i powszechnych ortodoksji, które same często rodzą irracjonalne i niszczące kierunki działania.

Ponad wszystko musimy zawsze pamiętać o tym, o czym intelektualiści zwykle zapominają: ludzie są ważniejsi od pojęć i muszą znajdować się na pierwszym miejscu.

Najgorszą postacią despotyzmu jest bezduszna tyrania idei.

### Przypisy Rozdział 13

1. Cyt. David Pryce-Jones, Cyril Connolly: Diaries and Memoir, London 1983, s. 292.
2. Esej Orwella, *Such, Such Were the Joys*, był po raz pierwszy opublikowany w „Partisan Review”, IX-X 1952, i przedrukowany w: George Orwell, *Collected Essays, Journalism and Letters*, 4 tomy, Harmondsworth 1978, t. IV, s. 379-422. Zob. George Orwell, *Eseje*. Tłum. Anna Husarska, London 1985, Puls Publ., s. 243-276. Relacja Connolly'ego w: *Enemies of Promise*, London 1938.
3. Gow uczynił ten zarzut w liście do „Sunday Times” w 1967 roku, cyt. Pryce-Jones, op. cit.
4. George Orwell, *Eseje*, London 1985, s. 16-20 (Wieszanie), s. 20-26 (Zabicie słonia).
5. Orwell, *Collected Essays*, t. I, s. 106.
6. George Orwell, *The Road to Wigan Pier*, London 1937, s. 149.
7. George Orwell, *W hołdzie Katalonii*. Przekł. Leszka Kuzaja. Oficyna Literacka 1985, s. 12, 117.
8. Cyt. Pryce-Jones, op. cit. s. 282.
9. Orwell, *W hołdzie Katalonii*, s. 117-118.
10. Orwell, *Collected Essays*, t. IV, s. 503.
11. Mary McCarthy, *The Writing on the Wall and Other Literary Essays*, London 1970, s. 153-171.
12. Orwell, *Collected Essays*, 1970, t. IV, s. 248-249.
13. Michael Davie (wyd.), *The Diaries of Evelyn Waugh*, London 1976, s. 633.
14. Mark Amory (wyd.), *The Letters of Evelyn Waugh*, London 1980, s. 302.
15. Evelyn Waugh, *Introduction*, do: T. A. MacInerney, *The Private Man*, New York 1962.
16. „Spectator”, 2 X 1959.
17. Evelyn Waugh, ocena *Enemies of Promise*, w: „Tablet”, 3 XII 1938, reprint w: Donat Gallagher (wyd.), *Evelyn Waugh: A Little Order: A Selection from his Journalism*, London 1977, s. 125-127.
18. Te marginalne uwagi są analizowane w: Alan Bell, *Waugh Drops the Pilot*; „Spectator”, 7 III 1987.
19. „Tablet”, 3 XII 1939.
20. *The Joker in the Pack*, „New Statesman”, 13 III 1954.
21. Cytowane w: Pryce-Jones, op. cit., s. 29.
22. *Ibidem*, s. 40.
23. *Ibidem*, s. 131, 133, 246.
24. Cyril Connolly, *Some Memories*, w: Stephen Spender (wyd.), *W. H. Auden: A Tribute*, London 1975, s. 70.
25. *London Diary*, „New Statesman”, 16 I 1937.
26. *London Diary*, „New Statesman”, 6 III 1937.
27. Audycja radiowa z roku 1943, część cyklu Orwella *Talking to India*, cyt. przez Pryce-Jonesa, op. cit.
28. *Comment*, „Horizon”, VI 1946.
29. „Tablet”, 27 VII 1946, reprint: D. Gallagher (wyd.), op. cit., s. 127-131.
30. Taką wersję podaje (są także inne) John Lehmann w *Dictionary of National Biography*, 1971-80, Oxford 1986, s. 170-171.
31. „New Statesman”, 13 III 1954.
32. Leon Edel (wyd.), *Edmund Wilson: The Fifties*, New York 1986, s. 372 i n.
33. Barbara Skelton, *Tears Before Bedtime*, London 1987, s. 95-96, 114-115.

34. Wywiad z roku 1971, cyt. w: Paul Hollander, *Political Pilgrims: Travels of Western Intellectuals to the Soviet Union, China and Cuba, 1928-78*, Oxford 1981, zob. także: Maurice Cranston, *Sartre and Violence*, „Encounter”, VII 1967.
35. Michael S. Steinberg, *Sabres and Brownshirts: The German Students' Path to National Socialism 1918-35*, Chicago 1977.
36. Humphrey Carpenter, W. H. Auden, London 1981, s. 217-219.
37. Edward Hyams, *The New Statesman: The History of the First Fifty Years, 1913-63*, London 1963, s. 282-284.
38. Na temat przeszłości i kariery Mailera zob. Hilary Mills, *Mailer: A Biography*, New York 1982.
39. „Atlantic Monthly”, VII 1971.
40. H. Mills, op. cit., s. 109-110.
41. Norman Podhoretz, *Doings and Undoings*, New York 1959, s. 157.
42. Całą sprawę z nożem opisał Mills, op. cit., s. 215 i n.
43. Przemówienie Mailera jest przedrukowane w jego *Cannibals and Christians (Collected Pieces)*, New York 1966, s. 84-90.
44. Jack Newfield w „Village Voice”, 30 V 1968; cytuje H. Mills, op. cit.
45. Mills, op. cit., s. 418-419.
46. Kathleen Tynan, *The Life of Kenneth Tynan*, London 1987.
47. K. Tynan, op. cit., s. 46-47.
48. Zob. Roland Bryden, „London Review of Books”, 10 XII 1987.
49. *Declaration*, London 1957.
50. Ocenzurowana relacja Agatę'a o ich stosunkach jest w jego *Ego 8*, London 1947, s. 172 i n.
51. K. Tynan, op. cit., s. 32.
52. *Ibidem*, s. 76.
53. *Ibidem*, s. 212.
54. *Ibidem*, s. 327, 333.
55. *Ibidem*, s. 333.
56. *Sonety Shakespeare'a*. Tłumaczył MUS, Kraków 1913, s. 143 (Sonet 129).
57. Relację o karierze Fassbindera i wiele interesujących szczegółów podają: Robert Katz, Peter Berling, *Love is Colder than Death: The Life and Times of Rainer Werner Fassbinder*, London 1987.
58. R. Katz, P. Berling, op. cit., Wstęp, s. XIV.
59. *Ibidem*, s. 19.
60. *Ibidem*, s. 33-34, 125.
61. Cytują R. Katz i P. Berling, op. cit., s. 5.
62. Fern Marja Eckman, *The Furious Passage of James Baldwin*, London 1968, oraz nekrologi w: „New York Times”, „Washington Post”, „Guardian”, „Daily Telegraph” oraz artykuł Bryanta Rollingsa w „Boston Globe”, 14—21 IV 1963.
63. Cyt. przez F. M. Eckman, op. cit., s. 63-64.
64. *The Harlem Ghetto*, „Commentary”, II 1948.
65. Zob. opublikowane w zbiorze *Notes of a Native Son*, New York 1963.
66. Norman Podhoretz, *Breaking Ranks: A Political Memoir*, New York 1979, s. 121 i n.
67. Zob. Mas, *Poor Richard!* w zbiorze *Baldwin Nobody Knows My Name*, New York 1961.
68. Zob. autobiograficzną powieść Baldwina *Głoś to na górze*. Przeł. K. Tarnowska, Warszawa 1966, oraz *East River, Downtown* w: *Nobody Knows My Name* i jego esej w: John Handrik Clark (wyd.), *Harlem: A Community in Transition*, New York 1964.
69. Cyt. Eckman, op. cit., s. 65.
70. *Fifth Avenue Uptown: A Letter from Harlem*, „Esquire”, VI 1960.
71. Eckman, op. cit., s. 163.
72. *Letter from a Region of My Mind*, „New Yorker”, 17 XI 1962.
73. Bertrand Russell, *Human Knowledge: Its Scope and Limits*, London 1948.
74. Zob. S. P. Stich (wyd.), *Innate Ideas*, California 1975.
75. Zob. *Cartesian Linguistics*, New York 1966, Chomsky'ego i jego *Reflections on Language*, London 1976. Świetną analizę teorii Chomsky'ego dotyczących języka i wiedzy ludzkiej oraz wynikające z nich wnioski polityczne podaje Geoffrey Sampson, *Liberty and Language*, Oxford 1979.
76. Noam Chomsky, *Problems of Knowledge and Freedom: The Russell Lectures*, London 1972.

77. Noam Chomsky, *For Reasons of State*, New York 1973, s. 184.

78. Noam Chomsky, *American Power and the New Mandarins*, New York 1969, s. 47-49.

79. Udział Chomsky'ego w kontrowersji na temat Pol Pot'a można prześledzić w wielu miejscach, w tym i w skromnych magazynach. Zob. jego zbiór, *Towards a New Cold War*, New York 1982, s. 183, 213, 382, przypis 73 itd. Zob. także Elizabeth Backer, *When the War Was Over*, New York 1987.

